

ÓSMY GRZECH GŁÓWNY



PHILIPP
VANDENBERG

Lukas Malberg, młody antykwariusz z Monachium, przybywa do Rzymu, aby wycenić księgozbiór zubożałej markizy. Przy okazji postanawia odwiedzić Marlenę -

dawną koleżankę ze szkoły średniej, mieszkającą obecnie w Wiecznym Mieście.

Niestety znajduje ją martwą, a nieszczęśliwy splot okoliczności powoduje, że zostaje wplątany w sprawę jej tajemniczego morderstwa. Rozpoczyna ono serię dziwnych wypadków i zdarzeń.

Co jednak wspólnego ma z tym wszystkim rzymska kuria, a zwłaszcza kardynał sekretarz stanu państwa watykańskiego? Jaką rolę odgrywa w tej sprawie tajemne stowarzyszenie, którego członkowie nie wahają się zabijać, żeby osiągnąć swoje cele?

Lukas Malberg będzie musiał nie tylko stawić czoła tropiącej go włoskiej policji, aby dowieść swojej niewinności, ale także odszyfrować cudownie odnalezioną księgę Georga Mendla, która prawdopodobnie kryje rozwiązanie tajemnicy całunu turyńskiego.

- Bestsellerowy thriller Philippa Vanden-berga trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony.

Polecamy inne książki tego autora

"TOWARZYSZKI CESARSKICH

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA

ÓSMY GRZECH GŁÓWNY

PHILIPP

VANDENBERG

ÓSMY GRZECH GŁÓWNY

Z języka niemieckiego przełożył Julian Brudzewski

Tytuł oryginału: DIE ACHTE SUNDE

Copyright © 2008 Verlagsgruppe Liibbe GmbH & Co. KG, Bergisch Gladbach

Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright ©

2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Fragmenty Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia (wydanie V, Poznań 2002)

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga Zdjęcia na okładce: Sonia Draga

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska Korekta: Radosław Ragan, Barbara

Meisner

ISBN: 978-83-7508-087-2

Dystrybucja: Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o. ul. Poznańska 91 05-850

Ożarów Mazowiecki tel./fax 022 721 30 00 e-mail: hurt@olesiejuk.pl

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa: www.merlin.com.pl www.empik.com

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o. Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950

Katowice tel. 032 782 64 77, fax 032 253 77 28 e-mail: info@soniadruga.pl www.soniadruga.pl

Skład i łamanie: DT Studio s.c, tel. 032 720 28 78, e-mail: biuro@dtstudio.pl

Katowice 2008. Wydanie I

Druk: Drukarnia Lega, Opole

PROLOG

P

omimo wielokrotnego dzwonienia, drzwi do mieszkania pozostawały zamknięte.

Przybysz podniósł więc pięść i uderzył w odrzwia. Obaj jego czarno odziani

towarzysze spojrzeli z irytacją.

- Niechże pani otworzy! - zawołał ze złością. - Chcemy tylko pani dobra. Niech

pani otworzy, w imię Boga Najwyższego!

Z wnętrza mieszkania dobiegł spłoszony kobiecy głos: - Nie znam pana! Czego

pan chce? Proszę odejść!

Głos pobrzmiwał zdenerwowaniem, lecz z pewnością nie histerią, której się spodziewał. W przeciwnym razie Don Anselmo odwróciłby się na pięcie. Mając czterdziestoletnie doświadczenie w tej dziedzinie, wiedział doskonale, że czasem potrzeba więcej prób, by osiągnąć cel. Jednak w tym przypadku było inaczej, zupełnie inaczej. A wcześniej Don Anselmo długo walczył z sobą, czy powinien poddać się naciskom wyższych władz i podjąć się tego okropnego czynu.

Bo chociaż Don Anselmo w swoim życiu klerykalnym już tysiąc albo i więcej razy wyganiał diabła czy inne złe demony o tak osobliwych imionach jak Inkubus, Enoch albo Lewiatan i uwalniał nieszczęśników od nieznośnej rozterki, to jednak przy każdym nowym przypadku takie przełamywanie się wiele go kosztowało.

Było tak nie tylko z powodu wysiłku fizycznego, którego wymagał ów proceder.

Przede wszystkim głęboko złościły mu się w pamięci przeżycia towarzyszące temu zadaniu. Pewne demony, jak Baal czy Forkas - pierwszy trójgłowy, drugi wielki siłacz i spryciarz - wcale się go nie bały i wręcz wnikały w niego.

W jednym z przypadków Abu Gosz, demon krwi, który całymi latami nękał pewną kaleką dziewczycę z Perugii, podczas egzorcyzmów opętał Don Anselma, a ten złego

ducha nawet nie zauważył. Dopiero kiedy zaczął sam sobie zadawać cięcia i rany, i już zabierał się do obcięcia sobie za pomocą nożyc - zgódźmy się, że zbędnego - narządu rozrodczego, wtedy zauważył to jego konfrater i go powstrzymał.

Dzięki zastosowaniu sprowadzonych w pośpiechu relikwii świętej Małgorzaty z Kortony, demon opuścił Don Anselma. W młodości Małgorzata żyła w grzechu i hańbie, później jednak przez umartwienie i sa-mobiczowanie wróciła do prawdziwej wiary. Zadawała sobie rany cięte wzdłuż uda i na brzuchu.

Ponownie zapukał Don Anselmo do drzwi i nacisnął dzwonek. - Czy pani

zapomniała, że jesteście umówieni?

- Umówieni? Nie jestem z nikim umówiona.

- Ależ tak, w zeszłym tygodniu. Nie przypomina pani sobie?

- W zeszłym tygodniu wcale mnie tu nie było - dobiegł głos z wnętrza mieszkania.

- Wiem - odparł Don Anselmo. Nie dlatego, żeby to była prawda, ale bardziej dlatego, że nie chciał tej kobiecie dawać już kolejnych powodów do zdenerwowania.

—Typowe — mruknął starszy z jego towarzyszy, wysoki pięćdziesięcio-latek o

łysej, błyszczącej czaszce i opalony jak trydencki przewodnik górski. - My,

neurologi, mówimy tu o schizofrenii neurastenicznej. Zjawisko nierzadkie, przy którym pacjent traci pamięć o najbliższych sprawach.

-

Nonsens - zauważył Don Anselmo ze złością. - Jest to demon Iza-akaron.

Niszczy on każdą jasną myśl i kieruje wszelkie działania na uwodzenie i pożądanie albo, jak to się dzisiaj mówi, na seks.

Drugi towarzysz, pulchny młodzieniec o rumianych policzkach i krótko obciętych włosach, spuścił oczy i zawstydzony spojrzał na swoje wypucowane buty. Jego zachowanie nie pozostawiało wątpliwości co do tego, że jest jednym z uczniów seminarium duchownego.

Zahukany uczeń obie ręce zacisnął wokół czarnej skórzanej torby podobnej do

kufierka, w której trzymał wyposażenie niezbędne przy eg-zorcyzmach: fioletową

stulę, dwie buteleczki z różnymi rodzajami wody, grubą białą świecę, niklowaną kapsułkę ze sproszkowanym knotem poświęconej świecy, mosiężny krucyfiks,

piętnaście miarek po dwadzieścia

pięć centymetrów, samochodowe pasy ściągające oraz księgę w formacie octavos,

oprawnej w czerwoną skórę i złoto z wytłoczonym napisem:

Hałasy przyciągnęły niechcianego świadka, kobietę, która piętro niżej ciekawie wystawiła głowę przez poręcz schodów. Kiedy uczeń seminarium ją zauważył, dał padre znak głową i wskazał w dół klatki schodowej.

Don Anselmo przechylił się przez poręcz i zawołał ochryple: - Proszę odejść, pani to nie dotyczy!

Kobieta natychmiast znikła. Kilka pięter niżej trzasnęły zamykane drzwi.

Zupełnie niespodziewanie drzwi mieszkania się otworzyły. Jak Matka Boska na dziewiętnastowiecznych obrazach, w drzwiach stała kobieta w cienkim, błękitnym szlafroku i bez makijażu, z pośpiesznie upiętymi, dość krótkimi włosami - wyglądała nieco frywolnie.

„Cóż za wspaniała niewiasta” - pomyślał Don Anselmo, który nie znał tej kobiety, przynajmniej nie osobiście, został jednak ostrzeżony i wiedział, co go spotka. To on właśnie był pierwszym, który teraz doszedł do siebie.

Kiedy bowiem dwaj towarzysze wciąż jeszcze stali i pożerali kobietę wzrokiem jak boski pokarm, padre postawił już jedną nogę w drzwiach. Uderzył go dochodzący z mieszkania gorący zaduch. Nic dziwnego jak na mieszkanie na najwyższym piętrze o tej porze roku. Nawet noc nie przynosiła ochłodzenia.

Pomimo upału i ze względu na zakłopotanie, a wręcz wstyd wobec trzech mężczyzn, piękna kobieta zacisnęła obiema dłońmi kołnierz szlafroka.

- Czy pan jest z policji? Czy ma pan nakaz rewizji? - zapytała zdziwiona, gapiąc się na mężczyzn wielkimi oczami.

Don Anselmo przystawił jej pod nos jakieś pismo. - Nie jesteśmy z policji, signora.

Pani wie, o co chodzi!

Jednak signora była zbyt zdenerwowana, żeby odczytać pismo, które w dodatku było po łacinie. Dostrzegła tylko papieskie insygnia w nagłówku

•Rzymski Opis Obrzędu. Pierwsze wydanie po pierwotnym rękopisie i nadawcę Città del Vaticano, a także grubo podkreślony tekst NORMA OBSERVANDA CIRCA EXORCIZANDAM A DAEMONIO.

Jej ograniczona znajomość łaciny, wyniesiona ze szkoły, wystarczyła akurat do tego, aby zrozumieć wyboistą kościelną łacinę: Dyrektywa w sprawie egzorcyzmowania demona.

Piękna signora głęboko wciągnęła powietrze. „Wypędzanie diabła!” - przemknęło jej przez myśl.

Słyszała o tym, nawet widziała hollywoodzki film Egzorcysta, niesamowity gniot, jednak uważała to wszystko za fikcję. Nie do pomyślenia, że do dziś istnieją takie rzeczy.

-

Proszę pana, to z pewnością jest jakaś pomyłka! - jej głos zrobił się donośny.

— Nie sądzi pan przecież, że jestem opętana przez szatana?

Don Anselmo niedostrzegalnie się uśmiechnął: - Szatan nierzadko bierze we władanie najpiękniejsze istoty, jakie stworzył Bóg.

Signora roześmiała się głośno i sztucznie. Śmiała się, zachłystywała, krztusiła i niewiele brakowało, żeby się tym śmiechem zadławiła.

Padre rzucił neurologowi wymowne spojrzenie, zaś doktor odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy. W końcu wyciągnął rękę i odsunął kobietę na bok.

- Nie chcemy przecież robić tu widowiska - powiedział, wchodząc do mieszkania.

Jego towarzysze weszli za nim bez słowa i nie podnosząc wzroku. Signora była zbyt

zaskoczona, by ich powstrzymać.

- Przy okazji, nazywam się Don Anselmo - przedstawił się Don Anselmo,

rozglądając się po gustownie urządzonej salonie - to zaś jest neurolog, doktor...

nazwisko nie ma znaczenia. Angelo, przyszedł teolog, budzący wielkie nadzieje, będzie mi przy liberano asystował - Angelo uklonił się zakłopotany, jak cyrkowiec

przy zapowiedzi jego numeru. Następnie wręczył padre jego kuferek.

- Słuchaj pan, co to wszystko ma znaczyć? - piękna signora stała przy tapczanie na

środku pokoju i już spoglądała w kierunku telefonu. Podczas gdy padre zaczynał

wykładać zawartość swojej walizeczki na niski stoliczek, kobieta zastanawiała się

nad możliwościami wyjścia z tej przeklętej sytuacji. Przerażonym spojrzeniem

obserwowała każdy przedmiot, który Don Anselmo wyciągał z torby.

- Za pozwoleniem, cóż to za bzdury? - jej głos stał się głośniejszy. - Proszę natychmiast

opuścić moje mieszkanie!

10

Zobaczywszy cztery pasy ściągające, które Don Anselmo rozłożył przed nią na

stoliku, wydała z siebie przeraźliwy krzyk, zdający się nie mieć końca. Poczuli też,

jak tłustawy uczeń seminarium zaszedł ją od tyłu i z niedźwiedzią siłą wcisnął w

tapczan.

Równocześnie podszedł do niej dottore. Wpgo dłoni dostrzegła strzykawkę.

Zaczęła się szarpać jak oszalała. Jednak wszelka obrona była daremna. Sufit zaczął

się kołysać. Potem nastąpiło całkowite zamroczenie.

W poczuciu obojętności zauważyła, że seminarzysta związał jej nogi, a wokół

przegubów rąk owinał pasy. Nawet kiedy ją podniósł i na silnych ramionach niósł ją

do sąsiedniej sypialni, nie widziała żadnego powodu, żeby się bronić.

Do łóżka z pachnącym baldachimem studiosus przymocował więzy, przeciągając

pasy pod łóżkiem i ściągnął je. Trzymając prawą dłoń na jej przegubie, doktor

zmierzył tętno. - Puls czterdzieści sześć - orzekł i uniósł brwi. - Nie jest łatwo bez wskazań medycznych zaaplikować odpowiednią dawkę.

-To Izaakaron zawładnął jej jestestwem - zakrzyknął Don Anselmo z błyszczącymi oczami - ale wypędzę go z urodziwego ciała tej niewiasty! - Diabelski grymas przemknął po twarzy egzorcysty Oto nadeszła jego godzina.

Gorączkowo zarzucił na siebie fioletową stułę. Potem otworzył obie buteleczki. Z pierwszej wylał nieco wody na pustą dłoń i spryskał nią piękną signorę.

Ta nie wykazała żadnej reakcji. Dopiero kiedy powtórzył całą procedurę z użyciem

drugiej buteleczki, piękna signora zaczęła szarpać głową na obie strony. Jej ciało się wyprężyło i głuchym głosem odezwała się: - Co ze mną robisz, ty świnię? Rozwiąż

mnie! Trzech facetów przeciwko jednej słabej kobiecie? Nie wstyd wam?

Studiosus cofnął się gwałtownie, jakby trafiony piorunem przez Ducha Świętego.

Zacisnął powieki, jak gdyby poczuł ból z powodu plugawych słów. Doktor z zaciekawieniem popatrzył na padre, jak ten zareaguje. Jednak Don Anselmo nie ujawnił żadnej emocji.

- To demon mówi przez ciebie i używa takich słów - syknął. Do neurologa zaś powiedział: - Zapewne dziwi się pan, dlaczego kropiłem różnymi rodzajami wody.

Chciałem być całkowicie pewny, że w tym przypadku nie mamy do czynienia z histerią. W stanie hysterii niektórzy reagują tak, jakby

byli opętani, na przykład po to, by wzbudzić zainteresowanie. Wtedy byłby to casus

dla pana, dottore, nie zaś przypadek dla egzorcysty. Dlatego właśnie zacząłem od

exorcismusprobatmus. Najpierw skropiłem signorę zwykłą wodą i, jak pan widział, nie wykazała żadnej reakcji. Natomiast woda z drugiej buteleczki to woda święcona.

Widział pan, jak demon na nią zareagował.

- Don Anselmo... - przerwał studiosus swojemu mistrzowi - Don Anselmo...

- Najlepiej niech milczy - nakazał padre uczniowi i wziął do ręki czerwony Rituale Romanum. Pewnym ruchem dłoni otworzył księgę w stosownym miejscu. Następnie ujął w prawą rękę krucyfiks i klękając przed drżącą signorę, rozpoczął obrzęd:

- Wszehmocny Ojcze, jedyny Boże, przybądź i ocal od zguby człowieka, któregoś stworzył na swój obraz i podobieństwo. Skieruj, o Panie, swój gniew przeciwko bestii, która odrzuca Twoją winnicę. Niech potężna Twa prawica ją pognębi i niech Twoja służebnica go pokona, aby nie ważył się już dłużej więzić tej, którą uznałeś za godną, by stworzyć ją na Twój obraz i podobieństwo.

Piękna signora szarpała się w pasach wiążących ją do łóżka. Więzy sprawiały ból i zostawiały ciemnoczerwone pręgi. Na tyle, na ile pozycja jej pozwalała, rzucała się z

jednej strony na drugą i obnażała swoje niepokalane ciało przed wzrokiem mężczyzn.

Brak jej było tchu.

Sam niemal nieprzytomny, studiosus rozpiął przepoconą koloratkę. Od czasu odłączenia od matczynej piersi w wieku półtora roku nigdy z tak bliska nie oglądał drugorzędnych cech płciowych. Kiedy pożądliwie chłonał ten podniecająco haniebny widok, Don Anselmo rzucił mu spojrzenie pełne wyrzutu.

Neurolog, mający z natury większą skłonność raczej do własnej płci, i przywykły do podobnych symptomów hysterii, był pod mniejszym wrażeniem, lecz poddał pod rozwagę, że taka procedura może wymagać zbyt wiele zarówno od psychicznej, jak i fizycznej natury signory. — Radzę stanowczo przerwać proces - zawołał pośród krzyków, jęków i skowytów, które wydawała z siebie piękność.

Don Anselmo zdawał się tego nie słyszeć.

Ponownie spryskał szalejącą signorę święconą wodą z butelki. Jej umęczony głos zyskał w międzyczasie na donośności na tyle, że egzorcysta sam zaczął wołać

podniesionym głosem: - Rozkazuję ci, kimkolwiek je-

steś, duchu nieczysty, i wszystkim twoim pobratymcom, którzy mają we władzy tę oto służebnicę Pańską, abyś jakimś znakiem wyjawiał swe imię, dzień i godzinę swojego wyjścia. I masz mi, niegodnemu słudze Bożemu, we wszystkim się podporządkować. Nie wolno ci też wyrządzać żadnej krzywdy tej istocie ani nikomu z tutaj obecnych!

Ledwo Don Anselmo zakończył swoje zaklęcia, piękna signora zaczęła wrzeszczeć z całej pozostałej jeszcze siły: — Pomocy, pomocy! Czy nikt mnie nie słyszy?!

Pomocy, pomocy!

Jej krzyki były tak głośne, że padre dał uczniowi znak, żeby ten położył na twarzy signory poduszkę, bo inaczej zbiegnie się cała kamienica.

- Niech pan przestanie, tak nie można! - rozkazał dottore seminarzyście, starając się wyrwać mu poduszkę. Jednak ten z Bożą pomocą i skupioną siłą młodości odepchnął neurologa na bok, tak że ów się potknął i upadł na ziemię.

- Tego nie muszę znosić! - dottore spienił się ze złości, z wielkim trudem powstał na nogi i pokuśtykał ku drzwiom. - Proszę uznać naszą współpracę za zakończoną! - zawołał w marszu. Następnie zatrzasnął drzwi.

Poduszka na twarzy tłumiła krzyki pięknej signory. Nie ustawały jej konwulsyjne ruchy, którymi starała się uwolnić z więzów.

Jej widok rozpalał w seminarzyście coraz to nowe, grzeszne myśli. Jakże, pomyślał, może się prezentować anioł z nieba, skoro już diabeł przyjmuje na ziemi tak uwodzicielską postać?

Don Anselmo, który ze względu na wiek raczej stronił od myśli tego rodzaju, nie dał się powstrzymać i kontynuował, aby dokończyć dzieło:

- Zaklinam cię, starożytny wężu, na Sędziego żywych i umarłych, wynijdź natychmiast z tej dziewicy, która znajduje ucieczkę na łonie Kościoła. Tak rozkazuje ci Bóg Ojciec. Tak rozkazuje ci Syn Boży. Tak rozkazuje ci Duch Święty. Tak rozkazuje ci wiara świętego Pawła Apostoła. Tak rozkazuje ci krew męczenników. Tak rozkazuje ci wstawiennictwo Wszystkich Świętych. Tak rozkazuje ci moc wiary chrześcijańskiej. Wyjdź zatem, kusicielu, wrogu cnoty.

- Don Anselmo, Don Anselmo! - zawołał studiosus. — Proszę tylko spojrzeć! — drżał na całym ciele.

-
ROZDZIAŁ 1

A
lberto, kierowca kardynała, tak mocno dodał gazu w niewielkim fiacie, że silnik zawył jak ranione zwierzę.

Kardynał Gonzaga siedział na tylnym siedzeniu prosto i sztywno jak egipski posąg. Ochryplym głosem zaskrzeczał: - O świcie musimy być na miejscu!

-
Wiem, ekscelencjo! - Alberto spojrział na zegar świecący zielenią na desce rozdzielczej: dwudziesta druga dziesiątka.

Wreszcie z milczenia obudził się drugi pasażer, siedzący obok Alberta. Od czasu, kiedy zaraz za Florencją skręcili na autostradę A1 w kierunku Bolonii, Monsignore nie wyrzekł ani słowa. Monsignore Soffici, prywatny sekretarz kardynała, z pewnością nie był szczególnym milczkiem. Jednakże w obecnej sytuacji zdenerwowanie ścisnęło mu gardło.

Soffici sztucznie odchrząknął. Potem, nie spuszczając wzroku z tylnych świateł przejeżdżającego samochodu, powiedział: - Nikt nie będzie miał z tego pożytku, jeśli

wylądujemy w rowie, najmniejszego pożytku, ani pan, ekscelencjo, ani święty

Kościół, o ile wolno mi zabrać głos.

-

E tam! - prychnął Gonzaga niechętnie i przetarł spoconą łysinę rękawem czarnej marynarki. Upał parnej sierpniowej nocy dawał mu się we znaki.

Alberto obserwował go we wstecznym lusterku.

- To był pański pomysł, ekscelencjo, żeby rzecz całą przeprowadzić z użyciem prywatnego samochodu. W pańskim wozie służbowym mielibyśmy klimatyzację, co w pana sytuacji z pewnością byłoby zaletą.

- Nie musi mi pan tego mówić - ofuknął Gonzaga kierowcę.

-

Teraz wtrącił się także Monsignore: - Tak, czarna limuzyna z insygniami watykańskimi! A najlepiej jeszcze eskorta policyjna z włączonymi kogutami i wiadomość w dzienniku: Dzisiejszej nocy autostradą z Florencji do Bolonii przemieszcza się Jego Ekscelencja kardynał Kurii Phi-lippo Gonzaga...

-

Proszę zamilknąć! - przerwał kardynał słowotok swojego sekretarza. - Ani słowa więcej. Nie skarżyłem się. Postanowiliśmy, że najmniej rzucać się będzie w oczy, gdy nocą trzech mężczyzn w niepozornym fiacie będzie zmierzać z Rzymu w kierunku przełęczy Brenner. Basta.

-

Miałem dobre intencje, ekscelencjo - usprawiedliwiał się Alberto.

Potem trzech mężczyzn na powrót zapadli w pełne napięcia milczenie.

Alberto utrzymywał stałą prędkość samochodu w okolicach stu sześćdziesięciu

kilometrów na godzinę. Kardynał z tylnego siedzenia przez przednią szybę intensywnie wpatrywał się przed siebie, gdzie niezbyt jasne reflektory z trudem wynajdywały drogę.

Soffici, żylasty czterdziestolatek o przylizanych włosach, w złotych okularach, co chwila poruszał wargami, jakby się modlił. Wydawał przy tym dźwięk podobny do kapiącego kranu.

-

Nie może pan tych swoich modlitw odmawiać cicho? - zapytał zirytowany kardynał. Z pokorą skarconego dziecka Monsignore przestał ruszać wargami.

Za Modeną, gdzie A1 prowadzi dalej na zachód w kierunku Mediolanu, zaś A22 odgałęzia się na północ, do pomruku silnika dołączyła nagle Alleluja Handla.

Melodia dochodziła z wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki Sofficiego.

Sekretarz nerwowo wydobyl komórkę i spojrzal na wyświetlacz. O mało nie zwichnąwszy ręki, podał telefon do tyłu: - Do pana, ekscelencjo!

Gonzaga, który myślami był zupełnie gdzie indziej, wyciągnął lewą rękę, nawet na sekretarza nie spojrzawszy: - Dawaj pan! — W końcu przycisnął telefon do ucha.

-

Pronto!

Przez chwilę kardynał nasłuchiwał bez słowa, po czym rzucił krótko: - Hasło zrozumiałem. Mam nadzieję, że zmieścimy się w czasie. Poza tym czuję się jak jakaś egipska mumia, choćby tego... — tu się zaciął.

-

Tutanchamona! - pomógł Soffici z przedniego siedzenia. - Właśnie. Jak tego Tutanchamona. Z Panem Bogiem.

Kardynał Gonzaga podał komórkę z powrotem. - Jeśli się nie uda, będzie pan mógł

niebawem ściągnąć sobie na komórkę nową melodyjkę

-

zasugerował z nutą sarkazmu.

Sekretarz odwrócił się do niego: - A cóż miałoby się jeszcze nie udać, ekscelencjo?

Gonzaga teatralnie rozłożył ręce, jakby chciał zaintonować TeDeum, ale jego słowa zabrzmiały raczej bluźnierczo: - Trochę sporo tego, czego nasz Pan Jezus od nas oczekuje. Nie zdziwi mnie, jeśli nasz plan spali na panewce jeszcze w ostatniej chwili.

Przez chwilę panowało milczenie pełne zadumy. Wreszcie Gonzaga odezwał się szeptem, jak gdyby ktokolwiek mógł ich rozmowę podsłuchać:

-

Hasło brzmi .Apokalipsa 20,7". Alberto, zrozumiałeś?

-

Apokalipsa 20,7 - powtórzył kierowca i z zaangażowaniem pokiwał głową. - O której będą się nas spodziewać?

- O trzeciej trzydzieści. W każdym razie jeszcze przed świtem.

- Madonna mia, jakże mam tego dokonać?

- Z pomocą Bożą i na pełnym gazie!

Autostrada prowadziła bez końca i prosto jak po sznurku przez Nizinę Padańską.

Ta droga nocą przy tej prędkości skłaniała do zasypiania. Również Alberto musiał walczyć z sennością.

Potem jednak przypomniał sobie o celu podróży. Absurdalne przedsięwzięcie, w które wtajemniczeni byli jedynie sekretarz kardynała, mon-signore Soffici i on sam.

Po kolejnej długiej chwili milczenia, kardynał, zwracając się do Sofficiego, znów zaczął: - Doprawdy tajemnicze to hasło. Czy zna pan tekst Objawienia?

- Naturalnie, ekscelencjo.

- Również rozdział dwudziesty, wers siódmy?

Soffici zająknął się: - Ten akurat wers właśnie mi wypadł z głowy, ale wszystkie inne mogę w całości zacytować z pamięci.

-Już dobrze, Soffici, teraz pan wie, dlaczego dotychczas doszedł pan jedynie do tytułu monsignore, a nie wyżej.

-

Jeśli wolno mi zauważyć, ekscelencjo, z pokorą zadowolam się takim tytułem, jaki przyznały mi władze.

Gonzaga umiał znakomicie wciąż na nowe perfidne sposoby obrażać swojego młodego sekretarza. Sofficiemu pozostała jedynie swoboda myśli.

Powietrze w aucie było przesycone zapachem Pour Monsie szanym z Coco Chanel, wymagających przyzwyczajenia męskich pen. które kardynał okazyjnie nabył w eleganckim butik na dworcu kolejowym w Watykanie. W ramach pielęgnacji kardynał wcierał tę wodę toaletową w swoją łysinę o barwie marcepana, od czasu, kiedy zakrystian z Santa Maria Maggiore po święcie eucharystycznym zdradził mu w największej tajemnicy, że wspomniana procedura wspomaga porost włosów.

Również z tyłu i w ciemności nie uszły uwagi kardynała gwałtowne, niechętnie ruchy głowy, towarzyszące myślom sekretarza. - Chciałem panu powiedzieć, jak

brzmi wers 20,7!

-

Nie trzeba - przerwał Soffici kardynałowi. - Miałem tylko krótkie zaćmienie.

Rzeczony zdanie brzmi: „A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony”.

— Zwracam honor, monsignore - odparł Gonzaga. - Tak czy inaczej nie widzę związku z naszą misją.

Alberto, który od samego początku był wprowadzony w tajne przedsięwzięcie, stłumił nieśmiały chichot i skierował swoją uwagę na samochód, który od niemal trzydziestu kilometrów jechał przyklejony do ich tylnego zderzaka. Za każdym razem, gdy fiat przyśpieszał, tamten samochód wciąż siedział im na ogonie. Kiedy zwalniał jazdę, również auto z tyłu jechało wolniej.

Aby pozbyć się irytującego towarzystwa, Alberto wdepnął pedał gazu.

Gdzieś pomiędzy zjazdem na Mantuę i Weronę nastąpiło takie oto zdarzenie: z rykiem silnika wóz jadący za nimi wyskoczył do przodu, wyprzedził ich i znalazł się tak blisko przed maską fiata, że trzeba było gwałtownie zahamować. Alberto skomentował ryzykowny manewr przekleństwami najgorszego gatunku, co spotkało się z karcącymi chrząknięciami sekretarza. Nagle po prawej stronie samochodu pojawiło się czyjeś ramię oraz błyskający czerwienią lizak: policja.

-1 jeszcze to - stęknął Alberto. Rad nierad podporządkował się stanowczym ruchom ręki policjanta i wykonał jego polecenia.

Działania policji były starannie zaplanowane. Niecałe trzysta metrów dalej był nieoświetlony parking. Tam właśnie miał kierowca wjechać za autem policyjnym. Ledwie Alberto zatrzymał samochód, z tamtego auta wyskoczyło trzech mężczyzn z karabinami maszynowymi i z pistoletami gotowymi do strzału, po czym otoczyli fiata.

Soffici z założonymi rękami zaczął w sposób wyraźnie słyszalny poruszać ustami.

Kardynał na tylnym siedzeniu siedział sztywny i nieruchomy, jakby nie żył. Dość swobodnie do tej niejasnej sytuacji podszedł kierowca kardynała. Bez słowa otworzył korbką boczną szybę i spojrział w oślepiające światło latarki.

-

Wysiadać!

Prowokacyjnie powoli i z oporami Alberto poddał się nieuprzejmemu wezwaniu.

Gdy tylko kierowca wysiadł, karabinierzy chwycili go za prawe i lewe ramię, po czym przycisnęli jego ręce do dachu auta.

Alberto, człowiek nieustraszony w każdej sytuacji i pod tym względem nietypowy jak na Włocha, wydał z siebie okrzyk bólu, który w tej chwili nie był w żaden sposób uzasadniony. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy na plecach poczuł lufę karabinu trzeciego karabiniera.

- Niech pan posłucha - zawołał, kiedy jeden z policjantów obszukiwał go od stóp do głów w poszukiwaniu broni — jestem kierowcą Jego Ekscelencji kardynała Gonzagi.

- Dobra, dobra - brzmiała odpowiedź dowódcy trójki policjantów - a ja jestem cesarzem Chin. Dokumenty!

Alberto wskazał na bagażnik. Dowódca opuścił ofiarę i poszedł do bagażnika. Po drodze zajrzał krótko do wnętrza auta. Przeraził się.

- Czy on nie żyje? - odwrócił się do Alberta. - Ten tam!

- To jest kardynał Gonzaga!

-

To już pan mówił. Do tego dojdziemy później. Chodzi mi o to, że ten człowiek nie daje znaków życia.

- Istnieje ku temu określona przyczyna.

- Bardzo chciałbym ją poznać.

Kardynał przez otwarte drzwi słyszał rozmowę policjanta ze swoim kierowcą.

Dlatego z godnością uniósł prawą rękę. Policjant odskoczył krok w tył.

-

Naprawdę sądziłem, że facet jest martwy - mruknął do kolegów. Obaj

pilnowali Alberta z obu stron, gdy ten otwierał bagażnik.

-

Madonna - zakrzyknął jeden z policjantów, chłop niezdarny i o głowę wyższy

od pozostałych dwóch, z pewnością dowódca tej jednostki. Bóg wie, czego się

spodziewał w bagażniku fiata, ale na pewno nie purpurowego pasa kardynalskiego,

starannie złożonego na czarnej, równie starannie złożonej sutannie z purpurowymi aplikacjami oraz
piuski o barwie purpury.

Ze skórzanej teczki Alberto wyjął paszport ze złotym wytłoczeniem „Citta del

Vaticano". Następnie wręczył go karabinierowi.

Policjant bezradnie spojrział na kolegów, a kiedy ci nadal trzymali karabiny gotowe

do strzału, syknął przez zęby, żeby opuścili broń.

Zdjęcie w paszporcie kardynała z pewnością nie odpowiadało aktualnemu stanowi

- również w kardynałach czas żłobi zmiany - jednak co do autentyczności dokumentu

nie mogło być wątpliwości. Imię i nazwisko: S. E. Philippo Gonzaga, kardynał Kurii,

zamieszkały: Citta del Vaticano.

Policjant odepchnął kolegów na bok i salutując, podszedł do bocznej szyby, za

którą Gonzaga wciąż siedział jak skamieniały.

-

Proszę o wybaczenie, ekscelencjo - zawołał karabinier przez zamknięte okno

— nie mogłem wiedzieć, że ekscelencja udaje się w podróż starym fiatem. Ale wykonywałem jedynie swoje obowiązki...

Gonzaga rzucił skruszonemu policjantowi karcące spojrzenie, po czym otworzył w oknie małą szparkę i dopominającym się ruchem wyciągnął przez nią lewą rękę.

Ostrożnie, opuszkami palców karabinier oddał paszport. Zasalutował i stanowczym ruchem głowy dał obu kolegom znak, żeby zniknęli.

-

Raz jeszcze się udało - odsapnął Alberto i opadł na miejsce za kierownicą.

ROZDZIAŁ 2

W

poniedziałek rano na dworzec Termini przybył spóźniony nocny pociąg relacji Monachium-Rzym. Malberg źle spał, zaś śniadanie, które mu podała obsługa sleepingu, było raczej tragiczne.

Na peronie Malberg z niezadowoleniem ciągnął za sobą walizkę. Nieskazitelną włoszczyzną podał taksówkarzowi adres docelowy:

-

Via Giulio 62. Hotel Cardinal, per favore.

Okazało się to błędem, bo taksówkarz z niejasnych przyczyn zaczął opowiadać wymownemu przybyszowi swoje życie, które Malberga absolutnie nie zajmowało i z

którego w pamięci zostało mu jedynie pięć córek.

Hotel położony był nieopodal Piazza Navona w dzielnicy licznych antykwariatów i antyków. Malberg zatrzymywał się już tutaj niejednokrotnie, więc w recepcji utrzymanej w czerwonych barwach portier przywitał go wylewnie.

W pokoju na pierwszym piętrze bez entuzjazmu wypakował walizkę -jak zarazy nienawidził tego pakowania i wypakowywania - potem chwycił za telefon i wybrał

jedenastocyfrowy numer telefonu komórkowego.

Trwało całą wieczność zanim na drugim końcu odebrano rozmowę. Odezwał się zaspany kobiecy głos: - Halo??

- Marlina? — spytał niepewnie Malberg.

- Lukas, to ty? Gdzie się podziewasz? Która godzina?

- Może po kolei - zaczął rozbawiony Malberg. - Tak, to ja. Właśnie zameldowałem się w hotelu Cardinal. A godzina jest dziesiąta czterdzieści pięć. Jeszcze jakieś pytania?

-

Kobieta na drugim końcu zaśmiała się: - Lukas, a z ciebie wciąż ten sam żartowniś co dawniej!

-

Byliśmy umówieni, pamiętasz?

-

Wiem. Ale przedpołudnie jakoś nie jest moją porą. Zatem: za godzinę odbiorę cię z hotelu. Potem razem pojedziemy do tamtej markizy. To na razie.

Malberg ze zdziwieniem popatrzył na słuchawkę, jakby spodziewał się jeszcze jednego pożegnania, ale Marlina już dawno się rozłączyła.

Właściwie znał ruchliwość Marliny, jej zwyczaj podejmowania decyzji z chwili na chwilę i wpadania w oszołomienie i zachwyty. W końcu przez całe dwa lata siedzieli

w jednej szkolnej ławie. Ale jak to bywa, po zakończeniu szkoły stracili się z oczu. A kiedy ponownie spotkali się na dwudziestoleciu matury, Lenka - jak nazywał dawniej

Marlinę z pewnym pobłażaniem - zadziwiła go, a wręcz oczarowała. Szanowna

Lenka wyrosła bowiem na piękną, a nawet ekscytującą damę.

Studia biologiczne w szkole pedagogicznej Lenka porzuciła zaraz po maturze.

Dlaczego przyjechała do Rzymu, tego Marlena nie mogła lub nie chciała powiedzieć.

A także tego, z czego właściwie się utrzymuje. W każdym razie w odróżnieniu od reszty klasy była niezamężna. Zadziwiające.

Tak czy inaczej, na Lukasiu Malbergu, który mieszkał w Monachium jako dobrze prosperujący antykwariusz, Marlena zrobiła ogromne wrażenie. Kiedy w zeszłym tygodniu do niej zadzwonił, wspomniała w rozmowie, że zna pewną zubożałą markizę, która pragnie się rozstać ze zbiorem książek zmarłego męża, a były tam między innymi cenne księgi z piętnastego wieku. Malberg od razu wykazał zainteresowanie. Trzeba jednak przyznać, że do przyjazdu do Rzymu sprowokowały go nie tylko księgi.

Był przystojnym młodym człowiekiem, zaś Marlena atrakcyjną kobietą. Rzym natomiast oferował doskonałe tło dla płomiennego romansu.

Oczywiście Marlena się spóźniała. Lukas nie spodziewał się niczego innego. Ruch uliczny w Rzymie i tak sprowadza każdą umówioną godzinę do absurdu. Kiedy jednak około wpół do pierwszej Marleny wciąż nie było, Malberg chwycił za telefon i wybrał numer jej komórki. Ale zgłosił się tylko automat. Kiedy wykręcił jej numer stacjonarny, także odezwał się automat: - Połączenie chwilowo nie może być zrealizowane.

Przypuszczając, że źle wybrał numer, Lukas spróbował ponownie.

Po trzeciej próbie poddał się. Bezradnie spoglądał przez okno na ulicę. Po kolejnej półgodzinie znów podjął próbę.

-

Połączenie chwilowo nie może być zrealizowane.

Malberg zaniepokoił się. Jeżeli coś się stało, to dlaczego Marlena nie dała znać?

Na karteczce z jej numerem miał też zanotowany jej adres: Via Gora 23. Malberg

złapał taksówkę przed hotelem.

Dom na Zatybrzu, pięciopiętrowa kamienica, jak większość domów przy tej ulicy, robiła nieco przygnębiające wrażenie. Z pewnością miała ze sto lat, a pompatyczne wejście z wysokimi kolumnami po obu stronach nie mogło zamaskować faktu, że potrzebny był tu pilny remont.

Malberg wiedział z opowiadań, że Marlena zamieszkiwała przestronne poddasze z tarasem i widokiem na Tybr i Palatyn.

Minąwszy na parterze jaskrawo ubraną dozorczynię, która obojętnie spozierała przez na wpół otwarte drzwi, Malberg poszedł w kierunku windy. Uśmiechając się pod nosem, zauważył na tabliczce na drzwiach nazwisko dozorczyńi domu: Fellini.

Monstrum wykonane z ciemnego mahoniu i szlifowanego szkła wydało z siebie jęczące i miauczące dźwięki, zanim jeszcze przybysz postawił nogę w windzie.

Kiedy winda zjeżdżała, dźwięki niosły się po całej klatce schodowej. Malberg, który traktował podejrzliwie każdy ruch oddalający się od ziemi, zdecydował się na użycie schodów.

Powietrze na klatce schodowej było lepkie. Pachniało pastą do podłogi i płynem do mycia. W drodze na górę niemal go stratowało dwóch mężczyzn, którzy w wielkim pośpiechu zbiegali po schodach.

-

Moglibyście uważać! - zawołał za nimi.

Dotarłszy na najwyższe piętro, Malberg otarł pot z czoła.

Na dwuskrzydłowych białych drzwiach nie było tabliczki. Na ścianie był zamontowany mosiężny dzwonek. Malberg zadzwonił.

Z wnętrza mieszkania nie dobiegł żaden dźwięk.

Po chwili spróbował jeszcze raz> a kiedy Marlena nie odpowiedziała, po raz trzeci i czwarty. W końcu uderzył w drzwi otwartą dłonią i zawołał: -To ja, Lukas! Czemu nie otwierasz?

W tym momencie drzwi się poddały - były jedynie przymknięte. Malberg zawahał się. Ostrożnie wszedł do środka.

-

Marlena? Czy wszystko w porządku? Marlena?

Malberg nasłuchiwał z otwartymi ustami.

-

Marlena? Żadnej odpowiedzi.

Malberga nagle ogarnęło uczucie jak ze złego snu. Niespodziewanie odczuł strach, obawę przed nieznanym.

-

Marlena?

Zwracając szczególną uwagę, żeby nie robić hałasu, Malberg powoli szedł. W powietrzu unosił się przyjemny, ziołowy zapach, być może lilii. Niemal podświadomie dostrzegł w przedpokoju złożone brokatem tapety, kosztowne ozdoby i antyczne meble.

Salon, gustownie umeblowany wyściełanymi meblami i rozległymi amerykańskimi dywanami, był w nieładzie. Marlena nie przesadzała, jeśli idzie o mieszkanie, ale widok na Rzym doprawdy zapierał dech w piersiach. Tak to można mieszkać.

Zanim jeszcze Malberg pogрузzył się w marzeniach, rzeczywistość sprowadziła go na ziemię: telefon leżał na podłodze, a wtyczka była wyjęta ze ściany. Coś tu się nie zgadzało.

Malberg już chciał podnieść telefon z podłogi, gdy jego wzrok padł na otwarte drzwi do łazienki.

Na czarnej, wykafelkowanej podłodze błyszczała wielka kałuża. Malberg podszedł bliżej. Teraz wiedział już, skąd dochodził zapach lilii. Kosztowny płyn do kąpieli. Kiedy stanął w drzwiach, serce skoczyło mu do gardła.

Jak zaczarowany gapił się na luksusową białą narożną wannę: w przelewającej się wodzie leżała Marlena z głową pod wodą, wywróconymi oczami, ustami wykrzywionymi grymasem, jakby w śmiertelnej walce wydała jeszcze okrzyk bólu. Jej długie, ciemne włosy unosiły się na wodzie jak wodorosty. Chociaż opalone ciało było piękne i nagie, emanowało z niego coś przerażającego. Jej przykurczone członki przypominały ptaka wyrzuconego na brzeg przez fale przyływu.

-

Marlena - wybełkotał Malberg płacząco. Wiedział, że jest już za późno na jakąkolwiek pomoc. - Marlena...

Nie wiedział, jak długo tak stał w drzwiach beczynnym jak sparaliżowany. Nagle usłyszał głosy na schodach. Musiał jak najszybciej zniknąć z mieszkania. Gdyby go tu znaleźli, zaraz byłby podejrzany. Wydawało mu się bowiem niedorzeczne, że Marlena odebrała sobie życie.

Malberg odwrócił się i rzucił jeszcze jedno krótkie spojrzenie na luksusowy salon, odkrywając na jednym ze stolików otwarty notatnik. Myśl, że Marlena mogła w nim zanotować jego nazwisko, adres i numer telefonu, skłoniła go do zabrania notatnika i schowania do kieszeni marynarki. Następnie opuścił mieszkanie Marleny i cicho zamknął za sobą drzwi.

Jak się miał teraz wydostać z kamienicy niezauważony? Dom nie był na tyle duży, żeby obcy przybysz umknął uwadze mieszkańców.

Skradając się na palcach, zszedł dwa piętra w dół, gdy staromodna winda w środku klatki schodowej ruszyła w górę. Przez siatkę, otaczającą kabinę jak klatkę, widział Malberg jakąś kobietę w średnim wieku. Zdawała się go nie zauważać.

Malberg zszedł na parter i tu się zatrzymał.

Jak wcześniej, drzwi mieszkania dozorczyńni były częściowo otwarte. Z wnętrza słyhać było muzykę z radia. Malberg zawahał się. Gdyby przeszedł, dozorczyńni kamienicy z pewnością by go zauważyła. I tu z pomocą przyszedł mu przypadek.

Tłusty, kudłaty kot z czymś w pysku wyskoczył nagle z drzwi. Dozorczyńni, imponująca kobieta o modnej fryzurze i z błyszczącymi kolczykami w uszach, z wrzaskiem pobiegła za kotem aż na ulicę. Korzystając z okazji, Malberg opuścił kamienicę niezauważony.

Z wyraźną nonszalancją szedł wzdłuż Via Gora w kierunku Tybru. W głębi duszy Malberg był bardzo poruszony. Na karku czuł zimny pot i kusiło go, żeby uciekać co sił w nogach; jednak jakiś głos wewnętrzny napominał go, że w ten sposób tylko wzbudziłby podejrzenia.

Znamienne, że w swoim zmieszaniu Malberg czuł się niejako prawie winny śmierci Marleny. Przez telefon brzmiała tak beztrosko. Dlaczego tak długo zwlekał? Przybył za późno. Potem zaczął wyc. Malberg płakał w sposób tak nieopanowany, że słone łzy spływały mu po twarzy.

Cóż, do licha, rozegrało się na piątym piętrze przy Via Gora 23? Jeszcze trzy godziny wcześniej Malberg rozmawiał z nią przez telefon. Teraz nie żyła.

Zamordowana. Marlena!

Kiedy skręcił w ruchliwą Viale di Trastevere, prowadzącą prosto ku brzegom

Tybru, przed oczami pojawił mu się obraz ciała Marleny pod wodą. Z bólem spojrzał

na słońce, żeby uwolnić się od tego koszmaru. Niemal oślepiiony niepewnie ruszył przed siebie. Byle jak najdalej od tego okropnego miejsca! Wyciągniętą ręką próbował zatrzymać taksówkę, ale wszystkie taksówki tylko go mijały z warkotem. W końcu Malberg wszedł na ulicę, aby jakoś się wyróżnić. Wtedy poczuł straszne uderzenie, które odebrało mu dech. Przez chwilę wydawało mu się, że fruwa. Drugi cios trafił go w głowę, po czym zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 3

K

iedy Lukas Malberg odzyskał przytomność, zobaczył surowe oblicze pielęgniarki. W pobliżu usłyszał regularne, irytujące pikanie.

— Gdzie jestem? - zasięgnął informacji u pielęgniarki.

— W klinice Santa Cecilia. Miał pan wypadek.

Dopiero teraz dotarło do Malberga, że głowa mu pęka. Było mu niedobrze i miał trudności z oddychaniem.

— Wypadek? Nie pamiętam - Malberg próbował się skupić, ale bezskutecznie.

— Nic dziwnego, ma pan wstrząśnienie mózgu. Mimo to może pan mówić o szczęściu. Poza miejscowym urazem głowy wyszedł pan z tego cało.

Malberg pomacał czoło i poczuł cienki bandaż. - Wypadek, powiada pani?

—

Na Via Trastevere. Kierowca zbiegł.

Choć Malberg wysilał umysł, z zakamarków pamięci nie wyłaniał się żaden wypadek. Lecz oto nagle, jakby jakaś iskra zapaliła pamięć, w głowie rozjarzył mu się obraz: ciało Marleny zanurzone w wannie. Malberg stęknął.

— Niech pan się nie przejmuje - powiedziała pielęgniarka - w ciągu tygodnia

wyjdzie pan stąd. Ale teraz potrzeba panu przede wszystkim spokoju.

Malberg przymrużył oczy i spojrzał pytająco na pielęgniarkę. — A poza tym?

—

O co panu chodzi?

-

Chodzi o to, czy poza tym nic się nie wydarzyło?

Siostra pokręciła głową. Potem spytała: - Czy mogę pana na chwilę zostawić samego?

-

Oczywiście - odparł Malberg.

Sam w surowej, białej sali, zaczął się bać. Elektrokardiograf, do którego był podłączony, pikał strasznie denerwująco. W najwyższym skupieniu Malberg starał się uporządkować wspomnienia: podróż nocnym pociągiem do Rzymu, przybycie do hotelu Cardinal, skąd dzwonił do Marleny, a na koniec tamten koszmar - martwa Marlena w wannie.

Przy tej ostatniej myśli urządzenie monitorujące przyśpieszyło pikanie. W tej samej chwili weszła pielęgniarka w towarzystwie lekarza.

-

Dottore Lizzani - doktor wyciągnął rękę do Malberga — a pan jak się nazywa?

— spytał Lizzani oficjalnym tonem.

- Lukas Malberg.

- Pan jest Niemcem?

-

Tak. Doktorze, ale ja nie mogę sobie przypomnieć żadnego wypadku.

Lizzani rzucił w kierunku pielęgniarki znaczące spojrzenie. Potem zapytał

znieczeka: — Ile jest trzy razy dziewięć?

-

Dottore - zbuntował się Malberg - ze mną wszystko w całkowitym porządku.

Chodzi tylko o to, że nie mogę sobie przypomnieć żadnego wypadku!

-

Trzy razy dziewięć? - powtórzył lekarz niewzruszenie.

-

Dwadzieścia siedem - burknął niechętnie pacjent. I ze złością dodał: - O ile się nie pomyliłem.

Doktor Lizzani nie dał się zmylić: - Czy ma pan w Rzymie jakichś krewnych, których moglibyśmy zawiadomić? -Nie.

- Czy pan jest tu na urlopie?

- Nie, raczej służbowo.

Raczej służbowo przebiegła też dalsza rozmowa pomiędzy lekarzem i pacjentem.

Zakończyła się oświadczeniem doktora: - Zatrzymamy tu pana przez parę dni na obserwacji, signore Malberg. Co się zaś tyczy pana białej plamy w związku z wypadkiem, to nie ma potrzeby się tym przejmować. To całkowicie normalne.

Prędzej czy później wszystkie wspomnienia wrócą.

-

A te druty? - zagadnął Malberg, patrząc z wyrzutem na kable prowadzące do urządzenia monitorującego.

—

Pielęgniarka może je odłączyć. Do widzenia, signore.

Kiedy siostra uwolniła go od płataniny przewodów i opuściła salę, Malberg rozejrzał się dokoła. Jednak poza elektrokardiografem, z którego okablowanie zwisało jak macki ośmiornicy, nie było nic do oglądania. Tylko białe, gołe ściany i biała szafka na ścianie. Białe krzesło z jego ubraniem.

Na nocnym stoliku z biało pomalowanych rurek leżała jego teczka oraz notatnik, który Malberg zabrał z mieszkania Marleny. Niewprawne dziewczęce pismo jakoś wcale nie pasowało do pewnego siebie wizerunku Marleny. Jeszcze większe zdumienie spowodowały wpisy: żadnych nazwisk, żadnych adresów, a tylko osobliwie zakodowane słowa. Co miały znaczyć te wpisy?

Laetare: Meleachi Sexagesima: Jona Reminiscere: Sacharja Oculi: Nachum

W każdym razie obawy Malberga, że jego nazwisko mogło być zapisane w tym notatniku, okazały się fałszywe. Tu w ogóle nie było normalnych określeń. Bezradnie odłożył notatki na bok.

Marlena! Malberg nagle znów zobaczył jej głowę pod wodą i długie włosy pływające jak wodorosty. Wiedział, że tego widoku nigdy nie zapomni. Jego pierwsze przemyślenia dotyczyły tego, czy w panice zachował się właściwie, czy nie było lepiej zawiadomić policję.

Jakiż właściwie miał powód, żeby stamtąd uciekać? Czy to właśnie tym sposobem nie ściągnął na siebie podejrzeń? A tamta dozorczyńni kamienicy? Czy rzeczywiście go nie widziała? Czy poznałaby go przy konfrontacji?

Cały kalejdoskop myśli i możliwości wirował mu w głowie, i tak już

nadwerężonej, obrazy mnożyły się i tylko wzmagały bezradność. A do tego co chwila

pojawiła mu się wizja wywróconych oczu Marleny pod wodą. Jakże musiała cierpieć, zanim śmierć ją uwolniła.

Nigdy wcześniej w życiu śmierć nie była tak blisko. Śmierć znał Malberg tylko z

oddali. Kiedy dowiadywał się z gazety lub wiadomości, że ktoś zmarł- Wtedy wprawdzie rejestrował fakt śmierci, lecz nigdy go ona tak naprawdę nie poruszyła. Natomiast śmierć Marleny dotyczyła go bezpośrednio. Dopiero teraz dotarło do niego, z jak ogromnymi oczekiwaniami jechał na spotkanie z piękną szkolną koleżanką.

Niespokojnie kręcił się na szpitalnym łóżku. Musiał się dowiedzieć, co się stało z Marleną. Tutaj nie chciał, nie mógł dłużej zostawać. Jednak teraz Malberg czuł się jeszcze zbyt słaby. Ale jutro - zdecydował twardo -jutro opuści Ildinikę.

ROZDZIAŁ 4

W

aska szosa pięła się stromo pod górę. SofEci, sekretarz kardynała, po długiej nocnej jeździe, przejął prowadzenie auta. Teraz Alberto spał na przednim siedzeniu obok kierowcy, choć nieraz budziły go dziury w zaniedbanej drodze.

SofEci na pierwszym biegu prowadził fiata przez ciasne zakręty. Nisko zwisające gałęzie krzaków uderzały w szyby z obu stron.

-

Należy jedynie mieć nadzieję, że nic nie pojedzie z przeciwka - zauważył kardynał Gonzaga po długim milczeniu. Nadal siedział na tylnym siedzeniu nieruchomo jak kamień. Przez całą drogę nie zmrużył oka.

Po zjeździe z autostrady za Wiesbaden, Gonzaga przejął zadanie pilota. Drogę, która prawym brzegiem Renu prowadziła do Burg Layenfels, miał zanotowaną na kartce. W tysiącletnim miasteczku Lorch odgałęziała się polna droga na Wispertal, otoczona bujnymi winnicami, prowadząca do kolejnego rozgałęzienia.

Gonzaga, zbyt dumny, żeby nosić okulary do czytania, trzymał opis drogi w

wyciągniętej ręce.

-

Teraz trzeba się cały czas trzymać lewej strony - zakrakał ochrypłym głosem.

W międzyczasie zaczęło padać.

-

A jest pan pewien, ekscelencjo, że to jest właściwa droga? - niepewnie

zasięgnął informacji SofEci.

Gonzaga nie odpowiedział. Kilkakrotnie przestudiował kartkę, która opisywała

drogę. Na koniec syknął: - Co znaczy pewien, pierwszy raz jadę tą drogą. Ale dokądś

ta przekłeta droga przecież musi prowadzić!

Sekretarz wzdrygnął się, a Alberto obudził się ze snu. Zobaczywszy niepewność, z

jaką Soffici prowadził samochód, zaofiarował się, że znów przejmie kierownicę.

Soffici zatrzymał się i wyłączył silnik.

Stroma droga była tak wąska i tak zarośnięta, że Soffici i Alberto z trudem

wysiadali, żeby zamienić się miejscami.

Była grobowa cisza. Słyszeć było tylko deszcz smagający krzaki. Podczas gdy

Alberto sadowił się za kierownicą, kardynał odkręcił boczną szybę. Do środka wdarł

się świeży aromat mchu. Gonzaga wciągnął go chciwie. Z oddali dochodziło

szczekanie psów.

-Jazda! - polecił kardynał.

Alberto przekręcił stacyjkę, ale silnik nie chciał zapalić.

-

I jeszcze to! - Gonzaga ze złością wciągnął powietrze przez nos.

-

Na Przenajświętszą Panią - zapewniał Alberto, który czuł się winny nieszczęścia - mój wóz nigdy jeszcze mnie nie zawiódł. To pierwszy raz, ekscelencjo.

Tamten tylko machnął ręką. Potem klepnął Sofficiego w ramię.

Monsignore Soffici zrozumiał, co kardynał chciał przez to powiedzieć. Ze schowka Alberto wyjął czapkę i wręczył Sofficiemu.

-To nie może być już daleko stąd - zawołał Gonzaga za siebie przez otwarte okno do sekretarza. Po kilku metrach Soffici zniknął w górze za kolejnym zakrętem.

W takich chwilach monsignore, choć był bardzo religijny, przeklinał swojego

pracodawcę. Nie bez kozery nazywano go w Kurii za plecami: Gonzaga la iena -

Gonzaga hiena. Przy nim nigdy nie było wiadomo, jak się sprawy potoczą. W

każdym razie drugi po papieżu człowiek w Watykanie miał więcej wrogów niż

przyjaciół. Ściśle rzecz biorąc, Soffici nie znał nikogo, kogo można by określić jako przyjaciela Gonzagi.

Mimo wszystko monsignore był swojemu panu na pozór szczerze oddany.

Człowiek taki jak on traktował swoje zadanie jako służbę Najwyższemu. Kiedy

Gonzaga w sekrecie wtajemniczył go w to przedsięwzięcie, monsignore bez namysłu złożył świętą przysięgę, że tajemnicę zabierze z sobą do grobu.

Droga pięła się w górę i była coraz bardziej męcząca. Sofficiemu brakowało

powietrza. Nie był typem sportowca. Mokre krzaki po obu stronach drogi cięły go po twarzy, co raczej nie przyczyniało się do poprawienia humoru.

I oto nagle, za ostrym zakrętem, przez gałęzie zamajaczyły jakieś zabudowania.

Soffici stanął. Ubranie miał już całkiem przemoczone, a kiedy spojrzał ku niebu,

rozpoznał wysoko nad drzewami mury i wieże potężnego zamku.

-

Jezus Maria - wyrwało mu się półgłosem. Widok budowli z jej pinaklami,

wieżami i przybudówkami napełnił go niepokojem. Wyobrażał sobie Burg Layenfels jako bardziej przyjazny.

SofEci niepewnie zapukał do bramy zamku. Teraz zauważył też wartownię obok zakratowanego wejścia. Za malutkim okienkiem wartowni paliło się światło, chociaż był już dzień. Wszystko robiło wrażenie groźne i tajemnicze, więc SofEci nie bardzo mógł sobie wyobrazić, że ów zamek wysoko nad Renem rzeczywiście służył temu celowi, który opisywał Gonzaga.

Z wnętrza zamku nie dochodził żaden dźwięk, żaden głos, żadne kroki, nic. Stając na palcach, SofEci starał się zajrzeć przez okienko: malutkie kwadratowe pomieszczenie przypominało celę klasztorną. Gołe ściany, toporny stół, przed nim krzesło, naprzeciw okna drewniane legowisko bez wyściełania, na ścianie starodawny telefon. Na niewygodnym legowisku drzemał wartownik z założonymi rękami. Jasna, goła żarówka na suficie nie pozwalała mu zasnąć. Idyllę zakłócał jednak pistolet maszynowy, który leżał na krześle gotowy do użycia.

Właśnie SofEci miał stukaniem zwrócić na siebie uwagę, gdy usłyszał hałas silnika. To Albertowi udało się jednak uruchomić fiata. W tempie piechura z trudem pisał się pod górę.

Strażnik w wartowni podskoczył, złapał za broń i podszedł do okna. SofEci spojrział w tę bladą, zabiedzoną twarz.

-

Hasło! - zażądał wartownik.

-

Hasło - wyjąkał Soffici, widząc skierowany w niego pistolet maszynowy -

Apokalipsa dwadzieścia, siedem.

Błady strażnik zamknął okno, zdjął słuchawkę z telefonu na ścianie i zameldował.

Ciężka żelazna krata uniosła się z jękiem, jakby podniesiona ręką ducha, i zniknęła w stropie wieży z bramą.

Alberto zahamował. Zaraz potem strażnik wyszedł przed bramę wjazdową i dał ręką znak do wjazdu na podwórze. Tutaj już ich oczekiwano. Z krużganków otaczających pięciokątne podwórze, napływały ze wszystkich stron czarno odziane postacie. Błyskawicznie stworzyli wokół samochodu nabożny krąg.

Soffici podszedł i pomógł kardynałowi wysiąść z auta. Ten, w obliczu tylu ludzi, robił wrażenie sztywnego, a wręcz zmieszanego.

Wysoki, wąski w ramionach mężczyzna w surducie, z długimi włosami zaczesanymi do tyłu, podszedł do Gonzagi i zapytał chłodno, właściwie oficjalnie: - Czy wszystko poszło gładko?

Człowiek ten nazywał się Anicet.

Jako sekretarz stanu kardynał Gonzaga był przyzwyczajony do tonu pokornego.

Jego urząd udzielał mu najwyższego szacunku, z którego również w takiej sytuacji nie należało rezygnować.

- Dzień dobry, kardynale - odparł Gonzaga, pomijając pytanie rozmówcy. - Cóż za okropna okolica. - Obaj doskonale znali się ze wspólnej przeszłości. W tej sytuacji była tylko jedna fatalna rzecz: Anicet miał kardynała w garści. I dlatego Gonzaga tego Aniceta, który sam siebie zarozumiale nazywał Wielkim Mistrzem, nienawidził bardziej niż to przystoi chrześcijaninowi, nie mówiąc już o kardynale. - Co się zaś tyczy pańskiego pytania - odpowiedział w końcu kardynał - to owszem, poszło dobrze.

Anicet oczywiście wyraźnie wychwytał cyniczny ton w odpowiedzi Gonzagi; zachowywał się jednak tak, jakby tej cichej drwiny nie zauważył. Na jego surową twarz zbłądził nawet uprzejmy uśmiech, kiedy gestem dłoni zapraszał kardynała, by za nim podążył.

Burg Layenfels został wzniesiony w połowie dziewiętnastego wieku przez pewnego zdziwaczałego Anglika, na wzór średniowiecznych twierdz obronnych.

Prace budowlane nigdy jednak się nie zakończyły, ponieważ James Thomas Bulwer - bo tak się ów Anglik nazywał - w pewien mroźny Wielki Piątek wychylił się z okna wieży i po trzydziestometrowym locie w dół wyzionął ducha.

Pewien pruski fabrykant guzików, który nabył niedokończoną budowlę, także się nią wiele nie nacieszył, gdyż jeszcze przed ostatecznym zakończeniem budowy został zastrzelony z zazdrości przez swoją kochankę, ostro pijącą berlińską nocną tancerkę.

Od tamtej pory chodziła pogłoska, że na Burg Layenfels ciąży klątwa. W ciągu kolejnych dekad budowla popadła w ruinę, ponieważ nie chciał się znaleźć kupiec, który byłby gotowy poza samą ceną zainwestować jeszcze milionową sumę na renowację i dokończenie budowy zamku.

Dlatego ogromne było zdumienie władz miasta Lorch, które w międzyczasie stało się właścicielem nieruchomości, kiedy to pewnego dnia pojawił się Włoch nazwiskiem Tecina. Człowiek wyglądał na bardzo zadbanego, miał na sobie kosztowne ubranie i jeździł granatowym mercedesem 500. Jednak to było wszystko, co dało się o nim powiedzieć z całą pewnością.

Niektórzy utrzymywali, że jest to prawnik działający jako tajny przedstawiciel pewnego podejrzanego bractwa, inni wiedzieli coś o powiązaniach z mafią rosyjską.

Nikt nie był w stanie tego dowieść. Faktem było, że Tecina zapłacił czekiem

gotówkowym cenę kupna oraz odrestaurowania. W tle pojawiło się tu pytanie o pochodzenie tych pieniędzy.

Sekretarz stanu sądził, że zna tajemnicę kryjącą się za murami Burg Layenfels.

Jego myśli nie krążyły wokół niczego innego. Napełniały go troską i gdy tylko o tym pomyślał, zaraz robiło mu się niedobrze. Poza tym odczuwał podporządkowywanie się poleceniom Aniceta i dreptanie za nim jak pies jako coś poniżającego.

Droga prowadziła na pierwsze piętro zamku kamiennymi zewnętrznymi schodami.

Schody były strome, bez poręczy. Gonzaga czuł zmęczenie, wyjąłowanie i z trudem przychodziła mu wspinaczka w kosztownej pelerynie.

Jak podczas procesji czarno ubrani mężczyźni szli gęsiego za kardynałem. Jedni mruczełi coś niezrozumiale pod nosem, inni pokonywali drogę w milczeniu, zamknięci w sobie.

Na górze, dokąd dotarli, wąskie, okute żelazem drzwi prowadziły do sali rycerskiej. Imponujące sklepienie wznosiło się nad długim, wąskim pomieszczeniem.

Było jasno oświetlone i nieumeblowane, wyjątek stanowił stół na środku.

Cokolwiek bezradnie rozglądał się Gonzaga za swoim sekretarzem. Ten pośród tłumu - a mogło tam być ze stu ludzi - dostrzegł jego spojrzenie, podszedł do swojego przełożonego i pomógł mu zdjąć pelerynę. Mężczyźni otoczyli kardynała jak wygłodniałe psy ubitego jelenia, gdy zobaczyli, co wyłoniło się spod peleryny. Jakby na niemy rozkaz nagle wyciągnęli szyje.

Tylko Anicet oparł się niewidocznej mocy, która emanowała od Gonzagi. Pełen oczekiwania, z wyrazem twarzy wahającym się pomiędzy triumfem i ciekawością, obserwował, jak Soffici odwijał z kardynała szorstką tkaninę o barwie ochry, którą kardynał nosił na sobie jak gorset.

Kiedy Gonzaga trzykrotnie okręcił się dokoła własnej osi, sekretarz odwinął płótno

i kilkakrotnie go złożył. Potem położył płótno na stole na środku sali. Mężczyźni, którzy w napięciu śledzili cały proceder, milczeli.

-

In nomine domini - mruknął zadowolony z siebie Anicet i zaczął rozkładać płótno.

Setka par oczu z uwagą śledziła każdy ruch dłoni Wielkiego Mistrza. Chociaż każdy wiedział dokładnie, co się przed jego oczami rozgrywa, atmosfera była niezwykle napięta.

Anicet rozciągnął płótno wzdłuż stołu już na ponad dwa metry. Teraz z drugiego końca podszedł kardynał i wspólnie z Wielkim Mistrzem rozłożyli płótno złożone na pół.

-

Oto jest początek końca - triumfował Anicet. Do tej chwili Wielki Mistrz był powściągliwy, chłodny i zachowywał się bez emocji. Teraz jednak, w obliczu rozciągniętego płótna, zaczął dyszeć i kilkakroć powtórzył: - Początek końca.

Mężczyźni wokół niego spoglądali sceptycznie, niektórzy ujawniali oznaki zakłopotania. Pewien niewielki, łysy człowiek o czerwonej głowie wczepił się w sąsiada i ukrył twarz na jego piersi, jakby nie mógł znieść tego widoku. Inny kręcił głową, jakby chciał powiedzieć: Nie, to niemożliwe. Jeszcze inny, którego tonsura zdradzała klasztorną przeszłość, choć zamiast habitu miał ciemny garnitur, jak w ekstazie uderzał się w piersi.

Przed nimi leżało płótno, w które zawinięty był Jezus z Nazaretu po swojej śmierci na krzyżu. Na tkaninie pozostały odcisnięte w negatywie blade ślady torturowanego człowieka. Wyraźnie można było rozpoznać stronę przednią i tylną, odległe od siebie o pół metra. A wystarczyło jedynie odpowiednio długo wpatrywać się w miejsce,

gdzie musiała być twarz, żeby obraz przyjął formę trójwymiarową.

Sekretarz stanu oddychał z trudem. Z napięciem, które ten widok wywołał

również u niego, mieszała się złość na Aniceta i całe to bractwo.

Wielki Mistrz podszedł z boku do Gonzagi. Nie spojrzawszy nawet na kosztowną relikwię i jakby czytając w myślach, mruknął do niego: - Mogę zrozumieć, dlaczego pan mnie nienawidzi, kardynale. Ale niech mi pan wierzy, nie było innej możliwości.

ROZDZIAŁ 5

P

o trzech dniach Lukas Malberg opuścił klinikę Santa Cecilia. Stało się to wbrew woli lekarzy i z wyraźnym napomnieniem, żeby unikać wszelkiego wysiłku, a w szczególności wszelkiego zdenerwowania.

Łatwiej było powiedzieć niż wykonać. W swoim dusznym pokoju hotelowym -

było już w okolicach święta Ferragosto - Malberg próbował przede wszystkim

uporządkować myśli. Świadomość tajemniczej śmierci Marleny źle wpłynęła na jego

zdolność oceny i postrzegania. Zaś po godzinie roztrząsania Malberg zupełnie poważnie postawił sobie pytanie, czy on to wszystko rzeczywiście przeżył, czy tylko

mu się śniło. Z zadumą gładził obwolutę notatnika Marleny. To z całą pewnością nie

był sen. Musiał się dowiedzieć, co się wydarzyło.

Trapiiony wątpliwościami wyciągnął karteczkę, na której miał zanotowany numer

telefonu Marleny. Wybrał numer i ku swojemu zaskoczeniu usłyszał sygnał wolny. -

Halo?

Malberg śmiertelnie się przeraził. Nawet nie pisnął. Jakiś kobiecy głos powtórzył

pytanie, tym razem bardziej stanowczo: - Halo? Kto mówi?

-

Lukas Malberg - a jękając się, ciągnął: - Marleno, czy to ty?

-
Mówi markiza Lorenza Falconieri. Powiada pan, Malberg? Ten an-tykwariusz z Monachium?

-
Tak - odpowiedział cicho i zbity z tropu spojrział na swoją karteczkę.

-
Zmuszona jestem przekazać panu smutną wiadomość - zaczęła markiza z wahaniem. - Marlina nie żyje.

- Nie żyje - powtórzył Malberg.

- Tak. Policja nie wie jeszcze, czy to był wypadek, czy samobójstwo. ...

- Wypadek lub samobójstwo? - wybuchł Malberg. - Nigdy w życiu!

- Tego jeszcze nie wiadomo — powtórzyła markiza chłodno i z opanowaniem. -

Chodzi panu o to, że Marlina nie należała do kobiet, które odebrałyby sobie życie?

Zapewne. Być może nie znałam jej wystarczająco dobrze. Zresztą, któż zdoła zajrzeć do wnętrza człowieka? W takim razie przypuszczalnie był to wypadek.

- To nie był wypadek! - wyrwało się Malbergowi. Przeraził się własnych słów.

Markiza milczała przez chwilę. - Skąd pan to wie? - zapytała podejrzliwie.

Malberg zmieszany nie odezwał się. Miał przykre poczucie, że coraz bardziej wplątuje się w całą sprawę, z którą tak naprawdę nie chciał mieć do czynienia. W lewej dłoni trzymał karteczkę z telefonem Marleny. Poniżej był napisany numer markizy. Widocznie w zdenerwowaniu pomylił te numery.

- Zatem jest pan zainteresowany moimi książkami - usłyszał markizę. Jej słowa

pojawiły się niespodziewanie i brzmiały dość biznesowo, w każdym razie tak, jakby przed chwilą nie rozmawiali o śmierci kogoś znanego osobście.

- Jestem antykwariuszem — odparł Malberg — żyję z tego, że kupuję i sprzedaję

cenne książki.

- Dobrze wiem, na czym polega pańskie zajęcie, signore. Markiz, świeć Panie nad jego duszą, wiele kupował na aukcjach, ale także u antykwariuszy w Niemczech. Niemal odchodził od zmysłów, żeby wejść w posiadanie tej czy innej książki. Na niektóre książki wydał majątek. Laicy nawet nie przeczuwaliby wartości niektórych pozycji. Dlatego Uczę na pańską uczciwość w razie, gdybyśmy mieli robić interesy.

Kiedy może pan przyjść?

- A kiedy pani by odpowiadało, markizo?

- Powiedzmy, koło piątej.

- Mnie odpowiada.

- Ma pan mój adres, signore Malberg.

- Zanotowałem go.

-

Ach, jeszcze jedno: niech się pan nie przerazi widokiem domu. Trzy dolne

piętra nie są zamieszkane. Mnie znajdzie pan na czwartym piętrze. Buon giornol

Dom położony był pomiędzy Piazza Navona i zakolem Tybru, w bocznej uliczce odchodzącej od Via Dei Coronari, niedaleko hotelu Malberga. Wyruszył piechotą.

Na ulicach panował przytłaczający upał lata. Większość mieszkańców Rzymu wyjechała za miasto. Pachniało kurzem i spalinami. Malberg trzymał się zacienionej strony ulic.

Dobrze, że markiza uprzedziła go o stanie kamienicy, bo z pewnością minąłby ten zrujnowany budynek. Faktycznie, dom nie robił wrażenia arystokratycznego. Jak na miejsce zamieszkania prawdziwej markizy, budowla była dość zmarnowana. W

każdym razie widziała lepsze czasy.

Wokół okien powykruszały się barokowe elementy, fasada się sypała, zaś spróchniałe drzwi wejściowe nie widziały farby od czasów Piranesiego.

Malberg wszedł do środka. W mrocznej klatce schodowej uderzyło go chłodne, wilgotne powietrze. Chcąc nie chcąc, przypomniał sobie kamienicę Marleny.

Kiedy dotarł na najwyższe piętro, z drzwi wyszła delikatna kobieta ubrana na czarno. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu i doskonały makijaż. Jej bezbłędne nogi pojawiły się na scenie w czarnych pończochach i na szpilkach. Równie surowy jak wygląd zewnętrzny był wyraz jej twarzy, kiedy podawała Malbergowi rękę i powiedziała słabym głosem: - Signorel

Więcej się nie odezwała.

-

Malberg, Lukas Malberg. To bardzo miło, że mnie pani przyjmuje.

-

O, pan z manierami - odparła markiza i na chwilę ścisnęła dłoń Malberga.

Miała ciemne, załzawione oczy.

Malberg się zmieszał. Ton jej głosu odebrał mu pewność siebie. Czy ona chce sobie z niego stroić żarty?

-

Jeśli pan pozwoli za mną, signore - mówiła dalej markiza i wyszła na zewnątrz.

Zupełnie inaczej wyobrażał sobie Lukas Malberg markizę, ani jako niską, ani delikatną, a już na pewno nie taką wyrazistą i atrakcyjną. Mogła mieć jakieś czterdzieści pięć lat, a może nawet pięćdziesiąt. W każdym razie ujawniała określoną klasę, klasę, przy której wiek odgrywa jedynie podrzędną rolę.

Lorenza Falconieri zaprowadziła Malberga do dużego kwadratowego

pomieszczenia, które głównie tym się wyróżniało, że wszystkie cztery ściany, nie licząc okien i drzwi, były od podłogi do sufitu zastawione regałami z książkami. Na środku biblioteki stał okrągły czarny stolik na jednej nodze w kształcie łapy lwa, a przy nim sofa ze szmaragdową szydełkowaną narzutą oraz potężny fotel.

- Kawy? - spytała markiza, gdy już zaprosiła Malberga, by usiadł.

- Bardzo chętnie, o ile to nie sprawi kłopotu.

Markiza znikła, a Malberg miał sposobność dokładniej przyjrzeć się bibliotece. Już same grzbiety książek obiecywały coś znaczącego.

-

Niech pan się swobodnie rozejrzy - dobiegł głos markizy z kuchni - przecież po to pan przyszedł!

Zaciekawiony Malberg podszedł do regału naprzeciw okna i wyjął książkę

oprawną w cielejącą skórę. Otworzył na pierwszej i ostatniej stronie, po czym z uznaniem pokiwał głową. Następnie wziął z regału kolejną książkę w takiej samej

oprawie i zachował się podobnie, w końcu trzecią i czwartą.

-

Zakładam, że pani wie, co tu posiada - zauważył Malberg, kiedy markiza wróciła ze srebrną tacą i postawiła na czarnym stole dwie filiżanki kawy.

Lorenza usiadła na sofie i zauważyła nabożny sposób, w jaki Malberg trzymał starodruki w rękach. - Szczerze mówiąc, to nie - odparła. - Wiem tylko, że markiz wydał na to fortunę. Niestety, zupełnie się nie znam na starych księgach i jestem zmuszona zawierzyć znawcy takiemu jak pan.

Malberg uniósł w górę ciężką księgę jak trofeum.

-Jest to czwarty tom Biblii Kobergera, inkunabuł z roku 1483, rarytas pierwszej

klasy. Co zaś jest w tym przypadku ciekawe, to fakt, że pierwsze trzy tomy też tu są.

Takie odkrycie jest bardzo rzadkie i oczywiście ma swoją cenę - otworzył księgę na ostatniej stronie i wskazał palcem ostatni akapit.

- Proszę tu spojrzeć, kolofon!

- Kolofon?

-

Informacja drukarza. W piętnastym wieku, kiedy sztuka drukarska była jeszcze w powijakach, każdy drukarz w dniu zakończenia książki umieszczał na ostatniej stronie krótką informację, będącą czymś takim jak podpis na obrazie. Tutaj, proszę spojrzeć: Explicit Biblia Anthonij Kober

gerAnno Salutū M. CCCC.LXXXIII. V. Decembris. Czyli: Biblię tę wykonał Anton Koberger w Roku Zbawienia 1483,5 grudnia.

- Ciekawe - zdumiała się markiza. - Przyznaję, że nigdy się nie interesowałam starymi księgami mojego męża. Jeśli mam być szczerą, to nawet ich nienawidziłam. Malberg przysiadł do niej do stolika.

-

Nienawidziła? Jak można nienawidzić książek?

- Właśnie to chcę panu powiedzieć, signorel - ciemne oczy markizy zaiskrzyły złowieszczo. - Kolekcjonerska namiętność mojego męża znacznie przekroczyła jego możliwości finansowe. Aby móc oddawać się swojej pasji do książek, rozwinął kolejną namiętność, został hazardzistą. Jego domem stały się kasyna w Baden-Baden, Wiedniu i Monte Carlo. Czasem wygrywał nawet duże sumy, lecz pewnego dnia zaskoczył mnie wiadomością, że jesteśmy bankrutami. Trzy tygodnie później markiz nie żył. Zawał serca.

-

Wyrazy współczucia, markizo.

- Markizo, markizo! - wybuchła Lorenza Falconieri. - Niech mi pan wierzy, signore. Tzn śmieszny arystokratyczny tytuł jest dla mnie wstydem, jest jak przekleństwo. Przecież pan widział, w jakim stanie jest dom. Na odnowę brak mi pieniędzy. Lokatorzy właśnie się wyprowadzili. Zaś znalezienie kupca na tak zrujnowaną budowlę jest praktycznie niemożliwe. Taka jest smutna spuścizna po markizie. Proszę mnie nazywać Lorenza.

- Bardzo mi miło - wyjąkał zakłopotany Malberg. - Mam na imię Lukas.

- Lukas? — markiza miała zwyczaj mówienia takim tonem, że można było sądzić, iż sobie stroi żarty. To zbiło Malberga z tropu.

- No dobra, Lukas. Ile proponujesz za Biblię Kobergera?

- Trudno powiedzieć...

- Ile? - Lorenza pozostała nieugięta.

- Jest tak - wykręcał się Malberg. - Biblia nie ma paginacji, czyli poszczególne strony nie są ponumerowane. Musiałbym wpierw sprawdzić, czy cztery tomy są kompletne. O ile są kompletne, to oferuję pani dwadzieścia tysięcy euro.

Lorenza badawczo zerknęła na Lukasa.

- To nie jest zła cena - zapewnił Malberg. - Zresztą interesują mnie oczywiście również inne książki.

-

Ufam panu. W każdym razie Marlina mówiła, że mogę panu ślepo zaufać. -

Twarz Lorenzy posmutniała: - Jak to się mogło stać... To straszne.

Malberg z zakłopotaniem pokiwał głową. - Nadal pani wierzy w wypadek?

-

A pan nie? Skąd ma pan taką pewność? - Markiza rzuciła Malbergowi

spojrzenie pełne wyrzutu.

Bezwiednie chwycił się za kieszeń na piersi, gdzie wciąż miał notatnik Marleny.

Byłoby nieroztropnie zawierzyć swój los jakiejś obcej markizie. Wzruszył ramionami. W końcu zapytał: - Jak właściwie dowiedziała się pani o śmierci Marleny?

-

Od policji. Mój numer był w pamięci telefonu Marleny. Komisarz powiedział, że znaleziono Marlenę martwą w wannie. Spytał, czy jestem gotowa podać parę informacji na temat tej osoby. Byłam zupełnie załamana, a ten komisarz zadał mi kilka niewinnych pytań. Teraz już nie pamiętam, co odpowiedziałam. Dał mi swój numer na wypadek, gdyby mi się przypomniało coś, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy.

-

I? Przyszło coś pani do głowy?

Lorenza pokręciła głową. Potem wstała i podeszła do okna. Nie chciała, żeby Malberg zobaczył w jej oczach łzy.

Malberg niezręcznie wiercił się na swoim fotelu. Chętnie powiedziałby coś pocieszającego, ale nie wiedział co. Na koniec wstał.

- Czy mogę się jeszcze rozejrzeć? - spytał zakłopotany.

- Tak, naturalnie - odparła Lorenza i znikła.

Widok cennych książek, wszystkich w doskonałym stanie, pozwolił Malbergowi na pewien czas zapomnieć o okropnym losie Marleny. Szybko się zorientował, że wartość całego zbioru znacznie przekracza jego budżet.

Już sama Kronika Norymberska, foliań z roku 1493, której autorem był norymberski lekarz i historyk Hartmann Schedel, była warta tyle, co niezły samochód średniej klasy. Księga zawierała ponad tysiąc drzeworytów przedstawiających wszystkie ważne miasta średniowieczne. Kolekcjonerzy dawali za nią majątek. W gorączkowym niepokoju antykwariusz przesunął niepozorną książkę w formie quarto. Trwało dobrą chwilę, zanim do Malberga dotarło, że to legendarne wydanie komedii Terencjusza, na które od półwiecza polowali kolekcjonerzy i antykwariusze całego świata. W książce z roku 1519 reformator protestancki Filip Melanchton pozostawił własnoręczne korekty do nowego wydania. Od czasów Melanchtona właściciele książki byli bez wyjątku dokumentowani. W swojej półtysiącletniej historii księga z Niemiec dotarła do Anglii. Tutaj pewien żydowski kolekcjoner nabył ją na aukcji i w dziewiętnastym wieku przywiózł z powrotem do Niemiec. Uciekając przed nazistami, ów kolekcjoner przemycił ją ukrytą pod płaszczem do Nowego Jorku, gdzie sytuacja zmusiła go do sprzedania książki kolekcjonerowi z Florydy. Później jego spadkobiercy wystawili książkę na sprzedaż. Jednak zanim jeszcze ludzie z branży dowiedzieli się o tym, ten bibliofilski skarb znalazł nowego posiadacza. Przedstawił się jako Europejczyk. Niczego więcej nie można się było dowiedzieć.

Malberg dostrzegł, że ręce mu drżą. Chciał odruchowo wyjawić markizie, jaki skarb znalazł tu schronienie. Lecz już w następnej chwili uświadomił sobie, że w ten sposób - o ile chciałby tę książkę nabyć - tylko by sobie zaszkodził. Z pewnością milczenie byłoby w tej sytuacji w najwyższym stopniu niemoralne. Ale czyż nie żyjemy wszyscy na skrajnie niemoralnym świecie? Na świecie, gdzie spryciarze oszukują nieświadomych?

W końcu jako antykwariusz utrzymywał się z tego, że kupował książki okazynie i

odsprzedawał je z zyskiem. Czy powinien złożyć markizie ofertę? Jakiej wysokości?

Dziesięć tysięcy euro? Dwadzieścia tysięcy euro? Na pewno natychmiast dobiłby targu. Mógłby wystawić czek. Byłby to doskonały interes. Zaś interesy uczynił swoim życiem.

-

Jeszcze jedną kawę?

Malberg wzdrygnął się. Był tak zatopiony w myślach, że w ogóle nie zauważył Lorenzy.

-

Proszę mi wybaczyć, widzę, że pańskie zajęcie całkowicie pana pochłonęło.

Malberg zdobył się na wymuszony uśmiech i przyglądał się, jak markiza serwuje

kawę. - Naprawdę imponujący ten zbiór - zauważył, by powiedzieć cokolwiek. -

Naprawdę imponujący.

Przenikliwy dźwięk dzwonka u drzwi uwolnił Malberga z bezradności.

-

Przepraszam na chwilę - Lorenza wyszła na zewnątrz.

Jednym uchem Malberg słyszał pełną emocji rozmowę z jakimś mężczyzną

mówiącym falsetem. Nie zainteresowało go to jednak. Jak odurzony odstawił cenną księgę na miejsce. Jak miał się zachować?

W zamyśleniu spojrzął na drzwi, które otoczone ze wszystkich stron książkami, prowadziły do kolejnego pomieszczenia. Bez żadnej ukrytej intencji otworzył drzwi, podczas gdy Lorenza była nadal zajęta nieznanym gościem.

Za drzwiami znalazł dość kiczowato urządzone buduar z łóżem, fotelem obitym złotym brokatem i politurowaną toaletką o barwie skorupki jaja - wszystko w guście innym niż jego własny.

Właśnie miał się wycofać, kiedy jego wzrok padł na rząd fotografii wielkości książki, zdobiących ścianę od strony głowy łoża. Wszystkie zdjęcia miały ten sam motyw: Marlena, Marlena nago albo Marlena w bieliźnie.

Jak zaczarowany gapił się Malberg na podniecającą galerię. Rozsądek bronił się przed wyciąganiem z tego jakichkolwiek wniosków. Był zdezorientowany. W każdej chwili markiza mogła wrócić. Malberg wolał się wycofać.

Ledwo zamknął za sobą drzwi do buduaru, w bibliotece ponownie pojawiła się Lorenza. Uprzejmie przeprosiła za krótką nieobecność, nie wyjaśniając bliżej jej powodów. - Ale jestem pewna, że pan się nie nudził.

Malberg pokręcił głową i uśmiechnął się sztucznie. Zakazany widok w buduarze markizy nagle wypełnił mu myśli. Niespodziewane odkrycie w jej sypialni przesłoniło wszystko inne.

Wyjmując kolejne starodruki z regałów i kartkując je z udawanym zaciekawieniem, obserwowany biernym spojrzeniem Lorenzy, Malberg starał się dojść, dlaczego kobieta wiesza sobie nad łóżkiem akty swojej przyjaciółki.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie.

Malberg właściwie nie miał nic przeciwko temu, żeby kobiety kochały kobiety, jednak wobec śmierci Marleny tak ścisły związek obu kobiet rodził oczywiście pewne pytania.

Nie mogąc już dłużej skupiać się na cennych księgach, odstawił foliały na miejsce.

Napotkawszy zaś pytające spojrzenie Lorenzy, Malberg po krótkim wahaniu

oświadczył, że nie chce jej już dłużej robić kłopotu i że w ciągu najbliższych dni pojawi się z konkretną ofertą.

ROZDZIAŁ 6

mierzchało już, gdy Malberg wyszedł na ulicę. Na Via Dei Coronari nie było dużego ruchu. Nic dziwnego: większość mieszkańców Rzymu wyjechała i spędzała sierpień nad morzem lub na wsi. Turyści zaś trzymali się chętniej knajpek na Piazza Navona lub przeciwległego brzegu Tybru.

Malberg ruszył w kierunku hotelu. Koszula kleiła mu się do pleców jak folia.

Jednak nie tylko popołudniowy upał był powodem, że pocił się wszystkimi porami.

Na myśl, że pomiędzy Lorenza a Marleną mógł się rozegrać dramat zazdrości, oblewały go wszystkie poty.

Odtwarzając sobie po raz kolejny cały przebieg spotkania z markizą, przypomniał sobie, że przyjęła go z zapłakanymi oczami, ale potem szybko przeszła do porządku dziennego. Co się zaś tyczy jego, Malberga, wątpliwości co do teorii wypadku lub samobójstwa, zdenerwowała się i ostro zareagowała. Nie było też jasnego wytłumaczenia, dlaczego z jednej strony twierdziła, że nie znała za dobrze Marleny, a z drugiej ozdabiała swoją sypialnię jej fotografiami w negliżu.

Coś się tu nie zgadzało i Malberg zadawał sobie pytanie co. Malberg odwiedził swój pokój w hotelu i wszedł pod zimny prysznic. Potem ubrał przewiewne lniane spodnie i koszulkę polo.

U portiera zasięgnął informacji na temat leżącej w pobliżu restauracji rybnej, lecz ten odesłał go do młodej kobiety, która czekała na niego pod szklaną ścianą przy hotelowym holu.

- Nazywam się Caterina Lima - ładna dziewczyna podeszła do Malberga. - Piszę dla gazety Guardiano.

Malberg nie zdołał ukryć zdumienia.

-

I czym mogę pani służyć, signorina} Nie sądzę, żebyśmy się już spotkali. Tak przyjemne zdarzenie z pewnością zapadłoby mi w pamięć.

Caterina uśmiechnęła się pewna siebie. Nierzadko słyszała komplementy tego rodzaju. - Markiza Falconieri mówiła mi, że jest pan zaprzyjaźniony z Marleną Ammer. To znaczy: był. Powiedziała też, że znajdę pana w tym hotelu.

- Co znaczy zaprzyjaźniony? — Ton głosu Malberga nagle się zmienił. —

Chodziliśmy przez kilka lat do tej samej klasy, a potem straciliśmy się z oczu. Tak bywa. Całkiem niedawno znów się spotkaliśmy. — Przez chwilę milczał. - Ale po co pani to wszystko wiedzieć?

- Tak, zatem... Jest mianowicie tak - zaczęła reporterka wymijająco. —

Dziennikarze żyją przede wszystkim z kontaktów z ważnymi osobami...

-

Nie jest to dla mnie tajemnicą, signorina.

-

Otóż od pewnej osoby tego rodzaju uzyskałam wskazówkę, że powinnam się bliżej zainteresować śmiercią niejakiej Marleny Ammer. Mogę chyba liczyć na pańską dyskrecję, signore Malberg?

Malberg zaniepokoił się. Niemym gestem ręki dał znak reporterce, żeby weszła do holu.

-

I markiza zwróciła pani uwagę na mnie? - zapytał Malberg, kiedy usiedli w wiklinowych fotelach, pomalowanych na białe.

-

Tak - odparła Caterina. - Czy miała tego nie robić? Malberg zamiast

odpowiedzieć, wzruszył ramionami.

-

Mój informator z władz policji powiedział mi, że dochodzenie w sprawie Marleny Ammer umorzono na polecenie z samej góry. I to pomimo — tu się nachyliła i spojrzała znacząco na Malberga — że wszystkie przesłanki wskazują na morderstwo. Na razie wynik dochodzenia brzmi: śmierć wskutek wypadku. Upadek w wannie.

- Na polecenie z samej góry?

- Tak właśnie.

Malberg nie odzywał się przez chwilę. Było to w istocie bardzo osobliwe. Spojrzał na dziennikarkę.

-

Czy jest pani absolutnie pewna?

Caterina kiwnęła głową. - Mój informator to poważny człowiek! Malberg gorzko się uśmiechnął: - Widzi pani, zabójstwa niekoniecznie są mi bliskie. Mówiąc szczerze,

jeszcze nigdy nie miałem do czynie

nia z policją. Jaki interes miałby mieć ktoś z władz policji, aby ponownie podjąć

śledztwo w sprawie, w której stwierdzono wypadek?

- Och, jest wiele powodów. Mógł na przykład osobiście znać Marlenę Ammer.

- Możliwe. Ale nieprawdopodobne.

-

Albo jest jakaś rywalizacja na poziomie władz. -Juzbardziejziej prawdopodobne.

- Jeśli wykluczmy mafijną wendettę, to mógłby też w to morderstwo być zamieszany sekretarz stanu w odpowiednim ministerstwie albo wręcz minister...

- Sądzę - przerwał reporterce Malberg - że przecenia pani znaczenie Lenki!

-
Lenki?

-Tak żeśmy ją dawniej nazywali.

-
Lenka! Brzmi jakoś komicznie. Och, proszę mi wybaczyć niemądre uwagi, signore. Czy mogę zadać panu jeszcze parę pytań?

Malberg potwierdził skinieniem głowy. Czemu markiza poszczuła na niego tę dziennikarkę? Czyżby wiedziała o nim coś więcej?

- Jakim człowiekiem była Marlana? - dyplomatycznie zapytała reporterka.

- W każdym razie nie była kimś, kto rozczarowany życiem topi się w wannie -

odpowiedź Malberga pobrzmiwała irytacją. - A kiedy żeśmy się ostatnio widzieli, nie robiła wrażenia tak zdenerwowanej, żeby podejrzewać, iż mogłaby upaść w łazience.

- O ile dobrze pana rozumiem, pan także uważa, że to morderstwo? Dlaczego? Ma pan jakieś przesłanki?

Malberg przeraził się. Oczywiście od samego początku nie wierzył w nic innego, jak tylko w to, że Marlana została zamordowana. Nagle stanęli mu przed oczami

dwaj mężczyźni, którzy go wtedy biegiem minęli na schodach. Tego jednak

naturalnie nie mógł powiedzieć dziennikarce. Bez słowa spojrział na dziewczynę.

Dopiero teraz uderzyło go, że Caterina Lima jest naprawdę śliczna. Na fakt, że od razu tego nie zauważył, mogło wpłynąć jej swobodne, by nie rzec niedbałe ubranie.

Caterina miała na sobie różowe sprane dżinsy i bluzkę nieokreślonego koloru, przy której tylko trzy górne guziki były godne uwagi, gdyż umożliwiały obejrzenie

fragmentów doskona

łych piersi. Były duże. Malberg uwielbiał duże kobiety. Kiedy patrzył na jej blond włosy zaplecione w warkocz, naszły go wątpliwości co do naturalności barwy. Bowiem wąskie brwi nad skośnymi oczami były ciemne, niemal czarne. Nie ma jednak takiego prawa przyrody, żeby włosy i brwi musiały być tego samego koloru. O ile Caterina miała kształtny mały nosek, o tyle jej usta były pełne jak u młodej Sophii Loren - ten widok spowodował, że Malberg na mgnienie oka zapomniał, po co się spotkali. Do tego mówiła szybko jak mieszkanka północnych Włoch. Malberg, który doskonale opanował regionalne dialekty, miał czasem kłopot, żeby za nią nadążyć.

Caterina nie unikała taksujących spojrzeń Malberga. W każdym razie powiedziała nagle: - Proszę mi wybaczyć mój niedbały wygląd, ale kiedy wychodziłam z domu, nie wiedziałam jeszcze, że pana spotkam.

Malberg poczuł się przyłapany i starał się rozładować niezręczność sytuacji, odpowiadając chłodno na jej pytanie: - Tak, myślę, że to morderstwo.

- Rozumiem - reporterka pokiwała głową. Po krótkiej zadumie powiedziała: -

Przepraszam za pytanie, ale w jakich stosunkach był pan z si-gnorą Ammer?

- Chodzi pani o to, czy mieliśmy romans - Malberg zmusił się do uśmiechu. -

Odpowiedź brzmi: nie. Była dawną koleżanką ze szkoły. Nic więcej.

- I signora nigdy nie wyszła za mąż.

- Nie. W każdym razie, o ile mi wiadomo.

- Zadziwiające. Musiała być bardzo atrakcyjna.

-

Tak, to prawda. Zresztą zmieniła się w cudowny sposób, że tak powiem, z

brzydkiego kaczątka w łabędzia. Aż do końca szkoły była bowiem niezbyt ładna.

Jednak kiedy ją zobaczyłem po latach, niemal odebrało mi mowę. Z niepozornej

Lenki zrobiła się niezwykle atrakcyjna Marlana.

-

Czy Marlana Ammer ma jeszcze jakąś rodzinę?

- Nie, o ile wiem. Mówiła, że jej matka zmarła przed dwoma laty. Ojciec jeszcze wcześniej stracił życie w wypadku drogowym. Nie, nikt nie został.

- Czy miała jakichś wrogów? Albo czy robiła kiedykolwiek sugestie, z których można by wnioskować, że czuła się zagrożona?

Malberg z trudem utrzymywał jasność myśli.

Wieczorna duchota i świdrujące pytania reporterki raczej nie ułatwiały sytuacji, w której się znalazł.

- Niech pani posłucha, signora Lima, gdy się ludzie spotykają po dwudziestu latach, jest dużo do opowiadania. A takie sprawy schodzą na dalszy plan.

- Rozumiem - powiedziała Caterina tonem przeprosin. Ale już w następnej chwili wierciła mu dalej dziurę w brzuchu. - Jak pan się właściwie dowiedział o śmierci signory}

Malberg niedostrzegalnie się wzdrygnął. Nie był pewien, czy aby reporterka nie zauważyła jego reakcji. Próbował ukryć swoje zdenerwowanie: - Powiadomiła mnie markiza. Nie mówiła o tym pani?

-

Nie mogę sobie przypomnieć, nie! - Caterina Lima położyła na ustach prawy palec wskazujący, jakby się zastanawiała.

Malberg nie należał do ludzi, którzy dają się jakiejś tam reporterce zapędzić w kozi róg. W dodatku nie było żadnych ku temu podstaw. Jednak stopniowo rozmowa

stawiała się przesłuchaniem i Malberg znów niespodziewanie znalazł się w niejasnej roli wymagającej tłumaczenia się. Wstał.

- Przykro mi, że nie zdołałem pani pomóc. Powiedziałem, co wiem o Marlenie. A teraz proszę wybaczyć. Mam jeszcze coś do załatwienia.

- Ależ nie, signore, bardzo mi pan pomógł. Przepraszam, jeśli moje pytania były zbyt bezpośrednie. Jestem przecież dopiero na początku swojego dochodzenia. Czy mogę panu zostawić moją wizytówkę na wypadek, gdyby przyszło panu do głowy coś ważnego?

Bardziej z uprzejmości niż przekonania Malberg odparł: - Oczywiście, będę jeszcze przez kilka dni w Rzymie. Wie pani, gdzie mnie znaleźć. W zamyśleniu schował wizytówkę do kieszonki polo.

ROZDZIAŁ 7

C

iężkie krople deszczu dzwoniły o grube cylindryczne szyby Burg Layenfels.

Drewniane łóżko i koc jako pośłanie nie było najlepszym punktem wyjścia do zdrowego snu. SofEci, sekretarz kardynała, wpatrywał się w ciemności w grube krokwie pod sufitem.

Alberto, z którym SofEci dzielił maleńki pokój, przewracał się na swoim pośłaniu z boku na bok. Człowiek w czerni wskazał im wcześniej w kilku suchych słowach to pomieszczenie, gołą, wysoką salkę o powierzchni niecałych dziesięciu metrów kwadratowych, z dwiema drewnianymi pryzkami i krzesłem do powieszenia ubrań oraz stale kapiącym zlewem w kącie.

- Pan też nie może zasnąć, monsignore! - z mroku odezwał się szeptem Alberto.

- Inkwizycja zapewne nie obchodziła się łagodniej z podsądnymi - ziewnął SofEci z odcieniem sarkazmu.

- Gdzie jest kardynał? Tak nagle zniknął.

- Pojęcia nie mam. Mówiąc szczerze, w tej chwili jest mi to raczej obojętne. Jak Gonzaga mógł się tak zapomnieć. A teraz my musimy pić to piwo.

-Jeśli się nie mylę - odparł Alberto - to sam Kościół wynalazł celibat. W każdym razie ze słów naszego Pana Jezusa nic takiego nie wynika.

- Moje uznanie! Widać, że nie jest pan kierowcą zwykłym, lecz w służbie kardynała.

- Monsignore — ożywił się Alberto - zapomina pan, że na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim studiowałem teologię przez trzy semestry, zanim na mojej drodze pojawiła się Elisabetta.

-

- Wiem, Alberto, wiem.

- Jakoś - zaczął Alberto po chwili milczenia - czuję się tutaj jak w więzieniu. Cóż to są za ludzie, którzy posuwają się do czegoś takiego. Co znaczy ludzie; nieludzie to odpowiednie słowo!

- Psst! - sekretarz kardynała wydał z siebie przeciągły syk. - Pan wie, że kardynał zabronił nawet słowem wspominać o naszej tajnej akcji i tych ludziach. Musimy się liczyć z tym, że ściany mają uszy.

-

Myśli pan, że nas obserwują i podsłuchują? Soffici nie odpowiedział.

Alberto wstał i po omacku podszedł do zlewu. Odkręcił kran i tak zostawił.

- Co to ma znaczyć? - zapytał monsignore, gdy Alberto wymacał drogę powrotną na posłanie.

- Powinien pan częściej oglądać dreszczowce, monsignore] Wtedy by pan wiedział, jak się blokuje podsłuchy.

-Aha.

- Tak. Szum wody zagłuszy każdy szept. A ponieważ mikrofon podsłuchowy wyłapuje tylko najsilniejszy dźwięk, możemy teraz bez obawy cicho rozmawiać. Czy sądzi pan, że kiedyś wyjdziemy z tego cało?

- Tak uważam i mogę pana uspokoić, Alberto. Ci ludzie są zbyt wyrafinowani. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby planowali zniknięcie w ciemnym lochu kardynała, jego sekretarza i jego kierowcy. To zbytnio zwróciłoby uwagę. A jeśli ci Fideles Fidei Flagrantes czegoś się boją, to właśnie upublicznienia.

- Fideles Fidei Flagrantes! - prychnął Alberto. - Przecież to śmieszne.

- Pan wie, co znaczy to określenie?

- O ile mnie nie zawodzi moja z trudem przyswojona łacina, to znaczy tyle co: wierni, którzy płoną za wiarę.

- Bardzo słusznie. Brzmi to cynicznie, niemal makabrycznie w obliczu faktu, że kłębią się tu całe szeregi mrocznych postaci, od których nawet aktywny zawodowo mafioso mógłby się jeszcze uczyć.

Przez cylindryczne szyby wpadła pierwsza blada poranna szarówka. Alberto

podszedł do zlewu i spryskał sobie twarz wodą. Potem przysiadł na brzegu łóżka i mruknął: - Żeby tylko wiedział, co ci faceci zamierzają. A jak pan sądzi,

monsignore} Co każe tym samozwańczym strażnikom wiary bezcześcić całun naszego Pana Jezusa...

-

Całun, co do którego nie ma nawet pewności, czy nie jest średniowiecznym fałszerstwem. Proszę mi wierzyć, Alberto, pytanie to spędza mi sen z powiek, od kiedy Gonzaga wtajemniczył mnie w sprawę.

Z głową podpartą obiema rękami Alberto gapił się na okno. Aż podskoczył, kiedy ktoś chwycił z drugiej strony drzwi za klamkę.

Po chwili do pokoju wkroczyła ciemna postać. Człowiek niósł w ręce tacę ze śniadaniem i płonąca świecą. Migotliwe światło oświetlało w przedziwny sposób jego delikatną twarz. Bez słowa zamknął za sobą drzwi i postawił tacę na jedynym krześle. Chciał od razu opuścić pomieszczenie, ale jeszcze się odwrócił.

-

Być może wszystko to wydaje się panom dziwne - szepnął niepewnie - ale Wielki Mistrz nie ceni sobie światła elektrycznego. Pomijając nieliczne pomieszczenia, w twierdzy nie ma elektrycznego oświetlenia w żadnym prywatnym pokoju. Bóg, Pan nasz, który czyni dzień i noc wedle swojej woli, mógłby zamienić noc w dzień, a dzień w noc, gdyby tylko zechciał. Oświetlenie elektryczne jest, jak powiada Wielki Mistrz, dziełem Szatana.

Soffici jako pierwszy odzyskał mowę i powiedział: - Pogląd ten pozostaje jednak w rażącej sprzeczności z tajnymi badaniami, które prowadzone są w Burg Layenfels i które bez prądu elektrycznego byłyby niemożliwe.

Nieznajomy w ciemnym habicie niespokojnie zacierał ręce. - Niestety, nie jest to jedyna sprzeczność, z którą żyją Fideles Fidei Flagrantes...

Soffici badawczo spojrział na zakonnika. Był średniej postury, około trzydziestki i robił wrażenie spłoszonego jak nowicjusz.

-

Nie zabrzmiało to tak, jakby był pan entuzjastycznie oddany bractwu.

Zakonnik przełknął ślinę. Wreszcie odrzekł gorzko: - Tu ma pan rację.

-

Ale przystąpił pan do bractwa dobrowolnie. A może pod przymusem?

-To nie to. Ale zamamiono mnie obietnicami, które w rzeczywistości zamieniły się w coś przeciwnego. Zapowiadane Królestwo Boże stało się czyścem, by nie rzec

piekłem, o ile pan rozumie, co mam na myśli.

-

Nie ma tu wiele do rozumienia - odparł Soffici. Był zdziwiony, że ten typ tak beztrosko im się zwierza. - A dlaczego po prostu nie odwróci się pan od Flagrantes plecami?

-

Stąd nie ma odwrotu. Nie dla mnie! Monsignore aż podskoczył: - Cóż to ma znaczyć?

- Ma to znaczyć, że Burg Layenfels ma wejście, ale żadnego wyjścia. W każdym razie nie dla tych, którzy przystąpili do Flagrantes. Kto wchodzi do bractwa, zostawia za sobą swoje dawne życie. Pochodzenie, wykształcenie, pozycja, nawet nazwisko, zostają z dnia na dzień wymazane. Poza kilkoma drobiazgami. Tutaj nazywam się Cephyrinus.

- Cephyrinus?

- Imię to zalicza się do tych świętych, którzy już się nie liczą, których od Drugiego Soboru Watykańskiego nie ma już w kalendarzu, ponieważ są raczej legendą i podobno nie wytrzymują sprawdzianu historycznego.

- Nie jest to rzecz mi nieznana, bracie in Chrsto. Ale po co Flagrantes sięgają po te dawne imiona?

- W ramach protestu przeciwko liberalizującym tendencjom papieża. W tych murach dzieją się rzeczy, których nikt nie pojmuje, poza paroma nielicznymi braćmi. Ci zachowują swoje ziemskie nazwiska. Niestety, ja do nich nie należę.

- Dlaczego w takim razie pana przyjęto?

- No właśnie! Wniosłem niemały majątek ze spadku i miałem nadzieję na spokojne życie.

Cephyrinus podsunął obu staromodne filiżanki z uszkiem i okrągły bochen

suchego chleba. Soffici i Alberto jadali już królewskie śniadania, ale teraz było już dwanaście godzin, jak nic nie jedli. Przeto z zapamiętaniem spożywali suchy chleb.

- Czy pan się właściwie zastanawiał, co tu się obecnie dzieje? - zagadnął Soffici z pełnymi ustami.

- Chodzi panu o sprawę całunu Pana naszego?

- Otóż to!

- Ach, wie pan, w Burg Layenfels dzieje się tak wiele zagadkowych rzeczy, że nie stawia się pytań.

Przerwał. Z korytarza dał się słyszeć jakiś hałas.

-

Proszę, niech pan zakręci kran - syknął zdenerwowany Cephyrinus.

Alberto spełnił prośbę. Cała trójka w napięciu i ciszy nasłuchiwała. Kroki zbliżyły się, a potem znikły.

Po chwili Alberto na powrót odkręcił kran.

- Po co pan to robi? - spytał Cephyrinus. Świeca migotała i oświetlała mu twarz.

- Mamy swoje powody - odparł Alberto, który mimo wszystkich krytycznych słów nie ufał braciszкови. - Proszę mi raczej powiedzieć, co z kardynałem? - powiedział potem bez ogródek. - Gdzie jest Gonzaga? - odstawił pustą filiżankę na tacę.

- Bez obaw, spędził noc w swojej celi kilka pokojów dalej. Kiedy mu zanosilem śniadanie, jeszcze chrapał.

- Mnie bardziej interesowałoby coś takiego — podjął znów temat monsignore. -

Powiadają, że Flagrantes dysponują niewyobrażalnym bogactwem, kontami w Lichtensteinie i zyskami z nieruchomości.

Po bladej twarzy Cephyrinusa przemknął ciepki uśmiech. - Nie tylko to. W podziemiach twierdzy znajduje się stary, pilnie strzeżony loch, w którym składuje się sztaby złota w takiej ilości, że Europejski Bank Centralny byłby z niej dumny.

-

A widział pan kiedykolwiek to złoto? - spytał Alberto. Cephyrinus wzruszył ramionami. - No, nie. Nikt z nas nie ma dostępu do lochu. Ale wszyscy o nim mówią. Soffici pokręcił głową i orzekł: - Nie pierwsze to i nie ostatnie bractwo, które pod przykrywką wiary działa na rzecz Szatana. Ale nie chcę pana urazić!

-

W żadnym razie - odrzekł braciszek. - Flagrantes interpretują Pismo według własnego widzimisię. Raczej trzymają się Apokalipsy świętego Jana, gdzie napisano: „Radzę ci kupić u mnie złota w ogniu oczyszczonego, abyś się wzbogacił”.

Monsignore zdumiał się. — Objawienie świętego Jana wydaje się odgrywać u Flagrantes dużą rolę.

-

Chcę również panu powiedzieć dlaczego - braciszek zgodził się z Sofficim. -

Tekst Apokalipsy jest przepleciony tyloma zagadkami, że można z niego wyinterpretować niemal wszystko. Jednak teraz proszę mi wybaczyć. Zdaje się, że już powiedziałem o wiele za dużo. Z Bogiem!

Bezszelestnie, tak jak przyszedł, Cephyrinus zniknął z tacą śniadaniową.

Alberto otworzył okno i zaciągnął się chłodnym powietrzem poranka. W pierwszym świetle dnia rozpoznał daleko w dole bitą drogę, którą przyjechali. Znad Renu, który krył się za drzewami i chaszczami, unosiły się strzępy mgły. Pachniało świeżymi liśćmi. Z przeciwległego brzegu rzeki słychać było gwizd przejeżdżającego pociągu pośpiesznego.

Jak grom z jasnego nieba do pokoju wkroczył sekretarz stanu, kardynał Gonzaga.

Za nim wszedł braciszek, którego dotąd nie spotkali.

-

Wyjeżdżamy - oznajmił cicho Gonzaga. Wydawał się poruszony Wiadomość ta

zadziałała zbawiennie na Alberta i Sofficiego. Nikt

nie śmiał o nic pytać. Razem dreptali za braciszkiem.

Na dziedzińcu twierdzy czekał fiat Alberta. Alberto kochał swój wóz, jak każdy

facet, lecz nigdy wcześniej nie odczuwał tylu ciepłych uczuć wobec swojego

pojazdu, jak w chwili, gdy zapuszczał silnik. Soffici zajął miejsce obok kierowcy.

Gonzaga na tylnym siedzeniu.

Nigdzie nie było widać żywej duszy. Brama wjazdowa była otwarta. Alberto

ryknął silnikiem. Zbawienny dźwięk.

Nocna ulewa wymyła w polnej drodze głębokie koleiny. Alberto w żółwym tempie

zjeżdżał ze wzgórza.

Za pierwszym zakrętem nagle jakiś człowiek stanął na drodze z rozpostartymi

ramionami.

-

To Cephyrinus! - zawołał monsignore zdumiony. - A skądże on się tu wziął?

W potarganym odzieniu i z rozpostartymi ramionami Cephyrinus wyglądał jak

strach na wróble.

-

Kto to jest? Skąd znacie jego imię? - burknął niechętnie kardynał. Jednak

zanim Soffici zdążył odpowiedzieć, Cephyrinus podszedł do

lewej strony auta. Alberto odkręcił okno.

-
Bardzo proszę - dyszał braciszek bez tchu - zabierzcie mnie z sobą!

-Jak pan się tu dostał? - zasięgnął informacji szofer. Cephyrinus pokazał w górę i Alberto wychylił się przez okno samochodu. W górze z jednego z okien zwisała lina.

-Więc pan...?

-
Tak - odpowiedział Cephyrinus cicho.

Z tyłu auta odezwał się zniecierpliwiony Gonzaga: - Czego chce ten człowiek?

Niechże pan jedzie!

- Proszę, w imię Pana - błagał braciszek.

- Ma pan ruszać - krzyknął rozłoszczony Gonzaga.

-
Alberto rzucił w kierunku monsignore pytające spojrzenie. Ten jednak nie zareagował. Alberto przeczuwał, co to będzie oznaczało dla Cephyri-nusa, jeśli go tutaj zostawia.

-Jazda! - wrzasnął kardynał.

Alberto zamknął okno. Widział jeszcze zrozpaczoną twarz braciszka. Wtedy padł strzał. Na boczną szybę chlapnęła krew. Cephyrinus bez słowa osunął się na ziemię.

Upłynęło parę długich jak wieczność sekund, zanim wszyscy pojęli, co się wydarzyło. Kiedy Soffici zobaczył krew spływającą po szybie, poczuł mdłości.

Wystawił głowę z samochodu i zwymiotował.

Gonzaga powtórzył wściekle: - Jazda, Alberto!

Alberto ostrożnie puścił hamulec i dodał gazu.

ROZDZIAŁ 8

N

atrętny dzwonek telefonu wyrwał Malberga ze snu. Przez zasłony w pokoju hotelowym wpadały słabe promienie słońca. Zegar przy łóżku wskazywał godzinę ósmą pięćdziesiąt. Malberg nie znosił, kiedy telefon dzwonił przed dziesiątą.

- Malberg! - rzucił zaczepnie do słuchawki.

- Mówi Lorenza Falconieri - usłyszał żywy głos markizy.

- To pani? Czym zasłużyłem sobie na honor o tak wczesnej porze? - burknął

Malberg. Jeszcze nie całkiem się obudził.

- Mam nadzieję, że nie obudziłam pana. Sama dzisiejszej nocy oka nie zmrużyłam. Ten upał! Przy tej okazji rozmyślałam.

- I z jakim wynikiem?

Malberg spodziewał się, że markiza podejmie temat swoich stosunków z Marleną.

Ona oświadczyła jednak: - Jestem gotowa przekazać panu całą kolekcję książek za dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro. Pod warunkiem, że transakcja zostanie przeprowadzona w ciągu dwóch tygodni. W przeciwnym razie wystawię kolekcję na sprzedaż w jakimś fachowym czasopiśmie.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro! - Malberg nagle był całkowicie obudzony.

Opierając się na tym, co już widział, zdawał sobie sprawę, że zbiór był wart trzykrotnie, może nawet czterokrotnie więcej. Oferta miała tylko jeden haczyk: jak zgromadzić dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro w ciągu dwóch tygodni?

Malberg nie zarabiał źle. Prowadził ekskluzywny antykwariat w Monachium przy Ludwigstrafte. Jednak jego wystawny tryb życia, czynsz za sklep w najlepszym miejscu, piętrowe mieszkanie w Grünwald pod Monachium oraz koszty utrzymania pracowników, wymagały miesięcznych wydatków w wysokości

trzydziestu tysięcy euro. W niektórych miesiącach wydatki były wyższe niż dochody.

-

Malberg! Jest pan tam jeszcze?

— Tak, tak - wyjąkał Malberg nieobecny głosem. - Zastanawiam się, jak szybko zorganizować ćwierć miliona. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy to nie przelewki.

-

No tak - odparła markiza - ale oboje wiemy, że wartość ksiązek jest o wiele większa. Niech pan przemyśli sprawę. Ma pan dwa tygodnie. Dwa tygodnie od dzisiaj, ani dnia więcej.

—

Rozumiem.

Lorenza Falconieri pożegnała się w krótkich słowach i zostawiła Malberga w poczuciu pewnej bezradności.

Z bankowcem Haraldem Janikiem z banku Hypo Vereins Lukas Malberg był stale na wojennej ścieżce. Za każdym razem, kiedy potrzebował kredytu na zakup jakiegoś kosztownego przedmiotu, bankowiec wynajdywał tysiąc wymówek i twierdził, że autoryzowanie tak wielkiej sumy bez zabezpieczeń będzie go kosztowało utratę pracy. Zadrukowane starocie - tak się zwyczajowo wyrażał - w żadnym razie nie stanowią zabezpieczenia.

Malberg musiał działać szybko. I zadziałał.

Telefonicznie zabukował sobie lot LH 3859 z rzymskiego Fiumicino do

Monachium, wylot o trzynastej, przylot o czternastej trzydzieści pięć. Taksówką pojechał jeszcze do markizy, cyfrowym aparatem zrobił parę zdjęć kolekcji, a dwie godziny później siedział już w samolocie do Niemiec.

W Monachium z lotniska pierwsze kroki skierował do centrali banku H VB przy

Promenadeplatz. Efektowna budowla od czasu założenia zalatywała złotem, jak wszystkie wielkie siedziby banków. Wcześniej w samolocie Malberg ułożył sobie strategię negocjacyjną. W tym celu zrobione rano zdjęcia od razu na lotnisku dał do wydrukowania w formacie trzydzieści na czterdzieści.

Ku jego zdziwieniu bankowiec odniósł się do prośby o kredyt z mniejszym ociąganiem niż można się było spodziewać. Zainteresował się nawet żywo wielkoformatowymi zdjęciami.

Malberg początkowo nie umiał sobie wyjaśnić zmiany zwyczajów Janika. Ale przecież nie określił jeszcze kwoty, której pilnie mu trzeba.

-

Ile to wszystko jest warte? - spytał Janik wyniośle.

Malberg przełknął ślinę. - Chodzi panu o wartość rynkową czy o sumę, za którą mam możliwość te książki nabyć?

- Dla bankowca i w kontekście przyznawania kredytu, interesujące są naturalnie obie liczby.

- Wartość rynkowa od dwóch do trzech milionów euro jest z pewnością realna.

Harald Janik gwizdnął cicho przez zęby. - A jak wysoka jest cena kupna?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro.

- I tyle chce pan kredytu.

- Otóż to.

-

Proszę chwilkę zaczekać! - Bankowiec podniósł się zza swojego czystutkiego biurka ze stalowych rurek i zniknął.

Malberg zastanawiał się, co zrobi w razie decyzji odmownej. Jednak gdy jeszcze

rzecz rozważał, nie znajdując żadnego rozwiązania, Janik wrócił.

-

Pan zna mnie doskonale jako poważnego biznesmena - zaczął niezwykle przyjaźnie. - Chociaż nie jesteśmy w stanie sprawdzić ad hoc pańskich informacji, ufamy panu. Po konsultacji z kierownictwem, otrzymuje pan na okres dwunastu miesięcy kredyt w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy euro oprocentowane za każdy dzień, pod jednym warunkiem!

-

Jakimż to?

-

Zaoferuje pan naszemu bankowi najlepsze pozycje z kolekcji po cenie preferencyjnej.

Malberg nie wiedział, co się z nim dzieje. Patrzył badawczo na Janika, czy ten wziął jego słowa na poważnie.

Janik zauważył to krytyczne spojrzenie i powiedział: - Zapewne się pan dziwi mojej hojności.

-

Mówiąc szczerze, to tak.

-

Trzeba więc panu wiedzieć, że polityka inwestycyjna banku HVB coraz bardziej uwzględnia dzieła sztuki i antyki. Minęły już czasy dwucyfrowego procentu wzrostu na rynku nieruchomości. Najbardziej znaczące dzieła sztuki są dziś własnością bądź państwa, bądź dużych banków. Obok dobrej inwestycji odgrywa tutaj rolę również czynnik budujący wizerunek. Jak pan chce to ćwierć miliona,

gotówką czy czekiem bankierskim?

-

Czekiem bankierskim - odpowiedział Malberg niemal zawstydzony. Tak łatwo

nie wyobrażał sobie tej sprawy. Przypomniawszy sobie, jak niechętnie zachowywał

się Janik dawniej przy udzielaniu kredytu, nie mógł teraz uwierzyć we własne szczęście. Tak czy inaczej, pół godziny później Lukas Malberg wychodził z banku

mając w kieszeni czek bankierski na ćwierć miliona euro.

Zanim udał się w drogę powrotną do Rzymu, zajrzał jeszcze do swojego

antykwiariatu na Ludwigstraise, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Panna

Kleinlein, dyplomowana bibliotekarka, która niebawem miała przejść na emeryturę,

prowadziła sprawy od prawie dziesięciu lat. Wprawdzie jej aparycja nie zwiększała

obrotów, ale za to jej wiedza specjalistyczna - znacznie. Rozpoznawała wszystkich

piętnastowiecznych drukarzy po czcionkach, co się zaś tyczy pierwszych

pięćdziesięciu lat sztuki drukarskiej, znała doskonale każde poszczególne wydanie. A

w końcu było ich ze dwa tysiące.

Kiedy Malberg wkraczał do antykwiariatu, panna Kleinlein - która przywiązywała

wagę do tych staromodnych tytułów - miała akurat klienta, którego interesował

ilustrowany mszał z szesnastego wieku. Malberg nabył go przed trzema czy czterema

laty na aukcji w Holandii i dotychczas jakoś dziwnie nie znalazł na niego kupca.

Ze słodyczą w głosie i anielską cierpliwością panna Kleinlein objaśniała

zainteresowanemu klientowi zagadnienia barwionych miedziorytów i ozdobnych

czcionek. Tymczasem Malberg w biurze przeglądał tygodniowy bilans.

Doświadczenie wskazywało, że sierpień był miesiącem o najniższych obrotach w

roku. Muzealnicy i kolekcjonerzy byli na wakacjach.

Rozmowa o sprzedaży mszału szła jak po grudzie. Malberg przysłuchujący się

jednym uchem odniósł wrażenie, że klienta przeraziła cena czterech tysięcy euro.

-

Przepraszam, że się mieszam - Malberg wyszedł z biura - ale przypadku tego mszału chodzi o nadzwyczaj dobrze zachowany egzemplarz w oryginalnej obwolucie. Proszę zauważyć wspaniałe miedzio-

. Barwienie pochodzi z tamtych czasów. Badaliśmy je z użyciem lampy kwarcowej. Co się zaś tyczy ceny, jestem gotów wyjść panu naprzeciw, dowiedzmy, trzy tysiące pięćset!

Malberg ostrożnie kartkował cenny foliał strona po stronie. Właściwe podświadomie dotarło do niego datowanie ewangelii w ramach mszy iętej: Sexagésima, Oculi, Laetare. Przerwał.

Z kieszeni marynarki wyjął notatnik Marleny Panna Kleinlein spojrzała na szefa pytająco. Klient zdecydował się na kupno. Lecz Malberga nie zajmował teraz handel. Że też od razu na to nie wpadł! Za osobliwymi wpisami kryły się bardzo konkretne daty. Malberg pośpiesznie zamknął notatnik. Bez słowa wycofał się do biura i usiadł przy zużyтым biedermeierowskim sekretarzyku, który służył mu jako biurko. Z głową podpartą dłońmi studiował otwarty notatnik.

Jakaż to tajemnica kryła się za tymi dziwnymi wpisami? Nagle Malberg zaczął mieć wątpliwości, czy to w ogóle jest pismo Marleny. Fakt, że znalazł ten terminarz w jej mieszkaniu, nie oznacza, że zawiera on jej własnoręczne wpisy. Malberg westchnął. Najchętniej zapomniałby o całym tym okropnym incydencie, w którym nie odegrał roli szczególnie chwalebnej. Jak się jednak zdawało, duch Marleny go prześladowuje.

Dobiwszy targu, panna Kleinlein weszła do biura i położyła na blacie siedem

banknotów po pięćset euro. Miała zbyt wiele oporów, żeby pytać Malberga o powody jego dziwnego zachowania.

-

Panno Kleinlein - odezwał się wreszcie Malberg, nie odrywając wzroku od notatnika - jest pani w pewnym zakresie obeznana z Biblią, w każdym razie Stary Testament jest pani bliższy niż mnie. Co pani powie na te wpisy?

Panna Kleinlein zarumieniła się na słowa uznania ze strony szefa. Jednak nie trzeba jej było wiele. Stara panna łatwo się zawstydzała, zaś akurat do pochwał nie była przyzwyczajona. Starannie poprawiła swoje rogowe okulary i zaczęła kartkować notatnik, przy czym po każdej stronie zwilżała prawy palec wskazujący o dolną wargę.

Malberg nie spuszczał z niej oka i nie uszło jego uwagi, że panna Kleinlein nad każdą stroną wyraźnie kręciła głową. Na koniec podniosła wzrok i spytała: - Co to ma być? Od Marcina Lutra w każdym razie zapiski te nie pochodzą.

- Oczywiście, że nie - warknął zirytowany Malberg. - Interesuje mnie jedynie treść.

- Apokryficzna, to znaczy dość zagadkowa. Laetare, Sexagésima, Re-miniscere, Oculi, to dni z chrześcijańskiego roku kościelnego. W dodatku same niedziele.

-

A te imiona za nimi? Bo chodzi przecież o imiona?

-

Bez wątpienia. O ile się nie mylę... — Panna Kleinlein zdjęła z regału zniszczony leksykon biblijny i gwałtownie go kartkowała. - Pamięć mnie nie zawiodła - oświadczyła triumfalnie i przesunęła swoje rogowe okulary wyżej. - W kanonie hebrajskim - zaczęła czytać - księgi historyczne od Jozuego do Drugiej

Księgi Królewskiej nazywają się księgami dawnych proroków. W opozycji do nich

stoją późniejsi prorocy, którzy z kolei dzielą się na „wielkich” i „mniejszych”. Wielcy prorocy to: Izajasz, Jeremiasz, Ezechiel i Daniel. Dwunastu mniejszych proroków to:

Oze-asz, Joel, Amos, Abdiasz, Jonasz, Micheasz, Nahum, Habakuk, Sofoniasz, Aggeusz, Zachariasz i Malachiasz.

— Nahum, Zachariasz, Malachiasz... - mruczał pod nosem Malberg. - Imiona,

które pojawiają się także w notatniku. W każdym razie niektóre z nich.

—To prawda. Ale jeśli mogę sobie pozwolić na uwagę: sensu to wszystko nie ma.

Chyba że...

-

Chyba że?

—

Cóż, pomysł jest absurdalny. Nie, nie ma o czym mówić! Malberg nie chciał

dłużej naciskać panny Kleinlein. Obawiał się, że

może mu zacząć stawiać niewygodne pytania. Sądził zresztą, że przyszedł mu do

głowy ten sam pomysł co bibliotekarce.

ROZDZIAŁ 9

P

odród wzdłuż Renu w kierunku Frankfurtu przebiegała w ciężkiej atmosferze. Ani

sekretarz stanu, kardynał Gonzaga, ani Monsignore Soffici nie powiedzieli nawet

słowa. Także Alberto milczał. Twardo wpatrywał się w drogę.

Przeżycia ostatnich dwudziestu czterech godzin głęboko poruszyły tych trzech

ludzi. Nikt nie podziwiał romantycznego nadreńskiego krajobrazu, skąpanego w

błyszczącym świetle zachodzącego letniego słońca.

Na węźle Wiesbadener Kreuz Alberto skręcił w A3, kierując się na lotnisko.

Poranny ruch samochodów ciężarowych zmusił go do ograniczenia prędkości. Z północnego zachodu nadlatywał jeden samolot za drugim, niektóre tak nisko, że Alberto bezwiednie schylał głowę.

Soffici cierpiał głównie w związku z ciszą, która trwała już niemal od godziny, i przemyślał powody, jakie mogło mieć to milczenie. Czyżby to był wstyd, który wszystkim zamknął usta, czy raczej to coś niepojętego, w co wszyscy trzej byli uwikłani.

Soffici odetchnął, kiedy Alberto zatrzymał samochód na pasie krótkiego postoju przed halą odlotów A. Gonzaga bez słowa wysiadł z auta. Nawet wtedy, gdy Alberto wyjął z bagażnika niewielką torbę podróżną i wręczył kardynałowi, ten tylko w milczeniu skinął głową, po czym zniknął w szklanych drzwiach wejściowych.

Alberto i Soffici ruszyli w drogę powrotną.

Gonzaga miał przy sobie dwa bilety, każdy w jedną stronę. Jeden był wystawiony na nazwisko Dottore Fabrizi, drugi na nazwisko Mr. Gonzaga. Jeden był ważny na przelot z Frankfurtu do Mediolanu, drugi na przelot Mediolan-Rzym. Gonzaga rzeczywiście o wszystkim pomyślał.

Stewardessa na stanowisku Alitalii monitowała o pośpiech. Na wielkiej tablicy błyskały zielone lampki „boarding”. Gonzaga przyśpieszył. Samolot nie może mu uciec. W ostatniej chwili dotarł do bramki 36 i wreszcie zajął miejsce w klasie bussines na pokładzie boeinga 737.

Całą wieczność trwało, zanim pustawa maszyna ruszyła i ustawiła się w kolejce czekających samolotów. Kiedy samolot w końcu oderwał się od ziemi, kardynała ogarnęło błogie uczucie. Ulga wymazała niepokoje ostatnich dni. Koszmar ostatecznie się skończył.

Po stromym starcie boeing wziął kurs na południe. Gonzaga apatycznie wyglądał przez okno. Nad jego siedzeniem szumiał klimatyzator. Symbole nakazujące zapięcie pasów zniknęły i Gonzaga zapadł w drzemkę. Nagle zrobił się śmiertelnie zmęczony. Teraz ciężar spadł mu z ramion i Gonzaga starał się usnąć.

- Proszę mi wybaczyć, że pana zagaduję. - W półśnie usłyszał głos człowieka z sąsiedniego siedzenia. Gonzaga dotychczas nie zwrócił na niego uwagi, ponieważ to

miejsce podczas startu było puste. Teraz siedział tam jakiś mężczyzna. Gonzaga

spojrzał na jego twarz i przeraził się. Obcy człowiek miał kapelusz, a skóra na głowie ujawniała ciemnoczerwone ślady poparzeń. Nie miał rzęs ani brwi.

- Chciałbym panu zaproponować pewien interes — powiedział zdeformowany sąsiad.

-

Interes? - Gonzaga uniósł brwi. - Dziękuję, nie jestem...

-Jeżeli panu zależy - nieznany człowiek wpadł mu w słowo - jeżeli zależy panu na tym, aby uratować święty Kościół od chaosu, powinien pan mnie wysłuchać, kardynale.

-

Proszę posłuchać, nie wiem, czego pan chce ode mnie ani dlaczego nazywa mnie pan tym dziwnym tytułem „kardynale”. Zatem proszę mnie zostawić w spokoju!

Właściciel czerwonej twarzy zdawał się nie rozumieć i pokręcił głową.

Równocześnie machał czymś, co Gonzaga w pierwszej chwili wziął za nic nieznaczący kawałek plastikowej folii. - Nie udawajmy niczego, kardynale.

Flanelowy garnitur od Ceruttiego już od dawna nie jest w stanie zakamufłować

tożsamości kardynała na stanowisku sekretarza stanu, r Uśmiechnął się bezwstydnie.

Gonzaga błyskawicznie starał się powiązać wydarzenia zeszłej nocy z człowiekiem na sąsiednim siedzeniu. Bezskutecznie. .

- Kim pan jest i czego pan chce? - zapytał Gonzaga podejrzliwie.

- Moje nazwisko nie ma tu nic do rzeczy. Chciałbym jedynie zaproponować panu pewien interes.

- No dobrze. Słucham.

- To tutaj to maleńki fragment całunu Pana naszego.

Gonzaga poczuł, jakby prąd elektryczny przeszedł mu po całym ciele. Teraz dopiero obejrzał dokładniej celofanową torebkę, którą nieznajomy trzymał mu przed nosem: maleńki kawałeczek płótna, niewiele większy od znaczka pocztowego, umieszczony pomiędzy dwiema zgrzanymi foliami. Barwa wyblakłej ochry i splot tkaniny rzeczywiście wykazywały podobieństwo do całunu turyńskiego, który zawiózł do Burg Layenfels.

Gonzaga usilnie starał się zlekceważyć całą sytuację. - Załóżmy, że faktycznie jest to próbka całunu Pana naszego, jak pan wyraźnie twierdzi. Nasuwa mi się pytanie, co ja mam z tym zrobić?

-

A to, kardynale Gonzaga, pozostaje w pańskiej gestii. Może pan ten obiekt ukryć w sejfie Alfa Archiwum Watykańskiego, ale może też pan go zniszczyć. To byłoby zresztą najbezpieczniejsze rozwiązanie.

Gonzaga był coraz bardziej zaniepokojony. Poparzony człowiek znał bardzo dobrze nie tylko jego. Musiał także posiadać informacje o przedsięwzięciu Apokalipsa 20,7. Jakże inaczej mogłoby dojść do tego spotkania?

Tym jednak, co go całkowicie zbiło z tropu, była dogłębna wiedza tego człowieka o watykańskim tajnym archiwum. Skąd wiedział, że sejfy w archiwum są oznaczone

literami greckiego alfabetu? I skąd wiedział, że sejf Alfa skrywa największe sekrety chrześcijaństwa, dokumenty nieistniejące oficjalnie, jak raport z obdukcji Jana Pawła I, którego po trzydziestu trzech dniach pontyfikatu znaleziono martwego w łóżku?

Albo też sfalszowaną w średniowieczu Donację Konstantyna, która jednym pociągnięciem pióra uczyniła Kościół najbogatszym posiadaczem ziemskim Zachodu?

- Najpierw trzeba ten przedmiot poddać stosownym badaniom - zauważył kardynał. - Zresztą, co pana może zaskoczy, w całunie turyńskim brakuje w sumie trzech małych kawałków płótna, które niedawno zostały uzupełnione przez wprawione w rzemiośle zakonnice.

- Nie opowiada mi pan nic nowego, kardynale. Coś jednak odróżnia ten obiekt od pozostałych dwóch kawałków: jedynie na tym maleńkim kawałeczku płótna znajdują się ślady krwi. Co zaś to oznacza, tego nie muszę panu dalej tłumaczyć.

-

Jak zaczarowany wpatrywał się Gonzaga w maleńki kawałek płótna w kształcie trapezu. Wyraźnie dało się rozpoznać żółtobrunatny cień w kształcie kropli. Tak, przypominał sobie dokładnie trapezowate brakujące miejsce w płótnie, które w międzyczasie zostało naprawione. „Mój Boże, jakim sposobem ten kaleka wszedł w posiadanie relikwii?”

Kardynał nie odważył się zadać tego pytania nieznanemu. Był zupełnie pewien, że o ile w ogóle otrzymałby odpowiedź, byłaby ona fałszywa. Zrozpaczony Gonzaga szukał jakiegoś powiązania między wydarzeniami ostatnich dni i niespodziewaną propozycją nieznanego. Jednak w pośpiechu nie znalazł żadnego wyjaśnienia ani nawet teorii, która pozwoliłaby choćby na jakiś prowizoryczny wniosek. Zresztą Gonzaga był zbyt poruszony, żeby z tego zagadkowego zdarzenia wyciągać logiczne

wnioski.

-

Wcale pan jeszcze nie zapytał o cenę - przerwał rozważania Gonzagi człowiek z sąsiedniego miejsca.

Ten tylko spojrzał na niego pytająco.

-

No cóż - nieznajomy kontynuował przemowę - przedmiot tego rodzaju nie ma oczywiście ceny rynkowej jak obraz Tycjana czy Caravaggia. Sądzę jednak, że będziemy się poruszać właśnie w takich przedziałach cenowych. Co pan na to?

Gonzaga nie miał bladego pojęcia, ile może być warty taki Tycjan czy Caravaggio.

Nie zamierzał nawet zastanawiać się na tym. Jakże można porównywać wyschnięte ślady krwi Pana naszego, Jezusa, z jakimś olejnym obrazem stworzonym przez człowieka.

-

Tak czy inaczej - ciągnął nieznajomy - mogłem przecież kupno tej relikwii zaoferować Flagrantes. Ale chciałem być fair i najpierw zapytać Watykan.

Spodziewam się, że ten kawałeczek płótna ma większą wartość dla Kościoła niż dla kogokolwiek innego.

Gość był więc wprowadzony w temat. Gonzagę oblały zimne poty. Oczywiście, że to wszystko mogło być jednym wielkim blefem. Jednak jak na zwykłego oszusta ten człowiek znał zbyt wiele szczegółów. Z kimś, kto zna oznaczenie sejfu w tajnym archiwum watykańskim, nie ma żartów.

- Nie wiem, czego pan się spodziewa — odezwał się Gonzaga dyplomatycznie. -

Czyżby pan myślał, że zaraz wyjmę z kieszeni czek in blan-fo? Czy jak?

- Panie kardynale - zdenerwował się nieznajomy - powinien pan nas i naszą ofertę traktować jak najpoważniej!

-

-

Nas? Czy dobrze pana rozumiem, że nie działa pan w pojedynkę, że stoi za panem jakaś kryminalna organizacja?

Zdeformowany mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany, i żeby się uspokoić, a może także z powodu pewnego zakłopotania, pogładził wierzchem prawej dłoni przezroczysty celofan. Nie odpowiedział.

-

Niechże pan wreszcie wymieni swoją cenę! - naciskał kardynał.

-

Proszę złożyć ofertę, a potem podwoić sumę! Gonzaga gotował się ze złości.

Gość był taki pewny swego.

Po długim milczeniu z obu stron nieznajomy wstał z miejsca, nachylił się nad Gonzaga, co uczyniło jego wygląd jeszcze bardziej przerażającym, i oświadczył: -
Może pan swoją ofertę raz jeszcze przemyśleć. Zadzwoń do pana w ciągu najbliższych dni.

Po tych słowach zniknął za srebrnoszarą zasłonką oddzielającą klasę business od economy.

Gonzaga nieobecny wzrokiem spojrzął za okno. Był jak sparaliżowany. Pięć tysięcy metrów pod nim rozciągało się pasmo Alp szwajcarskich. Na najwyższych szczytach leżał śnieg. Gonzaga miał świadomość, że zaangażował się w niebezpieczną grę, diabelnie niebezpieczną grę.

ROZDZIAŁ 10

K

iedy Lukas Malberg dotarł następnego dnia znów do Rzymu, w hotelu zastał wiadomość od Cateriny Limy: - Proszę pilnie oddzwonić. W sprawie Marleny Ammer pojawiło się coś nowego.

Tajemnicze wpisy w notatniku Marleny na pewien czas odciągnęły Malberga od interesu życia, którego chciał dobić jeszcze dziś. W tym celu przygotował kontrakt, zgodnie z którym po przekazaniu czeku banku HVB na ćwierć miliona, uzyskuje własność całej kolekcji książek markizy Falconieri.

Problemem, który należało jeszcze rozwiązać, był transport cennego ładunku z Rzymu do Monachium.

Zająwszy pokój w hotelu Cardinal, Malberg chwycił za słuchawkę i wybrał numer reporterki.

Caterina robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej — reporterzy są powszechnie znani z tego, że zawsze są podekscytowani — zaproponowała, żeby się spotkali w Colline Emilianę na obiedzie. A że Caterina przy całym swoim poruszeniu była bardzo czarująca - cecha na którą Malberg był wyczulony - zgodził się bez wahania i poszedł na spotkanie.

Lokal na Via degli Avignonesi, małej uliczce położonej z dala od zgiełku, słynął podobno wśród miejscowych z wyśmienitej kuchni Emilii Romagny. Malberg był już oczekiwany.

Pamiętał Caterinę zupełnie inaczej: ubraną swobodnie, by nie rzec niedbale, z praktycznym warkoczem i bez makijażu. Całkowicie niespodziewanie spotkała się z nim ubrana w krótką spódnicę i białą bluzkę bez ramion. Włosy miała rozpuszczone, a usta dyskretnie pomalowane. Inaczej

niż podczas ich pierwszego spotkania, kiedy to nie dało się powstrzymać potoku jej słów, Caterina robiła wrażenie niemal przygaszonej. Mówiła ostentacyjnie powoli, nawet ostrożnie, przede wszystkim zaś cicho, rozglądając się dokoła, czy nikt w tym na wpół pustym lokalu ich nie podsłuchuje. W każdym razie takie wrażenie odniósł Malberg.

- Ta historia z Marleną brzydko pachnie - zaczęła cicho - a wręcz potężnie śmierdzi

- tu podsunęła Malbergowi jakieś ksero.

- Co to jest?

- Wynik obdukcji wykonanej przez Instytut Medycyny Sądowej Uniwersytetu

Rzymskiego. Specjalista patolog, niejaki dottore Martino Weber, stwierdził krwiaka z tyłu głowy. Poza tym złamany nos, ślady wyrywanych włosów oraz pozostałości środków uspokajających we krwi. Pod paznokciami Weber znalazł strzępy naskórka, wskazujące na walkę.

Malberg bez słowa pokiwał głową. Gdy Caterina mówiła, przed oczami pojawił mu się obraz Marleny, jej nagie ciało wepchnięte pod wodę. Wziął wdech, jakby już miał zacząć wyjaśniać, że to wszystko jedynie potwierdza to, co widział na własne oczy. Wolał to jednak przemilczeć.

-

A mimo to śledztwo umorzono! - ciągnęła Caterina. - Czy pan to rozumie,

signore}

Malberg i podekscytowana reporterka zamówili pastę oraz vino della casa.

Caterina spodziewała się jakiejś reakcji. Jednak Malberg z uporem milczał. Tamci dwaj mężczyźni na schodach! Uważał bowiem za wykluczone, żeby do konfliktu tego rodzaju doszło między Marleną a markizą. Owszem, był między nimi związek

bardzo szczególnie. Od Lorenzy Falconieri emanował chłód, który przyciągał zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Sam wcześniej całe wieki nie widział Marleny. Cóż o niej wiedział? Najwidoczniej przez te wszystkie lata stała się kimś innym. Ale co, u diabła, powstrzymuje śledczego przed wyjaśnieniem morderstwa dokonanego na Marlenie? Dlaczego umorzono śledztwo?

Dłubiąc apatycznie w makaronie, Malberg poczuł, że reporterka go obserwuje. Po prostu czuł na sobie jej badawcze spojrzenie. Malberg był przekonany, że Caterina Lima wie więcej, niż wyjawiała. Nie ma wątpliwości, nie ufa mu.

Już chciał jej powiedzieć prawdę, chciał się przyznać, że to on odkrył morderstwo, gdy Caterina Lima go ubiegła: - Nie wiem, co mam o tym sądzić. Właściwie nie wolno mi już więcej się z panem spotykać.

-

Co to ma znaczyć? Przecież bada pani tę sprawę.

-Tak. Do wczoraj. Wczoraj w bardzo nieładny sposób odebrano mi ten temat. Po zebraniu redakcyjnym o jedenastej wezwał mnie Bruno Ba-file, mój redaktor naczelny, i oświadczył, że w trybie natychmiastowym są mi odebrane wszystkie zadania reporterki śledczej i zostają przydzielona do działu „Rozmaitości”. Temat Marleny Ammer zdechł.

- Zdechł?

- Tak się mówi w czasopiśmie, kiedy dziennikarskie śledztwo zostaje wstrzymane.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie rozumiem, signore.

- Czy to u was jest przyjęte?

- Tak, oczywiście, jeżeli śledztwo do niczego nie prowadzi, jeśli na przykład morderstwo okazuje się być nie morderstwem, lecz wypadkiem, jakich tysiące, wtedy

się przestaje badać sprawę i przechodzi do innego tematu.

- Ale to nie był wypadek! To było morderstwo!

- Pan tak uważa i ja również. Tym bardziej zagadkowe wydaje mi się moje przeniesienie do innego działu. Mam wrażenie, jakby mnie odsunięto, żebym komuś nie zaszkodziła. Jednak to czyni całą historię jeszcze bardziej zajmującą.

-1 co pani chce teraz zrobić?

-

Będę trzymać się tego tematu, nieoficjalnie, rozumie się. Jako dziennikarka śledcza wyrobiłam sobie tak dobre kontakty, że byłoby głupotą teraz się poddać.

Tematy w dziale „Rozmaitości” w istocie w ogóle mnie nie zajmują. Co mnie obchodzi, że Gina Lollobrigida ma o trzydzieści lat młodszego kochanka, albo że Mario Andreotti ma dziesięć córek z nieprawego łoża? Mnie interesują otchłanie ludzkiego życia. W przyszłym tygodniu znajdę sobie jakąś nową pracę. Basta.

Prostolinijność Cateriny zafascynowała Malberga. Najwidoczniej była w tę sprawę głęboko zaangażowana. Zwąchała wielki temat, być może większy niż sam przeczuwał.

-

To jak pani widzi sprawę Marleny Ammer? - zagadnął Malberg oględnie. -

Jako zbrodnię mafii?

Caterina zaśmiała się sztucznie. Drwiąco dodała: - Może jeszcze stoi za tym KGB albo CIA! Mówiąc poważnie, zbrodnie mają w większości

najzwyklejsze powody emocjonalne. Większość morderstw ma swoje źródło w urażonych uczuciach, miłości, zazdrości, nienawiści, zawiści i zemście. I to właśnie sprawia, że moje zajęcie jest tak interesujące. Cóż, powinnam raczej powiedzieć:

było.

Malberg skinął głową, robiąc wrażenie, że te opowieści są dla niego zajmujące. W rzeczywistości zaś szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego reporterka tak głęboko zaangażowała się akurat w tę sprawę. W tak światowym mieście jak Rzym, o tak dużej przestępczości, morderstwa są na porządku dziennym. A kiedy Malberg słuchał jednym uchem, zaczęło go ogarniać dziwne uczucie.

Spojrząwszy na Caterinę, niełatwo mu było pogodzić się z myślą, że gra ona tutaj fałszywą rolę. Znacznie chętniej powiedziałaby jej jakiś komplement. Wyglądała po prostu świetnie. Jednak w jakiś sposób między nimi stała Marlina. Caterina przestała mówić. - Co pani teraz zamierza? - pośpieszył z pytaniem Malberg.

- Powinniśmy przeświecić życie Marleny Ammer. Jest to jedyna możliwość, aby rzucić jakieś światło na mroki tej sprawy.

Malberg z zadowoleniem zauważył, że powiedziała „my”, zatem włączyła go w dalsze poszukiwania, jakby to było czymś oczywistym.

- Wolno mi chyba liczyć na pańską pomoc?

- Oczywiście. Sam koniecznie chcę się dowiedzieć, dlaczego Marlina musiała umrzeć.

Caterina upiła łyk z kieliszka. - Była zaprzyjaźniona z markizą - powiedziała zamyślona. - Sądzę, że markiza jest w tej chwili jedyną osobą, która może nam pomóc. Czy pan dobrze zna Lorenzę Falconieri?

- Co znaczy dobrze? Dopiero raz się z nią widziałem. Zrobiła na mnie arystokratyczne wrażenie, choć przypuszczalnie pamięta lepsze czasy. Jestem zainteresowany jej kolekcją książek. Prawdę mówiąc, złożyłem jej już ofertę i zgodziła się.

- Dobra transakcja?

- Doskonała. Antykwariusz żyje z tego, że okazjnie kupuje całe kolekcje i potem sprzedaje pojedyncze książki z zyskiem.

Reporterka uśmiechnęła się.

- Co w tym zabawnego? - spytał Malberg.

- Proszę mi wybaczyć, signore. Do dzisiaj zupełnie inaczej wyobrażałam sobie antykwariusza.

-

-Tak? A jak?

-

Cóż, jako nieco ekscentrycznego, lekko podstarzałego i suchego, jak te stare księgi.

Malberg skrzywił się urażony. - Mam nadzieję, że teraz zmieni pani zdanie!

-

W każdym razie co do pana.

Jak każdy mężczyzna, również i Malberg był niezwykle wrażliwy na pochlebstwa.

Cóż, w istocie źle nie wyglądał. Był wysoki, wysportowany, choć żadnego sportu nie uprawiał, miał gęste, ciemne włosy, w typie George'a Clooneya, jak mu kiedyś powiedziała pewna dawna znajoma.

- Czy w tych okolicznościach byłby pan gotów towarzyszyć mi do markizy? — zapytała Caterina.

- I tak chciałem ją odwiedzić.

Pół godziny później wspólnie ruszyli w drogę.

W ciągu nocy przytłaczającą duchotę ubiegłych tygodni zastąpiły przyjemniejsze

temperatury Subtelnie dawała o sobie znać jesień.

Kiedy taksówka skręciła z Via Dei Coronari w wąską, boczną uliczkę, przy której stał dom markizy, Caterina zaniepokoiła się.

-

Proszę się zatrzymać - rozkazała kierowcy i wskazała na drugą stronę ulicy:

przed wejściem do domu markizy stał zaparkowany samochód Guardia Civil. Przed bramą stał mundurowy na szeroko rozstawionych nogach.

Malberg spojrzał pytająco na reporterkę: - Cóż to ma znaczyć?

Caterina wzruszyła ramionami. - Proszę tu zaczekać!

Wysiadła i podeszła do policjanta. Po krótkiej wymianie zdań wróciła.

-

Powiada, że chodzi o akcję policyjną. Dokładniejszych informacji nie może udzielić. Nie może też powiedzieć, przeciwko komu jest prowadzona akcja. Ale proszę chwilę zaczekać!

Podczas gdy Malberg płacił za taksówkę, Caterina odeszła kilka kroków na bok i z torby przewieszanej przez ramię wygrzebała komórkę. Robiąc teatralne gesty, charakterystyczne dla wszystkich Włosek przy telefonowaniu, mówiła coś do rozmówcy. W końcu jej postawa przeszła w milczące zdumienie.

Kiedy wróciła, robiła wrażenie zdezorientowanej.-Aresztowali mar-

-

powiedziała z namysłem.

- Więc jednak - wyrwało się Malbergowi.

- Co ma znaczyć: więc jednak?

- Markiza zabiła Marlenę. Mój Boże!

Caterina dziko zamachała rękami. - Signore, o czym pan mówi? Mój informator z

Guardia Civil właśnie mi wyjaśnił, że istnieją poważne dowody na to, że Lorenza Falconieri od śmierci męża prowadziła międzynarodową organizację paserów, wyspecjalizowaną w handlu kradzionymi inkunabułami i kodeksami.

- Markiza? - głos Malberga brzmiał bardziej rozbawieniem niż zdziwieniem. -

Zapewniała mnie, że na starych księgach nic a nic się nie zna. A nie robiła przy tym wrażenia, że kłamie.

- Zawodowi przestępcy mają to już w sobie. Mordercy rzadko wyglądają tak, jak sobie człowiek wyobraża mordercę. Zaś paserzy obracający milionami wolą robić wrażenie niepozbieranych. Od razu widać, że takie środowiska są panu obce.

Jeszcze dyskutowali, gdy oto ze zrujnowanego domu po przeciwnej stronie na chodnik wyszła markiza prowadzona przez dwóch karabinierów. Miała na sobie lniany kostium z krótkimi rękawami i sandały na wysokim obcasie. Zauważywszy Malberga, zatrzymała się i wzruszyła ramionami. Przekrzywiła przy tym głowę, jakby chciała powiedzieć: Przykro mi, nici z naszej transakcji. Następnie wsiadła do czekającego auta policyjnego.

-

Całą sprawę uruchomił pewien kolekcjoner mieszkający w Monte Carlo - oświadczyła Caterina, patrząc za odjeżdżającym wozem policyjnym. - Markiza zaproponowała mu za pół miliona stary foliał z odręcznymi zapiskami reformatora Melanchtona. Nie wiedziała jednak, że tę właśnie księgę skradziono z jego mieszkania podczas włamania dwa lata wcześniej. To ci pech.

Malberg się roześmiał, śmiał się głośno i sztucznie, jakby chciał się pozbyć jakiegoś koszmarne snu. Dostrzegłszy pytający wzrok Cateriny, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął czek bankierski i w koniuszkach palców przytrzymał reporterce przed nosem.

-
Ćwierć miliona? Ale przecież nie...

- A jednak. I sądziłem, że robię interes życia. W każdym razie jakiś osobliwy zbieg okoliczności uchronił mnie przed życiową plajtą.

- Można więc pogratulować, że ta transakcja uciekła panu sprzed nosa.

-
-
Ano można - Malberg pokręcił głową. - Sam siebie nie rozumiem. Właściwie powinienem był coś podejrzewać, kiedy markiza zaproponowała całą kolekcję za ćwierć miliona. Ale żądza zysku tumani umysł. Dzięki Bogu, że po raz kolejny wszystko się udało.

Malberg ze swoimi myślami był gdzieś daleko, kiedy reporterka nagle zadała pytanie: - Czy może pan sobie wyobrazić, żeby między zamordowaniem Marleny Ammer i ciemnymi interesami markizy był jakiś związek? W końcu znały się.

-
W istocie - wypsnęło się Malbergowi. - Nie byłoby to pierwsze morderstwo, za którym stoi jakaś cenna księga.

ROZDZIAŁU

D

ziewczyna biegła lekko jak piórko wzdłuż Promenady Reńskiej w Kolonii. Miała na sobie przewiewny strój joggingowy, zaś jej długie włosy, związane w koński ogon, skakały żywo na prawo i lewo. Od rzeki, która leniwie toczyła swoje wody w świetle poranka, szedł przyjemny chłód.

Dziewczyna co chwila się zatrzymywała, oglądała za siebie i wołała: - Szekspir!

Szekspir!

Wtedy biały kłębuszek, miutki terier przyśpieszył i dogonił swoją panią. Nie jest zresztą jasne, dlaczego kobiety nazywają swoje psy najchętniej po wielkich poetach lub malarzach, i jest to równie zagadkowe jak Objawienie świętego Jana, czyli nie wymaga dalszego roztrząsania.

W miejscu, gdzie cumuje wycieczkowy parowiec robiący rejsy po Renie na trasie Kolonia-Dusseldorf, Szekspir zaczął szczekać tak histerycznie, jakby był ścigany przez tuzin wściekłych rottweilerów. Wołanie dziewczyny nie zdołało zwierzęcia uspokoić, a kiedy wreszcie podeszła do zdenerwowanego zwierzaka, dokonała przerażającego odkrycia.

Nocą Ren wyrzucił na brzeg nagie ciało topielca. Utknęło przy pływającym pomoście i kołysało się w wodzie twarzą do góry i z rozpostartymi ramionami. Ciało mężczyzny postawiło przed kolońską policją trudne zadanie. Szybko się okazało, że to nie wypadek ani samobójstwo, ponieważ mężczyzna około czterdziestki miał na głowie ranę po strzale, który roztrzaskał lewą połowę czaszki i w ułamku sekundy doprowadził do śmierci. Wnioskując na podstawie stanu zwłok i uwzględniając szybkość prądu rzeki, śledczy doszli do przekonania, że ów człowiek musiał stać się ofiarą zbrodni pomiędzy Bingen i Neuwid.

Sekcja przeprowadzona dwa dni później potwierdziła początkowe podejrzenie: ofiara została zastrzelona ze sporej odległości z broni dużego kalibru, przypuszczalnie maszynowej, pochodzenia rosyjskiego. W czaszce znajdowały się dwa pociski. Nie było śladów osmalenia.

Równocześnie patologowie z Kliniki Uniwersyteckiej w Kolonii stwierdzili zranienia na prawym udzie, które nie były w żaden sposób powiązane z morderstwem, zaś ze względu na czas ich powstania nie pozwoliły na wyciągnięcie

żadnych wniosków co do ich przyczyn.

Z prawdopodobieństwem osiemdziesięciu procent patologowie stwierdzili w protokole, że pomiędzy śmiercią ofiary i znalezieniem zwłok w rzece upłynęło dwanaście godzin. W płucach i żołądku nie było śladów wody rzecznej. Stąd mogłoby wynikać, że człowiek ten został zastrzelony, kiedy pływał lub szedł w wodzie. Analiza krwi nie wykazała śladów alkoholu ani narkotyków.

Odpowiedni prokurator wszczął sprawę o sygnaturze akt K-0103-2174 przeciwko nieznanemu sprawcy.

Następnego dnia ukazał się Kölner Express ze zdjęciem zdeformowanego mężczyzny na stronie tytułowej. Pod spodem wielkimi literami było napisane: TAJEMNICZE MORDERSTWO. KTO ZNA TEGO CZŁOWIEKA?

ROZDZIAŁ 12

B

Było jeszcze wczesnie rano, a kardynał Gonzaga już siedział przed dwoma uporządkowanymi stosami akt. Z jego biura w Pałacu Apostolskim, położonego bezpośrednio pod prywatnymi pomieszczeniami papieża, można było podziwiać swobodny widok na plac Świętego Piotra. Przez przymknięte okno dochodziły pojedyncze głosy: to gadatliwi ojcowie franciszkanie, którzy szli z Palazzo del Tribunale do konfesjonałów u św. Piotra. Gonzaga mechanicznie składał podpisy pod kolejnymi dokumentami. Wydawał się być nieobecny i wciąż w zadumie wyglądał przez okno, jakby cały ten kram z dokumentami nic dla niego nie znaczył. W końcu odłożył na bok czarne wieczne pióro, odchylił się i poprawił purpurową szarfę, która opasywała czarną sutannę.

Sekretarz kardynała wszedł do biura bez pukania: - Dzień dobry, ekscelencjo, poranna poczta!

-
Coś ważnego? — mruknął Gonzaga i przerzucił otwarte listy.

-
O ile przystoi mi dokonywanie jakichś ocen, to nie, ekscelencjo. Chyba że...

-Tak?

Soffici wyciągnął ze stosu kartkę. - E-mail od Archanioła Gabriela!

-
Dość głupawe, nie sądzi pan?

-
Pomysł nie pochodzi ode mnie, lecz od siostry Judyty z zakonu Sióstr

Franciszkanek Eucharystii, która prowadzi biuro internetowe i nazwała swoje komputery imionami archaniołów Michała, Rafaela i Gabriela.

Gonzaga skrzywił się zmęczony. Śmiech był mu obcy. Śmiech, jak zwykł mawiać, to diabelska maska. W ciągu siedmiu lat jako sekretarz stanu kardynał Gonzaga nauczył się, że ciężar urzędu jest do zniesienia jedynie przy odpowiedniej dawce cynizmu. Nagle przerwał. Tekst wydruku komputerowego brzmiał: „Ekscelencjo. Było dla mnie radością, by nie rzec przyjemnością, spotkanie pana w takiej bliskości niebios. Co się tyczy mojej propozycji przekazania panu próbki krwi Pana naszego, to cena stu tysięcy dolarów wydaje mi się rozsądna. W celu wyjaśnienia szczegółów pozwolę sobie w najbliższych dniach zgłosić się do pana pod nazwiskiem: Poparzeniec”.

Bardziej niż bezczelna treść pisma kardynała zaszokowało nazwisko autora.

-
Wariat - stwierdził Soffici i z zakłopotaniem wzruszył ramionami. - Niemal

codziennie w pańskiej poczcie znajduje się jakiś list tego rodzaju. Tym jednak, co odróżnia ten tutaj od innych, jest jego szczególny styl. Co ma na myśli, pisząc, że spotkał pana „tak blisko niebios”?

Gonzaga wstał z biurka, splótł ręce na plecach i zaczął niespokojnie chodzić po pomieszczeniu. Na koniec zamknął okno, jakby chciał zapobiec podsłuchaniu ich rozmowy, i powiedział: - Soffici, jest pan moim szczerze oddanym sekretarzem i jak dotąd nie miałem powodu się skarżyć. Bez skrupułów wtajemniczyłem pana w sprawę dotyczącą całunu Pana naszego.

- Nie wiem, do czego pan zmierza, ekscelencjo. Czyżby jakaś niedyskrecja z mojej strony dała panu powód do skargi? - wyglądało to niemal tak, jakby Soffici miał nieczyste sumienie.

- Nie, absolutnie nie. Chciałem tylko raz jeszcze zwrócić panu uwagę, jak niebezpieczna jest ta sprawa. Zatem ani słowa, żadnych uwag w obecności kogokolwiek z zewnątrz. A w tej sprawie każdy jest z zewnątrz, nawet sam kardynał Kurii.

Soffici bez słowa skinął głową.

-W czasie lotu z Frankfurtu do Mediolanu - zaczął półgłosem Gonzaga - nagle usiadł obok mnie nieznanomy człowiek i pomachał mi przed nosem zafoliowanym kawałkiem płótna, niewiele większym od znaczka pocztowego i w kształcie trapezu.

- Niech Bóg zmiłuje się nad nami. Przeczuwam coś przerażającego. Brakujący kawałek płótna z całunu?!

- Pańskie przecucie pana nie myli, Soffici. Jednak sprawa jest gorsza niż pan sądzi. Na tym małym kawałeczku lnu wyraźnie można rozpoznać ślad krwi...

-

- Nie! A ja sądziłem, że nasza wizyta w Burg Layenfels zamyka całą sprawę.

- Też tak sądziłem.

- Czy ma pan jakieś pojęcie, kim może być ów tajemniczy handlarz?

- Nieznajomy przemilczał swoje nazwisko. Zresztą nawet gdyby się przedstawił, i tak podałby fałszywe dane. Szczególny w nim był jego opłakany wygląd. Miał okropne poparzenia na twarzy i starał się ukrywać pod czarnym kapeluszem.

- I co pan teraz zamierza zrobić, ekscelencjo? Nie nosi się pan chyba z zamiarem, aby przystać na jego propozycję? Chodzi mi o to, że sto tysięcy dolarów to mnóstwo pieniędzy za kawałek płótna, co do którego nie ma nawet pewności, czy to w ogóle jest autentyk. Z drugiej strony...

Gonzaga odczekał dłuższą chwilę. W końcu odezwał się niepewnie: - Cóż znaczy sto tysięcy dolarów w porównaniu do szkód, jakie może spowodować ta relikwia. Pan wie, o czym mówię.

-
Wiem! - Soffici gwałtownie skinął głową. - Ale to zwykły szantaż. ..

Kiedy monsignore wypowiedział to słowo, na biurku kardynała zadzwonił telefon.

Soffici odebrał i słuchał, następnie przekazał słuchawkę Gonzadze: - Do pana!

- Otrzymał pan moją wiadomość? - kardynał natychmiast rozpoznał ten głos.

- Tak - odparł cicho.

- Dobrze. Oczekuję pana z tą kwotą w plastikowej torbie. Jutro po zapadnięciu zmroku o dwudziestej pierwszej.

- A gdzie?

- Na Piazza del Popolo. Zakładam, że przybędzie pan ze swoim kierowcą i będzie pan jak zwykle siedział na tylnym siedzeniu po prawej stronie. Niech kierowca na rondzie wybierze zewnętrzny pas i tak długo jeździ wokół pomnika, aż zwróć na

siebie uwagę błyskającą latarką. Wtedy szofer ma się zatrzymać. W ciągu dziesięciu sekund będzie po wszystkim.

-Ale...

-

Żadnych ale. Pieniądze za towar. Zaufanie za zaufanie. Nie będzie już drugiego terminu przekazania towaru. - Tu nieznajomy odłożył słuchawkę.

- Ekscelencjo! - zatroskany Soffici stanął przed sekretarzem stanu. - Czyba nie zgodził się pan?

- Zgodziłem się, Soffici, zgodziłem!

- Sto tysięcy...

- Dolarów.

- A jak pan chce tę kwotę zaksięgować, ekscelencjo?

- Może pan to zostawić mnie. Na przypadki tego rodzaju istnieje tajny fundusz.

Niech pana o to głowa nie boli.

Soffici skłonił się z oddaniem. Wiedział o istnieniu tajnego funduszu na szczególne sprawy Kościoła. W Kurii krążyły ogromne sumy, które umieszczano na tajnych kontaktach i które były do dyspozycji w razie jakichś szczególnych wydarzeń. Podobno pieniądze te pochodziły z tak zwanych donacji, dzięki którym wysoko postawione osoby kupowały unieważnienie małżeństwa. Fundusz istniał poza księgowością, zaś dostęp do niego miał tylko sekretarz stanu Gonzaga.

-

Sytuacja nie jest bezpieczna - zauważył monsignore z poważnym wyrazem

twarzy. - Ktokolwiek kryje się za tym nieznajomym, ludzie ci znają nasze

wewnętrzne sprawy. Jak inaczej można wyjaśnić, że ktoś połączył się telefonicznie

bezpośrednio z pańskim domowym numerem. Siostry z Famiglia Paolina w centrali telefonicznej nigdy by nie przełączyły anonimowego rozmówcy.

Gonzaga podniósł wzrok: - Sądzi więc pan, że istnieją jakieś tajne kontakty świata przestępczego sięgające aż za mury Watykanu? - Kardynał wydobył z sutanny ogromną chustkę i wytarł pot z łysiny.

Monsignore Soffici ściągnął twarz w bolesny grymas. Potem, studiując paznokcie swojej prawej dłoni, odparł, nie podnosząc oczu: - Któż to wie, ekscelencjo?

ROZDZIAŁ 13

N

astępnego dnia Malberg udał się do domu Marleny przy Via Gora 23. Wydarzenia z poprzedniego dnia związane z markizą mocno go poruszyły. Wcześniej jak odurzony

pożegnał się z reporterką, po czym z butelką Barbaresco zakupioną w pobliskiej

winiarni wrócił do swojego pokoju w hotelu. Ciężkie czerwone wino nie pozostało bez wpływu i posłało Malberga na całe dziesięć godzin do krainy snów.

Co się tyczy snów, to okazały się one pogmatwane i niejasne, zupełnie tak samo

jak sytuacja, w której nie ze swojej winy się znalazł. A przy tym jakiś głos

wewnętrzny mówił mu, że powinien podjąć poszukiwania tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Malberg zdziwił się, że drzwi wejściowe do budynku są zamknięte, ale miał

szczęście - pewna dobrze ubrana signora akurat wychodziła i chętnie pomogła mu otworzyć drzwi.

Na schodach pachniało świeżą farbą. Panowała grobowa cisza. Chociaż głównie

interesowała go dozorczyńni domu, od której spodziewał się uzyskać informacje o znajomych Marleny, najpierw ciągnęło go na najwyższe z pięciu pięter.

Podobnie jak przy pierwszej wizycie, Malberg pogardził staromod windą i wybrał

schody. Kiedy spokojnie stawiał nogę za nogą, przed je wewnętrznym okiem pojawiał się wciąż na nowo obraz martwej Marle wepchniętej do wanny. Wyglądało to tak, jakby te stop-klatki w nieusuwalny sposób wżarły mu się w pamięć.

Zdenerwowany Malberg zatrzymał się. Początkowo sądził, że pomylił piętra.

Jednak potem zobaczył, że tutaj schody się kończą. Miał w pamięci

dwuskrzydłowe drzwi do mieszkania, pomalowane na biało, oraz dzwonek zamontowany w ścianie. Zamiast tego stał przed białą ścianą. Tylko po lewej,

naprzeciw schodów, były stalowe drzwiczki prowadzące na strych. Za nimi walały się najrozmaitsze śmieci.

W tym momencie ruszyła winda i z dołu do jego uszu doszły jęki i piski, które już wtedy zwróciły jego uwagę.

Za dużo dla ciebie tego wszystkiego, pomyślał sobie Malberg. Najwidoczniej nie udaje ci się już odróżniać rzeczywistości od wyobrażeń. Pełen wątpliwości pokręcił

głową. Czyżby pamięć płatała mu figla? Od przedszkola klatki schodowe robiły na nim wrażenie groźnych i zatrważających. Swego rodzaju fobia, która widocznie także

w tej chwili go dezorientuje.

Malberg zawrócił. Piętro niżej było dwoje drzwi, po prawej i lewej, pomalowanych na biało, ale jedne i drugie wyglądały inaczej niż drzwi do mieszkania Marleny.

Malberg zadzwonił do prawych drzwi. Nic. W końcu spróbował tego samego po lewej. Zaszczekał pies. Kroki. Drzwi otworzył starszy człowiek o czarnych włosach w nieładzie. Nie umiał uspokoić hałasującego psa. Zobaczywszy Malberga, zamknął drzwi, zanim ten zdążył wypowiedzieć choć słowo.

Malberg jak opętany zbiegł w dół schodów. Przed drzwiami dozorczyini zatrzymał się i nasłuchiwał. Przez drzwi dobiegała muzyka klasyczna z radia. Nie było dzwonka. Zapukał.

Spodziewał się dozorczyń z krótkimi włosami. Dlatego kiedy drzwi się otwały, początkowo zaniemówił. Przed nim stała starszawa zakonnica o zatroskanym, surowym obliczu, w brązowym habicie i czarnym pledzie.

-

Tak, słucham? - spytała głębokim, gardłowym głosem. Z trudem starała się robić przyjazne wrażenie.

Niezdolny do odpowiedzi, Malberg spojrział obok zakonnicy, aby rzucić okiem na wnętrze mieszkania. Zauważył, że robiło wrażenie opustoszałego.

-

Chciałbym rozmawiać z concierge - wyjąkał Malberg nerwowo.

-

Concierge} Tu nie ma żadnej conciergel - po czym raczyła jeszcze dodać: -

Mój synu.

Na próżno Malberg szukał na drzwiach tabliczki z nazwiskiem. - Ale kiedy ostatnio tu byłem, to mieszkanie zajmowała dozorczyń, około czterdziestki, postawna i z krótkimi włosami!

Zakonnica wsunęła obie dłonie w rękawy swojego zakonnego stroju, który przydawał jej niedostępności. Zmrużyła oczy i taksowała nieznanego od stóp do głów. - A kiedy to niby było? - spytała wreszcie.

-Wcale nie tak dawno, jakiś tydzień temu, nie wcześniej.

- Z pewnością jest pan w błędzie. - Zakonnica zmusiła się do uśmiechu. Robiła wrażenie dość cyniczne, jakby chciała powiedzieć: biedny maniak.

- A mieszkanie na piątym piętrze? Także zapewne się mylę? - Mal-berg się rozżłościł.

Twarz zatroskanej kobiety pociemniała i swoim gardłowym głosem odparła: - Nie

wiem, o czym pan mówi, signore. Na piątym piętrze tego domu znajduje się strych.

Nic więcej. Czy pan się dobrze czuje?

Malberg najchętniej rzuciłby się zakonnicy do gardła. Czuł się zrobiony na szaro.

Chętnie odszczeknąłby jej: Ty durna kozo, widziałem tamto mieszkanie na własne oczy. Było zamieszkane przez kobietę nazwiskiem Marlena Ammer. Jakaś świnią ją zamordowała. A wszystko, co tu się wyrabia, nie jest niczym innym, jak obrzydliwą inscenizacją, aby zatuszować morderstwo.

Jednak w ułamku sekundy wziął się w garść. Być może to wszystko jest tylko pułapką? Może ktoś chce świadomie go sprowokować, żeby się przekonać, ile wie? A może nawet już go śledzą? Czyżby policja już wiedziała, że to on znalazł Marlenę martwą?

Nawet nie miał alibi, zresztą nie mógł mieć alibi, bo zaraz po zamordowaniu Marleny był w jej mieszkaniu. Malberg coraz wyraźniej sobie uświadamiał, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazł.

Jakby z oddali usłyszał głos zakonnicy, która powtórzyła swoje pytanie: — Czy pan się dobrze czuje?

-

Oczywiście - zapewnił Malberg. - Proszę mi wybaczyć kłopot. Pewnie pomyliłem kamienice.

Zakonnica skinęła wyrozumiale głową, a Malberg szybko się pożegnał i opuścił dom.

Dobry kwadrans spacerował w tę i z powrotem chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy. Miał przy tym oko na wejście do domu przy Via Gora 23. Sam dobrze nie wiedział, na co właściwie czeka. Malberg był bezradny. W końcu zrezygnował i

piechotą poszedł do hotelu.

Kiedy przechodził na drugą stronę Tybru mostem Ponte Sisto, zadzwoniła jego komórka.

-

Mówi Caterina. Dobrze, że pana złapałam. Mam nowiny!

- Ja też! - Malberg zatrzymał się i spoglądał z mostu na zgniózcie-loną rzekę.

- Proszę opowiedzieć - zawołała reporterka podekscytowana.

-

Odwiedziłem dom, w którym mieszkała Marlena. -1? No, mówże pan!

-1 nic. W ogóle nic.

-

Cóż to ma znaczyć, na litość Boga?

-To znaczy, że tamto mieszkanie już nie istnieje. Rzekomo nigdy nie istniało, i rzekomo Marlena nigdy w tym domu nie mieszkała.

- W takim razie po prostu pomylił pan adres. W zdenerwowaniu takie rzeczy się zdarzają. Zresztą w niektórych częściach Rzymu jeden dom potrafi wyglądać tak samo jak inny.

- Możliwe, ale znam ten dom. Znam mieszkanie, w którym mieszkała Marlena.

Widziałem je na własne oczy!

- Kiedy?

- W dniu, kiedy Marlenę zamordowano...

Po trwającej chyba wieczność przerwie Caterina znów się odezwała poważnym głosem: - Chce pan przez to powiedzieć...

- Tak, widziałem Marlenę. Leżała martwa w wannie.

- Nie może być.

- A jednak.

- Dlaczego pan to przede mną przemilczał? Malberg przełknął ślinę. - Chce pani usłyszeć prawdę?

- Oczywiście - i po chwili: - Jest pan tam jeszcze?

-Tak. Nie wiedziałem, czy mogę pani zaufać. Taka jest prawda. Po dłuższej chwili

Caterina powiedziała: - Rozumiem. A co pana skłoniło do zmiany przekonania? —

Wydawała się rozczarowana.

- Sądzę, że nie jest to stosowna okazja na skruchę i przyznanie się. Ale jeśli pani chce, to się wytłumaczę.

- Nie ma potrzeby - odpowiedziała Caterina zgryźliwie. Potem dodała z powagą: -

Prokurator wydał zwłoki Marleny. Przez przypadek dowiedziałam się, że ma być pogrzebana dziś o czternastej na Cimitero Campo Verano.

-

Bardzo szybko wszystko to idzie. Nie uważa pani?

-

Zbyt szybko. Ja tam w każdym razie będę i z odległości poobserwuję wydarzenia.

- Nie sądzi pani chyba poważnie, że znajdzie na cmentarzu mordercę Marleny.

- Nie, z pewnością nie! Po prostu ciekawa jestem, co tam zajdzie. Zresztą na pogrzebach poznaje się ciekawych ludzi.

Słowa Cateriny zabrzmiały dość ironicznie, czy tylko tak mu się zdawało?

-Ja również chętnie tam będę jako obserwator - powiedział Malberg po namyśle.

Spojrzał na zegarek. Było krótko przed pierwszą. - Gdzie, powiada pani, odbędzie się pogrzeb?

-
Na Campo Verano. To jest przy San Lorenzo fuori le mura. Ale w takim razie musi się pan zaraz zbierać. Będę czekała na pana w pobliżu głównego wejścia.

Malberg musiał taksówką przebić się przez całe centrum. Minąwszy Stazione Termini, gdzie wszystko się zakorkowało, udało mu się dotrzeć na umówione miejsce mniej więcej po godzinie.

Przed Cimitero kłębiło się wielu ludzi. Pogrzeb miał się odbyć za pół godziny.

Caterina była wyraźnie nerwowa. Malberg nie umiał sobie wyjaśnić jej niepokoju.

-
Muszę panu coś pokazać — powiedziała i wzięła Malberga pod ramię. Przy głównym wejściu była tablica, na której wymienione były wszystkie pogrzeby z danego dnia oraz wskazane miejsca pochówku.

-
Czy nic tu pana nie zastanawia? - spytała Caterina, podczas gdy Malberg szukał na liście nazwiska Marleny.

Malberg skinął głową. - Jest pani pewna, że jesteśmy w dobrym miejscu? Caterina palcem pokazała jedną z wypisanych pozycji: 14.00 Scono-sciuto, 312 E.

- Ktoś nieznany? - Malberg spojrzał na Caterinę pytająco. - Jak to nieznany?

- Ktoś widocznie jest zainteresowany tym, aby ostatnią drogę signory Marleny Ammer utrzymać w sekrecie. Chodźmy!

Kwatera 312 E położona była w tylnej części Cimitero. Mijając pompatyczne mauzolea wpływowych rzymskich rodzin, po dłuższym marszu przez pustynię kamieni nagrobkowych dotarli do wymienionej kwatery.

Caterina mocno złapała Malberga za rękaw. - Tam!

W odległości rzutu kamieniem widać było tuzin elegancko ubranych na czarno mężczyzn, stojących przy dole grobowym. Ksiądz w komży w towarzystwie ministrantów wymachujących kadzidłami coś rozwlekłe mówił. Z tej odległości niełatwo było zrozumieć jego słowa.

To, co usłyszeli ukryci za nagrobkiem, brzmiało jak: - Nie była złym człowiekiem, nawet jeśli robiła takie wrażenie... Nie była Marią Magdaleną, najwierniejszą towarzyszką Pana naszego... Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem...

Kątem oka dostrzegł Malberg, że Caterina wyciąga z torby aparat i wkłada nową kartę pamięci. Potem nastawiła obiektyw i zrobiła wiele zdjęć w krótkich odstępach czasu.

-

Proszę mnie nie pytać, po co to robię - szepnęła, uprzedzając pytanie Malberga.

Ten badawczo przyglądał się każdemu z żałobników po kolei. Nagle się zaniepokoił. Dwóch eleganckich panów wszczęło bójkę.

-

Nie rozumiem - powiedział Malberg. - Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego.

-

Najlepiej będzie, jak znikniemy, zanim ktoś nas tu zauważy.

Caterina odwróciła się i zamarła: przed nią stał wysoki jak sosna facet w ciemnym garniturze, niezwykle zadbany, o kanciastej twarzy i groźnym spojrzeniu.

Caterina błyskawicznie schowała aparat za siebie.

- Chciałbym, żeby pani natychmiast zaprzestała swojej działalności - powiedział

człowiek w czerni wysokim głosem, który zupełnie nie pasował do jego postury.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła Caterina, która jako pierwsza odzyskała równowagę.

- Jest to czysto prywatne wydarzenie - oświadczył mężczyzna w czerni - i nie życzę sobie żadnego fotografowania. Proszę więc oddać mi kartę pamięci!

Caterina zawahała się. Spojrzawszy na Malberga, który skinął głową na znak zgody, ostrożnie otworzyła aparat i wręczyła chip nieznajomemu.

Ten wziął kartę, zmiażdżył ją pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, a pozostałości wrzucił do wewnętrznej kieszeni swojej dwurzędówki. Potem założył rękę i syknął: - A teraz niech pani stąd spada, zanim dodam nim słowom większej wymowności!

Malberg i Caterina woleli podporządkować się żądaniu, tym bardziej że żalobnicy już zwrócili na nich uwagę.

Już odchodzili, kiedy człowiek w czerni cicho zawołał za nimi: -1 zapamiętajcie sobie dobrze: czasem lepiej jest wraz z człowiekiem pogrzebać także prawdę!

- Pani to rozumie? - zagadnął Malberg, gdy przez główną bramę Cimitero wyszli na ulicę.

Caterina nie ujawniła żadnych emocji. W końcu kręcąc głową, odparła: - Nie mogę pozbyć się uczucia, że to tutaj stanowi dziennikarski temat mojego życia.

ROZDZIAŁ 14

aboratorium w Burg Layenfels było wyposażone w takie urządzenia i przyrządy, których pozazdrościłby każdy uniwersytet: potężne kom-utery wielkości szafy ubraniowej, mikroskop elektronowy, liczne spek-rometry interferencyjne i centryfugi, tomograf komputerowy ostatniej generacji, termoluminescencyjny zestaw badawczy i kilkanaście komputerów z płaskimi monitorami wysokiej rozdzielczości we

wszystkich pomieszczeniach, tworzących sieć.

Przenikające się wzajemnie laboratoria zajmowały całą górną kondygnację ponurej budowli. Inaczej niż zwykle, kiedy to wszędzie dominowała atmosfera ogromnego pośpiechu, tego ranka panował skupiony spokój.

W środkowym pomieszczeniu laboratoryjnym przed monitorem swojego komputera siedział profesor biologii molekularnej Richard Murath, zaś obok niego byli również: cytolog dr Dulazek, genealog Jo Willenborg, toksykolog profesor Masie, chemik Eric van de Beek oraz hematolog Ulf Gruna.

Kiedy do laboratorium wkroczył Anicet, blady i jak zawsze z przylizanymi włosami, Murath na chwilę podniósł wzrok, po czym w milczeniu wrócił do swoich badań. Nikt nie wyrzekł nawet słowa. Mężczyźni jak zaczarowani wpatrywali się w monitory.

Z zaciśniętymi ustami zdradzającymi napięcie, Murath starał się dopasować do siebie dwa kody paskowe, wyglądające na nieskończenie długie. Za każdym razem, kiedy mu się nie udawało, Murath kręcił głową. Robił wrażenie zrozpaczonego, ponieważ wielokrotnie powtarzane próby nie dały żadnego rezultatu. W końcu odsunął na bok swoją bezprzewodową mysz i przekręcił się na chromowanym fotelu. -1 jest pan pewien, że nie wciśnięto panu falsyfikatu? - zapytał cicho, zwracając się do Aniceta. Twarz tego ostatniego, wyraźnie blada, w ułamku sekundy zmieniła barwę na czerwoną. Wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć ze złości. Anicetowi brakowało tchu. Jednak zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, genealog Jo Willenborg położył mu dłoń na przedramieniu i powiedział: - Proszę nie mieć za złe Murathowi tego pytania. Profesor jest jednym z tych naukowców, którzy wyżej cenią swoje zajęcie od rzeczywistości. Jestem przekonany, że wmówiłby panu, jakoby zajmując się spokrewniony z jeżem albo na odwrót, o ile znalazłby w tej sprawie jakąś hipotezę w

obszarze biologii molekularnej.

Dr Dulazek, badacz komórek, roześmiał się na głos, natomiast pozostali skrzywili się z zakłopotaniem. - Nauka - półgłosem odniósł się do sprawy Dulazek - nauka właściwie zaczyna się robić ciekawa dopiero tam, gdzie dla większości już się kończy.

Zaś Masie, toksykolog, o którym chodziły słuchy, że ma w głowie tysiąc zabójczych formuł i jest w stanie nawet okruszki chleba zamienić w zdradliwą truciznę, rzecz uzupełnił: - Tam, gdzie nauka się kończy, zaczyna się wiara, a to stanowi, jak powszechnie wiadomo, największy problem ludzkości.

Te słowa Masica zyskały ogólną aprobatę. Tylko Anicet gapił się zamyślony w monitor. Każdy z obecnych wiedział, jak niebezpiecznie jest, kiedy Anicet milczy. Z pewnością za chwilę dostanie napadu wściekłości. Był z tego znany.

Zresztą Anicet był spośród Fideles Fidei Flagrantes jedynym, o którym było coś więcej wiadomo. Jako kardynał uważany zżapabile, podczas ostatniego zgromadzenia konklawe przegrał z arcykonserwatywnym następcą świętego Piotra. Nigdy tego nie przeboleał i poprzysiągł Kościołowi zemstę.

Z pozostałymi braćmi zakonnymi w Burg Layenfels nie było inaczej: każdy był znakomitością w swojej dziedzinie, każdy niedoceniony, wykorzystywany, rozczarowany; każdemu złamano karierę i każdy był gotów wziąć odwet na ludzkości swoimi środkami.

Żelazne prawo - a w Burg Layenfels obowiązywały drakońskie prawa - zobowiązywało wszystkich Flagrantes do zachowania własnej przeszłości w bezwzględnej tajemnicy.

Na temat Muratha, zwanego „Mózgiem”, wiadomo było, że z powodu rozczarowania pominięciem go przy Nagrodzie Nobla, swoją karierę uni”

wersytecką odwiesił na kołek, z nieznanych przyczyn porzucił żonę i szukał ucieczki w jakimś bractwie. O tym można jednak było przeczytać we wszystkich gazetach, a także była tam mowa o pewnym rewolucyjnym odkryciu w dziedzinie badań genetycznych, odkryciu przekraczającym wszelkie wyobrażenia i dlatego zignorowanym przez Komitet Nagrody Nobla.

Z natury różni od siebie jak ogień i woda, Murath i Anicet mimo wszystko się zaprzyjaźnili. Ich wspólne pragnienie wiedzy zespawało się w jedno jak dwa rozżarzone kawałki żelaza - choć motywy mieli inne. I dlatego Anicet robił wrażenie opanowanego, niemal ugodowego, kiedy odpowiadał na pytanie Muratha.

-Tak, jestem całkowicie pewien, że mamy tu do czynienia z całunem Jezusa z Nazaretu, nie z falsyfikatem, lecz oryginałem. W końcu zanim się zająłem tym projektem, prześledziłem całą drogę całunu wszelkimi dostępnymi mi środkami.

Może być pan pewien, profesorze, że jako kardynał Kurii i zarządca watykańskiego tajnego archiwum miałem do dyspozycji takie środki i możliwości, o których inni mogli tylko pomarzyć.

-
Mogę to sobie wyobrazić — wtrącił z przekąsem van de Beek, che-lik. Był ze wszystkich najbardziej pewny siebie, a jego ostry język był arzerażający.

Anicet zignorował uwagę van de Beeka i kontynuował: - Kiedy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dwudziestego wieku genetyka molekularna święciła pierwsze triumfy, do Kurii rzymskiej przyszło pismo od profesora Harvardu Johna Tysona, w którym zwracał uwagę, że jego wyniki naukowe, a wtedy był jeszcze bardzo wierzący, mogą naukę Kościoła wpędzić w poważne kłopoty. Wspomniał przy tym o całunie turyńskim i przedstawił przerażający scenariusz dotyczący przyszłości Kościoła. Nie muszę objaśniać dalszych szczegółów. W

najlepszym razie, twierdził religijny profesor Harvardu, najznamienitsze relikwie chrześcijaństwa zostaną publicznie wskazane ko falsyfikaty.

-

Dość absurdalne - powiedział genealog Willenborg - ale mogę sobie wyobrazić dlaczego.

-Ja też - potwierdził hematolog Ulf Gruna. - Sprawa jest zupełnie prosta.

-

Wszyscy o tym wiemy wystarczająco dobrze - Anicet wpadł w sło-
Vo hematologowi.

Dulazek pokiwał głową.

Jednak Ulf Gruna, który miał zwyczaj traktować krew jako życie par excellence, nie dał się zbić z tropu i powiedział, zwracając się do Aniceta: - Skąd bierze pan pewność, że kardynał Gonzaga nas nie oszukał?

Tu Anicet nie wytrzymał: - Nie wiem, co pan chce osiągnąć tą swoją wrogością.

Dotychczas byłem przekonany, że działamy zgodnie. Może niech pan sobie przypomni, że kardynał Gonzaga jest sekretarzem stanu!

-

Właśnie! Jako sekretarz stanu ma dostęp do wszelkich możliwości, aby zamówić kolejny falsyfikat.

Anicet skrzywił się pogardliwie: - Pan nasz dba o to, aby nas nikt nie wodził za nos. Nie muszę panu mówić, co by to znaczyło dla jego kariery. Już sam fakt, że dostarczył nam całun turyński niemal pod drzwi, pokazuje, jak absurdalne są takie zastrzeżenia. Zresztą znam całun turyński jak własne prześcieradło, od czasu jego umieszczenia w tajnym archiwum watykańskim...

-Twierdzi pan - Willenborg przerwał przemowę Anicetowi - że jak własne prześcieradło zna pan przedmiot, który uważa pan za oryginał. Ale przynajmniej teraz nie ma pan żadnego dowodu na to, że rzeczywiście jest to oryginał, a nie kopia, którą, o ile pamiętam, zamówił Watykan.

Anicet poczuł na sobie spojrzenia wszystkich. Ruch kącika ust zdradzał jego niepewność. Przełknął ślinę, ale nie odpowiedział.

— Zapewne - odezwał się Murath - w magazynach pod Bazyliką św. Piotra, gdzie trzyma się najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, są jeszcze mumie z przełomu naszej ery i z ich płótna zdolny fałszerz byłby w stanie wykonać wiarygodne kopie. Tak jak najwidoczniej miało to miejsce w przypadku tego tutaj obiektu - rzucił pogardliwe spojrzenie na monitor, gdzie wciąż widać było dwa różne kody kreskowe.

Anicet prychnął. Z uniesionym palcem wskazującym, który wyraźnie drżał jak słaby listek na jesiennym wietrze, naskoczył na profesora: - Proponuję, żeby pan błędu poszukał najpierw w sobie, obok siebie i w pańskich metodach badawczych. Dysponuje pan najnowocześniejszymi i najkosztowniejszymi urządzeniami, ale nie jest pan w stanie złożyć żadnych konkretnych oświadczeń w sprawie całunu. Jeżeli pan wątpi w autentyczność relikwii, to wymagam od pana dowodów. Dopóki pan takich dowodów nie przedłoży, dopóty będziemy zakładać, że całun przywieziony przez kar-

dynała Gonzagę to właśnie ten, w który był zawinięty Jezus z Nazaretu. Czy wyraziłem się jasno?

Murath mruknął niewyraźnie coś jakby: - No to możemy zaczynać od początku - ale głośno i wyraźnie powiedział: - To daje nam tygodniowe spóźnienie w stosunku do naszego planu. Ma pan co do tego jasność?

Anicet uniósł ręce: - Powinniśmy brać przykład z Kurii. W Watykanie nigdy nie

liczy się dni ani tygodni, ani nawet miesięcy. A jestem przekonany, że gdy chodzi o coś w większej skali, ci panowie nie liczą nawet lat. Jakież znaczenie ma kilka tygodni poślizgu!

Dr Dulazek i tak był z Murathem stale na ścieżce wojennej z powodu krytycznych, wrażliwych punktów swoich dziedzin. Nic więc dziwnego, że jednym tchem postawił jeszcze na forum prowokacyjne pytanie: - A właściwie, czy ktokolwiek się zastanawiał, czy hipoteza Muratha w ogóle jest trafna? Rzecz w tym, czy aby nie pracujemy nad rozwiązaniem problemu, gdzie brakuje najważniejszej przesłanki, a mianowicie samego problemu?

Murath puszył się przed swoim monitorem dumnie jak paw. Jed-zanim jeszcze znalazł stosowne słowa, Dulazek mówił dalej: - Proszę mnie dobrze zrozumieć, ja kolegę bardzo wysoko cenię. Ale nie byłby on pierwszy, którego znacząca naukowa hipoteza zachowuje się jak atom przy rozszczepianiu jądra.

-

A jak zachowuje się atom przy rozszczepianiu jądra, jeśli wolno spytać? - odezwał się Anicet.

-

Rozmiękcza się. I tyle.

Murath nagle podskoczył i rzucił się na Dulazka. - Żałosny cytologu, żałosny! - wrzasnął nieprzytomny z wściekłości i rzucił mu się do gardła.

Ani sam Dulazek, ani nikt z obecnych nie był w stanie zapobiec temu, że Murath swojego przeciwnika powalił na ziemię i dusił, aż tamten zrobił się ciemnoczerwony. Silnemu toksykologowi profesorowi Masicowi udało się w ostatniej chwili uwolnić Dulazka z rąk rozjuszonego badacza

Malberg od dwóch dni nie miał wieści od Cateriny. Przeczuwał, dlaczego karze go milczeniem. Na pewno odebrała to jako nadużycie zaufania, że przemilczał przed nią swój pobyt w mieszkaniu Marleny zaraz po morderstwie. Patrząc z perspektywy czasu musiał to przyznać: zrobił błąd. Nawet nie mógłby mieć Caterinie za złe, gdyby jego powiązała z tym morderstwem.

Jej prywatnego adresu nie znał. Nazwiska nie było w rzymskiej książce telefonicznej. Malberg postanowił poszukać Cateriny w redakcji Guardiano przy Via del Corso.

Hol wejściowy w imponującej barokowej budowli był pod strażą dwóch mężczyzn w czerni, krytycznie taksujących każdego gościa. Jedna z recepcjonistek, zadbana kobieta w średnim wieku, skinęła przyjaźnie do Malberga i uprzejmie zagadnęła: -

Czym mogę służyć, signore }

- Chciałbym rozmawiać z panią Caterina Limą.

- Czy jest pan zapowiedziany, signore }

-

Nie. To znaczy... - Malberg zaczął się jąkać. - Chodzi raczej o sprawę prywatną. Ale właściwie...

Recepcjonistka o blond włosach uniosła brwi. - Proszę tam usiąść! - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Równocześnie wskazała szerokim gestem na szare fotele. - Kogo mam zapowiedzieć?

-

Nazywam się Malberg.

Przez chwilę Malberg obserwował wchodzących i wychodzących z holu, po czym nagle stanęła przed nim Caterina. Wyglądała na zdener

wowaną. Z jej spłoszonego spojrzenia Malberg wywnioskował, że jego pojawienie się nie jest jej na rękę.

- Ma pan tupet — powiedziała cicho i odciągnęła go na bok, zanim jeszcze

Malberg zdążył o cokolwiek zapytać. Patrzył na nią zakłopotany.

- Prokurator wydał dziś rano nakaz aresztowania pana.

Malberg zaśmiał się histerycznie i Caterina położyła mu dłoń na ustach. - Cicho, na litość Boską. To naprawdę poważna sprawa. Jest pan podejrzany o to, że miał pan coś wspólnego z zabójstwem Marleny Am-mer.

-Ja?

- W trakcie śledztwa policja natknęła się na wysłany i podpisany przez pana list, w którym zawiadamia pan o swoim przybyciu w dniu morderstwa. Jak pan wie, we Włoszech obowiązują bardzo surowe przepisy meldunkowe. Sprawdzenie w policyjnym komputerze wykazało, że rzeczywiście na kilka godzin przed zabójstwem zameldował się pan w hotelu Cardinal i według zeznań świadków wyszedł pan krótko potem.

- A skąd pani to wszystko wie?

-Jak już panu mówiłam, reporterka śledcza, pardon, była reporterka śledcza, ma doskonale kontakty ze śledczymi.

- Jestem zatem mordercą — stwierdził cynicznie Malberg.

- Ale to jeszcze nie wszystko! Podobno zdefraudował pan w jakimś banku w Niemczech ćwierć miliona i podróżuje pan z czekiem bankierskim na tę sumę.

Doprawdy nie wygląda to dla pana dobrze, panie Lukas.

Malberg nieobecny wzrokiem patrzył na Caterinę. Nie potrafił oswoić się z nową sytuacją. - A pani sądzi, że te oskarżenia są prawdziwe? - wymamrotał pod nosem.

Caterina przekrzywiła głowę, jakby chciała powiedzieć: „A co by pan sądził w mojej sytuacji?”. W końcu odparła: - Muszę przyznać, że do dziś tana, kiedy to dowiedziałam się o tych oskarżeniach, naprawdę miałam wątpliwości, czy aby Marlena nie popełniła samobójstwa. Jest pan człowiekiem czytany, światowym, więc nie sprawiłoby panu kłopotu wymyślenie takiej historii, która uwalniałaby pana od podejrzeń. Przyznaję, nawet byłam na siebie zła, że tak ślepo panu zaufałam. Ale trzymałam SI? po prostu tego niesamowitego tematu dziennikarskiego. Jednak teraz, dziś rano, wydarzyło się coś osobliwego - spojrzała długo i przenikliwie na Malberga.

- Coś osobliwego? - powtórzył Malberg i pobladł. Wyglądał tak bezradnie, tak bezsilnie, jakby w następnej chwili miał się przyznać: Tak, to ja. Ja zabiłem Marlenę.

Caterina spojrzała na boki, aby się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy.

Następnie znużonym głosem powiedziała: - Kiedy dzisiaj dostałam na biurko poranne gazety...

Nie dokończyła, ponieważ z głośników rozległo się zawiadomienie: - Caterina Lima pilnie proszona o kontakt z numerem czterdzieści siedem trzydzieści. Caterina

Lima pilnie proszona o kontakt z numerem czterdzieści siedem trzydzieści.

- Przepraszam na moment - przerwała Caterina. Podeszła do telefonu na ścianie i wybrała 4730. Po krótkiej wymianie zdań odłożyła słuchawkę i wróciła.

- Redaktor naczelny - wyjaśniła przepaszająco. - Jeżeli to panu odpowiada, spotkajmy się koło południa gdzieś na mieście, w każdym razie nie w tej okolicy. Na przykład przed postojem taksówek na Stazione Termini. Powiedzmy, o trzynastej. I jeszcze jedno: będzie lepiej, jeśli nie wróci pan już do hotelu.

Malberg bez słowa patrzył za Caterina znikającą w windzie.

Krótko przed pierwszą Caterina pojawiła się w umówionym miejscu. Malberg z ulgą wyszedł jej naprzeciw. Miał wątpliwości, czy w ogóle przyjdzie. To bowiem, co mu

w zarysie ujawniła, nie skłaniało do szczególnego zaufania. W drodze na dworzec łamał sobie głowę, czegoż to Caterina mogła się dowiedzieć z gazety.

W knajpce na rogu Via Cavour i Via Giovanni Giolitti, której nazwy nie warto wspominać, zamówili makaron. Malberg bez apetytu dziobał widelcem rozgotowane nitki [inguine, aż Caterina wyjęła z torby Corriere i rozłożyła przed nim stronę wiadomości lokalnych.

Pokazała palcem na dwuszpaltowy artykuł ze zdjęciem.

SEKRETARZ STANU KARDYNAŁ PHILIPPO GONZAGA UCZESTNIKIEM WYPADKU

Caterina przyciszonym głosem przeczytała tekst: - „W wypadku samochodowym, który wydarzył się wczoraj na Piazza del Popolo, został lekko ranny kardynał sekretarz stanu. Gonzaga jechał z e swoim kierowcą jego prywatnym samochodem osobowym, który na ro ndzie nagle i bez widocznych przyczyn zatrzymał się. Jadący za nimi pojazd poczty kurierskiej nie był w stanie odpowiednio szybko zahamować i uderzył w samochód kardynała. Podczas zderzenia, dostojnika kościelnego, który nie był przypięty pasem bezpieczeństwa, rzuciło z tylnego siedzenia do przodu, przy czym stracił przytomność. Gonzagę i jego kierow^cę przewieziono do kliniki Gimelli. Podczas odholowywania samochodu osobowego, który w wyniku zderzenia został całkowicie zniszczony, odkryto w pojeździe plastikową torbę zawierającą sto tysięcy dolarów amerykańskich. Watykan nie złożył oświadczenia na temat celu ani pochodzenia ry^ch pieniędzy, ani też nie udzielił odpowiedzi na pytanie, dlaczego kardynał, sekretarz stanu, nie jechał swoim samochodem służbowym, lecz autem s^wojego kierowcy. Gonzaga i jego kierowca zostali już wypisani z kliniki".

Malberg spojrział na Caterinę zdezorientowany. - W mojej sytuacji - burknął z wyrzutem - taka wiadomość, szczerze mówiąc, w ogóle mnie nie interesuje.

-To się zaraz zmieni - chłodno odbiła piłkę Caterina. Bez słowa obok artykułu położyła jakieś zdjęcie. Było na nim kilkunastu ubranych na czarno mężczyzn na pogrzebie Marleny.

-
Myślałem, że kartę pamięci ze zdjęciami oddała pani tamtemu wysokiemu facetowi na Cimitero?

Caterina roześmiała się łobuzersko: - Ach, wie pan, reporterzy podczas wykonywania zawodu nabierają pewnych rutynowych odruchów. Do takich należy między innymi wyjmowanie z aparatu ważnych kart pamięci i chowanie ich do torby.

- Nadal jednak nie widzę związku pomiędzy tą fotografią a artykułem z gazety.

- A teraz? - Caterina przytrzymała Malbergowi przed oczami inną fotografię, najwidoczniej powiększenie fragmentu tamtej.

- To - Malberg zaczął się jękać - to jest przecież...

- ...sekretarz stanu kardynał Gonzaga!

- Ale co kardynał miał do szukania na pogrzebie Marleny?

- Właśnie też się zastanawiam.

Malberg odsunął swój talerz na bok i obiema rękami przejechał po twarzy Widzia triumfującą minę Cateriny. Patrzyła na niego jak gracz, który niespodziewanie zagrał asem. - Tak czy inaczej obecność kardynała nie jest przypadkowa!

- Oczywiście, że nie. Musiał być jakiś sekretny związek pomiędzy Marleną i kardynałem.

- Gdy mnie kto pytał...

- Pytam panią!

- Sekretny związek zapewne nie ograniczał się tylko do kardynała. Niech się pan dokładniej przyjrzy tym ludziom w ciemnych ubraniach - Caterina podsunęła Malbergowi kolejne zdjęcie.

- Ze niby tych mężczyzn o takich lekko rumianych, woskowych obliczach, łatwiej sobie wyobrazić w czarnych sutannach niż w łóżku z kobietą.

- To właśnie miałam na myśli.

- Ale, u diabła, jakie Marlina miała z Watykanem wspólne sprawy, że przysłano aż delegację wysokich dostojników?

- To właśnie jest pytanie, którym musimy się zająć.

Malberg długo patrzył na Caterine, a potem powiedział: - Z tych słów wnioskuję, że pani nieufność wobec mnie cokolwiek zelżała.

- Mówiąc nieco oględnie, tak właśnie można to wyrazić - roześmiała się. - W każdym razie - zastrzegła - nic to nie zmienia w kwestii nakazu aresztowania.

- Ale przecież mamy teraz dowody, że Marlina była zamieszana w jakieś ciemne machinacje.

- Ciemne machinacje? - zaśmiała się Marlina. - To, że polowa Kurii pojawia się na pogrzebie Marliny, niczego jeszcze nie dowodzi. To jest poszlaka. Ślad, który być może podczas śledztwa będzie prowadził donikąd. Z drugiej strony jest dziwne, że Marlina pogrzebano anonimowo. Jak to brzmiało? Sconosciuto, ktoś nieznan! W każdym razie te osobliwe powiązania, i to, jak wszystko w przedziwny sposób się zazębia, jest bardzo podejrzane.

- W rzeczy samej - Malberg sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął notatnik

Marleny. - Niech sobie pani obejrzy.

Caterina spojrzała pytająco. — Co to jest?

- Notatnik Marleny. Znalazłem go w jej mieszkaniu. Caterina z ciekawością kartkowała terminarz.

- Nadzwyczaj dziwne słowa. Co mają oznaczać?

-

-

Nie jestem w stanie orzec. W każdym przypadku pierwsze ze słów o określenie czasu z kalendarza kościelnego, zatem na przykład Oculi to pierwsza niedziela Postu.

Caterina słuchała zaciekawiona. - A te imiona poniżej? - chciała 'edzieć.

-

Są to prorocy ze Starego Testamentu.

-

Innymi słowy... - zaczęła Caterina, która natychmiast odkryła iązek.

-

Osoby, z którymi Marlena najwidoczniej się spotykała, musiały mieć oś wspólnego z Kościołem — dokończył Malberg jej wypowiedź.

-

W takim razie nasze domysły nie są aż tak nietrafne - powiedzia-Caterina.

Przez chwilę milczała. - Trochę się boję, że to dochodzenie oże przerosnąć nasze ograniczone możliwości.

- Pani się boi, pani Caterino?

- Naturalnie. Tylko głupcy są nieustraszeni.

- Co mam zrobić? Iść na policję i powiedzieć: Oto jestem, wprowadzie yłem w

tamtym mieszkaniu, ale z zabójstwem nie mam nic wspólnego?

- To nam raczej nie pomoże. Aresztowano by pana i nie miałby pan najmniejszej szansy, żeby dowieść swojej niewinności. A rzymskie więzie-'a nie cieszą się najlepszą sławą. Propozycja: po pierwsze ukryje się pan mnie. Co prawda będzie trochę ciasno, ale akurat w tej chwili nie widzę nej możliwości.

-
Zrobiłaby pani to dla mnie?

-
Ma pan lepszą propozycję? No. Jestem przekonana, że dla pana nie tnieje żadne bezpieczne miejsce. Chodźmy!

"aterina Lima mieszkała na Zatybrzu, czyli w dzielnicy Trastevere, przy ia Pascara, nieopodal dworca kolejowego. Tutaj wszystkie domy wyglą-ały identycznie:

wysokie, pięcio- lub sześciopiętrowe budynki z dziewięt-astego wieku, po części jeszcze starsze, z ogromnymi oknami i pompa-'cznymi bramami wejściowymi,

pozostającymi w rażącym kontraście do

-jnowanych klatek schodowych.

Co się tyczy mieszkańców Zatybrza, to nigdzie w wielkich miastach e spotyka się

ubóstwa i bogactwa, elegancji i zepsucia, młodości i staro-

, tak ściśniętych razem jak tutaj. Początkowo uboga dzielnica Rzymu, rastevere, w

ciągu pięćdziesięciu lat stopniowo zmieniła się w atrakcyj-

ną okolicę mieszkaniową. Penthouse nad zakolami Tybru, nieopodal bazyliki Santa

Cecilia, jest po prostu bezcenny. Jednak pośród luksusowo odbudowanych zabytków

i drogich restauracji mieszka wciąż dość dużo prostych, ale dumnych mieszkańców,

którzy raz w roku, w lecie, świętują „Festa de'Noantri", czyli „Festyn nas

odmieńców".

W drodze na Zatybrze, dokąd zmierzali taksówką, Caterina przygotowywała Malberga na to wszystko; jednak Malberg słuchał tylko jednym uchem. W myślach planował dalsze postępowanie i przy tym dostrzegał coraz wyraźniej, że bardziej niż kiedykolwiek zdany jest na pomoc Cateriny. Nowy obrót spraw spowodował, że ten, który poszukiwał mordercy Marleny, stał się ściganym. I o ile jeszcze do niedawna nosił się z myślą, żeby się poddać, żeby po prostu zaakceptować fakt, że Marlena zakończyła życie, o tyle teraz stopniowo sobie uzmysławiał, że nie ma już żadnego wyboru, że musi rzucić jakieś światło na mroki tej zbrodni.

-Jesteśmy na miejscu! - Głos Cateriny go przestraszył.

Na podstawie jej opowieści Malberg spodziewał się czegoś gorszego. Mimo to był w pewien sposób rozczarowany, widząc stary, bezbarwny budynek, w którym mieszkała Caterina.

— Drugie piętro! - powiedziała, wchodząc po schodach. Klatka była wyłożona niebieską glazurą. Ku jego zaskoczeniu zadzwoniła przy drzwiach, na co zaraz otworzył drzwi młody mężczyzna o czarnych włosach i szczupłej, wysportowanej sylwetce.

Caterina pocałowała go w policzek. — To jest Paolo - powiedziała do Malberga, a do Paola: - To jest signore Malberg z Monaco di Baviera. Pomieszka u nas w najbliższym czasie.

Paolo wyciągnął do Malberga rękę, jakby było czymś najoczywistszym na świecie, że Caterina przyprowadziła mężczyznę, z którym od teraz będą dzielić mieszkanie.

Jakiś ty głupi" - pomyślał o sobie Malberg - „żeś sądził, iż tak piękna dziewczyna mieszka sama".

ROZDZIAŁ 16

Z

plikiem gazet pod pachą spieszyl Soffici szerokimi kamiennymi schodami Palacu Apostolskiego na drugie pietro. Zeby sie nie potknac trzymal sutanne w prawej garsci, przeskakiwal bowiem, inaczej niz mial jto w zwyczajuj, po dwa stopnie naraz. Dotarlszy na gore, powsciagnal po spiech. Z ostentacyjna swoboda, spacerowym krokiem przeszedl dlugim korytarzem do sekretariatu kardynala. Bezglownie i niezauwazony zniknal za wysokimi dębowymi drzwiami, opatrzonymi stosowna tabliczka: Monsignore Giancarlo Soffici, Segretariato.

Soffici rzucil gazety na swoje biurko. Ostroznie zdjal okulary i wytarl twarz chustka, jakby chcial wlasnie widziane rzeczy wymazac z pamieci. Potem rozlozyl gazety i zaczal nozyczkami wycinac kolejne artykuly donoszace o tajemniczym wypadku sekretarza stanu.

Nie bylo niczym niezwyklym, ze czlonkowie Kurii otrzymywali na biurko gazety ocenzone. Jednak zazwyczaj wycinanie ograniczalo sie do fotografii o tresci obsceniczej. Do takich zaliczaly sie przede wszystkim zenskie wtorne cechy plciowe, o pierwotnych nawet nie wspominajac, ale takze wizerunki ladnych chlopcow, Bog raczy wiedziec dlaczego.

Soffici nie dokonczyl jeszcze swojej pracy, gdy w drzwiach prowadzacych do pokojow Gonzagi pojawil sie kardynal.

- Nie spodziewalem sie jeszcze pana, ekscelencjo - wyjakał zmieszany monsignore. — Jak samopoczucie?

Swój strój kardynalski - sutanne zapieta na guziczki, purpurowe cingulum i purpurowy mucet - Gonzaga uzupelnial ciemnoszarym golfem, z ktorego jego lusa glowa wystawala jak hodowlana pieczarka. Przed oto czonym aura Pour Monsieur kardynalem nie ukrylo sie, ze SofEci usiluje schowac

wycinki z gazet pod stos akt.

-

Niech się pan nie trudzi, monsignore - powiedział, ignorując pytanie

sekretarza. - Pewien spostrzegawczy członek Kurii już mi położył numer Corriere na biurku. Jak mniemam, to nie panu zawdzięczam tę dyskretną wskazówkę.

-

Ekscelencjo, na Przenajświętszą Panią i Wszystkich Świętych... -Już

dobrze. Przecież mówię tylko, że nigdy bym panu nie przypisał

takiej nikczemności - Gonzaga z rękami splecionymi za plecami spoglądał na

wspaniały kasetonowy sufit, jaki zdobił wszystkie pomieszczenia na tym piętrze.

Potem znów zwrócił się do Sofficiego: - Głupia historia, w którą żeśmy się wplątali.

Nawet odwołując się do Ducha Świętego, jak na razie nie przychodzi mi do głowy

żadne rozsądne wyjaśnienie, które moglibyśmy podać. A może pan ma jakiś pomysł,

Soffici?

- Chodzi ekscelencji o to, dlaczego kardynał, sekretarz stanu, w prywatnym

samochodzie swojego kierowcy zatrzymał się w środku nocy na rondzie?

- O to też. Jednak znacznie większy kłopot mam z wyjaśnieniem stu tysięcy

dolarów w plastikowej torbie. Żebym chociaż te pieniądze przewoził w dyplomatce!

Zachowałem się jak neapolitański mafioso.

-

A gdzie są te pieniądze?

-

Bez obaw, monsignore, komisarz za pokwitowaniem dostarczył torbę z całą

sumą do ostatniego centa. Ale nie o to chodzi. Chodzi tylko o okoliczności, w których

wydarzył się ten wypadek. W każdym razie nie będę mógł obwinić gazet, jeśli to wydarzenie uczynią punktem wyjścia do najdziwniejszych spekulacji.

Soffici ponurym spojrzeniem wodził po gazetach rozrzuconych na biurku.

Milczał.

Gonzaga pokręcił głową. Po chwili wrócił do swojej przemowy: - Bezbożna hołota, która rozpowszechnia takie wieści. Bóg powinien ich ukarać za arogancję. Z

każdego bezużytecznego słowa, które wypowiedzą ludzie, zdadzą sprawę w dzień sądu.

- Powiada Mateusz 12,36. -Kto?

- Mateusz Ewangelista.

- Nieważne. W każdym razie będzie tam płacz i zgrzytanie zębów. 1

-

Mateusz 13,50, pomyślał Soffici. Jednak powstrzymał się od wypowiedzenia tego na głos, znał bowiem wybuchy złości szefa. Zaś fakt, że Gonzaga swoje wypowiedzi konstruował głównie z cytatów z Nowego Testamentu, był powszechnie znany.

Podczas chwili milczenia, w której każdy zajęty był innymi myślami, do pomieszczenia wpadł John Duca, prychając ze złości i wymachując jakąś gazetą jak chorągwią: - Ekscelencjo, sądzę, że jest pan nam wszystkim winien jakieś wyjaśnienie!

Soffici spojrział przerażony na Gonzagę. Było czymś w najwyższym stopniu nieprawdopodobnym, żeby ktoś tak gwałtownie zwracał się do kardynała. John Duca, profesor prawa kanonicznego, a poza tym doctor honoru causa uniwersytetów w Bolonii, Genewie i Edynburgu, podobnie jak jego poprzednik, prowadził IOR, Istituto per le Opere Religiose. To zaś, co brzmi tak szlachetnie i wzniosie, było niczym innym jak Bankiem Watykańskim, przedsiębiorstwem o miliardowych

obrotach, z siedzibą w kompleksie budynków, niejako w twierdzy, która jak niepozorna kochanka wtula się w Pałac Apostolski. Z lotu ptaka budowla ta, wykonana z kamiennych bloków, ma kształt wielkiej litery D. Złośliwcom dało to asumpt do kpin, że jest to skrót od diablo, co oznacza ni mniej, ni więcej, tylko Szatana.

John Duca, jak zawsze skromnie ubrany w szarą flanelę i srebrnosza-ry krawat, uchodził za twardego bankiera. W przeciwieństwie do swoich poprzedników, otoczony był nimbem absolutnej powagi, czyli reputacją, która w tym biznesie wcale nie jest taka oczywista. Równocześnie fachu tego nigdy nie studiował, nawet nie praktykował, a po prostu z dnia na dzień przejął swoje zadania i w ciągu jednego roku doprowadził Państwo Watykańskie, które w 2002 roku zrobiło deficyt na 13,5 miliona euro, z powrotem do pozycji przedsiębiorstwa przynoszącego zyski. Od tamtej pory John Duca uważany był za cudotwórcę i kandydata do wyniesienia na ołtarze, jak się skromnie określa kanonizację.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć - Duca podszedł do kardynała. — Nie chodzi mi o sumę, którą pan wziął ze swojego tajnego budżetu. W tej sprawie na pewno znajdzie pan jakieś wyjaśnienie, chociaż może i nie. Znacznie bardziej interesuje mnie, czy pańskie operacje handlowe prowadzone publicznie nie wzbudzą podejrzeń.

Gonzaga odwrócił się. Jego golf zmusił go przy tym do przyjęcia postawy ciała, która przypominała drewnianą figurkę.

-

Sądzi pan, że kombinuję na boku - zaperzył się sekretarz stanu. - Być może ten wypadek to Opatrzność Boża.

John Duca zmarszczył czoło, a usta mu się zwężyły. - Ekscelencjo, dziesięć lat trwało i wymagało dużych pieniędzy, żeby zapomniano o ciemnych kombinacjach

finansowych Kurii. Wolno mi chyba przypomnieć, że wniosłem tu niemały wkład!

Kardynał rzucił rozmówcy pogardliwe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: Pan?

Akurat pan?

Duca w każdym razie tak właśnie to zrozumiał i ciągnął: - A może pan już

zapomniał, co ściągnął na nas nieszczęsny monsignore Paul Marcinkus z Chicago,

skąd pochodził także Al Capone. Albo mafioso Michele Sidona z Patti pod Messyną?

Papież Paweł VI, który jak wiadomo nienawidził pieniędzy jak grzechu śmiertelnego,

zawierzył człowiekowi od prania brudnych pieniędzy z nowojorskiego klanu

Gambino tak wielką sumę, że starczyłoby na zburzenie i ponowne wzniesienie

Bazyliki Św. Piotra.

- Proszę zamilknąć, nie chcę już tego słuchać - Gonzaga nerwowo przetarł

wilgotną łysinę i lekki zapach potu wypełnił pomieszczenie.

- Chce mnie pan powstrzymać od wypowiedzenia prawdy? - odparł Duca

donośnie. - Nie jest tajemnicą, że papieże nigdy nie potrafili się obchodzić z

pieniędzmi. Ci zaś, którzy umieli, zawsze ufali fałszywym doradcom. Po tym, jak Michele Sidona w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia został przez Państwo

Watykańskie usunięty z gry, Marcinkus powierzył los swój i milionów należących do

Kurii nie mniej szemranemu Roberto Calviemu, który prowadził w Mediolanie Ban-

co Ambrosiano i oszukał inwestorów na 1,4 miliarda dolarów. Wszyscy wiemy, jak

zakończyła się ta historia. Calvi/iego znaleziono powieszzonego pod mostem

Blackfriars Bridge w Londynie. Michele Sidona po spożyciu smakowitego obiadu w

więzieniu Vorghera opuścił ten świat, ponieważ makaron był przyprawiony truczką na

szczury. A monsignore Marcinkus? Awansował na kardynała. Jednak purpura

kardynalska nie dawała mu pełnej radości, gdyż swobodnie poruszać się mógł

jedynie w murach Watykanu. Na granicach państwowych Włoch policja by go

aresztowała.

- Tak - powstrzymał przemowę Gonzaga - to były okropne czasy, za które jednak ja w żaden sposób nie jestem odpowiedzialny. Dlaczego więc pan to wszystko opowiada?

-

Soffici, który słów bankiera słuchał z kamienną miną, gwałtownie skinął głową.

-

Ponieważ ta historia - Duca wierzchem dłoni stuknął w gazetę - ponieważ ta historia znowu przywołała tamte wydarzenia! Zna pan konsekwencje: wtedy dramatycznie wzrosła liczba odchodzących z Kościoła. A to akurat nie przysłużyło się gospodarczej sytuacji Kościoła, naszej świętej matki.

Kardynał zwrócił się do swojego sekretarza: - Monsignore, niech pan dyplomatycznie sformułuje sprostowanie i wyśle do wszystkich gazet, które podały taką wiadomość!

- Na litość Boską, ekscelencjo! - zawołał wzburzony John Duca.—To by jeszcze pogorszyło całą sprawę.

- Pogorszyło? Jak to? Gazety są zobowiązane każde sprostowanie wydrukować, bez względu na stopień jego prawdziwości.

Soffici podszedł bardzo blisko do Gonzagi i powiedział zduszonym szeptem: —

Czy to znaczy, że chce pan zaprzeczyć samej treści? Ekscelencjo, są świadkowie, którzy widzieli wypadek i torbę z pieniędzmi! Sprostowanie byłoby po prostu niewiarygodne. Zresztą byłby to grzech przeciwko przykazaniu: nie mów fałszywego

świadectwa.

- Niech pan sobie daruje, monsignore. Katolicka teologia moralna już dość szkód przyniosła Kościołowi. Przypomnę tylko spór z Marcinem Lutrem. Zresztą sam

święty Piotr nie trzymał się przykazań, kiedy trzy razy skłamał i zaparł się Pana naszego, zanim dwukrotnie kur zapiał.

- Marek 14 - stwierdził skrzętnie Soffici.

Gonzaga zaś kontynuował: - Mimo to Pan nasz wybrał go na swojego zastępcę na Ziemi.

John Duca znów się wtrącił: - Co to ma znaczyć, ekscelencjo? O ile wiem, w Piśmie Świętym nie ma żadnego tekstu, który wskazywałby kłamstwo jako warunek objęcia stanowiska zastępcy Boga na Ziemi.

-

Oczywiście, że nie ma. Chcę przez to jedynie powiedzieć, że człowiek słaby znajdzie się czasem w sytuacji, kiedy jak najbardziej wolno mu się posłużyć kłamstwem. Przede wszystkim wtedy, gdy dzięki temu, jak w moim przypadku, można ochronić Kościół przed szkodą.

Bankier pokręcił głową. Ze złością rzucił gazetę do innych gazet na biurko i trzasnął za sobą drzwiami.

-

Cccc! - kardynał cyknął oburzony i pokręcił głową. W końcu mruk-nął -

Człowiek niegodny tego stanowiska. Nie sądzi pan, monsignore }

ROZDZIAŁ 17

P

rzez całe dwadzieścia cztery godziny Caterina trzymała Malberga w niepewności,

kim jest dla niej Paolo. Nietrudno było zgadnąć, jednak następnego ranka przy

śniadaniu, które jak wszędzie we Włoszech okazało się raczej skromne, Caterina i

Paolo wdali się w ostrą wymianę zdań, w której znów chodziło o pieniądze. Paolo, z

zawodu mechanik, stracił zajęcie ze względu na podejrzenie fuchy, jednak bezczelnie temu zaprzeczał. Utratę pracy przypisywał raczej ogólnie złej sytuacji gospodarczej.

W kulminacyjnym punkcie sprzeczki, której Malberg przysłuchiwał się w milczeniu, Caterina rzuciła:
- Już dawno bym cię stąd wywaliła, gdybyś nie był moim bratem!

Początkowo Malberg sądził, że się przesłyszał, chociaż wyraźnie wyłapał słowo fratello. W końcu ośmielił się wtrącić do kłótni i spytał: - Czy dobrze zrozumiałem?

Jesteście rodzeństwem?

— Tak — odburknęła Caterina. - Nie wspominałam o tym?

— W każdym razie ja nie przypominam sobie.

Z chwili na chwilę nastrój Cateriny się zmienił i powiedziała z uśmiechem: -

Zważywszy pańską sytuację, nie ma to wiele do rzeczy. Nie sądzi pan?

Malberg potulnie kiwnął głową, a Paolo wstał i wyszedł. Głośno trzasnęły drzwi od mieszkania.

Jakby chcąc przeprosić za zachowanie Paola, Caterina wzruszyła ramionami. -

Nasze stosunki, trzeba panu wiedzieć, nigdy nie były najlepsze. Cóż, wprawdzie jedziemy na tym samym wózku, ale każde ciągnie w inną stronę. Ja jako

dziennikarka śledcza, Paolo jako, że tak powiem,

biały kombinator. Nie chcę ukrywać przed panem, że Paolo już raz siedział. Ale to nie jest zły człowiek, może mi pan wierzyć. Tylko obraca się yf nieodpowiednim środowisku.

Widać było, że Caterina ubolewa nad prowadzeniem się brata.

- Nie musi pani przeproszać za brata - zauważył ugodowo Malberg. - Mam tylko nadzieję, że nie będę dla pani zbyt dużym ciężarem.

- Bez obaw - zaśmiała się Caterina. - Ale o posiłki musi pan zadbać sam. Zaraz za rogiem jest świetna pizzeria. Tutaj ma pan klucz do mieszkania. A teraz proszę mi

wybaczyć. Będę z powrotem około szesnastej. To jest jedyna zaleta mojego nowego działu. Mam dość regularne godziny pracy. Jako reporterka śledcza właściwie bez przerwy byłam na służbie. To na razie!

Malberg wolał spędzić dzień w mieszkaniu Cateriny. Nie, żeby się bał wyjść z domu! Czuł się dość pewnie i sądził, że nie zostawił za sobą żadnych śladów, po których policja mogłaby go namierzyć.

Mieszkanie Cateriny składało się z dwóch pokoi, kuchni i staromodnej łazienki z jeszcze bardziej staromodnym prysznicem, zamontowanym w niszy. Dwa okna z

dużego pokoju i jedno z sypialni Cateriny wychodziły na ulicę. Okna z kuchni i łazienki wychodziły na podwórze, w południe pełne gadających matron, a po południu wrzeszczących dzieci. Umeblowanie przypominało katalog wysyłkowy, jeśli nie liczyć zwalistego czarnego sekretarzyka z dziewiętnastego wieku.

Wszystko to nie polepszało jego marnego nastroju, więc Malberg usiadł przy wielkim sekretarzyku, oparł głowę na rękach i zaczął rozmyślać. Spokojnie raz jeszcze przebiegł po wszystkim, co wydarzyło się od zamordowania Marleny.

Urodzony pod znakiem Panny z Lwem w ascen-dencie, Malberg miał zwyczaj trzeźwo analizować rzeczy i stosownie do tego działać. Lecz choć bardzo intensywnie poszukiwał jakiegoś klucza, jakiegoś szczegółu, który wyjaśniłby wydarzenia ostatnich dni, jego rozmyślania wciąż kończyły się w ślepej uliczce.

Malberg miał wrażenie, że kręci się w kółko.

Jaką rolę odgrywał sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga w życiu Marleny?

Albo jeszcze lepiej: w śmierci Marleny? Dlaczego pogrzeb był sekretny, anonimowy?

Dlaczego mieszkanie Marleny zamurowano jak jakieś mauzoleum? Dlaczego całą jej przeszłość po prostu wymazano?

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Nagle Malberg zaczął szkicować na kartce papieru plan mieszkania Marleny, tak jak go zapamiętał. Niepewną kreską narysował górę schodów, szerokie drzwi wejściowe do mieszkania, łazienkę, w której znalazł Marlenę, oraz drzwi prowadzące na strych. Tu Malberg przerwał.

Jego szkic zapewne tylko w przybliżeniu odpowiadał rzeczywistym wymiarom.

Jednak postawił sobie pytanie, czy pomiędzy salonem Marleny i strychem nie mogło być jeszcze jednego pomieszczenia albo jakichś drzwi łączących. Ze zrozumiałych względów podczas pierwszej wizyty interesowało go wszystko inne, a nie plan mieszkania. A kiedy odwiedził dom po raz drugi i zbadał strych, z tamtego śmietnika w pamięci została mu tylko szafa ubraniowa z okresu Vittorio Emanuele.

Przez cały dzień, który spędził w obcym otoczeniu na rozmyślaniach, Malberg walczył z sobą, czy aby nie powinien raz jeszcze odwiedzić kamienicy, w której

mieszkanie Marleny jakby ziemia pochłonęła. Dla Malberga było bowiem pewne, że za zamurowaniem mieszkania i zniknięciem dozorczyń stał plan usunięcia wszelkich śladów przypominających Marlenę.

Jednak nie znalazł odpowiedzi na pytanie, jak miałby się dostać do domu i na strych niezauważony. W każdym razie pod żadnym pozorem nie mógł dać się odkryć.

Nie mógł sobie pozwolić na żadne ryzyko.

Caterina spóźniała się, a że Malberg nie miał szczególnej ochoty na przebywanie w mieszkaniu z Paolem, który miał zaraz wrócić, wyszedł na ulicę, kupił sobie gazetę i zasiadł w zacienionym ogródku pobliskiej trattorii.

Obojętnie przeglądał wiadomości dnia w gazecie i popijał campari. Nagle poczuł, że jest obserwowany. Facet w średnim wieku, o opalonej twarzy i krótko przystrzyżonych, siwawych włosach, przyglądał mu się badawczo zmrużonymi oczami. Robił wrażenie lekko zaniedbanego i pił jedno macchiato za drugim.

Choć obcy wcale nie robił wrażenia niesympatycznego, Malbergo-wi wydał się jakoś podejrzany. Pewnie, że nerwów nie miał w najlepszym stanie, bo zbyt wiele się ostatnio wydarzyło; poza tym musiał się liczyć z tym, że nie tylko policja go poszukuje. Z demonstracyjną swobodą kiwnął na cameriere, uregulował rachunek i już miał wychodzić, gdy nieznajomy wstał i podszedł do niego.

- Scusi, signore - powiedział i przysiadł się do stolika. - Nie chciałbym być natrętny.

-

Czy my się znamy? - spytał Malberg z udawaną obojętnością. Nieznajomy wyciągnął rękę ponad stolikiem. - Nazywam się Giacompo Barbieri. Pan jest Niemcem?

- Tak. Dlaczego pan pyta?

- Dobrze mówi pan po włosku. Od dawna pan tu mieszka? Malberg pokręcił głową. - Jestem tu w interesach.

- Rozumiem.

- Dlaczego pana to interesuje?

-

Racja. Powinienem najpierw powiedzieć parę słów o sobie. Otóż jestem detektywem albo chłopcem na posyłki, albo gorylem. Niech pan to nazwie, jak chce. Jeszcze rok temu byłem policjantem, opłacanym raczej marnie niż dobrze. Potem zrobiłem błąd. Albo lepiej rzecz ujmując, dałem się nakryć. Moja wina. W każdym razie wyrzucono mnie na bruk z dnia na dzień. Od tamtej pory utrzymuję się na powierzchni dorywczymi zajęciami. A pan?

-Jestem tutaj w celu zakupu starych książek. Wie pan, Rzym w czasie wojny był

znacznie mniej zbombardowany niż duże niemieckie miasta, w których spłonęły dwie trzecie księgozbiorów. I to akurat w kraju, gdzie wynaleziono druk! Tak czy inaczej w Rzymie z jego niezliczonymi kościołami i klasztorami jest więcej książek i bibliotek niż w jakimkolwiek innym mieście.

- Ale książek, których pan szuka, nie ma chyba na pchlim targu? - Uśmiechnął się nieznajomy.

- W rzeczy samej. Widzi pan, ma się tu pewne kontakty. W moim zawodzie żyje się, że tak powiem, z dobrych kontaktów. Ale po co panu to wszystko wiedzieć?

- Bo mnie to interesuje. Być może będę nawet mógł panu służyć pomocą, signore Malberg.

Malberg przeraził się. Czy w ogóle wspomniał przy nieznajomym swoje nazwisko? Nie był pewien. - Jak chce mi pan pomóc?

- Zdaje się, jest pan w niezłych kłopotach.

- Kłopotach? O co panu chodzi?

Obcy wzruszył ramionami i skierował wzrok na ziemię. Wyglądało na to, że nie chce tak od razu mówić.

-

Cóż to za insynuacje? - naciskał Malberg. - Skąd pan zna moje nazwisko?

Tamten uśmiechnął się z wyższością, której Malberg nie umiał zinterpretować.

Także jego odpowiedź była zagadkowa: - Jestem wielkim nieznanym.

Malberg spojrzał na nieznajomego oszołomiony.

-

Jak pan sądzi, skąd Caterina Lima wyciąga informacje? - ciągnął. - Wprawdzie

zwolniono mnie ze służby w policji, ale w sposób okrężny wciąż mam dostęp do ludzi na wszystkich stanowiskach. Wiem, że wysłano za panem list gończy.

Malberg siedział jak skamieniały. Czyżby Caterina kazała go śledzić? Jaka właściwie rolę odgrywała w sprawie tego tajemniczego zabójstwa? Czy ich spotkanie rzeczywiście było przypadkowe? A ten Giacopo Barbieri? Czy można mu zaufać? Komu w ogóle można jeszcze ufać?

-

Od dawna mnie pan obserwuje? - zagadnął Malberg po chwili bezowocnych rozmyślań.

Barbieri zmarszczył brwi. - Spodziewałem się tego pytania. Nie! Caterina prosiła mnie, żebym miał pana na oku. Obawia się, że mógłby pan popełnić jakiś błąd, który zmarnowałby całe dotychczasowe śledztwo. Być może brzmi to dziwnie, ale proszę mi wierzyć, signore Malberg, Caterina chce dobrze.

-

Popełnić błąd? Czyli co?

- Na razie chodzi przede wszystkim o to, aby ochronić pana przed aresztowaniem.

- Że niby wyjść na ulicę wolno mi tylko nocą i w odpowiednim przebraniu?

- Bzdura. Rzym to ogromne miasto. Nawet jeśli za panem wysłano list gończy, w zasadzie nie ma się czego obawiać, o ile zachowa pan określone reguły gry i nie będzie pan dla ścigających zostawiał śladów.

-

Czy mógłby pan wyrażać się jaśniej?

-

Oczywiście. Pod żadnym pozorem nie wolno panu wracać do hotelu. -Jasne.

Co jeszcze?

-

Mam nadzieję, że w ciągu ostatnich dwóch dni nie dzwonił pan ze swojego telefonu komórkowego.

-

Nie. Tylko z hotelu. Dlaczego jest to istotne?

-

Ustalenie z dokładnością do dwudziestu metrów miejsca, z którego pan dzwoni, to dla policji łatwizna.

-

Tego nie wiedziałem!

-

Dlatego też mówię to panu. Poza tym nie wolno panu korzystać bankomatów.

Wszystkie bankomaty są wyposażone w kamery, które wiecznieją każdego, kto wypłaca pieniądze. Nawiasem mówiąc, płacenie kartą kredytową w sklepie nie jest problemem. Ponadto nie wolno panu rzechodzić na czerwonym świetle oraz

powinien pan unikać miejsc po-

stających w jakimkolwiek związku z pańską sprawą.

-

Z moją sprawą! - obruszył się Malberg. - Nie ma żadnej sprawy alberga. Tutaj chodzi o zamordowanie Marleny Ammer i o powody, dla których jej śmierć jest tuszowana.

-

Mam pan całkowitą rację - stwierdził Barbieri uspokajająco - ale tej chwili nie pomoże to panu. W każdym razie powinien pan unikać szystkiego, co mówiłem.

Zważywszy bowiem działania prowadzone sprawie Ammer, musimy się liczyć z tym, że grób i mieszkanie zmarłej

ory, a przypuszczalnie także dom markizy, będą pod obserwacją. Bez wątplenia, pomyślał Malberg, ten Barbieri jest wprowadzony we zelkie szczegóły. - W takim razie - zaczął z wahaniem - wie pan rów-

0

tym, że na pogrzebie Marleny był obecny kardynał Gonzaga.

-

Coś panu powiem - odpowiedział Barbieri i pokręcił głową. - Pod-as niemal dwudziestu lat w policji nie miałem tak zagadkowej spra-

jak ta. Najwidoczniej istnieją tu jakieś powiązania, których nawet nie eczuwamy.

Wydarzenia po zabójstwie Marleny Ammer pozwalają ra-"j wnioskować, że za tą zbrodnią kryje się jakieś inne, jeszcze większe rzestępstwo.

1

akurat ty, pomyślał sobie Malberg, jesteś uwikłany w taką sprawę, agle znów

zobaczył przed sobą twarz Marleny, tak jak ją pamiętał z ostat-:ego zjazdu

klasowego: ciemne oczy, wydatne usta i wystające kości po-czkowe. Słyszał jej

głęboki, aksamitny głos, który od czasów szkoły tak

dzo się zmienił. Przed jego wewnętrznym okiem pojawiły się wąskie czki

bawarskiego miasteczka, kamienne schodki prowadzące do ratusza, ara jezuicka

szkoła z echem niosącym się po korytarzach, i rzeka, dzielą-małe miasteczko na dwie

części. Malberg widział wszystko przed sobą, by to było wczoraj, i zadawał sobie

pytanie, w jaki sposób los Marleny tamtej doskonałej harmonii mógł wpaść w

zabójczy chaos, w którym °d koniec życia się znalazła.

Podczas ich ostatniego spotkania gawędzili długo i żywo, przy czym on teraz to sobie uświadomił - znacznie bardziej się otworzył niż Marlena.

Lecz jak to bywa przy spotkaniu po wielu latach, anegdoty i wspomnienia nie

pozwoiliły na głębszą rozmowę. Teraz czynił sobie wyrzuty.

Po długiej sjeście, która na Zatybrzu trwa dłużej niż gdziekolwiek w Rzymie, na ulice powróciło życie: hałasujące dzieci, stukające żaluzje podniesione przed sklepikami, i głośne wołania z wyższych pięter.

Po dłuższym milczeniu Malberg znów zwrócił się do Barbieriego: - Nawet jeśli uważa pan to za ryzykowne, muszę raz jeszcze odwiedzić dom, w którym mieszkała Marlana. Jej mieszkanie zostało po prostu zamurowane. Wszystko to ma stwarzać wrażenie, jakby nigdy tam nie mieszkała. Musi istnieć ku temu jakiś powód. Być może znajdę jakąś wskazówkę...

- Mówi pan, że mieszkanie jest zamurowane? Chce pan tam uruchomić młot pneumatyczny? A czego pan się spodziewa po pustym mieszkaniu? Proszę pana! Niech pan niepotrzebnie nie ryzykuje!

nu

Barbieri wziął gazetę Malberga i na brzegu nabazgrał numer telefo-Na wszelki wypadek. Gdyby mnie pan potrzebował.

ROZDZIAŁ 18

N

ikt nie zauważył, że krótko przed północą na wieży Layenfels uchylono jedno z okien. Zaraz potem w szparze pojawiła się strzała z żelaznym grotem. Była skierowana w dół, prosto w dach budynku. Niemal bezszelestnie strzała świsnęła w bladej poświacie księżyca. W ułamku sekundy na wysokości rynny trafiła w coś małego, co wydało z siebie śmiertelny krzyk. Następnie uderzyło w kamienną płytę trzy piętra niżej. Cisza.

Upłynęło może z dziesięć minut, gdy hematolog Ulf Gruna i badacz komórek dr

Dulazek wyszli przez wąskie gotyckie drzwi na dziedziniec. Dr Dulazek miał z sobą przybornik długi na jakieś trzydzieści centymetrów i gruby na dziesięć.

- Nie wiedziałem, że jest pan tak wybornym łucznikiem - mruknął Dulazek, trzymając dłoń nad oczami i przeszukując wzrokiem dziedziniec.

- Minęło już parę lat - odparł Gruna szeptem - od czasu, gdy studiując w Anglii, należałem do zespołu. Trenowaliśmy dwa razy w tygodniu. Od tamtej pory nie porzuciłem tej dziedziny sportu.

-

To niebezpieczne, taka strzała!

-

Pewnie. Chociaż tutaj rzecz nie zależy tak bardzo od strzały, ale bardziej od łuku. Za pomocą dobrze napiętego, precyzyjnego łuku mógłby pan spokojnie zabić człowieka z dwustu metrów.

-1 to zupełnie bezszelestnie!

~ To także, w przeciwieństwie do strzału z pistoletu - Gruna wskazał na tylny róg dziedzińca. - Tam!

Strzała Gruny przebiła na wylot gołębia, który nocował w rynnie.

Dulazek otworzył swój aluminiowy przybornik w kształcie walca wyjął z niego szklaną pipetę owiniętą w białe płótno i skalpel, po czym wręczył pusty pojemnik Grunie. Ten podniósł strzałę z martwym zwierzęciem i upchnął gołębia do przybornika.

-

Musimy się pośpieszyć - szepnął Ulf do Gruny. W przeciwieństwie do swoich słów był uosobieniem spokoju.

Dulazek skinął głową.

Z latarką jako źródłem światła wspięli się po ciasnych krętych schodach na górę do laboratorium. W drugim pomieszczeniu, składającym się z dwóch połączonych z sobą sal, znajdowało się laboratorium hematologii. Gruna wszystko już wcześniej przygotował.

Zasłonił jedyne okno wychodzące na dziedziniec i zapalił światło. Przez chwilę od ostrych neonówek aż zaboląły oczy.

Za pomocą skalpela dr Dulazek oddzielił głowę gołębia od tułowia. Pipetą pobrał płynącą obficie krew. Ledwo pipeta wypełniła się krwią, krwotok ustał.

-

Powinno wystarczyć - stwierdził z zadowoleniem.

Gruna na powrót wepchnął głowę i tułów martwego gołębia do przybornika.

Następnie zgasił światło i odsłonił okno.

Dulazek chwycił Grunę za ramię: - Zdawało mi się, że słyszałem jakieś kroki.

-

O tej porze?

-

Przecież pan wie, że Eric van de Beek, podobnie jak Anicet, pracuje nocami.

Chociaż o tej porze nigdy u niego światła nie widziałem.

Przez chwilę obaj nasłuchiwali w ciemności. Potem Dulazek pokręcił głową: -

Dajże pan spokój, tyle czasu to my nie mamy.

Tańczące światło latarki wskazywało obu mężczyznom drogę do laboratorium profesora Muratha. Pomieszczenie to było największe ze wszystkich i położone było na końcu ciągu sal. Miało trzy okna, które w przeciwieństwie do pozostałych sal

laboratoryjnych wychodziły nie na dziedziniec, lecz na dolinę Renu.

Gruna zamknął drzwi i pstryknął światło.

Na długim białym kredensie wyposażonym w podświetlony blat z mlecznego szkła nadal stał zestaw eksperymentalny, za pomocą którego biolog molekularny starał się „zdjąć świat z zawiasów”. Tak w każdy* razie Murath mówił o swoim odkryciu i namawiał bractwo Fideles Fidel

lagrantes, aby weszli w posiadanie rzekomego oryginału całunu turyń-kiego.

Cztery dni wcześniej Murathowi nie powiodła się pierwsza próbna rezentacja. Tym sposobem, zresztą nie po raz pierwszy, podzielił Fla-antes na dwa obozy. Jedni za plecami nazywali go egoistą bijącym pia-ę, drudzy natomiast byli głęboko przekonani, że Murath, „Mózg”, po rostu potrzebuje jeszcze trochę czasu, a potem dostarczy ostatecznego owodu swojej hipotezy.

Aby nie zostawiać nawet najmniejszych śladów, Dulazek założył gu-owe rękawiczki. Ostrożnie wziął pipetę z krwią, zamykając palcem wska-jącym mały otwór na górze.

-Tak samo jak ja, nie może pan ścierpieć „Mózgu”- zauważył cicho runa, śledząc nabożnie każdy ruch Dulazka.

-

Nie da się ukryć! - badacz komórek na chwilę podniósł wzrok. - Nie am w poważaniu naukowców, którzy działają tak, jakby byli samym Bo-
iem. A mówię to jako agnostyk!

- O ile dobrze pana rozumiem, uważa pan hipotezę Muratha za ednie?

- Brednie? Nie, wręcz przeciwnie. Obawiam się nawet, że Murath ma cję z tą swoją teorią. Jednak jest nią opętany i nie przerwie swoich badań, ' nie dostarczy dowodu. A wtedy niech Bóg się nad nami zlituje.

-Bóg?

-Tak, ostatecznie o to przecież chodzi. Niech pan sobie to nazwie ogiem, Absolutem, Dobrem, Duchem, Rozumem albo Światłem. Na 'no wychodzi.

Obserwując, jak profesor zdejmuje szklane pokrywki z trzech szkla-yh, płaskich pojemniczków wielkości dłoni, Gruna powiedział zdziwio-y: - A ja miałem pana za naukowca z dziedziny nauk przyrodniczych, nie filozofa religii!

-

Doprawdy? - odparł Dulazek, przy czym nie sposób było nie za-ażyć odcienia ironii. - Być może dla pańskiej dziedziny, hematologii,

st mniej typowe wpadanie na filozoficzne granice. Jednakże co się ryczy ologü i biologii molekularnej, to badania niemal codziennie popadają kolizję z filozofią religii. I w tym miejscu opinie się różnicują - Dula-k podniósł wzrok. - Nie wiem, czy pan choć raz dokładniej poobser-ował Muratha.

- Co znaczy poobserwował? To, że profesor jest raczej osobliwym kolegą, nie umknęło mojej uwadze. Ale do tego nie trzeba żadnej szczególnej obserwacji. To wiedzą chyba wszyscy Flagrantes w Burg Layenfels.

- Nie w tym rzecz. Chodzi mi o to, czy próbował pan kiedyś jego szczególne właściwości uporządkować w system?

Ulf Gruna spojrzał zirytowany. - Szczerze mówiąc, jak dotąd Murath jako człowiek w ogóle mnie nie interesował. Jedyne, co mnie fascynuje u Muratha, są jego badania.

Za pomocą pesety Dulazek wyjął z pierwszego pojemnika nitkę o długości nie

więcej niż dwa centymetry. Z pipetą w prawej i nitką w lewej dłoni naniósł na nitkę

prawie niedostrzegalną ilość krwi gołębia. Tak samo postąpił z kłębką materiału wielkości milimetra oraz małym skrawkiem płótna, nie większym od paznokcia,

wyjętymi z pozostałych dwóch naczyń.

-

Ale dlaczego, na Boga, akurat krew gołębia? - mruknął Dulazek pod nosem.

Nie spodziewał się odpowiedzi od hematologa. Toteż jej nie było.

Po dłuższej chwili Gruna jednak odpowiedział: - Faktem jest, że w obecności tlenu krew gołębia utlenia się szybciej niż krew jakiegokolwiek innego zwierzęcia ciepło czy zimnokrwistego, zatem niemożliwe jest ustalenie wieku próbki krwi. Jak już mówiłem: na razie nie ma na to żadnego wyjaśnienia.

Dulazek uśmiechnął się szeroko. Był to uśmiech sardoniczny. W końcu powiedział: - Mam nadzieję, że Murath da za wygraną, kiedy kolejna próba również się nie uda. Czy widział pan jego twarz, kiedy siedział przed monitorem i w obecności całego zespołu musiał przyznać, że coś nie gra?

- Tak, oczywiście. Myślę, że wszyscy odczuli wtedy pewną satysfakcję. Może i Murath jest naukowcem wysokiej klasy, ale jako człowiek jest obrzydliwy.

- Jest to zresztą kombinacja wcale nie taka rzadka. Ale mówił pan wcześniej o cechach Muratha, za którymi stoi jakiś system.

- Cóż, wszyscy w Burg Layenfels mamy przecież swoje osobliwe cechy. W przeciwnym razie by nas tu przecież nie było. Wszyscy w pewien sposób cierpimy na tę samą chorobę: samych siebie. Jednak ostatnio występuje to u Muratha w szczególnym natężeniu. Gdyby mnie kto pytał, to uważam profesora za psychopatę.

Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę,

-

unika światła dziennego, brzydzi się mięsem i winem, a także odrzuca szelkie formy własności i cielesności, jak jakiś manichejczyk albo katar.

-
Tak samo jak Anicet!

Dulazek przytaknął: - To zapewne jest także powód, dla którego ci waj tak dobrze się rozumieją. Tylko, że - tu badacz komórek zrobił dłu-przerwę, jakby chciał zebrać myśli - to wszystko nie ma nic wspólnego jego mrocznymi planami. Są to bowiem plany agnostyków, którzy nie 'erzą w nic poza sobą...

Gruna uniósł ręce w geście obronnym: - Moment, za dużo tego szyskiego naraz, katar, manichejczyk. Czy może pan to niedouczonemu ematologowi objaśnić

dokładniej? Sądziłem, że wszyscy jesteśmy człon-mi bractwa Fideles Fidei

Flagrantes. Jego reguły są już dostatecznie wiłe. A czasem nie jest szczególnie

przyjemną rzeczą dostosowywanie ojego życia do wymagań bractwa. Dulazek

postarał się poustawiać sprzęt Muratha tak, jak go zastali, djął gumowe rękawiczki i

powiedział: - Co się tyczy katarów i manichej-yków, chodzi o obskuranckie ruchy

religijne z okresu wczesnego śre-niowiecza, które do dzisiaj sieją zamęt. Katarzy

przybyli w dwunastym 'eku z południowo-wschodniej Europy. Sami siebie nazywali

„czystymi" b też „pocziwcami" i znaleźli tutaj w Nadrenii niemało wyznawców, ozprzestrzenili się również w Anglii, południowej Francji i północnych oszech. Przez

Kościół prześladowani byli jako heretycy, ponieważ nie nawali Starego Testamentu

ani hierarchii kościelnej. Najgorsze zaś było , że twierdzili jakoby Jezus nie posiadał

ziemskiego ciała, bo wszystko o ziemskie jest złe.

- Mogę sobie wyobrazić, że papież w Rzymie niechętnie tego słu-ał. A

manichejczycy?

- Manicheizm powstał już w czasach wczesnego chrześcijaństwa, go twórcą był

niejaki Manicheusz z Babilonu, który w trzecim wie-

miał objawienie i rzekomo został ukrzyżowany jak Jezus. Mieszając rześcijaństwo i

buddyzm wymyślił nową religię, w której poważną rolę grywa Książę Ciemności, swego rodzaju Szatan. Swoją radykalną negację świata posunął tak daleko, że nauczał, aby powstrzymać się od zbrodni. Dla Manicheusza Jezus był jedynie eonem, wysłannikiem ania Światłości. Tego rodzaju herezje oczywiście nie mogły przyspaść do stu Kościołowi, który już w średniowieczu zakazał tej heretyckiej działalności. Mimo to wciąż pojawiały się nowe zarodki manicheizmu, owiane tajemnicą, jak Apokalipsa.

-

Byłby z pana znakomity teolog!

-Wiem - oświadczył Dulazek z pewną ironią w głosie. - Chciałbym panu wyjawić pewną tajemnicę: zanim zająłem się badaniem komórek, byłem benedyktyńskim mnichem.

-

Takim prawdziwym, w habitcie i z tonsurą?

Dulazek opuścił głowę. Na czubku głowy, pośród przyprószonych siwizną włosów, rozpoznał Gruna kółko porośnięte delikatnym meszkiem.

-

Czegoś takiego człowiek się nie pozbędzie przez całe życie - mruknął Dulazek cicho.

-

A dlaczego...?

-

Chodzi panu o to, dlaczego habit odwiesiłem na kołek? Gruna skinął głową i zaciekawiony patrzył na Dulazka.

- Ponieważ już po pół roku bycia benedyktynem doszedłem do przekonania, że znalazłem się na fałszywej ścieżce. Taki klasztor to ogromny kram, w którym każdy z większym lub mniejszym powodzeniem stara się jakoś rozwiązać swoje problemy psychiczne. Jednak większość na próżno. Rozkład dnia w klasztorze pozwolił mi sporo zajmować się filozofią religii. A im głębiej wnikałem w te zagadnienia, tym bardziej uświadamiałem sobie, że wiara chrześcijańska to utopia, to religia o pseudonaukowym gruncie, która nie wytrzymuje dokładnego badania. Tak to drogą okrężną dotarłem do nauk przyrodniczych. Nawiasem mówiąc mój stopień doktorski nie nazywa się doctor rerum naturalium, ale po prostu doctor theologiae. Ale o tym nikt tutaj nie ma pojęcia. Nie zdradzi mnie pan przecież?

- Oczywiście, że nie! - odparł Gruna z oburzeniem.

W świetle latarki zeszli w milczeniu na dół tymi samymi krętymi schodami, którymi weszli. Dotarłszy do pierwszego piętra, gdzie ich drogi się rozchodziły, jako że ich cele położone były po przeciwnych stronach, Gruna zatrzymał się i szeptem zadał Dulazkowi pytanie: — Proszę mi wybaczyć ciekawość. Jaki ma pan cel w sabotowaniu pracy Muratha. Pan wie, że jestem po pańskiej stronie. Może mi pan więc spokojnie powiedzieć prawdę.

- Prawdę? To bardzo proste. Nie życzę Murathowi sukcesu - głós Dulazka zabrzmiał twardo i nieustępliwie.

ROZDZIAŁ 19

W

trakcie kolejnych dni, które Lukas Malberg spędził u Cateriny, pojawiły się pierwsze problemy wspólnego mieszkania. Nie było łatwo współistnieć w tak ciasnej przestrzeni. Przede wszystkim Malbergowi trudno było pogodzić się z chaosem

powodowanym codziennie przez Paola.

Sytuację pogarszało jeszcze to, że ledwo Caterina wychodziła rano z domu, pojawiali się wątpliwi przyjaciele Paola i już od wczesnych godzin urządzali pijaństwo: aktor bez angażu, mechanik samochodowy, który czuł powołanie do bycia rajdowcem, oraz jakieś typy obwieszane złotem, o źródłach utrzymania których Malberg wolał nie myśleć. Krótco przed powrotem Cateriny z redakcji goście znikali, pozostawiając za sobą kłęby dymu papierosowego i brudne kieliszki.

Ziółka owe, wśród których znalazła się także atrakcyjna dziewczyna o aksamitnym głosie, rzekomo dubbingująca filmy, na Malbergu nie zrobiły wrażenia budzącego szczególne zaufanie. Dlatego postanowił poszukać sobie innego mieszkania.

Kiedy powiadomił Caterinę o swoim zamiarze, początkowo napotkał niezrozumienie.

- No dobrze, układ nie jest najłatwiejszy, jednak zważywszy szczególne okoliczności, jest to najlepsza możliwość, żeby pozostać nieodkrytym. Wiem, że przyzwyczajony jest pan do czegoś lepszego, ale niczego więcej nie mogę panu zaoferować.

- Bzdura - Malberg starał się uspokoić Caterinę. - Mały pokój mi wystarczy.

Potrzebuję tylko spokoju. Uważam zresztą za rozsądne, aby ten układ P^odnajmu zakończyć, zanim jeszcze wszyscy troje się posprzeczamy.

-

Caterina urażona wzruszyła ramionami. - Dobrze, skoro pan tak uważa Paolo, który sprzed włączonego telewizora na pozór biernie śledzi }

rozmowę, teraz się włączył: - Zdaje się, że coś bym w tej sprawie mógł poradzić.

- Ty? - powiedziała Caterina, która brata rzadko traktowała poważnie. - Signore

Malberg potrzebuje pokoju albo mieszkania, gdzie nie dosięgną go przepisy meldunkowe.

- Właśnie - Paolo skinął głową. - Moment - chwycił za telefon i p0 krótkiej wymianie zdań odłożył słuchawkę i zwrócił się do Malberga: - Zaledwie dwie ulice stąd signora Papperitz wynajmuje pokoje artystom malarzom i pisarzom...

- Ale także różnym podejrzanym typom - wpadła mu w słowo Caterina. — Mimo to, pomysł nie jest zły.

Malberg nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Paolo cieszy się, iż się go pozbywa. -

Signora Papperitz? - spytał. - Niemka?

-

Och nie, rzymianka od urodzenia - odparł Paolo. - Ale jest potomkiem pewnego niemieckiego malarza, który sto pięćdziesiąt lat temu sporo czasu spędził w Rzymie - tu mrugnął znacząco i dodał: - W każdym razie tak twierdzi. Może pan jutro obejrzeć pokój i przekazać pozdrowienia od Paola. Via Luca 22.

Podczas wieczoru, kiedy Malberg miał się wyprowadzić od Cateriny, zdarzyło się coś dziwnego i stało się to zupełnie niespodziewanie - w każdym razie długo nie mógł w to uwierzyć.

Paolo swoim zwyczajem pół nocy spędził poza domem. Malberg i Caterina trochę wypili. Nie tyle, żeby alkohol zmącił im rozum, ale akurat dość, by przestać się hamować i móc prowadzić ekscytującą rozmowę.

Chociaż sam o Caterinie mało co wiedział, ona w subtelny sposób umiała go skłonić do mówienia. Nie sposób orzec, czy było to celowe, czy przypadkowe, dość, że powstała atmosfera pełna napięcia, poprzedzająca magię pociągu seksualnego.

Dotąd traktowali się nawzajem ze zdystansowaną uprzejmością-Nieufność zaś, którą rozwinęli wobec siebie, nie była - jeśli się spojrzało w przeszłość — nieuzasadniona. Dwa światy zbliżyły się do siebie i chociaż oboje zmierzali do tego samego celu, żadne z nich nie znalazło dostępu do wnętrza drugiego.

Na dociekliwe pytania Cateriny Malberg chętnie udzielał informacji. \Co siC tyczy kobiet, to w latach młodości, żadnej - jak to się mówi - nie Ljrzepuścił. Pewna dorodna fryzjerka z salonu po drugiej stronie ulicy, tleniona ufryzowana blondyna, dwa razy starsza od niego, wtedy szesnastolatka, uwiodła go, a może odwrotnie. Teraz już nie wiedział na pewno. Z miłością nie miało to nic wspólnego. Pewnie bardziej z seksem. Jednak w żadnym razie nie było tego więcej niż pięć razy. Miała na imię Elwira.

Kiedy był na pierwszym roku filologii, zbliżyła się do niego niejaka Zdenka, nie mniej pociągająca, o ciemnych oczach, czarnych włosach i niezwykle inteligentna. Malberg sądził, że w tej córce jugosłowiańskich imigrantów odnalazł wielką miłość. Pobrali się, mając oboje po dwadzieścia dwa lata. Małżeństwo było bezdzietne i trwało dokładnie trzy i pół roku. Później w jego życiu następował jeden związek za drugim. Najdłuższy przetrwał prawie pięć lat i pozostawił po sobie bardzo dobre wspomnienia.

Winę za wszystkie porażki brał na siebie. Nieraz słyszał wyrzuty, że właściwie to on się ożenił ze swoimi książkami, zaś co do kobiet, to jest zdolny jedynie do małżeństwa morganatycznego.

Gdy Malberg opowiadał o swoim życiu, Caterina nie spuszczała z niego poważnego spojrzenia. W końcu odezwała się niemal ze smutkiem: -Jakoś jest mi pana żal.

Po chwili zadumy Malberg zapytał: - Dlaczego jest pani mnie żal?

- Pan zawsze panuje nad własnymi uczuciami.

- To prawda. Ale doprawdy nie ma potrzeby, żeby było pani żal. Pewny siebie spojrział na Caterinę. W jej oczach była melancholia.

Jednak już w następnej chwili te same oczy zaiskrzyły czystą namiętnością. Jego zmysły zaszalały, gdy Caterina powiedziała bez ogródek: - Lukas, chce pan się ze mną przespać?

Lukas sądził, że się przesłyszał. Zaskoczony odchylił się do tyłu w swoim fotelu.

Nagle stracił poczucie czy to jawa, czy sen. Nie był pewien, jak odpowiedzieć na tak niezwykle pytanie. Istnieją pytania, pomyślał, których się po prostu nie stawia. To właśnie było jedno z takich pytań, absolutnie nieprzyzwoite, na które nie sposób odpowiedzieć po prostu twierdząco czy przecząco, na które można odpowiedzieć tylko równie nieprzyzwoicie. Nie można też odpowiedzieć uprzejmie, w rodzaju: „Jestem akurat wolny” czy protekcyjnie: „Skoro pani tak uważa”.

Gdy Malberg wciąż zastanawiał się, co powiedzieć, Caterina zrobiła pierwszy krok. Wstała, podciągnęła krótką lnianą spódniczkę i usiadła na nim. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, zaczęła majstrować przy jego spodniach. Malberg zamknął oczy i poddał się uczuciom.

Jej uśmiech, pełne usta i kokieteria jej spojrzeń niepokoiły go już od pierwszego spotkania. I choć Malberg z pewnością nie był nieśmiały stłumił wszelkie fantazje, że oto Caterina, świadomie czy nie, prowokuje go. Chcieli wspólnie wyjaśnić pewną niebezpieczną sprawę. Seks tylko by przeszkadzał.

Myśli tego rodzaju przelatywały mu przez głowę jedna za drugą, gdy oto Malberg poczuł język Cateriny, wpychający mu się niecierpliwie w usta. Całowali się długo i

namiętnie, a jej ciepła dłoń odnalazła drogę przez wszystkie warstwy ubrania i objęła jego przyrodzenie. Malberg jęknął z podniecenia i chwycił ją za włosy. Caterina na chwilę uwolniła się od niego, potem rozłożyła nogi i powiedziała tylko jedno słowo: — Chodź!

Malberg gwałtownie przyciągnął ją do siebie i wszedł w nią.

Ciche okrzyki, które wydawała, niesamowicie go podnieciły. Czy to z powodu długiego czasu, który upłynął od ostatniego razu, czy niespodziewanej akcji, którą Caterina go zaskoczyła, w każdym razie Malberg nie pamiętał, żeby kiedykolwiek uprawiał tak dobry seks.

Zmęczeni osunęli się na podłogę, gdzie leżeli obok siebie, dysząc ciężko. Caterina pierwsza doszła do siebie. Odwróciła się do niego i podparła na łokciu. - Mam nadzieję, że nie było ci nieprzyjemnie - powiedziała, odgarniając mu z twarzy kosmyk włosów.

Malberg spojrzał na nią, potem znów zamknął oczy. W kącikach ust przemknął mu uśmiech. Nic nie powiedział.

ROZDZIAŁ 20

L

ukas Malberg miał kłopot z orientacją, kiedy nazajutrz koło dziesiątej się obudził.

Noc spędził na tapczanie, który służył mu do spania przez te ostatnie dni. Jak to często bywało, Paolo nie wrócił do domu na noc, a Caterina już wyszła.

Cóż to za kobieta, pomyślał Malberg i przetarł zaspane oczy. Równocześnie jego wzrok padł na karteczkę wetkniętą w jego prawy but. Podniósł ją i przeczytał: „Mam nadzieję, że nie przewróciłam Ci życia całkiem do góry nogami. Całuję, Caterina”.

Musiał się roześmiać.

Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, Malberg trzymał się swojego planu i wybrał się do signory Papperitz.

Dom przy Via Luca różnił się od innych w okolicy przede wszystkim tym, że robił wrażenie bardzo zadbanego. Nawet klatka schodowa, będąca w większości domów na Zatybrzu dość koszmarna, wyglądała na pierwszy rzut oka zapraszająco i przyjaźnie.

„Papperitz-Camere-Rooms”. Mosięzna tabliczka na drzwiach na pierwszym piętrze informowała o pokojach do wynajęcia.

Malberg nacisnął dzwonek.

Drzwi się otworzyły i w półmroku korytarza pojawił się zarys korpulentnej kobiety około sześćdziesiątki. Ostry makijaż miał zapewne odciągać uwagę od jej podwójnego podbródka. I choć była środa, a przy tym wrzesień, czyli w kalendarzu gregoriańskim miesiąc bez żadnych świąt, Signora miała na sobie elegancki ciemny kostium, jakby właśnie wybierała

się do kościoła. Nieufnie zmierzyła obcego wzrokiem, a ponieważ ani się nie przywitała, ani nie zapytała o ceł wizyty, Malberg zaczął sam: - Nazywam się Malberg i szukam jakiegoś kąta na parę tygodni. Przysyła mnie Paolo Lima.

— Paolo Lima? Ach, tak - nagle mroczne oblicze signory rozchmurzyło się. —

Nicpoń, ale nieszkodliwy. Proszę do środka!

Signora poszła przodem, a Malberg podążył za nią ciemnym korytarzem, którego

ściany obite były wzorzystą czerwoną tkaniną i obwieszone obrazami w wielkich

ramach. W dużym salonie z trzema potężnymi oknami wychodzącymi na ulicę pachniało pastą do podłóg i starym wnętrzem. Ciężkie zasłony, odsunięte na bok,

chroniły przed słońcem. Resztki światła wpadającego do wnętrza pochłaniał

wydeptyany orientalny dywan w czerwone i niebieskie wzory, o wielkości co najmniej

pięć na sześć metrów.

Cztery stoły w różnych stylach, wszystkie ciemnej barwy, dwa okrągłe, pozostałe dwa kwadratowe, pozwalały wnioskować, że ten salon, umeblowany poza tym jedynie w kredens i szafkę, stanowi pokój stołowy pensjonatu.

Ciężko dysząc, signora Papperitz usiadła przy jednym ze stołów i nie zapraszając Malberga, by też usiadł, zapytała bez ogródek: - Czy może pan zapłacić za cztery tygodnie z góry?

Podenerwowany Malberg skinął głową i wyjąkał: - Oczywiście.

— To dobrze - odparła signora. - Musi pan to zrozumieć, w końcu pana nie znam.

Zaś z ludźmi, których przysyłał mi Paolo, miałam już różne doświadczenia.

— Oczywiście - powtórzył Malberg. Nie był pewien, czy długo zabawi w tym zakurczonym pensjonacie.

— Nie muszę panu mówić, kto bywał w moim pensjonacie - zaczęła właścicielka swoją przemowę, podczas której skierowała wodniste oczy w górę. Malberg spodziewał się takich nazwisk jak Luchino Visconti, Claudia Cardinale czy Klaus Kinski. Wymienione jednak zostały nazwiska, których Malberg nigdy nie słyszał, i które słabo znane były nawet rodowitemu mieszkańcowi Rzymu. - Z meldunkiem - podjęła w końcu - sto pięćdziesiąt tygodniowo, bez meldunku dwieście. A skoro przysyła pana Paolo Lima, to zakładam, że niespecjalnie zależy panu na formalnym zameldowaniu.

—
Bardzo by mi to odpowiadało. Chciałbym jednak wyjaśnić...

- Niech pan sobie daruje wyjaśnienia, signore... jak brzmiało pańskie nazwisko, jeśli łaska?

- Malberg. Lukas Malberg z Monaco di Baviera.

- W porządku, signore Lukas. I przy tym zostańmy. Zresztą pańskie nazwisko już

zapomniałam. Jeśli pan chce, pokażę pokój. Jest to jedyny pokój, który mam do dyspozycji dla mężczyzny o określonych potrzebach. Proszę za mną.

Rozkazujący ton signory oraz podejrzana atmosfera pensjonatu zrobiły na

Malbergu niezbyt zachęcające wrażenie, i już zaczęła mu świtać myśl, żeby się

uprzejmie pożegnać, gdy zaprowadzono go do przestronnego pokoju z cennymi

starymi meblami oraz niewielką oddzielną łazienką. Dwa okna wychodzące na małe

kwadratowe podwórko z fontanną w środku wpuszczały do wnętrza przedpołudniowe

słońce. Malberg nawet nie marzył o takim mieszkaniu.

- Ale przyjmie pani czek? - zapytał Malberg.

- Czemu nie, o ile ma pokrycie - signora Papperitz spojrzała surowo. - Odwiedziny

kobiet tylko do dwudziestej drugiej - dodała. - A teraz najważniejsze.

-

Najważniejsze? - Malberga zastanowiło, coż by to mogło być. Właścicielka

pensjonatu wskazała na lampę wiszącą na ścianie po

prawej stronie drzwi. - Gdy ta lampa zacznie mrugać, to znaczy, że zbliża się

niebezpieczeństwo. Jak pan wie, mamy bardzo surowe przepisy meldunkowe i

nierzadko robi się niezapowiedziane kontrole. Gdyby taka kontrola pojawiła się w

czasie pańskiej obecności, od razu od drzwi wejściowych dam sygnał.

-1 co wtedy? Przecież się nie rozpląnę w powietrzu.

Pod szminką na kamiennej twarzy signory po raz pierwszy pojawił się cień

uśmiechu, wyniosły uśmieszek, o który Malberg by powściągliwej starej damy nie

posądzał.

Z podniesioną głową signora Papperitz podeszła do barokowej szafy) która

zajmowała środek prawej ściany i która już od pierwszego wejrzenia zachwycała Malberga: rozbuchany rzymski barok, szesnasty wiek, z kręconymi kolumnkami po obu stronach oraz intarsjami na obu skrzypach drzwi.

Malberg prawdę mówiąc spodziewał się, że będzie miał tę szafę ubraniową do dyspozycji, lecz kiedy signora otworzyła prawe skrzydło drzwi, pojawiły się upchane ubrania, które zostały odłożone już zapewne przed wieloma laty. Signora stanowczym ruchem ręki odsunęła na bok znoszone żakiety, suknie i kostiumy. Malberg zastygł w zdumieniu.

Za ubraniami pojawiły się drugie drzwi zamknięte na prostą zasuwkę. Signora jednym szarpnięciem przesunęła zasuwkę w górę. Drzwi odskoczyły i odsłoniły kolejne pomieszczenie, do którego najwidoczniej nie było innego wejścia.

-

Proszę - powiedziała signora i w przygarbionej pozycji przegramoliła się przez szafę.

Pokój o wymiarach jakieś trzy na sześć metrów miał jedno wąskie wysokie okienko o szerokości równej akurat połowie szerokości pozostałych okien pensjonatu. Pobielone ściany były puste, umeblowanie bardzo skromne: stół, krzesło, wysłużony tapczan, stara szafa szeroka na niecały metr.

-

W razie potrzeby będzie pan tutaj bezpieczny. Nie wolno panu tylko zapomnieć o zamknięciu zewnętrznych i wewnętrznych drzwi szafy oraz przesunięciu ubrań.

Malberg odczuł coś w rodzaju podziwu dla sprytnej signory.

- Zapewne słyszał pan o Lorenzo Lorenzonim - zauważyła oschle, podnosząc

uczernione brwi.

- To ten ojciec chrzestny, którego ciało parę lat temu wyłowiono z Tybru?

Signora skinęła głową i znacząco spojrzała na łóżko.

-

Nie! - zawołał Malberg zbulwersowany.

-

A jednak. Gościł u mnie trzy miesiące. Nadal jest mi winien za ostatni miesiąc.

Pewnego dnia powiedział, że chciałby przez chwilę odetchnąć świeżym powietrzem.

Ale już nie wrócił. Nazajutrz jego zwłoki pływały w Tybrze.

Malberg poczuł się nieswojo. Czy musiał akurat ukrywać się w melinie mafii? Już chciał podziękować i się pożegnać, gdy uzmysłowił sobie, że nie miał innego wyjścia. W końcu był oskarżony o morderstwo. Nawet rezygnując z planu szukania zabójców Marleny, nie był wolnym człowiekiem. Musiał się liczyć z tym, że przy najbliższej okazji zostanie aresztowany. A tutaj do pewnego stopnia mógł czuć się bezpiecznie.

Chociaż pokoiku zapewne od dawna nie wietrzono,

Malberg głęboko

wciągnął powietrze. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął książeczkę?

'czekową, w odpowiednim miejscu napisał kilka cyfr i drżącą dłonią podpisał. Potem wręczył karteczkę signorze.

Signora Papperitz rzuciła okiem na czek i ucałowała go, jak to miała w zwyczaju.

Zresztą całowała także banknoty, które jej wręczano, co z punktu widzenia higieny robiło wrażenie bardziej wątpliwe niż wyrazy uwielbienia wobec czeku. W końcu wyszła przez drzwi szafy, ale raz jeszcze się odwróciła i zawołała: - Naturalnie

telefon płatny oddzielnie!

Opuściwszy tajny pokój i doprowadziwszy do porządku szafę z tajnym przejściem, Malberg rozejrzył się po swoim nowym mieszkaniu. Co prawda mieszkał już bardziej komfortowo, ale zważywszy okoliczności dało się wytrzymać u signory Papperitz. Z zadowoleniem usiadł na tapczanie, który miał mu służyć także do spania, splótł dłonie za głową i zamyślił się.

Noc z Cateriną na pewien czas usunęła Marlenę na dalszy plan. Jego myśli wciąż powracały do niespodziewanego przeżycia, które go niezwykle zajmowało. Przede wszystkim interesowało go pytanie, jak ma się teraz zachować. Koniecznie bowiem jakieś dalsze kroki musiał podjąć. Uczucia, które ujawnił przed Cateriną, były zbyt intensywne jak na jednorazową, przelotną przygodę.

Dochodziło południe i Malberg zaczął liczyć godziny do powrotu Cateriny do domu. Zadziwiające, że spał z pewnością już z ponad tuzinem kobiet - nie prowadził dokładnego rejestru - a mimo to nagle poczuł niepewność, jak ma się zachować wobec Cateriny.

Ta niepewność miała zapewne jeszcze dwie przesłanki: po pierwsze, niezwykle okoliczności, które zbliżyły ich do siebie. Po drugie, prawie wcale się nie znali. Zatopiony w myślach, spojrział na szafę z tajnym przejściem. Po twarzy przemknął mu uśmiech. W jakimże środowisku wylądował! W podejrzanym pensjonacie z nie mniej podejrzaną właścicielką wynajmującą pokoje. Szafa z sekretnymi drzwiami w nie mniej tajemniczym pokoju. Malberg przestał rozmyślać.

Przed nim nagle otworzyła się nowa droga.

ROZDZIAŁ 21

W

przebraniu pocziwego handlowca Anicet znalazł się na rzymskim lotnisku

Fiumicino. Taksówka, prowadzona przez tunezyjskiego taksówkarza, zawiozła go do hotelu Hassler przy Piazza Trinit? dei Monti. Hotel Hassler położony był malowniczo nad Schodam-Hiszpańskimi. Czekał tam na niego zarezerwowany pokój z doskonałym widokiem.

Odświeżywszy się i nacieszywszy widokiem dachów miasta, Anice postanowił udać się spacerkiem do Café Aragno w pobliżu Piazza Colona. Z zachowaniem najwyższej dyskrecji był umówiony na spotkanie właśnie tam, a nie na przykład w Café degli Inglesi czy Café del Buon Gusto, którą znał tu każdy.

W kawiarni Aragno już go oczekiwano. John Duca, szef IO R, jak zawsze w szarej flaneli, wyglądał na zdenerwowanego. Przywitanie nie zrobiło wrażenia serdecznego. Nic dziwnego, skoro nie byli przyjaciółmi. Jedyńm, co ich zbliżało, był ich wspólny wróg. W obliczu Boga to wystarczało. Í

- Czego się pan napije? - zagadnął uprzejmie Duca.

- Kawy - odparł krótko Anicet.

Duca zamówił kawę i zaczął: - Mogę chyba nazywać pana Anie Anicet przytaknął mrukliwie: - W porządku. Mam na imię od czasu, kiedy swoją mitrę odwiesiłem na kołek. Do rzeczy.

- Przez telefon o czymś pan wspominał!

- To prawda. Chodzi o całun turyński.

- Ciekawe.

-

To spostrzeżenie zirytowało Aniceta: - Pańska ironia zaraz panu przejdzie. Otóż jest tak: jeszcze kilka dni temu moje bractwo było przekonane, : całun Jezusa z Nazaretu

znajduje się pod naszą opieką.

-

Ach, tak? - odparł Duca zadziornie. - Zdaje się, że muszę pana roz-zarować,

panie Anicet. O ile wiem, od niedawna całun znajduje się w Taj-

Archiwum Watykańskim. Dzięki kardynałowi Moro całun znalazł się tam na miejscu falsyfikatu. Oznacza to, że obecnie kopia znajduje się w Turynie, a oryginał w Watykanie.

Anicet zrobił poważną minę: - To pan tak sądzi!

-

Jak mam to rozumieć?

-

Bo sejf w Watykanie, gdzie spoczywał zapieczętowany pakunek całunem, jest pusty.

- Za pozwoleniem, panie Anicet, ale skąd pan to wie?

- Całun znajduje się w posiadaniu bractwa Fideles Fidei Flagrantes.

- Uważam to za absolutnie niemożliwe.

Anicet zaśmiał się wyniośle: - To nie wszystko. Sekretarz stanu osobiście dostarczył nam tę relikwię, że się tak wyrażę, z dostawą do domu.

-

Gonzaga?

-Tak właśnie się nazywa Jego Ekscelencja.

-

Zaraz, zaraz! - przerwał rozmówcy John Duca. - Mamy do czytania z tym

samym przeciwnikiem. Uważam, że powinniśmy walczyć z Dodniesioną przyłbicą i

nawzajem nie wprowadzać się w błąd. Podsuwując: twierdzi pan, że panu czy też

pańskiemu bractwu Gonzaga doręczył całun. Ależ to jest całkowicie absurdalne!

- Nie będę się sprzeciwiał! Jednak cała sprawa jest jeszcze bardziej absurdalna przez to, że całun, który trzymano w Tajnym Archiwum Watykańskim i który obecnie jest w naszym posiadaniu, to nie oryginał, lecz piekielnie dobrze wykonana kopia.

- To oznaczałoby więc, że całun przechowywany w Turynie jest jednak oryginałem!

- Jest to jedna z możliwości.

-

A inna?

Anicet wydał usta: - To chciałbym usłyszeć od pana! f - Twierdzi pan, że w obiegu jest jeszcze jedna kopia? ~ To, drogi Johnie, byłoby na pewno nierozsądne. Rosłoby bowiem w ten sposób ryzyko wykrycia, na sto procent. Nie, nie uważam Gonzagi za kogoś aż tak głupiego. Intuicja mówi mi, że dzieje się tutaj coś, czego nie sposób wytłumaczyć logicznie.

John Duca bezradnie mieszał swoją kawę. Po chwili podniósł wzrok i rozejrzał się po kawiarni, czy nikt ich nie obserwuje.

Spotkania tego rodzaju nie były im obce. Rozmów o finansach szczególnego rodzaju nie aranżowano nigdy w drogich pięciogwiazdkowych restauracjach, gdzie długie przejścia miały tysiące oczu, a przestronne sale tysiące uszu. W celu spotkań, o których nikt nie miał się dowiedzieć mieszano się z ludem.

- O ile pana znam - podjął znów Duca - nie chodzi panu przecież o świętą relikwię Pana naszego?

- Ma pan rację.

- Pytam więc pana, na co, u licha, koniecznie potrzebuje pan oryginału? Przecież oryginał jest absolutnie nie na sprzedaż. Jego wartość jest natury czysto

abstrakcyjnej.

Anicet milczał. Niemal spłoszony patrzył w bok.

- Proszę mi wybaczyć pytanie - podjął w końcu temat Duca — ale czego w takim razie chce pan ode mnie? A może pan sądzi, że jestem w jakiś sposób uwikłany w całą sprawę?

- Na litość boską, nie! - Anicet uniósł obie ręce. Nie wyglądało to jednak zbyt przekonująco.

- Nie musi mi pan wciąż demonstrować, że mnie pan nie darzy szczególną sympatią - oświadczył Duca. - Zatem, czego pan chce?

- Informacji, zwykłej informacji.

- A konkretnie?

- Proszę mi podać nazwisko i adres człowieka, który tak doskonale wykonał falsyfikat całunu.

John Duca nie zareagował i tępo patrzył gdzieś obok Aniceta.

- Człowiek ten - Anicet kontynuował przemowę - to geniusz, artysta najwyższego lotu, archeolog, alchemik i naukowiec w jednym, a do tego jak mi się zdaje, kształcony w teologii. Gdybym miał go do kogoś porównać, to przychodzi mi do głowy jedynie Leonardo da Vinci. On jednak od pięciuset lat nie żyje i od tamtej pory nie było nikogo, kto by mu dorównał.

Duca odpowiedział z pewną arogancją: - Drogi przyjacielu, dlaczego miałbym panu wyjawiać nazwisko tego geniusza, zakładając, że w ogółk je znam?

Anicet przejechał dłonią do tyłu po swoich długich włosach, co zamsze było oznaką najwyższego niepokoju i napięcia. Potem odparł zdenerwowany: -Już dość tych gier! Zdaje się, że pan przecenia swoje możliwości, a moich nie docenia. Ale

skoro jest pan tak nierozsądny, możemy zawalczyć z większą bezwzględnością.

Powiem tylko: Ordo JP.

Ze złośliwym uśmiechem Anicet popatrzył, jak Duce zadrżał kącik ust, i ciągnął: -

Oczywiście zapyta pan teraz, a cóż to takiego Ordo JP. Jednak zanim pan to uczyni, chciałbym panu coś pokazać.

Anicet niespiesznie wyciągnął z kieszeni marynarki pakiet poskłada-nych dokumentów i położył przed rozmówcą.

-

Skąd pan to ma? — odezwał się zdenerwowany bankier.

Nie odnosząc się w ogóle do tego pytania, Anicet powiedział: - Ordo JP to był dokładnie opracowany plan zamordowania papieża Jana Pawła I, w którym to planie uczestniczył co najmniej tuzin członków Kurii. Zaś pośród uczestników - tu pomachał bankierowi przed nosem jakimś dokumentem - pojawia się nazwisko, które powinno pana zainteresować: John Duca. Pozostałe notatki ograniczają się do opisu dokładnej procedury pomiędzy ósmym a dwudziestym ósmym września 1978, dniem w którym papież położył się do łóżka i już nigdy się nie obudził...

-

Proszę przestać! - syknął John Duca zduszonym głosem i odsunął od siebie dokumenty, które Anicet przed nim rozłożył.

Po dłuższej chwili, podczas której obaj mężczyźni w milczeniu wpatrywali się w siebie, odezwał się Duca: - Gratulacje, jest pan dobrze poinformowany, choć już wtedy był pan w przeciwnym obozie. W takim razie z pewnością pan wie, jak rzecz wtedy przebiegała. Kiedy Jana Pawła wybrano na papieża, zagroził, że osuszy bagno, w którym tkwił IOR. Jednak tym samym podpisał na siebie wyrok śmierci. Zbyt

wielu ludzi w Kurii i poza nią miało coś na sumieniu. Z pewnością obawiali się o swoje kariery i majątki, o pieniądze na kontach w Szwajcarii, Lichtensteinie i San Marino. Jeżeli Państwo Kościelne nie miało zbankrutować, to istniało tylko jedno

rozwiązanie: Jana Pawła, człowieka przyzwoitego o naiwnej naturę, trzeba było uciszyć. Gonzaga opracował szczegółowe plany Ordo JP. ?Dzisiaj sądzę, że Gonzaga użył nieczystych machinacji finansowych IOR tylko jako pretekstu do usunięcia Jana Pawła. Jestem pewien, że Gonzaga, Podobnie jak pan, miał nadzieję, że sam zostanie wybrany na nowego papieża. Tylko w ten sposób można wyjaśnić zgorzknienie, w które popadł.

- A kto wiedział o spisku?

- Wszystkie ważne osoby w Kurii i większość kardynałów, nie wszyscy. Dlaczego, pańskim zdaniem, wybrano na papieża Polaka Wojtyłę, który nie miał o niczym pojęcia? Pochodził z kraju komunistycznego i nie znał się na kombinacjach finansowych. W tej sytuacji był akurat właściwą osobą. Ale po co ja panu to wszystko mówię?

- Być może dlatego, że gryzie pana sumienie.

John Duca wzruszył ramionami: - Ja tylko załatwiłem siarczan nikotyny, okropną truciznę. Jedna kropla wystarczy, żeby zabić człowieka. Gonzaga ustalił doświadczenie, że dopiero co wybrany papież co wieczór przed snem wypija szklankę wody. Wtedy wszystko potoczyło się już samo. A że dotychczas bez szczególnego powodu papieży nie poddawano sekcji, ryzyko wykrycia morderstwa było niewielkie.

-

Świetnie - zauważył Anicet z diabolicznym uśmiechem - naprawdę świetnie.

Teraz rozumiem też, dlaczego benedyktyn bez doświadczenia w operacjach

finansowych, jak pan, mógł zostać szefem Istituto per le Opere Religiose.

John Duca opuścił głowę i patrzył na Aniceta spode łba: - Spodziewam się, że będzie pan milczał. Zresztą nawet jeśli pan jutro opublikuje moje słowa w jakiejś gazecie, wyprę się wszystkiego i oskarżę pana o kłamstwo.

-Jest pan głupcem, panie John! - Anicet pogmerał przy górnym guziku marynarki i wyciągnął cienki biały kabelek z kuleczką, nie większą od wilczej jagody. Na drugim końcu kabla był maleńki dyktafon, wielkości pudełka zapalek.

Kiedy Duca spostrzegł, że Anicet wciągnął go w pułapkę, podskoczył na równe nogi, rzucił się przez stół tak gwałtownie, że jego filiżanka szerokim łukiem poleciała na podłogę i potłukła się, po czym zaczął wyrywać Anicetowi elektroniczne urządzenie.

Jednak ten z całym spokojem chwycił wyciągniętą rękę i z żelazną mocą wykręcił ją na zewnątrz, aż John Duca cicho krzyknął.

W kawiarni zajęte były tylko trzy stoliki, dwa przez angielskich turystów, zaś przy trzecim siedział starszy człowiek z brodą, którego ta kłótnia w ogóle nie poruszyła.

Wnioskując po jego zamglonym spojrzeniu, nie do końca rozumiał, co się dzieje dookoła.

-

Jest pan świnią - syknął Duca, gdy Anicet położył rękę.

-

A pan? - odparł Anicet, upychając urządzenie do kieszeni spodni. Zresztą może pan być spokojny. Przypuszczalnie nie zrobię użytku tego nagrania.

-

Co znaczy przypuszczalnie? - bankier spojrzał na Aniceta z nie-awiścią.

Anicet odczekał, aż obsługa uprzątnie szczątki filiżanki. Ledwo dziewczyna zniknęła, odpowiedział: - Chcę, żeby mi pan podał nazwisko fałszercy. Jak nazywa się geniusz, który stworzył to dzieło sztuki? Bo że chodzi o dzieło sztuki, pozostaje poza dyskusją.

John Duca wydawał się odczuwać niemal ulgę. Spodziewał się zupełnie innych żądań. W tej sprawie było tylko jedno wąskie gardło: - Obawiam się, że mi pan nie uwierzy - oświadczył płaczącym głosem - ale ja nie znam jego nazwiska. Nigdy nie zajmowałem się tą sprawą. Tym zajmował się Moro, że tak powiem, na własny rachunek. Proszę mi wierzyć!

Anicet oparł głowę na lewej ręce. Prawą wodził bezmyślnie po marmurowym blacie. - Kopia całunu musiała przecież kosztować fortunę, ktoś nie może sobie wyobrazić, żeby kardynał Moro płacił za fałszyfikat własnej kieszeni.

-

Oczywiście, że nie.

- Wątpię też, żeby dało się zamówić kopię tego rodzaju za parę tysięcy uro. To zaś oznacza, że stosowny czek albo przelew musiał przejść przez ańskie księgi. Watykan wydaje rocznie na konserwatorów wiele milionów. 7 tej masie przelew dla fałszerza nie zwróciłby niczyjej uwagi. Ale jak to ytaliśmy w gazetach, Kuria dość bez trosko obchodzi się z pieniędzmi.

- Ma pan na myśli tę niezręczną historię z wypadkiem Gonzagi na iazza del Popolo?

- Może ujmę to tak: od kardynała, sekretarza stanu, oczekuje się cze-oś innego niż nocne wycieczki ze stu tysiącami dolarów w plastikowej orbie. Pan z pewnością wie o tym coś więcej.

-

Muszę pana rozczarować. Jest to jedno z tych przedsięwzięć, które onzaga prowadził, że się tak wyrażę, samodzielnie.

-Ma się rozumieć dla dobra Kościoła!

Duca nie ujawniał zdenerwowania. W końcu powiedział: - Proszę mi ac trzy dni czasu. Postaram się namierzyć tego fałszerza.

-

Powiada pan, trzy dni? - zachichotał Anicet. - Bóg w siedem dni orzył świat, a pan potrzebuje trzech dni, żeby zdobyć jeden adres?

- Ale to wcale nie jest takie proste...

- Oczekuję telefonu od pana jutro rano o dziesiątej. Mieszkam w hotelu Hassler. I proszę nie zapominać, co noszę przy sobie w kieszeni.

Krótko przed dziesiątą ktoś zapukał do drzwi. Anicet wpuścił kelnera, który przyniósł śniadanie. Potem łyknął cappuccino i już miał się oddać spożywaniu cornetto, gdy zadzwonił telefon.

Odezwał się Duca bez przywitania: - Ma pan coś do pisania?

- Słucham - odparł Anicet równie zwięźle i wziął ołówek.

- Ernest de Coninck, Luisenstraat 84, Antwerpia.

- Belg? - zawołał Anicet przerażony. - Jest pan pewien?

John Duca nieprzyzwoicie długo zwlekał z odpowiedzią. Wydawało się, jakby rozkoszował się napięciem chwili. Po przerwie trwającej wieki zaczął zawile

tłumaczyć: - Co znaczy pewien? Jest tak: zważywszy krótki czas, natrafiłem tylko na dwa przelewy zrobione przez kardynała Moro, oba na sumę dwustu pięćdziesięciu

tysięcy euro. Transakcje zostały przeprowadzone w odstępie szesnastu miesięcy i oba

przelewy poszły na to samo konto w Netherlandsbank w Antwerpii. Beneficjent:

Ernest de Coninck.

- To niczego nie dowodzi - przerwał bankierowi Anicet.

- Moment! Zaraz pan zmieni zdanie. Poza przelewami, sekretariat kardynała Moro dwukrotnie bukował loty liniami Ali talia w odstępie szesnastu miesięcy. Jeden na nazwisko Gonzaga na trasie Rzym-Bruksela-Rzym, drugi na nazwisko Coninck na trasie Bruksela-Rzym-Bruksela.

-To brzmi doprawdy bardzo interesująco!

- Najwidoczniej Moro zabrał oryginał całunu do Antwerpii, a fałszerz przywiózł z powrotem do Rzymu oryginał wraz z kopią.

- Mam nadzieję, że pańska teoria okaże się słuszna. W przeciwnym razie, niech Bóg ma pana w swojej opiece - Anicet odłożył słuchawkę i jeszcze tego samego dnia wyjechał.

-

ROZDZIAŁ 22

omimo całej surowości, którą demonstrowała signora Papperitz, mieszkanie u niej miało jedną wielką zaletę. Malberg pozostawał absolutnie anonimowy, gdyż wszyscy pozostali mieszkańcy, trzej samotni panowie aż jedna niewiasta koło czterdziestki - równie atrakcyjna co arogancka wstawali wcześniej rano i szli do pracy, zanim jeszcze Malberg przycho-ił do pokoju stołowego. Wieczorem każdy zniknął w swoim pokoju. Je-je z rzadka dochodziło do spotkań z innymi gośćmi pensjonatu. Ponadto signora Papperitz miała zwyczaj wychodzić z domu codzien-e około siedemnastej i wracać dopiero po dwóch godzinach - sprzyja-ca okazja, żeby się spotkać z Cateriną.

Pierwsze spotkanie w obcym otoczeniu przebiegło z pewnym skrępo-niem, do czego przyczynił się bardziej sam Malberg niż Caterina. Stres tatnich dni, a przede

wszystkim niespodziewany wybuch namiętności, rowadził ogromne zamieszanie w jego życie uczuciowe, pozostające cześniej pod kontrolą rozumu.

Napięta atmosfera nie ukryła się przed Cateriną. -Jeśli chcesz - powiedziała i przekrzywiła głowę - jeśli chcesz, mo-my po prostu zapomnieć o tym, co wczoraj zaszło. - Zapomnieć? - Malberg aż podskoczył i zaczął chodzić po pokoju i z powrotem z rękami w kieszeniach. Nagle stanął: - Mówisz później?

Caterina wzruszyła ramionami. - Mam wrażenie, że z perspektywy t to dla ciebie kłopotliwe. Ale już się stało. Taka wpadka. Przepraszam, aje się, że wygaduję głupstwa.

- Cóż za bzdury! - Malberg przejechał dłonią po włosach. - Po prostu za mało się znamy. A okoliczności, w których żeśmy się spotkali, nie były najlepsze do tego, żebyśmy się w sobie zakochali.

- Między nami stoi Marlena. Mam rację?

- Co też ty gadasz. Marlena została zamordowana. Marlena nie żyje!

- W sekrecie ją kochałeś. Tak?

Malberg znów wstał. Popatrzył na Caterinę, ale jej nie odpowiedział.

Wtedy Caterina rzuciła mu się w ramiona. Gwałtownym ruchem wtuliła się w jego szyję. - Wiedziałam! - szepnęła.

- Nie, nie, to nie tak - powiedział Malberg cicho i z czułością pogłaskał ją po włosach. - Bez wątplenia Marlena była kobietą atrakcyjną, jak zresztą wiele kobiet, które znałem. Ale nie była taka jak ty. Chodzi raczej o tę tajemniczą siłę, która mnie pobudziła do wyjaśniania jej śmierci. Jej śmierci, która w jednej chwili zagłuszyła wszystkie inne uczucia. Nigdy nie zapomnę, jak leżała tam w wannie. I nie uspokoję się, póki nie poznam bliżej okoliczności jej śmierci.

- Zatem jest jeszcze dla mnie iskierka nadziei?

Malberg uśmiechnął się: - Głupiutka. Pytanie brzmi raczej, czyja jeszcze ci się podobam. - Pocałował ją w czoło. Potem w usta.

- Dość całowania! - Caterina uwolniła się z jego objęć. - Co zatem zamierzasz?

- W każdym razie muszę się raz jeszcze dostać do zamurowanego mieszkania

Marleny. Ktokolwiek to zorganizował, nie zrobił tego bez powodu. Pytanie tylko...

-Jak dostać się do mieszkania, którego wejście zamurowano.

- Być może jest tam jeszcze jakieś drugie wejście, tak jak tutaj - Malberg wskazał

kciukiem na barokową szafę w pokoju. - Na dachu domu Marleny także stoi jakiś dziwoląg. Jestem pewien, że za nim kryje się drugie wejście do mieszkania. Tylko jak wejść do kamienicy?

- Paolo! - oświadczyła spokojnie Caterina. - Nie ma takiego zamka, który by mu się oparł! - A kiedy Malberg sceptycznie na nią spojrział, dodała: - Możesz mu zaufać, Lukas. Chłopak cię lubi.

Umówili się o dwudziestą drugą obok kiosku przy Via Gora, skąd bp dogodny widok na dom numer 23.

Kiedy Malberg dotarł na umówione miejsce, Caterina i Paolo już czekali. Mieli na sobie dzinsy i tenisówki, więc Malberg w swoim jasnym ubraniu poczuł się trochę overdressed. Jednak do hotelu wrócić nie mógł, a dotąd nie znalazł czasu, żeby kupić sobie coś nowego do ubrania. W odróżnieniu od większości ulic na Zatybrzu, na których jedna za igą znajdują się trattorie i restauracje, Via Gora wyróżniała się niejaką sennością. Uliczne latarnie na ścianach domów dość oszczędnie oświetlały wąską uliczkę. Białe światło igrało na starych fasadach.

Malberg błędził wzrokiem po kamienicy numer 23. Nagle wyciągnął rękę i wskazał okno na piątym piętrze.

- Patrzcie, w mieszkaniu Marleny pali się światło - powiedział pod-liecony. -

Przecież to niemożliwe!

-Tam, na piątym piętrze? - spytała Caterina, a Paolo, który dla lepszego widoku osłaniał oczy dłonią, powiedział: - Sądziłem, że mieszkanie jest zamurowane.

Rodzeństwo popatrzyło na Malberga z niedowierzaniem. Poczul się jrzyparty do muru. Rozpaczliwie klasnął w dłonie przed twarzą. - Przecież nie zwariowałem!

Caterina nie spuszczała wzroku z Lukasa. - Jesteś pewien? Chodzi li o to, że w zdenerwowaniu widzi się różne rzeczy...

-

Wiem, co widziałem! - syknął Malberg ze złością. Caterinę zbiło to z tropu. Z

tej strony Lukasa Malberga w ogóle nie

łała.

-W takim razie musimy najpierw sprawdzić, co się tam dzieje na gó-ze! - wtrącił się

Paolo. - Zaczekajcie tu.

Jak nocny spacerowicz Paolo przeszedł na drugą stronę Via Gora. ? rzed domem nr

23 jeszcze się rozejrzał na obie strony. Potem wyjął coś ; kieszeni spodni i zaczął grzebać przy zamku wejściowym.

Nie upłynęło nawet dziesięć sekund, gdy Paolo się odwrócił. Cicho izdnął na palcach. Malberg i Caterina także przeszli przez ulicę.

W ciemnej klatce schodowej Paolo podał Lukasowi latarkę. Malberg radał się pierwszy. Natychmiast pojawił się przenikliwy zapach pasty do podłóg i płynu do mycia. Drżący snop latarki pokazywał im drogę aż na najwyższe piętro.

-

Tutaj! - szepnął Malberg i światłem latarki obrysował na ścianie Pfostokąt. - Tu były drzwi do mieszkania Marleny.

W tym czasie Paolo zdążył już lewą ręką wymacać przeciwpożarowe wyjście na

dach.

Malberg poświecił na zamek.

-

Łatwizna! - szepnął Paolo i lekceważąco machnął ręką. Rzeczywiście trwało to tylko parę sekund i Paolo pokonał również i ten zamek. Nie robiąc najmniejszego hałasu, cała trójka zniknęła za ciężkimi stalowymi drzwiami.

Strych był długi na co najmniej dwadzieścia metrów, ale tylko w połowie tak szeroki, a jego drugi koniec tonął w mroku. Na drodze stały trzy murowane kominy z odpadającym tynkiem i skomplikowane obelkowanie. Trzeba było się schylać.

Stare meble, których nie powstydziliby się żaden pchli targ, pół tuzina rowerów, kilka wózków dziecięcych, z których najstarszy miał chyba ze sto lat, skrzynka na amunicję z drugiej wojny światowej, potargane worki ze zużytą odzieżą, drabina przystawiona do komina, stara maszyna do szycia oraz przedpotopowy telewizor - wszystko to składało się na niesamowity skład rupieci, jak z filmu Alfreda Hitchcocka. A nad wszystkim unosił się gryzący zapach kurzu.

Snopem latarki Lukas Malberg wskazał na szafę po prawej stronie wejścia.

Paolo spodziewał się, że szafa będzie zamknięta, ale kiedy zaczął się bliżej przyglądać zamkowi, oba skrzydła drzwi odskoczyły jakby same z siebie.

Malberg podszedł i oświetlił wnętrze. Niekoniecznie liczył na to, że wewnątrz pojawią się drugie drzwi, jak u signory Papperitz, ale trochę był rozczarowany, kiedy bezowocnie i bez żadnych względów dla zawartości szafy ostukał tył mebla.

-

Musimy spróbować odsunąć szafę od ściany - powiedział Malberg i rękawem otarł pot z czoła. Zwrócił się do Paola: - Chodź, chwytaj!

Caterina trzymała latarkę, a Lukas i Paolo odsunęli szafę od ściany. Zadanie utrudniało to, że musieli zachowywać się możliwie bezszelestnie.

Już prawie osiągnęli cel, gdy w szafie urwała się półka i z całym la" dunkiem półmisek i szklanek walnęła w ziemię.

Malberg, Caterina i Paolo skamieniali. Hałas był taki, że mógł obudzić całą kamienicę.

-

Wynośmy się stąd! - syknął Paolo. Caterina przywarła do lewego ramienia brata. Malberg położył palec na ustach i nasłuchiwał.

Wciąż było cicho. Jednak w każdej chwili mogły się zacząć otwierać drzwi na klatce. Mogły się zbliżyć kroki i mogli zostać przyłapani.

Jednak nie stało się nic. Żadnego dźwięku. Cisza robiła niesamowite wrażenie. Jak to możliwe, że nikt nie usłyszał hałasu?

Na parę minut zastygli w bezruchu, nie mając nawet odwagi oddychać w trwożliwym oczekiwaniu. Malberg trzymał latarkę skierowaną snopem na drzwi.

Paolo jako pierwszy doszedł do siebie.

-

Nie chce mi się wierzyć - powtarzał w kółko. - Przecież ktoś musiał usłyszeć ten trzask.

W każdym razie szafa stała teraz już na tyle daleko od ściany, że Malberg mógł za nią zajrzeć.

-

Nic - oświadczył rozczarowany. - Żadnych tajnych drzwi, nic.

Paolo podszedł i opukał zgiętym palcem wskazującym ścianę za szafą. Pokręcił

głową. W końcu wziął od Malberga latarkę i zaczął badać wszystkie kąty i zakamarki strychu. Malberg stał sam w ciemnościach. Stracił już nadzieję.

Nagle poczuł dłoń Cateriny na prawym ramieniu. Malberg chwycił ją lewą ręką. -
Od początku mi nie wierzyłaś - powiedział cicho.

-
Daj spokój!

-
Myślisz, że to wszystko to tylko moja wyobraźnia. Nie ma zamurowanego mieszkania. Pewnie zabójstwo Marleny też sobie tylko wymyśliłem - w jego głosie brzmiała rezygnacja.

-
A pogrzeb? A zagadkowy notatnik? A list gończy za tobą? Malberg zwiesił głowę. - Sam już nie wiem, w co mam wierzyć.

-
Hej! - Paolo wydał z siebie zduszony okrzyk. W podnieceniu machał latarką w powietrzu. Drżący snop oświetlał ścianę za szafą, jakieś cztery metry nad podłogą. Trzeba było się dobrze wpatrzeć, żeby rozpoznać, iż w zmurszałej ścianie są zamontowane niskie drzwi.

I - Drabina! - zawołał cicho Paolo. Malberg przystawił drabinę i ostrożnie wdrapał się na górę. Drzwi miały klamki, tylko zwykłą dziurkę od klucza. Bez klucza albo wytrycha nie było szansy ich otworzyć. t' ~ Ja to zrobię - powiedział niecierpliwie Paolo.

Wziął się za zamek z użyciem zwykłej szprychy rowerowej. Jedno szarpnięcie i drzwi się otwarły. Z wnętrza słabe światło padło na zakurzone obelkowanie strychu.

- Co widzisz? - zawołała w górę Caterina.

Zamiast odpowiedzieć, Paolo zaczął schodzić na drugą stronę. Gdy znalazł się na podłodze, powiedział cicho: - Widać jakby galerię, z łóżkiem, kosztownym biurkiem i fotelem. Wszystko robi wrażenie dość opustoszałe - wskazał w górę. - Nie zdziwiłoby mnie, gdyby nagle pojawiła się tu czyjaś głowa.

Malberg i Caterina spojrzeli po sobie.

-

I co teraz? - spytał Paolo niecierpliwie.

Malberg bez słowa wspiął się na drabinę i zniknął w drzwiach. Nie miał pojęcia, co go tam czeka, po prostu poddał się wewnętrznemu nakazowi, który od tygodni mu towarzyszył.

-

Halo - zawołał Malberg nieśmiało. - Jest tu kto?

Z galerii otoczonej ciemną drewnianą poręczą spojrzął na słabo oświetlony salon, który był mu już znany. Po co tu pali się światło, skoro nikogo nie ma?

-

Halo? - powtórzył. Również i tym razem nie było odpowiedzi. W dół, ku przeciwległej ścianie prowadziły schody z drewnianymi stopniami. Uważając, żeby nie narobić hałasu, Malberg schodził stopień po stopniu, naliczył ich dokładnie czternaście. W mieszkaniu panowała martwa cisza.

Zszedłszy do salonu, rozejrzał się. Czuł się jak sparaliżowany i z trudem obracał się wokół własnej osi.

Podświadomie jego wzrok padł na drzwi prowadzące do łazienki. Oddychał nierówno i słyszał, jak własny puls tłucze mu się w uszach. Chociaż zdawał sobie sprawę z absurdalności swoich myśli, wpatrywał się w te drzwi i czekał, aż Marlena w białym szlafroku i z ręcznikiem na głowie wejdzie do pokoju i powie: Dlaczego

przychodzisz dopiero teraz? Czekałam na ciebie. Przecież byliśmy umówieni. A

Malberg odpowie: No tak Ale miałem straszny sen. Nie chcę o tym mówić.

Najważniejsze, żeśmy się odnaleźli. O tym, co było, powinniśmy jak najszybciej zapomnieć. Paolo dejdzie do niej, weźmie w ramiona i szepnie do ucha: Teraz już wszystko będzie dobrze.

Malberg znieruchomiał. Usłyszał swoje imię: „Lukas, Lukas!”, poczuł lergiczny chwyt dwóch dłoni, które nim potrząsnęły i trwało dobre parę ekund zanim pojął, kto przed nim stoi: kobietą w jego ramionach nie była Marlana. Była to Caterina, która bezszelestnie się zbliżyła.

-

Gdzie Paolo? - spytał nerwowo, doszedłszy do siebie. Caterina wciąż mocno trzymała Malberga. - Nie martw się - odpar-

. - Paolo siedzi na górze przed drzwiami i pilnuje.

Cokolwiek gwałtownie Malberg wyzwolił się z chwytu Cateriny wskazał na drzwi do łazienki: -Tam to było, tam! - wyjąkał. Wspomnienie-iiie ścisnęło go za gardło. Z trudem mówił.

Caterina skinęła głową, podeszła do drzwi, oglądając się jeszcze za siebie, jakby chciała powiedzieć: Mam tam wejść? Ponieważ Lukas się oruszył, nacisnęła na klamkę, pstryknęła światło i zniknęła w łazience, Malberg niepewnie poszedł za nią.

Jaskrawo biała, glazurowana łazienka z błyszczącą mosiężną armaturą była nieprzyzwoicie czysta. W swojej doskonałej czystości robiła wrażenie niemal tak sterylne jak sala operacyjna. Wrażenie to potęgował fakt, że łazienka była zupełnie pusta: żadnych ręczników, żadnego mydła, kubeczka ? szamponu — nic. A także nic, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę i temat śmierci Marleny.

Gdy Malberg już wychodził z łazienki, jego wzrok padł na miejsce, 5re pamiętał jako wejście. Dał znak Caterinie. Zanim nacisnął klamkę, ilę odczekał. Potem otworzył drzwi. Za drzwiami ukazał się goły mur.

Caterina z niedowierzaniem pokręciła głową. Po twarzy Malberga zemknął uśmiech triumfu.

-
Czy teraz mi wierzysz? - zapytał, nie spodziewając się odpowiedzi, astępnie zamknął drzwi prowadzące donikąd.

Salon robił wrażenie gustowne i przytulne. Ścianę leżącą naprzeciw łą-, zajęta przez regał z książkami, dzieliły drzwi, prowadzące do sypialni. Drzwi były tylko przymknięte, jakby ktoś stamtąd w pośpiechu włā-iię wyszedł. Malberg wahał się, miał opór, żeby tak po prostu wejść do pialni Marleny. Potem jednak się przemógł i ostrożnie popchnął drzwi. awą ręką wymacał włącznik światła. Dwie potrójne lampy ścienne wyśniły sypialnię ciepłym światłem. Francuskie łóże zajmowało niemal łā. przeciwległą ścianę.

Malberg się zmieszał. Nad łóżkiem wisały te same frywolne fotografie, jakie wcześniej odkrył w sypialni markizy Falconieri.

- To ona? - zapytała Caterina, przyjrzawszy się z bliska zdjęciom.

- Uhm - odparł Lukas niby mimochodem.

- Była niezwykle atrakcyjną kobietą - Caterina zazdrośnie studiowała zdjęcia.

Malberg udał, że nie słyszał tej uwagi i odwrócił się ku szafie ubraniowej po lewej stronie. Szafa pełna była najelegantszych ubrań, sukni i kostiumów. Bez wątpienia

Marlena żyła na wysokiej stopie.

Wróciwszy do salonu, Malberg rozglądał się za wskazówkami, z których mógłby wyciągnąć jakieś wnioski na temat życia Marleny. Pomiędzy trzema łukowymi

wyjściami na taras wisały jakieś dwa tuziny różnej wielkości fotografii w ramkach.

Na jednym ze zdjęć, ze wspólnej matury, odkrył Malberg siebie samego, zaraz za Marleną. Jakże się zmienili.

Inne zdjęcia przedstawiały Marlenę w czasie wyjazdów wakacyjnych: sama pod wieżą Eiffła, na wielbłądzie z pustynią w tle, na pokładzie statku na Karaibach. Ale także w męskim towarzystwie na gondoli w Wenecji, na Empire State Building w Nowym Jorku i w Berlinie przed Bramą Brandenburską.

-

Kim jest ten człowiek? - spytała Caterina, której spojrzenie też błądziło po tych zdjęciach.

-

Pojęcia nie mam - odparł zgodnie z prawdą Malberg. Mężczyzna był wyraźnie starszy od Marleny, wysoki, lekko siwiejący, i przy bliższym przyjrzeniu się nie robił szczególnie sympatycznego wrażenia.

Częstotliwość, z jaką pojawiał się na zdjęciach, pozwalała podejrzewać, że na pewno nie chodziło o przypadkową znajomość czy krótkotrwały romans. Marlena nigdy nie wspomniała o żadnym partnerze. Malberg miał raczej wrażenie, że była dumna ze swojej samotności i nie chciała niczego od mężczyzn. Nie, fotografie na ścianie nie posunęły go ani krok do przodu, i zaczął mieć pierwsze wątpliwości, czy aby nie wpadł w jakąś obsesję na punkcie poszukiwania śladów w mieszkaniu Marleny. Idealny porządek i skrupulatna czystość, błyszcząca w każdym kącie, pozwalały wyciągnąć tylko jeden wniosek: ludzie odpowiedzialni za śmierć Marleny usunęli wszelkie ślady, mogące stanowić poszlaki.

Rozczarowany i zniechęcony podniósł otwierany blat barokowego biurka po lewej

stronie wejścia do łazienki. Również tutaj panował ten sam

owokacyjny porządek i czystość co wszędzie: papier listowy i koperty ożone w

równych stosikach, spinacze w przezroczystym plastikowym ojenniczku, kilka rolek taśmy klejącej, nóż do listów i nożyczki, ani jed-ego osobistego listu, żadnej notatki, żadnych zapisków, nic.

Malberg otworzył mały schowek pośrodku. Trochę się zacinał i trze-było szarpnąć za

uchwyt. Nagle dał się słyszeć cichy metaliczny szczęk schowek się otworzył. Był

pusty. Kiedy jednak Malberg chciał go zamknąć; wyczuł pewien opór. Zajrzał i

odkrył łańcuszek z prostym medalikiem; podeszła Caterina i obejrzała znalezisko. -

Co to za przedziwny Eiiak na tym medaliku?

Malberg wzruszył ramionami.—Wydaje się, że to jakaś odmiana krzyża

runicznego - na chwilę się zamyślił, po czym schował medalik do kieszeni.

Malberg zajął się teraz niepozornym sejfem w ścianie na wysokości oczu.

Drzwiczki wbudowanej w ścianę szafki wielkości około trzydziestu na pięćdziesiąt

centymetrów, zabezpieczonej zamkiem cyfrowym, były uchylone. Kiedy je otworzył,

uderzył go zapach ostrego środka czyszczącego. Jak można się było spodziewać, sejf

był pusty.

- Ci ludzie bardzo się postarali - zauważył cicho Malberg. - To robili zawodowcy,

którym nic, ale to nic nie uszło uwagi.

Caterina skinęła głową i zaczęła przyglądać się regałowi z książkami: -Dzięki

czemu wszystko staje się jeszcze bardziej zagadkowe.

Książki, których było z tysiąc, może tysiąc dwieście, nie były na tyle stare, żeby

wzbudzić zainteresowanie Malberga. W większości były to książki naukowe z

różnych dziedzin, albumy malarstwa i przewodniki turystyczne. Beletrystyki nie

było.

Mimowolnie spojrział na niedużą książkę w czerwonym półskórku. Malberg od

razu ją rozpoznał. Książkę tę podarował Marlenie na zjeździe klasowym: powieść przygodowa osadzona w środowisku uczniowskim. Tytuł: Feuerzangenbowle.

Książka ta należała do ulubionych książek Malberga od młodości.

Zdjął książkę z półki i otworzył na pierwszej stronie. W książce napisana była dedykacja:

- Na pamiątkę naszego pierwszego zjazdu klasowego i wspólnych czasów szkoły - Lukas.

Powoli, niemal z czułością, pozwolił kartkom przepływać mu przez Palce, gdy nagle przestał. Pomiedzy stronami 160 i 161 leżał rachunek za bilet lotniczy Lufthansy. Malberg odłożył książkę i dokładnie przyjrzał się rachunkowi.

-

Co to? - spytała Caterina, której uwagi nie uszło to odkrycie.

-

Lot do Frankfurtu, rachunek wystawiony na nazwisko Marleny Am-mer -

Malberg zrobił przerwę. - Ale data, data! - zawołał cicho.

Caterina wzięła od niego rachunek i spojrzała pytająco: - 26 sierpnia?

- Dzień po tym, jak Marlena wybierała się do Frankfurtu, została zamordowana. I chociaż byliśmy umówieni i chcieliśmy spędzić wspólnie kilka dni w Rzymie, ani słowem nie wspomniała o planowanej podróży.

- Nie rozumiem - powiedziała Caterina i podniosła rachunek badawczo do światła.

- Może przebukowała lot?

- Pewnie tak! - odparł Malberg z rezygnacją. Przez kilka minut gapił się przed siebie w pustkę. Czyżby Marlena uciekała? Czego szukała we Frankfurcie? I kto

chciał za wszelką cenę nie dopuścić do tego wyjazdu? Malberg stwierdził z pewną goryczą, że wcale nie znał kobiety, która tak nagle stała się dla niego ważna.

Rachunek w książce był jedyną wskazówką, która została przeoczona przez policję, przez jej prześladowców czy kogoś innego, kto jeszcze mógł stać za całą sprawą. Czyżby celowo włożyła rachunek do książki od niego, aby mu zostawić wiadomość? Szansa, że ją odkryje, była jedna na tysiąc. A skoro już chciała mu coś przekazać w tak niezwykły sposób, to czemu nie za pomocą wyraźnej wskazówki?

Co miał znaczyć ten teatr?

Malberg intensywnie rozmyślał. Jednak im dłużej spekulował, tym wyraźniej sobie uzmysławiał, że rachunek mógł znaleźć się w książce od niego również przypadkowo. Może Marlena akurat czytała tę książkę. Ktoś zapukał do drzwi, a że nikt nie miał się dowiedzieć o jej planach wyjazdowych, schowała rachunek do książki i odstawiła ją na regał. Pokręcił głową.

Caterina oddała rachunek Lukasowi. Jego głęboka bezradność chwyciła ją za serce. Chociaż w związku ze swoim zawodem miała niezłą zdolność wnioskowania, nawet ona nie wiedziała co dalej. Poza tym czuła się nieswojo w obcym mieszkaniu, które otaczała mroczna tajemnica.

-

Paolo - zawołała prawie szeptem w górę - jesteś tam jeszcze? i

-

W porządku - doszedł z góry równie cichy głos - ale byłbyś wdzięczny, gdyby ten wieczór miał się już powoli ku końcowi. Dochodu czwarta i baterie w latarce zaczynają słabnąć. Ponadto jestem zmordowany jak pies. Człowiek w końcu nie jest już najmłodszy.

Nie reagując na żart Paola, Malberg powiedział: - Chłopak ma rację, ończymy. -

Wziął książkę i włożył do niej rachunek. - Lepiej będzie, stąd znikniemy.

Caterina z ulgą przytaknęła. Cieszyła się, że opuszczają mieszkanie ? dziwnej kobiety. - A światło zostaw włączone! - szepnęła w drodze na galerię.

ROZDZIAŁ 23

P

od jednym z portretów świętego Boromeusza, którego w szesnastym wieku jego wuj, papież Pius IV, mianował sekretarzem stanu, spotkało się sześciu stanowczych mężczyzn o ostrym spojrzeniu, ubranych na czarno. Ten monumentalny obraz w biurze prefekta Kongregacji Wiary stanowił jedyną ozdobę ścian pustego pomieszczenia. Potężne biurko zajmowało ścianę czołową. Środek zajęty był przez goły stolik refektarzowy z czterema prostymi krzesłami z dwóch stron i jeszcze jednym przy krótszej ścianie, skąd widać było wiszący na niej krucyfiks.

Spotkanie początkowo przebiegało w milczeniu. Nawet same przywitania ograniczały się do pełnych szacunku skinień głowy, gdy tylko ktoś wszedł do pokoju.

Nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ kardynał Moro, szef Świętego Officium, znany był powszechnie jako wróg zbędnych słów. Niezwykła była natomiast pora spotkania. Wytrawiane wskazówki jego rolexa, otrzymanego od dawnej diecezji na siedemdziesiąte urodziny, pokazywały godzinę dwudziestą trzecią.

O tej porze w Watykanie zwykle panował klerykalny Pokój Pański.

Podczas gdy Moro siedział za biurkiem pochłonięty dokumentami) wchodzący jeden po drugim zajmowali miejsca przy środkowym stoliku. Każdy kładł na kolanach prawą dłoń na lewej i gapił się przed siebie, jakby oczekiwał na wyrok Sądu Ostatecznego. Po lewej, naprzeciw wysokich okien, siedział monsignore Giovanni Sacchi, prywatny sekretarz poprzedniego pa* pieża, ostrzyżony po wojskowemu, w

niklowanych okularach i z taką min% jakby już teraz chodziły mu po głowie różgi podczas nadchodzącej nocy

hodziły bowiem słuchy, że Sacchi oddaje się samobiczowaniu na wzór 'ętego Hieronima.) Sacchi piastował wysoki urząd Tajnego Archiwisty go Świątobliwości i był zwierzchnikiem Archiwum Watykańskiego.

Na mocy przekazanej mu władzy pilnował dokumentów, których zwy-ym chrześcijanom nie wolno było nigdy poznać: dokumentów na temat jnego klasztoru, w którym wychowywano dzieci spłodzone przez księży biskupów; na temat świętych, którzy za życia byli znacznie mniej święci 'z przekonują nas pobożne obrazy w kościołach. Na temat nieprawości tpliwych papieży. I na temat anulowania małżeństw wysoko postawio-ch osób, a także na temat uzasadnień szytych grubymi nićmi.

Obok monsignore zasiadł siwiutki Frantisek Sawatzki. Po pięćdziesiąt-i przygarbiony, wyglądał tak, jakby na swoich wątłych barkach dźwigał powiedzialność za całe cierpienie świata. Jako prefekt Rady ds. Publicz-ch Kościoła był zobligowany do wypełniania niewdzięcznego zadania, y przekazywać ustnie ludowi poszczególne postanowienia Jego Swią-bliwości. Ale miał także zρέcznie zdusić w zarodku rozpalającą się dys-ję, w której chodziło o preputium, napletek Pana naszego Jezusa, oraz estię, czy Jezus podczas cielesnego Wniebowstąpienia zabrał z sobą i tę śc ciała, którą zresztą wielu na ziemi czci jako relikwię.

Siedzący blisko Sawatzkiego Archibald Salzman, daleki od święto-dczych myśli tego rodzaju, wpatrywał się z dezaprobatą w ciemny blat, anujący ostrą wonią politory do mebli. Salzman, świeży nabytek Kurii, budzający wiele klerykalnej zawiści, pomimo młodego wieku - w Wanię oznacza to niewiele ponad

sześćdziesiątkę - już został prosekreta-m ds. edukacji i tym samym w jego

kompetencji znalazły się wszystkie ścielne uniwersytety i szkoły. Nawet zawistnikom nie udało się podać wątpliwość jego imponującego wszechstronnego wykształcenia.

Naprzeciw niego, z plecami opartymi o ciemny parapet okna, siedział hn Duca, dosyć znudzony szef IOR, jak zwykle w szarej fłaneli i z lek-ironicznym uśmiechem na ustach, co go wyraźnie odróżniało od po-stałych ludzi Kościoła. Po jego prawej stronie siedział syn legendarnego profesora Harvar-du Johna Tysona, profesor Jack Tyson, który wpędził Watykan w ciężkie kłopoty swoją propozycją zamiany całunu turyńskiego falsyfikatem. Dla obicia czasu cicho stukał palcami po stole. Wsłuchując się dokładniej, niozna było wyraźnie rozpoznać marsz Most na rzece Kwai.

To z kolei denerwowało prywatnego sekretarza kardynała Bruno Moro monsignora Abate'a, który z zaostrzonym ołówkiem i stosem czystych kartek zajął miejsce obokTysona, by każde wypowiedziane tu zdanie zaprotokołować. Kardynał bowiem był zwolennikiem poglądu, że jedynie to, co zapisane, ma jakieś znaczenie. Abate rzucił Tysonowi karcące spojrzenie, ale ponieważ ten nie zareagował, monsignore tak gwałtownie pokręcił głową, że profesor przestał stukać po stole i zrobił gest przeprosin.

Poza Tysonem, który na tę naradę specjalnie przyleciał z Massachusetts i po raz pierwszy mógł zajrzeć za mury Leona, wszyscy zebrani mieli coś wspólnego: byli zaciekłymi przeciwnikami sekretarza stanu kardynała Philippo Gonzagi.

-
Poprosiłem was tutaj o tak późnej porze - przeciął napiętą ciszę donośny głos

Moro, który wstał zza biurka i zajął miejsce przy stole konferencyjnym - ponieważ tu, pośród nas, wydarzył się okropny występek - kardynał gestem ręki dał znak

zachęty Tajnemu Archiwście papieża.

Zniechęcona mina Sacchiego zrobiła się jeszcze mroczniejsza i monsignore mruknął, nie podnosząc wzroku: - Całun Pana naszego Jezusa, zresztą oryginał, zniknął z sejfów w Tajnym Archiwum.

Frantisek Sawatzki aż podskoczył i krzyknął w najwyższym stopniu

zdeenerwowany: - Co znaczy zniknął, bracie w Chrystusie? Czy można uprzejmie prosić o nieco bardziej precyzyjne wyrażanie się?

- Zniknął to znaczy, że go już tam nie ma! - Archiwista podniósł wzrok.

- Zaraz - wtrącił się Archibald Salzmann. - O ile wiem, Tajne Archiwum Watykanu jest chronione jak Bank Anglii, i na tej planecie są tylko trzy osoby, które mają nieograniczony dostęp do tych pomieszczeń. Są to: Jego Świątobliwość, Sekretarz Stanu kardynał Gonzaga i pan, monsignore, jako szef Tajnego Archiwum. To dość znacznie ogranicza liczbę podejrzanych. Nie sądzi pan?

Sacchi żywo pokiwał głową i popatrzył dokoła, przy czym szkła jego niklowanych okularów błyskały, jakby miały bronić przed wrogimi spojrzeniami, które z wyrzutem skierowano na niego. - Jest dla mnie zagadką, jak to się mogło zdarzyć - wyjąkał pod nosem.

-

A od kiedy wie pan o tym nieszczęściu, eminencjo? - zasięgnął informacji John Duca, zwracając się do kardynała.

-

Od trzech tygodni - odparł Moro i nerwowo chwycił się podpórek ;esła. -

Chciałem, żeby monsignore Sacchi miał szansę wyjaśnić sprawę jeszcze przed podaniem katastrofy panom do wiadomości.

-

Kto już wie o sprawie? - Archibald Salzmann, Prosekretnarz ds. Edu-cji, kręcił

się niespokojnie na krześle.

Sacchi już miał odpowiedzieć, gdy kardynał wpadł mu w słowo: - Kie-monsignore

mnie zawiadomił, poprosiłem go, aby utrzymał Jego Swiáto-'wość w

nieświadomości. Niech Ojciec Święty spokojnie zażywa urlopu Castel Gandolfo. A

kiedy Sacchi poprosił sekretarza stanu na rozmowę, dynał Gonzaga miał ten

idiotyczny wypadek, niegodny chrześcijanina rzucający podejrzenie na szefa Tajnego

Archiwum. Prywatny sekretarz kardynała notował zawzięcie.

-

Na świętą Panienkę i Wszystkich Świętych! - Salzmann uderzył nią w stół. -

Ostatecznie w grę wchodzi tylko dwóch podejrzanych: onsignore Sacchi oraz

Sekretarz Stanu kardynał Gonzaga!

-

Moim zdaniem... - Moro splótł dłonie, jakby się przymierzał do •ących

modłów. Przy tym kostki na dłoniach mu pobiełały. Wreszcie

odjął myśl: - Żaden z nas tutaj zgromadzonych nie jest, uchwaj Boże, zyjacielem

Gonzagi. Jednak Pismo Święte w żadnym miejscu nie wy-aga od nas, abyśmy

miłowali zło...

-

Eminencjo, niechże pan w końcu powie, o co panu chodzi - prze-ał

kardynałowi Frantisek Sawatzki.

-

Gonzaga staje się dla Kurii coraz większym zagrożeniem. Trzeba ę go pozbyć.

Monsignore Abate rzucił w kierunku kardynała Moro pytające spojenie, jakby chciał

się dowiedzieć, czy naprawdę ma to wszystko notować, dnak Prefekt Świętego

OfEcium wskazał palcem na protokół i Abate ruinie się podporządkował.

-

O ile dobrze rozumiem - odezwał się Archibald Salzman ściszoną głosem -

myśli pan o usunięciu go ze stanowiska? Coś takiego ostat-o wydarzyło się w

średniowieczu i to z użyciem siły!

Kardynał Moro wzruszył ramionami. Milczał.

Nieśmiało, czyli w sposób w ogóle nie odpowiadający jego naturze, głosu doszedł

John Duca: - Jeśli wolno mi się wtrącić, to mam wraże-> że ostatnio Kuria nie ma

szczęścia do kardynałów...

-

Mówi pan o byłym kardynale Tecinie? - spytał prosekretarz Salzman.

- Właśnie.

- To przecież stara sprawa! Podobno przeprowadził się do jakiegoś zamku nad

Renem. Najwidoczniej wciąż nie przeboleł swojej porażki podczas konklawe.

-Tecina? - spytał Sawatzki.

- W międzyczasie zmienił nazwisko na odwrotne - wyjaśnił Duca.

- Czyli na jakie? - chciał wiedzieć Sawatzki.

- Były kardynał nie czyta już swojego nazwiska od lewej do prawej, jak każdy pobożny chrześcijanin, lecz od prawej do lewej, jak ci, którzy są wrogami naszej wiary.

-

A-n-i-c-e-t - przeliterował półgłosem sekretarz monsignore Abate. Kardynał

Moro odruchowo się przeżegnał.

Zaś Archibald Salzman, prosekretarz ds. edukacji, dodał jeszcze wyjaśnienie: -

Jest to imię demona, antychrysta i wcielenie zła.

Kardynał zmrużonymi oczami spojrział badawczo na Johna: - A właściwie, to skąd pan wie...

-

Zdaje się - zaczął zmieszany John Duca - że jestem winien panu pewne wyjaśnienie.

Kardynał Bruno Moro zareagował niecierpliwością: - Naprawdę mnie pan zaintrygował!

Duca skinął głową: - Mówiąc skrótowo, parę dni temu spotkałem się potajemnie z byłym kardynałem, który teraz zwie się Anicet...

W surowej sali zapanował niepokój.

-

Zdrajca.

-

To nie może być prawda! -1 co dalej?

Duca uniósł obie ręce: - Nie osądzalibyście tak mojego postępowania, dokładniej znając okoliczności. Anicet ma nas, całą Kurię, w rękę. Położył przede mną na stole listę Ordo JP i zagroził, że ją upubliczni, jeśli nie spełnię jego żądań. Nie muszę mówić, czyje nazwiska są na tej liście.

Nagle zapadła martwa cisza.

Moro pokręcił głową: - Były kardynał szantażystą! O co szło?

-

O całun Pana naszego Jezusa!

Wszyscy zebrani przy stole wpatrywali się w Johna, jakby właśnie za' groził im wiecznym potępieniem.

-

Skąd - mruknął Moro swoim chrapliwym głosem - ten gość znał jrawy

związane z całunem? Było tylko kilkunastu wtajemniczonych,

tym profesor John Tyson, który złożył świętą przysięgę, że tajemnicę abierze do grobu. Tak było? - Moro świdrował wzrokiem Jacka Tysona.

Ten, wymachując rękami, zaczął się bronić: - Panie kardynale, mój ojciec John dopiero bezpośrednio przed śmiercią opowiedział mi, w co się zaangażował, pisząc do papieża. I zapewniam, że nawet znając dokładniej okoliczności, potrafię milczeć jak grób.

Moro mierzył wzrokiem mężczyzn po obu stronach stołu. W końcu ego uwagę przykuł John Duca. - No i czego chciał Tecina albo Anicet, r jak tam się ten diabeł dzisiaj nazywa?

-

Twierdził, że on i jego bractwo są w posiadaniu całunu Pana na-zego Jezusa.

-

Niemożliwe!

-

Tak też mu powiedziałem. Ale Anicet trzymał się swego. Pewien złowiek, co do którego nie może być żadnych wątpliwości, osobiście do-tarczył relikwię do zamku Fideles Fidei Flagrantes.

-

Dalej już pan nie musi mówić - kardynał Moro przerwał szefowi)R. - Tym

człowiekiem był Filippo Gonzaga!

Giovanni Sacchi wydał krótki, ale głośny okrzyk, jakby ktoś mu wbił pięć w plecy. -

Kardynał Gonzaga, sekretarz stanu - mrucał niewy-żnie, wciąż kręcąc głową. -

Jednak sprawa ma pewien haczyk - ciągnął John Duca - i właśnie : tego powodu

Anicet zwrócił się do mnie. Wzięci naukowcy, członkowie ego bractwa, twierdzili, że

Gonzaga przekazał im nie oryginalny całun, ecz kopię, wydaną na polecenie Kurii.

-

Ale to jest absolutnie niemożliwe - wybuchł kardynał. Poczerwie- liał. - To by

przecież oznaczało, że autentyczny całun jest w Turynie.

- wszystkie opublikowane badania dowodziły czegoś przeciwnego. Nie, » zupełny

absurd!

-

Powiedziałem im to samo. Jednak Anicet stwierdził, że być może stnieje

bardzo proste wyjaśnienie. Falszerz całunu wykonał nie jedną,

cz dwie kopie!

Pogrążony we własnych myślach monsignore Sawatzki tak gwałtow- le skinął

głową, że mało nie dotknął stołu. - Z punktu widzenia fałsze- Za - powiedział z

namysłem - oznacza to podwójny zysk!

-

Bracia w Chrystusie - podniósł rękę Archibald Salzmann. - Przyjmując, że te

domysły są trafne, powstaje pytanie, gdzie w takim razie znajduje się prawdziwy

całun Pana naszego Jezusa - Salzmann rozejrzał się pytająco dokoła. - Kto stoi za tym

świętokradztwem?

-Właściwie przychodzi mi do głowy tylko jedno nazwisko - odparł kardynał Moro.

Sacchi zgodził się z nim. Monsignore Sawatzki też.

- Sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga - powiedział John Duca, wzruszając ramionami, jakby z zakłopotaniem.

- Gonzaga, Gonzaga, Gonzaga! - coraz gwałtowniej wykrzykiwał kardynał Moro. - Czasem sobie myślę, że Bóg zesłał nam diabła pod postacią kardynała, żeby nas poddać próbie!

Sekretarz Abate zwiesił głowę i złożył dłonie jak do modlitwy. Już dawno przestał notować słowa poszczególnych zebranych. Abate wiedział z doświadczenia, że dokument pisany może stać się straszną bronią w rękach przeciwnika.

Zwrócony do Johna, kardynał Moro zadał pytanie: - Bracie w Chrystusie, czy nie mógłby się pan dowiedzieć, na co miało iść te sto tysięcy dolarów, które Gonzaga wiózł z sobą w czasie wypadku?

-
Niestety nie. Jak pan wie, sekretarz stanu ma własny budżet na szczególne przedsięwzięcia. Budżet ten przechodzi przez konto, które nie pojawia się w żadnym bilansie Banku Watykańskiego czy Istituto per Operę Reli-giose. To konto i jego saldo są strzeżone, o ile wiem, w jednym z siedmiu sejfów Tajnego Archiwum, gdzie znajdował się też całun Pana naszego.

Teraz wszystkie oczy zwróciły się na Giovanniego Sacchi, szefa Tajnego Archiwum.

Monsignore pokręcił głową: - Nie, nie, nie! Niech mnie Bóg chroni przed taką pokusą. Przyjmując urząd szefa Tajnego Archiwum, złożyłem przed Bogiem ślubowanie, że będę przestrzegał wszystkich praw Kościoła. Należy do tego zachowanie dla siebie wszelkiej tajnej wiedzy, a kiedy wybije moja godzina, zabiorę

ją z sobą do grobu.

- Nawet kiedy w grę wchodzi przetrwanie świętego Kościoła?

- Prawo kościelne nie zna wyjątków. Akurat panu, eminencjo, nie muszę tego objaśniać. Zresztą nie popełnię grzechu, jeśli wyjawię, że wiem > gdzie Gonzaga trzyma środki ze swoich kont.

-

Powstała atmosfera nieufności.

Monsignore Sawatzki patrzył z niedowierzaniem w bok, nawet nie ujrzawszy na szefa Tajnego Archiwum. W kłopotliwej ciszy nagle się Wezwał: - Właściwie kto mówi, że Gonzaga otrzymał grzeszne pieniądze i całun Pana naszego? W obliczu znaczenia tego przedmiotu sto tysięcy jlarów byłoby kwotą po prostu bluźnierczą. A Gonzaga nie należy do udzi, którzy sprzedaliby całun za miskę polewki.

Czy to możliwe — wtrącił Archibald Salzmann — że wszyscy my-imy o tym samym?

Kardynał skinął głową: - Zapłata za milczenie! Salzmann dodał: - Gonzaga tymi pieniędzmi uciszył kogoś, kto coś wiedział.

John Duca pokiwał głową i w końcu orzekł: - Trzeba sekretarza sta-I obserwować.

Te jego częste podróże, jego tajemnicze zebrania w Kurii, szystko to czyni go bardzo podejrzanym.

Bruno Moro zmarszczył twarz, i tak już dość zatroskaną: - A jak zamie-. pan to uczynić, bracie w Chrystusie? Gonzaga z urzędu ma za zadanie rzymywanie kontaktów Kurii z resztą świata. Jest z jednej strony ministrem Drow zagranicznych Państwa Watykańskiego, a z drugiej szefem rządu we-lątrz murów Leona. Oznacza to wiele konferencji, zebrań i spotkań. Jak lierza pan tego człowieka śledzić, nie

zwracając niczyjej uwagi? - Jeśli wolno mi się wtrącić z pewną uwagą - włączył się do debaty nonsignore Abate — należałoby spróbować Giancarlo SofHciego, sekretarza kardynała, przeciągnąć na naszą stronę.

Zdania na temat tej propozycji były podzielone. Sawatzki i Salzmann wazali taką próbę za zbyt ryzykowną. Monsignore Sawatzki oświadczył, że yłoby to tak samo, jakby Gonzaga przyszedł do monsignora Abate i starał iię go namówić do szpiegowania swojego przełożonego kardynała Moro. Jczywiście Abate natychmiast by się kardynałowi Moro zwierzył.

Natomiast John Duca był zdania, że Soffici to człowiek, który z po-vodu arogancji i żądry władzy sekretarza stanu cierpi jak pies i który po-iimo wysokiej pozycji i zaawansowanego wieku nie był nawet wikariu-em apostolskim. - Mogę sobie wyobrazić... - zaczął.

-To kardynał Gonzaga musiałby jako pierwszy wystąpić o tytuł wi-nusza apostolskiego dla SofHciego - przerwał Moro rozmowanie, któ-; prowadził John Duca.

- Eminencjo - odparł Duca - czy pan na serio sądzi, że Jego Świą. tobliwość odmówiłby panu, gdyby chodziło o awans dla Sofficiego? Stosowny powód zawsze można znaleźć. A dla kardynała Gonzagi byłaby t0 wręcz kompromitacja. A Somci, tego jestem pewien, byłby wdzięczny n0 grób. Tym sposobem mielibyśmy swojego człowieka u Gonzagi.

- Niezła myśl! — Przez twarz Moro po raz pierwszy przemknął uśmiech, choć powściągliwy.

Na to podskoczył monsignore Sacchi i wykrzyknął zdenerwowany: - Bracia w Chrystusie, czy w ogóle zdajecie sobie sprawę, że znowu zamierzamy odpłacać złem

za zło? Czyż nie dość winy już wzięliśmy na siebie? My, ludzie Kościoła, następcy Świętego Piotra, zachowujemy się jak faryzeusze w świątyni, których niegdyś Pan nasz przepędził ze świątyni. Nasze zainteresowanie kieruje się bardziej ku wadom i występkom niż ku wierze i zbawieniu. Żądza władzy i wpływy na hierarchię apostolską nie cofają się nawet przed morderstwem. Jak to powiada prorok Jeremiasz? „Oto wy na próżno pokładacie ufność w zwodniczych słowach. A potem przychodzicie i stajecie przede mną w tym domu, nad którym wzywano mojego imienia, i mówicie: >>Oto jesteśmy bezpieczni<<, by móc nadal popełniać te wszystkie występki. Może jaskinią zbójców stał się w waszych oczach ten dom?”.

Rozłoszczony monsignore zdjął niklowane okulary i przetarł szkła białą chusteczką. Potem usiadł z powrotem na krzesło.

Kardynał Moro długo i badawczo przyglądał się Sacchiemu. Nie był przyzwyczajony do takich wybuchów złości ze strony raczej powściągliwego szefa Tajnego Archiwum. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, prefekt Świętego Officium zaczął niebezpiecznie cicho: -Monsignore, pańska szlachetność i wiara w prawo przynosi panu zaszczyt, jednak faktem jest, że w nasze mury wślizgnął się diabeł i opętał urzędnika wysokiego szczebla. A jak uczą nas dzieje Kościoła, w trudnych przypadkach poradzić sobie z diabłem można jedynie ogniem i mieczem. Jak, bracie w Chrystusie, mamy zrzucić kajdany, w których znalazł się Kościół wskutek fatalnych okoliczności? - Moro podniósł głos: - Pytam się, jak? Proszę odpowiedzieć, monsignore!

Sacchi w milczeniu patrzył przed siebie.

Przemowa Moro nabrała rozmachu: - Czyż pan nie pojmuję, że dla mnie, nam wszystkim chodzi o przeżycie? chodzi nie tylko o nas, chodzi o przetrwanie Kościoła. A postacią kluczową jest przy tym Sekretarz Sta-nU

kardynał Philippo Gonzaga.

- Co właściwie przemawia przeciwko pozbawieniu go urzędu? - zapytał oględnie

Giovanni Sacchi. - O ile wiem, wasza eminencja jest jednym z dwudziestu pięciu sędziów audytorów gremium.

- Ach, bracie w Chrystusie, to byłoby najbardziej skomplikowane rozwiązanie naszych problemów. Sacra Romana Rota składa się z rozmaitych ugrupowań i prądów w Watykanie, konserwatywnych i postępowych, elita-rystycznych i populistycznych. Zbudowanie większości jest więc niezwykle trudne. Zresztą postępowanie tego rodzaju może pod nadzorem Sygnatury Apostolskiej przechodzić przez różne instancje. Na wyrok można czekać całe lata, a nawet dekady. W tym czasie diabeł z powodzeniem zdążyłby dokonać swego dzieła. Nie, musimy znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Kolej na pana, profesorze Tyson! Powód, dla którego ściągnęliśmy tu pana...

Kardynał Moro zamilkł. Spojrzał ku drzwiom. Moro znał dźwięk naciskanej klamki. Teraz i pozostali zwrócili na to uwagę. W drzwiach pojawiła się łysa głowa Gonzagi.

-

Zobaczyłem światło - powiedział sekretarz stanu nieco zakłopotany. - Święte

Oficium obraduje do aż tak późnej pory?

Kiedy wchodził i zamykał za sobą drzwi, rozszedł się przenikliwy za-! pach jego drogich męskich perfum. Jednak w tej sytuacji mężczyźni mieli wrażenie, jakby poczuli w nozdrzach oddech diabła.

ROZDZIAŁ 24

M

albergowi stopniowo zaczęło brakować pieniędzy. Wiedział, że karta kredytowa zostawia ślady, więc potrzebował gotówki. Oczywiście, mógł zadzwonić do swojej asystentki, panny Kleinlein, żeby przelała pewną sumę na konto Cateriny. Jednak to także nie było pozbawione ryzyka. Postanowił więc małym nissanem Cateriny pojechać do Monachium. Obiecał, że wróci następnego dnia wieczorem.

Przybywszy do Monachium, nie zajrzał do swojego mieszkania w podmiejskiej dzielnicy Grunwald. Zamiast tego pojechał prosto do antykwariatu przy Ludwigstrafie. Było koło szesnastej, gdy tam dotarł. Rozejrzawszy się, czy nikt go nie obserwuje, wszedł do sklepu.

Wychodził stamtąd właśnie wysoki, dobrze ubrany mężczyzna z paczką. Malberg widział, jak tamten wsiadał do zaparkowanej limuzyny i odjeżdżał w kierunku centrum.

-
To pan, panie Malberg? - przywitała szefa panna Kleinlein. - Nie uwierzy pan, co tu się działo. Już dwukrotnie była policja!

-Wiem, wiem - Malberg starał się uspokoić asystentkę i przeszedł z nią do kantorku na tyłach. Tu wyjaśnił krótko, co się stało, że nie miał nic wspólnego z zabójstwem Marleny i że zakup książek od markizy nie wypalił.

-
Potrzebuję pieniędzy - powiedział na koniec opowieści.

-
Nie ma sprawy - odparła panna Kleinlein. - Właśnie sprzedałam Kronikę Norymberską Hartmanna Schedla za czterdzieści sześć tysięcy euro. - Otworzyła stojącą na biurku zieloną stalową kasetkę, w której trzymany był utarg dzienny. -

Rosjanin albo Ukrainiec - dodała. - Znał się trochę na starych księgach, ale nie chciał się targować i zapłacił gotówką.

Malberg z satysfakcją popatrzył na powiązane w paczki banknoty po pięćset euro, a po sprawdzeniu jednego i uznaniu go za prawdziwy, poddział: - Proszę zaksięgować dziesięć tysięcy euro w koszty, a resztę zaleźć do banku. I jeszcze jedno!

Wyciągnął z kieszeni książkę schowaną tam jeszcze w mieszkaniu Marleny i wyciągnął z niej czek, który nosił z sobą od kilku dni. - Proszę ten czek zwrócić za potwierdzeniem. Ale niech pani będzie ostrożna. Utrata czeku miałaby katastrofalne skutki. Pani wie, że każdy okaziciel może go zrealizować.

Panna Kleinlein skinęła głową nieco urażona. Wydawało się absolutnie zbędne, żeby Malberg objaśniał jej znaczenie czeku bankierskiego.

- A jak mam działać dalej? To znaczy, co pan zamierza teraz zrobić? Pójdzie pan na policję? - zapytała ostrożnie.

- Nonsens! - warknął Malberg. - Zanim ktokolwiek się połapie, że tu byłem, już mnie nie będzie. Muszę wracać do Rzymu. Tylko tam mogę wyjaśnić, co się w ogóle wydarzyło. Przez parę tygodni będzie pani sobie dawać radę beze mnie. Mam nadzieję, że będzie mnie pani telefonicznie zawiadamiać o wszystkim. Jednak nie z tego telefonu ani nie z komórki. Jestem pewien, że wszystkie połączenia będą na podsłuchu. Czy ma pani kogoś, komu można zaufać, żeby tam także ja mógł ewentualnie dla pani zostawić wiadomość?

- Moja siostra Margot - odparła panna Kleinlein. Wzięła kwadratowy bloczek, zanotowała numer i wręczyła karteczkę Malbergowi. - Powinien pan przejrzeć pocztę - zasugerowała i wskazała na stos listów. - Myślę, że jest tam także kilka listów prywatnych.

Następnie wyjęła z kasetki wszystkie pieniądze bez dziesięciu tysięcy euro i upchnęła wraz z czekiem do torby na ramię.

-

Proszę się pośpieszyć, zaraz zamykają banki - zawołał Malberg za swoją asystentką i zamknął drzwi sklepu. Na koniec na szybie powiesił tabliczkę „CLOSED”.

Z kantorka tylko jedno małe zakratowane okienko wychodziło na podwórkę. Nieraz latem nie dochodziło tu słoneczne światło. Chociaż na dworze było jeszcze jasno, Malberg musiał włączyć na biurku lampę z żółtym abażurem, niezbyt gustowną, obrzydliwą z lat trzydziestych ubiegłego wieku.

Zaczął otwierać nożem listy leżące na biurku. Był zatopiony w myślowych ślaczach, gdy jego wzrok padł na kwadratowy bloczek, z którego panna Kleinfurter niedawno wyrwała karteczkę.

Malberg odłożył na bok jakiś nieistotny list i zaczął ukośnie trzymać ołówkiem zamazywać bloczek. W dzieciństwie tym sposobem odrysowywał monety. Teraz już po paru pociągnięciach ołówkiem wyłonił się numer, który panna Kleinlein zapisała na karteczce.

Nagle przestał, wziął przywiezioną książkę i otworzył ją. Rachunek za bilet lotniczy nadal leżał między stronami 160 i 161. Już kiedy po raz pierwszy w mieszkaniu Marleny wziął do ręki tę książkę, coś go tknęło. Wyglądało na to, że Marlena używała tych stron jako podkładki do notowania.

Malberg ostrożnie starał się ołówkiem uwidocznić odcisk. Trudne zadanie, bo zbyt silny nacisk groził zniszczeniem wszystkiego.

Już po kilku pociągnięciach ołówkiem okazało się, że odcisk, który pozostawiła notatka Marleny, składał się z dwóch linijek tekstu oraz numeru telefonu:

tel - nkfu - of

r - iserp - z + 49 69 215-02

Malberg wstrzymał oddech. Czy to właśnie była ta wskazówka, na którą miał nadzieję?

Numer kierunkowy 0049 na Niemcy, 069 to kierunkowy do Frankfurtu nad

Menem, zaś końcówka pozwalała się domyślać, że chodzi o jakąś firmę z numerami wewnętrznymi.

Malberg najchętniej wziąłby za słuchawkę i wybrał ten numer. To jednak byłoby zbyt ryzykowne.

Odetchnął, kiedy panna Kleinlein wreszcie wróciła i wręczyła mu potwierdzenie zwrotu czeku bankierskiego.

- Muszę jechać - mruknął niewyraźnie i sięgnął po książkę z rachunkiem za lot.

Szybko wziął jeszcze paczkę banknotów oraz karteczkę z telefonem siostry panny Kleinlein. - Powodzenia!

Jakby chcąc się pożegnać ze swoimi cennymi księgami, Malberg raz jeszcze się odwrócił. Pannie Kleinlein to dziwne zachowanie nie uszło uwagi. Przełknęła ślinę i zapytała niepewnie: - A kiedy pan wraca?

- Nie wiem - odpowiedział Malberg. - Naprawdę nie wiem. Mam jeszcze mnóstwo do załatwienia. Zatem: dobrych interesów!

Był zmęczony jak pies i postanowił przenocować w hotelu na południowym skraju miasta. Hotel o buńczucznej nazwie „Diplomat” znany [jako noclegownia. Poza tym w jego suterenie mieściła się grecka re-auracja, w której serwowano najlepsze kalmary w mieście.

Ponieważ w Niemczech przepisy meldunkowe nie są tak surowe jak : Włoszech i nikt nie pyta o dowód tożsamości, Malberg zameldował aę jako Andreas Walter i zajął

pokój na drugim piętrze, gdzie na korytarzu były automaty z napojami i do czyszczenia butów. Z cichym westchnieniem Malberg opadł na jedyny fotel, potem otworzył szafkę, której zawartość literacka zesłała na razie na drugi plan, i chwycił telefon. Drżącą dłonią wybrał numer, który wcześniej ujawnił na stroje książki.

Malberg naciskał klawisze jak w transie, nie wiedział, kto zgłosi się po jego stronie, i nie zastanawiał się, co powie. Przeczynał tylko, że numer ten musi być jakoś powiązany z Marleną.

Kiedy usłyszał sygnał, wstrzymał oddech. Nagle jakby się obudził. Po jego stronie odezwał się przymilny kobiecy głos: - Hotel „Frankfurter Hof”. Dzień dobry.

Malberg zawahał się. Próbował wyciągnąć jakieś wnioski z tego, co słyszał.

Rozpaczliwie wpatrywał się w ujawniony w książce odcisk. Pierwszą linijkę dało się uzupełnić do Frankfurter Hof. Tym samym wyjaśniała: druga linijka: przy Kaiserplatz.

W międzyczasie usłyszał zniecierpliwiony głos telefonistki: - Halo? rozszę się odezwać. Halo! - i dziewczyna przerwała połączenie.

Rozczarowany Malberg z hukiem odłożył słuchawkę. Liczył na coś więcej.

Wiedział, że Marlena wybierała się do Frankfurtu. Nic dziwnego, że zarezerwowała sobie pokój w hotelu. Znow ślepa uliczka. Był zrozpaczony.

ROZDZIAŁ 25

K

Kiedy Anicet wysiadał z taksówki przed domem przy Luisenstraat 84 w Antwerpii, zaczęło mżyć. Dom, położony pomiędzy Stadhuis i Veermarkt, był - jak wszystkie domy przy tej bocznej uliczce - wąski i czteropiętrowy.

Anicet przybył niezapowiedziany. Po pierwsze dlatego, że Ernest de Coninck nie miał telefonu, a przynajmniej nie było go w żadnej książce telefonicznej, po drugie

zaś Anicet musiał się liczyć z tym, że fałszerz wcześniej uprzedzony, uniknąłby spotkania.

Przy dzwonku na domu nr 84 nie było żadnego nazwiska i gdy Anicet zadzwonił, początkowo nic się nie wydarzyło. Dopiero gdy mocniej nacisnął guzik dzwonka, otwarło się okno na trzecim piętrze i ukazała się sękata czaszka o przerzedzonych włosach, z kudłatą, kręconą brodą. Mal-berg pomyślał, że już gdzieś starego widział.

- Pan de Coninck? - zawołał w górę Anicet.

- Tu nie mieszka żaden de Coninck - nadeszła z góry niesympatyczna odpowiedź.

Stary zatrzasnął okno.

Anicet właśnie wycierał dłonią twarz mokrą od deszczu, gdy z pierwszego piętra domu po przeciwnej stronie ulicy usłyszał kobiecy głos: - Musi pan pytać o mistrza albo jeszcze lepiej o Leonarda. W przeciwnym razie de Coninck nie zareaguje.

Trochę to dziwne, wie pan!

Zanim zdążył o cokolwiek zapytać, głowa starszej kobiety znikła za zasłoną.

To wszystko wydało się Anicetowi rzeczywiście dziwaczne, jednak żeby osiągnąć swój cel, podjął jeszcze jedną próbę i głośno zadzwonił-

Kiedy sękata czaszka powtórnie pojawiła się w oknie, Anicet zawołał jórę: - Mistrzu Leonardo, na słówko. Chciałbym porozmawiać. Cho-

0

pańską sztukę.

Chwilę potem coś świsnęło i Anicet nie wiedział co się dzieje. Jakiś lazny przedmiot zjeżdżał z góry prosto na niego i tylko skok w bok zdo-: go uratować. W powietrzu

kołysał się klucz przywiązany do sznurka, użyj jak dłoń. Wbrew pierwszemu

wrażeniu, Anicet uznał to za zapro-enie do otwarcia drzwi domu i wejścia. Ledwie

otwarł drzwi, a już klucz rał mu się z ręki i śmignął z tą samą prędkością w górę. Nad sienią

wznosiło się mroczne sklepienie. Z tyłu gołej sieni, marnie netlonej lampą na ścianie, prowadziły schody na wyższe piętra, strome : wejście do kurnika. Kiedy Anicet postawił nogę na pierwszym stopniu, aczęły skrzypieć i zgrzytać, w miarę wchodzenia coraz głośniej.

Kiedy dotarł na górę, wyszedł mu naprzeciw wychudzony starzec I czerwonych rajtuzach i średniowiecznym kaftanie. Wtedy Anicet zro-jmiał, dlaczego miał wrażenie, że go już kiedyś widział. Ernest de Co-ack wyglądał jak Leonardo da Vinci. Niemal można było uwierzyć, że i naprawdę on.

? Witam, messer Leonardo - odezwał się Anicet takim tonem, któ-nie pozwalał podejrzewać, że stroi sobie ze starego żarty. — Nazywam : Anicet.

-Jesteście klechą, nie zmylicie mnie! - zawołał Leonardo podnieco-: - Nienawidzę was wszystkich.

-
Nie jestem klechą, proszę mi wierzyć! - odparł stanowczo Anicet.

1
płaszczem w stylu wojskowym miał na sobie szary garnitur i krawat I zielone wzory, więc zdziwił się, jak stary na to wpadł. Wprawdzie ludzie iu duchownego mają coś szczególnego w twarzy - lekko zaróżowio-: policzki, pulchną buzię i sztucznie uduchowione spojrzenie - jednak licet sądził, że po tylu latach te właściwości już mu zniknęły. Najwi-3czniej mylił się.

Zeby się już dalej nie wikłać, Anicet powiedział: - No dobrze, powiem awdę. Byłem kardynałem Kurii, ale to było dawno temu.

-
Dobrze mówiłem. Mam oko do tego - wymruczał prawie niezro-ńale Leonardo,

po czym dodał krótko: - Czego chcecie?

~ Chodzi o całun Pana naszego Jezusa z Nazaretu, r Nie znam.

-

Messer Leonardo! Nie udawajmy. Przecież obaj dobrze wiemy, o czym mowa.

Starzec, który wcześniej rozmawiał z nim z bezpiecznej odległości, teraz podszedł bliżej.

Anicet widział, jak drży mu broda i błyskają głęboko osadzone oczy - Wiecie, kim jestem? - spytał zduszonym głosem.

-

Oczywiście. Pan jesteś Leonardo, geniusz.

Stary uśmiechnął się jakby zawstydzony i pogłaskał po kudłatej brodzie. Jednak w ułamku sekundy zmienił minę i spytał krótko: - Kim jesteście? Kto was przysłał?

-

Jak już mówiłem, byłem członkiem Kurii, a nawet papabile, zanim nie padłem ofiarą intryg w Watykanie. Wtedy z dnia na dzień odwiesiłem purpurową szarfę na kołek i założyłem bractwo Fideles Fidei Flagran-tes, zrzeszające geniuszy rozczarowanych życiem, znakomitości w swoich dziedzinach. Obecnie jesteśmy jakby centurią mądrych ludzi i mieszkamy w Burg Layenfels wysoko nad Renem.

Leonardo spojrzał zaciekawiony: -1 co chcecie osiągnąć?

- Ulepszyć świat.

- Dwa słowa o patetycznej treści.

-

Racja. Chodzi nam o to, by wykorzenić głupotę na tej planecie. Leonardo podszedł jeszcze bliżej i Anicet zrobił krok w tył. Niemal

widział, jak w głowie brodacza kłębią się myśli: - A jaką rolę odgrywa w tym całun

Pana Jezusa?

-

Rolę kluczową. Oczywiście jedynie oryginał!

-

W czym rzecz? - Leonardo nagle ujawnił oznaki zdenerwowania. Kciukiem i palcem wskazującym kręcił loczki na brodzie. - Co przez to rozumiecie?

- Na zlecenie Kurii wykonał pan kopię całunu turyńskiego.

- Zgadza się. No i co?

-

Niestety, kopia jest tak dobra, że nie sposób jej odróżnić od oryginału.

-

Komu pan to mówi! Ale co was tu sprowadza?

-Właśnie to. Muszę się dowiedzieć, jak odróżnić kopię od oryginału. Leonardo zachichotał. - Przecież wam tego nie ujawnię. Anicet przyjrzał się badawczo staremu.

Potem powiedział: -

Podziwiam pański kunszt, messer Leonardo. Wcześniej nikomu się nie udało
irkonać doskonałej kopii całunu. Jest pan pierwszym i z pewnością powstanie pan
jedynym.

Komplement połehtał starego człowieka. - Przynajmniej jeden, kto-•umie docenić
moje dzieło - mruknął pod nosem.

-

Czy pan - Anicet zawahał się - czy pan jest samoukiem? - zapytał, by
podtrzymać rozmowę.

-
Samoukiem? - Leonardo zaśmiał się zgryźliwie. — Naprawdę pan sądzi, że można się nauczyć samodzielnie tego wszystkiego? - Tu szerokim gestem wskazał obrazy i rzeźby stojące w pracowni, zajmującej całe pierwsze piętro.
Anicet szybko rozejrzał się wokół siebie. Wrażenie robiły potężne belki ropowe. W marnym oświetleniu widać było na ścianach niedokończony jraz świętego Hieronima z Muzeum Watykańskiego, także niedokonany Pokłon trzech króli z Galerii Uffizi, Madonnę w grocie z londyńskiej National Gallery oraz Portret muzyka z Biblioteki Ambrosiana w Mediolanie. Pomiędzy tym gliniane modele różnych rzeźb, jakieś plany, a także rysunki urządzeń optycznych i mechanicznych. Ponadto na ścianach całe żyzny kartki zapisanych pismem lustrzanym. Wszystko bez żadnego systemu w nieprzeniknionym chaosie.

-
Nie - podjął Leonardo przerwany wątek. - Mój mistrz i nauczyciel nie gorszy niż Andréa del Verrocchio.

Najwidoczniej zauważył sceptyczne spojrzenie Aniceta, bo dodał jeszcze: - Wierzycie mi chyba?

• Dlaczego miałbym nie wierzyć pańskim słowom, messer Leonar-i? - odparł Anicet. Nie spodziewał się, że dzięki temu kłamstwu nagle Leonardo nabierze do niego zaufania.

- Bo ludzie tutaj mają mnie za wariata - ciągnął starzec, marszcząc przy tym brwi, jakby to oświadczenie było dla niego bolesne. - Nie chcą uznać, że stem Leonardo, człowiek z miejscowości Vinci koło Empoli, który zmarł w dniu 2 maja roku 1519 naszej ery w zamku Cloux koło Amboise i został pochowany w kościele Saint

Florentin. Wierzycie chyba w reinkarnację?

-

Nie jestem ani orfikiem, ani pitagorejczykiem, ale kiedy przyglądam Î pańskim dziełom, skłonnyjestem zmienić mój pogląd na temat wędrów-
k dusz. Mam wrażenie, że w panu Leonardo da Vinci zmartwychwstał. Stary z rozkoszą chłonał te słowa. - Ludzie uważają mnie po prostu fałszerza albo kopistę, gdy czasem sprzedaję jakieś moje dzieło. Przy tym nigdy w życiu nie byłem jeszcze w Luwrze, zaś Gallerii Uffizi nie widziałem nawet z zewnątrz, nie mówiąc już o Watykanie w środku RZy. mu. Kopie albo falsyfikaty! Niech mnie nie rozśmieszają! Jakże mogę sam siebie kopiować czy fałszować? Ten obraz - ożywił się Leonardo i wskazał na wizerunek Madonny w grocie - ma już trzy wersje. Pierwsza wisi w Londynie w National Gallery, druga w Paryżu w Luwrze, trzecią właśnie wczoraj skończyłem. Czyżbym więc był fałszerzem?

-

Z pewnością nie, messer Leonardo!

Starzec znów podszedł o krok bliżej i przystawił dłoń do policzka jakby chciał przybyszowi wyjawic jakąś tajemnicę: - Większość ludzi to głupcy. A już najgłupszi są ci mądralę tytułujący się doktorami i profesorami. Sądzą, że są w stanie oceniać sztukę, choć nigdy nie mieli w ręku artystycznego pędzla, nie mówiąc już o dłucie. Uważają moją Mona Lise za najbardziej znaczące dzieło sztuki na świecie. A ja przecież tylko w trzy dni napaćkałem portret pani Giocondy z Florencji, ponieważ owa dama zapomniała, że jej mąż Francesco ma urodziny i pilnie potrzebowała stosownego prezentu. Najbardziej znaczące dzieło świata! Też mi coś!

- Za pozwoleniem, messer Leonardo, jest to wspaniałe dzieło.

- No dobra, ujdzie. Dzisiaj bym to lepiej namalował. Chociaż...

- Chociaż?

—Wiecie, w ciągu ostatnich lat coraz bardziej tracę chęć do malowania. Przyszłość należy nie do sztuki, lecz do nauki. Architektura, mechanika, chemia i optyka bardziej zmienią świat niż zdołałaby kiedykolwiek sztuka.

Kiedy Leonardo robił wycieczkę po świecie sztuki i nauki, Anicet zastanawiał się, jak tę jednostronną rozmowę skierować na temat całunu turyńskiego, i to w taki sposób, żeby nie zdenerwować starca, który bez wątplenia uważa siebie za zmartwychwstałego Leonarda da Vinci.

Na to stary niespodziewanie zaczął sam: - Teraz mnie pewnie zapytacie, dlaczego zniżyłem się do takiego psikusa, jak falsyfikat całunu turyńskiego. Odpowiem pytaniem na pytanie.

Anicet popatrzył wyczekująco na Leonarda.

Starzec uśmiechnął się dyskretnie i po nieznośnie długiej przerwie zapytał: — Czy wyrzucilibyście w błoto pół miliona euro?

-
Pół miliona?

-
Pół miliona! A w dodatku z kasy Kościoła! Poza tym podniecił0 mnie wyzwanie, żeby urzeczywistnić coś praktycznie niemożliwego.

- Rozumiem, co ma pan na myśli. Chodziło o wykonanie takiej kopii unu, żeby przeszła pozytywnie również badania naukowe.

- Przynajmniej powierzchowne. Celowo całun miał nie przejść do-adnej analizy.

Taki w każdym razie był zamysł kardynała Moro. Sporo asu upłynęło, zanim choć z

grubsza załapałem, o co tu szło. Tak czy ina--j, pewnego dnia dotarło do mnie, że dla najważniejszych osób w Wa-kanie kopia całunu jest ważniejsza od oryginału.

Anicet żywo skinął głową. - Ale pan wie, dlaczego kardynałowi Moro urii tak bardzo zależało na tej kopii?

-

Powiedzmy, że się domyślam. Początkowo nie miałem zielonego jęcia.

Sądziłem, że purpuratom kopia potrzebna jest na wystawę czy innych powodów albo martwili się, że oryginał może zostać skradziony tać się przedmiotem jakiegoś niewyobrażalnego szantażu. Można w Je-sa z Nazaretu wierzyć lub nie, jak kto woli, ale dla miliardów ludzi jest umiłowany Syn Boży i w tym sensie jego całun ma bezcenną wartość.

Przez dłuższą chwilę spoglądali sobie w oczy, jakby chcieli ocenić, ile mogą sobie zaufać. Przede wszystkim Anicet miał wątpliwości, czy ożna wynurzenia starego przyjąć za dobrą monetę. Ostatecznie przecież awniał symptomy schizofrenii paranoidalnej, na którą nierzadko cierpią dzie wysoce uzdolnieni i nieprzeciętnie inteligentni.

Co się zaś tyczy Leonarda, ten z niejasnych przyczyn nabrał do przy-sza zaufania.

Może ze względu na wywołane poczucie, że traktuje się poważnie.

-

Interesowałoby mnie - zaczął dyplomatycznie Anicet - jak udało panu wykonać kopię przedmiotu, który w kręgach ekspertów uchodzi absolutnie nie dający się podrobić. A nie da się go podrobić dlatego, że i dotąd nikt nie potrafił wyjaśnić naukowo, jak powstał wizerunek na ótnie. Sam zgłębiłem literaturę w tym zakresie, jednak kolejne teorie równie niezadowolające. Tym zaś, co tak bardzo utrudnia próby

wyja-enia, jest fakt, że Jezus z Nazaretu zostawił na płótnie negatyw, niejako jęcie rentgenowskie.

-
Komu pan to mówi! - Leonardo uśmiechnął się z satysfakcją. W ogóle to człowieka na całunie znamy dopiero od roku 1898 naszej '> kiedy to zrobiono mu po raz pierwszy zdjęcie aparatem fotograficznym na płyty światłoczułe. Nagle zobaczono w negatywie realistyczny

erunek człowieka o nadnaturalnych zdolnościach.

- No cóż, niezależnie od tego, czy chodziło tu o owiniętego w płótno tego zmarłego, którego oczekiwano od tysięcy lat jako Boga i Zbawiciela dla mnie pozostaje poza dyskusją, że ów człowiek, Bóg czy kim tam by} posiadał nadnaturalne zdolności. Przypuszczam, że emanował jakimś promieniowaniem, które spowodowało te rozmyte zarysy na płótnie.

- Śmiała teoria, messer Leonardo! Chociaż pan jest znany ze śmiałych teorii. O ile posiadam rzetelne informacje, to pan już pięćset lat temu wymyślił spadochron i łódź podwodną...

- A ludzie mnie ogłosili wariatem. Wtedy na dworze księcia Mediolanu miałem najbardziej płodny okres. Równocześnie jednak musiałem znosić najgorsze przejawy wrogości Kościoła. W końcu nie widziałem już żadnego innego sposobu, jak robić notatki pismem lustrzanym, żeby żaden przybiegający dominikanin nie mógł tego wykorzystać na moją zgubę. Lustra, trzeba wam wiedzieć, były wtedy rzadkie i kosztowne, zaś zakonnikom ze względu na próżność wręcz zakazano używać tego dzieła szatana. Z przyczyn sentymentalnych, a także dlatego, że niełatwo było mi się przestawić, do dzisiaj zachowałem ten nawyk.

- Mówił pan o promieniowaniu, które mogło stanowić przyczynę pojawienia się

wizerunku na całunie.

- Racja. Dziś jestem już niemal pewien, że jest to jedyne rozsądne wyjaśnienie. Z jednej strony, analizy chemiczne wykazały, że nie była tam nanoszona żadna farba. Nie znaleziono śladu barwnika. Z drugiej strony przeprowadzono eksperymenty, w ramach których ludzi pokrywano związkami bitumicznymi i w pozycji znanej z całunu turyńskiego zawijano w płótno. Wynik był jednoznaczny: odciski były zniekształcone i nie ujawniały nawet odległego podobieństwa do wzorca. A jednak kiedy się ogląda oryginał, odnosi się wrażenie, jakby odcisnął się tam wizerunek zmarłego.

- Tym bardziej podziwiam, że odważył się pan na wykonanie kopii całunu.

Zaciekawił mnie pan. Czy zechce pan mi swój sekret wyjawić przynajmniej w zarysie?

Starzec tak pokręcił głową, że aż mu broda zafalowała. - Podpisałem umowę, która grozi mi nie tylko wiecznym potępieniem, ale także zwrotem pół miliona euro, gdybym o całej akcji choć słówko pisał.

-

Z tego punktu widzenia, to pan już dawno złamał umowę, messer Leonardo.

Ale naprawdę może mi pan zaufać. Jadąc jutro z powrotem do

urg Layenfels, nie będę pamiętał, że kiedykolwiek tu byłem i pana społem.

Leonardo przez chwilę się wahał, potem mrugnął do Aniceta i podział: - Chodźcie za mną!

Kolejne schody, osadzone w murze, prowadziły w górę. Leonardo po dwa stopnie naraz i wykazywał przy tym taką gibkość, że Anicet -zał wątpić, czy starzec istotnie jest tak stary, jak wygląda. Anicet z trudem za nim nadążał.

Na górze ukazało się niemal puste pomieszczenie, urządzone jako oratorium z minimum wyposażenia, szklanymi szafkami na ścianach tołem laboratoryjnym pod trzema oknami wychodzącymi na ulicę. Re-ektor pod sufitem przywodził na myśl studio fotograficzne. Podłoga była łożona białą glazurą, tak samo wysokie ściany. Podobnie jak pracownia onżej, laboratorium zajmowało całe piętro.

Najbardziej uwagę przyciągał wielki czarny sześcian po prawej stronie mieszczącego, szeroki na jakieś dwa i pół metra, takż wysoki.

Leonardo przez parę chwil z wyraźną przyjemnością upajał się dez-'entacją Aniceta. Uśmiechnął się z wyższością. Wreszcie zaczął jakby imochodem: - Camera obscura. Już pięćset lat temu ją wynalazłem. Zapewne słyszeliście o tym. Jest to cud natury równie prosty co zdumiewający. Tu akurat jest dość duży egzemplarz, ale do moich celów odpowiedni. Coś wam pokażę.

Otworzył ledwo widoczne wąskie drzwiczki w ścianie sześcianu i wepchnął Aniceta do środka. - Nie ma powodu do obaw. Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak powstała kopia całunu turyńskiego, to musicie tę procedurę przejść na sobie.

Kiedy tylko Anicet wszedł do ciemni, Leonardo zamknął drzwiczki. We wnętrzu panowała ponura cisza. Anicet jakby gdzieś z oddali usłyszał, że Leonardo włącza reflektor na suficie. Nic nie widział.

Leonardo zaś pozbył się ubrania. Następnie z tylnej ścianki ciemni Wyciągnął korek, tkwiący w samym geometrycznym środku, po czym stanął nagi i żaloszny przed przeciwległą białą ścianą. Prawą dłonią zasłonił sobie przyrodzenie. Lewą chwycił prawy łokieć. Nogi były równoległe i ułożone jak u mumii.

Na kilka minut Leonardo zamarł w tej pozycji z zamkniętymi oczami. Wiedział, co się dzieje wewnątrz czarnego pudła.

Anicet, którego rzadko coś wyprowadzało z równowagi, wpatrywał się zirytowany, a wręcz zszokowany w podobiznę obok siebie. Wiąże promieni światła padająca przez otwór na tylną ściankę, wywoływała błądy obraz na białym ekranie. Im dłużej obserwował ten stojący na głowie obraz, tym wyraźniej sobie uświadamiał: ten człowiek do góry nogami na ekranie odpowiada dokładnie człowiekowi na całym turyńskim.

Jak opętany wyskoczył Anicet z czarnego pudła ciemni. Nie zwracając uwagi na gołego Leonarda, zawołał w najwyższym podnieceniu: - Jest pan czarownikiem, messer Leonardo, magiem i medium, a w dodatku diabelnie dobrym!

Podczas, gdy stary się ubierał, Anicet wciąż kręcił głową, jakby nie chciał przyjąć do świadomości tego, co widział. W końcu zapytał: - Ale jak pan przenosi swój wizerunek na ekran?

Leonardo uśmiechnął się pod nosem. Po chwili odezwał się, wciąż z tym samym uśmiechem: - W istocie, to właśnie była najtrudniejsza część mojego przedsięwzięcia. Jednak przypomniałem sobie jak przez mgłę jedno z moich opracowań, które zrobiłem pięćset lat temu, a które dziś jest zaginione. Wtedy znalazłem sposób, jak obrazw ciemni optycznej zatrzymać i nanieść na ekran. Nadążacie?

- Ależ tak! - zapewnił Anicet.

- Wiedziałem tylko - ciągnął Leonardo - że pewną rolę odgrywa w tym srebro albo złoto. Robiłem więc doświadczenia z jednym i drugim, a po paru tygodniach uzyskałem zdumiewający wynik: przy rozpuszczaniu srebra i złota w kwasie siarkowym powstaje siarczan srebra Ag_2S_04 . Kiedy zanurzy się płótno w takim roztworze, to materiał po wyschnięciu, choćby częściowym, jest światłoczuły jak film w aparacie małoobrazkowym.

- I sam pan pozował jako Jezus z Nazaretu.

- Na litość boską, nie przypominajcie mi o tym! Musiałem wytrzymać szesnaście godzin bez ruchu w ostrym świetle reflektora. I wtedy wszystko niemal poszłoby na marne. Okazało się bowiem, że ekspozycja wciąż była za krótka. Niewyraźny negatyw miał jaśniejszy odcień niż wizerunek na oryginale.

- Czyli wszystko od nowa!

- Otóż nie bardzo. Płótno, które dostarczył mi Moro, było niepowtarzalne.

Pochodziło z czternastego wieku, ale miało ten sam splot co całun turyński, wzór jodełkowy w technice trzy na jeden. Znaczy to, że

-

przy tkaniu wątek biegnie najpierw pod trzema nitkami osnowy, potem nad jedną nitką osnowy, potem znów pod trzema nitkami i tak dalej. Typowy splot tkacki, który przetrwał tysiące lat. Bóg jeden wie, skąd Moro wziął to płótno.

-1 jak udało się panu wzmocnić kontrast wizerunku? O ile wiem, ani jeden ekspert, który tę kopię miał przed sobą, nie zgłosił żadnych wątpliwości co do autentyczności całunu turyńskiego, choć przecież była to kopia wykonana przez pana.

Leonardo rozłożył ręce i odparł: - Jak to często w życiu bywa, w największej potrzebie przychodzi z pomocą przypadek. W tamtym okresie malowałem akurat swój autoportret, a jak pan wie, w malarstwie istotną rolę odgrywają jajka. Włoscy mistrzowie stosowali żółtka i barwniki w równych proporcjach. Białka służyły przez wiele lat do gruntowania, tak zwanego albuminowego. A białko ubite na sztywno miało zastosowanie jako podkład pod złocenia. Przy autoportrecie z ciekawości eksperymentowałem z jajkami na twardo. Miałem do dyspozycji może ze sto sztuk. Jednak wszystkie próby, które oczywiście, jako że malowałem się nago, dosięgły również powtórnego wcielenia osoby z autoportretu, spełzły na niczym.

Rozczarowany, pożarłem ponad tuzin jajek na twardo, mocno przyprawionych solą i pieprzem, zaś pół tuzinem rzuciłem ze złości o ścianę. Jedno jajko trafiło w tę kopię, która wyszła za jasna.

-
Wtedy to pan już do reszty zniszczył cenną kopię!

-
Zniszczył? Przeciwnie. W miejscu, gdzie jajko trafiło w niedoświe-
tloną kopię, po trzech dniach widać było kontrast taki, jak na oryginale.

?Zjawisko opierało się na tym, że powstała cienka powierzchniowa war-
stwa siarczynu srebra dzięki pozostałościom kwasu siarkowego.

- Genialne, messer Leonardo, naprawdę genialne! Ale był jeszcze problem śladów
przypalenia i krwi na oryginale.

- Ależ skąd! Tym martwiłem się najmniej. Za przypalenia z roku 1532, kiedy to w
kaplicy zamku w Chambery całun mało nie padł ofiarą płomieni, musiało pocierpieć
stare żelazko z duszą. Reszty dokonał polisiarczek sodu, który zabarwił płótno od
żółci do brązu. Co się zaś tyczy śladów krwi, było tylko jedno rozwiązanie: krew
gołębia, która w obecności tlenu starzeje się szybciej niż muszka jednodniówka.

Anicet długo rozmyślał. W końcu postawił pytanie: - Messer Leonardo, I czy nie
mogło być tak, że oryginał całunu powstał w ten sam sposób?

Starzec zmarszczył się, a na jego czole pojawiła się pionowa bruzda irytacji. -

Słuchajcie - zaczął z naciskiem w głosie - jeżeli istnieje ktokolwiek, kto potrafi stwierdzić
autentyczność całunu turyńskiego, to tym kimś jestem ja. A ja powiadam

wam, że w to płótno przed dwoma tysiącami lat owinięty był człowiek, który

posiadał nadnaturalne zdolności Czy ten człowiek był martwy, na pozór martwy czy

też żywy, czy był Synem Bożym, czy wędrownym kaznodzieją, których wtedy było

wielu, to zupełnie inny temat. To jest kwestia wiary. Moją profesją jest sztuka, nie wiara. Pewne jest tylko to, że płótno, które służyło mi jako wzorzec, jest równie autentyczne jak moja Mona Lisa w Luwrze. Jezus nie znał ciemni optycznej. Tę wynalazłem półtora tysiąca lat później. A jedynie z pomocą tego wynalazku możliwe jest wykonanie kopii, która przejdzie z powodzeniem każdą analizę porównawczą.

-

Proszę mi wybaczyć wątpliwości - odezwał się Anicet ugodowo - ale sprowadził mnie tu właśnie problem autentyczności.

Leonardo niespokojnie chodził tam i z powrotem po laboratorium. Na próżno Anicet starał się wyczuć, co też mu chodzi po głowie. Nagle zadźwięczał dzwonek. Leonardo rzucił Anicetowi pytające spojrzenie.

—

Spodziewa się pan gości? - zapytał Anicet ostrożnie. Leonardo pokręcił głową.

- Chodźcie, wyprowadzę was na zewnątrz.

Lepiej dla was, żeby was tu nie widziano! - z tymi słowami popchnął przybysza w kierunku schodów, a ręką zrobił gest ponaglenia.

Byli jeszcze w trakcie schodzenia po schodach, gdy dzwonek ponownie się odezwał. Kiedy zeszli na parter, Leonardo otworzył jakieś wąskie drewniane drzwi.

Wychodziły na podwórko.-Trzymajcie się prawej strony- szepnął Leonardo do Aniceta - a traficie na drogę ewakuacyjną, która kawałek dalej dochodzi do Luisenstraat.

Znów zadźwięczał dzwonek, tym razem wyraźnie bardziej niecierpliwie. -

Przyjdźcie jutro - zawołał cicho Leonardo - bo mam wam jeszcze coś ważnego do powiedzenia. I wejdźcie tylnym wejściem!

Drzwi na podwórko zamknęły się. Wyszedłszy na ulicę, zauważył Anicet ciemną limuzynę, która wcześniej tu nie stała. Natychmiast zauważył nietypową tablicę rejestracyjną: CV-5. Samochód rzymskiej Kurii.

ROZDZIAŁ 26

K

iedy Anicet kierował się ku Scheldeufer, przestało padać. Na Jordaen-skaai zrobiło się bardziej ruchliwie. Przechodzili jacyś ludzie rozmawiający przez komórki. Uwagę zwracali liczni ortodoksyjni Żydzi w czarnych ubraniach i z pejsami. Anicet nagle stracił orientację.

Ernest de Coninck, nazywający siebie Leonardo, na pewien czas zawiódł go w zupełnie inny świat. Anicet zastanawiał się, dlaczego tak ślepo i bez zastrzeżeń wciągnął się w opowieści starego. Przecież tym samym zaniedbał własne zamiary. Prawda, wiele się dowiedział, ale pytań postawił za mało.

Z rękami wbitymi w kieszenie wojskowego płaszcza, Anicet szedł spacerkiem wzdłuż rzeki. Zatopiony w myślach patrzył na przepływające z warkotem towarowe barki. U wylotu Plantin Kaai złapał taksówkę.

Po dwudziestominutowej jeździe, milczący taksówkarz, Indonezyjczyk o delikatnej dziecięcej twarzy, wysadził go na Kareel Oomstraat przed hotelem Firean. Mały hotelik, położony z dala od ulicznego zgiełku, lśnił swoją ozdobną secesyjną fasadą i żeliwnym baldachimem nad wejściem. W międzyczasie zapadł wieczór. Po ulicach hulał wiatr i Anicet wołał z nie wychodzić z hotelu. Na półpiętrze, na lewo od wejścia, znajdowała się restauracyjka ze skromnym, ale wybornym menu. Po przepysznej uczcie "bnej wrócił do swojego pokoju na pierwszym piętrze.

Z rękami pod głową leżał Anicet na łóżku i obserwował obrazek wi-ący na

przeciwległej ścianie. Przedstawiał widok na dawną Antwerpię, była to kopia jednego z niezliczonych malarzy flamandzkich, którzy malowali to miasto.

A teraz ten Leonardo, chodziło Anicetowi po głowie, bez wątpierija geniusz, który kunszt malarski opanował jak Leonardo da Vinci; człowiek który tak głęboko sobie przyswoił umiejętności Leonarda, że zidentyfikował się ze swoim wielkim wzorcem.

Anicet nie wiedział, co sądzić o jego zachowaniu. Czy istotnie był wariatem, czy tylko udawał wariata i stroił sobie żarty z ludzi?

Cokolwiek miało się okazać, Ernest de Coninck alias Leonardo był postacią fascynującą. Jakby stworzony dla bractwa Fideles Fidei Flagran-tes. Anicet musiał za

wszelką cenę pozyskać go do swoich celów. Dlatego obmyślił pewną strategię.

Geniusze - wiedział o tym dzięki mieszkańcom Burg Layenfels - są próżni...

Z tą myślą Anicet zasnął. Obudził się wraz z pierwszym uderzeniem dzwonu pobliskiego kościoła, które wdarło się do pokoju. Kiedy zaspany golił się w łazience, uporządkował myśli. Potem zjadł śniadanie i uregulował rachunek za hotel.

Ostatni kawałek drogi na Luisenstraat pokonał Anicet pieszo. Pogoda się uspokoiła, a świeże poranne powietrze dodawało mu skrzydeł.

Leonardo radził mu wejść przez tylne drzwi. Anicet wybrał więc drogę ewakuacyjną, której nawierzchnia o tej porannej porze była jeszcze mokra. Mijając na podwórku kubły na śmieci, dotarł do drzwi, którymi Leonardo zeszłego wieczora go wypuścił. Nie było dzwonka, więc Anicet uderzył pięścią w drzwi.

Leonardo nie zareagował.

Anicet nacisnął na klamkę. Drzwi nie były zamknięte.

-

Messer Leonardo! - zawołał Anicet, dotarłszy do sieni. - Messer Leonardo!

Podobnie jak poprzedniego dnia, w sieni paliło się światło i Anicet skierował się na

drugi koniec sieni ku schodom prowadzącym na górę. Powoli stawiał nogi na kolejnych stopniach w nadziei, że głośne skrzypienie zwróci uwagę Leonarda na wczesnego gościa.

-
Messer Leonardo! - zawołał raz jeszcze. - Messer L... Anicetowi słowa uwięzły w gardle. Pod sufitem pracowni na sznurze

zaciśniętym wokół szyi kołysał się Leonardo. Z otwartych ust wychodził mu język, biały jak zepsute mięso. Jego oczy, jak dwie kulki z mlecznego szkła, wyskoczyły z oczodołów i patrzyły w pustkę. Wskutek przekrzywienia głowy widoczna była tylna część splątanej brody.

Leonardo miał na sobie, podobnie jak poprzedniego dnia, średniowieczny kaftan i czerwone rajtuzy. Jego lewa ręka zwisała pionowo w dół. prawa była nieco zgięta i dłoń zasłaniała przyrodzenie, dokładnie tak samo jak na największym z jego dzieł, na kopii całunu turyńskiego. Przypadek? [5zy ostatnie przesłanie?

Raptem Leonardo zaczął się obracać wokół własnej osi. Anicetowi wyrwał się okrzyk zgrozy. Potem jednak zauważył przeciąg, który wprowadził ciało tego człowieka w ów niesamowity śmiertelny płas.

Szokujący widok początkowo wywołał pustkę w umyśle Aniceta. Dopiero stopniowo dochodził do siebie. Co tu się stało? Jeszcze poprzedniego wieczoru Leonardo w najmniejszym stopniu nie wyglądał na kogoś, komu życie zbrzydło. Anicet rozejrzał się dokoła. W pracowni panował ten sam chaos co wczoraj.

Wszystkie malowidła wisiały na swoich poprzednich miejscach, przynajmniej na tyle, na ile Anicet pamiętał. W oczy rzuciła mu się tylko rozkładana drabina, wysoka na jakieś dwa metry, bezpośrednio po prawej od wejścia na schody. Anicet nie był

pewien, czy widział ją wczoraj iw tym miejscu.

Nagle jak piorun uderzyło go odkrycie: Leonardo wisiał dobre półtora metra nad podłogą i nie można było wyjaśnić, jak w ogóle przywiązał sznur do belki stropowej. Nie było tam nawet krzesła, choć i tak byłoby za niskie. Była tylko ta drabina. Ale stała przy ścianie.

Aniceta stopniowo ogarniała pewność, że Leonardo nie popełnił samobójstwa.

Równocześnie uzmysłowił sobie, że już najwyższy czas, aby to miejsce opuścić.

ROZDZIAŁ 27

P

Przez całą drogę do Santa Maddalena Caterina zastanawiała się, jak to możliwe, że markiza Falconieri tak nisko upadła. Santa Maddalena to rzymskie więzienie dla kobiet, w którym Lorenza Falconieri przebywała od dwóch tygodni. Faktem jest, że zubożała arystokracja jest we Włoszech raczej regułą niż wyjątkiem, ale żeby markiza w taki sposób zesłała na drogę przestępstwa, to nie zdarzało się szczególnie często.

Pracując jako dziennikarka śledcza, Caterina miała doświadczenie w załatwianiu pozwolenia na widzenie w więzieniu. Musiała porozmawiać z markizą. W końcu przyjaźniła się z Marleną. Może to właśnie ona była w stanie rzucić jakieś światło na mroki życia Marleny.

Kiedy taksówkarz przebijał się przez przedpołudniowe korki, Cateriny nie opuszczała myśl, że być może Lorenza Falconieri wręcz miała swój udział w zabójstwie Marleny. Choćby w sensie współudziału. Ale jaki miałby być motyw?

Na parkingu przed ponurą budowlą z cegły, budzącą strach już samą swoją groźną architekturą, zimny wiatr wzniecał tumany kurzu. Brama wejściowa do więzienia

była nieproporcjonalnie mała w stosunku do zespołu budynków tej wielkości. Jednak taki był przecież zamysł twórcy. W każdym razie Caterina odczuła pewien niepokój, kiedy zamknęła się za nią brama- W holu było okienko z przesuwaną szybką ze zbrojonego szkła. Nad owalnym otworem wyciętym w środku widniał napis: „Tu mówić”. Caterina przedstawiła prośbę o widzenie z markizą Falconieri.

Umundurowana matrona w okularach i krótko ostrzyżonych włosach spytała szorstko przez owal: - Krewna?

Caterina, przygotowana na takie pytanie, odparła równie zwięźle: I , Daleka.

Matrona rzuciła przez zbrojoną szybkę zirytowane spojrzenie.

-

Moja matka i siostra markizy pochodzą z tej samej rodziny. Funkcjonariuszka przez chwilę się zastanawiała, w każdym razie ro-

l,iJa takie wrażenie, potem przez otwór podała formularz i powiedziała z

niespodziewaną uprzejmością: - Gdyby była pani uprzejma to wypełnić. I proszę o dowód tożsamości.

Kiedy Caterina spełniła te wymogi, po lewej stronie okienka zabrzączało elektryczne otwieranie drzwi i można było wejść.

W pomieszczeniu bez okien, biało wykafelkowanym i ostro oświetlonym neonówkami, czekała na nią kolejna funkcjonariuszka w mundurze, stojąca za stołem. Funkcjonariuszka zażądała, aby Caterina oddała torebkę do depozytu. Potem sprawdziła ją od stóp do głów pikającym urządzeniem, które wyglądało jak paletka do ping-ponga. W końcu wpuściła Caterinę do długiego korytarza, gdzie czekała na nią następna wartowniczką. Ta zaskakująco uprzejmie skinęła głową i poprosiła, by iść za nią.

Sala widzeń położona była na niskim parterze, a światło wpadało tylko przez dwa kwadrality wmurowane w strop. Umeblowanie składało się z kwadratowego stołu,

dwóch krzeseł oraz jeszcze jednego krzesła przy drzwiach bez klamki.

Caterina usiadła przy stole.

Dobłą chwilę trwało, zanim pojawiła się markiza.

-

Pani? — zdziwiła się. - Pani najmniej się spodziewałam! Markiza miała na

sobie szaroniebieską spódnice i takąż bluzkę, a cały

kostium miał zapach środka do dezynfekcji. Włosy miała związane w prowizoryczny

kok. Była blada i zrezygowana.

- Przyszłam w sprawie Marleny Ammer - zaczęła Caterina bez ogródek.

- No to przyszła pani na próżno! - odparła markiza z niechęcią i już chciała

wstawać do wyjścia.

Caterina położyła dłoń na ręce signory: - Markizo, proszę!

-

Z dziennikarzami nie chcę już mieć nic do czynienia - oświadczyła jadowicie. -

Mam z nimi same złe doświadczenia, rozumie pani?

- Markizo, przyszłam tu nie jako dziennikarka, ale prywatnie. Pro-BSz? mi

wierzyć!

- Co znaczy prywatnie?

- Pamięta pani Lukasa Malberga?

-Tego antykwariusza z Niemiec? - Skrzywiła się pogardliwie. - Jakie mogłabym

nie pamiętać? To przecież on mnie wpakował w to gównno!

Caterina wzdrygnęła się. Po markizie nie spodziewała się tak wulgarnego języka.

-

Myli się pani - uniosła się. - Malberg z tą sprawą nie ma nic wspólnego.

Wszystko uruchomił pewien kolekcjoner książek nazwiskiem Jean Endres.

Stwierdził, że zaoferowała mu pani książki pochodzące z jego własnej kolekcji.

Zostały one skradzione podczas włamania sześć czy siedem lat wcześniej. Był w stanie tego dowieść na podstawie ekspertyzy fotograficznej.

-Jean Endres! - Markiza z niedowierzaniem pokręciła głową. - Mogłam się była domyślić! Przyszedł z polecenia i tak konkretnie odniósł się do paru najlepszych pozycji, jakby do niego należały. Nie pytał również o ich pochodzenie. Kiedy wymieniłam cenę, powiedział, że się jeszcze zastanowi. Jak mogłam być taka głupia!

— Markiza walnęła się dłonią w czoło.

-
Widzi pani, to nie Malberg panią wydał. Malberg był po prostu ostatnim potencjalnym kupcem!

Lorenza Falconieri podparła głowę rękami i zapatrzyła się na przeciwległą ścianę.

Jej postawa ujawniała znów głęboką rozpacz. Z pewnością już od dawna żałowała, że pod wpływem męża została oszustką.

- A czego pani chce ode mnie? - zapytała po dłuższej chwili milczenia.

- Śmierć Marleny Ammer zostawiła tak wiele zagadek. A Lukas Malberg nie może tego przeboleć. Nie może tak po prostu przejść nad tym do porządku dziennego i żyć, jakby nic się nie stało.

- Nic dziwnego. Malberg durzył się w Marlenie. - Markiza zaśmiała się oschle.

Caterina wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że może to i racja, że nie sposób zaprzeczyć fascynacji Malberga piękną Marleną-Westchnęła, ale zaraz

otrząsnęła się z zazdrości i rzekła stanowczo: - Nie o to teraz chodzi. Signora

Marlena została zamordowana. A gdy tylko pfo' buje się rzucić jakieś światło na

okoliczności jej śmierci, trafia się na muf milczenia. Prokuratura i policja, nawet Watykan i redakcja mojej gazetyi wszyscy jakby chcieli to zabójstwo zatuszować. A czy pani, markizo Fal' conieri, także ma jakiś powód do udawania, że niby nic się nie stało?

-

Może mnie chce pani obciążyć winą za śmierć Marleny? - wykrzyk-[lięfo markiza z oburzeniem.

-

W żadnym razie - odparła Caterina równie oburzona. - Ale skoro pani nie miała ze sprawą nic wspólnego, to dlaczego nie chce pani mówić? Nie mogę się pozbyć podejrzania, że Marlena Ammer

?prowadziła podwójne życie i wplątała się w coś, co w końcu przyplącała życiem.

-

A co to panią obchodzi - zapytała Lorenza Falconieri opryskliwie. ?Czyż nie mówiła pani, że przychodzi zupełnie prywatnie?

-

Ma pani absolutną rację, markizo, początkowo był to temat dziennikarski, ale teraz tak naprawdę chodzi mi tylko o... o spokój Lukasa Mal-berga. - Caterina się zarumieniła.

- Ach, w tym rzecz.

- Tak, w tym rzecz.

- Pani i Malberg...

- Właśnie.

Lorenza Falconieri znów podniosła nieruchomy wzrok i milczała. Widać było, że

w głowie gwałtownie kłębią się jej myśli. Wreszcie parsknęła: - Wszyscy mężczyźni to gnojki. Ale zapewne pani jest jeszcze za młoda, by to zauważyć.

Caterina poczuła, że wzbiera w niej niewiarygodna wściekłość. Najchętniej skoczyłaby tej zgorzkniałej damulce do gardła, jednak jakiś głos wewnętrzny powstrzymał ją i przywołał do rozsądku. „Wtedy” - powiedział ów głos - „nie miałabyś już żadnej szansy wyciągnięcia czegokolwiek od markizy”.

-
Pani bardzo kochała Marlenę, prawda? - zaczęła nagle. Markiza odruchowo zmarszczyła czoło i zacisnęła usta, jakby chciała

: powstrzymać odpowiedź. Jednak po paru chwilach opanowała się: - Po prostu miałyśmy słabość do siebie - wyjaśniła chłodno. - Łączyła nas Wspólna dola: żadna z nas nie miała szczęścia do mężczyzn. Wszyscy mężczyźni to...

'? -Już to pani mówiła, markizo. Czy uważa pani za możliwe, że śmierć Marleny jest jakoś powiązana z mężczyznami w jej życiu?

Lorenza Falconieri milczała. Bez słowa patrzyła w pustkę.

Caterina drażyła dalej: - Czy to możliwe? Niechże pani odpowie!

-To nie to - wyjąkała markiza po długim wahaniu.

-
A co? Proszę zrozumieć, Marlenę Ammer zamordowano! Jeśli Lena była pani

tak bliska, jak pani twierdzi, to chyba zasłużyła na to, żeby pani pomogła wyjaśnić tę zbrodnię. Nie uważa pani?

Lorenza obojętnie przekrzywiła głowę i powiedziała: - Nie wiem czemu miałoby

to służyć. Ani pani, ani Malberg nigdy nie dowiedzie się co naprawdę zaszło. A gdyby

jednak, to nie byłoby to dla pani z korzyścią, proszę mi wierzyć. Moje życie nie ma już dla mnie znaczenia, a gdyby miało, to cieszyłabym się, że siedzę w areszcie. Tutaj przynajmniej po części można się czuć bezpiecznie. A teraz, wybacz pani.

Wstała, podeszła do drzwi i zapukała.

Rozległy się kroki.

Zanim drzwi się otwarły, markiza jeszcze się odwróciła. Z podstępny
uśmiechem, jakby pozostawienie Cateriny w nieświadomości sprawiało jej dziką
radość, zapowiedziała: - Nigdy nie dowie się pani prawdy...

-

Dlaczego? Zaklinam panią!

-

Zna pani Objawienie świętego Jana, Apokalipsę? Caterina przecząco pokręciła
głową.

-Tak też sądziłam. Proszę sobie przeczytać rozdział 20, wers 7 - jej śmiech
przeszył Caterine do szpiku kości.

Z zewnątrz otwarto drzwi i Lorenza Falconieri wyszła.

ROZDZIAŁ 28

P

o powrocie z Monachium Lukas Malberg wsiadł w taksówkę, dojechał do Corso
Vittorio Emanuele, po czym pieszo poszedł wzdłuż Via Dei Baullari w kierunku
Campo Dei Fiori.

Przed południem panował tu żywy ruch targowy, na który odlany z brązu
dominikanin Giordano Bruno ponuro spoglądał z wysokości. Nikt nawet nie spojrział
na upartego filozofa na wysokim cokole. Zresztą nie było takiej możliwości, gdyż
widok zasłaniały niezliczone markizy sklepowe. A przecież Giordano Bruno zasłużył
sobie na odrobinę szacunku. Ostatecznie zginął dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz
stoi jego pomnik, a zginął na stosie przed ponad czterystu laty. Nastąpiło to siedem

lat po tym, jak Święta Inkwizycja oskarżyła go o herezję.

Malberg, obeznany w historii i literaturze, zaproponował to właśnie miejsce spotkania oczywiście nie po to, aby wspólnie z Caterina opłakiwać dolę Bruna.

Znacznie bardziej chodziło o fakt, jak to ujął przez telefon, że zatłoczone targowisko lepiej nadaje się na spotkanie niż jakie kol-wiek inne miejsce.

Caterina w upale okrążyła pomnik już po raz ósmy. Nagle dwie dłonie chwyciły ją za biodra. Obróciła się, a Malberg wziął ją w ramiona.

- Tak się cieszę, że już jesteś - powiedziała Caterina i trochę zawstydzona uwolniła się z jego objęć.

- A co dopiero ja - odparł Lukas. - To bardzo rozstraja nerwowo, gdy nie ma z kim pogadać o swoich problemach.

- Zrobiłeś jakieś postępy? Tak sugerowałeś przez telefon.

I

Malberg otarł wierzchem dłoni pot z czoła. - Wiesz, to deprymujące, że wraz z każdym nowym ustaleniem, które powinno rzecz posunąć do przodu, pojawiają się dwa kolejne pytania. Ale nie mówmy o tym. Jestem głodny jak wilk.

Caterina rozejrzała się na boki, po czym podniosła w górę palec wskazujący i spytała: - Czy znasz filetti di baccala }

- Filetti co?

- Di baccala.

- W każdym razie brzmi egzotycznie. Ale to coś do jedzenia?

-

Filety z dorsza! Zaraz tutaj, przy Largo Dei Librami, jest mała knajpka. Dają tam najlepsze filetti di baccala w mieście!

-
To na co jeszcze czekamy? - Lukas wziął Caterinę za rękę. Przepychali się w kierunku wyjścia z targu, mijając góry pomidorów, cukinii i karczochów, suszone grzyby i rozłożone antipasti, na zapach których aż ślinka ciekła.

Przekupki i właściciele stoisk o tej porze dnia już przeceniali swoje towary, jako że dochodziło południe.

Pośród tego zgiełku Malberg spytał Caterinę: - A ty, co osiągnęłaś?

- U mnie nie inaczej niż u ciebie - odparła w marszu. - Załatwiłam sobie widzenie z markizą w więzieniu. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś na temat podwójnego życia Marleny. Ale poza kilkoma niejasnymi sugestiami, które nam specjalnie nic nie dadzą, nie dowiedziałam się niczego istotnego. Czasami mam wrażenie, że z markizą już nie całkiem jest w porządku. Znasz Objawienie świętego Jana?

- Apokalipsę?

- No właśnie!

- Skąd ci do głowy przyszła akurat Apokalipsa?

- Otóż tak. Najpierw markiza zasugerowała, że cała sprawa jest niebezpieczna, a potem roześmiała się jak wariatka i powiedziała, żebym sobie przeczytała Objawienie świętego Jana, jeden konkretny rozdział. Czekaj... - Caterina wyciągnęła zza dekoltu karteczkę i odczytała: - Rozdział 20, wers 7. Mówi ci to coś?

Malberg stanął, jakby wrósł w ziemię. Słuchał Caterinę tylko jednym uchem. Z targowego zgiełku dotarło do niego wołanie jednej z przekupek: - Mam jeszcze dla pani piękny szpinak za pół ceny, signora Fellini!

Jednak to nie hojna oferta przekupki przykuła uwagę Lukasa Malaga, lecz nazwisko: signora Fellini. Fellini to niezbyt często spotykane zwisko, a właśnie ono

było napisane na tabliczce na drzwiach dozorczyńni domu, gdzie mieszkała Marlena!

Malberg przyjrzał się tej kobiecie bliżej. Ona go nie знаła, on jed-łc przez chwilę ją widział, wtedy, gdy odkrył ciało Marleny i wybiegał kamienicy. Podobieństwo było

wyraźne: postawna figura, modne krót-'e włosy i błyszczące kolczyki w uszach. A

jednak wyglądała zupełnie aczej.

Signora Fellini z tej odległości robiła właściwie wrażenie osoby za-anej. W dodatku

miała na sobie elegancką sukienkę, która Malberga pełnie zmyliła. Mógłby przysiąc,

że Marlena była na zjeździe klasowym tej samej jaskrawozielonej sukience od

Ferragamo. Malberg nie znał się a modzie, ale podkreślający figurę krój tej sukienki,

skłonił go wtedy do ontanicznego komplementu.

-

Lukas? - Caterina przyciągnęła Malberga do siebie. Już dawno zaważyła jego

spojrzenie. - Na Boga, Lukas, nie gap się tak na tamtą ko-'etę, nie jest znów aż tak

piękna.

Malberg machnął ręką nieobecnym ruchem, jakby chciał powiedzieć, wcale nie o to

chodzi. Potem oświadczył: - Nie uwierzysz, ale to wła-ie jest concierge z kamienicy

Marleny.

- Choć dozorczynią zapewne nigdy nie była, skoro tam od zawsze ieszkają

zakonnice.

- Ta sama.

Caterina spojrzała na Malberga z niedowierzaniem. - Mówisz po-ażnie? Czy to

tylko wymówka? Możesz się przyznać, że cię kręci. Fa-ci mają przecież czasem takie

prostackie skłonności. W każdym razie uważam to za rzecz zwykłą. A ta sukienka w

ogóle na niej nie leży, nie ówiąc już o tym, że jest o wiele za ciasna.

-

Wszystko jest możliwe - Malberg uśmiechnął się pomimo zde-rwowania - ale

wierz mi, to jest signora Fellini, która zniknęła z domu z Via Gora.

Przez zmrużone oczy Caterina przestudiowała signorę w opiętej su-ence. - Nie mylisz się? Chodzi mi o to, że po tym, co na ciebie ostatnio adło, nie mogłabym robić ci wyrzutów, że widzisz duchy.

-

Popatrz na tę sukienkę!

-

Kosztowny ciuszek! Kto wie, co dostała w zamian za ten teatr. Jej torebka jest w każdym razie od Hermesa!

Nie spuszczać signory z oka, Malberg podszedł bardzo blisko do Ca-teriny. - Ona ma na sobie sukienkę Marleny. Jestem pewien, że Marlena była w niej, kiedy ją po raz ostatni widziałem... widziałem za życia.

Na twarzy Cateriny widoczne było zdumienie.

Signora oddaliła się i mogła zniknąć w targowym tłumie.

-

Chodź - zarządził Malberg - musimy zobaczyć, o co chodzi.

-

A o cóż może chodzić na Campo Dei Fiori? Zakupy, finocchio,

cippole, pomodori - Caterina jakoś nie mogła uwierzyć w opowieść Mal-berga.

Kiedy szli za signora Fellini, starając się jej nie stracić z pola widzenia, Caterina zauważyła: - Ale to by znaczyło, że ta osoba była w mieszkaniu Marleny.

Malberg wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, fakt, że sobie tu spaceruje i udaje wielką damę, pozwala wnioskować, że za milczenie wzięła niezłą kasę.

-
Myślisz, że ona zna bardziej szczegółowo okoliczności śmierci Marleny?

-
Takie przypuszczenie nie jest całkiem od rzeczy.

W sposób wyglądający na przypadkowy signora Fellini przechadzała się po targowisku, niczego nie kupując, skręciła w lewo, to znów w prawo, a ostatecznie znalazła się w miejscu, gdzie Malberg ją zauważył. Można było sądzić, że starała się zgubić kogoś, kto być może ją śledzi.

Potem jednak spojrzała nagle na zegarek, przyśpieszyła kroku i opuściła Campo Dei Fiori, kierując się ku Piazza Farnese. Minąwszy fontanny zdobiące plac po obu stronach, ruszyła stanowczym krokiem do pałacu, w którym mieściła się ambasada Francji.

W cieniu potężnego pałacu spacerowała znudzona tam i z powrotem, jakby na kogoś czekając.

Lukas i Caterina stali za lewą fontanną i obserwowali.

Po jakichś dziesięciu minutach signora Fellini zaczęła ujawniać oznaki nerwowości. Wtedy podjechał jakiś człowiek na skuterze. Miał na sobie dżinsy, czerwoną bawełnianą koszulkę i czarny kask z osłoną.

Robił wrażenie, że w ogóle się nie śpieszy. Z całym spokojem zaparkował skuter i gmerając przy kasku, podszedł do signory. Ta zagadała do

r
niego, najwidoczniej z pretensjami, że się spóźnił. W końcu, czujnie się f0Zejrzawszy, wyjęła z torebki jakąś kopertę i podała nieznanemu.

- Ciekawe - zauważył Malberg, nie patrząc na Caterinę. - Nie sądzisz?

- No - odparła, nie odwracając wzroku.

Mężczyzna zajrzał do koperty i wyglądało na to, że palcami obu rąk przelicza banknoty. Jednak kwota chyba go nie zadowoliła. Ze złością zwinął kopertę i wsadził do prawej kieszeni dzinsów. Potem zdjął z głowy kask i zaczął kobiecie coś żywo tłumaczyć.

- Luukas? - Lukas usłyszał zdumiony głos Cateriny. - Luukas! Powiedz, że to nieprawda. - Ścisnęła dłoń Malberga, aż zabolęło.

- Przecież to Paolo! - zawołał Malberg przerażony. — Paolo, twój własny brat!

Caterina wczepiła się w Lukasa. Twarz wtuliła w jego ramię.

-

Zdaje się, że jesteś mi winna jakieś wyjaśnienie - zauważył Malberg zdenerwowany.

Caterina zrobiła wielkie oczy. - Lukas, jestem tak samo zaskoczona jak ty. Chyba nie sądzisz...

- Nawet nie próbuj mi tłumaczyć, że nic nie wiedziałas o podwójnej grze swojego brata! - W głosie Malberga brzmiała złość. Caterina aż się zatrzęsła.

- Na Madonnę i wszystko, co dla mnie święte, nie, nie wiedziałam, że on coś kombinuje z tą kobietą. Sama nie wiem, co to ma znaczyć. Paolo to cwaniak, ale nie kryminalista!

Caterina odwróciła się. Miała łzy w oczach.

Malberg okazał się niewzruszony: - Ty wiesz, co to znaczy - powiedział. -

Ktokolwiek się kryje za tą zbrodnią, cały czas był doskonale poinformowany o każdym moim kroku. Rzekomo bezpieczny pokój w pensjonacie pani Papperitz to był trik. Przypuszczalnie jest tam nawet podsłuch. A sposób, w jaki Paolo zagrał

niezorientowanego, kiedyśmy szukali wejścia do mieszkania Marleny, to był

majsterszyk aktorstwa. Takiego brata można tylko pogratulować!

- Jak możesz być tak niesprawiedliwy - Caterina zacisnęła pięści, i Nie obciążaj mnie tym, że mój brat zszedł na złą drogę.

- Tak, twój braciszek, który tak mnie lubił. Bo tak mówiłaś, prawda? - Malberg był jak w delirium. Złościła go myśl, że Caterina mogła go °szukiwać. - Dzielisz z bratem swoje mieszkanie, żyjecie razem jak mał

-

żeństwo, a ty chcesz udawać, że o niczym nie wiedziałaś? I ja mam w to wierzyć? Chyba za wiele ode mnie wymagasz.

- Lukas, proszę, uwierz mi!

- Chętnie bym uwierzył. Ale nie mogę. Rozczarowałaś mnie. Szkoda Ja w każdym razie miałem uczciwe zamiary.

„Ja też” — chciała powiedzieć Caterina, ale już nie zdążyła. Lukas Malberg odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem oddalił się w kierunku Campo Dei Fiori.

Gnany strachem, Malberg zaczął biec. Był zdruzgotany, a im bardziej się oddalał od Piazza Farnese, tym bardziej gmatwały się jego myśli. Przechodniów odsuwał na bok, co pięćdziesiąt metrów przebiegał na drugą stronę ulicy, stawał, oglądał się za siebie, czy nikt go nie śledzi, to przyśpieszał kroku, to zwalniał. Co robić? - kołatało mu w głowie.

A gdyby się poddać?

Jakby z oddali do Malberga dotarł jego głos wewnętrzny, delikatny, niepewny głosik: a gdyby się poddać?

Nie, nie zamordował Marleny! Ale czy zdoła tego dowieść? Albo inaczej: czy można jemu czegoś dowieść? Zapewne mieszkanie Marleny było pełne jego odcisków palców. I był tym, z kim Marlena miała się spotkać. Był tym, który nie

zawiadomił policji, kiedy znalazł ciało. Malbergowi po plecach spływał zimny pot. O czym wiedzieli ludzie, którzy rzeczywiście zamordowali Marlenę? Czy poszukiwali go, żeby go uciszyć?

Malberg w panice biegł małymi uliczkami. Raptem wyłoniła się przed nim Via Luca. Kiedy w polu widzenia znalazł się pensjonat signory Pap-peritz, zrozumiał, po co tu przybiegł. Koło południa w pensjonacie było spokojnie. Malberg pośpiesznie wbiegł po schodkach. Przed drzwiami na chwilę stanął i wziął parę głębokich oddechów, żeby ochłonać. Potem nacisnął guzik dzwonka.

Otworzyła pokojówka, uprzejmie się przywitała. Malberg odpowiedział równie uprzejmie. Na szczęście signory Papperitz nie było. Malberg zmusił się, żeby iść powoli długim korytarzem.

W pokoju pośpiesznie zgarnął wszystkie swoje rzeczy, zresztą dużo tego nie było, i wepchnął do brezentowej torby. Jeszcze raz szybko się rozejrzał. Następnie niezauważony opuścił pensjonat.

Jeszcze nigdy w życiu Malberg nie czuł się tak skołowany, tak bezradny, nie mając pomysłu, co ma dalej począć. Komu jeszcze mógł zaufać? Kto

ogł mu pomóc? Jak odurzony kroczył wzdłuż Tybru ulicą Lungotevere eiTebaldi, mostem Ponte Sisto przekroczył leniwą, zgniłozieloną rzekę, niewiele myśląc, skierował się na południe, na Zatybrze.

W barze z lustrzanymi ścianami bez krzeseł przeżuwał teraz kanapkę, żeby był głodny, ale żeby uspokoić żołądek. Popijał też caffè latte. Malberg zobaczył mężczyznę, który przyglądał mu się z lustra. Głę-ko osadzonymi oczami gapił się na niego. Rozczochrane włosy spadały u na twarz pooraną głębokimi zmarszczkami. Wyglądał na niezdrowego, ' zaszczuty i blady. „Przestań się tak durnowato gapić!" - miał ochotę zasnąć Malberg. Trwało dłuższą chwilę, zanim pojął, że to on, Lukas

alberg, jest tym gościem w lustrze, tym zmarnowanym, zmęczonym ty-m, przeciwko któremu chyba cały świat się sprzysiągł. Bez własnej winy ieszął się w sprawę, która go zupełnie zdruzgotała. - Chciałbym od-kać życie, które niegdyś było moje - mruknął niewyraźnie zrozpaczony alberg. Zabrzmiało to jak modlitwa. Wiatrak pod sufitem baru przyjemnie chłodził Malbergowi spocone sy. Chusteczką do nosa otarł sobie pot z karku. Na podłogę wypadł y tym skrawek gazety, którą od kilku dni nosił w kieszeni: „Giacopo rbieri" oraz siedmiocyfrowy numer telefonu.

-

Można zatelefonować? - zapytał Malberg łysego fornaio i położył ladzie monetę. Potem wybrał numer.

Barbieri zgłosił się zwyczajowym „Prontof

-

Mówi Malberg. Pamięta pan jeszcze, kim jestem?

- Ależ tak, signor Malberg. I tak miałem się z panem kontaktować, ym mogę służyć?

- Czy wolno mi zadać jedno pytanie? - Malberg zrobił przerwę na tanowienie. - W jakich stosunkach jest pan z Caterina Limą?

-

Nie rozumiem, signore.

-

Pytam, czy jest pan z Caterina bliżej zaprzyjaźniony? Czy raczej pan wobec tej signory jakieś zobowiązania?

-

Nic o tym nie wiem - odparł Barbieri bez wahania. - A dlaczego pyta?

-

Otóż jest tak. Mam poważne podstawy do przekonania, że Cateri-Lima gra

nieczysto. W każdym razie jej brat Paolo wziął pieniądze od oś, kto jest powiązany ze śmiercią Marleny Ammer.

-

Nie może być!

-

A jednak. Razem z Cateriną obserwowaliśmy, jak Paolo Lima przyjmował pieniądze. Caterina twierdzi, że nic o tym nie wiedziała. Jednak nie wierzę, żeby nie miała o niczym pojęcia, według mnie udaje.

Barbieri milczał przez chwilę. Wreszcie odparł: - Jest pan pewien? Znam Caterinę tylko na gruncie zawodowym, ale mam ją w pamięci jako bardzo uczciwą osobę, której oszustwa brata bardzo dawały się we znaki. Jednak to, o czym pan mówi, nie ma nic wspólnego z małymi szwindlami. Kiedy mnie prosiła, żebym miał pana na oku, chodziło o pana ochronę...

-

Proszę posłuchać. Nie mogę sobie pozwolić na żadne ryzyko! - przerwał

Barbieriemu Malberg. - Czy jest pan gotów mi pomóc?

- W każdej chwili.

- Pod jednym warunkiem! Caterina nie może się o tym dowiedzieć.

- Ma pan moje słowo, signore Malberg.

-

Zapewne wie pan, że z polecenia Paola ukrywałem się w pensjonacie przy Via Luca.

-

Coś słyszałem.

-

Zniknąłem stamtąd, bo musiałem założyć, że moja kryjówka została zdradzona.

Barbieri głośno oddychał. - W każdym razie był to dobry ruch na szachownicy.

- Teraz szukam innego kąta. Bez meldunku, rozumie się!

-

Hm... - zastanowił się Barbieri. - To nie będzie łatwe bez przekupienia

kolejnego wtajemniczonego. - Tu zamilkł na chwilę. - Ale gdyby zechciał się pan zadowolić klitką w kawalerce, to mógłbym zaproponować na razie jedno bezpieczne schronienie.

Lukas Malberg zechciał — i to jeszcze jak!

Niecałą godzinę potem Malberg naciskał na dzwonek z tabliczką G. Barbieri. Dom położony był przybocznej uliczce na tyłach protestanckiego cmentarza pomiędzy

Monte Testaccio a Piramidą Cestiusza. Jak większość domów w tej okolicy pamiętał

lepsze czasy. Jednak w tym momencie dla Malberga od nowoczesnego komfortu ważniejsze było to, że ma się gdzie ukryć.

- Mam nadzieję, że nie dzwonił pan do mnie z komórki! - przywitał go Giacomo Barbieri w drzwiach swojego mieszkania.

- Bez obaw - odparł Malberg. - Wziąłem sobie wtedy pańskie słowa bardzo do serca: żadnych hoteli, czeków, kart kredytowych, żadnych komórek.

-

r

- Dobrze - powiedział Barbieri i wprowadził Malberga do mieszka-fjjja - musi pan również unikać miejsc, które w pańskich dotychczasowych poszukiwaniach

odegrały jakąkolwiek rolę.

Malberg przytaknął, chociaż nie do końca rozumiał powody. Na pierwszy rzut oka mieszkanie Barbieri odpowiadało dokładnie modelowi kawalerskiego

gospodarstwa domowego. W kuchni 'piętrzyły się brudne naczynia z pięciu dni.

Barbieri zauważył spojrzenie Malberga i zaznaczył: - Proszę mi wybaczyć. Nie

byłem przygotowany na przyjmowanie gości. Czasem jest tu trochę bałaganu.

Koniec mojej kariery w policji kryminalnej oznaczał też koniec mojego

małżeństwa. Mówiąc szczerze, nie rozpaczam nad tym. A pan jest żonaty?

-Ja? Nie. W wieku lat dwudziestu dwóch byłem raz żonaty, w wieku idziestu pięciu

znów byłem wolny. Od tamtej pory jestem tym, kogo azywają zatwardziałym

kawalerem. Ale jeśli mogę być równie szczerzy :pan, to moje życie samotnika było jak

dotąd rezultatem raczej niewy-arzystanych możliwości niż efektem twardych zasad.

- A potem w pańskie życie wkroczyła Marlina Ammer i tu pana złało, mam rację?

- Jak pan na to wpadł?

-

Doświadczenie zawodowe - odpowiedział lapidarnie Barbieri. Malberg

uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Przyznaję, że przy na-

ym spotkaniu po latach Marlina wzbudziła we mnie dość intensywne zucia. Zgoda,

przyjechałem do Rzymu nie tylko w związku ze zbiorem siązek. Wyobraża pan sobie,

co się ze mną działo, kiedy znalazłem Mar-enę martwą w wannie?

Barbieri tylko pokiwał głową.

ikój, który Barbieri zaoferował Malbergowi, rzeczywiście był klitką jednym wąskim,

wysokim oknem. Widać było zieleń i było przyjem-chłodno. Na początek musiał

wystarczyć zwykły tapczan i szafa z lat -ścdziesiątych z płyty wiórowej. I chociaż to

skromne lokum było dale-? od komfortu, Malberg poczuł się jakoś lepiej.

Nie obyło się bez komicznej sceny, kiedy to Barbieri i Malberg wzięli ! za zmywanie naczyń z ostatnich pięciu dni. Gdy Malberg ścierką wysrał talerz, jakby chciał wygrać konkurs na najlepszą gospodynię, zapy

tał nagle: - Miał pan w rękach wyniki sekcji Marleny Ammer. Jakie pari odniósł wrażenie?

-

Szczerze mówiąc... - zaczął Barbieri. - Tak?

- Cóż, od samego początku podejrzewałem, że istnieją dwa protokoły sekcji różniące się treścią. Jeden prawdziwy, a drugi podrasowany. Coś takiego wymaga naturalnie sutej łapówki.

- Czy w trakcie swojej kariery trafiał pan częściej na takie rzeczy? - Malberg obserwował rozmówcę wzrokiem pełnym oczekiwania.

- Niezbyt często - odparł Barbieri - ale przypominam sobie jedną czy dwie sprawy...

- A jak do tego doszło?

Były policjant odwrócił się i zmieszany patrzył w bok. Wyglądało na to, że ma jakieś opory. Potem głośno odchrząknął i oświadczył: — W obu przypadkach za sprawą stała mafia.

- Mafia?

- Nie wyobraża pan sobie, w jaki sposób ukręcono sprawie łeb!

- Nie. Proszę powiedzieć.

- Prokurator, który zgłosił zastrzeżenia co do podejrzanego wyniku sekcji, został pozbawiony stanowiska i przepadł gdzieś na piemonckiej prowincji. Później nie

słyszało się już o nim.

- Ale nie jest pan do końca przekonany, że to mafia stoi za śmiercią Marleny Ammer?

- Nie daje mi spokoju myśl, że istnieją też pewne powiązania z Kurią. Niech się pan nie da zmylić. Ci, którzy w mafii pociągają za sznurki, mają genialną umiejętność inscenizowania pozornie niemożliwych powiązań. Przypomina mi się tu sprawa pewnego wybitnego lekarza. Ow profesor prowadził w Ostii instytut, gdzie między innymi robiono testy na obecność środków antydopingowych. Nikt nigdy nie ośmielił się renomowanego naukowca posądzić o nieuczciwość. Ale profesor miał pewną skrywaną namiętność, mianowicie do ruletki. Namiętność ta wpędziła go w ogromne długi. Pewnego dnia nieznajomy człowiek zaproponował mu, że spłaci te długi, o ile profesor podmieni próbki końskiego moczu po wyścigu. Potem funkcjonowało to z powodzeniem latarnij nie budząc niczyich podejrzeń. Nawet wtedy, kiedy nieoczekiwanie jakieś kulawe szkapy wygrywały wyścigi. Sprawa wyszła na jaw dopiero

-
edy, kiedy profesora wydała żona. Była to zemsta za to, że ją zdradzał akąś młodszą. Malberg pokręcił głową. Przeszłość go nauczyła, że życie pisze naj-'wacześniejsze historie. Ale żeby Marlenę wiązać z mafią, wydawało mu jednak absurdalne.

-
Caterina mi opowiadała - ciągnął Barbieri - że podczas sekretnego chówku ógnory Ammer zaobserwowaliście grupę eleganckich panów ranych na czarno...

-Jednym z nich był łysy sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga przerwał mu Malberg. - Co do tego nie ma wątpliwości.

-

No tak, ale to w żaden sposób nie wyklucza, że pozostali panowie jeżeli do tak zwanego „lepszego” towarzystwa. Proszę mnie dobrze zro-
ieć, absolutnie nie twierdzą, że signora była powiązana z kręgami ma-ymi. Chcę jedynie powiedzieć, że tego nie można wykluczyć.

-

To znaczy? - zapytał Malberg bezradnie.

Barbieri wzruszył ramionami. - Powinniśmy wspólnie usiąść i prze-'ć na papier wszystkie informacje, jakie pan dotychczas zebrał w tej wie. Jestem pewien, że jak dotąd pan wszystko tylko zapamiętuje: osoby, ejsca, wypowiedzi świadków i wyniki badań. Jednak ludzki mózg to nie mputer, pańska pamięć też, więc z całym szacunkiem: jak chce pan to ystko zapamiętać? Jako policjant kryminalny wiem z doświadczenia, że ogół do rozwiązania sprawy prowadzą drobiazgi. Drobiazgi, które umysł owieka dawno odłożył na bok i tym sposobem o nich zapomniał. Malberg przytaknął. -Tym, co powoduje, że ta sprawa jest taka trud-jest kłopot ze znalezieniem w tym wszystkim logiki.

ROZDZIAŁ 29

M

arkiza Falconieri z więzienia dla kobiet Santa Maddalena ponuro wpatrywała się w zamglone poranne słońce. Miała na sobie szare więzienne ubranie, którym zastąpiono jej własne. Płócienna kurtka wisiała na niej, a spódnica była połatana, jakby należała do jakiejś chłopki z Apulii. Włosy związała z tyłu, zaś urok, którym wcześniej emanowała jej twarz, skrył się pod wyrazem goryczki.

Zgodnie z poradą obrońcy z urzędu, Lorenza Falconieri w pełni przyznała się do winy: Tak, wiedziała o oszustwach swojego męża i po jego śmierci próbowała kradzione rzeczy sprzedać.

Na drugiej rozprawie adwokatowi udało się przekonać sędziego, że nie ma niebezpieczeństwa ucieczki. W efekcie sąd ją uwolnił, z nakazem meldowania się co tydzień w najbliższej jednostce policji.

Teraz z torbą z własnymi rzeczami w ręce, czekała na taksówkę zamówioną przez administrację więzienia. Markiza czuła się w swojej skórze nie najlepiej, zdana na łaskę i w pewien sposób schwyтана, złapana w sidła własnej nieuczciwej przeszłości.

I chociaż - przynajmniej przejściowo - była wolna, miała wrażenie, że wciąż spogląda przez zakratowane okienko swojej celi.

Kiedy taksówkarz wreszcie przyjechał, uśmiechnął się prowokacyjnie' Lorenza Falconieri zignorowała tę bezczelność i zażyczyła sobie kurs na Via dei Coronari. I tak żaden taksówkarz w Rzymie nie znał małej bocznej uliczki, przy której stał jej dom.

Pierwsze kilometry jazdy przebiegły w milczeniu. Markiza żałowała) że usiadła z przodu, bo facet bez przerwy patrzył w bok.

-

Powinien pan raczej uważać na drogę — upomniała go. -Jasne, signora - odparł taksówkarz z przesadną uprzejmością. Rów-

nocześnie poczuł się ośmielony na tyle, żeby zapytać: - Długo? - po czym ów prowokacyjnie się uśmiechnął.

-

Co znaczy: długo?

Kierowca kciukiem pokazał za siebie: - Pytam, ile musiała pani od-edzieć w Santa Maddalena?

-

Doprawdy, nie panu do tego! - odparła zirytowana markiza. - Po to panu

wiedzieć?

Taksówkarz wzruszył ramionami: - Tak tylko! Miałem raz klientkę, signorę w średnim wieku, o miłej powierzchowności, która właśnie wyszła i Santa Maddalena.

Kiedy spytałem dokąd, powiedziała: „Wszystko jedno dokąd. Niczego nie widziałam od piętnasto lat”. Piętnaście lat, proszę sobie wyobrazić! Na jazdę ze mną wydała niemal wszystkie pieniądze, które zarobiła w więzieniu. Kiedy wysiadała, robił się

już wieczór, a ja nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zapytać, za co tak długo siedziała. Wie pani za co, signora? Zastrzeliła swoją rywalkę. I powiedziała, że natychmiast zrobiłaby to jeszcze raz. Cieszyłem się, że już wysiada.

-

Pod tym względem nie musi się pan mnie obawiać - oświadczyła oschle

Lorenza Falconieri. - Miałam tę przyjemność tylko przez dwa tygodnie, a poza tym nikogo nie zabiłam.

-Tylko dwa tygodnie... - Głos taksówkarza wyrażał niemal rozczarowanie. -

Widocznie miała pani cholernie dobrego adwokata. Markiza przytaknęła. Nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy.

-

Czy ktoś na panią czeka? - przerwał długie milczenie kierowca. Lorenza nie odpowiedziała i obojętnie patrzyła za okno.

- Pytam tylko dlatego, że od Santa Maddalena jedzie za nami czarny mercedes. Ale może to przypadek.

- Też tak myślę - rzuciła markiza nerwowo. Któż miałby na nią czekać czy wręcz śledzić, skoro sama dopiero wczesnym rankiem dowiedzia-:a się, że wychodzi?

Kiedy taksówka skręciła w Via Dei Coronari, markiza wyjęła z kieszeni

dwadzieścia euro i podała taksówkarzowi: - Reszta dla pana. Gdyby Pan zechciał mnie wysadzić tam na rogu...

Markiza wysiadła i weszła w małą uliczkę pełną podniszczonych bu-ynków. Koło południa lewa strona ulicy, po której znajdował się jej dom,

?

była zacieniona. Lorenza Falconieri z przyjemnością szła w chłodnym cieniu. W marszu gmerała w torbie, aby znaleźć klucz, gdy przeraził j przenikliwy odgłos klaksonu.

ROZDZIAŁ 30

Odwróciła się i zobaczyła oślepiający błysk. Pochodził z bocznego, okna ciemnej limuzyny. Nie było żadnego huk. W każdym razie marki za nic nie usłyszała.

Poczuła tylko potężne uderzenie w lewą pierś. Ude rzenie było tak silne, że zaparło jej dech. Starła się złapać powietrze. N próżno. Wysiętek spowodował, że z lewej strony ciała, tam gdzie bije sen wypłynął potok ciepłej krwi i nasączył ubranie.

Dopiero teraz - po kilku sekundach, kiedy samochód, z którego poche dził błysk, ruszył do ucieczki - markiza uświadomiła sobie, że ktoś do ni strzelił. Nie czuła bólu.

Szok, powiadają, tłumi wszelkie odczucie bólu.

Czyżby właśnie teraz miała umrzeć? Przecież postrzał w samo ser)ronto!

na pewno jest śmiertelny. Umieranie, jak sobie zawsze wyobrażała, md Caterina, zaspana, złapała za słuchawk D '

boleć. Gdzie jest ból?

I innymi ptaszkami i dzwonienie do kogoś o oWj ran?Tw *

Zamiast bólu przyszło otępienie. Wszystkie dźwięki znikły, pozostajku niemal

obelga. A po wczorajszej sprzeczce z Malber - ł °

jedynie chrapliwe rżenie, spowodowane nierównym oddechem. zmrużyła oka.

giem całą noc

Lorenza Falconieri zauważyła, że ugięły się pod nią kolana, i że zn - Nazywam się

Mesomedes, dottore Achille Mesomede

łała się przy krawężniku na czworakach jak pies. Do głowy przysły y Roma uno.

es'z ProJcura~

różne drobiazgi. Czy zapłaciła za telefon, czy ma na sobie czystą bielizni -1 żeby mi o tym powiedzieć
dzwoni pan w środk ?

i któż to odkręcił przy drzwiach tabliczkę z jej nazwiskiem. Dłużej riterina z

niechęcią. SrŪ noc^' odparła

wytrzymała, przewróciła się na bok i tak leżała na plecach z podkurcz< - Proszę mi

wybaczyć, signora Lima mo ę zadzwo

nymi nogami. Z ust płynęła jej krew. I - Nie, proszę zaczekać! O co chodzi?

P°Zmej'

Markiza wpatrywała się w niebo.

- O sprawę Marleny Ammer

Czy pani mnie słyszy? - pojawiła się twarz, której nie znała. Nagle Caterina była całkiem obudzona -
Amiom

„Tak"- odparła markiza. Ale tej odpowiedzi nie było. - Czy pani mnie słyszy? - i

znowu: - Czy pani mnie słyszy?

- Przejrzałem raz jeszcze akta sprawy - mówił prokurat

or - i muszę

rj" """"AĄW rzycichł zrobił się prawie niesłyszalny. Naldedzieć, że jest tu cały szereg niejasności.
Powiedziałbym wręcz, że stan

Potem głos się od a i , przy , wcześniej nie przeżyła. i akt budzi więcej pytań niż daje odpowiedzi.
Między innymi natrafiłem

zrobiło się cicho. Nastąpiła cisza, jakiej mg y

^ czasopiśmie na który pani

podpisała jako dziennikarka śled-

Chciałbym z panią przeprowadzić choćby krótką rozmowę. Mam za-r wznowić tę sprawę, dlatego każda informacja jest dla mnie istotna. - Ma pan odwagę, dottore Mesomedes! O ile wiem, sprawa Marle-mimer została umorzona pomimo licznych pytań i niespójności. Jak puszczam, na polecenie wyższych władz. Sądzi pan, że zdoła cośjesz-fcdziałać?

^ co Ja mam z tym wspol-

- Wierzę w sprawiedliwość, signora Lima, i to jest mój pierwszy obowiązek jako prokuratora!

- Miejmy nadzieję, że nie ostatni - wyrwało się Caterinie.

- Jak pani to rozumie?

- Widzi pan - Caterina zrobiła przerwę, bo musiała naprawdę ważyć każde słowo - wszyscy, którzy dotychczas zajmowali się tą sprawą, trafiali na mur. Albo ich szpiegowano. Albo...

-Albo?

- Albo skłaniano ich, przypuszczalnie za pieniądze, do zaprzestania poszukiwań.

- A pani?

- Nie, mnie nie proponowano pieniędzy. Ale przesunięto mnie do innego działu. I w ten sposób odsunięto mnie od sprawy.

- Ciekawe! - stwierdził Mesomedes. - Naprawdę ciekawe.

- Skoro tak pan to nazywają powiedziałabym raczej, że tajemnicze. Bardzo tajemnicze!

Nagle Caterinie przyszło do głowy, że może prokurator chce z niej coś wydobyć na

temat Malberga. Nie zdążyła jeszcze sobie tej myśli ułożyć w głowie, gdy

Mesomedes jakoś tak mimochodem zagadnął: - Ale poznała pani tego antykwariusza

Malberga, który nadal jest poszukiwany? Może wie pani, gdzie przebywa?

Caterina aż się wzdrygnęła. Co wiedział ten Mesomedes? Czy to była pułapka?

Nawet gdyby chciała, nie mogła powiedzieć, gdzie jest w danej chwili Malberg.

Kiedy próbowała dotrzeć do niego w pensjonacie, tam już go nie było. Również

Paolo się dotąd nie pokazał.

- Signora Lima, jest tam pani jeszcze? - W głosie prokuratora brzmiał chłód i

żądanie: - Pytałem, czy zna pani miejsce pobytu tego Malberga.

- Malberga? Nie. Skąd panu to przyszło do głowy?

- Wspomina pani o nim w swoim artykule.

-Tak, przypominam sobie - Caterina udawała, że nic nie wie. - A właściwie

dlaczego jest poszukiwany?

-

Zgodnie z moimi informacjami ten Malberg był przypuszczalnie ostatnią

osobą, która widziała Marlenę Ammer przy życiu. W każdym razie rozmawiał z nią przez telefon krótko przed jej śmiercią. Wykazały to bilingi.

-

Ach tak! Uważacie go za mordercę?

f

- Ujmę to tak: Malberg jest o to podejrzany. Już sam fakt, że się ukrył, i czyli

teś° czl°wieka bardzo podejrzanym.

-

A pomyślał pan o tym, że może po prostu wyjechał gdzieś w ta-t jemnicy?

Chodzi mi o to, że może wcale nie wiedział, że jest poszukiwany. Być może jest teraz

w drodze do Anglii albo Stanów, żeby dokonać nowych zakupów?

-

Możliwe, ale mało prawdopodobne. Śledztwo w Niemczech wykazało

bowiem, że nawet jego pracownicy nie wiedzą, gdzie teraz przebywa. Nadal

podejrzewam, że wciąż kręci się tu po Rzymie. - Zawiesił głos na

f chwilę. - Czy byłaby pani skłonna spotkać się ze mną?

- Czy to jest wezwanie?

- W żadnym razie. Proszę o to.

- Niech będzie, skoro liczy pan, że coś to panu da.

- Kiedy by pani odpowiadało, signora?

- Dzisiaj po pracy około osiemnastej.

- Dobrze. A gdzie?

- Czy zna pan kafejkę przy Via Marsala, naprzeciw bocznego wyjścia ze Stazione

Termini?

- Nie znam, ale znajdę. Godzina osiemnasta. Dziękuję, signora.

? Kiedy Caterina po wyjściu z redakcji dotarła do kafejki, Mesomedes już czekał. Był

młody, nawet bardzo młody jak na prokuratora. Swoje stanowisko starał się

potwierdzić odpowiednim uczesaniem, szarą dwurzędówką i wypucowanymi,

sznurowanymi butami. Facet niekoniecznie w jej typie, ale Caterina nie miała

przecież za niego wychodzić za mąż.

- Powiem pani prawdę - zaczął rozmowę Mesomedes, gdy usiedli w głębi lokalu. -

Działam tu na własną rękę. Jak pani bowiem słusznie zauważyła, sprawa Marleny Ammer oficjalnie jest już zamknięta. Jednak dla młodego prokuratora jedyną szansą

na zrobienie kariery jest udane przeprowadzenie jakiejś spektakularnej sprawy. A że

przy mojej normalnej pracy jest to nie bardzo możliwe, wpadłem na pomysł, żeby

efektownie wznowić jakąś umorzoną sprawę. Akurat napatoczyła się sprawa Marleny Ammer.

- Ach, tak - zdziwiła się Caterina. Dzięki temu, że był taki szczery, stał się niemal sympatyczny. A swoją gotowość pomocy uzależniała Caterina właśnie od tego, czy facet będzie sympatyczny. Na taką okazję miała asa w rękawie. - Czym więc mogę służyć? - zagadnęła w końcu.

-

Mesomedes otworzył swoją staromodną teczkę, którą wcześniej kurczowo trzymał pod stołem między kolanami, i teraz podniecony grzebał między dokumentami.

Znalazłszy wreszcie to, czego szukał, stwierdził; - Czytając pani artykuł w Guardianie, odnosi się wrażenie, jakby o sprawie Marleny Ammer wiedziała pani o wiele więcej niż jest w tej publikacji.

-

Pana wrażenie jest trafne, dottore\ - odparła Caterina chłodno.

- Jest tu pewien trop, który, o ile mógłbym go zweryfikować, prowadzi w zupełnie innym kierunku. Nie udawajmy: oboje nie wierzymy w to, że Marlena Ammer utopiła się we własnej wannie. To zaś, że signorę zabił antykwariusz Malberg, jest tylko domniemaniem opartym na fakcie, że zniknął zaraz po śmierci Marleny Ammer. Żaden jako taki adwokat nie miałby problemu z wycofaniem nakazu aresztowania. Materiał dowodowy jest po prostu za słaby.

- Dlaczego pan po prostu z własnej inicjatywy nie wycofa tego nakazu aresztowania? Wtedy Malberg nie miałby się czego obawiać, a może nawet mógłby pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy?

Mesomedes westchnął głęboko. - Widzi pani, signora, nasz wymiar

sprawiedliwości jest jak gnuśna, stara dama: nieruchawy i w pretensjach. Chce, żeby go wciąż proszono i składano jakieś podania. Wystawienie nakazu aresztowania jest dość proste, za to wycofanie go to zawiła procedura.

-

A mówił pan, że wierzy w sprawiedliwość!

-

Sprawiedliwi muszą wiele wycierpieć. Już Psalmy o tym piszą. Ale do rzeczy!

- Mesomedes wyłożył na stolik kolejne kartki A4. - Oto kopia protokołu sekcji w sprawie Ammer. Jak pani wie, patolog Martino Weber ustalił, że Marlana Ammer zmarła poprzez utonięcie w wannie. Trzeba przyznać, że takie rzeczy się zdarzają, i to nierzadko, przede wszystkim, gdy w grę wchodzi alkohol. Ale o nim w protokole Instytutu Medycyny Sądowej nie ma mowy. Protokół wspomina za to o wybroczynach w obszarze ramion i klatki piersiowej. Można więc przyjąć, że signora była siłą trzymana pod wodą i broniła się. Jednak najciekawsze były uwagi o śladach substancji zapachowych na szlafroku signory: żywica olibanowa, żywica benzoesowa, żywiczny wysięk ambrowca, balsam peruwiański i cynamon.

-

Cynamon, no, no - powtórzyła Caterina z przekąsem.

Młody prokurator nie dał się zbić z tropu: - Składniki te były (Ci równie nieznane jak pani. Zasięgnąłem więc informacji w Instytucie Chemicznym Kryminologii.

Wynik panią zaskoczy: olibanum, benzoes, wy'

sięk ambrowca i balsam peruwiański to żywice stosowane do produkcji kadzideł.

-

Kadzideł? - Na twarzy Cateriny odmalowało się niedowierzenie.

-
Ale to jeszcze nie wszystko - ciągnął Mesomedes. - Żywica benzoesowa i

balsam peruwiański są niezwykle rzadkie i dlatego niesłychanie drogie. Benzoesy syjamski i sumatrzański składają się głównie z estru kwasu benzoesowego alkoholu koniferylowego. W małych ilościach zawierają także wanilinę i stosuje się do produkcji ekskluzywnych perfum. Jeszcze cenniejszy jest balsam peruwiański. Tę żywicę dodaje się przede wszystkim do ciężkich perfum orientalnych. Obie żywice są więc zbyt cenne, by je

używać w kadzidle. Na świecie istnieje tylko jeden jedyny producent, który sprzedaje kadzidła o takim właśnie składzie. Podobno cena wynosi pięćset euro za gram. Jego siedziba znajduje się w Lombardii i ma tylko jednego odbiorcę. Jest nim Watykan.

Caterina oddychała z trudem. Przez głowę przelatywały jej tysiące myśli. Już chciała odruchowo sięgnąć do torebki. Jednak podniecenie trwało tylko kilka sekund i zaraz wzięła się w garść. - Miałabym coś do powiedzenia w tej sprawie - oświadczyła z udawanym spokojem. - Jednak...

• Nie będzie pani na tym stracona, signora - Mesomedes odczytał wahanie Cateriny.

- O ile dobrze panią zrozumiałem, zależy pani na wycofaniu nakazu aresztowania tego Malberga?

-
Skąd panu to przyszło do głowy?

-
Widzi pani, na tym właśnie polega moja praca, żeby wiedzieć, co trawie piszczy. Byłbym marnym prokuratorem, gdybym nie wyciągał liosków z pozornie nieistotnych przesłanek.

Caterina niespokojnie wierciła się na krześle. To także oczywiście nie szło uwagi

Mesomedesa.

-

Nie chcę pani niczego obiecywać - ciągnął - ale jeśli sprawa przy-ierze nowy obrót, to zapewniam panią, że wystąpię o wycofanie nakazu resztowania Malberga.

-

Trzymam pana za słowo - odparła Caterina. Badawczo przyjrza-się prokuratorowi. Przez chwilę wahała się, czy nie zmienić zamiarów.

Totem z torby wyciągnęła kopertę i podała Mesomedesowi. Ten spojrzał pytająco. Caterina milczała. Gestem pokazała, że ma otworzyć kopertę. W koń-prokurator poddał się jej sugestii.

Wyjął cztery fotografie w formacie trzynaście na osiemnaście oraz ksero jakiegoś wycinka z gazety. Nieco niezdarnie porozkładał zawartość koperty przed sobą.

Wycinek z gazety dotyczył wypadku sekretarza starm Philippo Gonzagi i było tam też zdjęcie kardynała.

- A te fotografie? Co one mają oznaczać? - Potrząsnął głową } A.T. somedes.

- Są to zdjęcia, które zrobiłam na pogrzebie Marleny Ammer. Być może rozpoznaje pan tego łysego mężczyznę w czarnym garniturze. Zwykle chodzi w jaskrawej purpurze.

-

Gonzaga! - wykrzyknął zdumiony prokurator.

-1 tutaj, tu też, i tu! - Caterina pokazywała kolejne fotografie: - Sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga.

Mesomedes przestudiował zdjęcia krytycznym okiem. Wreszcie oświadczył: - Ma pani rację, signora Lima. I jest pani pewna, że te fotografie zostały zrobione na pogrzebie Marleny Ammer?

-
Absolutnie pewna.

-
Dziwna rzecz, ale w aktach sprawy nie ma nawet słowa o tym pochówku.

- Bardzo bym się zdziwiła, gdyby było.

- Ale skąd pani wiedziała...

-
Dziennikarze mają źródła informacji, o których prokuratorzy mogą sobie tylko pomarzyć. A pan wie, że zgodnie z prawem prasowym nie może mnie pan zmusić do wskazania moich informatorów.

-
Wiem, signora. I wiem, że pani wie.

Caterina uśmiechnęła się z wyższością. - Ale gdyby potrzeba było jeszcze innego dowodu, to proszę posłuchać tego. Gdy zrobiłam te zdjęcia, podszedł do mnie pewien człowiek. Zażądał karty pamięci z mojego aparatu, a przyjął przy tym tak groźną postawę, że musiałam spełnić jego żądanie dobrowolnie lub pod przymusem.

Otwarłam aparat; ale zamiast karty pamięci wręczyłam mu kartę z programem. Stara dziennikarska sztuczka.

Mesomedes wysunął dolną wargę do przodu, co miało wyrażać podziw dla Cateriny. - To rzuca nowe światło na tę tajemniczą sprawę. A kiedy przypominam sobie opis wypadku sekretarza stanu, teraz widzę tego Gon-zagę zupełnie innymi oczami. Dlaczego kardynał Kurii jeździ po Rzymie prywatnym samochodem własnego szofera, ze stu tysiącami dolarów w plastikowej torbie? Na pewno nie po to, żeby te pieniądze rozdać ubogim.

_ Nie, też nie bardzo to sobie wyobrażam.

- A tego Malberga nie widać na zdjęciach?

- Malberga? Czemu akurat Malberga?

- Cóż, możliwe, że istnieją jakieś powiązania między Malbergiem ? Kurią- •

Caterina się przeraziła. - Nie może być - mruknęła bez zastanowienia. - Skąd panu

to przyszło do głowy, dottore Mesomedes? Uważam Malberga za przyzwoitego

człowieka, który został wciągnięty w sprawę przez fatalny splot okoliczności. Żeby jednak odpowiedzieć na pańskie pytanie: nie, na tych zdjęciach nie ma Malberga.

-

Co jednak nie musi oznaczać, że z odległości nie uczestniczył w wydarzeniu.

Caterinę oblał zimny pot. Nie wiedziała, jak oceniać tego młodego Achille

Mesomedesa. Albo był znacznie bardziej wyrafinowany, niż się wydawało, albo

rzeczywiście był tak naiwny, jak wyglądał, ale posiadał instynkt charakterystyczny

dla dobrego prokuratora. Wydawało jej się, że Mesomedes chce ją zapędzić w kozi

róg. Czyżby wiedział więcej? A może już od dawna była pod jego obserwacją?

Mesomedes podparł głowę rękami i wielokrotnie przebiegał wzrokiem fotografie,

które leżały przed nim na stoliku. Nie podnosząc wzroku, stwierdził w końcu: - Teraz

nabierają sensu ślady kadzidła na ubraniu signory. Ze jednak w sprawie Ammer trop

prowadzi do Watykanu, to dziwne. W każdym razie pociąga to za sobą pewne

komplikacje natury prawnej. Zgodnie bowiem z obowiązującym prawem, Watykan,

najmniejsze państwo świata na czterdziestu czterech hektarach, jest eksterytorialny,

czyli nie podlega prawu Włoch. Jednak w przeszłości największe zbrodnie sądzono

zawsze według prawa włoskiego. Zapewne zdaje sobie pani sprawę, że niezbyt często

do tego dochodzi.

-

Szczególnie, gdy chodzi o kardynała!

-

O ile mnie pamięć nie myli, ostatnio coś takiego zdarzyło się w okresie Renesansu. Jednak wtedy Włochyjeszcze nie istniały, przynajmniej nie W postaci dzisiejszego państwa. Zresztą trop zbrodni, prowadzący do Watykanu, niekoniecznie musi się kończyć w mieszkaniu kardynała.

Caterina przytakująco pokiwała głową, choć nie wszystkimi swoimi myślami się dzieliła. Rozmowa stopniowo stawała się dla niej coraz bardziej nieprzyjemna i Caterina gorączkowo kombinowała, jak zakończyć to spotkanie.

Prokurator podniósł wzrok. Wydawało się, że odgadywał jej myśl W każdym razie zmieszała się, gdy Mesomedes powiedział: - Zapew ne ma pani za sobą ciężki dzień. Nie chcę już pani dłużej zatrzymywać A przy okazji, czy słyszała pani o tragicznej śmierci markizy Falconierp Wspominała pani o tej damie w swoim artykule!

- Markiza nie...

- Nie żyje! Zastrzelona. Krótko po wyjściu z aresztu śledczego.

- Ależ to niemożliwe!

- W tym kraju wiele rzeczy jest możliwych, signora Lima. Caterina przełknęła ślinę. -

A sprawca?

-

Kolega z prokuratury wszczął postępowanie - Mesomedes wzruszył ramionami.

-

Kiedy to się stało?

- Dzisiaj koło południa. Przed jej domem. To zabójstwo nosi znamiona typowe dla mafii. Świadkowie podobno widzieli, jak oddano do markizy strzał z samochodu. Policja znalazła ją w wielkiej kałuży krwi. Wiadomo powszechnie, że tak się działo w Neapolu.

- Ale to by oznaczało, że również mafia jest zamieszana w sprawę Marleny

Ammer. W końcu markiza przyjaźniła się z Marleną Ammer!

- Uważam za mało prawdopodobne, żeby miało to coś wspólnego ze sprawą

Ammer. Sądzę raczej, że motywu zbrodni należy szukać w dokonywanych na wielką skalę oszustwach markizy. W tych sprawach z mafią nie ma żartów.

Prokurator mówił w taki sposób, jakby już chciał sprawę odłożyć ad acta. Miał z góry ustalony pogląd i w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany powiązaniem z sobą śmierci Lorenzy Falconieri i zabójstwa Marleny.

Caterinę ponownie naszły wątpliwości co do rzeczywistych intencji młodego prokuratora. Gdyby traktował serio swój zamiar wyjaśnienia śmierci Marleny, nie powinien tak po prostu odkładać zabójstwa markizy na bok jako kolejnego czynu mafii. Większości morderstw mafijnych nigdy nie wyjaśniono. Nagle Caterinie przypomniała się ostatnia rozmowa z Lorenza Falconieri. W szczególności zagadkowe wskazanie fragmentu Apokalipsy.

-

Czy jest pan, że się tak wyrażę, obeznany z Biblią, dottore Mesomedes? -

Caterina przerwała długie milczenie.

- Obeznany z Biblią} Jak mam rozumieć to pytanie?

- Czy zna pan Objawienie świętego Jana?

Mesomedes zaśmiał się zakłopotany. — Dlaczego pani mnie o to [pyta?

-
Tak tylko - Caterinie wydało się rozsądne, aby przemilczeć swoją wizytę w więzieniu. Absolutnie nie była zainteresowana tym, żeby jej na-Lvisko pojawiło się w jakichś aktach śledztwa.

Prokurator spojrział na zegarek. - I tak już dość długo panią zatrzymałem. Ale bardzo mi pani pomogła. Chętnie zostawiłbym sobie te fotografie. Czy mogę dzwonić, gdybym miał jeszcze jakieś pytania?

-
Oczywiście - odparła Caterina i wstała. Była zadowolona, że pozbyła się faceta.

ROZDZIAŁ 31

J

ak w każdy pierwszy czwartek miesiąca, około dziewiętej trzydzieści rano sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga wyjeżdżał z Watykanu na tylnym siedzeniu służbowego granatowego mercedesa 500 S. I jak w każdy pierwszy czwartek miesiąca limuzyna skierowała się ku Cortile di San Damaso. Celem był Pałac Kwirynalski, siedziba prezydenta Włoch.

Przeważnie prowadził Alberto, kierowca kardynała, jadąc zawsze tą samą trasą, jednak tym razem za kierownicą siedział Soffici. Przejechał mostem Vittorio Emanuele i wjechał w aleję o tej samej nazwie, kierując się na wschód.

Godzinna rozmowa z prezydentem państwa była stałym elementem organizacyjnym, a służyła przede wszystkim informacji i koordynacji planów państwowych. Tak było też tamtego czwartku.

Jak zwykle dialog pomiędzy prezydentem i sekretarzem stanu przebiegł sztywno i

bez nowej wiedzy dla żadnej ze stron. Ale konwencji stało się zadość.

Kiedy Gonzaga dokładnie sześćdziesiąt minut później udawał się w drogę powrotną i Soffici ciężkim mercedesem przejeżdżał przez wysoką bramę wjazdową

Kwirynału, kardynał zaproponował swojemu sekretarzowi, żeby pojechał drogą

okrężną przez Trinit? Dei Monti, koło kościoła u szczytu Schodów Hiszpańskich, o którym mało kto wie, że został wzniesiony przez Francuzów. Takie objazdy nie były

niczym niezwykłym i nawet nie zwracały niczyjej uwagi, gdyż kardynał podczas tych wycieczek widokowych chował się za przyciemnionymi szybami.

Kiedy w odległości kilku kroków od kościoła San Giacomo samochód skręcił w wąską Via Canova, drogę zajechało im dwoje ludzi na motocyklu.

Wyciecznik wstecznym lusterku Soffici dostrzegł jeszcze jeden motocykl. Zanim zdążył zareagować i zablokować drzwi, ubrani w czarne skóry pasażerowie motocykli zeskoczyli z tylnych siodełek. Jeden z nich szarpnięciem

otworzył przednie drzwi od strony kierowcy, drugi tylne. Soffici jak

zahipnotyzowany patrzył na strzykawkę, którą człowiek w skórze groźnie do niego przystawiał. Potem nastąpiło ukłucie w szyję i po chwili Soffici stracił przytomność.

Kardynał szarpał się, zauważywszy, że grozi mu ten sam los. Jednak człowiek w

czerni był szybszy i wprawnym ruchem zrobił zastrzyk w miejsce, gdzie szyja

przechodzi w kark. Gonzaga miał uczucie, jakby jego ciało w ciągu paru sekund

zamieniło się w lód. To nieznanne wcześniej wrażenie ograniczyło zdolność

odczuwania bólu, zdolność do zebrania jakichkolwiek myśli. Wszystko wokół niego

zrobiło się zimne i puste jak przestrzeń kosmiczna.

Żaden przechodzień nie zauważył napadu. Człowiek w skórze, który zrobił

zastrzyk niezdolnemu do obrony kierowcy, przepchnął Sofficiego na siedzenie obok i

sam zajął miejsce za kierownicą. Drugi człowiek w czerni przesunął kardynała na

drugą stronę i usiadł obok niego. Następnie gra-

Bnatowy samochód ruszył gwałtownie na północ. Obaj motocykliści odjechali w przeciwnym kierunku.

Gonzadze świadomość wracała zimnymi jak lód falami. Wracała, znikła ?i znów wracała. Kardynał marzył i bolały go ręce, jakby tysiąc razy celebrował Dominus vobiscum. Równocześnie zauważył, że cały dygocze. Długo trwało, zanim doszedł przyczyny tego stanu. Bardziej bowiem niż drzenie ?niepokoiło go otoczenie, w

którym się znajdował. Łysy Philippo Gonza-Iga wisiał ze związanymi rękami na haku rzeźniczym. Jedyne stopy z naj-I większym trudem znajdowały oparcie na

płaskiej cementowej podłodze. Po jego prawej i lewej stronie na takich samych hakach kołysały się półtusze wieprzowe. Pachniało zakrzepłą krwią. A chłód w tym pomieszczeniu powodował, że każdy wydech był widoczny, jak podczas zimowej prze-[chadzki po Górach Albańskich. Neonowe oświetlenie nadawało mięsu, które tonami wisiało pod niskim stropem, okrutny blask.

Gonzaga bezradnie szarpał się na rzeźniczym haku, do którego był przywiązany.

Było to bolesne, gdyż plastikowe sznury przy każdym ruchu jeszcze głębiej wżynały się w ciało.

Trzęsąc się z zimna, Gonzaga starał się zebrać myśli. Udało się to je dynie z grubsza. Włączyła się lodowata dmuchawa i rozprzestrzeniła fa] zimna, która

wzmogła dygotanie. Gonzaga nie wiedział, jak długo już wis" w tej chłodni. Zaczęła go boleć głowa. Nie czuł rąk. Chłód pełzał mu p0 nogach, niczym oślizgłe macki

ośmiornicy.

Gonzaga zdołał uświadomić sobie tylko dwie myśli. Pierwsza: kto stoi za tym

napadem? Oraz - po pewnym czasie - druga: nie zabijają, bo po co w wysyłanie* kogoś

na tamten świat wkładaliby tyle wysiłku?

Z głośnika zamontowanego gdzieś pod stropem chłodni do Gonzagi dotarł trzask i zaraz potem rozległ się zniekształcony męski głos: - Mam nadzieję, że uświadamia pan sobie swoje położenie, Gonzaga. Temperatura w pańskim więzieniu wynosi obecnie minus cztery stopnie. W ciągu najbliższych pięćdziesięciu minut temperatura spadnie do minus osiemnastu stopni. Obawiam się, że pana czarny garnitur nie jest odpowiednim odzieniem na taki ziąb.

-
Proszę posłuchać - odpowiedział kardynał, a jego głos zabrzmiał jakby z pustego wiadra. - Nie wiem, kim pan jest i co pan zamierza, ale jestem przekonany, że nie chce mnie pan zabić.

-Tego nie byłbym taki pewny - odparł głos z głośnika. Gonzaga miał wrażenie, że już gdzieś słyszał tę intonację z wyraźnym naciskiem na samogłoski. Ale gdzie?

- Po trzydziestu minutach w minus osiemnastu stopniach - ciągnął głos — pańskie tętno tak się spowolni, że straci pan przytomność. Po kolejnych dwudziestu minutach ustanie akcja serca. W ciągu dwóch do trzech tygodni pańskie ciało wraz innymi półtuszami zostanie przewiezione do kombinatu rzeźniczego Civitavecchia w celu dalszej obróbki. Proszę się więc zastanowić, czy chce pan tu zgrywać bohatera.

- Czego pan chce? - spytał Gonzaga drżącym głosem. - No, gadaj pan!

- Ca - łun - tu - ryń - ski! - głośnik zaakcentował każdą sylabę z osobna.

- Nie ma takiej możliwości.

- Jak pan to rozumie?

- Całun Pana naszego nie znajduje się już w Watykanie.

- Niech pan słucha uważnie, Gonzaga! - Ton głosu stał się ostrzejszy. - Nie rozmawiamy tu o kopii! Mówię o oryginale.

-
: - Oryginał znajduje się w Niemczech.

-Już nie, Gonzaga, już nie! I Na ile jeszcze zmrożone zwoje mózgowe w ogóle na to pozwalały, kardynała naszła myśl, że za tym porwaniem mogą stać jedynie Fideles fidei Flagrantes. Próbował sobie przypomnieć brzmienie głosu Aniceta. Jednak bezskutecznie. W końcu odezwał się: - Skąd ta pewność?

I - Gonzaga, powinien pan sobie postawić kilka pytań, a znajdą się odpowiedzi. Mam wrażenie, że lata w purpurze pozbawiły pana poczucia rzeczywistości. Zostało panu jeszcze jakieś osiemdziesiąt minut, nie więcej, ale też nie mniej. Osiemdziesiąt minut, które zdecydują o pańskim | życiu. Nie bardzo umiem sobie wyobrazić, żeby dążył pan do tego, aby się [znaleźć na stronach Martyrologium Romanum.

Gonzaga się zawahał. Czyżby to jednak był głos Aniceta? W każdym razie mówiący posługiwał się terminologią zdradzającą wykształcenie teologiczne.

Martyrologium, po raz pierwszy opublikowane pod koniec szesnastego wieku, wymienia wszystkich świętych uznanych przez Kościół oraz ich pamiętne czyny.

- Głęboko mrożony męczennik byłby w każdym razie czymś nowym! -jątrzył nieznajomy.

- Niechże pan przestanie! - zawołał Gonzaga głośniejszym głosem, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały okoliczności. - Jeśli chce mnie pan zabić, niechże pan to uczyni. A może

chce pan pieniędzy? Proszę określić swoje żądania. Spełnię je.

- Pan sądzi, że cały świat można kupić. Ma pan bardzo paskudny charakter, kardynale.

- A pan nie? - Gonzaga wykazał zadziwiająco zimną krew pomimo niesprzyjających okoliczności. Nagle zapytał: - Czy pan pracuje dla Aniceta, niegdysiejszego kardynała Teciny?

Pytanie było nieoczekiwane i wywołało zdumienie.

Co najmniej kilka sekund upłynęło, zanim z głośnika nadeszła odpowiedź: -

Powiedziałbym raczej, że to Anicet pracuje dla mnie!

Gonzaga nie umiał się w tym połapać. Ale powoli zaczął odnosić wrażenie, że

nieznajomy robi się coraz bardziej nerwowy. - Ile jeszcze minut mi zostało? -

zagadnął prowokacyjnie.

-

Siedemdziesiąt pięć minut, o ile nie odpowie pan na moje pytania. Gdy tylko

pan powie swoje, natychmiast pana odwiążemy i wypuścimy

na ciepłą wolność. Temperatura pośród tych półtuszy wynosi minus dziewięć stopni.

Temperatura na zewnątrz to przyjemne dwadzieścia osiem stopni. Plus, rozumie się!

Te dokładne parametry wstrząsnęły Gonzaga. Początkowe drżenie przeszło w

prawdziwe dygotanie z zimna. Gonzagę naszły wątpliwości czy wytrzyma jeszcze

siedemdziesiąt pięć minut.

- Zatem - odezwał się władczy głos - gdzie jest całun turyński? Oryginał!

- W Burg Layenfels. Osobiście go tam zawiozłem. Może mi pan wierzyć! - Głos

Gonzagi już się załamywał. Na jego wargach tworzyły się kryształki lodu. Chciał je

strząsnąć, ale szyja była unieruchomiona pomiędzy związanymi w górze rękami.

-

Mówiłem oryginał! - warknął głos z głośnika. — Oryginał!

- Na świętą Panienkę i Wszystkich Świętych! To właśnie oryginał zawiozłem do

Layenfels. Jak pan być może wie, zrobiłem to nie całkiem dobrowolnie.

- Może pan sobie darować szczegóły. Moje współczucie ma pewne granice.

-

Faktem jest, że oryginał zawiozłem do Niemiec.

-

Dobrze, skoro pan nie chce! Odezwę się do pana jeszcze za piętnaście minut.

Może do tego czasu zdoła pan sobie przypomnieć, gdzie znajduje się autentyczny całun turyński.

Gonzaga usłyszał głośny trzask. Potem nastąpiła cisza. Tylko agregat chłodniczy wydawał monotony dźwięk, ciche, niepokojące wycie.

Po głowie Gonzagi goniły bezładnie różne myśli bez związku: wspomnienie falujących na wietrze soczystych traw na łąkach pod Castel Gandolfo, kiedy latem był w odwiedzinach u papieża. Podróż do Burg Layenfels z całunem owiniętym wokół ciała. Promienie słońca wpadające po południu przez wysokie okna do Pałacu Apostolskiego i cienie igrające w sali, jak te na portretach świętych malowanych przez rafaelitów. Przed Gonzaga pojawił się zamglony obraz Madonny o czarnych włosach, ciemnych oczach i w rozpiętej kamizelce, z której wyrzywały się bujne piersi.

Nagle ogarnął go strach. Gonzaga bał się, że straci przytomność, zanim jeszcze nieznajomy ponownie się odezwie. W panice krzyknął wibrującym głosem, przy czym mróz aż go zadławił: - Hej tam, ty tchórze! Czy ktoś mnie słyszy?

Z zapartym tchem patrzył kardynał na własny parujący oddech, który yjatywał gdzieś pomiędzy półtusze. W głośnikach nic nawet nie skrzypnęło. Nie poruszając ustami, zaczął Filippo Gonzaga odmawiać po łacinie Credo. Tysiąc, a może i więcej razy w życiu wyrecytował Gonzaga Wyznanie wiary, mechanicznie jak jakiś automat. Jednak teraz, w tych koszmarnych okolicznościach, w których chłód nękał wszystkie jego członki, w których bał się, że w każdej chwili straci przytomność, bardzo

poważnie uświadamiał sobie znaczenie tych słów: Credo in unum Deum, Patrem
omnipotentem, factorem caeli et terrae, visibiliutn omnium et invisibilium. Et in
unum Dominum Iesum Christum, Filium Dei unigenitum, et ex Patre na-tum ante
omnia saecula...

-

Czy pan mnie słyszy? - nieznajomy z głośnika przerwał te pobożne myśli. -

Jeszcze parę minut i dojdziemy do idealnej temperatury minus osiemnastu stopni.

Gonzaga chciał odpowiedzieć, ale nie zdołał. Bał się, że dolna szczęka mu się odłamie, kiedy nią poruszy w dół. Czuł się jak jeden z marmurowych posągów

Michała Anioła. Jedno uderzenie młotkiem i rozpadnie się na tysiąc kawałków. Jego
części ciała, nogi i ręce, jego palce rozsypią się po twardej podłodze.

-

Gonzaga, czy pan mnie słyszy? - Znów dotarł do niego nieznajomy głos.

Milczał.

-

Cholera, traci przytomność! - usłyszał Gonzaga z głośnika. - Niech pan
podniesie temperaturę. Martwy kardynał w ogóle na nic nam się nie przyda.

Przeciwnie, zwłoki kardynała będą tylko kłopotem.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszał sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga.

Potem pociemniało mu przed oczami.

ROZDZIAŁ 32

N

ocą zaczęło padać. Po suchym lecie był to pierwszy deszcz od dwó i pół miesiąca.

Chociaż Barbieri ostrzegał przed odwiedzaniem pewnych miejsc, Malberg z rana
udał się na Cimitero przy Campo Verano, gdzie anonimowo pochowano Marlenę.

Gdyby go zapytano, co go tam gna i dlaczego nie zważa na ostrzeżenia, nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Czuł jakiś wewnętrzny nakaz.

Wciąż głęboko siedziało w nim rozczarowanie bratem Cateriny Paolem, który knuł za jego plecami. Jednak jeszcze bardziej bolało go przekonanie o zdradzie Cateriny. Nie odezwała się do niego od czasu sprzeczki na Campo dei Fiori. Dla Malberga był to wyraźny dowód jej zakłamania. Czyżby to zazdrość o Marlenę popchnęła ją do zdrady? Malberg wzruszył ramionami. Dotarł do punktu, w którym życie staje się znośne jedynie z kilkoma promilami we krwi. Dlatego nosił przy sobie butelkę likieru Averna, którą po drodze nabył w sklepiku na rogu. Lepki napój zastępował mu poranną kawę.

Ciężkie krople deszczu zaczęły siec go po twarzy, kiedy wszedł na przestronny cmentarz. Mokre ubranie kleiło mu się do ciała jak druga skóra. Wyglądem przypominał włóczęgę, jakich tłumy przesiadują na Stazione Termini.

Malberg dokładnie wyrył sobie w pamięci położenie grobu. Jednak wtedy w nerwach najwidoczniej coś mu się pomieszało. W każdym razie trwało dobrą chwilę,

zanim uzyskał jaką taką orientację na tym rozległym cmentarzu, pośród mauzoleów w kształcie świątyń, kiczowatych karmen nych aniołków i pompatycznych nagrobków z ckliwymi sentencjami-

Choć wciąż był wczesny ranek, na Cimitero panował ruch jak na rzymskim targowisku. Każdy zajęty był sobą i swoją rozpaczą, którą starał się przezwyciężyć na własny sposób. Przy jednym z grobów, niepozornym, choć nie pozbawionym ozdób, siedziała staruszka pod parasolem i zmarłemu mężowi czytała na głos gazetę - tak samo, jak to zapewne robiła przez długie lata. Na innym grobie, na którym wyryto imię i nazwisko zmarłej żony artysty estradowego, piętrzyły się pluszowe misie, sztuczne kwiatki i serduszka z piernika, jak nagrody na jarmarcznej strzelnicy. W

oddali słyhać było smutny głos żałobnika, który jakiegoś zawziętego kutwę

wychwalał jako dobroczyńcę: - Zawsze pozostanie wzorem dla nas wszystkich.

Po długim błędzeniu Malberg dotarł do poszukiwanej kwatery 312 E. Jednak na

miejscu, gdzie powinien być grób Marleny, znajdował się nagrobek z czarnego

marmuru, zaś w czarnym kamieniu wykuty był napis, który spowodował, że Malberg

poczuł się bezsilny:

JEZABEL Przestań się lękać tego, co będziesz cierpiał

Jezabel? Malberg rozejrzał się dokoła. Był zupełnie pewny, że to jest grób

Marleny. Jezabel? Co ma znaczyć ten osobliwy napis?

Po wszystkim, co już przeżył, teraz nawet nie zdziwiła go ta szatańska gra

pozorów. W chwilach takich jak ta, czuł się zdany na łaskę jakiegoś potężnego

przeciwnika.

Kiedy zastanawiał się nad sensem wyrytego imienia i sentencji, z oddali zbliżył się

warkot silnika. Malberg obejrzał się i zauważył małą koparkę, jadącą prosto na niego.

„Czasy, kiedy grabarze kopali groby łopatami” - pomyślał Malberg - „już

przeminięły”. „Można już przestać mówić o grabarzach i grzebaniu zmarłych” -

przemknęło mu przez myśl. - „Teraz pora na koparki zmarłych”.

Przestał więc zwracać uwagę na tamtą cmentarną koparkę, pociągnął tyk ze swojej

butelki, zamknął oczy i starał się nawiązać dialog z Marleną, o której wiedział, że

spoczywa tam, dwa i pół metra pod ziemią.

Zamiar się nie powiódł, gdyż cmentarna koparka, oddalona zaled-

o jeden rząd grobów, zatrzymała się i silnik zgasł. Układ hydrauliczny

maszyny skwitował brak zapłonu głośnym sykiem, zaś operator koparki otworzył

przeszkłone drzwiczki.

Malberg ze zdumieniem obserwował, jak z wnętrza ciasnej kabiny gramoli się jakaś niziutka postać, której przysadzisty wygląd nasuwał pytanie czy to mężczyzna, czy kobieta. Osoba ta - on czy ona - miała pulchną twarz. Ciemne włosy były ostrzyżone tak krótko, że miejscami widać było skórę głowy. To, czego - jemu lub jej - natura poskąpiła w zakresie rozmiarów ciała, kompensowały - jego lub jej - oczy. Malberg nigdy nie widział tak wielkich oczu.

Dopiero kiedy niewyrośnięta postać podeszła bliżej, Malberg zaczął rozpoznawać po ruchach, że musi to być mężczyzna. W ogóle grabarze są z natury ludźmi niezwykajnymi; jednak ten, który podszedł do niego z uprzejmym skinieniem głowy, był bez wątpienia jeszcze bardziej niezwykły.

Rękami wykonywał jakieś osobliwe gesty. Przy tym nie wypowiedział ani jednego słowa, w każdym razie takiego, które byłoby słyszalne. Raczej tylko układał usta do samogłosek. Malbergowi zaczęło świtać, że operator koparki jest głuchoniemy.

Grabarz palcem wskazującym pokazywał na zmianę to na niego, to nstj grób Marleny. Malberg zrozumiał to jako pytanie, czy on i zmarła z tego grobu byli jakoś związani.

Potwierdził skinieniem głowy.

Człowiek o delikatnej twarzy położył sobie dłoń na sercu i spojrzał wielkimi oczami.

Tak, przytaknął Malberg. Kochał ją. Zaczął się dziwić, jak dobrze można się porozumiewać bez języka. W końcu wyjął z kieszeni butelkę, odkręcił i podał temu niskiemu człowiekowi.

Tamten zrobił dłonią gest obronny. Dopiero, kiedy Malberg sam pociągnął łyk, sięgnął po butelkę. Pijąc, zakrztusił się i dostał napadu kaszlu. Jednak złapawszy ponownie dech, pokazał gestem, jak bardzo mu ta Averka smakowała. Równocześnie

uśmiechnął się z trudem.

- Czy to ty wykopałeś ten grób? - zasięgnął informacji Malberg, starannie zważając na to, aby operator koparki mógł jego słowa odczytać z ruchu warg.

Tak, potwierdził tamten i wskazał na wyłączoną koparkę. Jednak później stało się coś nieoczekiwanego. Niski człowieczek wskazał najpierw

r

grób Marleny, a potem położył sobie palec na ustach, jakby chciał powiedzieć: „O tym nie wolno mi mówić”.

-

Co znaczy, nie wolno mówić?

Malberg ze zdziwieniem śledził jego gesty dłoni, którymi jakby przepychał pieniądze.

-

Dali ci pieniądze za to, żebyś milczał? Tak. -Kto?

Tym pytaniem natrafił Malberg na wyraźny opór. Nie, on nie chce na pytanie odpowiedzieć.

Jednak kiedy Malberg wyjął z kieszeni pięćdziesiąt euro i dyskretnie stknął mu w dłoń, niski grabarz raptem zmienił swoją oporną postawę,łożył dłoń jak do modlitwy. Potem dziko zamachał rękami i wskazał - pewnym kierunku.

-

Jakiś pobożny człowiek przekupił cię, żebyś milczał? Tak. Operator cmentarnej koparki obiema dłońmi narysował w powietrzu zarys wysokiego nakrycia głowy. Zrobił to tak dokładnie, że Malberg bez najmniejszej trudności odgadł, o co mu chodzi.

-
Biskup albo kardynał z Watykanu?

Tak. Jego wyraziste oczy błyszczały. Był dumny z tego, jak świetnie rafi się porozumieć. ? Znasz tamtego człowieka? Tak.

-
Czy to był kardynał Philippo Gonzaga, sekretarz stanu? Tak, ten sam. Grabarz znacząco postukał palcem wskazującym we łętrze lewej dłoni.

-
A to imię na nagrobku? Czy wiesz, co znaczy Jezabel? Karzeł tak przesadnie gwałtownie pokręcił głową, że Malberga naszły ątpliwości, czy aby jego rozmówca nie wie więcej niż gotów jest przyznać, apewne trzeba będzie jeszcze wyłożyć kasę, żeby namówić grabarza do ówienia. Człowiek, który jeździ ze stu tysiącami dolarów w plastikowej tbie, pomyślał Malberg, raczej nie zapłaciłby marnych pięćdziesięciu 1 za milczenie naocznego świadka.

Zastanawiając się nad wysokością kwoty, która by karła zadowoliła, Ociągnął kolejny łyk z butelki. Nie zauważył, że od dłuższego czasu jest serwowany. Kiedy chciał schować butelkę z powrotem do kieszeni, ja-

kaś postać podeszła do niego od tyłu i chwyciła za butelkę. Malberg odwrócił się.

To była Caterina. Patrzyła na niego z wyrzutem, nic nie mówiąc.

-
Co jest? - wyjąkał zmieszany Lukas Malberg. Potem zrobił się podejrzliwy. -

Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Grabarz wykonał bezradny gest, wdrapał się na swoją małą koparkę i z warkotem

odjechał.

- Nie wiedziałam - odparła Caterina - ale przeczucie mi podpowiedziało, że prędzej czy później tu się pojawisz.

- Aha, przeczucie! - Malberg zaśmiał się cierpko i pociągnął z butelki. — Niestety, ja nie miałem żadnych przeczuć i zaufałem ci. Co ci zaoferowano w zamian za informacje zebrane o mnie? Gratulacje, doskonale odegrana rola, wręcz oskarowa! W każdym razie ja się nie połapałem, że mam do czynienia z aktorką. Seks z tobą, duża rzecz! Sposób, w jaki udawałaś miłość i namiętność, był wspaniały. Gdzie się tego można nauczyć? Od sprzedajnych pań na Zatybrzu?

Caterina wzięła zamach i uderzyła Lukasa w twarz. - Jesteś pijany - stwierdziła - i niesprawiedliwy wobec mnie. Przysięgam, nic nie wiedziałam o machinacjach Paola. Pewnie, Paolo nie jest facetem, któremu można ślepo zaufać, ale to mój brat. I dotychczas zawsze mówił mi prawdę, gdy pytałam go o jego dorywcze zajęcia czy drobne oszustwa, którymi zarabiał na życie. Dałam mu schronienie pod moim dachem, żeby lepiej mieć go na oku. Paolo ma słaby charakter, a gdy widzi pieniądze, przepalają się w nim wszystkie bezpieczniki. Dla pieniędzy zrobi wszystko, również rzeczy, którymi inni nawet się nie skalają. Możesz mi wierzyć, Paolo najbardziej rozczarował mnie samą.

Malberg pocierał policzek. - Żebym się nie rozpłakał. Mam nadzieję, nie liczysz na to, że także okażę ci odrobinę zaufania.

Caterina wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: Co mana zrobić, żebyś mi uwierzył? Potem rzekła: - Tak czy inaczej, wyrzuciłam Paola. Wystawiłam mu za drzwi jego rzeczy, zresztą nie było tego dużo, i wymieniłam zamki. Z Paolem nie chcę już mieć nic wspólnego. Nawet nie starał się niczemu zaprzeczać. Kiedy

odchodził, płakał jak uczeń, i zapewniał, że pragnie wszystko naprawić.

-

Opowiadać to ty możesz mi wiele - odpowiedział Malberg nie wzruszony.

-

Musisz mi uwierzyć, Lukas, proszę! Szczególnie teraz, kiedy wygląda pa to, że w sprawie Marleny Ammer zrobiliśmy kolejny krok do przodu.

W jednej chwili Lukas zamienił się w słuch.

-

Zgłosił się do mnie pewien młody prokurator - ciągnęła Caterina niejaki

Achille Mesomedes. Chce wznowić śledztwo.

-

Nie rozśmieszaj mnie - prychnął śmiechem Malberg. - Akurat te-az, kiedy wyższe władze zamknęły sprawę. I w tej sprawie przyszedł akurat do ciebie? Zapewne jest to kolejna z twoich historyjek.

-

Ten prokurator pytał mnie o ciebie - mówiła dalej Caterina, nie yracając uwagi na docinki Lukasa. - Powiedziałam, że nie wiem, gdzie obecnie przebywasz.

-

No to znów miałem szczęście - odparł Malberg cynicznie.

-

Naprawdę umiesz być obrzydliwy - Caterina spojrzała na niego ze 'ością. -

Mimo to zdradzę ci pewną nowinę.

Lukas Malberg udawał, że słowa Cateriny mało go interesują. Obo-ętnie gapił się na czarny nagrobek z imieniem Jezabel. Jezabel? Czy to nie yła postać ze Starego

Testamentu, córka króla Tyru, wydana za izraelskiego óła Achaba? Malberg nie był tak obeznany w Biblii jak jego asystentka Anna Kleinlein, ale Jezabel, tego był pewien, była niewiastą bałwochwalczą, która, jak głosi Objawienie świętego Jana, służy przywodzi do rozpusty.

Kiedy bezowocnie rozmyślał nad znaczeniem zdania: „Przestań się lę-ać tego, co będziesz cierpieć”, jak z oddali usłyszał głos Cateriny: - Marsza nie żyje.

Malberg zaskoczony spojrzał na Caterinę: - Powiedz to jeszcze raz!

-

Markiza nie żyje. Została zastrzelona z samochodu, krótko po tym, jak ją zwolniono z aresztu. Jak wiesz, dzień wcześniej odwiedziłam ją w więzieniu nadzieją, że dowiem się czegoś więcej o jej stosunkach z Marleną Ammer. -1 nic nie wskórałaś.

Caterina pokręciła głową: - Gdybym miała być całkiem szczerą, to c albo raczej prawie nic.

-

Co to znaczy prawie nic?

-

Nic takiego, co by jakoś pomogło tobie lub mnie. Wypowiedziała C tylko na temat mężczyzn w ogólności. Wszyscy mężczyźni, oświad-yla, to...

- Gnojki!

- Tak właśnie się wyraziła.

-

-

Ulubione powiedzenie rozczarowanych kobiet. Ale bywa uzasadnione. I to

wszystko, czego się od niej dowiedziałaś?

-

Odniosłam wrażenie, jakby się już pożegnała z życiem. -Jak to?

- Nie wiem. Powiedziała coś w takim sensie, że jeśli miałyby jeszcze pożyć, to jest wdzięczna, że siedzi w więzieniu, bo tam przynajmniej jest bezpiecznie.

Wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie. Wtedy nie rozumiałam znaczenia jej słów.

Nikt rozsądny na podstawie tej uwagi nie wyciągnąłby wniosku, że jest już namierzona przez jakichś mafiosów.

Skonsternowany i bezsilny Malberg otarł sobie rękawem mokrą od deszczu twarz.

- Prokurator Achille Mesomedes - opowiadała dalej Caterina - powiedział mi, że markizę zamordowano. Inaczej bym tego nie wiedziała. Ten przypadek w osobliwy sposób przypominał śmierć Marleny Ammer. Chociaż było to morderstwo, żadna gazeta nie uznała za konieczne o tym napisać.

Malberg w zamyśleniu kiwał głową.

- A kiedy się z nią żegnałam, Lorenza Falconieri napomknęła, że nigdy nie poznamy rzeczywistych powiązań — ciągnęła Caterina.

- O tym opowiadałaś już na Campo Dei Fiori.

- Tak. Ale potem, kiedy już odchodziła, rzuciła jeszcze jedną uwagę, nad którą cały czas łamię sobie głowę. Spytała, czy znam Objawienie świętego Jana. Nie jestem mniszka i w szkole Biblia nie bardzo mnie zajmowała. Więc zaprzeczyłam. W końcu markiza powiedziała, że powinnam się zapoznać z werselem siódmym dwudziestego rozdziału. Zaśmiała się przy tym jak obłąkana. To było niesamowite.

-Ja też nie znam Apokalipsy tak dokładnie! - Malberg zmusił się do ironicznego uśmiechu.

-
Nie musisz. W międzyczasie sprawdziłam. -Ico?

-
Cytat ten brzmi: „A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony”. Czy masz jakiś pomysł, jak to mogłoby się wiązać z zamordowaniem markizy i śmiercią Marleny Ammer?

Malberg nie usłyszał już ostatniego pytania Cateriny. Zanim bowiem skończyła, uciekł stamtąd jakby goniony przez diabła i zniknął w labiryncie grobów Cimitero.

r

ROZDZIAŁ 33

K

Wtedy kustosz z San Sebastiano krótko przed szóstą rano chciał bocznymi drzwiami wejść do kościoła, zamarł przerażony. W ciągu ponad trzydziestu lat służby nigdy nie zapomniał zamknąć wąskich drzwi prowadzących do zakrystii. Jednakże tego ranka klucz się nie przekręcił, gdyż drzwi wcale nie były zamknięte.

Salvatore, bo tak się zwał siwy kustosz, za sprawą kudłatej brody przypominający starotestamentowego proroka, przypisał zaniedbanie swojemu podeszłemu wiekowi i zaczął w zakrystii przygotowywać szaty liturgiczne na nadchodzący dzień.

Równocześnie zjawiły się sprzątaczkę z pierwszej zmiany i rozeszły po kościele.

Kustosz właśnie skończył przygotowania, gdy przez drzwi prowadzące do ołtarza usłyszał przeraźliwy krzyk. Salvatore wybiegł na zewnątrz. Z chóru dostrzegł sprzątaczkę zgromadzone wokół konfesjonału w tylnej części nawy.

Tak szybko, jak mu na to pozwoliły stare nogi, Salvatore pośpieszył zobaczyć, co się stało.

-
Łucja chciała pozamiatać w konfesjonale - zawołała przełożona zterosoosobowej grupy sprzątajacej - i znalazła go!

-
Kogo?

Sprzątaczką wskazała na otwarte drzwiczki konfesjonału. Salvatore przeżegnał się. W środku na ławce w skrzyconej pozycji siedział łysy mężczyzna z zamkniętymi oczami, jakby nie żył.

-
Na świętą Panienkę - wrzasnął Salvatore, a broda proroka drżała fiu jak osika - jeśli się nie mylę, jest to jego ekscelencja kardynał Gonza-i, sekretarz stanu!

Jedna starsza sprzątaczką upadła na kolana i złożyła ręce. Inna, zwyczajem z południa kraju, zaczęła zawodzić jak płaczka na pogrzebie. Dwie pozostałe ukryły twarz w dłoniach.

Salvatore podszedł bliżej do nieruchomego kardynała. Jego twarz była trupiooblada, oczy zapadnięte. Dopiero po kilku minutach zauważył, że prawa skroń kardynała ledwo dostrzegalnie drga.

-
Żyje! - zawołał rozgorączkowany kustosz. - Pogotowie, szybko! Jedna z kobiet pobięła do telefonu w zakrystii. Nie upłynęły dwie minuty, a rozległ się sygnał karetki.

Salvatore właśnie otwierał główne wejście do kościoła, gdy biała karetka pogotowia na wyjąym sygnale, błyskająca niebieskim kogutem, zatrzymała się pod schodami.

Lekarz, żylasty trzydziestolatek, biegiem pokonał drogę do konfesjonału. Za nim podążali dwaj sanitariusze z noszami.

-

To kardynał, sekretarz stanu - przywitał ich kustosz i odsunął na bok sprzątaczkę. - Proszę się pośpieszyć!

Ubrany na białe lekarz przyłożył ucho do piersi kardynała, a potem podniósł mu powiekę, żeby sprawdzić reakcję na światło. Kiedy chciał zbadać puls, znieruchomiał: kardynał w prawej dłoni ścisnął zgniecione pudełko po ampułkach, z napisem „Dormicum 5x2 ml”.

Jeden z sanitariuszy spojrzał pytająco na lekarza. Ten się zdenerwował: - Środek znieczulający! - mruknął pod nosem.

-

Czyli kardynała oszołomiono zastrzykiem i tutaj odstawiono? Lekarz

pogotowia przytaknął i dokładnie obejrzał prawe, a potem

lewe zgięcie łokciowe nieprzytomnego mężczyzny. - Tutaj - powiedział i wskazał dwa ślady po zastrzyku. - Tętno najwyżej czterdzieści. Podamy flumazenil, 2 centymetry sześćienne.

Ratownik wyjął z walizeczki jednorazową strzykawkę i podał lekarzowi. Ten wprawną ręką zrobił zastrzyk.

Po paru sekundach kardynał otworzył oczy, najpierw lewe, potem prawe.

Sprzątaczkę poderwały się jak przestraszone stado kur. Po nawie kościoła poniosło się wołanie: „Un miracolo, un miracolo — cud!”

Lekarz zbliżył się do twarzy kardynała na odległość kilku centymetrów: - Czy pan mnie słyszy, ekscelencjo?

-
Przecież nie jestem głuchy! - odpowiedział Gonzaga głośno w przypiływie
wisielczego humoru. - Gdzie ja jestem?

-
W San Sebastiano przy Via Apia. Czy pan wie, jak się tu znalazł? ostrożnie
zapytał lekarz pogotowia.

Gonzaga wstrząsnął dreszcz. - Jest mi zimno - odparł, rozcierając ręce. Nic
dziwnego, przy minus osiemnastu stopniach w rzeźniczej chłodni.

-
Sprzątaczkę go znalazły - wtrącił kustosz, żeby jakoś pokryć żenu-ce gadanie
kardynała. — Boczne drzwi do kościoła nie były zamknięte naucz, chociaż
przysięgam na Madonnę, że je zamykałem wczoraj podczas 'eczornego obchodu.

Lekarz przyjrzał się kardynałowi z troską. - Musimy zawiadomić olicję.

Najwidoczniej został odurzony zastrzykiem i przywieziony tutaj brew własnej woli.

-
Żadnej policji! - zawołał Gonzaga nieco przyciszonym głosem. Nie życzę
sobie żadnej policji i proszę o największą dyskrecję. Mówię jako piastujący urząd
Sekretarza Stanu Państwa Watykańskiego. Czy
an mnie zrozumiał?

-Jak pan sobie życzy, ekscelencjo! - zgodził się lekarz. - Jednak wy-aje mi się
rozsądne, aby zawieźć pana do kliniki Gimelli na badania. Nie lemm, jak długo trwał u
pana ten stan i czy nie pozostawił trwałych uszko-eń. Chciałbym stanowczo
doradzić...

-Tym bardziej nie życzę sobie pobytu w klinice - kardynał zamachał ami. - Chcę

uniknąć skandalu. Rozumiemy się?

-

Oczywiście.

Z największym wysiłkiem Gonzaga podjął próbę uwolnienia się z nie-"godnej

pozycji w barokowym konfesjonale. Kiedy jeden z sanitariuszy chciał mu podać rękę, kardynał odepchnął ją tak mocno, że tamten mało nie upadł.

-

Jeśli będę potrzebował pomocy, to zawiadomię - ślinił się. A po chwili warknął

jeszcze przez otwarte główne drzwi, przed którymi czekała

etka z niebieskim błyskającym kogutem: - Niech pan wreszcie wyłączy diabelskie

światelka! Jakże wrażenie muszą odnosić pobożni chrześcijanie, widząc karetkę przed

kościółem San Sebastiano.

-

Czy nie powinniśmy przynajmniej odwiedzić pana do Watykanu? spytał

zatroskany lekarz. - Cokolwiek panu zrobiono, to pańska sprawa, pewnie ma pan

swoje powody, żeby ten rozbój nie dostał się do mediów, "cz jako lekarz mam

obowiązek zwrócić pańską uwagę na ryzyko utraty rowia w związku z pana stanem.

-

Pańska gorliwość przynosi panu zaszczyt, doktorze - odparł Gonzaga - ale

doprawdy jest niepotrzebna. Niech mi pan tylko da jeszcze parę minut, żebym sobie

odpoczął.

-Jak pan sobie życzy, ekscelencjo... - ton odpowiedzi lekarza wskazywał wyraźnie,

że absolutnie nie zgadza się z postawą kardynała.

Podczas gdy sanitariusze z noszami wycofali się na zewnątrz, lekarz usiadł na

ławce w ostatnim rzędzie i z teczki wyjął swój dziennik z kartami informacyjnymi, w

których wpisuje się wszystkie czynności. Gonzaga co chwila rzucał badawcze spojrzenia.

Kardynał głęboko wciągnął powietrze i głośno je wypuścił. W kościele było duszno, co raczej nie poprawiało stanu Gonzagi.

-

Nie chciałby pan wyjść na zewnątrz? - usłyszał słowa lekarza.

Kardynał nie zareagował. Zbyt był zajęty myślą, która go nagle naszła. Dlaczego przywieziono go właśnie tutaj, do bazyliki San Sebastiano? Przypadek czy krył się za tym jakiś przemyślany zamiar?

Pod kościołem kryły się wielokilometrowe korytarze, katakumby o tej samej nazwie. Podziemne cmentarze San Sebastiano jak rok długi stanowiły cel tysięcy pobożnych pielgrzymów. Nie były tak rozległe jak katakumby świętego Kaliksta, położone niedaleko, zaledwie kilka przecznic dalej. Tam korytarze miały kilka pięter, ich długość wynosiła ponad dwadzieścia kilometrów, można się było w takim labiryncie zgubić.

Natomiast katakumby św. Sebastiana miały pełne prawo nosić nazwę „katakumby”. Ad catacumbas, przy dołach - tak dawni Rzymianie w późnym antyku nazwali to tajemnicze miejsce, nad którym już za czasów cesarza Konstantyna wzniesiono kościół. Na długo przed wybudowaniem katedry św. Piotra, tu właśnie mieli być pogrzebani apostołowie Petrus i Paulus, po tym jak zginęli śmiercią męczeńską. Dopiero później kościół i katakumby poświęcono Sebastianowi, który zginął tutaj okrutną śmiercią. Rzymscy siepacze używali bezbronnych ludzi jako żywych tarcz dla swoich strzał, a kiedy ktoś dawał jeszcze znaki życia dobijali go pałkami.

Gonzaga zapewne o tym właśnie rozmyślał. Wpatrywał się w pustkę przed siebie.

I nagle znów jakby słyszał ów lodowaty głos w chłodni: - Nie bardzo umiem sobie wyobrazić, żeby dążył pan do tego, aby się znaleźć na stronach Martyrologium Romanum... Głęboko mrożony męczennik byłby w każdym razie czymś nowym! To wszystko nie mogło być przypadkiem, przemknęło przez myśl kardynałowi. Wstrząsnęły nim dreszcze, choć w budowlu panowała duchota. Inspiratorzy porwania mieli wykształcenie teologiczne. A może dysponowali wiedzą na temat starożytnej filologii albo historii starożytnej? Może jedno i drugie?

Lekarzowi nie uszło uwagi drżenie kardynała. Skądś wyłonił się znów kustosz San Sebastiano.

-

Powinien pan wyjść na świeże powietrze - przypomniał lekarz po-otowia.

Podtrzymywany przez lekarza i kustosza, Gonzaga wyszedł przed ościół, gdzie przysiadł na występie w murze.

-Wszystko w porządku - oświadczył kardynał po krótkim odpoczynku. - Mam tylko okropne wspomnienie - tu zwrócił się do lekarza: - Czy ogę skorzystać z pańskiego telefonu komórkowego?

Lekarz podał mu komórkę. Gonzaga wybrał numer i nasłuchiwał.

-

Na litość boską, no zgłoże się pan! - poganiał niecierpliwie. Zaważywszy jednak pełne dezaprobaty spojrzenie lekarza, kardynał zawo-ał teraz z większą powściągliwością: - Soffici, bracie w Chrystusie, niech ię pan zgłosi!

Z telefonu odezwał się automat: - Abonent chwilowo niedostępny.

ROZDZIAŁ 34

P

rzy porannym goleniu Lukas Malberg z niechęcią patrzył w lustro. Ledwo się poznawał. Nic dziwnego, okoliczności nie sprzyjały temu, aby wyglądać na młodego i wypoczętego.

Zanim w ciasnej łazience Barbieriego dokończył uproszczoną poranną toaletę, zadawał sobie pytanie, dlaczego markiza musiała umrzeć, podczas gdy on sam pozostał wśród żywych. Albo, pomyślał, zbyt mało znaczy w sprawie Marleny, albo posiadał coś takiego, co tamci mogli jeszcze wykorzystać.

Do późnej nocy biesiadowali z Barbierim, starając się jakoś zestawić ostatnie wydarzenia. Długa rozmowa ich wykończyła, a reszty dokonały dwie butelki wina Castelli. Lukas Malberg zaproponował, żeby Giacomo Barbieri mówił mu na ty, zaś koło wpół do drugiej poszli spać z zamiarem opracowania strategii dalszych działań nazajutrz.

Przy wspólnym śniadaniu, które było skromne jak poranny posiłek w klasztorze trapistów, Malberg zachrypiął pod nosem: - Poza tym wczoraj wieczorem nie powiedziałem ci o czymś, co mi się wciąż kołacze po głowie.

Barbieri spojrzał zaniepokojony.

-

Wczoraj na cmentarzu, przy grobie Marleny, zobaczyłem coś dziwnego. Teraz nie jestem już nawet pewny, czy mi się to nie przywidziało. Kiedy Caterina w ulewnym deszczu do mnie mówiła i cytowała tamten fragment Apokalipsy, ten o szatanie, co to ma być zwolniony z więzienia, nagle za jed" nym z nagrobków zobaczyłem ciemną postać. Stał tam człowiek w długim czarnym płaszczu, który jakby spod ziemi wyrósł i patrzył na nas.

-

Ale nie chcesz twierdzić, że to był duch - przerwał mu Barbieri-

- Mógłbym przysiąc, że to był kardynał Gonzaga.

- No i? — spytał Barbieri podniecony.

-

I nic. Nerwy mi puściły i uciekłem stamtąd - wyjaśnił Malberg ueszany.

-

Powiadasz, że on cię śledzi?

-

Po tej historii z Paolem nie uważam tego za wykluczone. Barbieri odsunął na

bok talerze po śniadaniu. Potem wyjął blok ry-cowy, położył przed sobą na

kuchennym stole i długopisem napisał na

rkuszu: Markiza Lorenza Falconieri. Obok nazwiska postawił krzyżyk.

Dostrzegłszy pytające spojrzenie Malberga, zaczął: - Sądzę, że markiza jest w

naszej sprawie postacią kluczową. Jeśli nam się uda prześwie-lić jej życie, to z

konieczności trafimy na jej zabójcę. A kiedy poznamy jej abójcę, będziemy mieli

także trop do zabójcy Marleny.

? Jakież to proste! - zadrwił Lukas z Giacopa. - Naprawdę myślisz, że Marlena i

markiza były zamordowane przez tę samą osobę? Przecież i niedorzeczne!

Czy ja tak twierdziłem? Mówiłem, że jeśli nam się uda wyjaśnić brutalną śmierć

markizy, to przypuszczalnie pojawią się jakieś wskazówki Dtyczące śmierci Marleny

Ammer.

• A jak chcesz prześwietlić życie markizy? Ona nie żyje, a jej śmierć, : samo jak

śmierć Marleny, oczywiście zamieciono pod dywan. Nie będzie to łatwe.

Barbieri uniósł brwi. Zrobił wrażenie niemal aroganckie, kiedy oświad-zył: - Kto

lubi łatwiznę, nie powinien być śledczym kryminalnym.

Malberg przytaknął z uznaniem. - To jak sobie wyobrażasz dalsze ziałanie?

- Zaczniemy od rzeczy, które się same nasuwają.

- Czyli?

-

Będziemy dzień i noc obserwować dom markizy i zobaczymy, co się wydarzy.

r A cóż miałoby się wydarzyć? Nic! § Możliwe, że nawet masz rację. F" To po co tak się wysilać?

~ W sprawach pozornie beznadziejnych, jak ta, tonący brzytwy się nwyta. Pamiętaj o tym!

Lukas ściągnął usta: - Skoro tak twierdzisz.

- Widzę, że po prostu tryskasz zapałem!

- Wybacz, ale twój plan jest mało obiecujący.

- A masz lepszy pomysł? Malberg milczał.

-

Dobra. Coś ci zaproponuję. Będziemy prowadzić obserwację przez trzy dni.

Jeśli w tym czasie nie natrafimy na nic podejrzanego, przerywamy i szukamy innej możliwości. W końcu o markizę chodzi w drugiej kolejności. Przede wszystkim interesuje nas Marlana Ammer.

Malberg podświadomie przytaknął. Po głowie chodziło mu wiele myśli. Pomiędzy

Marleną i markizą musiało istnieć jakieś powiązanie, wychodzące poza relacje osobiste.

- A czy ty wiesz - niepewnie zaczął Lukas i odchrząknął - że markizę interesowała

Marlena jako kobieta?

- Ze niby jak?

- To znaczy, interesowała pod względem seksualnym!

- Markiza lesbijką? Jak na to wpadłeś?

- Cóż, kiedy byłem u markizy wycenić jej księgozbiór, który później okazał się kradziony, udało mi się rzucić okiem na sypialnię. Nad jej łóżkiem wisiały podniecające fotografie...

- .. Marleny!

- Otóż to. Marlena w uwodzicielskich pozach, w gorsecie, podwiązkach i czarnych pończochach.

Barbieri gwizdnął przez zęby.

- A jak tam z Marleną Ammer? Też była lesbijką?

Nie bardzo mogę to sobie wyobrazić. Bo w mieszkaniu Marleny odkryłem zdjęcia przedstawiające ją z jakimś nieznanym, ale zwróć uwagę, mężczyzną!

-

Niewiele to mówi - odparł szorstko Giacompo. - Nawet niemieckiemu antykwariuszowi nie powinien umknąć fakt, że istnieją kobiety, które kochają zarówno kobiety, jak i mężczyzn.

Malberg przyjął ten przytyk do wiadomości bez komentarza.

-

Poza tym we Włoszech - mówił Barbieri - homoseksualizm jest przyjmowany o wiele mniej tolerancyjnie niż w Niemczech.

-

Ale to jeszcze nie powód, żeby mordować!

Barbieri wzruszył ramionami. - Pomyleńcy są wszędzie. Być może gdzieś tam chodzi sobie jakiś wariat.

K

ardynał Bruno Moro pokręcił głową i zagrział swoim głębokim głosem: —
Gonzaga, znów ten Gonzaga! Tylko Bóg, nasz Pan, wie, na jak trudne próby On sam
nas wystawia za pomocą tego sekretarza stanu! - Ow potężny człowiek o rudawych,
kędzierzawych włosach aż podskoczył na swoim fotelu.

Już od wielu godzin Moro, przełożony Świętego Offlcium, konferował nad
dalszym postępowaniem z Salzmannem, prosekretarzem ds. edukacji, oraz
Sawatzkim, prefektem Rady ds. Publicznych Kościoła. Zniknięcie sekretarza stanu
kardynała Philippo Gonzagi i jego sekretarza Giancarlo Sofficiego po ich wizycie u
prezydenta podlegało ścisłej tajemnicy.

Bardzo poważne podejrzenia wywołał fakt, że Gonzaga, wbrew zwyczajowi, kazał
się wieźć Sofficiemu, a nie swojemu kierowcy Albertowi. Później okazało się, że
Alberto leżał chory na grypę, więc nie był w stanie wypełniać służbowych
obowiązków.

Po trzygodzinnej debacie, mając przed oczami wizerunek świętego Bo-romeusza,
kardynał Moro postanowił zaczekać jeszcze do godziny szóstej rano następnego dnia.
Gdyby Gonzaga miał się do tej pory nie pojawić, wtedy zostanie zawiadomiona
policja i rozpocznie się poszukiwania.

Ledwo skończył swój wywód, do sali wszedł jego prywatny sekretarz monsignore
Abate i chciał kardynałowi powiedzieć coś na ucho.

- Może pan spokojnie mówić na głos, monsignorel - powiedział zaczepnie Moro. -

W odróżnieniu od innych członków Kurii, u mnie nie ma żadnych tajemnic.

Sekretarz oznajmił: - Eminencjo, za drzwiami stoi prokurator. Pragnie

Porozmawiać z jakimś wysokim rangą przedstawicielem Kurii.

Moro, Sawatzki i Salzman z zakłopotaniem spojrzeli po sobie. Chociaż każdy z nich rzecz ujmował w myślach inaczej, w sumie każdy pomyślał to samo: to nie wróży nic dobrego.

— Niech pan poprosi prokuratora! - zwrócił się Moro do swojego sekretarza, robiąc przy tym łaskawy gest.

-

Nazywam się Achille Mesomedes z prokuratury Roma uno - przedstawił się młody prokurator.

Moro, Sawatzki i Salzman również podali swoje nazwiska oraz swoje funkcje w Kurii.

-

Co pana do nas sprowadza? - zapytał kardynał, choć przeczuwał że chodzi o zniknięcie sekretarza stanu.

Mesomedes w milczeniu wyjął ze swojej aktówki kopertę, a z niej pół tuzina fotografii sporego formatu. Rozłożył je na stole przed dostojnikami.

— Zdjęcia te zrobiono podczas pogrzebu na Campo Verano - skomentował Mesomedes. - Domyślam się, że niektóre z postaci na fotografiach nie są panom całkiem obce.

Salzman przyjrzał się bliżej jednemu ze zdjęć i stwierdził: - To sekretarz stanu kardynał Filippo Gonzaga.

Moro wziął fotografię Salzmannowi z ręki: - Nie wiem, o co tu chodzi.

— Czy znają panowie jeszcze jakieś inne osoby na zdjęciu? - spytał prokurator z naciskiem.

— Co znaczą te pytania? Sądziłem, że przynosi pan wiadomości na temat miejsca pobytu sekretarza stanu kardynała Philippo Gonzagi - Moro oddał Mesomedesowi zdjęcia i patrzył pytająco.

Na twarzy prokuratora odmalowało się osłupienie: - Nie rozumiem pana, eminencjo. Moje dochodzenie opiera się na wznowieniu pewnego śledztwa, które nazbyt pośpiesznie odłożono ad acta. Chodzi o śmierć niejakiej Marleny Ammer, którą znaleziono martwą w wannie. Protokół jako przyczynę śmierci podaje utonięcie po przyjęciu barbituratów.

- Wybacz pan - przerwał kardynał prokuratorowi - ale specjalnie się pan tutaj fatygował, żeby nas o tym powiadomić?

- W żadnym razie - odparł Mesomedes. - Chciałbym się tylko dowiedzieć, dlaczego sekretarz stanu Gonzaga i inni członkowie Kurii brali udział w pochówku zwykłego śmiertelnika. Ponadto szukam wyjaśnienia w jaki sposób pewne substancje zapachowe mogły się dostać na szlafrok ofiary.

-

-

Młody człowieku - przerwał prokuratorowi Moro z obłudnym śmiechem - chyba nie chce pan któregoś z członków Kurii czynić od-owiedzialnym za perfumy jakiejś szemranej damy?

Nie, kardynale, nie może być mowy o perfumach. Chodzi o kadzidło!

-

Kadzidło? - Moro znieruchomiał przerażony.

-

A nawet bardzo konkretne kadzidło! — jątrzył Mesomedes. - „Oli-ano nr 7”, takie jak to, którego używa się wyłącznie w Watykanie.

-
W takim razie wcale nie chodzi o zniknięcie sekretarza stanu?

-
To sekretarz stanu kardynał Gonzaga zniknął? Monsignore Sawatzki żywo skinął głową: - Dwa dni temu, po oficjalnej wizycie u prezydenta.

Kardynał Bruno Moro jako pierwszy zorientował się w pomyłce atychmiast zareagował, pomniejszając rangę wydarzenia: - Widzi pan, onzaga to człowiek bardzo zajęty, a poza tym trochę dziwny. Chodzi z własnymi drogami...

Mesomedes kiwał głową ze zrozumieniem: - Przypomina mi się tu -wna informacja w gazecie...

-
Ma pan na myśli wypadek jego ekscelencji na Piazza del Popolo i torbę ze stu tysiącami dolarów?

-
Właśnie!

-
Koniec końców okazało się to nieporozumieniem. Najważniejsze, : Bóg

Wszechmogący ochronił zdrowie i życie ekscelencji.

Moro wziął od prokuratora fotografie i raz jeszcze je przestudiował. 3tem je oddał i oznajmił: - Zresztą jestem pewien, że ta osoba na zdję-iu to nie jest sekretarz stanu kardynał Gonzaga.

-
A ten? - Mesomedes palcem wskazał kolejną osobę. Moro zmarszczył czoło,

jakby chciał w ten sposób wyostrzyć wzrok.

końcu pokręcił głową.

-

Ciekawe - zauważył Mesomedes — bo kiedy wszedłem tutaj i zo-aczyłem pana po raz pierwszy, eminencjo, przysięgłbym, że to pan jest drugim człowiekiem na zdjęciu.

-To śmieszne - kardynał wyjął z kieszeni sutanny chusteczkę i równie hałaśliwie, co niepotrzebnie wydmuchał nos. Zajęło to trochę czasu, ' każdym razie na tyle długo, żeby prefekt Świętego Officium miał czas 1 zastanowienie.

Po zakończeniu ceremonii z chusteczką i schowaniu jej do ubrania, kardynał zmienił ton głosu: - Czy to jest przesłuchanie? Nic nie wiem

0

tym, żeby prokuratura w Rzymie prosiła Kurię o pomoc. Wydaje się pan jeszcze trochę niedoświadczony jak na to stanowisko. W każdym razie na terytorium Watykanu nie ma pan najmniejszych praw. Zatem pakuj pan swoje obskurne fotki i znikaj pan, signore...

- Mesomedes! - młody prokurator nie dał się onieśmielić i odparł:

- Co się tyczy pańskiej uwagi na temat mojego braku doświadczenia, eminencjo, to zapewne ma pan absolutną rację. Lecz to nie jest żadne przesłuchanie. W najlepszym razie zeznania świadka. Miałem nadzieję, że pańskie zeznania wprowadzą pewną jasność do sprawy.

-1 tej jasności szuka pan akurat w Watykanie? A w ogóle, to kto panu wydał pozwolenie na wznawianie tej sprawy?

-

A teraz, eminencjo, zmuszony jestem zakwestionować pańskie doświadczenie w zagadnieniach prawnych. Sprawa, o którą tu chodzi, wydarzyła się na terytorium Włoch i tym samym podlega prawu włoskiemu. Co się zaś tyczy mnie, to jestem przedstawicielem prokuratury Roma uno. Dla swoich dochodzeń nie potrzebuję żadnych specjalnych pozwoleń. Szczególnie, gdy chodzi o morderstwo.

-

Morderstwo? - Monsignore Sawatzki złożył dłonie jak do modlitwy

1

teatralnie podniósł wzrok na sufit. - Piąte przykazanie!

-

Piąte przykazanie - powtórzył pod nosem prokurator. Na biurku kardynała zadzwonił telefon.

Abate, prywatny sekretarz kardynała, który z oddali śledził przebieg rozmowy, podniósł słuchawkę,

-

Dzwoni sekretarz stanu! - zawołał podekscytowany.

Moro rzucił się do telefonu i wyrwał Abatemu słuchawkę z ręki:

-

Bracie in Christo\ Wszyscy martwiliśmy się o pana! ...Oczywiście, że nie jest mi pan winien żadnych wyjaśnień... Co znaczy obłudny? Przecież wszyscy siedzimy na tej samej łodzi, łodzi Piotrowej... Do usłyszenia, bracie in Christo.

Odłożył słuchawkę. Cichym głosem powiedział przed siebie: - Gonzaga znów się pojawił. Niech się Bóg nad nami zlituje.

Mesomedes uklonił się uprzejmie i wycofał bez słowa. Dość już usłyszał' Cuchnie jak diabli, pomyślał. Szczególnie w tym miejscu.

Przez dwa dni obserwacja domu markizy nie dała żadnego efektu. Po śmierci Lorenzy Falconieri stary budynek był praktycznie niezamieszany.

W tym czasie Malberg i Barbieri, którzy zmieniali się co trzy godziny, kropnie się nudzili. Pierwszego dnia Malberg, spacerując tam i z powrotem ulicą, rozmyślał jeszcze o dziwnej śmierci obu kobiet. Na drugi dzień zaczął liczyć kroki od końca ulicy do wylotu przy Via dei Coronari. Nie zyskał jednak żadnej konkretnej liczby, ponieważ, jak się okazało, długość jego kroku zmienia się wraz z porą dnia. Przed południem robił większe kroki, zaś po południu jego kroki stawały się wyraźnie krótsze.

W końcu uznał, że jego przekonanie o bezużyteczności obserwowania tego domu zostało już potwierdzone. W dodatku było coraz trudniej iść na okno domu markizy, nie zwracając niczyjej uwagi.

Pod wieczór drugiego dnia na ulicy pojawił się jakiś człowiek. Stał w pewnym krokiem podszedł do domu markizy, nacisnął dzwonek, odczekał chwilę, po czym oddalił się, odwracając się jeszcze i spoglądając w górę.

Malberg rozważał szybko, czy do faceta zagadać, ale porzucił tę myśl zaczął go śledzić.

Człowiek ten miał na twarzy blizny po oparzeniach. Brak rzęs i brwi był przerażające wrażenie. Przechodnie schodzili mu z drogi albo przechodzili na drugą stronę ulicy. Malberg, który mu deptał po piętach, wyraźnie to zaobserwował.

Zajęty bardziej śledzeniem poparzonego niż rzymskim ruchem ulicznym, Malberg przy przechodzeniu przez jezdnię wszedł prosto pod auto.

Jedynie dzięki błyskawicznej reakcji kierowcy nie doszło do wypadku. Gdy jednak przeprosił kierowcę i chciał kontynuować śledzenie, człowiek o czerwonej twarzy

zdążył już zniknąć w tłumie.

- Być może moje spostrzeżenie nie ma znaczenia - powiedział Malberg po powrocie do Barbieriego - ale jakiś człowiek z bliznami oparzeniowymi na twarzy dzwonił do domu markizy. Niestety, straciłem faceta z oczu.

- Człowiek z poparzoną twarzą, powiadasz? W średnim wieku, wysokie czoło, łysawy, jakieś sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, szczupły? - Z opisu Barbieriego przebijał wyraźnie śledczy kryminalny.

-

Znasz go? - zapytał podniecony Malberg.

- Znać to nie jest właściwe słowo. Ale tego człowieka zaobserwowałem już pierwszego dnia po południu. Szczerze mówiąc, to sam czułem się przez poparzeńca obserwowany. W każdym razie odniosłem takie wrażenie, kiedy przez całą godzinę szwendał się w okolicy rogu Via dei Coronari, a kiedy się zbliżałem, z udawanym znużeniem patrzył w inną stronę. Na chodniku przed nim leżało co najmniej dziesięć niedopałków.

- Byłem naprawdę wściekły, że ten facet mi się wymknął. Pytanie, czy istotnie przychodził do markizy.

- Mówiłeś przecież, że dzwonił.

- Tak, to zaobserwowałem.

- Zatem nie wie, że markiza nie żyje!

-

Nie, zresztą skąd, skoro żadna gazeta o tym morderstwie nie donosiła.

-

W takim razie z pewnością przyjdzie raz jeszcze.

Malberg głęboko nabrał powietrza i głośno je wypuścił. - Przeczuję coś

straszego. Mówisz więc, że powinniśmy naszą obserwację przedłużyć jeszcze na jutrzejszy dzień.

-

Lukas - Barbieri klepnął Malberga po ramieniu - jak na razie jest to nasza jedyna nadzieja. Ten człowiek przyjdzie do markizy po raz trzeci. Kto swój cenny czas spędza na tym, żeby całymi godzinami na kogoś czekać, ten się tak szybko nie podda.

-

Brzmi rozsądnie - uznał Malberg.

Dwa kolejne dni nie dały spodziewanego efektu. Również Barbieriego opanowało w międzyczasie pewne zniechęcenie. Prowadziło to do spiCce między nimi, ponieważ teraz sam Malberg doszedł do przekonania, &

: w obecnej sytuacji tamten poparzony facet to jedyne, co może im pomóc | posunąć sprawę do przodu.

Na ten dzień zakończyli już obserwację, ale kiedy zaczęło zmierzchać, Malberg raz jeszcze wyszedł z domu, aby poświęcić się mieszkaniu mar-Icizy Sam nie wiedział, co go tam gna.

Niektórzy mieszkańcy znali go już z widzenia. Pod osłoną zmierzchu Malberg ukrył się w bramie, z której z ukosa widać było dom markizy, i czekał.

Może upłynęły ze dwie minuty, gdy drzwi za jego plecami otworzyły się. Zanim Malberg zdążył się odwrócić czy uskokczyć, poczuł na plecach zimną lufę rewolweru. Oniemiały, podniósł ręce do góry.

-

Czego pan chce? Dlaczego pan mnie śledzi? - usłyszał stłumiony, wysoki głos,

jakby kastrata.

? Nie wiem, o czym pan mówi - wyjąkał Malberg. Czuł się jak spa-izowany. Strach ogarnął całe jego ciało. Malberg pomyślał o markizie, torą parę kroków dalej, po przeciwnej stronie ulicy, zastrzelono z zim-, krwią.

Człowiek w mroku za nim nie odpuszczał: - Obserwuję pana już od cu dni. -

Usłyszał Malberg, wciąż czując na plecach nacisk broni. - No, Lego pan chce?

-

Niczego — odparł Malberg słabo — naprawdę niczego. Ledwo odpowiedział,

otrzymał cios w tył głowy. Postrzelili cię! - po-

nyślał Malberg i wpadł w panikę. Czując potężny ból, próbował wymacać ię po kuli i

krwę płynącą po karku. Nic podobnego. W końcu zrozumiał, nieznajomy jedynie

uderzył go rewolwerem.

-

Więc? - Usłyszał Malberg za sobą stanowczy głos. Jego ciało było : pod

napięciem. Wszystkie mięśnie wibrowały. Nie miał najmniejszej

choty zgrywać bohatera.

-

Chodzi o markizę Falconieri...

-

Tak też sądziłem. Jakiż byłby inny powód do obserwowania tej puszczonej

kamienicy? Zna pan markizę?

- Nie bardzo. Raz żeśmy się spotkali. Chciałem kupić księgozbiór męża.

- Ach tak. Ile chciała za te starocie?

-

Cwierć miliona. - I zapłaciłby jej pan tyle?

- Tak, oczywiście. Zbiór był warty kilkakrotnie więcej. Lecz niestety, okazało się, że z tym księgozbiorem to chodzi o paserstwo. Ale to przypuszczalnie pan wie.

- Nic nie wiem! - warknął na Malberga nieznajomy. Równocześnie chwycił go za ramię i odwrócił do siebie.

Najpierw Malberg zobaczył tłumik grubości kciuka, długości dziesięciu centymetrów, niebieskawo błyszczący, przykręcony do lufy rewolweru. Za nim wyłoniła się pokryta poparzeniami twarz, bez rzęs i brwi. Malberg spodziewał się czegoś takiego. Znał już tę poparzoną twarz z odległości. Jednak teraz z bliska, był to widok jeszcze bardziej przerażający.

Wyglądało na to, że poparzonemu facetowi przyjemność sprawiło wrażenie, jakie zrobił na Malbergu; upływały sekundy, a tamten się nie odzywał.

Dlaczego, pomyślał Malberg, on się tak zachowuje? Chce go nastraszyć? Już mu się to wcześniej świetnie udało poprzez skryty napad. Ogarnięty mieszaniną złości i rozpacz, powiedział Malberg drżącym głosem:

-

Niechże pan wreszcie zabierze tę cholerną pukawkę. Naprawdę można się przestraszyć!

Słowa nie pozostały bez echa. Malberg nie sądził, że poparzeniec spełni jego żądanie i opuści broń. A tak właśnie się stało. Malberg z chwili na chwilę robił się odważniejszy. W milczeniu wpatrywał się w tamtego człowieka, jakby samym wzrokiem mógł go trzymać w szachu.

To musi być on, pomyślał Malberg, to z pewnością ten poparzeniec zastrzelił markizę. Myśl ta nie najlepiej podtrzymywała dopiero co odzyskaną odwagę.—

Wydaje mi się - powiedział — że weszliśmy sobie w drogę, mając inne zamiary. Przy

okazji, nazywam się Malberg, Lukas Malberg, antykwariusz z Monachium.

Nadzieja, że poparzeniec też się przedstawi, nie spełniła się. - Naturalnie może pan nie ujawniać swojego nazwiska - oświadczył Malberg przekornie.

-

Nazwiska są bez znaczenia - odparł tamten. - Niech pan mnie nazywa po prostu „poparzeniec”. Wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają.

—

Uśmiechnął się zgryźliwie.

Słowo „przyjaciele” w ustach tego człowieka zabrzmiało osobliwie-Lukas po prostu nie umiał sobie wyobrazić, żeby taki facet w ogóle miał przyjaciół. Był to raczej typ, który chodzi samotnie, i to po trupach.

Nagle Malbergowi przyszła do głowy straszna myśl. Dyskretnie przyglądał się poparzeńcowi. Jego rysy miały w sobie coś tak bezlitosnego, że można by mu przypisać wszystko - czy także zamordowanie Marleny?

-Jak poznał pan Marlenę Ammer? - zapytał Malberg okrężnie. Sam sobie się dziwił, skąd znalazł odwagę, żeby o to zapytać. W napięciu obserwował każdy ruch swojego rozmówcy.

-

Marlenę Ammer? A co? - Na mgnienie oka poparzeniec zrobił rażenie niepewnego. Reakcja, o którą Malberg by go nie podejrzewał.

- Powinienem znać tę damę?

- Była przyjaciółką markizy Falconieri.

- Dlaczego pan mówi była?

- Markiza nie żyje.

-Wiem. Chciałem się tylko przekonać, czy pan też wie. Jak na anty-yariusza, który

zajmuje się starymi księgami, to nie jest pan wcale taki jpi. Czy interesuje pana -
ciągnął - podłączenie się do moich interesów z markizą?

- Zależy, o co chodzi. Czy chodzi o stare książki? Na początek to byłoby dla mnie
interesujące.

- Wspomniał pan, że był skłonny zapłacić za książki dwieście pięćdziesiąt tysięcy
euro.

-

Bez wahania. Gdyby zbiór markizy nie był kradziony. Poparzeniec zrobił minę

pokerzysty: - Proponuję panu interes z mniejszym wkładem i większymi szansami na
zysk. Interesuje to pana?

-

Czemu nie - odparł Malberg dla zmylenia. W rzeczywistości wca-: nie miał

ochoty na szemrane interesy. Był przekonany, że poparzeniec jest jednym z

zawodowych oszustów, jakich setki zamieszkują przedmieścia Rzymu. Musiał jednak

jakoś przeciągnąć rozmowę. Przynajmniej dopóty, dopóki nie wyjaśni się powiązanie

między poparzeńcem a markizą,

choć nawet Marleną.

-

Czy ma pan luźne sto tysięcy dolarów? - zasięgnął informacji poparzony.

-

Co znaczy luźne? Takich pieniędzy nie noszę przy sobie w kieszeni.

-

Też się tego nie spodziewałem. Pytam, na kiedy mógłby pan taką votę

uruchomić? Przy założeniu, że się dogadamy.

-
Słuchaj pan, panie Poparzeniec, mówi pan tu o jakichś ciemnych fansakecjach.

Daj pan spokój. Nie zgodzę się na interes, o którym nawet

nie wiem, na czym polega. Wydaje mi się to bardzo niepoważne. Czy nie zechciałby mi pan wreszcie powiedzieć w czym rzecz?

Poparzeniec wił się jak piskorz. Człowiek, który spowodował u Mai-berga

śmiertelny strach, czuł się teraz przyparty do muru: - Tego się nie da tak po prostu

powiedzieć w dwóch zdaniach - oznajmił. - Chodzi

o

sprawę, w którą uwikłany jest Watykan, chodzi o pewien przedmiot, za który

Kuria, przy odpowiednich umiejętnościach negocjacji, gotowa jest zapłacić

wielokrotność sumy, którą panu wymieniłem.

-
Bzdura - skrzywił się Malberg. - Nie sądzi pan chyba poważnie, że się dam

nabrać. Gdyby było tak, jak pan mówi, to należałoby postawić pytanie, czemu pan

nie robi tego interesu sam?

Poparzeniec bardzo powoli schował broń pod płaszcz. Malberg odniósł nieodparte

wrażenie, że zrobił to tylko po to, by zyskać na czasie.

-
Próbowałem - odpowiedział wreszcie - ale próba się nie powiodła. Widzi pan,

ja jestem bardziej takim osiłkiem. Konkretnie zamówienie, strzał w stosownej chwili i

po sprawie. Albo włamanie: konkretny łup, trzy dni obserwacji i planowania, a po

piętnastu, dwudziestu minutach jest po wszystkim. Ale interes na sto tysięcy dolarów

z kardynałem Kurii to nie jest dla mnie łatwe zadanie. Rozumie pan?

Podczas przemowy poparzeńca Malberga naszło podejrzenie, że ten typ może mieć coś wspólnego z tajemniczym wypadkiem drogowym kardynała Philippo Gonzagi.

Czyżby tamte sto tysięcy dolarów, które Gonzaga wiózł z sobą w plastikowej torbie, było przeznaczonych dla poparzeńca?

Chociaż nie miał najmniejszej ochoty na robienie ciemnych interesów,

1

choć poparzeniec budził same podejrzenia — zaś zgroza, kiedy poczuł zimną lufę rewolweru na plecach, wciąż siedziała mu głęboko w kościach - mimo to Malberg udał zainteresowanie.

-

Widzi pan - mówił dalej tamten - kiedy los potraktuje kogoś tak okrutnie jak

mnie, dla kogoś takiego liczy się już tylko jedno na świecie, a jest to kasa. Obojętne, jak się wygląda, gdy się ma wypchany portfel. Wszystko na tym świecie można

kupić. A to powiedzenie, że pieniądze szczęścia nie dają, to bzdura. Gdyby tak było, wszyscy biedacy byliby szczęśliwi.

Malberg pokiwał głową w zamyśleniu. - Powiedz mi pan wreszcie> o co właściwie chodzi — zagadnął w końcu.

Poparzeniec pokręcił głową: - Nie tutaj i nie dzisiaj!

- Jasne, że nie - propozycja Malbergowi odpowiadała. - Ale rozumie pan, że o pieniądze postaram się dopiero wtedy, gdy wszystkie karty będą wyłożone na stół.

- Na nic innego nie liczyłem - odparł poparzeniec. - Ostrożności nigdy za wiele.

Świat jest zły. Proponuję, żebyśmy się spotkali jutro o dziesiątej.

- Zgoda. A gdzie?

- Przy rzeźbie Pieta Michała Anioła w Bazylice św. Piotra, zaraz po prawej od wejścia.

- Przepraszam, gdzie?

- Przecież dobrze pan rozumiał.

Zanim Malberg zdążył wyrazić swoje zdumienie, poparzeniec już szedł w kierunku Via dei Coronari.

ROZDZIAŁ 37

K

Kiedy Malberg wrócił do swojej kwatery u Barbieriego, spotkała go niespodzianka.

Barbieri miał gościa.

Caterina miała na sobie białą bluzkę i bezwstydnie krótką spódniczkę. Włosy miała rozpuszczone, zaś usta dyskretnie pomalowane, jak przy ich drugim spotkaniu w Colline Emiliane przy Via degli Avignonesi. W tej wersji już wtedy mało go nie przyprawiła o utratę zmysłów.

- Nie jest tak, jak myślisz - zareagował Barbieri na pełne wyrzutu spojrzenie Malberga. - Czekala pod drzwiami, kiedy wróciłem do domu.

- Już dobrze. Nie przeszkadzajcie sobie - warknął Malberg i odwrócił się na pięcie.

Jednak zanim doszedł do drzwi, Caterina go dogoniła i stanęła mu na drodze: - Ty cholerny uparciuchu! - powiedziała ze złością. Równocześnie zarzuciła mu ręce na szyję i wsunęła nogę pomiędzy jego. - Jakże mam cię przekonać, że Paolo oszukał także i mnie?

Malberg poczuł jej gorące ciało, zachłysnął się zapachem jej rozpuszczonych włosów i zapragnął ją przytulić, jednak wciąż kołatało się w nim uczucie podejrzliwości. Właściwie bardzo potrzebował kogoś, komu mógłby zaufać.

Wyraźnie widział pożądanie w jej ciemnych oczach. Mój Boże, pomyślał, jeżeli istnieje kobieta, która mogłaby zmienić moje myślenie, to jest nią Caterina. Trzeba w

końcu zapomnieć o Marlenie.

Na zewnątrz Malberg robił wrażenie chłodnego. Odwrócił wzrok i próbował się wyzwolić z objęć Cateriny, chociaż po raz pierwszy naszła go wątpliwość, czy aby jednak nie potraktował jej niesprawiedliwie.

-

No, posłuchaj wreszcie, co Caterina ma nam do przekazania - z drugiego planu odezwał się głos Barbieriego.

Lukas rad nierad usiadł obok Barbieriego przy kuchennym stole. Caterina bez słowa podała mu karteczkę z numerem domu przy Lungotevere Marzio, niezłym adresem pomiędzy mostami Ponte Cavour i Ponte Umberto na lewym brzegu Tybru.

- Co to? - spytał Malberg z udawanym spokojem.

- Nowy adres signory Fellini - odparła Caterina. - Od Paola - dodała niemal trwożliwie. - Mówił, że jest mu przykro i pragnie naprawić to, co popsuł. On naprawdę chce ci pomóc!

-Już raz chciał pomagać — zaperzył się Lukas.

-

Wiem. W międzyczasie wyznał mi, jak to wszystko się stało. Paolo, już po naszej wizycie w zamurowanym mieszkaniu Marleny, dowiedział się od mieszkającej dwa domy dalej sąsiadki, że jakiś nieznajomy zaproponował signorze Fellini duże pieniądze za milczenie. Coś tam zaobserwowała w domu przy Via Gora i miała o tym nie mówić. Musiała to być poważna suma, którą jej zaoferowano. W każdym razie wystarczyła na mieszkanie w najlepszej dzielnicy, zaś styl życia byłej dozorczyńi z dnia na dzień się zmienił. Paolo zdołał, nie wiem, jakim sposobem, namierzyć nowy adres signory. A równocześnie trafił na interesujące powiązania, na tropy prowadzące do Watykanu. Nagle Paolo dowiedział się czegoś, o czym lnie miał wiedzieć. Tak czy

inaczej chodziło o sprawy tak wielkiej wagi, że teraz sam mógł wysuwać żądania.

Ale chcieli mu wepchnąć jakąś żalospną kwotę. Podczas przekazywania pieniędzy przez signore Fellini, doszło do tamtej sceny, którą wspólnie obserwowaliśmy.

Malberg milczał.

- A gdzie jest teraz Paolo? - spytał Barbieri.

- Nie wiem - odpowiedziała Caterina. - Rozmawialiśmy tylko przez telefon.

Twierdził, że go śledzą i musi się ukryć. Pilnie chciał pogadać z tobą, Lukas. Wiem, że to niełatwe dla ciebie, ale musisz mu wybaczyć!

Słowa Cateriny rozzłościły Malberga: - Ach, szanowny pan brat tak sobie to prosto wyobraża: przepraszam, to się więcej nie powtórzy. Dziękuję bardzo, sam sobie poradzę. Bez pomocy jakiegoś podejrzanego rzezimieszka.

Malberg zmiął karteczkę i rzucił nią o sufit. Jego nerwy nie były teraz ^
najlepszym stanie. Nagle znów stanęła mu przed oczami wykrzywiona S?ba
poparzeńca. Powoli miał już tego wszystkiego dość.

-

Zwariowałeś! - zdenerwował się Barbieri i podniósł papierek. - gy^ może

Paolo rzeczywiście jest w stanie nam pomóc - tu zwrócił się do Ca-teriny: - Gdzie możemy złapać Paola?

Caterina pokręciła głową. - Nawet nie wspomniał, gdzie się teraz zatrzymał. Sądzę, że się bał. Ale w ciągu najbliższych dni ma zadzwonić.

Giacopo spojrzał na Lukasa z wyrzutem: - Skoro nie chcesz rozmawiać z Paolem, to ja z nim pogadam.

-

Nie mogę cię powstrzymać - powiedział Malberg. Wstał i wepchnął krzesło

pod stół, jak w jakiejś podrzędnej knajpie. - Nie możesz tylko zapomnieć o zabraniu z sobą jakiejś większej gotówki. Bo z Paolem, jak wiadomo, bez kasy niczego się nie załatwi. A teraz wybaczcie. Musze natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na ulicy Malberg napełnił płuca chłodnym nocnym powietrzem. Poczł dreszcz i postawił kołnierz marynarki. Bez żadnego planu, z rękami w kieszeniach,

przespacerował się wzdłuż Via Caio Cestio, po czym skierował się ku Porta San Paolo. Toporna budowla z czasów antycznych tonęła w bladym świetle reflektorów.

W barze na rogu zamówił Lukas podwójną grappę i wychylił ją jednym haustem.

Czuł się źle w swojej skórze. Było mu przykro z powodu szorstkiej wymiany zdań z Cateriną. Sam już nie wierzył w to, że Caterina wiedziała o machinacjach Paola; był jednak zbyt dumny, żeby to przyznać.

ROZDZIAŁ 38

D

Ziesięć minut przed umówioną godziną Malberg był już w Bazylice św. Piotra. W anemicznym kościelnym oświetleniu Piet? Michała Anioła wydawała się niepozorna, a w dodatku z bocznej kaplicy wylewała się horda żądnych wrażeń turystów, którzy zasłaniali widok.

Nieokreślonego wieku przewodniczka zagranicznej wycieczki, w okularach i ciemnoszarym kostiumie, nabożnie przyciszonym głosem opowiadała o

Michelangelo. W wieku lat dwudziestu jeden, jak donosiła, przybył on z tętniącej życiem Florencji do Rzymu, podupadłego prowincjonalnego miasta. To nawet nie papież, lecz pewien francuski kardynał zamówił tę rzeźbę u młodego artysty.

Kardynałowi bardzo zależało, aby stała się ona najpiękniejszym dziełem sztuki istniejącym w Rzymie. Trzy lata Michelangelo rzeźbił w bloku białego marmuru...

Malberg poczuł uszczyplenie w bok. Odwrócił się. Po prawej stronie stał

poparzeniec. Robił wrażenie dość zaniedbanego, jakby spędził noc na ławce w parku.

Gdy Lukas chciał coś powiedzieć, poparzeniec położył palec na ustach i pokazał ruchem głowy w kierunku, gdzie stała Piet?, że ma posłuchać wywodu przewodniczki.

Michelangelo, opowiadała tamta, był tak dumny ze swojego dzieła, że wbrew ówczesnemu zwyczajowi po zakończeniu rzeźby wykuł swoje imię [na szarfie Madonny. Był to jedyny podpis na rzeźbach Michała Anioła. A młody artysta wykuł swój podpis w marmurze potajemnie, nocą. Kiedy zleceniodawca zauważył „uszkodzenie”, było już za późno.

Malberg słuchał jednym uchem. Kątem oka obserwował poparzeńca.

- Ach, co tam - zauważył Malberg zirytowany. W gromadzie ludzkiej czuł się bezpieczny, pomimo obaw, że nieznajomy mógłby zastawić na niego pułapkę.

- Od pięciuset lat - mówiła dalej przewodniczka - trwają dyskusje na temat sposobu przedstawienia Matki Boskiej. Madonna wydaje się młoda, piękna i szlachetna, wygląda bardziej na kochankę niż matkę Syna. Michelangelo uzasadniał taki wizerunek uwagą, że niewiasty dziewicze wyglądają bardziej świeżo niż te, których dusze wpadły już w sidła grzesznych żądź.

- Do rzeczy - syknął Malberg zniecierpliwiony. - Po co mnie pan tutaj ściągnął?

Poparzeniec zbliżył się do Malberga. - Było to dobrych parę lat temu - zaczął piskliwym szeptem - kiedy to zlecono mi najdziwniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek otrzymałem. Pewien przedstawiciel Kurii, który skrupulatnie przemilczał swoje nazwisko, zaproponował mi pięćdziesiąt milionów lirów, na dzisiejsze pieniądze dwadzieścia pięć tysięcy euro, za włamanie do katedry w Turynie. Z początku sądziłem, że jakiś kardynał zapalał chęcią posiadania jednego z dzieł sztuki. Żaden

problem! Z kościołów i katedr każdego roku tysiące dzieł sztuki znikają na amen. A, przy całej mojej skromności, system alarmowy, którego nie potrafię obejść, trzeba dopiero wynaleźć! Jednak w tamtej sprawie nie chodziło po prostu o włamanie. Na miejsce słynnego całunu turyńskiego miałem podłożyć podobno doskonałą kopię. W tym celu w kaplicy, gdzie przechowywano całun, miałem podłożyć ogień. Proszę to sobie wyobrazić!

- Niewiarygodna historia - szepnął Malberg - ale po co mi pan to wszystko opowiada?

- Zaraz pan zrozumie - poparzeniec odciągnął Malberga na bok, gdy ludzie zaczęli na nich patrzeć podejrzliwie. Pod osłoną kolumny kontynuował: - Pięćdziesiąt milionów lirów to nie byle co. Przyjąłem zlecenie, zdobyłem plany turyńskiej katedry, całe dni spędzałem w kościele, badając wszelkie możliwe kryjówki i opracowując plan działania. Pewnego niedzielnego wieczoru, mając z sobą kopię całunu, dałem się zamknąć w katedrze i zabrałem się do roboty.

Malberg wciąż nie pojmował, do czego poparzeniec zmierza. —

Ciekawa opowieść - zauważył z ironią

niedowiarka. - Załóżmy nawet, że jest prawdziwa. Ale na czym polega pana propozycja dla mnie?

- Cierpliwości! Cierpliwość jest matką sukcesu - odparł poparzeniec. - Wszystko szło zgodnie z planem. Specjalnym przyrządem otworzyłem sanktuarium, gdzie spoczywał całun, i zamieniłem oryginał na kopię. Dziwne uczucie mnie ogarnęło, kiedy trzymałem w rękach płótno, w którym Jezusa z Nazaretu złożono do grobu.

Niby nie jestem pobożny, ale w końcu takie rzeczy nie zdarzają się codziennie.

- Ma pan całkowitą rację. Ale...

Poparzeniec uniósł rękę. - Wtedy naszła mnie myśl, żeby odciąć dla siebie malutki

kawałeczek tego płótna. Całun i tak był uszkodzony w różnych miejscach.

Pomyślałem, że nikt tego nie zauważy. Nożem odciąłem więc kawałek materiału, nie większy od znaczka na list, i schowałem do kieszeni.

Człowiek naznaczony poparzeniami sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej celofanową torebkę, w której widoczny był kawałeczek wyblakłego płótna.

Trzymał to Malbergowi przed nosem jak jakieś trofeum.

Malberg zaczął powoli rozumieć, o co chodzi. Przez parę sekund bez słowa wpatrywał się w celofanową torebkę. Opowieść brzmiała tak sensacyjnie, że niełatwo było w nią uwierzyć. Z drugiej strony była tak niezwykła, że nie chciało się wierzyć, aby miała być po prostu wymyślona.

-

Najpierw - poparzeniec podjął w końcu temat - zabrałem oryginalny całun w bezpieczne miejsce, chowając go za jednym z bocznych ołtarzy. Następnie spełniłem życzenie moich zleceniodawców i z użyciem rozpałki podpaliłem obrus na ołtarzu w sanktuarium. Czy wie pan, jak doskonale palą się te ołtarzowe obrusy? - zapytał w przychylnym sarkazmu. - Proszę na mnie spojrzeć, to będzie pan wiedział! Wszystko stało się tak szybko. Zanim się obejrzałem, od pasa w górę stałem już w płomieniach. Z bólu ryknąłem jak zarzynane prosię i przeturlałem się po posadzce. Jakoś mi SIC udało zgasić płonące ubranie. Schowałem się za bocznym ołtarzem, tam, gdzie wcześniej umieściłem autentyczny całun, i czekałem, aż ktoś Zauważy pożar i przyjedzie straż pożarna. W ogólnym chaosie zdołałem razem z łupem opuścić katedrę niezauważony. Teraz widzi już pan, że za-panie nie było pozbawione ryzyka. W tych okolicznościach marne pięćdziesiąt milionów lirów od zleceniodawcy było po prostu bezczelnością. 10 jednak uzmysłowiłem sobie dopiero potem.

~ A co się stało z kopią całunu? Spłonęła?

Poparzeniec zaśmiał się sztucznie. - Prawie. Niewiele brakowało, żeby płomienie objęły też skrzynię, w której przechowywano całun. Nie, całun tylko trochę się przypalił na kilku zgięciach. Od tamtej pory po obu jego stronach są drobne ślady sadzy. Ale to dodaje tylko autentyczności ternu falsyfikatowi i taka też była intencja mojego zleceniodawcy.

-
A oryginał?

-
Na oryginale nie powstały żadne uszkodzenia. Dostarczyłem go następnego dnia o umówionej porze w umówione miejsce i przyjąłem zapłatę. A wie pan gdzie? - poparzeniec odwrócił się i głową pokazał na rzeźbę Michała Anioła.

W międzyczasie przewodniczka i grupę turystów poszli już dalej. Na parę chwil zapanowała cisza. Malberg zastanawiał się. Nie wiedział, jak oceniać poparzeńca. Już na pierwszy rzut oka nie był to typ, z którym koniecznie chciałoby się robić jakieś interesy. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby zostawić poparzeńca i sobie pójść. A jednak istniało coś, co Malberga od tego odwiodło: przeczucie, że spotkanie z poparzeńcem nie było dziełem przypadku. I że ten ciemny interes ma jakiś zupełnie inny kontekst.

-
Pan pozwoli - powiedział Malberg uprzejmie i chciał wziąć od poparzeńca celofanową torebkę.

Ten jednak cofnął cenny przedmiot. — Nie, nie pozwolę - zareagował stanowczo. -

Chyba pan rozumie.

Malberg do pewnego stopnia nawet rozumiał jego ostrożność. Bez wątpienia

istniała po obu stronach podejrzliwość. W każdym razie Malberg udawał zainteresowanie transakcją.

-

Kto właściwie gwarantuje autentyczność tego kawałka płótna? Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie sugeruję, że jest pan oszustem, ale prawie wcale się nie znamy!

Poparzeniec pokiwał głową jak spowiednik wysłuchujący wyznania grzesznika. Schowawszy zaś celofanową torebkę do lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, z prawej wyciągnął poskładaną kopertę i podał Malbergowi.

Koperta zawierała trzy zdjęcia rentgenowskie w formacie trzynastu na osiemnaście centymetrów. Pierwsze pokazywało przednią i tylną stronę całunu turyńskiego. Na drugim widoczny był fragment całunu z brakuje?" cym kawałkiem, który poparzeniec odciął. Trzecie zdjęcie rentgenowska pokazywało w tej samej skali kawałek materiału, którego kupno zaproponował mu poparzeniec. Wyraźnie widać było strukturę nitek.

r

-

Nakładając na siebie te dwa negatywy - oświadczył poparzeniec % dumą w głosie - stwierdzi pan, że struktura tego maleńkiego wycinka stanowi dokładnie dalszy ciąg struktury całego całunu.

Malberg nałożył negatywy na siebie i przytrzymał pod światło, padające na nawę z kopuły. Rzeczywiście, zawiły tkacki wzór jodełkowy płynnie przechodził przez miejsce cięcia. Poparzeniec naprawdę pomyślał o wszystkim.

- Więc? - zapytał poparzony wymagającym tonem.

- Co więc? - odparł Malberg, choć doskonale wiedział, o co tamte-|mu chodzi.

-Jest pan zainteresowany? Sto tysięcy dolarów w banknotach o dużych nominałach! - tu dziesięć razy pod rząd rozczapierzył palce obu dłoni.

- Tak - odpowiedział Malberg powoli. - W zasadzie tak - poczuł się dość bezradny w tej sytuacji. Na razie nie miał pomysłu, jak utrzymać po-parzeńca w nadziei na transakcję.

- Powiedzmy, za tydzień? W tym samym miejscu o tej samej porze.

- Zrozumiałem.

-

ROZDZIAŁ 39

K

iedy prokurator Achille Mesomedes wszedł do swojego biura w budynku sądu, zza monitora wyjrzała jego sekretarka z pewnym zakłopotaniem.

-

Burchiello pytał o pana. Był zdenerwowany. Ma pan natychmiast zgłosić się do niego!

Mesomedes postawił teczkę na biurku i poszedł do biura szefa prokuratury. Tam już na niego czekali.

Giordano Burchiello, korpulentny prawnik o budzącej szacunek si-wiżnie, uchodził za najgroźniejszą broń w walce przeciwko mafii. Były jednak też głosy przypisujące mu wręcz pewne powiązania z tak zwanym lepszym towarzystwem. W każdym razie jako szef prokuratury Roma uno był przełożonym kilkunastu prokuratorów, przeważnie młodszych, a wśród nich był też Achille Mesomedes.

- Dottore Mesomedes - zaczął, specjalnie akcentując tytuł, jakby ten, któremu nie

przyznano stopnia naukowego, chciał sobie zakpić. - Dottore Mesomedes, kazałem pana wezwać, gdyż doszły mnie słuchy, że pan samowolnie wznowił śledztwo w pewnej umorzonej sprawie.

- To prawda, panie prokuratorze. Nie wiedziałem, że to jest naganne bądź niezgodne z prawem.

Szef prokuratury zdjął czarne okulary i rzucił je na biurko wielkości stołu do ping-ponga. Potem splótł ręce na brzuchu i zaczął mówić - Zgodnie z prawem tego kraju prokuratorzy nie cieszą się, jak sędziowie przywilejem merytorycznej i osobistej niezawisłości. Mają wykonać polecenia swoich przełożonych. Pojedynczy prokurator działa wyłączone

Jako przedstawiciel pierwszego urzędnika prokuratury, czyli mnie. Jakoś ? sobie nie przypominam, że bym wydawał panu stosowne polecenie dotyczące wznowienia sprawy Marleny Ammer.

-
Nie, panie prokuratorze - odparł Mesomedes potulnie - ale jeśli mi wolno mi coś powiedzieć, to wcale nie wznowiłem tej sprawy. Przeglądałem jedynie akta, że się tak wyrażę w celach naukowych, i wtedy napotkałem osobliwości i niespójności, które nasuwały podejrzenie...

- Zatem wątpi pan w to, że traktuję poważnie swoją pracę - przerwał Burchiello wywód młodego prokuratora.

- W żadnym razie!

- Ja to śledztwo umorzyłem. Akta noszą mój podpis. Tamta kobieta utonęła w wannie. Tym samym sprawa jest zamknięta raz na zawsze. Mówił pan o osobliwościach?

- Cóż, chociażby ten protokół sekcji. Za pozwoleniem, robota niestaranna.

- Kwalifikacje, które posiada dottore Martino Weber, są bezdyskusyjne!

- Nie twierdziłem, że jest inaczej. Jednak z wysokich kwalifikacji nie wynika, że nie można mieć jednego gorszego dnia. Odniosłem wrażenie, że ten protokół sekcji powstał na biurku. Same formułki, z których nie sposób wyciągnąć żadnych wniosków. Zaś przesłanka najbardziej niezwykła pozostała niezauważona.

- Co ma pan na myśli, doktorze Mesomedes?

- Siady substancji zapachowych na szlafroku ofiary, mieszankę kosztownych żywic, jak olibanum i balsam peruwiański, z których wyrabia się najdroższe na świecie kadzidła. Kadzidła używane do dziś wyłącznie w Watykanie.

Burchiello odchrząknął, jakby zakrztusił się dymem kadzideł. - Ciekawe - orzekł z uśmiechem wyższości. - I jakież to konkluzje pan stąd wysnuwa? Mam nadzieję, że nie wniosek o uwikłaniu papieża w tę sprawę? - tu szef prokuratury roześmiał się, po czym dostał napadu kaszlu. - Świetna historia! - powtórzył kilka razy. - Naprawdę świetna historia!

Kiedy w końcu się uspokoił i otarł pot z rumianej twarzy, Mesomedes odpowiedział spokojnie: - Nie papież. Ale może Kuria!

-

Nie rozumiem pana! - szef prokuratury był zdezorientowany. Mesomedes miał

jeszcze jednego asa w rękawie. I właśnie teraz nim

agrał: - W gazecie Guardiano - zaczął z podniesioną ręką - ukazał się

wtedy doskonały, dociekliwy artykuł o tej sprawie, pióra dziennikarki zwiaskiem

Caterina Lima.

— O mój Boże, to nazwisko już gdzieś słyszałem - Burchiello wznosił błagalnie

rękę. - Nie cenię wysoko śledczego dziennikarstwa tego rodzaju

-Tak czy inaczej, artykuł podawał cały szereg sprawdzalnych faktów o których gdzie indziej nie można było przeczytać. Dlatego nawiązałem kontakt z tą reporterką.

Pokazała mi zdjęcia, które zrobiła podczas pogrzebu Marleny Ammer.

— No i co? Do czego pan zmierza? Przecież wszystkie pogrzeby wyglądają tak samo.

— Pozwolę sobie wątpić. Są pogrzeby duże i skromne, z błogosławieństwem Kościoła i bez niego, ale tamten pogrzeb wydał mi się doprawdy niezwykły. Bowiem w pochówku Marleny Ammer brało udział co najmniej dwóch kardynałów Kurii, jeśli nie więcej. W każdym razie na zdjęciach wyraźnie można rozpoznać, że byli tam obecni sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga oraz przełożony Świętego OfEcium Bruno Moro.

Burchiello zerwał się z fotela i zaczął chodzić przy biurku tam i z powrotem z rękami splecionymi za plecami.

— Nie wierzę - mruknął pod nosem. Przy tym cały czas miał wzrok wbity w podłogę.

— Fotografie nie pozostawiają żadnych wątpliwości, przynajmniej co do dwóch wymienionych osób. Nie znam dobrze watykańskich osobistości, ale być może na tych zdjęciach widać jeszcze innych członków Kurii.

— A jeśli nawet? - szef prokuratury nagle się zatrzymał i spojrzał na Mesomedesa.

- Cóż miałyby to oznaczać?

— Powiem tak: jest to niezwykle. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, żeby na mój własny pogrzeb zabłądził choćby jeden przedstawiciel Kurii. A w ogóle, to skąd ci

dygnitarze wiedzieli, że ciało zmarłej jest już po sekcji? Dlaczego Marlenę Ammer

pochowano anonimowo? I dlaczego jeden z uczestników pogrzebu próbował

dziennikarce odebrać kartę pamięci z tymi zdjęciami? Nie całkiem od rzeczy wydaje

się przypuszczenie, że pomiędzy Kurią i rzymskim wymiarem sprawiedliwości istnieją pewne kontakty.

— To śmieszne! - Burchiello z niesmakiem pokręcił głową. Następnie podszedł bardzo blisko do Mesomedesa i powiedział niemal szeptem: - Naprawdę chce pan zmarnować swoją karierę? Dam panu dobrą radę-

—
jsJiech pan nie gmera już w tym bagnie. Zresztą ja pana rozumiem. Ostatecznie też byłem kiedyś młody i ambitny.

Mesomedes już miał na końcu języka, że trudno to sobie wyobrazić; jednak przełknął ten komentarz i zamiast tego powiedział: - Tu nie chodzi o ambicję, panie prokuratorze. Tutaj chodzi tylko i wyłącznie o prawo oraz sprawiedliwość.

Burchiello uśmiechnął się bezczelnie. - Sprawiedliwi muszą wiele wycierpieć. Już Psalmy o tym mówią.

- W Psalmach napisano też, że prawo musi pozostać prawem.

- Ależ z pana uparciuch, dottore Mesomedes. Mam tylko nadzieję, że pański upór pana nie zgubi - jego słowa zabrzmiały jak groźba.

Mesomedes poczuł się nagle jak w amerykańskim filmie gangsterskim, gdzie prokuratorzy zawsze są skorumpowani i bez sumienia. Zadzwoił telefon. Szef prokuratury odebrał: - Pronto!

Mesomedes odniósł wrażenie, że Burchiello przyjął wobec rozmówcy po drugiej stronie postawę poddańczą.

-

Nie - powiedział do słuchawki - chodzi tylko o przeoczenie... Oczywiście, zajmę się tym i osobiście poprowadzę sprawę... Proszę wybaczyć kłopot... Polecam

się, ekscelencjo! - i odłożył słuchawkę.

Do Mesomedesa powiedział jeszcze: — To tyle. Rozumiemy się.

ROZDZIAŁ 40

D

wa dni i dwie noce spędził sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga w swoich zaciemnionych prywatnych pokojach Pałacu Apostolskiego. Odmawiał jedzenia i nikogo do siebie nie dopuszczał, nawet osobistego lekarza papieża, którego wezwał na pomoc kardynał Moro. Gonzaga chciał być sam.

Miał problemy z połapaniem się w rzeczywistości. W dodatku w nieregularnych odstępach czasu ogarniały go dreszcze, które wprowadzały jego osłabione ciało w taki dygot, jakby podłączano go do prądu.

Gdy tylko jego niesforne członki się uspokoiły, Gonzaga podjął próbę uporządkowania myśli. Kto stał za uprowadzeniem? Wrogów miał pod dostatkiem, lecz tych najmniej interesował całun turyński.

Ze zniekształconego głosu w rzeźni, który dochodził z głośnika, zostały mu w pamięci jedynie jakieś strzępy oraz fakt, że tamten człowiek posługiwał się teologiczną terminologią. To, a także okrucieństwo postępowania, wskazywało początkowo na Aniceta, przełożonego Fideles Fidei Flagrantes.

Jeżeli w ogóle ktokolwiek miał informację na temat autentyczności całunu, to właśnie Anicet. Kardynał osobiście zawiózł mu całun do Burg Layenfels, i on sam, Gonzaga, mógł zaświadczyć, że chodziło o oryginał, a nie kopię. W każdym razie był to całun przechowywany w Watykanie. W końcu własnoręcznie wyjął go ze skarbca i owinał się nim.

Nie, pomyślał sekretarz stanu, Anicet odpada. O ile sobie przypominał, głos z

głośnika zapytany, czy pracuje dla Aniceta, po długim wahaniu odparł, że to Anicet pracuje dla niego.

Kim zatem był tamten głos w chłodni?

Rankiem trzeciego dnia swojego dobrowolnego odosobnienia, Gonzaga poczuł, że jest głodny jak wilk. Do tej pory myśl o wieprzowych półtuszach, pośród których przez całe potworne godziny wisiał sam jak kawał mięsa, zozydzała mu wszelkie jedzenie. Teraz jednak chwycił za telefon i u sióstr odpowiedzialnych za żywienie członków Kurii z papieżem włącznie zamówił śniadanie - bez kiełbasy i szynki, jak wyraźnie podkreślił.

Niedługo potem zapukano do drzwi i zjawił się monsignore Abate, prywatny sekretarz kardynała Bruno Moro, z tacą, na której było zamówione śniadanie i gazety Messagero oraz Osservatore Romano.

-

Dzień dobry, ekscelencjo, w imię Pana - powiedział Abate, świeżo ogolony i w nienagannie wyprasowanej sutannie.

Gonzaga, ubrany jedynie w purpurowy płaszcz kąpielowy od Massimiliano Gammarelliego, papieskiego krawca z Via di Santa Chiara, podniósł wzrok.

-

Gdzie Soffici? - warknął, zobaczywszy sekretarza swojego największego wroga.

Ten wzruszył ramionami. - Do dziś się nie pojawił. Kardynał Moro chce uruchomić policję.

Gonzaga wstał z fotela, w którym spędził ostatnie dwa dni i zadumał się. Potem podszedł do środkowego okna swojego gabinetu i przez zamknięte żaluzje zagapił się na Plac św. Piotra. Rozległy plac, otoczony portykiem Berniniego, był o tej porze

jeszcze spokojny i wyludniony.

Gonzaga odwrócił się: — Proszę powiedzieć kardynałowi Moro, że nie życzę sobie uruchamiania policji w związku z Sofficim. Siedzi teraz zapewne w jakimś konfesjonale w bazylice San Giovanni na Lateranie albo w San Pietro de Tortosa in Vincoli, albo w Santa Maria Maggiore.

Monsignore spojrział ze zdziwieniem na Gonzagę: - Ekscelencjo, dlaczego przyszły panu do głowy akurat te świątynie Pańskie?

Zniecierpliwiony sekretarz stanu głośno fuknął. — Nie mówiłem, że Sofficiego można znaleźć w którymś z tych kościołów. Mówiłem jedynie o możliwości, że mój sekretarz znajdzie się w jednej z tych świątyń. Czy to tak trudno pojąć?

-

Nie, ekscelencjo, rozumiem, co ma pan na myśli.

-

Ostatecznie mnie również porzucono w kościele... - tu Gonzaga rzerwał.

Niespokojnym, niemal dzikim spojrzeniem ogarnął tacę ze śniadaniem, którą Abate postawił na stoliku.

- Zamawiałem śniadanie bez kielbasy i szynki - warknął Gonzaga - a co pan mi tu przynosi, monsignore } Szynkę!

- Ale dzisiaj nie jest piątek ani żaden inny dzień, podczas którego prawa Kościoła wymagają wstrzemięźliwości od mięsa. Siostry uznały, że musi pan wrócić do sił, ekscelencjo!

- No tak. Siostry uznały. - Sekretarz stanu wziął z biurka kopertę z papieskimi insygniami i zaczął do niej wpychać kolejne plasterki szynki. Kiedy talerzyk był już pusty, Gonzaga polizał kopertę, zakleił i wręczył monsignorowi ze słowami: - Niech

te stare panny zajmą się własnym zdrowiem. Pan im to powie!

Abate wykonał coś w rodzaju ukłonu, jakby mu właśnie podano mszał do porannej mszy, a nie kopertę z pięcioma plasterkami szynki. Następnie bez słowa wyszedł tą samą drogą, którą przybył.

Sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga nie pamiętał, żeby podczas swojej kościelnej kariery kiedykolwiek własnoręcznie otwierał w pokoju okiennice. W Pałacu Apostolskim był to obowiązek sióstr, obok odkurzania i ścielenia łóżek. Tego jednak ranka Gonzaga osobiście otworzył wysokie okiennice środkowego okna swojego apartamentu. Potem poczuł ochotę na śniadanie, które — pomimo odesłania szynki - wciąż robiło wrażenie obfitości: jajecznica z czterech jaj na srebrnym półmisku, trzy rodzaje sera, miód i trzy marmolady, dwie bułki, także ciemny i biały chleb, mi sęczone budyniu z grysy, wzbogacone rodzynkami i orzechami, kubek kwaśnego mleka oraz dzbanek angielskiej herbaty.

Śniadanie razem z przejrzaniem porannych gazet zwykle zajmował kardynałowi trzy kwadransy. Jednak tego ranka zakończyło się nagle po dwudziestu minutach, zanim jeszcze Gonzaga ruszył swój budyń.

Wśród lokalnych wiadomości w Messagero kardynał natrafił na następującą notatkę:

NIEZIDENTYFIKOWANE ZWŁOKI W FONTANA DI TREVI

Rzym. — Wczoraj około szóstej rano podczas swojego obchodu specjalista od studni Carlo di Stefano odkrył w Fontana di Trevi, odwiedzanej codziennie przez tysiące turystów, zwłoki nieznanego człowieka. Ciało tego pięćdziesięcioletniego mężczyzny z rozłożonymi rękami unosiło się na wodzie twarzą w dół. Według ustaleń śledztwa śmierć musiała nastąpić

pomiędzy godziną drugą w nocy a szóstą rano. Jak dotąd nie stwierdzono, czy niezidentyfikowany człowiek wpadł do fontanny pod wpływem alkoholu i utonął, czy mamy tu do czynienia ze zbrodnią. Zwłoki przewieziono do uniwersyteckiego Instytutu Medycyny Sądowej w celu przeprowadzenia sekcji. Policja zwraca się z prośbą o informacje w tej sprawie.

Gonzaga zerwał się i rzucił do telefonu: - Alberto? Proszę podjechać ochodem.

Muszę niezwłocznie udać się do uniwersyteckiego Instytutu Medycyny Sądowej.

Szybko. Piętnaście minut później kardynał był już w drodze na patologię. Jak sze,

Gonzaga siedział na tylnym siedzeniu po prawej stronie, i jak za-ze jazda przebiegała w milczeniu. Sekretarz stanu nie znosił jazdy samo-odem jak inni lotu samolotem.

Ruch uliczny w Rzymie potępiał wręcz o dzieło szatana, ponieważ ruch ten

przyprawiał go o spocone czoło nawet w zimne styczniowe dni. Było to zrozumiałe w kontekście niezawinionego wypadku na Piazza del Popolo oraz uprowadzenia przed kilkoma latami. Mimo to nie umiał się obejść bez tego środka transportu.

Kiedy sekretarz stanu dotarł na miejsce, już na niego czekali. Patolog zaprowadził

Gonzagę do suterenu. Gonzaga z trudem panował nad atakiem myśli. Gdyby miał

być szczery, to nieszczęśliwie lubił Sofficiego, który czasem go niezłe denerwował,

choć był bystry i znał Biblię nikt. Jednak Soffici był typem pechowca, wiecznego

przegranego, zaś ościół miał pod dostatkiem przegranych. Nawet w Biblii - od

Adama, po Piotra - aż roi się od przegranych.

W sali wyłożonej białą glazurą, jak niemal wszystkie pomieszczenia suterenu,

doktor Weber otworzył drzwi, nie większe niż drzwi ka-erskiej lodówki.

Jednym szarpnięciem doktor wyciągnął ze ściany noszone ukryte białym

prześcieradłem. Pod nim widać było zarys zmarłego. Patolog bez słowa ściągnął

prześcieradło.

Gonzaga zmarł. Chciał coś powiedzieć. Coś jednak sparaliżowało u mowę. Szczęki miał zeszywniałe. Zacisnął zęby.

Gdyby był w stanie mówić, powiedziałby: To nie jest Soffici, mój sekretarz. Jednak znam tego człowieka, nie wiem, jak się nazywa i gdzie mieszka, ale rozpoznaję go po oparzeniach na twarzy. Już raz spotkali-

śmy się, wtedy podczas lotu z Frankfurtu do Mediolanu. Zaproponował mi absurdalną transakcję. Sto tysięcy dolarów za mały kawałek płótna nie większy niż znaczek pocztowy. Lecz potem...

-

Czy pan rozpoznaje tego człowieka? - dottore Anselmo Weber przerwał myśli Gonzagi.

Kardynał aż się wzdrygnął: - Czy znam zmarłego? Nie. To nie jest mój sekretarz. Żałuję.

Sposób, w jaki to powiedział, zabrzmiał dziwnie. W końcu Gonzaga postawił pytanie: - A jak zginął ten biedak?

Jak przystało na patologa, który dzień w dzień ma do czynienia ze śmiercią, dottore Weber odpowiedział z absolutnym spokojem: - Dobrze wycelowany cios kantem dłoni w szyję. Szybka śmierć. Miejsce, gdzie nastąpiła śmierć, nie odpowiada miejscu, gdzie znaleziono zwłoki.

-

Nie chciałem się tego dowiadywać aż tak dokładnie! - głos Gonzagi zabrzmiał nie mniej chłodno niż głos patologa.

ROZDZIAŁ 41

ak większość mieszkańców Rzymu, Caterina nie miała garażu. Mogła mówić o szczęściu, jeżeli trafiała wolne miejsce do zaparkowania przy ia Pascara, gdzie mieszkała. Przeważnie musiała swój samochód zostawiać dwie lub trzy przecznice od domu i czasem zapominała, gdzie poprzedniego dnia zaparkowała swojego małego nissana. Tak właśnie było owego piątku, kiedy to podjęła się dużej sprawy.

Odpychające zachowanie Malberga strasznie Caterine dręczyło. Sy-acja była bardzo skomplikowana. Malberg wydawał jej się zupełnie skowany ze swoją manią prześladowczą i rozgoryczeniem. Mimo to posta--owiła sobie, że się nie podda. Od wielu dni Caterina źle sypiała, prawie nic nie jadła, a jej myśli krążyły tylko wokół jednej sprawy. Na szczęście nowe zajęcie w redakcji Guardiano dawało jej swobodę konieczną, aby znaleźć jakiś ważny temat.

Zmierzchało już, kiedy Caterina odnalazła swój samochód w bocznej uliczce.

Miała z sobą bukiet białych lilii oraz adres signory Fellini na karteczce, którą Lukas z takim lekceważeniem rzucił na podłogę. Była dozorczyni była przypuszczalnie jedyną osobą, która mogła dostarczyć jakichś informacji na temat tajemniczych powiązań między śmiercią Marleny a watykańskimi dostojnikami. Nie była do końca pewna, czyjej brat Paolo zna wszystkie szczegóły. Pewne było tylko, że wiedział więcej niż °na, a także więcej niż Malberg.

Caterina nie miała wątpliwości, że wspólna przyszłość dla Lukasa i dla iej mogła się pojawić dopiero po wyjaśnieniu „sprawy”Marleny Ammer. I przeciwnym razie Marlena zawsze będzie stała między nimi.

Dzięki doświadczeniu zawodowemu Caterina wiedziała, jak spowodować, żeby ludzie się zwierzali. Dlatego ułożyła sobie dokładny plan działania. Signora Fellini jej nie znała, za to ona znała signore, co było nie byle jakim atutem. Ponadto Caterina wiedziała o niej pewne rzeczy. Z nimi skonfrontuje panią Fellini, która czuła się bezpiecznie w swoim nowym życiu. Oczywiście Caterina nie ujawni źródła

informacji i przemilczy fakt, że jest siostrą Paola. To signore zbije z tropu. Człowiek zbity z tropu chętniej udziela informacji niż ten, kto sądzi, że jest bezpieczny.

Pogrążona w myślach Caterina kierowała swojego nissana na północ, w górę Tybru, ku Lungotevere Marzio, jednej z najlepszych ulic w mieście. Nie było tajemnicą, że niektóre arystokratyczne kamienice są w posiadaniu Watykanu. Tu właśnie mieszkała signora Fellini od czasu swojej nagłej wyprowadzki z mieszkania dozorczyńi przy Via Gora.

Niezła zamiana, pomyślała Caterina, obserwując okazałe budynki po drugiej stronie ulicy. Widok z nich na rzekę, na przeciwległy brzeg i na fortecę Castel Sant'Angelo z pewnością był zachwycający.

Do pompatycznego portalu prowadziły trzy stopnie. Po lewej, za przyciemnioną szybą wielkości dłoni, kamera wideo. Pod nią pięć dzwonek bez nazwisk, oznaczonych jedynie rzymskimi liczbami I, II, III, IV i V. Ten, kto tu mieszkał, nie przywiązywał wagi do nazwiska.

Oczywiście, Caterina mogła zadzwonić. Karteczka od Paola zdradzała dokładny adres pani Fellini: Lungotevere Marzio 3-II. Ale wtedy odezwałby się głośnik. W najlepszym razie usłyszałaby jeszcze mrukliwe „Prontof, ale gdyby powiedziała, z czym przyszła, to rozmowa na pewno skończyłaby się, zanim jeszcze by się zaczęła. Dlatego Caterina wolała poczekać, aż ktoś z mieszkańców będzie wchodził lub wychodził.

Nie trwało długo, gdy przed domem stanęła taksówka, z której wysiadł elegancki starszy pan.

-

A pani do kogo? - zapytał uprzejmie, zobaczywszy czekającą Caterine.

-

Do signory Fellini - odpowiedziała Caterina zgodnie z prawdą.

- Nie znam. Tu nie mieszka żadna signora Fellini. Zapewne pomyliła pani numer domu, signora. Tutaj jest numer trzy!

- Numer trzy, wiem. Nie pomyliłam numeru domu. Signora mieszka tu od niedawna.

-

Jak pani powiada się nazywa?

-

Signora Fellini, drugie piętro.

Starszy pan zmierzył Caterinę wzrokiem. Jego postawa zdradzała pewną podejrzliwość. Gdy Caterina uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, włożył klucz do zamka i spytał: - Dzwoniła już pani?

-

Nie, chciałam signorze Fellini zrobić niespodziankę - Caterina pomachała bukietem kwiatów.

? No, to proszę za mną - powiedział starszy pan i pchnął drzwi wejściowe. - Połowę drogi przejdziemy razem. Mieszkam na czwartym piętrze. Winda w środku klatki schodowej, wyłożonej zielonym marmurem, mnowała zamożnością i dostojnością. Niemal bezszelestnie otwarły się drzwi z błyszczącego mahoni i szlifowanego szkła.

-

Proszę bardzo - powiedział starszy pan i wpuścił Caterinę jako pierwszą.

Następnie przycisnął guziki II i IV. Patrząc zaś na bukiet kwia-ów, zagadnął: - Jakaś szczególna okazja?

Caterina pokręciła głową: - Nie, żadna specjalna okazja. Tak tylko. Z łagodnym

szarpnięciem winda zatrzymała się na drugim piętrze, caterina uprzejmie się pożegnała i starszy pan uczynił to samo. Potem vinda pojechała dalej.

Zza dwuskrzydłowych drzwi do mieszkania dobiegała głośna muzyka, ie całkiem pasująca do dostojęństwa, którym emanował ten wielkopański om. Na próżno szukała Caterina tabliczki z nazwiskiem, ale w ścianie zajmowany był przycisk dzwonka o stożkowym kształcie, nie więcej. Caterina zadzwoniła.

Głośna muzyka nagle ucichła. Słysząc było, jak ktoś chodzi tam I powrotem. Na koniec kroki zbliżyły się do wejścia. Drzwi się otwały, 'i tylko minimalnie.

-

Signora Fellini? - zapytała Caterina. Od razu poznała była dozor-ynię. Tamta miała na sobie różową halkę i zabójczo drogie szpilki od rady. Pomiędzy palcami prawej dłoni jarzył się papieros, zaś kobieta lek-1 się chwiała. Bez wątpienia sporo wypła.

-

Czego pani chce? - odezwała się Fellini chrapliwie, dość prostackim tern.

Równocześnie jej znużony wzrok padł na kwiaty.

-

Mam dostarczyć kwiaty - odparła Caterina. - Od niejakiego sikora Gonzagi.

Zanim się obejrzała, drzwi zatrzęsęły się jej przed nosem. Inaczej 3ie wyobrażała

to spotkanie. Stała tam teraz jak zbłąkana owca. Z taką

reakcją się nie liczyła. A przecież właściwie było do przewidzenia, że W bieta, którą z dnia na dzień nie całkiem zgodnie z jej wolą przeflancowa-no w nowe życie, tak

właśnie zareaguje. Caterina była zła sama na siebie Już miała się odwrócić, gdy drzwi

ponownie się otwały.

-

Proszę wejść — powiedziała Fellini. Zdążyła już narzucić szlafrok Caterina

była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nawet się nie

ruszyła. Dopiero gdy Fellini mrugnęła oczami i zrobiła zapraszający gest głową,

Caterina poszła za jej zaproszeniem.

- Proszę mnie zrozumieć - szczebiotała signora, prowadząc Caterine przez ciemny

hol - jestem tu nowa, a tyle się słyszy o włamaniach w okolicy. Po prostu robi się

człowiek podejrzliwy.

- Tak, nigdy dość ostrożności - odrzekła Caterina ze zrozumieniem. - Jednak nigdy

nie sądziłam, że ktoś może uznać mnie za włamywacza.

- Otóż to. Też mnie naszły wątpliwości. Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

W salonie, skąpo oświetlonym przez dwa lichterze na ścianach, Caterina podała

bukiet kwiatów. Świadomie wybrała lilie. Jeśli bowiem istnieje kwiat, którego aromat

ma w sobie coś kościelnego, to właśnie lilia.

W chrześcijańskiej ikonografii żaden chyba inny kwiat nie oznaczał tak wielu

rzeczy, jak lilia. Ponieważ miąższ łodyżki lilii pachnie świeżym mlekiem, uważa

sieją za symbol dziewiczego macierzyństwa. Równocześnie znaczy tyle co

„niewinność”.

-

Od kogo, powiada pani, pochodzą te kwiaty? - spytała signora z nie najlepiej

udawaną obojętnością.

-

Od niejakiego signora Gonzagi - odparła Caterina. - Przecież pani

wie!

- Ach, Gonzaga, oczywiście, że tak! - sposób, w jaki signora Fellini trzymała w rękach bukiet, zdradzał jednoznacznie, że przysłanych kwiatów nie dostała jeszcze nigdy, a jeśli, to niezwykle rzadko.

- Nie chciałabym pani zabierać cennego czasu — oświadczyła Caterina i zaczęła się zbierać do wyjścia. Jej plan zaczął nabierać rumieńców.

- Mam dość czasu - powiedziała signora. - Widzi pani, mieszkam tu sama jak palec w tym wielkim mieszkaniu. Przyznaję, dom jest elegancki i lokalizacja świetna, ale właśnie się przeprowadziłam i nie znam nikogo w okolicy. W tygodniu spaceruję sobie po targowiskach w mieście. To mnie lepiej nastraja. Wcześniej byłam dozorczynią, wtedy zawsze coś się działo.

-

-

Dozorczynią? - Caterina udała zdziwienie. Rozejrzała się po ogrom-salonie, w którym stało kilka wysłużonych mebli w nie najlepszym ście.

-

Spadek? Tylko pogratulować!

Signora Fellini przytaknęła. - Cóż, kłopotów materialnych nie mam. e _ wyglądała na trochę skołowaną - jak brzmiało nazwisko tego od 'atów?

-

Signore Gonzaga... jak ten kardynał, sekretarz stanu - Caterina śle-a każdy ruch signory Fellini.

Tamta wydawała się bardzo zmieszana i jak marna aktorka starała się zmieszanie pokryć: - Być może te kwiaty naprawdę pochodzą od se-?tarza stanu kardynała Gonzagi. Całkiem możliwe!

- Czemu nie? Pani zna kardynała osobiście?

- A żeby pani wiedziała. To znaczy nie, dopiero niedawno go pozna-. Nie, właściwie to wcale go nie znam.

- Zapewne jest okropny i nieustępliwy, jeśli chodzi o sprawy Kurii.

- Nie myli się pani.

- Zatem Philippo Gonzaga nie jest pani całkiem obcy. Signora spojrzała na bukiet kwiatów, który niedbale odłożyła na sta-

wytarty fotel. - Oczywiście, że znam Gonzagę - wyrwało jej się nagle ' za dobrze go znam! - ledwo wypowiedziała te słowa, przestraszyła własnej gadatliwości: - Ach, nie ma o czym mówić, za dużo gadam, ie chciałabym pani zanudzać moimi kłopotami.

-

Kłopotami? Wybacz pani, signora, ale mieszka pani tu sobie w łukowym

apartamencie w jednej z najlepszych dzielnic Rzymu. Napraw-, zazdrozczę pani!

Gdy się pani wychyli z okna, ma pani przed sobą rtecę Sant Angelo i Watykan, a

mówi pani o kłopotach! A przy okazji: stem Margarita Margutta - Caterina podała rękę.

-

Ładne imię — signora Fellini uścisnęła jej dłoń.

-

Też tak myślę - odparła Caterina i pomyślała, że faktycznie nieźle mi,

zważywszy fakt, że wymyśliła je na poczekaniu.

- Pewnie nie umie sobie pani wyobrazić - machnęła ręką signora - że dok na

Watykan jest bardziej deprymujący niż zachwycający.

- Szczerze mówiąc, przy najlepszych chęciach nie bardzo rozumiem, puła Bazyliki

św. Piotra to jeden z najszlachetniejszych i najbardziej pod-słych widoków w całych Włoszech.

-

-

Może i tak - odparła signora Fellini - ale to niekoniecznie oznacza, że to, co dzieje się w tamtych murach, jest równie podniosłe. Napije się pani łyeczka?

Nie czekając na odpowiedź, Fellini podeszła do stołu, na którym stała butelka czerwonego wina, wzięła kieliszek i nalała niemal po sam brzeg. Następnie zadziwiająco pewnym ruchem podała go Caterinie i zaprosiła ją, by usiadła na zatęchłej sofie.

- Tylko łyczek - przepraszająco powiedziała Caterina i skosztowała z przepelnionego kieliszka. Potem usiadła. Z niejakim zadowoleniem obserwowała, jak Fellini także własny kieliszek napełnia po brzeg i pociąga dwa, trzy solidne łyki.

- Wątpi pani w uczciwość panów w Kurii? - zagadnęła Caterina bez ogródek.

Signora machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: A żeby pani wiedziała!

Caterinie chodziły po głowie różne myśli. Jak zmusić tę Fellini do mówienia?

Najwidoczniej bez szczególnego wysiłku w sprzyjającej chwili zyskała jej zaufanie.

Tylko teraz żadnego fałszywego ruchu. Wtedy szansa by przepadła. Wewnętrznie

Caterina aż dygotała z nerwów. Zewnętrznie robiła wrażenie swobodne, niby

pociągała z kieliszka, ale nie piła. Odezwała się współczująco: — Wygląda na to, że wiele pani przeszła, signoral

Fellini spojrzała na podłogę i zacisnęła usta. - Wolałabym, żeby mi

0

tym nie przypominano - zaznaczyła z gorczyką.

- Nie chciałabym się pani naprzykrzać - odparła Caterina. Wstała, jakby chciała już wychodzić.

- Proszę zostać! - powiedziała Fellini. Pociągnęła z kieliszka kolejny głęboki łyk czerwonego wina. Równocześnie jej wzrok padł na bukiet kwiatów na fotelu obok.

Jak lwica, podkradająca się do ofiary, podeszła do kwiatów, chwyciła je

1

tak mocno smagnęła nimi o stół, że na pokój poleciały strzępy. - Niech sobie

Gonzaga swoje kwiaty w dupę wsadzi! — krzyknęła jak oszalała i dalej tłukła, aż w rękę zostały jej same łodygi.

Caterina patrzyła na nią ze zdumieniem. Włosy signory Fellini były rozczochrane jak po bitwie. Po policzkach ciekły jej strużki czarnego tuszu do rzęs. Szlafrok wisiał na niej rozchełstany. Wyglądało jednak na to, że przestała zwracać uwagę na swój żaloszny wygląd. Wzięła kieliszek i spoj

sała w niego z góry, jakby w lusterko. Potem wypiła go do dna i z hała-»m postawiła na stole.

-Trochę przesadziłam - powiedziała, nie patrząc na nieznajomą.

-

Skoro to pani pomaga - odezwała się Caterina, niby ze zrozumie-iem. - Taki wybuch wściekłości oczyszcza psychicznie.

Signora otarła twarz rękawem. Nie polepszyło to jej wyglądu, wręcz przeciwnie.

-

Pani nienawidzi tego Gonzagi — zagadnęła dyplomatycznie Ca-enna.

Fellini podeszła do okna i zapatrzyła się w mrok. W leniwych wodach irbru odbijały się uliczne latarnie z przeciwległego brzegu.

- Gonzaga to diabeł - mruknęła pod nosem. - Niech mi pani wierzy.

- Ale to nie on jest tym, który umożliwił pani takie życie?

-
On, ale nie ma w tym żadnej sprzeczności - odwróciła się i podeszła Cateriny.

Jej napuchnięte oczy i rozmazana twarz wyglądały zatrwa-

ająco. — Tak czy inaczej jako dozorczyńni na Via Gora byłam szczęśliw-. Tutaj czuję

się odsunięta i uwięziona jak w złotej klatce. Zakazano mi szelkich kontaktów z

przeszłością, co więcej, skazano mnie na milczenie, iż choćby nasza rozmowa

powoduje, że wpadam w panikę. Surowo mi abroniono z kimkolwiek rozmawiać o

tym, co się ostatnio wydarzyło. Caterina ledwie zauważalnie pokręciła głową. Jakież

to mroczne ta-mice wlokła za sobą ta kobieta?

Czasem - ciągnęła Fellini - już widzę duchy. Gdy idę przez mia-, czuję, że mnie

śledzą, i chodzę zakosami, jak uciekający zając. To mnie wyprawia o obłąd. A

równocześnie wiem, że mój strach nie jest bezpod-awny - jej głos niemal się załamał,

gdy głośno i porywczo wykrzykiwa-: - Boję się, boję, boję!

Signora opadła na fotel i zagapiła się w przestrzeń. -To nie moja sprawa - odezwała

się Caterina, żeby jakoś uspokoić tę lację - ale czy za pani strachem kryje się ten

Gonzaga?

-
Wielmożny pan kardynał Kurii Filippo Gonzaga! - signora srniechnęła się

cynicznie. - Nikt by mi nie uwierzył, gdybym ujawniła ' historię publicznie.

Do diabła ciężkiego, niechże pani gada! - chciała powiedzieć Cateri-l>ale się

powstrzymała. Wreszcie stwierdziła: - Przydałoby się pani kilka 'urlopu! Na Sycylii

jest jeszcze ciepło o tej porze roku.

- Urlop! Kiedy jeszcze byłam prostą dozorczynią, nie mogłam sobie pozwolić na żadne wakacje. Kto by za mnie to wszystko robił? Dziś, kiedy mogłabym sobie pozwolić na urlop i mam dość czasu, to mi nie wolno. Zabroniono mi opuszczania Rzymu. Przecież wtedy nie byłabym już pod kontrolą Gonzagi.

- I nigdy jeszcze nie próbowała pani wyrwać się z tego niewidzialnego więzienia?

Signora klasnęła w dłonie. - Pani nie docenia władzy Gonzagi. Daleko bym nie zajechała. Gonzaga ma wszędzie swoich ludzi.

- Ale jak w ogóle wmieszała się pani w układy z kardynałem Gonzaga? — ostrożnie zasięgnęła informacji Caterina.

- Hej, co pani sobie wyobraża — rozzłościła się signora Fellini. - Nie sądzi pani chyba, że coś było między mną a tym łysym potworem. Uchowaj Boże. Jasne, że taki kardynał też ma swoje potrzeby, celibat nie celibat. Ale gdyby o to chodziło, to wyszukałby sobie kogoś lepszego od do-zorczydni, co najlepsze lata już ma za sobą.

- Nie o to mi chodziło - tłumaczyła się Caterina. - Nie chciałam pani urazić.

-Już dobrze, dobrze - mowa signory robiła się coraz bardziej bełkotliwa i Caterina

z trudem rozumiała dalszy ciąg: - Taka concierge zawsze coś tam usłyszy, pewnie

pani wie. Czasem więcej niż ktoś by sobie życzył. Wcale nie z ciekawości moje drzwi były otwarte od rana do nocy. Porządna dozorczydni musi mieć cały czas oko

na to, kto odwiedza kamienicę. I oczywiście zwróciłam uwagę na łysego gościa w

ciemnoszarym ubraniu, który regularnie w każdą niedzielę przechodził koło mnie i zostawiał za sobą przenikliwy zapach. Patrzył uparcie przed siebie i zadzierał nosa,

jakby pochodził ze starej rzymskiej arystokracji. Nawet kiedy wystawiałam głowę

przez drzwi, nie zwracał na mnie uwagi, nie mówiąc już o Buona sera, signora. Nie,

facet nie był dobrze wychowany, nawet jeśli zachowywał się bardzo arystokratycznie

i dystygowanie. Dla mnie od początku było jasne, że ten łysy to na pewno jakiś

ksiądz. Że jednak chodzi o kardynała, a wręcz sekretarza stanu, o tym dowiedziałam się dopiero potem i to w ponurych okolicznościach.

Caterina udawała, że nie ma o niczym pojęcia: - No i czego chciał ten kardynał u was na Via Gora?

Signora naląła sobie do kieliszka resztę wina z butelki, łyknęła i mówiła dalej ze złośliwym uśmiechem: - Na piątym piętrze kamienicy, będącej pod

\flioją pieczę, mieszkała jedna szykowna dama. Nie taka, jak pani teraz po-f myślała, prawdziwa dama! Pochodziła ze Szwecji albo Niemiec, w każdym razie z północy.

Sądzę, że była naukowcem, ale nigdy nie doszłam, z czego Bfyje. Nie wychodziła regularnie do pracy. Nazywała się Ammer.

Drżącą dłonią Caterina ścisnęła swój kieliszek, wciąż pełny. Z trudem skrywała zdenerwowanie. - I tę kobietę z piątego piętra naprawdę odwiedzał kardynał? Bardzo ciekawe - Caterina udawała, że jest pod wrażeniem.

-

Ten kardynał przychodził regularnie, jak amen w pacierzu.

- Może w celu jakichś badań naukowych? A może nawet była z nim

Łpokrewniona?

-

Niech mnie pani nie rozśmiesza! Świeżo ogolony, wyperfumowany i z

bukietem kwiatów w garści? To musiały być niezłe badania!

Caterina zagrała zaskoczenie. - Ale mówiła pani, że Marlana Ammer to nie była puttana, tylko dama!

-

Jeden napalony kardynał jeszcze nie czyni z niej dziwki! - oświad-

?

czyła Fellini, obejmując butelkę prawą dłonią. Nagle przerwała i szeroko

?otwartymi oczami spojrzała na Caterinę. - Powiedziała pani Marlena Am-Bner? - jej

głos brzmiał bełkotliwie i cicho, a była w nim groźba.

- Tak, Marlena Ammer.

- Skąd pani zna jej imię?

Caterina żałowała, że nie ugryzła się w język. Jakże mogła być taka głupia. —

Przecież to pani wymieniła jej imię! - powiedziała w końcu.

-

Jaaa? Co za brednie. Pewnie pani myśli, że ma przed sobą pijaną sta-

?

ruchę, której wszystko można wmówić. Kim pani jest i czego pani chce?

-

Ja tylko przyniosłam kwiaty, nic poza tym! - Caterina zdrętwiała. Tak zręcznie

to wszystko namotała, a zdradziła się przez jedną głupią chwilę nieuwagi.

Wydawało się, jakby ta Fellini w mgnieniu oka wytrzeźwiała. - Bzdu-- warknęła i

twarz wykrzywił jej grymas. - Gonzaga nigdy nie przysy-mi kwiatów i też nigdy by

tego nie zrobił. Jak mogłam się dać nabrać tak głupi trik! Wytrzeźwiała signora

stała groźnie przed Caterina. Caterina trwożliwie spojrzała ku drzwiom. - Proszę

posłuchać — po-edziała łagodnym głosem - jestem pani winna wyjaśnienie.

-

Pani wyjaśnienia mnie nie interesują! — syknęła signora. — Jedyne, chcę

wiedzieć, to kim pani jest i czego pani chce?

- No dobrze, moje nazwisko to nie Margarita Margutta. Nazywam się Caterina

Lima i jestem dziennikarką.

- Wszystko nieprawda! Nie wierzę w ani jedno pani słowo. No więc kto panią przysłał, żeby mnie wypytywać? - zręcznym chwytem złapała Fellini butelkę za szyjkę i tak trzasnęła o kant stołu, że butelka rozprysła się na kawałki.

Odłamek szkła trafił Caterine w prawy policzek. Poczowała, jak spływa po nim ciepła strużka. Obronnie uniosła obie ręce. Zerwała się i rozejrzała za jakąś drogą ucieczki.

Fellini w wyciągniętej ręce trzymała przed Caterina utłuczoną butelkę jak oręż. - Chcę wiedzieć, kto panią przysłał! - powtórzyła, kładąc nacisk na poszczególne słowa.

-

Nikt mnie nie przysłał. Niech się pani uspokoi! - z rękami w górze Caterina przesuwiała się w kierunku drzwi. Nieruchome oczy signory ujawniały determinację. Niewątpliwie alkohol pozbawił ją wszelkich hamulców. Caterina rozważała, jak się obronić przed atakiem. Gdyby Fellini rzuciła się teraz na nią z tym szkłem, Caterina nie miałaby raczej szans.

Obie kobiety stały twarzą w twarz zaczajone w odległości dwóch metrów od siebie. Caterina miała oddech krótki i ledwo słyszalny. Ostrożnie, jak linoskoczek na wysokiej linie, wycofywała się, kroczył za kroczkiem. Kiedy dotarła do drzwi wychodzących na korytarz, Fellini zatrzymała się, jakby zmieniła zdanie.

Odwróciła się i jakby nic się nie stało, podreptała po odłamkach szkła i rozszarpanych płatkach lilii do swojego wysłużonego fotela. Z westchnieniem opadła na poduszki. Potem z oczami iskrzącymi nienawiścią warknęła: - A teraz spadaj, mała zdziro, i zapomnij wszystko, co słyszałaś. Bo inaczej się policzymy! Won!

Caterina bez wahania spełniła żądanie. - Zostawiam pani moją wizytówkę -

powiedziała - na wypadek, gdyby mnie pani kiedyś potrzebowała.

Pogardziła windą z obawy, że może w niej utknąć. Zbiegła więc błyskawicznie marmurową klatką schodową i odetchnęła dopiero przy Lungotevere Marzio.

Chłodne wieczorne powietrze dobrze jej zrobiło.

To, co właśnie przeżyła, potwierdziło jej najgorsze przypuszczenia: pijana signora, która za milczenie otrzymała od Kurii książęce wynagrodzenie. A przy tym -

Marlena! Marlena, która utrzymywała grzeszne sto-

sunki z prawdziwym kardynałem - szykowna dama! To była niespodzianka, rzucająca zupełnie nowe światło na śmierć Marleny. Mimo to sprawa pozostawała zagadkowa.

Co prawda, byłoby zupełnie logiczne, gdyby romans kardynała Kurii z szykowną damą został gwałtownie zakończony morderstwem. Ale w takim razie dlaczego, chodziło Caterinie po głowie, dostojnicy z Kurii wzięli udział w pogrzebie?

ROZDZIAŁ 42

P

ort lotniczy we Frankfurcie, bramka 26. Budynek 456B, zwyczajowo ze szkła i stali.

Przy wejściu szyld z niebiesko-pomarańczowym napisem: FedEx.

Żyłasty czterdziestolatek, który zaparkował swojego granatowego mercedesa w pobliżu wejścia, śpieszył się. Oczy błyskały mu niespokojnie zza okularów w złotych oprawkach. Wyglądał na zmęczonego, jakby całą noc balował. W pomiętym garniturze nie robił wrażenia szczególnie zadbanego. Pod lewą pachą trzymał paczuszkę, dziesięć na dwadzieścia centymetrów, oklejoną taśmą samoprzylepną.

Mężczyzna energicznym krokiem wszedł do budynku, przeczytał tablicę informacyjną i podszedł do jednego z okienek. Wymuskana blondyna przywitała go profesjonalnie i równie służbowym tonem postawiła rutynowe pytanie: - Czym mogę

służyć?

- Przesyłka wartościowa - odparł wczesny klient z profesjonalną swobodą i podsunął paczkę po blacie.

Blondyna z FedExu wzięła paczuszkę w ręce i wydawała się być zirytowana jej lekkością. Następnie położyła ją na elektroniczną wagę, która na to piknęła i wypluła samoprzylepną karteczkę. Blondyna odczytała adres:

Giancarlo Soffici Hotel Krone, Rheinuferstralse 10 65385 Assmannshausen

W rym właśnie hotelu Soffici wynajął apartament.

- A nadawca? - spytała, nie podnosząc wzroku.

- Również Giancarlo Soffici!

- Adres nadawcy?

Klient zawahał się. Potem powiedział: - Citt? del Vaticano, 1073 Roma.

Blondyna podniosła wzrok i zmarszczyła czoło. Następnie zanotowała adres. -

Ubezpieczana wartość? - spytała.

-

Sto tysięcy euro.

Wyraźnie zdenerwowana blondyna w okienku przekładała jakieś pa-Diery. Potem rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu pomocy. Jednak nie było nikogo, kto mógłby ją wesprzeć w tej sytuacji.

-

Musi pan przedstawić jakiś dowód tożsamości — oznajmiła, gdy doszła do siebie.

Wczesny klient podał jej przez okienko swój paszport: monsignore fiancarlo Soffici. Blondyna przeczytała po cichu, tylko ruszając ustami, /reszcie oddała

dokument. — Mówi pan, sto tysięcy euro?

- Tak - zabrzmiała odpowiedź.

- W takim razie musi pan zadeklarować zawartość.

- Proszę napisać: próbka do badań naukowych!

-

Nie jest taka tania - mruknęła, wstukując dane do komputera. Soffici wyjął portfel i podał blondynie w okienku swoją kartę kredy-

ową. - Kiedy mogę się spodziewać, że dojdzie? - zapytał, w pełni panu-: nad sytuacją.

Po długim wpatrywaniu się w monitor blondyna oświadczyła: - Jutro 10 o dziesiątej.

Ale jeśli pan sobie życzy, można sprawę przyspieszyć... r Nie, nie, nie ma pośpiechu.

Jutro o dziesiątej. Po złożeniu podpisu i odebraniu kwitu oraz karty kredytowej,

dziw-klient po prostu wyszedł. Dwie minuty później jechał już autostradą 1 w

kierunku Wiesbaden. O tak wczesnej porze na autostradzie był jeszcze mały ruch.

Soffici tógł oddać się własnym myślom.

Był pewien, że Gonzaga do dziś nie ma pojęcia, co właściwie zaszło, zapewne nadal

uważa go za oddanego sekretarza, którego można rozdeptać jak wycieraczkę pod

drzwiami. Uważa za kogoś, dla kogo monsignore 1 szczyt kościelnej kariery i kto

trzy razy dziennie na kolanach dziękuje

Bogu za taką łaskę. A może też Gonzaga uważa go za zmarłego, skoro od

uprowadzenia upłynął już tydzień.

Cokolwiek sekretarz stanu sobie myślał, zapewne już dawno przeszedł nad tym do

porządku dziennego. On, Soffici, wiedział, że Gonzaga idzie po trupach. Tym

większa była satysfakcja, którą czuł teraz Sofflci Gonzaga go nie docenił. Nigdy w

życiu by się nie spodziewał po swoim sekretarzu, że ten robi interesy z poparzeńcem.

Trzeba przyznać, nie był to jego pomysł. To poparzeniec przyszedł do niego i zaproponował, żeby on, Sofflci, namówił Gonzagę do tej transakcji. Z początku nie

chciał wierzyć w to, co poparzeniec wygadywał. Że to właśnie on był tym, który pobrał wycinek całunu turyńskiego, z zamiarem zarobienia pieniędzy. Bardzo dużych pieniędzy.

Nie, żeby pieniądze miały dla Soffliciego szczególne znaczenie. Znacznie istotniejsza wydawała mu się sposobność do zemsty na Gonzadze. Zbyt często i zbyt głęboko Gonzaga go upokarzał, traktował jak psa, wyszydzał. Sofflici zapragnął choć raz odwrócić role, choć jeden jedyny raz.

W imieniu poparzeńca wysłał tamten e-mail, by pomóc zaaranżować spotkanie na Piazza del Popolo. Somci potrząsnął głową: Czyż mogłem przewidzieć, że Gonzaga będzie miał wypadek drogowy?

W międzyczasie poparzeniec swoimi ciemnymi kanałami dowiedział się, że Gonzaga, szantażowany przez Aniceta, do Burg Layenfels dostarczył kopię, a nie oryginał. Badania naukowe to potwierdziły. Poparzeniec zważał więc nowy, znacznie większy interes i z pomocą gangu zawodowych przestępców zainscenizował brutalne porwanie. Oczywiście, byłem w to przedsięwzięcie wtajemniczony. W przeciwnym razie już bym nie żył.

Niestety uprowadzenie okazało się niewypałem. Tak czy inaczej Gonzagę spotkały tortury, które niemal kosztowały go życie, bo upierał się, że do Burg Layenfels zawiózł oryginał całunu turyńskiego.

Z tego powodu maleńki kawałek płótna, który poparzeniec wyciął z całunu, stał się bezsprzecznie jeszcze cenniejszy. Za jego pomocą można było dowieść, że całun w Burg Layenfels, wbrew wynikom badań naukowych, jednak jest autentyczny.

Anicet i jego podejrzane bractwo nie byli mi obcy. Ostatecznie byłem przy tym, jak Gonzaga przekazywał całun Jezusa z Nazaretu. Dlatego chciałem zaproponować Anicetowi cenną próbkę płótna. Jednak poparzeniec grał nieuczciwie i równocześnie zaoferował obiekt niejakiemu Malbergowi, który w jakiś sposób też był uwikłany w sprawę. Kiedy Soffici śledził poparzeńca, był świadkiem, jak ten w Bazylice św. Piotra oferował sprzedaż próbki płótna z całunu. Nie powinien bezkarnie robić takich rzeczy.

Poparzeniec cieszył się bardzo złą sławą w kręgach podziemnego świata. Uchodził za samotnika, a takich nigdy się wysoko nie ceni. Są nieobliczalni i niebezpieczni. Ci sami ludzie, którzy poparzeńcowi pomogli borwać sekretarza stanu, w końcu też jego samego posłali na tamten świat. Tę chciałem tego. Kazałem im jedynie odebrać celofanową torebkę z próbką płótna. Nie było mowy o zabijaniu. Niech Bóg ulituje się nad ich duszami.

Takie rozmyślenia prowadził monsignore Giancarlo Soffici za kierownicą granatowego mercedesa. Nie zwracał uwagi na malowniczy nadreński krajobraz pomiędzy Eltville i Assmannshausen, który o żadnej porze roku nie jest tak piękny jak jesienią, kiedy winnice połyskują czerwienią i złotem. Wzgórza i góry po prawej stronie drogi ciągnącej się brzegiem, skąpane były w świetle przedpołudniowego słońca. Przez na wpół otwarte boczne okno wpadał nieco chorobliwy zapach rzeki. Po deszczach w ciągu ostatnich dni Ren przybrał barwę brunatną.

W Lorch Soffici skręcił w prawo i pojechał szosą na Wispertal. Tę drogę wciąż dobrze pamiętał. Dotarłszy do przesuwnej bramy odmawiającej wstępu wszelkim nieproszonym gościom, Soffici zostawił jeszcze przez chwilę samochód na chodzie. Umyślnie nie zapowiedział swojego przybycia.

Zaciekawiony strażnik o ponurym wejrzeniu wystawił głowę przez okienko wartowni.

- Apokalipsa 20,7 - zawołał Soffici w kierunku starego. - Proszę mnie zapowiedzieć Anicetowi. Nazywam się Soffici. Znamy się.

Nie tyle ta ostatnia uwaga, ile bardziej hasło doprowadziło do tego, że stalowa krata działaniem jakiegoś automatu otworzyła się, i ten sam automat spowodował, że ponura mina strażnika zmieniła się w wymu-izony uśmiech.

Soffici ruszył. Brukowana droga ku położonemu wyżej dziedzińcowi szła stromo w górę. Silnik służbowej limuzyny wyl na pierwszym biegu. Dojechawszy na górę, Soffici wyłączył silnik i wysiadł.

Na dziedzińcu wybrukowanym kocimi łbami panowała cisza. W sze-sciopiętrowe mury zaplątał się z oddali stukot pociągu Intercity, który śmignął w dole lewym brzegiem Renu. Mury były wilgotne i pachniało stęchlizną. Wszystkie okna były zamknięte, poza jednym, po prawej stronie na pierwszym piętrze. W nim pojawiła się blada twarz Aniceta. Długie' włosy miał gładko zaczesane do tyłu, jak aktor Berhard Minetti krótko przed śmiercią. Anicet rzucił Sofficiemu badawcze spojrzenie.

Właściwie nie musiał nic mówić, bo już sama jego odpychająca mina zdradzała co ma do powiedzenia: - Jakoś nie pamiętam, żebym tu pana zapraszał. Jak w ogóle pan tu wjechał? Kto pana przysyła?

W porównaniu do swojej pierwszej wizyty w Burg Layenfels, sekretarz kardynała zupełnie nie robił wrażenia onieśmiałonego czy niepewnego. Przeciwnie, Soffici uśmiechnął się z wyższością - zachowanie całkowicie nieznane wśród Fideles Fidei Flagrantes - i odparł: - Po pierwsze serdecznie pana witam. Ale chciałbym zaproponować, abyśmy nie prowadzili naszej rozmowy w przejściu. Jest bardzo

możliwe, że tutaj, podobnie jak w Watykanie, ściany mają uszy, i że wcale nie sprawi panu przyjemności, jeśli inni będą świadkami naszej pogawędki.

Anicet z hałasem zamknął okno. Po chwili pojawił się w wąskich gotyckich drzwiach poniżej, z głową wysuniętą do przodu, ubrany w szary surdut zapięty aż pod szyję, jak pryncypał dziewiętnastowiecznej szkoły. Cały jego wygląd robił wrażenie jakby z innych czasów. Jednak do tego Soffici był przyzwyczajony jeszcze z Watykanu.

- Ciekaw jestem, co ten Gonzaga ma mi do zakomunikowania - Anicet podszedł do gościa, nie wyciągając ręki na powitanie.

- Gonzaga? - zdziwił się Soffici. - Nie przychodzę w imieniu sekretarza stanu, jestem tu z własnej inicjatywy i z własnej nieprzymuszonej woli. Chodzi o całun turyński.

Blade oblicze Aniceta w jednej chwili pociemniało. Zrobił się ciemnoczerwony i warknął: - Gonzaga nas oszukał. Ale jeszcze mu odpłacę, niech mu pan to powie!

-Jeśli wolno mi coś powiedzieć - ciągnął Soffici swoją myśl - jestem głęboko

przekonany, że kardynał Gonzaga przywiózł panu oryginał całunu Pana naszego Jezusa. O wiele bardziej bał się pana oszukać niż pan sądzi. Gonzaga obawiał się o

swoje stanowisko sekretarza stanu. A poza tym nie do końca rozstał się z nadzieją zostania papieżem. Pędu do kariery nie powstrzymują nawet mury Watykanu. Ale komu ja to mówię!

Anicet odrzucił głowę do tyłu, co przyszło mu z wyraźnym trudem, i spojrzął w górę dziedzińca, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy. Na

stępnie p0Pchnął Sofficiego przez ciasne szpiczaste drzwi, i wskazując dłonią na strome schody, które pojawiły się przed przybyszem, powie-[dział:-Prosze!

Schody prowadziły prosto do gabinetu Aniceta. Przez grube barwio-I ne szkło

jedynego okna wpadało blade światło dnia. Umeblowanie robiło

wrażenie spartańskiego. Szeroki, sękaty stół, jak te używane w klasztor-
[nych

refektarzach, zajmował stronę naprzeciw okna. Pozostałe ściany za-
| jęte były od

ziemi do sufitu przez regały, na których w stosach piętrzyły < się tysiące książek i dokumentów.

Patrząc na ten chaos, Soffici zastanawiał

się, jak tu w ogóle można cokolwiek znaleźć.

-

Zatem, czego pan chce? - powtórzył Anicet zwięźle i gestem dłoni wskazał

niechcianemu gościowi niewygodne krzesło z kanciastym oparciem.

-

W moim posiadaniu - zaczął Soffici, usiadłszy - znajduje się pe-: wien maleńki

obiekt, za pomocą którego możliwe jest dowiedzenie autentyczności całunu

turyńskiego. Tego płótna, które trzymacie tutaj w Burg

! Layenfels.

- Chodzi panu o brakujący fragment, wycięty wtedy przez tamtego [łajdaka? -

Anicet ze złośliwym uśmiechem spozierał zza swojego biurka.

Potem pokręcił głową i stęknął: - Ten Gonzaga! Diabeł w purpurze.

-

Gonzaga nie ma z tym absolutnie nic wspólnego - odparł Soffici chłodno. -

Nawet nie wie, że tu jestem. Od czasu porwania oficjalnie wciąż uchodzę za

zaginionego.

-

A pańska elegancka limuzyna?

-

Wóz służbowy sekretarza stanu! W pewnych kołach to bułka z masłem, żeby

jedne tablice rejestracyjne zamienić na inne.

Anicetowi przyszło do głowy, że nie docenił tego Sofficiego. - Twierdzi pan, że pan zatem stanowczo, że jakoby to pan posiada fragment płótna z całunu turyńskiego.

-
Otóż to.

Na twarzy Aniceta ponownie zagościł ten złośliwy uśmiezek. - Główna sprawa, ale poparzeniec twierdził to samo.

-
Poparzeniec nie żyje. Jego zwłoki pływały twarzą w dół w fontannie di Trevi.

Anicet przełknął ślinę. Widać było, że umysł mu pracuje. Jakby chciał coś usunąć z pamięci, przejechał ręką po twarzy. - Czy to prawda? - spytał niepewnie.

Soffici był przygotowany na to pytanie. Z marynarki wyciągnął wycinek z gazety i podstawił pod nos przełożonemu bractwa.

Ten rzucił okiem na papier i skinął głową. - Znowu o jednego łotra mniej na tym świecie - zauważył sarkastycznie. - Żadna strata. - Chłód emanujący z jego słów ustępował jedynie wilgotnej atmosferze tego mrocznego pomieszczenia.

-
Może teraz mi pan uwierzy - powiedział Soffici. - Ten poparzeniec to był gangster. Negocjacje w sprawie sprzedaży tej próbki płótna prowadził również gdzie indziej. Chciał mnie wyeliminować z gry. Po tym, jak zająłem się wszystkimi przygotowaniem. Oczywiście, nie mogłem do tego dopuścić.

Anicet, wbrew swoim zwyczajom, długo milczał. W końcu się odezwał: - Czyli to pan tego poparzeńca...

-

Co pan sobie wyobraża! - wpadł mu Soffici w słowo. — To był, że się tak

wyrażę, wypadek przy pracy.

Anicet wzruszył ramionami. Ta wiadomość go nie poruszyła. Nagle się ożywił: -

Czy ma pan obiekt przy sobie? - spojrzał pytająco na Sofficiego.

Monsignorowi po twarzy przemknął arogancki uśmiezek. Wiedział, że padnie to pytanie i delectował się każdą sekundą. Teraz to on miał przewagę i wydawało mu się, że rozmówca za biurkiem robi się coraz mniejszy.

- Jak pan to sobie wyobraża? - odpowiedział wreszcie. - Przygotowałem się na wszelkie ewentualności.

- Nie rozumiem. W jakim sensie?

- Naprawdę pan sądził, że noszę tak cenny obiekt w kieszeni? Już na przykładzie poparzeńca zobaczyliśmy, do czego to może prowadzić.

- No tak — niedoceniany monsignore zyskiwał coraz większy podziw w oczach Aniceta, który postawił jeszcze jedno pytanie, choć nie liczył na odpowiedź: - A gdzie teraz znajduje się obiekt?

- Pytać panu wolno, niech pan się jednak nie spodziewa, że odpowiem. Ale jeśli mnie wolno zadać jedno pytanie: dlaczego ten mały obiekt ma dla pana tak wielkie znaczenie, skoro chodzi o kawałek całunu, który i tak jest w pana posiadaniu?

Anicet skrzywił się, jakby to pytanie sprawiło mu ból. - Tego, monsignore, nie mogę powiedzieć. Odpowiedź wpędziłaby Kościół i miliard jego wyznawców w rozpacz i zwątpienie. Przeznaczeniem Fideles Fidei Flagrantes jest znajomość rzeczy, które są światu nieznane. Rozumie pan?

Przez chwilę siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Soffici zastana-'ał się nad górnolotnymi słowami Aniceta. Zaś Anicet rozważał, jak so-e poradzić z tym

nikczemnym monsignore.

-

Czy w ogóle ma pan jakiś dowód autentyczności pańskiego obiek-? Nie nabierze mnie pan. Na własne oczy widziałem, jak się takie rze-I fałszuje.

Z prowokacyjną swobodą Giancarlo Soffici wyjął z kieszeni marynarki pertę ze zdjęciami rentgenowskimi i podał Anicetowi przez biurko.

Anicet zbyt długo zajmował się całunem turyńskim, żeby od razu nie zpoznać dowodu autentyczności. Wielokrotnie podnosił oba negatywy d słabe światło, wpadające przez okno, nakładał je na siebie i studiował przymrużonymi oczami.

-

Gratuluję - oświadczył wreszcie. - Naprawdę doskonała robota!

-

Prawdę mówiąc — odparł monsignore - to zasługa poparzeńca, nie moja.

Anicet jakby tego nie usłyszał. W każdym razie takie robił wraże-

'e. Po długiej przerwie na zadumę ceremonialnie odchrząknął, po czym róbował raz jeszcze: - Nie zechce mi pan w końcu wyjawić, gdzie pan yma schowany ten cenny obiekt?

-

Nie, tego nie zrobię - odpowiedział Soffici z nutką oburzenia. Moim przeznaczeniem jest znajomość rzeczy, które są światu nieznanne. rozumie.

Anicet zewnętrznie wydawał się spokojny, ale wewnętrznie pienił się złości. Nikt z jego bractwa, nawet profesor Murath, nigdy nie ważył ę tak go traktować. Należałoby zabić faceta, przemknęło mu przez myśl, ~ucić z najwyższej wieży zamku. Jednak

myśl, że wtedy obiekt mógłby zapaść raz na zawsze, powściągnęła jego wściekłość.

- No dobrze, monsignore, pogadajmy o pieniądzach. Bo przecież to aśnie jest powód, dla którego tak się pan w tę sprawę zaangażował.

- Tak - odparł Soffici z rozbijającą szczerością. - Trzeba panu wie-ieć, że nie wracam już do Watykanu. Postanowiłem zamienić sutannę garnitur od Cardina.

-

Ach, w ten sposób.

-Tak, w ten sposób. Nawiązałem już kontakty w Ameryce Południo-ej. W Chile i

Argentynie istnieją luksusowe osiedla dla ludzi, którzy su-"nę albo habit odwiesili na kołek. Niestety, mieszkanie w tych hotelach a nonkonformistów nie jest tanie. Ale

komu ja to mówię!

r Zatem ile? - skrzywił się Anicet.

- Powiedzmy... - Soffici spojrzał na sufit, jakby pojawił się tam napis Mene, Tekel, Fares, jak podczas biesiady u babilońskiego króla Baltazara — pół miliona!

- Argentyńskich pesos!

- Dolarów amerykańskich!

- Niemożliwe. Pan zwariował, Soffici.

- O tym rzeczywiście można by podyskutować.

- Proponuję panu połowę tego. W gotówce i nie rzucających się w oczy małych nominałach, z banderolą.

Soffici wiercił się niespokojnie na twardym krześle. Wiedział, że raczej nie znajdzie innych kupców na obiekt. W każdym razie nie takich, którzy byliby gotowi zapłacić dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za centymetr kwadratowy płótna.

-

Zatem zgoda - powiedział monsignore i przez biurko wyciągnął do Aniceta

rękę. - Ćwierć miliona dolarów amerykańskich.

Anicet zignorował podaną dłoń i spojrział na rozmówcę spod oka. - Kiedy może pan to dostarczyć? - spytał. Znow odzyskał pełną kontrolę nad sobą.

-Jeśli pan chce, to jutro rano koło jedenastej. Towar za pieniądze. Tylko bez żadnych sztuczek!

-

To przecież sprawa honorowa - odparł Anicet i zajął się własnymi myślami.

ROZDZIAŁ 43

H

otel Krone, zameczek z muru pruskiego, z wykuszami i wieżyczkami, położony był na samym brzegu Renu. Zarezerwowany apartament, z elegancką białą garderobą w ścianie oraz gustownym biedermeierowskim sekretarzykiem przy ścianie z oknem, emanował niemiecką przytulnością. Z okna rozciągał się widok na szeroką rzekę.

Barki jakby orały leniwe wody. Jednak Sofficiemu nie w głowie był reński romantyzm.

Zgodnie ze swoim zwyczajem, do łóżka poszedł wcześniej. Nie mógł jednak zasnąć. Po pierwsze dlatego, że po obu stronach Renu głośno przejeżdżały pociągi. Po drugie zaś, trapił się, czyjego plany się urzeczywistnią. Nie był twardym facetem, jakiego odegrał przed Anicetem. Obawa, że w ostatniej chwili może się coś nie udać, ścisnęła go za gardło.

Jakoś tak koło trzeciej nad ranem zmorzył go sen. Kiedy się obudził, było wpół do dziewiątej. Zamówił do pokoju sute śniadanie. W myślach przebiegł raz jeszcze scenariusz dnia, który miał przed sobą. Nic nie mowo się nie udać.

Krótko przed dziesiątą Soffici udał się do holu hotelowego. Na pozór znudzony

przysiadł na sofie, skąd miał oko na wejście do hotelu.

Po jakichś dwudziestu minutach przed hotelem zatrzymał się biały samochód FedExu. Kierowca szybkim krokiem pokonał schody prowadzące do wejścia. Tam już na niego czekano.

- Nazywam się Giancarlo Soffici - wyszedł mu naprzeciw gość hotelowy.

Kurier spojrział na niego podejrzliwie: - Ma pan jakiś dowód tożsamości?

-

Tak, naturalnie - Soffici wręczył kurierowi swój paszport. Ten spojrział

badawczo na zdjęcie w paszporcie, a potem na gościa

hotelowego. - W porządku - powiedział. - Gdyby pan jeszcze zechci pokwitować odbiór przesyłki.

Soffici odetchnął, złożył podpis i wziął paczuszkę.

-

Życzę szanownemu panu miłego dnia! - dodał jeszcze kwieciście pracownik

FedExu.

-To się okaże - mruknął pod nosem Soffici. Odwrócił się i już chciał wracać do

pokoju, gdy nagle znieruchomiał jak słup soli, w który zamieniła się żona Lota na

widok Sodomy. Przed nim stał kardynał Bruno Moro. Aza nim jego sekretarz

monsignore Abate. Obaj nienagannie ubrani w gatunkową ciemnoszarą flanelę. Abate

patrzył w ziemię, jakby to spotkanie było dla niego kłopotliwe. Na obliczu Moro

gościł cyniczny uśmiech.

- Bardzo się pan zmienił - zauważył, spojrzawszy na krótko ostrzyżone włosy

Sofficiego.

- Jak mnie pan znalazł? - wybełkotał Soffici bez tchu, nie odnosząc się do uwagi

Moro.

- Otrzymaliśmy informacje od policji, że wyjechał pan do Niemiec. Ale lepiej będzie, jak omówimy to w pańskim pokoju!

Zbity z tropu Soffici rozejrzał się wokół siebie: - Nie wiedziałem, że mamy coś do omawiania. Poza tym jestem umówiony. Zatem pan wybaczy, kardynale...

Soffici ruszył ku wyjściu z hotelu, ale Moro zastąpił mu drogę: - Przecież nie chce pan skandalu. Więc proszę! - gestem ręki wskazał na schody.

- Co tutaj znaczy skandal? - wybuchł Soffici.

- Zaraz panu powiem, monsignore! Zainscenizował pan porwanie siebie samego i sekretarza stanu. Gonzaga cierpi na poważne załamanie nerwowe, od tamtej pory jest leczony psychiatrycznie. Ukradł pan służbowy samochód sekretarza stanu i przekroczył granicę na fałszywych numerach. Soffici, Soffici, jakże nisko pan upadł.

- Sądzę, że akurat pan powinien raczej milczeć - odparł Soffici ze złością w oczach. - Czyż to nie była pańska decyzja o zamianie całunu turyń" skiego na kopię, żeby nauka miała wszelkie możliwości udowodnienia, że Jezus z Nazaretu był

zupełnie normalnym człowiekiem? - tu przerwał.

Moro i Abate spojrzeli po sobie znacząco.

-

Panie kardynale! - wyjąkał sekretarz.

Moro skinął głową. - Przeczuwałem. Oryginał całunu Pana naszego ajduje się w rękach bractwa tego nieszczęsnego kardynała Teciny, który raz, jak jeden z siedmiu diabłów, nosi imię Anicet.

Speszony Soffici rozejrzał się, czy nie ma świadków ich rozmowy, eraz to Soffici był tym, który chciał kontynuować rozmowę w pokoju. Proszę za mną!

Pokój nie był jeszcze posprzątnany i wyglądał tak, jak go zostawił. Moro jego

sekretarz usiedli na sofie, Soffici podsunął sobie fotel.

- Mam rację? - naciskał kardynał Moro. Soffici nie odpowiedział.

- Czyli jednak.

- Nie mam z tą sprawą nic wspólnego - oświadczył Soffici.

-

W takim razie dlaczego jest pan tutaj? O ile wiem, stąd jest tylko arę

kilometrów do Burg Layenfels, siedziby tych odszczepieńców. Czyż-

miał pan zamiar wstąpić do tego elitarnego klubu renegatów? Soffici, awiam się, że

to wszystko pana przerasta.

-

Niech pan sobie tam wierzy w co chce. Do Watykanu już nie wrócę. Moro

odpowiedział z drwiącym uśmiechem: - Dla obu stron tak

esztą będzie najlepiej.

Od dłuższego czasu Moro obserwował, jak Soffici przyciska do sie-ie małą

paczuszkę. Jednak nie przywiązywał do tego wagi, tylko konty-uował rozmowę,

stawiając pytanie: - Ale to właśnie Gonzaga zawiózł oryginał?

Soffici bez słowa skinął głową.

- Dlaczego to zrobił? Chciał zaszkodzić Kościołowi?

- Nie mógł inaczej postąpić.

-

Co znaczy: nie mógł inaczej? - rozłościł się Moro. - Czy to zna-?y, że był

szantażowany?

- Nie da się zaprzeczyć.

- Z powodu tamtej kobiety?

Monsignore Abate, z rękami splecionymi na brzuchu, zawstydzony, ekł wzrokiem w bok.

-

Te szatańskie amory! - zapienił się Moro. Zerwał się i zaczął ner-wo chodzić po pokoju. Abate trwożliwie śledził każdy jego krok. - Jak-można tak się dać złapać w diabelskie pułapki!

Soffici kiwał głową. - Każdego roku tysiące naszych współbraci zwalnia swoje urzędy, bo nie potrafią się oprzeć grzechowi. Seks to najskuteczniejszy wyłącznik rozumu, jaki zna Natura.

- Od sekretarza stanu oczekiwałbym większej odporności.

- Nawet sekretarz stanu ma określone potrzeby.

- Soffici! - wrzasnął ze złością Moro. - Czy pan postradał rozum? Nie pamięta pan już słów Pawła Apostoła?

- Bynajmniej - odparł Soffici. - Mówi pan o Pierwszym Liście do Koryntian, gdzie Apostoł powiada, że co do tych, którzy nie mają żon, dobrze będzie, jeśli pozostaną jak i on.

Abate przytaknął, zaś Moro zapytał: - Czyżby pan zapomniał o tych słowach Apostoła?

-

Przeciwnie - oświadczył Soffici. - Paweł powiada mianowicie również tak:

Lecz jeśli nie potrafiliby zapanować nad sobą, niech wstępują w związki małżeńskie!

Lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie niż płonąć. To dotyczy również sekretarza stanu. Skoro jednak zgodnie z encykliką Sacerdotalis Coelibatus małżeństwo pozostaje zakazane...

Moro i Abate zaniemówili. Nie było sensu dyskutować z monsignore Sofficim na temat cytatów biblijnych. Stary i Nowy Testament znał na pamięć jak Ojciec nasz.

Moro zauważył, że Soffici nerwowo spogląda na zegarek. — To dla pana zaszczyt, że jest pan sekretarzem Gonzagi - zauważył Moro pojednawczo. — Nie zmienia to jednak faktu, że sekretarz stanu jest zdrajcą sprawy Kościoła. Bóg go ukarze.

-

Kto z was jest bez winy, powiada Pismo, niech pierwszy rzuci kamieniem!

-Już dobrze - kardynał starał się przyhamować Sofficiego. - A jak pan sobie wyobrażał swoją przyszłość?

Wiarołomny monsignore niepewnie przygryzł dolną wargę. Równocześnie jego wzrok padł na kopertę ze zdjęciami rentgenowskimi, którą niedbale zostawił obok tacy ze śniadaniem.

- O mnie - odpowiedział Soffici - nie musi się pan martwić. I tak jestem przekonany, że nie mam co liczyć na żadną pomoc ze strony Kościoła.

- Tego faktycznie może pan być pewien! Nie zarzyna się mlecznej krowy.

-

-

Pod żadnym pozorem. Zresztą, żeby pozostać przy tym porównaniu, to nie zamierzam zarzynać tej krowy. Chcę bez rozgłosu zniknąć z pastwiska. Na tym polega różnica.

Moro lekceważąco machnął ręką. - Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie, powiada Pismo. Ale nie odpowiedział pan jeszcze na moje pytanie.

- Które pytanie?

- Pytanie, co sprowadza pana tutaj, do Burg Layenfels? Czyżby pan był zwolennikiem tego wiarołomnego kardynała? Tego, że się tak wyrażę, pasożyta na

ciele Kurii?

- Niech pan myśli, co chce, panie kardynale. A teraz proszę już sobie pójść!

Moro i jego sekretarz spełnili prośbę bez sprzeciwu, zaś Soffici pośpiesznie spakował walizkę.

ROZDZIAŁ 44

O

d czasu, kiedy Malberg zachował się tak odpychająco wobec Cateri-ny, pomiędzy nim a Barbierim panowała atmosfera napięcia. Barbieri nazwał go egoistą upartym jak baran, a przede wszystkim głupcem, skoro Malberg nie chce zrozumieć, że

Caterina naprawdę go kocha. Nie może przecież czynić Cateriny odpowiedzialną za zły charakter jej brata.

W środowy poranek ten ponury nastrój jeszcze się pogłębił, zważywszy mżawkę i szarą mgłę, która od wielu dni zalegała nad miastem i nadawała ulicy za protestanckim cmentarzem wygląd jeszcze bardziej beznadziejny niż w słoneczne dni.

Barbieri markotnie spojrział przez okno. Na dziś zaplanowaną miał obserwację.

Zlecenia tego rodzaju stanowiły główne źródło przychodów Barbieriego. W tym przypadku żona pewnego urzędnika z Ministerstwa Sprawiedliwości chciała się dowiedzieć, jak wygląda kwestia wierności jej męża. Fotografia i karteczka z koniecznymi informacjami musiały wystarczyć, żeby urzędnika wymiaru sprawiedliwości na czymś przyłapać.

Do robienia niezbędnych zdjęć dowodowych używał Barbieri cyfrowego aparatu Nikon D80 z potężnym teleobiektywem. Była to najpoważniejsza inwestycja w jego działalności detektywistycznej. Swój dobry sprzęt traktował z właściwą ostrożnością. Pędzelkiem usunął z obiektywu niemal niewidoczny pyłek. Potem ustawił aparat i na

chybił trafił zrobił zdjęcie z okna.

- Zakładasz, że klienci dostarczą ci materiały dowodowe, że tak powiem, z dostawą do domu? - zadrwił Malberg.

- Głupiś - odgryził się Giacopo i włożył aparat do brezentowej torby w kolorze zielonej trzciny. - A na twoim miejscu, wyjrzałbym przez okno. Takie popatrzenie przez okno może bardzo dobrze wpłynąć na nastrój.

-

Malberg nie zrozumiał, o co chodziło Barbieriemu. Tak czy inaczej . te słowa wzbudziły jego ciekawość. Wstał od kuchennego stołu, przy którym wspólnie jedli śniadanie, i podszedł do okna.

Padało coraz mocniej, a widok z okna nie należał akurat do tych, które; polepszają marny nastrój. Ale oto w bramie po drugiej stronie ulicy do-rzegł młodą kobietę.

Miała na sobie krótki płaszcz z kapturem. Malberg natychmiast ją rozpoznał:

Caterina.

W pierwszej chwili Lukasa Malberga ogarnęło radosne podniecenie, le zaraz naszły go myśli o feralnych okolicznościach dotyczących jej bra-I Paola. - To Caterina -

oznajmił cicho, starannie ukrywając poruszenie emocjonalne. — Na kogóż to ona czeka? - pytanie było retoryczne. Ledwo i wypowiedział, sam zauważył, jakie głupstwa wygaduje.

-

Na kogóż to? - przedrzeźniał Lukasa Giacopo. - Pewnie na Leonarda i Caprio albo Brada Pitta. Moim zdaniem, wobec Cateriny zachowujesz się ie tak. Ze swoją aparycją i inteligencją ta signorina mogłaby mieć zupełnie rny gust. Ale nie, musiała się panna zadurzyć akurat w takim zdziwaczałym, zaciętym Niemcu! Coś ci powiem: ja bym jej z łóżka nie wyrzucił. W życiu!

łoże kiedyś zauważy, jakiś ty durny. Chętnie ją wtedy pocieszę.

Słowa Barbieriego wyzwoliły u Malberga napad szału. Jak rozjuszony byk rzucił się na Giacopa i uderzył go pięścią. Cios trafił w nos i w ułamek sekundy po twarzy Giacopa spływała czerwona strużka.

-

Ostrzegam cię! Wara od Cateriny! - syknął Malberg.

-

Hej - odezwał się Barbieri, wierzchem dłoni ocierając krew z twarzy — a któż to jest taki zazdrosny? Najwidoczniej kochasz Caterinę bardziej niż się do tego przyznajesz. W przeciwnym razie byłoby ci wszystko jedno, z kim się bzyka. Nie jest tak?

Facet ma rację, pomyślał Malberg. Zrobiło mu się przykro, kiedy zosaczył, co narobił swoją pięścią. Po raz pierwszy zastanowił się nad tym, że może Caterinę stracić. I ta myśl wcale mu się nie spodobała.

- Przepraszam - powiedział do Giacopa i podał mu chusteczkę. - Na myśl, że Caterina mogłaby być blisko z kimś innym, po prostu wpadłem ' panikę.

- No to na co jeszcze czekasz? Leć na dół i powiedz jej to, co właśnie dowiedziałeś mnie! Zanim będzie za późno!

Malberg zawahał się. Niełatwo było mu przyznać, że zrobił błąd. Jego przesadna podejrzliwość i rozczarowanie uczyniły go ślepym na jej miłość. W gruncie rzeczy już od dawna wiedział, że uparte czepianie się jej „zdrady”, nie da się już obronić. I nagle uświadomił sobie coś jeszcze-Caterina jest częścią jego życia.

-

Masz rację, Giacopo! - zawołał, narzucił na siebie kurtkę i wybiegł z

mieszkania.

Kiedy Caterina zobaczyła zbliżającego się Malberga, wybiegła mu naprzeciw, nie zważając na ruch uliczny. Lukas zatrzymał się zakłopotany. Tak, wstydził się swojego dotychczasowego zachowania.

-

Lukas! - nie myśląc nawet, jak zareaguje, Caterina rzuciła się mu w ramiona.

Malberg przytulił ją tak, jakby nie chciał jej już nigdy wypuścić. - Przepraszam - powiedział ochryple. - Przepraszam.

Żadne z nich nie zauważyło, że stoją po kostki w kałuży. Nie docierały do nich klaksony samochodów. Całowali się, a deszcz padał na nich; całowali się aż do utraty tchu.

Lukas czuł, jak wilgoć przesącza się mu przez ubranie. Jednak nie było to uczucie nieprzyjemne. Wilgoć ta mieszała się z ciepłem emanującym od Cateriny. Po raz pierwszy od wielu tygodni świat był dla Malberga znów w porządku.

Z Caterina było podobnie. Kiedy wreszcie puściła Lukasa, aby zaczerpnąć powietrza, wydyszała bez tchu: - Szaleję za tobą!

A że Lukas nie zareagował, zamilkła. - Słyszałeś, co powiedziałam? Szaleję za tobą!

Lukas skinął głową. Brak mu było słów. - Jakim byłem durniem - powiedział wreszcie. - Powinienem być ci po prostu uwierzyć, nawet jeśli okoliczności przemawiały przeciwko tobie. Zwyczajnie nie chciało mi się zmieścić w tej tępej głowie, że możesz nie wiedzieć nic o zdradzie Paola.

-

A teraz? Teraz mi wierzysz?

Malberg przytaknął i przyciągnął ją do siebie. - Chodź! - powiedział jeszcze. -

Istnieją bardziej suche miejsca do podyskutowania o życiu w ogólności, zaś o naszej sytuacji w szczególności - Lukas wciągnął Caterinę do bramy i za rękę zaprowadził do mieszkania Barbieriego.

Barbieri już dawno wyszedł z domu, żeby zająć się swoimi sprawami.

Malberg pomógł Caterinie zdjąć przemoknięty płaszcz i zaczął ją osuszać ręcznikiem.

-

Jak długo tkwiłaś tam na dole? - zapytał, z czułością głaszcząc ją po twarzy.

-

Hm - Caterina wzruszyła ramionami - Godzinę, może dwie? - powiedziała, właściwie pytając.

-Jesteś wariatka - ofuknął ją Lukas.

-

Nie mówiłam ci już tego? - spytała Caterina.

-

Przecież nawet nie miałaś pewności, że cię zauważę! Caterina tupnęła nogą. -

Ależ byłam pewna, nawet bardzo pewna

- mrugnęła porozumiewawczo i dodała: - Istnieje pewien istotny powód, a którego chciałam z tobą koniecznie porozmawiać.

- Zaciekawiasz mnie. Coś nieprzyjemnego?

- Raczej coś rozczarowującego. Przynajmniej dla ciebie - Caterina wzięła z rąk Lukasa ręcznik, złożyła wzdłuż i owinęła sobie wokół szyi.

- No, mówże - powiedział Malberg, śledząc każdy jej ruch.

- Byłam u signory Fellini. Mam nadzieję, nie masz mi za złe, że ba-am dalej sprawę

Marleny na własną rękę. A kiedy z takim lekceważę-

em wyrzuciłeś jej nowy adres...

Malberg przełknął ślinę. Teraźniejszość, która właśnie wydawała się ć daleko, znów go dogoniła.

-

Jak na była dozorczynię - zaczęła Caterina niepewnie - to signora 'eszka sobie dość komfortowo w apartamencie przy Lungotevere Marzio, ez czynszu, ma się rozumieć, w domu stanowiącym własność Kościoła.

-To mnie nie dziwi - Malberg zaśmiał się z goryczą — po wszystkim, go już się dowiedzieliśmy. Kamienica na Via Gora, którą zajmowała ę jako dozorczyńi, również jest w posiadaniu Kościoła.

Caterina przytaknęła. - Jako dozorczyńi ta Fellini dowiadywała się wszystkim, co dzieje się w budynku. Również, między innymi tego, że Marleną Ammer pewien dostojnik Kościoła łamał celibat.

-

Gonzaga! - wpadł jej w słowo Malberg. Zaczerwienił się i dalsze owa uwięzły mu w gardle.

-

Nie da się zaprzeczyć. Gonzaga miał z Marleną romans. Lukas długo patrzył na Caterine. Jego rozum bronił się przed przyjęciem do wiadomości tego, co właśnie usłyszał. Caterina wyczuwała złość ół, które kryły się za jego nieruchomym spojrzeniem. - Gonzaga i Marna - mruknął do siebie. - W takim razie to Gonzaga krył się za imio-mi proroków w jej notatniku.

Przez kilka minut stali naprzeciw siebie w milczeniu. Caterinie jakby yło, jednak nie

odczuwała satysfakcji, że otworzyła Malbergowi oczy.

Poza tym nie miała ochoty słuchać drwiących komentarzy. Zakłopotana odwróciła się i rozpięła guziki bluzki, która wciąż mokra kleiła się jej do ciała. Potem zaczęła się wycierać do sucha.

-
Przeziębisz się - usłyszał Malberg jej słowa. - Chcesz pójść ze mną pod prysznic?

Lukas objął ją od tyłu i zaczął gmerać przy jej przemoczonej spódnicy aż ta zsunęła się na podłogę. W ciągu sekund pozbył się własnego ubrania. Następnie wepchnął Caterinę przed sobą do małej łazienki, w której nie było nic poza umywalką i prysznicem.

Wspólnie rozkoszowali się gorącą wodą, która lała się na nich ze staromodnego prysznicza. Caterina odwróciła się i przytuliła do Lukasa. Zauważyła, jak rośnie jego pożądanie. Pieszcząc jej piersi, poczuł erekcję. Gwałtownie naparł. Szum wody zagłuszył jej ciche jęki. Caterina przechyliła się do przodu. Była zdziwiona łatwością, z jaką Lukas w nią wszedł.

-
Musisz o niej zapomnieć, obiecaj mi to - powiedziała Caterina, prostując się trochę i stawiając rosnący opór jego coraz gwałtowniejszym ruchom. Wrażenia pod łaskoczącym strumieniem wody odebrały jej rozum. To uczucie nie dało się z niczym porównać, a jeśli w ogóle coś jeszcze jej chodziło po głowie, to myśl, że już nigdy się nie rozstanie z Lukaszem, tym przedziwnym facetem.

Lukas miał podobne odczucia. Nie ma nic bardziej podniecającego dla mężczyzny od podniecenia kobiety. Przez krótką chwilę pomyślał o Marlenie i był zaskoczony, jak łatwo odłożył na bok całe rozczarowanie. A potem już o niczym nie myślał.

Gwałtowny, niekończący się orgazm, który oboje równocześnie przeżyli, pozwolił

mu zapomnieć o wszystkim.

Ciasno objęci, osunęli się na dno kabiny. Malberg zakręcił wodę. Czuł na twarzy gorący oddech Cateriny. Oczy miała zamknięte, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości, że podniecająca zabawa dobiegła końca. Dość już długo odczuwali ból w przykurzonej pozycji, do jakiej zmusiła ich mała kabina. Był to jednak ból przyjemny, ból, który zamienił się w pożądanie, zanim naprawdę zabołał.

O szybę małego okienka wciąż dzwonił deszcz. Caterina stłumiła śmiech, bo przyszło jej do głowy, że temu właśnie deszczowi bez końca zawdzięcza najlepszy seks w życiu.

Lukas wyzwolił się w końcu z plątaniny ich ciał. Potem pomógł Caterinie wstać i zaniósł ją do pokoju obok. Nie znalazłszy niczego stosowego, okrył jej ramiona obrusem. Przemoczone ubrania przewiesił przez parcia krzeseł w kuchni, żeby wyschły.

Zamyślony odwrócił się z powrotem ku Caterinie. Siedziała tam z tym brusem na ramionach, jak bidulka. Tylko jej wzrok zdradzał, że bynajmniej nie była nieszczęśliwa, ale wręcz przeciwnie.

Malberg odgarnął jej z twarzy zmierzwiłone włosy i usiadł obok. - Ale czego nie rozumiem - zaczął powoli, patrząc nieruchomo przed siebie. Jeżeli kardynał Gonzaga miał romans z Marleną...

— Teraz jesteś rozczarowany - przerwała mu Caterina. — Długo się zastanawiałam, czy ci o tym powiedzieć. Skoro jednak chcemy nasze poszukiwania posunąć do przodu, trzeba, żebyś był na bieżąco informowany.

Lukas przytaknął i zaczął raz jeszcze: - Jeżeli Gonzaga i Marlena naprawdę mieli romans, to nie umiem sobie wyobrazić, żeby ten kardynał miał być w jakikolwiek

sposób odpowiedzialny za śmierć Marleny.

-

Uważasz, że wizja kochanka zabijającego ukochaną jest aż tak ab-urdalna? A to pojawienie się na jej pogrzebie? Codziennie zdarzają się orderstwa wśród bliskich, z zazdrości, nienawiści i chciwości.

-

Właściwie masz rację - zauważył Malberg z wahaniem. - Ale ja-'eż to zboczony motyw mógł mieć sekretarz stanu?

-

Być może ten sługa Boga bał się, że jego romans zostanie odkryty, o by to oznaczało dla kardynała, sekretarza stanu, tego nie muszę chyba alizować. Jednak nie byłoby też całkiem nie do pomyślenia, że Marlena mmer Gonzagę szantażowała.

-

Marlena nigdy by tego nie zrobiła! - oburzył się Malberg.

-

Któż to może wiedzieć? Do dziś uważałeś także za niemożliwe, żeby arlena poszła do łóżka z najprawdziwszym kardynałem Kurii.

Lukas pokręcił głową. Wciąż nie potrafił zrozumieć zachowania Marle-y. Musiał się zmusić, aby przyjąć za fakt to, co było dla niego niepojęte.

Jakby z daleka usłyszał Malberg kluczyk w zamku drzwi do mieszkania, nie dostrzegł w tym żadnego powodu do paniki. Dopiero kiedy spojrzał a Caterinę odzianą jedynie w obrus, zerwał się i z ręcznikiem na biodrach szedł Barbieriemu naprzeciw. Ten nie zdołał ukryć uśmiechu. Nawet kiedy Malberg wyjaśnił, że rzemokli na deszczu i rozwiesili swoje ubrania do wyschnięcia, Giaco-o stwierdził rozbawiony, że nie ma

się co tłumaczyć, mrugając przy tym orozumiewawczo.

Równocześnie z łazienki wyszła Caterina. Bez słowa dała Barbieriemu znak ręką.

Ten spojrział trochę zdziwiony, gdy rozpoznał swój obrus użyty niezgodnie z przeznaczeniem. - Widzę - oznajmił - że jest to najbardziej ekscytujące zastosowanie, jakie kiedykolwiek znalazły moje rzeczy.

Słowa Barbieriego rozładowały niezręczną sytuację. - Nie chcę już przeszkadzać - powiedział Barbieri i ze swojej brezentowej torby wyciągnął złożoną gazetę. - Tylko pomyślałem sobie, że to was może zainteresować.

Lukas i Caterina spojrzeli pytająco, gdy Giacomo otworzył gazetę i podał Malbergowi ze słowami: - W fontannie di Trevi wczoraj rano pływały zwłoki mężczyzny.

-

A co ja mam z tym wspólnego? - spytał Malberg, nawet nie spojrzawszy na gazetę.

-

Nazywał się Frederico Garre!

—

Nie znam. Przykro mi.

Barbieri zaczął powoli tracić cierpliwość: - A nie mówiłeś, że przed domem markizy groził ci jakiś człowiek z poparzeniami na twarzy?

— Tak, mówiłem.

— To może łaskawie spojrzysz na zdjęcie w gazecie!

Malberg przebiegł wzrokiem artykuł. Pod nagłówkiem „Trup w Fontana di Trevi” donoszono o pięćdziesięcioletnim mężczyźnie, którego zwłoki odkryto w

najśłynniejszej fontannie świata, i którego zidentyfikowano jako Frederico Garre.

Poza starymi bliznami po ranach postrzałowych i klutych sekcja wykazała, że Garre, znany w przestępczych kręgach pod ksywą „Poparzeniec”, został uduszony i wrzucony do fontanny.

Szeroko otwartymi oczami Malberg patrzył na zdjęcie w gazecie. Nie było wątpliwości: był to poparzeniec, z którym spotkał się przed rzeźbą Piet? Michała Anioła.

-

No co jest? Gadaj wreszcie! - Caterina naskoczyła na Malberga. Ale ten tylko pokręcił głową.

ROZDZIAŁ 45

niej więcej w tym samym czasie Soffici granatowym mercedesem jechał pod górę ledwie przejezdną zwirową drogą. Z powodu nie-yjemnego spotkania z Moro i Abatem był spóźniony. Nerwowo pa-ył we wsteczne lusterko, czy ktoś go nie śledzi. Obawiał się, że kardynał jego sekretarz tak łatwo nie oddadzą pola.

Poza tym Soffici miał nie najlepsze przeczucie dotyczące tego Ani-ceta. Chociaż z ogromną pewnością siebie stawiał mu czoła, to jednak owa pewność była udawana.

Wiedział aż za dobrze, jak bezwzględnie działa były kardynał, gdy chodzi o realizację własnych interesów.

Soffici dobrze się wtedy przygotował do pertraktacji z Anicetem i różne możliwe reakcje zanotował sobie na kartce. A jednak wbrew oczekiwaniom, tamten bez

większych dyskusji zgodził się na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Czyżby to był tylko zwodniczy manewr?

Mocno trzymając kierownicę, żeby samochód nie wyskoczył z kolein, Soffici czuł coraz poważniejsze wątpliwości, czy jest dla Aniceta godnym przeciwnikiem. On,

skromny sekretarz kardynała, przyzwyczajony przez całe życie do wykonywania poleceń z góry.

Na siedzeniu obok kierowcy leżała wciąż zamknięta paczuszka ze swoją niebezpieczną zawartością. Przy niej koperta z małoobrazkowymi zdjęciami rentgenowskimi. I za to dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Skoro bractwo i tak jest w posiadaniu całunu Jezusa z Nazaretu?

Sofficiemu przemknęło przez myśl, że coś się nie zgadza w całej sytuacji.

Dostarczyli całun Fideles Fidei Flagrantes niejako z dostawą do domu, a za tym krył się nieustępliwy szantaż. Nie było jednak żadnego wyjaśnienia, dlaczego wycinek z całunu, wielkości znaczka pocztowego miałby mieć dla tych samych ludzi tak wielką wartość.

Niemal symboliczny zdawał się Sofficiemu fakt, że stroma droga do Burg Layenfels nie dawała żadnych możliwości zjazdu w bok czy zawrócenia. Nie pozwalały na to gęste krzaki po obu stronach. Gdyby pojawiła się taka możliwość, Soffici z miejsca by zawrócił i jeszcze raz wszystko przemyślał. Jednak istniał tylko jeden kierunek: w górę. Po prostu nie może się nie udać!

Bardziej z przyzwyczajenia niż z głębokiej wiary Soffici się przeżegnał.

Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Zabukował nocny lot do Buenos Aires na nazwisko Frederico Garre. Z Frankfurtu, o dziewiętnastej dwadzieścia. W wewnętrznej kieszeni marynarki tkwił paszport na takie właśnie nazwisko. Pochodził od poparzeńca, który oficjalnie nazywał się Garre. Zdjęcie w paszporcie zostało zrobione jeszcze przed pechowym pożarem, czyli nie było całkiem świeże i stanowiło doskonały powód, dla którego po drodze Soffici u pewnego północnowłó-skiego barbiere kazał sobie ostrzyć włosy na trzy milimetry. Zdjął

swoje okulary w złotych oprawkach i dalej Giancarlo Soffici występował już jako Frederico Garre.

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Duża kasa! Pieniądze nigdy nie miały dla niego znaczenia. Już choćby dlatego, że nigdy ich nie miał. Soffici świetnie znał problematykę księży wyrzekających się Kościoła. Kto porzucał stan duchowny, nagle był jak noworodek: bez dochodów, bez świadczeń społecznych, bez perspektyw. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów powinno wystarczyć na rozpoczęcie nowego życia w Ameryce Południowej.

Przed bramą Burg Layenfels Soffici zatrzymał ciężki samochód. Ponieważ ostatni kawałek drogi prowadził stromo pod górę, zaciągnął hamulec ręczny. Wtedy rozległ się osobliwy dźwięk. Zabrzmiało to, jakby pękła struna w jakimś instrumencie, wysokie „plink”. Równocześnie mercedes zaczął się toczyć do tyłu.

Soffici instynktownie nadepnął pedał hamulca. Przez ułamek sekundy hamulec stawiał opór staczaniu się auta, ale potem pedał się poddał, pozwolił się wdepnąć aż do końca i zaklinował się przy samej podłodze, j

Oczami rozszerzonymi przerażeniem obserwował Soffici, jak krzaki po obu stronach dróżki nadjeżdżają z tyłu i przemykają ze świstem, coli! raz prędzej i prędzej, aż nagle zobaczył niebo, ponieważ auto prowadzone przez krzaki przewróciło się na bok. To była ostatnia rzecz, którą dostrzegł monsignore Giancarlo Soffici.

Na pierwszym zakręcie tworzącym kąt prosty tył samochodu wrył się w zarośla. Szyby tylna i przednia z hukiem pękły, tworząc charakterystyczne siatki. Przednia szyba wyskoczyła z ramy i poszybowała jak lotnia w kierunku liściastego lasu. Auto stanęło dęba jak smagnięty pejczem Icoń, podniosło się i przetoczyło kilka razy, aż

walnęło dachem o gruby [corzeń dębu. Wrak samochodu opadł na ziemię jak znokautowany bokser. Pognieciona chłodnica wydawała jeszcze jakie syki. Potem nagle zajadła niesamowita cisza.

Od bramy zamku zbliżało się trzech mężczyzn, żywo gestykulujących, stroma droga nie pozwalała im przyspieszyć kroku. Ze zgniłym zapachem su mieszał się smród rozlanego oleju i benzyny.

W trakcie swojej szaleńczej jazdy samochód wyorał w krajobrazie prawdziwą przesiekę. Kawałki auta leżały rozrzucone w promieniu trzydziestu metrów.

Trzej mężczyźni wydawali się zupełnie spokojni, kiedy podchodzili do miejsca wypadku. Jednym z nich był Anicet.

Dwaj młodszy zbliżali się do roztrzaskanego samochodu powoli, jakby się bali, że wrak może wybuchnąć, ale Anicet ich dopingował: - Bez obaw, łopcy, samochody po wypadku nie wybuchają, co najwyżej płoną. Takie ceny są tylko w telewizji!

Anicet ostrożnie zajrzał do wnętrza wozu albo raczej tego, co z niego stało.

Samochód jak ośmiornica owinał się wokół dębu. Obcasem nadepnął Anicet lewą szybę, która poza jednym poprzecznym pęknięciem pozostała nietknięta.

-Tu już nic się nie da zrobić! - oznajmił chłodno, rozpoznawszy Sof-ciego. Jego głowa, dziwnie przekręcona na bok, leżała na poduszce powietrznej, która eksplodowała. Z ust i nosa ciekła ciemna krew. - Bieda-psko - skomentował Anicet przerażający widok. Zabrzmiało tak, jakby naprawdę współczuł.

- Musimy zadzwonić na policję - powiedział jeden z młodych towa-pszy i wyjął z kieszeni komórkę. - Nie ma pośpiechu - orzekł Anicet. - Proszę mi pomóc wyciągnąć tego człowieka z wraku.

Wspólnymi siłami starali się otworzyć zakleszczone drzwi samochodu. Jednak choć bardzo się natężali, próba się nie powiodła. W końcu Anicet w rozwalone auto

zanurzył się górną częścią ciała. Po ciele Soffi-ciego przegramolił się na siedzenie obok kierowcy. Tam, na powyginanej podłodze leżało to, czego szukał: paczuszka i koperta.

Wydostanie się z wraku było nie mniej uciążliwe. Gdy Anicetowi wreszcie się to udało, spojrzał po sobie - był cały umazany krwią.

Jak bezcenny skarb zaciskał w dłoniach małą paczuszkę. Usta ściągnęły mu się w uśmiezek. Mieszanina potu i krwi, spływająca mu po twarzy, nadawała mu szatański wygląd.

-

Dobra robota - mruknął i rzucił obu pomocnikom porozumiewawcze spojrzenie.

Dwaj młodzieńcy odwrócili się i zaczęli zbierać się do powrotu na zamek.

-

Chwila! - przypomniał Anicet i wyjął z kieszeni spodni pudełko zapalek.

Zapalił jedną i wrzucił do zdemolowanego silnika samochodu, skąd kapała benzyna.

Auto w mgnieniu oka stanęło w płomieniach.

Wtedy odwrócił się do pozostałych: - No to chodźmy!

Po paru krokach zatrzymał się i obejrzał raz jeszcze za siebie. Płomienie strzelały na pięć, sześć metrów w górę i powodowały chmurę czarnego dymu.

-Ten monsignore sądził — powiedział cicho - że mu tak po prostu bez oporów wręczę ćwierć miliona dolarów - pomachał paczuszką nad głową. - Za ten śmiesznie mały pakiecik! Przecież musiał wiedzieć, jak cenny jest dla nas ten mały kawałek płótna.

-

Czy nie powinienem w końcu zawiadomić policji? - zapytał jeden z dwóch towarzyszących mężczyzn.

Anicet wzruszył ramionami i odparł: - Mało mnie to obchodzi.

ROZDZIAŁ 46

LN zupełnie niespodziewanie. Było krótko przed dziewiątą rano. Cate-'na zatopiona w miłych wspomnieniach właśnie brała prysznic, gdy za-zwonił telefon. Prokurator przekazał jej informację, że nakaz aresztowana Malberga został wycofany, a śledztwo umorzono. Caterina była zdumiona i równocześnie odczuła ulgę.

-

To naprawdę dobra wiadomość - odparła Caterina, a z włosów ka-ała jej woda.

- Ale już raz pana prosiłam, żeby nie dzwonić w porze, kie-

ludzie śpią. Akurat mnie pan złapał pod prysznicem. Mesomedes zaśmiał się. - Co się

tyczy niestosownej pory mojego lefonu, to przepraszam, signorina. Zapomniałem, że

mój rozkład dnia żni się od pani. Proszę mi wybaczyć. Jednak kto rano wstaje, temu

Pan óg daje. Dotyczy to przede wszystkim pewnego skromnego prokuratora, atomiast

co do pani wcześniejszego oświadczenia w sprawie Malberga, widziała go pani tylko

raz, i że prawdopodobnie przebywa za granicą, nie ma mnie pani chyba za tak tępego, żebym miał w to wierzyć. Po-adam nawet informacje, że Malberg wciąż jest w

Rzymie. Jakkolwiek by dnak było, chciałem tylko przekazać pani ostatnie ustalenia.

-

Już dobrze - dała się ułagodzić Caterina i starała się stłumić pod-ecenie. -

Zatem posunął pan do przodu swoje śledztwo w sprawie Marny Ammer? - zagadnęła

mimochodem.

Caterina wyraźnie słyszała, jak Mesomedes na drugim końcu wziął ęboki wdech. -

Muszę mówić cicho - zaczął ostrożnie. - Sprawa robi się raz bardziej tajemnicza.

Zresztą nieważne. Faktem jest, że szef prokura

tury Burchiello wyraźnie mi zabronił wznowiania tej sprawy. I to pomimo tego, że przedstawiłem mu nowe ustalenia, które jednoznacznie wskazują na konieczność wznowienia postępowania.

- Ma pan na myśli zdjęcia, które zrobiłam na pogrzebie Marleny!

- To też. Ale Burchiello nie dysponował nimi, kiedy umarzał postępowanie.

Natomiast inne fakty, które są wyszczególnione w aktach, także zostały pominięte: osobliwe ślady substancji zapachowych na szlafroku zmarłej, wybroczyny na górnej części ciała. Kiedy skonfrontowałem z nimi szefa prokuratury, ten zlekceważył je jako nieistotne. Zarzucił mi nadmiar ambicji i poradził zostawić w spokoju umorzone śledztwo. O ile nie chcę zrujnować swojej kariery.

- I wypełni pan jego polecenie?

- Oczywiście, że nie. Nie opuszcza mnie poczucie, że tu wcale nie chodzi o sprawę Marleny Ammer, lecz że za śmiercią signory kryje się zupełnie inna historia. Że może chodzi tutaj nawet o swego rodzaju wypadek przy pracy.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, o czym pan mówi - powiedziała Caterina, choć przeczuwała, co Mesomedesowi chodzi po głowie.

- Cóż, zakładając, że w sprawę byłby zamieszany pewien kardynał Kurii...?!

- Twierdzi pan, że signora Ammer miała coś wspólnego z członkiem Kurii!

- Pani fotografie potwierdzałyby taką hipotezę.

- Nie tylko moje fotografie - tu Caterina pokrótce opowiedziała Mesomedesowi o swoim spotkaniu z signorą Fellini i o tym, czego się dowiedziała. Mesomedes był zaskoczony.

- Gratuluję. Moglibyśmy współpracować. Jest pani bystrą młodą kobietą.

Wyobrażam sobie, że pani pojawienie się otwiera drzwi, które pozostają zamknięte przed mężczyzną. Z drugiej strony ja posiadam źródła informacji, do których nawet taka dziennikarka jak pani nie ma dostępu.

Nieźła propozycja, pomyślała Caterina, być może nawet jedyna możliwość rozwiania tajemnicy śmierci Marleny. Mimo to wciąż była sceptyczna. Ten Mesomedes miał w sobie coś takiego, co budziło jej nieufność.

Przed podjęciem decyzji chciała zyskać na czasie, żeby najpierw rozmówić się z Malbergiem. - Pańska propozycja - stwierdziła w końcu - brzmi nawet interesująco.

Ale proszę mi pozwolić o coś zapytać: Czy

r

dla pana nie jest ryzykowne działanie wbrew woli szefa prokuratury? Dlaczego pan to robi?

Caterina usłyszała w słuchawce cyniczny śmiech. - Dlaczego to robię? A powiem pani. Zachowanie szefa prokuratury daje podstawy do przypuszczenia, że on sam jest wtajemniczony w ten spisek. Zaś zdemaskowanie takiego człowieka to marzenie każdego prokuratora, który pnie się w górę. Pamięta pani aferę Watergate?

-

Za pozwoleniem, dottore Mesomedes, tam nie było prokuratora! Dwóch dziennikarzy ujawniło aferę szpiegowską!

-Wiem, ale swoimi poszukiwaniami doprowadzili do ustąpienia prezydenta USA i zyskali światową sławę.

-To prawda - odparła Caterina w zamyśleniu. Temu Mesomedesowi strasznie zależało na prestiżu, zwróciła na to uwagę już przy ich pierwszym spotkaniu. A jak się wydawało, tak się już zawiązał na sprawę Marleny Ammer, że nie popuści.

Bez wątpienia człowiek ten mógłby im się jeszcze przydać. Pewnie miał rację Mesomedes, przypuszczając, że ten spisek przerasta możliwości pojedynczego człowieka.

-1 co zamierza pan dalej robić? - zapytała Caterina dyplomatycznie.

-

Chętnie obejrzałbym sobie dokładniej mieszkanie Marleny Ammer - odparł Mesomedes. - W istniejących aktach nie ma żadnej informacji o warunkach mieszkaniowych signory ani o żadnych dowodach w mieszkaniu. Zgodnie z aktami, w tym kierunku nie było w ogóle żadnego policyjnego śledztwa. Szczerze mówiąc, nie bardzo to sobie wyobrażam. Pozostaje jedynie przypuszczenie, że wyniki śledztwa zostały zniszczone.

-

Z jakiego powodu, dottore }

-

Gdybym to wiedział, byliśmy o duży krok dalej. W każdym razie Wydaje się, że pewne fakty albo osoby są utrzymywane poza sprawą. Kiedy szef prokuratury Burchiello mówił mi, że wznowienie śledztwa byłoby niepożądane, byłem też przypadkowo świadkiem pewnej rozmowy telefonicznej. Wyglądało na to, że Burchiello otrzymał jakieś polecenie. Zachowywał się usłużnie jak lokaj i tytułował nieznanego rozmówcę ekscelencją.

-

Ekscelencją?

-

Tak. Ekscelencją. W międzyczasie dowiedziałem się, kogo się tak tytułuje. Za

Piusa XI, tytuł ten, wcześniej należny wyłącznie patriarchom nuncjuszom apostolskim, został rozszerzony na wszystkich biskupów i prałatów Kurii. Drugi Sobór Watykański zniósł ten przepis na rzecz tytułu eminencja. Dzisiaj tytułu tego używa się w Watykanie w stosunku do nuncjuszy i legatów oraz kardynała sekretarza stanu.

Na objaśnienie prokuratora Caterina zareagowała długim milczeniem.

- Signorina, jest tam pani jeszcze? - przerwał Mesomedes paralizującą ciszę.

Po wszystkim, czego już dowiedziała się na temat Gonzagi, Caterina nie była szczególnie zaskoczona. Jednak to, że Gonzaga miałby wpływać na działania rzymskiej prokuratury, bardzo ją zaniepokoiło.

-Tak, jestem tu - odparła. - Tylko chodzi mi po głowie kilka rzeczy, którym dotąd nie przypisywałam żadnego znaczenia.

-
Gdybym mógł być pani jakoś pomocny - zaoferował się Mesomedes. -Już dobrze - Caterina zakończyła rozmowę. Nie umiała oprzeć się wrażeniu, że Mesomedes jest nią samą zainteresowany co najmniej tak samo jak sprawą Marleny Ammer.

ROZDZIAŁ 47

B

zło to przedziwne: kiedy Malberg dowiedział się od Cateriny, że podobno wycofano wobec niego nakaz aresztowania, wcale nie był tym uszczęśliwiony. Przeciwnie. Jego pierwsza myśl brzmiała: To jest nic in-I nego jak podstęp. Lukas, bądź czujny!

Caterina żywo go przekonywała, żeby się oswoił z myślą, że jest wolnym człowiekiem. Wydarzenia ostatnich tygodni bez wątpienia Malberga zmieniły. Czuł

się ścigany przez wszystkich i każdego. Teraz musiał się po-? starać powstrzymać swoją podejrzliwość i powściągnąć wątpliwości, które prowadziły do coraz to nowych spekulacji. Przede wszystkim zaś musiał powrócić do normalnego życia. Sugestię Cateriny, że powinien wreszcie zająć się z powrotem swoim antykwariatem, Malberg z początku odrzucił, tłumacząc, że póki śmierć Marleny nie jest wyjaśniona, nie potrafi tak po prostu przejść nad wszystkim do porządku dziennego. Po długiej dyskusji wzięły górę racje Cateriny i Malberg zgodził się na parę dni polecieć do Monachium, żeby dogłębnie sprawdzić H&woich sprawy. Pojutrze, oznajmił, wróci do Rzymu.

Przynajmniej znów miał możliwość zabukować lot na własne nazwisko i zapłacić własną kartą kredytową. Panna Kleinlein, którą powiadomił o swoim powrocie, słysząc jego głos, nie posiadała się z radości. Powiedziała, że po całych tygodniach bez wiadomości, obawiała się już najgorszego.

W drodze na lotnisko Fiumicino taksówkarz zrezygnował z każdej luki wśród samochodów, żeby szybciej się przebić. Malberg nie mógł się powstrzymać przed rozglądaniem się za ewentualnym pościgiem. Tak silnie odcisnęły się na nim wydarzenia ostatnich tygodni. Pomimo porannych korków dotarł do celu po czterdziestominutowej jeździe.

Pośpiech taksówkarza okazał się bezużyteczny, ponieważ lot AZ 0432 linii Alitalia, wylot dziewiąta czterdzieści pięć, przylot do Monachium jedenasta dwadzieścia pięć, miał spóźnienie. Na wielkiej tablicy w sali odlotów mrugały zielone światełka z napisem „delayed”. Ruda stewardessa przy stanowisku Alitalii kojącym głosem wyjaśniała godzinne spóźnienie, związane z wymianą opon w samolocie Embraer Regional Jet, i rozdawała bonony na suto śniadanie w bistro. Malbergowi akurat było to śniadanie na rękę, ponieważ z mieszkania Barbieriego

wyszedł bez filiżanki kawy, nie mówiąc już o jajeczniczy na szynce czy innych smakołykach. Pojutrze — tak sobie twardo postanowił - wyprowadzi się od Barbieriego i poszuka sobie stosownego hotelu.

Gdzieś pomiędzy jajecznicą na szynce i bułką z galaretką malinową, monotonię przerwała Caterina, która zadzwoniła na komórkę, żeby mu powiedzieć, jak bardzo go kocha. Coś takiego wczesnym rankiem zawsze człowiekowi robi dobrze.

Kiedy sobie tak rozmawiali o wszystkim i o niczym, wzrok Malberga błędził po gorączkowym ruchu w porcie lotniczym. Przy tym wpadł mu w oko pilot w szykownym mundurze, w towarzystwie czterech stewardess. Kiedy podeszli bliżej, ich spojrzenia się spotkały. Malberg zmarszczył czoło.

Pilot się zatrzymał.

-

Lukas? - powiedział z pytaniem w głosie.

-

Max? - odparł z niedowierzaniem Malberg i zakończył rozmowę przez telefon.

Swojego szkolnego kolegę Maxa Sydowa pamiętał zupełnie inaczej. Podczas ostatniego zjazdu klasowego jako jedyny wystąpił w dżinsach i skórzanej kurtce — ku oburzeniu niektórych kolegów w garniturach. Teraz miał na sobie nienagannie skrojony mundur z czterema belkami, do tego białą koszulę i granatowy krawat.

-Jakiż ten świat jest mały! - wykrzyknął Sydow, kiedy wpadli sobie w ramiona. -

Cóż cię przyгнаło tu do Rzymu?

-

Ach, to długa historia.

- A moje pytanie niezbyt inteligentne. Czego miałby szukać w Rzymie człowiek

tak oddany kulturze jak ty! - Sydow spojrzal na zegarek, potem odwrócił się do stewardess i powiedział, żeby już szły. Dogoni je za pięć minut.

- Zaraz lecę do Kairu — oznajmił Sydow. - Mój Airbus A320 już si? grzeje. A ty wracasz do Monachium?

-

r

Malberg przytaknął. - W Monachium chcę tylko szybko sprawdzić, [czy wszystko w porządku. Pojutrze znów będę w Rzymie.

-

Mieszkaś tutaj? Pozazdrościć. Ja nadal mieszkam we Frankfurcie.

- Nie, to nie tak—odparł Malberg. - Powiedzmy, że zatrzymały mnie ?W Rzymie pewne okoliczności.

- Rozumiem, Lukas Malberg, samotnik, który zawsze miał lepsze podejście do książek niż do kobiet, zakochał się w ognistej rzymiance. Gratuluję, jak ma na imię, znam ją?

Malberg uśmiechnął się. Max wciąż tak samo jak dawniej mówił pro-|o z mostu. A co się tyczy kobiet, to racja.

? Caterina - powiedział - ma na imię Caterina, jest dziennikarką. L jak się do niej kiedykolwiek zbliżysz, to ci zęby powybijam. Roześmiali się obaj beztrąsko.

-

Ale mówiąc poważnie - podjął temat Malberg - Caterina nie jest edynym powodem, dla którego już od dziesięciu tygodni przebywam r Rzymie. Chodzi o Marlenę.

-

Marlenę Ammer? Hej, chyba się nie napaliłeś na Marlenę. Patrzcie : Lukas, po

którym nikt by się tego nie spodziewał, zabawia się z dwie-

la kobietami równocześnie. Ale muszę przyznać, że Marlana niesamo-cie się

zmieniła. Nie to co dawniej! Pamiętasz jeszcze ten jej obrzydliwy reterek własnej roboty, w którym chodziła do szkoły?

- Max! - Malberg starał się pohamować kolegę. - Marlana nie żyje.

- Nie gadaj bzdur! - powiedział Sydow i spojrzał na Malberga z prze-żeniem. - To

niemożliwe - dodał wreszcie cicho. - Wypadek?

- Marlana leżała martwa w wannie.

- Zawał serca!

Malberg pokręcił głową. - Istnieją dowody, że została zamordowa-

Sydow nerwowo spojrzał na zegarek. Był już spóźniony. Mimo to da-siedział przy

stoliku Malberga. - Ależ to straszne - powiedział cicho. " A sprawcę schwytano?

- Nie. Nigdy intensywnie nie szukano mordercy.

- Co ty mówisz?

- Śledztwo umorzono. Wszystko to jest bardzo tajemniczą historią, tarlenę w

głębokiej tajemnicy pochowano na Cimitero. Jednak nie jako larlenę Ammer, lecz

bezimiennie. Później pojawił się nagrobek z zagad-

-

kowym imieniem Jezabel oraz inskrypcją wziętą z Apokalipsy: „Przestań się lękać

tego, co będziesz cierpiał".

-

Brzmi dość złowieszczo!

-To jeszcze nie wszystko. Na tajnym pogrzebie byli obecni przedstawiciele Kurii i

co najmniej dwóch kardynałów. A mieszkanie Marleny na Via Gora jest zamurowane.

W mieszkaniu dozorczyńni rezydują pobożne mniszki, które nigdy nie słyszały o tym, żeby w kamienicy mieszkała jakaś Ammer. Zaś najlepszą przyjaciółką Marleny, pewną markizę, zastrzelono na ulicy przed jej domem.

- Lukas, ale nie opowiadasz mi tu bajek? - Sydow zrobił podejrzliwą minę.

- Chciałbym, żeby tak było. Nie, Max, taka jest prawda. Nawet, jeśli brzmi jak jakiś thriller. Niestety, to ja byłem ostatnią osobą, która rozmawiała przez telefon z Marleną. To oczywiście uczyniło mnie podejrzanym. Od tamtej pory policja deptała mi po piętach. Dopiero parę dni temu wycofano nakaz aresztowania. Teraz możesz sobie wyobrazić, dlaczego sam starałem się wyjaśnić tę sprawę.

- Udało ci się?

- Ależ skąd! Im głębiej wnikałem w wydarzenia wokół śmierci Marleny, tym bardziej sam się w sprawę wkiłałem. Czasami czuję się jak Richard Kimble podczas ucieczki.

- Ale z pewnością masz jakieś przypuszczenie?

Malberg machnął ręką. - Dotychczasowe ustalenia przekraczają pojmowanie prostego antykwariusza. Co dodatkowo utrudnia sprawę, to fakt, który muszę przyznać: chociaż przez dwa lata wspólnie siedzieliśmy w jednej szkolnej ławce, właściwie prawie wcale nie znałem Marleny.

- A na zjeździe klasy - wpadł mu w słowo Sydow - każdy opowiadał wyłącznie o sobie. Według schematu: mój dom, moja firma, mój samochód, moja kochanka.

- No właśnie. Tylko jedna osoba przemilczała swoje życie, jakby chroniła jakąś wielką tajemnicę: Marlena.

- Teraz, gdy to mówisz... masz rację. Od Marleny praktycznie niczego ześmy się nie dowiedzieli. A przy okazji, czy wiesz, że ona ma ślicz-niutką siostrę, parę lat młodszą, która jest stewardessą w Lufthansie? Ma na imię Lianę.

- Pierwsze słyszę.

-

-

Kiedyś na mojej liście załogi była wymieniona Lianę Ammer. Za-ytałem ją,

czy jest jakoś spokrewniona z niejaką Marleną Ammer. Bo

końcu nie jest to znów tak częste nazwisko. Odpowiedziała, że Marle-a to jej siostra.

Ale jak się okazało, nie bardzo się lubiły. Tak nierzadko iywa między siostrami.

-

Masz może adres tej Lianę Ammer?

-

Nie. Wiem tylko, że podobnie jak ja mieszka we Frankfurcie. Ale racając do

Marleny i jej tajemniczego życia, to muszę ci coś powiedzieć, o było krótko po

naszym zjeździe klasowym, miałem wtedy przerwę

Rzymie. Właściwie tylko dla zabicia czasu przeglądałem książkę tele-oniczną i

znalazłem numer Marleny. Zadzwoiłem do niej i zaprosiłem a obiad do restauracji,

którą sama wybierze. W końcu wiedziała lepiej "e mnie, który lokal jest akurat na

topie. Ale prowadziła na smyczy, bo k właśnie rzecz ujmę, niezwykle osobliwego towarzysza.

-

Osobliwego towarzysza? Jak to rozumieć?

-

Cholera, gość był od niej grubo starszy i nie był typem wymarzo-ego faceta,

jeśli wiesz, o co mi chodzi. Odniosłem wrażenie, że uważał a każde słowo, jakie

Marlena wypowiadała. A kiedy o coś zapytałem, trącił się i zmienił temat. Jedyne

sympatyczne wspomnienie, jakie mi

zostało, to takie, że był leworęczny, jak Albert Einstein, Bill Clinton i ja h tu Sydow z pewną ironią dodał jeszcze: - Nie trzeba chyba wspominać, że ludzie leworęczni,

przez uwarunkowania genetyczne, są wybitnie teligentni...

-

Wiem, Max, wiem — przerwał Malberg. - Dowiodłeś tego bardzo dnoznacznie już w czasach szkoły. Pod tym względem ja, również uwarunkowany genetycznie, byłem raczej praworęczny. Ale wracając do towarzysza Marleny. Co się okazało podczas tamtej rozmowy?

-

Nic. Był to dość nudny wieczór.

-

Ale kim był ten facet? Chodzi mi o to, że przecież musiał się przedstawić!

-

No jasne. Ale gość zrobił na mnie tak niesympatyczne wrażenie, po dziesięciu minutach jego nazwisko wypadło mi z głowy - Sydow

ojrzał na zegarek: - Ale na mnie już najwyższy czas. Miło było cię spotkać. Zdaje się, że przez wszystkie lata szkoły tak ześmy sobie nie podali. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś mógł mnie informować na bieżąco sprawie Marleny.

Malberg zapewnił, że tak zrobi. A kiedy wymienili się numerami telefonów, Max Sydow zniknął za bramką zastrzeżoną dla załogi.

Z głośników rozległ się komunikat: „Alitalia ogłasza spóźniony lot AZ 0432 do Monachium. Uprasza się pasażerów o podejście do bramki 33”.

Malberg wstał zamyślony. Wciąż chodziło mu po głowie spotkanie Sydowa z Marleną i zagadkowym nieznajomym.

d czasu owianego tajemnicą porwania, sekretarz stanu kardynał Phi-lippo Gonzaga był bardzo nieprzystępny. Pomstował na Boga i świat. Z uwagi na nadszarpnięte zdrowie, wbrew swojemu zwyczajowi, odmówił celebrowania porannej mszy w Kaplicy Sykstyńskiej.

Również tego ranka Gonzaga za swoim biurkiem burczał coś pod nosem pośród stosów akt, których nazbierało się w międzyczasie. Dopiero gdy zniknął Soffici, Gonzaga uświadomił sobie, jak wiele zawdzięczał prywatnemu sekretarzowi. W takich chwilach niemal trochę żałował, że czasami tak źle go traktował.

Zadzwonił telefon na biurku. Gonzaga odebrał burkliwie: - Tak?

-

Czy to biuro kardynała sekretarza stanu? - odezwał się energiczny kobiecy głos.

- Kto mówi?

- Tu biuro szefa policji.

- O co chodzi?

- Szef policji chciałby odwiedzić sekretarza stanu. Sprawa jest pilna.

- Właśnie mówi sekretarz stanu!

Stanowczy głos zdawał się być zaskoczony, że kardynał sekretarz stanu tak po prostu sam odbiera telefon. - Ekscelencjo, czy byłaby taka możliwość, żeby przyjął pan szefa policji jeszcze dziś? Chodzi o pańskiego sekretarza Giancarlo Sofficiego.

-

Niech przyjdzie! - szczechnął Gonzaga w telefon. - Najlepiej zaraz Po modlitwie na Anioł Pański!

Wprawdzie rezolutna sekretarka szefa rzymskiej policji miała maturę jednak obce

jej było używane w Kurii kościelne określenie czasu. Krcp0, wala się zapytać sekretarza stanu o godzinę spotkania w przeliczeniu na zegar świecki i miała tylko nadzieję, że szef rzymskiej policji z pewnością połapie się w tej osobliwej rachubie godzin.

Rzeczywiście, zaraz po jedenastej przed wejściem do Cortile di San Damaso zatrzymała się ciemna lancia szefa policji w asyście dwóch cara-binieri na motocyklach. Dwóch żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej zaprowadziło gościa do biura

Gonzagi w Pałacu Watykańskim.

Antonio Canella, szef policji, szacowny, dobrze odżywiony oficer z najwyższych widełek płacowych, miał na sobie czarny garnitur i z trudem dźwigał swoje przyciężkie, pulchne ciało, podążając za gwardzistami na trzecie piętro szerokimi marmurowymi korytarzami, które zdawały się nie mieć końca. W prawej ręce trzymał czarną aktówkę.

Obaj mundurowi stanęli na warcie po lewej i prawej stronie wejścia do przedpokoju sekretarza stanu. Zgodnie z regulaminem patrzyli nieruchomo prosto przed siebie. Canella zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Drzwi do biura Gonzagi były otwarte, jakby sekretarza stanu nie było. Jednak na głośnie chrząknięcie szefa policji, Gonzaga bez słowa pojawił się w drzwiach. W milczeniu podał Canelli do ucałowania pierścień na wyciągniętej prawicy. Szef policji, przynajmniej o głowę niższy od kardynała, chcąc nie chcąc, złożył pocałunek na kardynalskim pierścieniu.

Canella, którego krytyczna postawa wobec Kurii była znana, uważał całowanie pierścienia za dosyć niepoważne. Skoro jednak był tutaj oficjalnie, nie mógł sobie pozwolić na żaden skandal. Wraz z szerokim gestem, który omiótł cały przedpokój, Canella zadał Gonzadze oględne pytanie: — Czy to właśnie jest, że się tak wyrażę,

gabinet Giancarlo Sofficiego, pańskiego sekretarza?

-

Co z Sofiicim? Czy ma pan jakieś oznaki, że żyje? - spytał zdenerwowany sekretarz stanu.

Canella zrobił nieszczęśliwą minę jak marny aktor, którego gra nikogo nie przekonuje. Odparł: - Monsignore Soffici nie żyje. Przykro mi, ekscelencjo — przy tym skłonił się z wyraźną niechęcią.

— Zabili go - syknął Gonzaga. W jego głosie pobrzmiewała raczej złość niż smutek. - Gdzie go znaleziono?

Odpowiedź zapewne pana zaskoczy, ekscelencjo. Jednak jestem pełnię, że ma pan jakieś wyjaśnienie w tej kwestii. Monsignore Soffici stracił życie w wypadku samochodowym w Niemczech - Canella otworzył aktówkę i wyjął jakiś faks.-

Nieopodal pewnego zamku nad Renem. Zamek nazywa się Burg Layenfels!

Gonzaga opadł na krzesło i pokazał palcem, żeby Canella także usiadł. Krytycznym wzrokiem szef policji obserwował każde poruszenie na [twarzy Gonzagi. Widział, jak wszystko w nim się gotuje. Gonzaga zdawał się być zaskoczony, ale w żadnym razie nie wstrząśnięty. Również miejsce śmierci Sofficiego zdawało się nie budzić żadnych pytań.

Czy ma pan jakieś wyjaśnienie, czego chciał monsignore w... - tu odczytał z kartki, którą trzymał w ręce - .. .Burg Layenfels?

Gonzaga zrobił się niepewny. - Monsignore Soffici był w podróży izbowej - odparł wreszcie.

—

Do zamku nad Renem?

-

A co to ma do rzeczy? - warknął Gonzaga. - Burg Layenfels - łął - jest

ii dzibą chrześcijańskiego bractwa, popieranego przez Kurię Rzymską. Bracia in

Christo prowadzą tam na zlecenie Kościoła pewne badania naukowe.

Canella pokiwał głową, jakby był zadowolony z tej odpowiedzi. -W takim razie

zapewne da się też wyjaśnić, dlaczego Soffici jechał pań-im służbowym

samochodem, ekscelencjo.

— Moim służbowym autem? Mój samochód zaginał już jakiś czas emu! -

Gonzaga spojrzał zakłopotany. Wygadał się, ale spróbował swój 3ład natychmiast

naprawić, mówiąc: - Kiedy się nad tym zastanawiam,

przypomina mi się, że mój sekretarz prosił mnie o użyczenie mojego mercedesa. Tak,

teraz wyraźnie to sobie przypominam!

W rzeczywistości Gonzaga rozpaczliwie starał się wykombinować, r jakich to

okolicznościach Soffici mógł się wybierać do Burg Layenfels ego służbowym

mercedesem, który zniknął zaraz po tamtym porwaniu. Zobaczywszy skierowane na

siebie pytające spojrzenie Canelli, zmie-l się. - Nasze relacje, trzeba panu wiedzieć, nie były najlepsze - oświad-yi- - Giancarlo był czasem bardzo samowolny. Innymi

słowy, bywało, że ? wiedziała prawica, co czyni lewica.

-

Rozumiem - odparł Canella, chociaż pojęcia nie miał, o co tu cho-zi. - Zatem

nie potrafi pan także wyjaśnić, dlaczego do pańskiego służ-awego mercedesa

przykręcono fałszywe tablice rejestracyjne.

- Fałszywe numery? To niemożliwe!

- Ekscelencjo, czyżby pan sądził, że nasi niemieccy koledzy całą historię

wymyślili, żeby przydać sobie ważności? - Canella poczerwieniał na okrągłutkiej

twarzy. Wyraźnie zdenerwowany poszperał w swojej aktówce i wydobył z niej

przeźroczyście foliową torebkę z czymś nadpalonym, w czym łatwo było rozpoznać pozostałości paszportu. - I naturalnie nie wie pan również, że pański sekretarz miał ten paszport w ubraniu. Wystawiony był na nazwisko Frederico Garre, tego Garre, którego ciało kilka dni temu pływało w fontannie di Trevi. Ekszelencjo, sądzę, że powinien pan zrezygnować z tej postawy i wyznać prawdę!

Na to sekretarz stanu zaczął się miotać: - Czyż jestem stróżem sekretarza mego? - i pomyślał, że Soffici skomentowałby jego wypowiedź wskazaniem: Księga Rodzaju, rozdział 4. Tym bardziej Gonzaga był zdumiony, kiedy szef policji wysłuchawszy parafrazy, zacytował ciąg dalszy: „Cóżżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!”

Kardynał miał właśnie wypowiedzieć słowa uznania dla Canelliego za jego doskonałą znajomość Biblii, gdy uświadomił sobie sens tego cytatu. — Sądzi pan zatem - zagadnął dyplomatycznie - że Soffici zginął gwałtowną śmiercią? Czy zna pan bliższe okoliczności tego wypadku?

Canella zwlekał z odpowiedzią i zagłębił się w kolejny dokument ze swojej aktówki.

-
Chwileczkę - powiedział, zauważywszy zniecierpliwienie Gonzagi. — Raport o wypadku sporządzony przez naszych niemieckich kolegów opiera się na dwóch przesłankach. Po pierwsze, na zeznaniu członka bractwa, które ma siedzibę w zamku. Człowiek ten widział podobno, że samochód zatrzymał się na stromiźnie i nagle potoczył do tyłu, aż dachował i płonął, gruchnął w las. Po drugie, badanie kryminalistyczne wykazało, że w samochodzie nie zadziałały hamulce. Jak dotąd nie zdołano ustalić, czy przyczyną wypadku była jakaś manipulacja. Wrak prawie doszczętnie spłonął.

Canella jeszcze nie skończył swoich wyjaśnień, gdy na biurku Gonzagi zadzwonił telefon. Po drugiej stronie odezwał się Beat Keller, szef ochrony Watykanu i przełożony Gwardii Szwajcarskiej, oddziału żołnierzy, który od Juliusza II czuwa nad losem papieża i bezpieczeństwem Watykanu, j Keller, doskonale wyszkolony dwumetrowy mężczyzna o przylizanych czarnych włosach i wyglądzie Arnolda Schwarzeneggera, zwykle obnosił się ze swobodą człowieka, któremu nic na świecie nie jest straszne. Jednak ego dnia robił wrażenie nieźle zdenerwowanego.

-

Ekscelencjo — zaczął stanowczo - muszę z panem pilnie mówić. Proszę!

W ciągu siedmiu lat, podczas których Gonzaga miał do czynienia ; Kellerem, nigdy jeszcze gwardzista nie był tak poruszony. - Nie zechce li pan powiedzieć, o co chodzi? - zganił Gonzaga szefa ochrony.

-

Chodzi o tego człowieka z poparzoną twarzą, którego znaleziono lartwego w Fontana di Trevi. Na pewno widział pan w gazecie jego zdję-ie. Nazywa się podobno... - Beat Keller się zaciął.

-

Frederico Garre - przyszedł mu z pomocą Gonzaga.

-

Tak, zdaje się, że tak się nazywał. Człowiek ten pojawia się na ma-erialach z naszych kamer.

• Ten kaleka z poparzoną twarzą? Panie Keller, natychmiast proszę do mnie! -

Gonzaga odłożył słuchawkę.

-
Przepraszam, że słuchałem - wmieszał się Canella - ale powiedział pan

Frederico Garre? Ten Garre, który...

-Ten właśnie! Mój szef ochrony twierdzi, że rozpoznał tego człowieka w jednej z kamer monitoringu. Keller już tu idzie.

Szef policji schował dokumenty do czarnej aktówki. Potem powiedział: -

Ekscelencjo, czy pozwoli mi pan rzucić okiem na te materiały? Iżże przyda się to rzymskiej policji.

-
Nie mam nic przeciwko temu - odparł Gonzaga z perfidnym uśmiechem. -

Powiedzmy tak: ręka rękę myje.

W tej samej chwili przyszedł szef ochrony. Beat Keller niósł pod pachą laptop.

Szefa policji znał z różnych spotkań roboczych, na których dyskutowali jak równy z równym: Canella jako szef ochrony Rzymu i Keller jako szef ochrony Państwa Kościelnego. Obecność szefa policji była mu całkowicie na rękę.

Po zamachu na rzeźbę Michała Anioła Pietrangeli w latach pięćdziesiątych

zaostrzono środki ostrożności w Watykanie. Między innymi założono monitoring

wideo wszystkich wrażliwych eksponatów w Muzeum Watykańskim i Bazylice św.

Piotra.

Dzięki najnowocześniejszej technice zapamiętywano na płycie DVD co dziesięć

sekund zdjęcia z osiemnastu różnych kamer. O tym, ile takich kamer monitorujących

zainstalowano w Watykanie, wiedzieli jedynie nieliczni, związani z

bezpieczeństwem, a wśród nich Gonzaga i Keller.

Bez wnikania w szczegóły Keller włączył laptop. Na prawym panelu pojawiła się

postać mężczyzny. Wyraźnie widać było jego zdeformowaną twarz. Nie było

wątpliwości: Frederico Garre, poparzeniec. Keller puścił klip dalej.

Poparzeniec na monitorze kręcił się na wszystkie strony. Pewnie w celu sprawdzenia, czy nikt go nie obserwuje. Następnie podszedł do jakiegoś mężczyzny, z którym najwidoczniej był w tym miejscu umówiony.

-

Signori, czy znacie tego człowieka?

- Nie - odpowiedzieli Gonzaga i Canella jakbyjednym głosem. - Natomiast co do człowieka z poparzoną twarzą - ciągnął sekretarz stanu - to bez wątpienia chodzi o tamtego Frederico Garre, którego ciało znaleziono w Fontana di Trevi.

- Zaraz - przerwał Canella i wyjął z aktówki nadpalony paszport. Trzymając poważnie uszkodzone zdjęcie paszportowe obok monitora, oświadczył z pewną rezerwą: - Zapewne ma pan rację, ekscelencjo. Ale co do mnie, pozostanę przy swoich wątpliwościach. A jeśli wolno zapytać, to skąd ma pan taką pewność, że ten człowiek to właśnie Frederico Garre? Przecież pan go wcale nie zna.

- Oczywiście, że nie — odparł Gonzaga. - Nigdy tego człowieka za życia nie widziałem...

-

Mówi pan to jakimś dziwnym tonem!

-

No, cóż - kardynał odchrząknął zakłopotany - w tym miejscu mufl szę coś wyjaśnić. Kiedy gazety po raz pierwszy doniosły o niezidentyfikowanych zwłokach w wodzie, sądziłem początkowo, że to mój prywatny sekretarz Giancarlo Soffici. Parę dni wcześniej zniknął, jakby się pod ziemię zapadł. Pojechałem na patologię Kliniki Uniwersyteckiej i obawiałem się najgorszego. Jednak ciało, które pokazał mi

patolog, nie należało do Sofficiego. To był ten człowiek!

Gonzaga palcem wskazującym mocno stuknął w monitor.

- No, a skąd pan zna jego nazwisko? - Canella obserwował kardynała kątem oka.

- Jego nazwisko? Naprawdę wymieniłem jego nazwisko? - Gonzaga zaczął się jękać.

-
Powiedział pan Frederico Garre czy coś w tym rodzaju.

-
Ach tak, przypominam sobie. Dzień czy dwa po pierwszej infoi' macji,

Messagero podał, że tego człowieka z fontanny di Trevi zidentyfikowano

yano i że chodzi o kryminalistę od dawna znanego władzom, nazwiskiem pYederico Garre. Tak, tak to było.

Keller, szef ochrony, przysłuchiwał się milcząco, ale z zainteresowaniem. To, co opowiadał Gonzaga, było dla niego czymś nowym. Dlaczego kardynał nie zawiadomił o zniknięciu swojego sekretarza? - Czy mogę raz panom odtworzyć kolejne nagrania?

- spytał w końcu. - Jest ich więcej?

-
A jakże, ekscelencjo. A ten zapis wydaje mi się w pewnym sensie zagadkowy.

Został zrobiony z innej kamery i pod innym kątem.

-
Niechże pan już puszcza! - zawołał podekscytowany Canella. Jedno kliknięcie i na monitorze pojawili się ci sami dwaj mężczyźni,

? nawie głównej Bazyliki św. Piotra, teraz zarejestrowani ukośnie z góry, c, że wyraźnie widać było ich twarze, a wręcz mimikę. Wydawali się i czymś żywo

rozmawiać. Równocześnie poparzeniec wciąż rozglądał się na wszystkie strony.

Przechyleni nad stołem Gonzaga i Canella śledzili nagranie, gdy na-kardynał znieruchomiał, jakby trafiony piorunem. Canella, który nie potrafił wyjaśnić wydarzeń na monitorze, spojrział sekretarza stanu podejrzliwie. Ten nieruchomymi oczami śledził scenę, w której poparzeniec wyjmując z kurtki celofanową torebkę i trzymając ją przed nosem. Wyglądało na to, że tamten chciał sięgnąć torebkę, ale zanim zdążył to zrobić, kaleka błyskawicznie schował ją : powrotem do kieszeni kurtki. Keller zatrzymał nagranie.

Gonzaga nie miał najmniejszych wątpliwości, co tu właśnie zaszło, za dobrze pamiętał lot z Frankfurtu do Mediolanu, kiedy to sąsiedni asażer nagle do niego zagadał i zaoferował sprzedaż tej samej celofanowej torebki z małym kawałkiem całunu Jezusa z Nazaretu. Poparzeniec letnie znał wartość tego małego kawałka płótna. W międzyczasie kardynał uświadomił sobie, jakie miał on znaczenie. Kim jednak był nieznanemu obok poparzeńca? Taki elegancki mężczyzna w najlepszych latach? Trudno sobie wyobrazić, żeby był zamieszany w jakiegokolwiek kryminalne machinacje albo żeby był członkiem Fideles I Rdei Flagrantes. Skoro jednak ani jedno, ani drugie, to skąd jego zainteresowanie tym kawałkiem płótna?

-
Ekscelencjo, co z panem, ekscelencjo?

Jak z oddali do Gonzagi dotarły dobitne słowa szwajcarskiego gwardzisty: - Czy ma pan jakieś wyjaśnienie dla zachowania się tych mężczyzn?

Tak, jakby Keller przyłapał go na grzechu przeciwko szóstemu przykazaniu,

Gonzaga wyjąkał zmieszany: - Czyż Pan Jezus nie wygnał osobiście handlarzy ze świątyni? To hańba. Teraz dilerów nie powstrzymują już nawet wrota Bazyliki św.

Piotra.

-

Twierdzi pan zatem - włączył się Canella - że kamera uchwyciła tu jakiś deal narkotykowy czy coś w tym rodzaju?

-

Można by tak sądzić, czyż nie?

Szef ochrony spojrział na kardynała z niedowierzaniem. -To oznaczałoby przecież, że diabeł sieje swój terror nawet pod kopułą św. Piotra.

-

Sprawa dla wydziału antynarkotykowego - oświadczył Canella lakonicznie i

dodał z przekąsem: - Dlaczego dilerzy narkotyków mieliby się zatrzymać akurat przed murami Watykanu?

Na to kardynał wybuchł: - Jest to podły atak na uczciwość Watykanu i całego

Kościoła. Pańska uwaga to zuchwalstwo oraz dowód na to, że diabeł nawet w

najwyższych urzędach państwa sieje swój terror. Proszę łaskawie przyjąć do

wiadomości, że w Watykanie nie ma narkotyków. Wszechmogący chroni nas przed

tym narzędziem szatana!

Przy tych słowach głos sekretarza stanu się załamał. Równocześnie rzucił szefowi

ochrony Beatowi Kellerowi spojrzenie z prośbą o pomoc, jakby chciał powiedzieć:

Niechże pan mnie wreszcie poprze!

Jednak Keller milczał.

Zamiast tego nacisnął klawisz w odtwarzaczu i puścił dalszy ciąg nagrania. - Tutaj

- oznajmił Keller i wskazał na monitor - widzimy kolejną scenę, która stawia zagadki.

Poparzeniec wręcza nieznanemu trzy fotografie, a w każdym razie początkowo

sądziłem, że chodzi o fotografie. Jednak po kilkukrotnym obejrzeniu tej sceny

doszedłem do wniosku, że mogło tu chodzić o negatywy albo zdjęcia rentgenowskie.

Tutaj, proszę spojrzeć, nieznajomy nakłada folie na siebie i trzyma pod światło!

- Ma pan rację! - zawołał podniecony Canella. Dodał jeszcze żartobliwie: - Gdyby pan kiedyś potrzebował nowej pracy, proszę do mnie zadzwonić!

- W porządku - odparł Keller wesoło - ale to nie wszystko. Ta klatka pokazuje, jak człowiek z poparzoną twarzą trzyma przed oczami roz'

-

mówcy rozczapierzone obie dłonie, jakby chciał pokazać liczbę dziesięć. JSTa następnej klatce widzimy poparzeńca w podobnej pozycji nadal z rozczapierzonymi palcami obu dłoni. Pierwsza i druga klatka są odległe od siebie dokładnie o dziesięć sekund.

Gonzaga się pogubił. - Co pan chce przez to powiedzieć, Keller? Szef ochrony zatrzymał obraz. Potem powiedział: - Niech każdy z panów patrzy na sekundnik swojego zegarka.

Kardynał i szef policji spojrzeli bezradnie po sobie. W końcu spełnili prośbę Kellera.

Ten rozczapierzył palce obu dłoni i dziesięć razy wykonał ękami taki ruch, jakby chciał zatrzymać nadjeżdżające auto. - Jak długo to trwało? - spytał. Canella

przeczuwał, do czego szef ochrony zmierza.

-

Dokładnie dziesięć sekund - odparł.

-

Akurat te dziesięć sekund, które dzielą obie klatki. Dziesięć razy ten sam ruch

daje sto. A teraz proszę zaobserwować ruch warg poparzeńca!

-Trzyma usta zaciśnięte, jakby chciał coś ukryć - wmieszał się Gon-asz

?

Możliwe, ale mało prawdopodobne, skoro ci dwaj właśnie nego-

? Mille, tysiąc! - poddał Canella pod dyskusję. - Facet trzyma usta zamknięte,

jakby wymawiał słowo mila. W kontekście znaków dłońmi

łożna wnioskować, że poparzeniec żąda od nieznanego stu tysięcy! Dolarów? -

wykrzyknął podenerwowany kardynał. Canella machnął ręką. - Dolarów czy euro, co

za różnica. W każ-i razie suma jest poważna. I tu powstaje pytanie, kto byłby gotów

wy-acić tak duże pieniądze, jeśli nie handlarz narkotyków, który działa na ażą skalę?

Keller udawał, że nie zauważa nerwowych ruchów Gonzagi ani że jego prawa ręka

drży. Jako szef ochrony Watykanu wiedział, że Państwo

I Watykańskie posiada wprawdzie szczególny status, ale jest państwem jak każde

inne, gdzie jest dobro i zło, oraz są zwolennicy zarówno jednej, jak

,1 drugiej strony. Niejednokrotnie miał Keller do czynienia z samodzielnymi

działaniami sekretarza stanu i nie po raz pierwszy zachowanie Gonzagi

doprowadzało go do rozpacz. Było nie było, sekretarz stanu był jego najwyższym

przełożonym, jeśli nie liczyć zastępcy Boga na ziemi. Ten jednak nigdy nie schodził

na niziny watykańskiej służby bezpieczeństwa. Już

raczej wyznawał pogląd, że papieży chroni sam Pan Bóg. Równocześnie historia

dowodziła czegoś przeciwnego. Papieskie pontyfikaty nierząd kończyły się udziałem

trucizny, sztyletu i gołych rąk.

O czym jednak wiedział Gonzaga, że ten materiał wideo tak go niepokoił?

Również Canella zauważył dziwne zachowanie kardynała. Patrz kątem oka, zadał

mu pytanie: - Panie kardynale, czy to możliwe, że p przed nami coś ukrywa?

- Albo chociaż ma pan jakieś przeczucie, co na tym monitorze s dzieje? - wpadł

mu w słowo Keller.

Gonzaga otarł wilgotne czoło i dyszał. - Czy to jest przesłucha" - krzyknął ze złością i uderzył dłonią w stół.

- Ekscelencjo! - odparł Keller. - Proszę o wybaczenie, jeśli tak to gląda. Jednak ten przypadek jest zbyt znaczący, a poza tym zbyt zaga ko wy, żeby nie mogły się przydać nawet informacje pozornie nieisto Sam pan wie, że w dzisiejszych niespokojnych czasach nie można wy' czyć nawet ataku terrorystycznego. Dlatego powtórzę moje pytanie: czy ma pan jakieś przeczucie...

- Niecee! - ryknął Gonzaga. - Tego poparzeńca znam jedynie z patologii, a tego drugiego nigdy nie widziałem. A teraz zostawcie mnie w spokoju! - Kardynał ścisnął głowę opuszkami palców obu dłoni i czerwony jak rak jęknął: - Moje nerwy, moje nerwy!

Keller zatrzasnął laptop i wetknął sobie pod pachę. Canella lekko skinął głową i powiedział: - Wyrazy współczucia w związku ze śmiercią pańskiego sekretarza SofHciego! - a następnie również Keller trochę nieporadnie się uklonił. Razem wyszli z biura sekretarza stanu.

Tej nocy sekretarz stanu kardynał Philippo Gonzaga nie zaznał snu. Dręczony poczuciem, że wskutek swojego milczenia przy szefie policji stał się podejrzany, raz po raz wstawał, szedł do okna i spoglądał na jasno oświetlony plac św. Piotra. Było jeszcze ciemno, kiedy nad ranem na krótko przysnął i pogrążył się w obsceniczne sny.

Gonzaga śnił, że biegnie nago długim korytarzem bez końca, ap° jego obu stronach kołyszą się zawieszzone u stropu półtusze wieprzowa Przy bliższym przyjrzeniu się, półtusze przedzierzgnęły się w torturoWJ' ne kobiece ciała o bujnych piersiach i nagich łonach. Wszelkie próby, \$ się przeżegnać i zarządzić koniec tej

diabelskiej wizji, były bezskuteczne'

onieważ jego ręce zwisały w dół, ciężkie jak ołów. A kiedy się rozejrzał, zauważył mnóstwo biskupów i kardynałów, zakonnic i monsignorów w malowniczych odzieniach, zbrojnych w miecze jak aniołowie zemsty. Zaczął biec, aby pozbyć się prześladowców. Ci jednak podchodzili coraz bliżej. Jeden już dobył miecza i zamachnął się, aby kardynała rozplatać na dwie połowy. Wtedy Gonzaga się obudził, zlany potem, drżąc na całym ciele.

ROZDZIAŁ 49

E

mbraer Regional Jet wylądował na lotnisku w Monachium z dziewięćdziesięciominutowym opóźnieniem. Poza tym lot Alitalii AZ 0432 przebiegł spokojnie. W samolocie Malberg przestudiował współpasażerów w polu widzenia i uznawszy ich za nieszkodliwych, oddał się drzemce. Czy było to dziwne, że wciąż cierpiał na swego rodzaju manię prześladowczą? Najpierw musiał się stopniowo przyzwycząić do tego, że nie jest już ścigany nakazem aresztowania.

Mżawka i porywisty wiatr, smagający chodniki wilgotnymi jesiennymi liśćmi - oto, co przywitało go, kiedy wychodził z sali przylotów terminalu i wsiadał do taksówki. W swoim mieszkaniu w Grunwald pod Monachium nie był od ponad dwóch miesięcy, ale w pierwszej kolejności postanowił zajrzeć do antykwariatu na Ludwigstrafie. Jeszcze nigdy, od kiedy prowadził ten antykwariat, nie był tak długo nieobecny. Choć pannie Kleinlein mógł przecież ufać.

W istocie obawy Malberga były nieuzasadnione. Obroty z ostatnich dwóch miesięcy nawet wzrosły, wbrew tendencji, zgodnie z którą miesiące letnie przynoszą marniejsze transakcje. Panna Kleinlein narzekała, że już najwyższy czas, żeby

Malberg dokonał nowych zakupów. Jednak rynek inkunabułów i cennych książek był jak wymieciony do czysta od czasu, kiedy spekulanci odkryli, że makulatura - bo tak zwykli żartobliwie rzecz nazywać - może być dobrą lokatą kapitału. Wprawdzie trafiały się oferty, lecz przeważnie z niższej, w najlepszym razie ze średniej półki, a do tego książki były w stanie, który nie pozwalał na osiągnięcie wysokiej ceny

Zagłębiając się w księgach handlowych, Malberg odebrał telefon z Rzymu-

-
Lukas, to ty? - dzwonił Barbieri.

-
Zadziwiłbyś mnie, gdybyś mi dał choć dwa dni spokoju - burknął Jylalberg w słuchawkę. - No, co jest?

-
Powstała tu nowa sytuacja. Naprawdę głupia historia.

-
O czym mówisz? Nie mógłbyś się wyrażać nieco jaśniej? Pauza. Lukas słyszał, jak Giacopo dyszy, było też słychać, że jest wściekły.

Na koniec wybuchł: - Dlaczego żeś mi nie powiedział, że spotkałeś [się z tym człowiekiem o zniekształconej twarzy, parę dni przed tym, jak ! jego zwłoki znaleziono pływające w Fontana di Trevi?

• Cóż, myślałem, że to już nie odgrywa żadnej roli. Facet nie żył, za-|nim zdążyłem się z nim powtórnie spotkać. A co?

• Po Rzymie krążą zdjęcia, przedstawiające ciebie w poufałym t?te-?-t?te z tym przebrzydłym gościem!

-

Nie gadaj bzdur! Co jest?

- Powiem ci, co. Już samo mieszanie się z łajdakiem, którego zna po-licja, jest kretynstwem. Ale żeś się z nim spotkał akurat w Bazylice św.

Piotra, to jest oznaka inteligencji. Jest tajemnicą poliszynela, że każdy zakątek tej najświetniejszej budowli świata jest monitorowany przez ka-lery wideo. A nie wolno

lekceważyć służb bezpieczeństwa w Watykanie. r każdym razie, analizując zarejestrowane materiały, odkryto zdjęcia tego poparzeńca i przekazano rzymskiej policji. Niestety na tych fotografiach widać również niejakiego Lukasa Malberga...

Malberg był jak sparaliżowany. Po dłuższej chwili wspólnego milcze-da wyjąkał: -

Powiedz, że to nieprawda!

- To jest prawda!

- A ty skąd to wszystko wiesz?

-

Wciąż mam doskonałe układy na policji. Te zdjęcia widziałem na isne oczy.

Nawet całkiem nieźle wyszedłeś.

-

Doprawdy nie mam teraz nastroju do żartów! -Ale mówiąc poważnie: wcale

bym się nie zdziwił, gdyby prędzej czy

^źniej powiązano cię z zabójstwem poparzeńca.

-

Przecież to obłąd!

-

Całe życie to obłąd. Na razie nie musisz się tym przejmować, bo sprawie

domnianego współnika na zdjęciach władze błędzą po lacku.

-

Marna pociecha - odparł Malberg.

Barbieri dodał uspokajająco: - Chciałem cię tylko ostrzec. Bądź ostrożny. Kiedy wracasz do Rzymu? Bo przecież wracasz?

-Tak, oczywiście. Lot powrotny jest zabukowany na pojutrze. Alitalia AZ 0433.

Przylot dziewiętnasta dwadzieścia pięć. Może znajdzie się jakaś pocziwa dusza, która mnie odbierze. A poza tym, co miałeś na myśli mówiąc: bądź ostrożny?

- Żadnych rzucających się w oczy zachowań w zasięgu kamer monitorujących lotniska i miejsca publiczne. I uwaga na czerwonych światłach i ograniczeniach prędkości, gdzie są fotoradary. Taka fotka już niejednego, co to sobie roił, że jest bezpieczny, doprowadziła do wściekłości. A co się tyczy pocziwej duszy, to stoi tu obok mnie.

Malberg odczuł radość i ulgę, słysząc głos Cateriny. Niemal nabożnie chłonał brzmienie jej głosu, nie słysząc, co mówi. Widział ją przed sobą, jej ciemne oczy, i w myślach pieścił jej ciało.

- Wszystko się wyjaśni - usłyszał, jak mówi, a po dłuższej chwili: - Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

-Tak, tak - wyjąkał Malberg zmieszany. - Tylko pławię się we wspomnieniach.

Caterina zrozumiała, co Lukas miał na myśli. Z leciutką drwiną w głosie zapytała:

- Nie możesz myśleć o niczym innym?

- Nie - odpowiedział szybko Malberg. - Zresztą nie chcę - wziął głęboki oddech, jakby walczył sam z sobą, czy powrócić do rzeczywistości. - Słyszałaś, co mówił Barbieri.

-Tak.

-Ja też mam coś nowego - oznajmił Malberg. -To nie rób tajemnicy!

- Marlena miała siostrę. Nazywa się Lianę, jest stewardessą i mieszka we

Frankfurcie. Być może wie coś więcej o zagadkowym życiu siostry. Choć wielkiej nadziei nie mam. Marlena nigdy nie wspomniała, że ma młodszą siostrę. Zdaje się, że

gniewały się na siebie.

- A skąd to wiesz?

- Na lotnisku Fiumicino spotkałem Maxa Sydowa, szkolnego kolega. Jest pilotem i zna Lianę Ammer.

- Czemu po prostu do niej nie zadzwonisz? Może faktycznie coś wie- Albo zna kogoś, kto mógłby nam pomóc.

-

- Tak, możliwe.

- Czyli tak. Widzimy się pojutrze. I nie rób głupstw. Całuję. Zanim zdążył odpowiedzieć, Caterina odłożyła słuchawkę.

-

Czy wszystko w porządku? - do Malberga podeszła panna Klein-lein. Ze sklepu zaobserwowała, jak Malberg na całe minuty zapatrzył się przed siebie nieobecny wzrokiem.

-Tylko rozmyślałem. Chyba wolno. Ale jeśli zechciałaby pani zrobić mi przysługę, to proszę mi wyszukać pewien numer telefonu - Malberg wziął karteczkę i napisał na niej: Lianę Ammer, Frankfurt nad Menem. - Niech pani zadzwoni do informacji, a może da się znaleźć w Internecie.

-

Zrobi się, szefie — odparła panna Kleinlein z wyraźną ironią. Nie ubiła, gdy Malberg wydawał jej polecenia.

Kiedy Malberg przeglądał nagromadzoną pocztę, dręczyło go pytanie, jak się uwolnić od podejrzenia, że w jakikolwiek sposób jest powiąny z zamordowaniem

poparzeńca. Im dłużej nad tym rozmyślał, tym raźniej sobie uświadamiał, że nie będzie to łatwe, o ile nie zamierza ę ujawniać ani zdradzać przyczyn swoich poszukiwań. Ostatnie tygo-nie pokazały, jakie to niesie z sobą ryzyko. Niewątpliwie Barbieri miał ację, radząc mu, aby się zachowywał w sposób, który możliwie nie zwr-ałby uwagi.

Panna Kleinlein bez słowa położyła na biurku tę samą karteczkę, któ-jej wręczył Malberg trzy minuty wcześniej.

- Jakim sposobem pani tak szybko zdobyła ten numer? - zapytał, ównie po to, by okazać uprzejmość.

- Wybierając drogę dostępną dla każdego, kto opłaca abonament za lefon: zadzwoniłam na informację! - prychnęła.

Malberg trzymał karteczkę obiema dłońmi i wpatrywał się w numer, i nie znał Lianę Ammer, ani nie wiedział, w jakich stosunkach były sobą siostry. Tak czy inaczej nie mógł dopuścić do tego, żeby Lianę się razu zablokowała i odmówiła wszelkiej informacji. Ale jak temu zabiec? Czy ona w ogóle wiedziała o śmierci Marleny?

Zamyślony obracał karteczkę między palcami. Potem chwycił za słu-awkę i wybrał numer. Sygnał długo był wolny, w końcu na linii coś klik-lo i odezwał się kobiecy głos z automatycznej sekretarki: - Tu aparat lane Ammer. Niestety w tej chwili jestem nieosiągalna, ponieważ lecę Madrytu, Rzymu, Aten albo Kairu. O ile chodzi o jakieś ważne infor

macje, proszę się zwrócić z pełnym zaufaniem do mojej automatycznej sekretarki, za którą zapłaciłam gotówką. W przeciwnym razie proszę zamilknąć na zawsze. Proszę mówić po sygnale.

Oszołomiony Malberg wsłuchiwał się w sygnał. Nie spodziewał się automatycznej sekretarki. Błyskawicznie rozważałjak się zachować. Gdyby podał powód swojego

telefonu, Lianę Ammer miałyby okazję przemyśleć, czy chce z nim rozmawiać o siostrze. Na wypadek, pomyślał Malberg, gdyby jeszcze nie wiedziała o śmierci Marleny, lepiej ograniczyć się tylko do aluzji.

-Jestem szkolnym kolegą pani siostry Marleny. Zapewne już od dawna wie pani, co się jej przytrafiło, i byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli przez chwilę porozmawiać telefonicznie. Pozwolę sobie jeszcze zadzwonić.

Z ulgą odłożył słuchawkę.

Było już ciemno, gdy Malberg wyszedł z antykwariatu na monachijskiej

Ludwigstralie, by udać się do Grunwald, na południowych przedmieściach

Monachium, gdzie stały eleganckie wille i apartamentowce, a także najwyższy w

mieście wskaźnik włamań. Dziesięć lat wcześniej Malberg nabył tutaj apartament, w czasie, kiedy jeszcze istniała możliwość zapłacenia za tego rodzaju nieruchomość.

Z pewną niechęcią, której nie potrafił sobie wyjaśnić, Malberg wszedł do swojego mieszkania. Jego awersja jeszcze wzrosła poprzez duchotę, która go uderzyła, gdy

tylko otworzył drzwi. Swój apartament, umeblowany cennymi antykami, opuścił

dziesięć tygodni wcześniej w środku wspaniałego lata. Teraz była jesień i pogoda nie była zachęcająca.

Malberg pootwierał wszystkie okna. Następnie zdjął marynarkę, odwiesił ją do szafy, a sam położył się na tapczanie, dziwolągu obitym czerwionobrązową angielską skórą, i założył ręce za głowę.

Rozmyślał i wtedy naszała go wątpliwość, czy w kwestii telefonu do siostry

Marleny Lianę wybrał właściwą drogę. Czy nie byłoby lepiej, gdyby odwiedził ją osobiście i bez uprzedzenia. Wtedy nie mogłaby się go tak łatwo pozbyć.

Zadzwoniła jego komórka.

Malberg spodziewał się telefonu od Cateriny, jednak na swoje przyjacielskie

„Halo!” usłyszał głęboki, lodowaty głos: - Malberg, to pan?

- Tak - odparł Lukas zdumiony. - A kim pan jest?

- To nie ma nic do rzeczy - brzmiała odpowiedź.

- Słuchaj pan, jeśli nie uważa pan za konieczne się przedstawić - za

-

czął Malberg oburzony; nie zdołał jednak dokończyć zdania.

- Marlena nie żyje - przerwał mu nieznajomy. - Dlaczego węszy pan w jej

prywatnym życiu? Przede wszystkim niech pan nie miesza do tego Liane!

- Ale Marlenę zamordowano! Kimkolwiek pan jest, panie Niezna-omy, jeśli zależy panu na Marlenie albo jej siostrze, to na pewno jest pan zainteresowany wyjaśnieniem tej zbrodni!

Nastąpiła przerwa, która ciągnęła się w nieskończoność.

-

Halo? - Malberg przycisnął słuchawkę do ucha. Jednak usłyszał tylko odległy szum. Już miał się rozłączyć, gdy głęboki, lodowaty głos znów zaczął przemowę.

-

Malberg, to jest pierwsze ostrzeżenie! Drugiego nie będzie. Powo-robi się pan uciążliwy. Niech pan pomyśli o Giancarlo Sofficim, sekre-zu kardynała Filippo Gonzagi! - trzask, szum, potem połączenie się wało.

Malberg wstał. Czuł się jak uderzony obuchem w łeb. Telefon nieznajomego postawił przed nim nowe zagadki: Kim był ten człowiek? Skąd znał numer jego komórki i jego nazwisko? Skąd ten człowiek wiedział, że Malberg dzwonił do Liane Ammer? Co miała znaczyć uwaga na temat sekretarza Gonzagi?

Było chłodno i Malberga przeszył dreszcz. W zadumie pozamykał okna i przez matowe szyby popatrzył na ulicę mokrą od deszczu. O tej porze była opuszczona.

Żeby ochłodzić czoło, za którym myśli aż iskrzyły, Malberg przycisnął głowę do wilgotnej szyby. Zamknął oczy. Niewidzenie niczego dobrze mu zrobiło. Ciemność wspomaga strumień myśli. Jednak tego wieczoru wszystko na próżno.

Przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Malberg otworzył oczy i zrobił krok do tyłu, żeby wyjść ze światła, które rzucała w górę uliczna latarnia. Wsiadł j jakiś człowiek i zniknął w domu naprzeciwko. Chwilę potem zapaliły się światła na drugim piętrze, akurat na wysokości jego mieszkania.

Zmieszany Malberg rzucił się do kontaktu i zgasił światła. Potem znów podszedł do okna. W mieszkaniu naprzeciwko światło również pogasły. Serce mu tłukło, jakby miał za sobą bieg na tysiąc metrów. W odrętwieniu wpatrywał się w fasadę domu po drugiej stronie. Nie miał nawet odwagi, aby opuścić żaluzje.

Dlaczego nie wciągnął anonimowego rozmówcy w rozmowę? Dlaczego zachowywał się jak zahukany uczeń?

Z domu naprzeciwko wyszedł na ulicę ten sam człowiek co wcześniej, wsiadł do auta i odjechał. W sytuacjach, które przeciążają umysł - prze. mknęło Malbergowi przez myśl - nawet kot zmienia się w tygrysa. Odetchnął głęboko. Wtedy z rozmyślań znów wyrwał go telefon komórkowy.

Początkowo chciał nie odbierać. Gdy jednak dzwonek nie ustawał, odezwał się ostrożnie, nie przedstawiając się: - Tak?

-

Cholera, gdzie się podziewasz? - usłyszał Caterinę. Jej głos podziałał na niego jak zbawienie.

-

Dzięki Bogu! - powiedział cicho.

-
Co dzięki Bogu? - spytała Caterina. - Przecież jeszcze nic nie powiedziałam.

Czy u ciebie wszystko w porządku?

Malberg zaczął się jąkać: - Tak, to znaczy nie. Właśnie dostałem bardzo dziwny telefon.

-
Od kogo?

-
Sam chciałbym wiedzieć. Facet miał głęboki, lodowaty głos. Dopytywałem się, ale i tak nie podał swojego nazwiska.

-
A czego chciał?

-
Żeby przestał węszyć w życiu Marleny. A przede wszystkim mam zostawić w spokoju jej siostrę. Potem powiedział coś dziwnego: mam pomyśleć o sekretarzu kardynała Gonzagi. Zapomniałem jego nazwiska.

-
Monsignore Giancarlo Soffici?

-
Tak, zdaje się, że tak się nazywa. Nastąpiło długie milczenie.

Po chwili zaczął Malberg: - Caterina, czemu nic nie mówisz? Co się dzieje?

- Boję się o ciebie - odparła w końcu.

- Boisz? - Malberg z trudem zachowywał spokój. - Jak to, się boisz?

- Nie czytasz gazet?

- Żałuję, ale nie! Na razie nie miałem na to czasu.

-

Włoskie gazety donoszą o tragicznej śmierci sekretarza kardynała Gonzagi.

-

Dlaczego tragicznej?

-

Miał wypadek na górskiej drodze, prowadzącej do pewnego zamku nad

Renem. Do Burg Layenfels. Znasz ten zamek?

-

Nigdy o nim nie słyszałem. Nad Renem jest wiele zamków.

-Ta historia jest niezwykle tajemnicza. Soffici spłonął w swoim samochodzie.

Chodziło o służbowego mercedesa sekretarza stanu kardynała Philippo Gonzagi.

Samochód kilka dni wcześniej zniknął gdzieś w Rzymie. Podczas wypadku miał

przykręcone fałszywe niemieckie tablice rejestracyjne.

- Dziwne - zauważył Malberg. - Doprawdy dziwne! - udawał spokojnego, żeby

Cateriny nie niepokoić jeszcze bardziej. W rzeczywistości po głowie chodziła mu bez przerwy groźba nieznajomego: Proszę pomyśleć o Sofficim! Nagle pojął, co chciał

mu przekazać nieznajomy. Proszę pomyśleć o Sofficim! To było groźenie śmiercią. I

czyż nie był to także dowód na to, że rzekomy wypadek monsignore wcale nie był

wypadkiem, lecz morderstwem upozorowanym na wypadek?

- W jednym z artykułów na temat tajemniczej śmierci Sofficiego - ciągnęła

Caterina - znalazłam zdjęcie tamtego zamku nad Renem. A teraz się trzymaj: na

zdjęciu jest wskazówka dotycząca śmierci Marleny Ammer.

- Brzmi fascynująco.

-Też takie jest. Na zamku ma bowiem siedzibę pewne podejrzane bractwo, które

dysponuje ogromnymi pieniędzmi i jeszcze większą wiedzą.

-

Ale jaki to ma związek z Marleną? Caterina milczała.

-

Halo? - odezwał się Malberg. - Halo? - połączenie się przerwało. Malberg zauważył, że serce bije mu szybciej. Próbował powtórnie się połączyć z Caterina, ale nie mógł się dodzwonić. Było to dziwne. Wtedy usłyszał z komórki sygnał SMS.

Caterina przesłała mu wiadomość.

„Łapię pierwszy lot do Monachium. Odbierz mnie proszę z lotniska. Kocham cię,

C.”

Malberg zasiadł w ogromnym fotelu, który służył mu za siedzisko, kiedy oglądał pod lupą bibliofilskie precjoza. Jednak teraz nie miał do tego głowy. Nerwowo odchylił głowę do tyłu i zagapił się w sufit.

Rewelacje Cateriny nie dodały mu odwagi. Silniej niż kiedykolwiek wcześniej czuł, jak bardzo jej potrzebuje, jak bardzo się do niej przyzwyczyił.

Najchętniej położyłby się do łóżka, ale był zbyt niespokojny.

Nagle się zerwał. Z szuflady barokowego sekretarzyka wyszperał kluczyki do swojego jaguara XJ 12. Także latarkę. Potem wskoczył w skórzaną kurtkę i zszedł do podziemnego garażu.

Limuzyna w kolorze bordo stała tak, jak ją zostawił: wytworna, elegancka i kapryśna, pośród mercedesów, audi i porsche. Oczywiście trochę zakurzona, ale tego można się było spodziewać po dziesięciu tygodniach nieruszania.

Malberg zbliżył się do swojego wozu jak jakiś pies gończy. I chociaż garaż był jaskrawo oświetlony, włączył latarkę i skierował snop do wnętrza auta: nic, a

przynajmniej nic takiego, co wydawałoby mu się podejrzanym.

Po stronie kierowcy przykląkł na betonowej nawierzchni pomalowanej w zielone pasy i zajrzał pod jaguara. Nigdy jeszcze nie oglądał swojego auta od spodu. W świetle latarki obejrzał każdy szczegół. Malberg był jednak mało obeznany z techniką samochodową. Po czym miał poznać, czy nie przyczepiono do podwozia jakiejś obcej części?

Ostrożnie włożył kluczyk do zamka. Lecz nagle poczuł się jak sparaliżowany.

Jego prawa ręka odmówiła przekręcenia kluczyka. Malberg delikatnie wyjął kluczyk z zamka. Poczul pot na karku. Dopadł go cień Marleny. Znowu.

ROZDZIAŁ 50

N

a zamku Burg Layenfels panowała atmosfera wybuchowa. Napięcie i podejrzliwość wśród Fideles Fidei Flagrantes wzrosły w międzyczasie do tego stopnia, że każdy każdemu schodził z drogi. Podczas wspólnych posiłków w refektarzu już prawie nie rozmawiano. We wzajemnych kontaktach bracia ograniczali się do gestów w rodzaju skinienia głowy lub chłodnego gestu ręką. Można było sądzić, że chodzi tu o zakon trapistów ścisłej reguły, którego członkowie poszukują sensu życia w milczeniu.

Wszystko zaczęło się po tym, jak sekretarz stanu kardynał Gonzaga przywiózł płótno - jak nazywano relikwię - do zamku Layenfels i profesor Murath zabrał się za analizy. Anicet ogłaszał podniecające, buńczuczne obietnice, że jeśli hipoteza Muratha się potwierdzi, to bractwo będzie niebawem dysponowało władzą większą niż wszyscy władcy świata razem wzięci. O tak, była mowa o nowym świecie oraz o możliwości unicestwienia Kościoła rzymskiego.

W międzyczasie były kardynał Kurii Tecina w dużym stopniu utracił wiarę w

badania Richarda Muratha w dziedzinie biologii molekularnej, a mówiło się też, że szemranemu profesorowi nie bez powodu odmówiono Nagrody Nobla.

Zważywszy istnienie grup i stronnictw, które się utworzyły na żarniku, wypowiedzi Aniceta nie ukryły się przed profesorem. Coram publico odniósł się do

postawy byłego kardynała: Naukowcy nie powinni wchodzić w żadne układy z ignorantami w rodzaju teologów. Od tamtej pory ich wzajemne stosunki ograniczały się do paru słów dziennie.

Problem Muratha polegał na tym, że dla podbudowania swojej teorii potrzebował analizy genetycznej śladów krwi Jezusa z Nazaretu. Jednak wszelkie dotychczasowe próby spaliły na panewce, ponieważ, choć odkryto na całunie ślady krwi, każdy był innego pochodzenia.

Stosowne analizy DNA dały wyniki, od których Murathowi rzadkie włosy stawały dęba, a które cieszyły jego przeciwników. Niektóre plamy krwi na całunie turyńskim pochodziły z późniejszych okresów. Inne pochodziły od kogoś płci żeńskiej.

Natomiast męskie ślady DNA, których pochodzenie można było datować na czasy Chrystusa, okazały się zafałszowane albo zbyt spłowiałe do celów analitycznych, czyli bezużyteczne.

Aniceta ogarnęły wątpliwości, czy aby całun, który Gonzaga przywiózł do Layenfels, nie jest genialną kopią wykonaną w Antwerpii. Niestety de Coninck zginął, zanim zdążył odpowiedzieć na to pytanie.

Wydawało się, że był to dzień jak każdy poprzedni - pełen napięcia i naznaczony podejrzliwością. Po kolacji w refektarzu Anicet zataszczył swoje wychudzone ciało kolejnymi czterema schodami na górę, gdzie urządzono laboratoria. Profesor Murath jak zawsze spędzał wieczór w swoich pomieszczeniach laboratoryjnych w tylnej części, nieprzystępny, skwaszony, pomstujący na Boga i świat.

Murath już z daleka rozpoznał Aniceta po jego ciężkim kroku i dyszącym oddechu po pokonaniu stu stopni. Nawet nie spojrzał, kiedy stary wszedł do jasno oświetlonego pomieszczenia.

Obaj już dawno zarzucili uprzejmości w rodzaju: „Dobry wieczór” czy „Jak leci”.

Tym bardziej irytujące wydały się Murathowi słowa Aniceta, gdy ten odezwał się w przyjaznym tonie: - Jakież postępy, profesorze?

Murath rzucił okiem na wielki zegar nad stołem laboratoryjnym, jakby chciał sprawdzić, czy oto nadeszły nowe czasy, potem spojrzał na Aniceta z ukosa i burknął:

- Pan sobie daruje swoje żarciki. Wie pan doskonale, że będzie pierwszym, który się dowie, jeśli uda mi się dokonać jakiegoś przełomu. Zresztą z pewnością dzięki poprzedniemu pracodawcy jest pan przecież przyzwyczajony do myślenia w dłuższych odcinkach czasowych. Bądź co bądź Kuria potrzebowała stu lat na rozważenie, czy proboszcz powinien być zwrócony do wiernych twarzą, czy raczej plecami.

- Przepraszam, profesorze, ale nie miałem nic złego na myśli. Poza tym nie muszę chyba panu wyjaśniać, że z pracodawcą, którego pan tu przytoczył, od bardzo dawna nie czuję się już związany.

-

Więc czego pan chce? To znaczy, pomijając chęć poinformowania mnie, że pańska cierpliwość się kończy.

-

Ależ w żadnym razie, profesorze, w żadnym razie! Murath był podenerwowany. Skąd u byłego kardynała ta nagła zmiana

stawienia? Niedoceniany badacz na próżno starał się wyczytać z twarzy Ani-eta

oznaki ironii czy złośliwości. Intrygi i posunięcia taktyczne były w Burg ayenfels na porządku dziennym. W tym także zmiany nastawienia i przejścia > tego czy innego stronnictwa. Anicet, Murath, Dulazek, Willenborg, Masie, . de Beek i Gruna, czołowe umysły Fideles Rdei Flagrantes, wszyscy mieli roje strefy wpływów. A ich sympatie dla tego czy owego stale się zmieniały.

Anicet i Murath byli pierwotnie przyjaciółmi. Jednak fundament ich zyjazni, ich wspólny cel, stawał się coraz bardziej kruchy, w miarę jak rzeziagały się badania w zakresie biologii molekularnej. Przeciagały się ez zadnego efektu.

-

Czemu zawdzięczam wątpliwą przyjemność pańskiej późnej wizy-I - kontynuował profesor swoje drwiny.

Anicet, jak zawsze ubrany w zapięty pod szyję ciemny surdut bez klap, aczał odpinać górne guziki. W końcu z wewnętrznej kieszeni wydobyl ie większą niż dłoń celofanową torebkę, którą wraz z zawartością wyłoił z samochodu SofEciego, zanim auto wyleciało w powietrze.

Kiedy profesor Murath rozpoznał, co Anicet ma w ręce, zaczął się ją-ać: - To... jest... przecież... to... jest...

- Brakujący kawałek całunu!

- A jest pan pewny?

- Absolutnie pewny, profesorze!

-

Wygląda na to, że można na nim rozpoznać pozostałości krwi - zaważył

Murath, przytrzymując relikwię pod światło.

Anicet przytaknął. - Mam nadzieję, że tym razem są to rzeczywiście lady krwi, które można przypisać Jezusowi z Nazaretu.

Profesor spojrział badawczo na byłego kardynała: - Skąd pan wie? 'dyby tak było, to rozwiązałoby wszystkie nasze problemy!

-

Wiem. Ale żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie: ten maleńki kawałek płótna oferowano od dłuższego czasu na czarnym rynku. Nawet podstępem i za pomocą dużych pieniędzy sekretarzowi stanu Gonzadze nie udało się wejść w posiadanie tej relikwii. Ostatnie notowania wyrażały się kwotą sześciocyfrową. Tak wiele żądano za przedmiot, który tej ceny nie jest warty. Odnoszę jednak wrażenie, że nie jesteśmy jedynymi, którzy interesują się tą próbką płótna. Czy mógłby to być...

- Niemożliwe - Murath wpadł mu w słowo. - Sądzi pan, że jakiś inny badacz mógłby się zajmować tą samą sprawą?

- To właśnie miałem na myśli!

- Panie kardynale!

- Chętnie zrezygnuję z takich tytułów.

- Już dobrze. Panie ekskardynale. Spędziłem połowę życia, opracowując tę hipotezę. I przy całej mojej skromności, uchodzę do dziś za znakomitość w dziedzinie biologii i genetyki molekularnej, chociaż mój czas w Whitehead Institute w Cambridge w stanie Massachusetts zakończył się już kilka lat temu. Nie muszę chyba nadmieniać, że to ja rozszławiłem na cały świat ten instytut badawczy.

- Nikt nie zamierza panu odmawiać tych osiągnięć, profesorze. Na pewno nie ja i będę się cieszył, jeśli racja będzie po pańskiej stronie. Bo jeśli inni nas uprzedzą, to będzie katastrofa dla całego bractwa.

- Wiem - odparł Murath z uśmiechem człowieka, który wciąż jest pewny swego.

Profesor bez słowa włożył gumowe rękawiczki. Z podniesionymi rękoma jak

schwytyany złoczyńca, ten błądy człowiek unikający światła dziennego, wyglądał jeszcze bardziej niesamowicie niż zwykle. Otworzył szafkę laboratoryjną z mlecznego szkła i wyjął pojemnik z pleksi, czterdzieści na sześćdziesiąt centymetrów, z poskładanym całunem.

Na stole laboratoryjnym w środku pomieszczenia, przypominającym stół do sekcji na patologii, ostrożnie rozłożył całun. Negatywowy obraz ludzkiej postaci można było rozpoznać jedynie wżarysach. Tym wyraźniej rzucało się w oczy miejsce, gdzie brakowało kawałka wielkości znaczka pocztowego.

Anicet wręczył Murathowi celofanową torebkę z cenną zawartością-Profesor wydobyl próbkę płótna za pomocą pesety. Na jego twarzy malowało się napięcie.

W tym samym czasie piętro niżej, w odległości niecałych dwudziestu metrów w linii prostej od miejsca, gdzie działy się opisane wydarzenia, w ceB

i doktora Dulazka siedzieli cytolog i hematolog Ulf Gruna, nachyleni nad I stołem, na którym leżał małeńki odbiornik, niewiele większy od paczki i papierosów. Dulazek bezskutecznie próbował nastawić na elektronicznym urządzeniu większą głośność.

Jednak poza trzaskami i szumami nie słyhać było żadnych dźwięków.

-

Co się dzieje? - szepnął Dulazek zniecierpliwiony. - Nic nie słyszę!

Gruna, któremu przed tygodniem udało się umieścić pluskwę pod stołem laboratoryjnym profesora Muratha, wzruszył ramionami. -Też nie wiem, co się dzieje.

Przed chwilą podsłuch jeszcze działał.

-

Ale teraz nie działa. Cholera, akurat teraz, kiedy robi się ciekawie. Chyba

Murath nie odkrył pluskwy?

-
Niemożliwe. To by zabrzmiało zupełnie inaczej.

Nagle głośniczek przy odbiorniku odezwał się: - A właściwie, to jak pan zdobył ten brakujący obiekt, panie ekskardynale?

Długie milczenie. Dulazek i Gruna pełni oczekiwania spojrzeli na siebie. Dalej milczenie.

Ten sam głos: - Niech zgadnę. Sprawa jest powiązana z Sofficim, sekretarzem kardynała Gonzagi. Ale mówił pan przecież przed chwilą, że Gonzadze się nie udało zdobyć obiektu. Nie rozumiem.

Na to głos Aniceta: — I nie ma też takiej potrzeby, profesorze. Znaczej-
ważniejszy jest teraz dowód, że ten obiekt nie jest fałszerstwem!

Murath: - Pewnie. Ale co się tyczy Sofficiego, to krążą dzikie pogło-
si, że wypadek został spowodowany.

Anicet: - Tak się mówi? A nawet jeśli. Czy to zmienia jakoś naszą
Brak odpowiedzi.

Znów Anicet: - No, niechże pan przyłoży tę próbkę do brakujące-
K° miejsca!
Jakieś nieokreślone dźwięki.

Po minucie, która zdawała się trwać w nieskończoność, odezwał się ; Anicet: -
Rzeczywiście. Niech pan obejrzy przebieg nitek w splocie!

Murath: - Ma pan rację. Nie ma wątpliwości.

Anicet: - Struktura nitek całunu przy przejściu do brakującego kawałka jest
dokładną kontynuacją. Tego się nie da sfalszować! Czyli Gon-Zaga przywiózł nam
jednak oryginał.

Murath: - W takim razie nie rozumiem, dlaczego moje analizy nie dały żadnego

rezultatu.

Dulazek i Gruna uśmiechnęli się pod nosem.

Anicet: - To faktycznie dziwne, ale teraz ma pan nową szansę.

Murath: - Nie chcę się sprzeciwiać. Jeśli ślady krwi na tym brakującym kawałku poddadzą się analizie, to... nie mam odwagi nawet myśleć!

Kiedy po długiej przerwie wciąż nic nie było słyhać, odezwał się Gruna pełen niepokoju: - A teraz co się dzieje?

-

Obejmują się i całują! - zasugerował Dulazek oschle i położył sobie dłoń na ustach, żeby stłumić głośny śmiech.

Wreszcie z głośniczka znów odezwał się głos, należący do Aniceta: - Jak długo potrwa, zanim będą pierwsze wyniki?

-

Proszę mi dać trzy do czterech dni. Do tego czasu będę trzymał cenny obiekt w mojej celi.

Dulazek rzucił Grunie znaczące spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: Dziś w nocy zapolujemy na gołębie.

ROZDZIAŁ 51

M

alberg taksówką odebrał Caterinę z lotniska, a na wspólne śniadanie kupił bułki, ser, szynkę i galaretkę z pigwy. Siedzieli teraz w kuchni przy wysokim blacie. Caterina zmarszczyła się i odstawiła filiżankę na spodek.

-

Wiem, co chcesz powiedzieć - Lukas uprzedził Caterinę. - Moja kawa smakuje jak z firmy GoPo i Spółka!

-
Jak z GoPo i Spółka?

-To takie powiedzenie, skrót od „gorące pomysły”. Nie wiadomo, kto to wymyślił, ale wszyscy wiedzą, co znaczy GoPo i Spółka. Smakuje jak GoPo, czyli smakuje po prostu paskudnie.

-
Tego nie powiedziałam!

-
Ale pomyślałaś! A ja nawet się z tym zgadzam. Robienie kawy niestety nie należy do moich najwybitniejszych umiejętności.

Rozsmarowując galaretkę z pigwy na połówce bułki, Caterina oświadczyła z chytrym uśmieszkiem: - Zatem, co się tyczy robienia kawy, to byłabym skłonna się tym zająć.

- Gdyby?

- Cóż, trzeba by ponegocjować.

Lukas chwycił ją za rękę. Caterina zarumieniła się. Sądziła, że Malberg korzysta niecodzienną sytuację pomiędzy galaretką z pigwy i szynką, eby się jej oświadczyć.

Niemcy w tym zakresie nie są szczególnie wysma-owani - jednak stało się inaczej.

-
Mówiłaś, że w artykule o Sofficim jest jakaś wskazówka dotycząca abójstwa

Marleny - powiedział Malberg.

Caterina spojrzała na niego z rezygnacją. Ale już w następnej chwili opanowała rozczarowanie.

-
Tak - odpowiedziała i wygrzebała z torby podróżnej wycinek gazety. - To

artykuł z wczorajszego Messagero.

Malberg pośpiesznie przebiegł wzrokiem czteroszpaltowy tekst o wypadku Sofficiego, zaś na końcu pojawiło się pytanie, dlaczego sekretarz Gonzagi podróżował samochodem służbowym sekretarza stanu, w dodatku na fałszywych niemieckich numerach. Dla gazety było czymś bardzo tajemniczym, że Soffici zginął w drodze do Burg Layenfels, siedziby bractwa wrogiego Kościołowi. Ani słowa, które wskazywałyoby na Marlenę. Opis nie wnosił nic nowego. Rozczarowany Malberg spojrział na Caterinę.

-

Zdjęcie - powiedziała i wskazała na fotografię pod artykułem, przedstawiającą bramę zamku Layenfels. - Znak nad wejściem!

Malberg zmarszczył czoło. Na tarczy herbowej nad wejściem wyraźnie zobaczył krzyż z dodatkową, ukośną belką pod spodem. Ten jakby runiczny symbol już gdzieś widział. No tak, oczywiście.

Podszedł do sekretarzyka, wyciągnął szufladę i wyjął złoty łańcuszek z owalnym medalikiem, który trzymał tu zaledwie od wczoraj. Był to łańcuszek, który wtedy w mieszkaniu Marleny schował do kieszeni.

Na medaliku był ten sam symbol co w herbie na gazetowym zdjęciu.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

Caterina wyjęła Lukasowi medalik z dłoni: - Niewykluczone, że Gonzaga i ci panowie z Kurii to całkowicie fałszywy ślad.

- Dokładnie tak samo pomyślałem - odparł Malberg. — Tak czy inaczej, musi istnieć jakiś związek między Kurią i bractwem.

- Oraz związek ze śmiercią Marleny!

- Wolę o tym nawet nie myśleć - Malberg ukrył twarz w dłoniach. Caterina spojrziała na niego. - Właściwie dlaczego zabrałeś wtedy ten medalik? - spytała po chwili i utkwiała w nim nieustępliwe spojrzenie.

Odpowiedź przyszła z wahaniem: - Nie wiem. W każdym razie nie traktowałem tego jako pamiątki po Marlenie, jeśli o to ci chodzi. Może to była dziwna intuicja, jakiś szósty zmysł, głos wewnętrzny, który mi pod-.szepnął, że ten łańcuszek może jeszcze okazać się istotny. A może to był czysty przypadek. Zależy od podejścia!

Caterina położyła łańcuszek z tajemniczym medalikiem na blacie. Oboje bez słowa wpatrywali się w błyszczący przedmiot.

I znów tu była, owa nieufność pomiędzy Caterina i Lukaszem, która pojawiała się zawsze, gdy chodziło o śmierć Marleny.

Caterina nie bardzo mogła uwierzyć, że Lukaszowi żadne myśli się nie kołatały po głowie, skoro wziął łańcuszek Marleny. W ciągu ostatnich tygodni wciąż rzucało jej się w oczy, jak bardzo Malberg był do Marleny przywiązany. Czasami jego zachowanie wykazywało oznaki obsesji. Niełatwo było jej uwierzyć jego zapewnieniom, że między nim a Marleną nic nie było.

Z kolei Malberg wyczuwał w postawie Cateriny chłód, gdy tylko rozmowa schodziła na Marlenę. Na początku, kiedy Caterina była zaangażowana w sprawę jeszcze na gruncie zawodowym, odczuwała wobec Marleny pewną sympatię. Kiedy jednak się zbliżyli, ta sympatia zamieni-ła się w niechęć. Jeśli była jeszcze zainteresowana wyjaśnieniem sprawy, to jedynie dlatego, że chciała pomóc Lukaszowi i raz na zawsze zakończyć całe przedsięwzięcie.

Malberg w milczeniu mieszał w filiżance i śledził wirowy ruch ciemnego płynu.

Po pewnym czasie podniósł wzrok: - Boję się!

Caterina położyła dłoń na jego ręce. - Nie ma powodu! - wiedziała, że ta uwaga nie jest realistyczna, szczególnie po wydarzeniach ostatnich dni.

-

Opowiadałem ci o anonimowym telefonie - podjął znów Malberg. I Od tamtej pory wciąż nie opuszczają mnie tamte słowa: Proszę pomyśleć o Sofficim!

Dzisiejszej nocy, kiedy nie byłem w stanie spać, przyszło nai nagle do głowy, co mógł mieć na myśli nieznajomy. Prześlizgnąłem się do garażu pod domem i dokładnie obejrzałem swojego jaguara, który 0(J dziesięciu tygodni stoi tam zaparkowany.

- Na litość boską, Lukas. Już rozumiem twój strach! Prawdopodobnie Soffici stracił życie w samochodzie wskutek jakiejś manipulacji. Mam nadzieję, że nie otwierałeś drzwi.

- Nie otwierałem. Bo jakoś wyczuwałem, że z moim autem jest coś nie tak. Nie umiem powiedzieć co, to tylko takie przeczucie.

-

Musisz zaraz zadzwonić na policję!

-

Taka była również moja pierwsza myśl. -To czemu jeszcze tego nie zrobiłeś?

Malberg kiwał głową. - Pomyślałaś, co by to oznaczało? Pewnie musiałbym odpowiadać na cały szereg nieprzyjemnych pytań. Czy mam wrogów albo czy mam jakieś podejrzenia, kim mógł być ten nieznajomy, który dzwonił. Innymi słowy, sprawa Marleny Ammer przyciągnęłaby nagle publiczne zainteresowanie. Mordercy, którzy dotychczas mogli się czuć bezpiecznie, bo wszystkich, którzy coś wiedzieli, przekupiono, zastraszone lub zabito, teraz mogliby się ukryć albo wysledzić mnie

jako cel kolejnego ataku. Zresztą ty także nie byłabyś już bezpieczna.

Wzburzona Caterina zerwała się z miejsca i krzyknęła ostro: - W takim razie bierz kluczyk do auta, idź do garażu, otwórz drzwi samochodu i włącz silnik!

-

Nie! - zawołał Lukas nie mniej wzburzony. - Tego nie zrobię.

-

Zatem! - Caterina chwyciła za telefon i podała Malbergowi słuchawkę. - Na co jeszcze czekasz?

ROZDZIAŁ 52

Teszcze tego samego wieczoru Caterina poleciała z powrotem do Rzymu.

Odczuwała ulgę. Eksperci od materiałów wybuchowych z Krajowego Urzędu Kryminalnego zbadali jaguara Malberga i nie stwierdzili ani obecności bomby, ani żadnych manipulacji przy pojeździe.

Lukas musiał się w końcu poddać nieprzyjemnemu przesłuchaniu. Poszukiwanie nieznanego rozmówcy wykazało, że w danym czasie dzwoniło z publicznego automatu telefonicznego z frankfurckiego Westendu.

Zmęczona i wyczerpana Caterina wylądowała na rzymskim lotnisku Fiumicino.

Jednak nagle całe zmęczenie zniknęło jak ręką odjął: zobaczyła, jak dwóch dobrze ubranych osiłków trzymało pod rękę dziko szarpiącą się kobietę i spokojnie, ale stanowczo wyprowadzało ją z budynku lotniska.

W rozgardiaszu wieczornego ruchu pasażerów scena ta nie zwróciła niczyjej uwagi i również Caterina nie przypisałaaby jej żadnego znaczenia, gdyby nie wypatrujące pomocy, błagalne spojrzenie tamtej prowadzonej kobiety.

To była signora Fellini!

Caterina wzburzona znieruchomiała. Postawa jednego z porywaczy pozwalała się domyślać, że pod marynarką ma broń wycelowaną w tę kobietę. Przed wejściem czekało alfa romeo z zaciemnionymi szybami. Porywacze wpełnęli kobietę na tylne siedzenie. Samochód odjechał z piskiem opon i zniknął w mroku.

Nie trzeba było szczególnych zdolności logicznych, żeby zrozumieć, że signora Fellini podjęła próbę opuszczenia Rzymu. Niby wiedziała, że każdy jej krok jest obserwowany. Jednak najwidoczniej niezupełnie zdawała sobie sprawę, jak perfekcyjnie ów nadzór funkcjonuje.

Kiedy Caterina następnego ranka przyszła do redakcji, była niewyspana i proporcjonalnie do tego opryskliwa. Zresztą i tak traktowała teraz swoje zajęcie, które wcześniej wykonywała z takim zacięciem, wyłącznie jako źródło utrzymania. Jej sekretarka, czterdziestolatka w trakcie rozwodu, interesująca się głównie mężczyznami do wzięcia, przywitała ją nieodłącznym papierosem w ustach oraz krótkimi słowami: - Dzwonił szef. Natychmiast do naczelnego.

O tak wczesnej porze nie zapowiadało to niczego dobrego i bynajmniej nie poprawiło Caterinie humoru.

Bruno Bafile, redaktor naczelny czasopisma Guardian, czał się za swoim ogromnym biurkiem, projektując układ nagłówek do następnego numeru. Ponuro przyjrzał się Caterinie zza grubych szkieł rogowych okularów. Był to jego sposób budzenia respektu.

Po chwili Bafile przeszedł do rzeczy: - Jeśli pani chce, może wrócić do swojego dawnego działu - mruknął i spojrzał w swoje papiery.

Caterina spodziewała się chyba wszystkiego, ale nie tego. Sceptycznie popatrzyła na szefa, czy aby na pewno mówi poważnie. Ale Bafile nawet nie drgnął.

— Chodzi panu o to, że mogę znów pracować jako dziennikarka śledcza? - spytała

z niedowierzaniem.

— Właśnie o to mi chodzi. Nie ma zbyt wielu dobrych dziennikarzy śledczych, a w szczególności dziennikarek. Tę u nas to się potwierdziło

-
w ustach człowieka takiego jak Bruno Bafile te słowa były komplementem, by nie rzec hymnem pochwalnym. Bowiem dla redaktora naczelnego uznanie było słowem obcym. Potrafił natomiast w perfidny sposób ośmieszać przy innych słabości swoich pracowników.

Caterina nie do końca rozumiała polecenie Bafile. Ostatecznie wtedy bez żadnych wyjaśnień z dnia na dzień przeniósł ją do innego działu. Skąd więc ta niespodziewana zmiana decyzji?

Na zaskoczenie Cateriny Bafile zareagował wyraźnie nerwowo. Nie wiedząc czemu, zagłębił się w projekt układu nagłówków na biurku, i z pewną gorączkowością w głosie powiedział: - Być może nie zachowałem się całkiem właściwie. Ale proszę mi wierzyć, byłem pod ogromną presją. Szczerze mówiąc, do dziś nie wiem dokładnie, o co właściwie szło.

—
Bafile zdjął grube okulary i zaczął przecierać szkła chusteczką.

- Przecież sam pan w to nie wierzy! - odparła Caterina. Poczwała się odważna.

- Polecenie przyszło z samej góry - dodał Bafile, wciąż czyszcząc okulary. — Była

to groźba skierowana przeciwko mnie, o ile Guardiano będzie dalej opisywać sprawę Marleny Ammer. Co mi pozostało? Wiedziałem przecież, że jest pani dziennikarką

śledczą, która nigdy się nie poddaje. Mój Boże, czy tak trudno to pojąć?

- Właśnie - powiedziała Caterina. - Ale jeszcze mniej rozumiem, dlaczego sprawa nie jest już zagrożeniem? Cóż takiego się zmieniło?

Bafile założył okulary i wyciągnął szufladę biurka. Prawie z niesmakiem wyjął z niej jakieś pismo i wręczył Caterinie: — Czy to wystarczy, żeby już nie zadawała mi pani kolejnych pytań?

Zdziwiona wzięła pismo, które było nową umową o pracę na stanowisku szefowej działu i dziennikarki śledczej do zadań specjalnych wraz z podwyżką o pięćset euro.

-

A jakie warunki są z tym związane? - spytała, przeleciawszy wzrokiem umowę.

-

Warunki? Żadne.

-

Zatem mogę także bez ograniczeń dalej badać sprawę Marleny Ammer?

Bafile podniósł wzrok i spojrzał na Caterinę spode łba. - Proszę robić to, co uzna pani za stosowne. Zresztą wyjaśniania tej sprawy i tak już nie można się trzymać, po tym jak pewne niemieckie czasopismo wzięło się za ten temat. A teraz proszę iść do pracy.

-

Okej, szefie! - Caterina odwróciła się. Przy tym wzrok jej padł na niemieckie pismo Stern, rzucone na biurko. Na stronie tytułowej było napisane wielkimi literami:

ŚMIERĆ SEKRETARZA KARDYNAŁA

-

Może pani zabrać z sobą - odezwał się Bruno Bafile, który zauważył zaciekawione spojrzenie Cateriny.

-

Dzięki, szefie! - Caterina wzięła czasopismo i wyszła.

Jak na początek zwykłego dnia pracy było tego wszystkiego trochę za dużo naraz.

Caterina miała wrażenie, jakby jej życie znów z chwili na chwi-

łą się zmieniło. Ciekawe, znów miała swoją dawną pracę, a nawet awans i w perspektywie większe pieniądze, poza tym zniesiono wszelkie ograniczenia

dotyczące jej artykułów. Mimo to nie odczuwała przyływu radości ani żadnej satysfakcji. Podejrzliwość i jakaś niepewność nie dawały jej spokoju.

Najpierw zainteresowała się artykułem w niemieckim ilustrowanym czasopiśmie, renomowanym tytule, znanym zarówno z poważnego podejścia, jak i tendencji do podchwytywania gorących tematów.

W liceum Caterina uczyła się niemieckiego jako drugiego języka a znajomość z Lukaszem jeszcze tę umiejętność wzmocniła, więc przeczytanie artykułu nie sprawiło jej żadnych trudności.

Kiedy skończyła, zamyśliła się. Tekst w żadnym razie nie dawał przesłanek do tego, żeby śmierć Sofficiego wiązać z zabójstwem Marleny Ammer. Jej nazwiska nawet nie wspomniano, nie mówiąc już o tajemniczych okolicznościach, w które uwikłane było życie Marleny.

Jak Bruno Bafie wpadł na to, żeby powiązać obie sprawy?

ROZDZIAŁ 53

S

ala domu aukcyjnego Hartung & Hartung przy monachijskim Ka-rolinenplatz była wypełniona do ostatniego miejsca. Gęsto stłoczeni siedzieli bibliotekarze wielkich bibliotek Europy, księgarze i antykwariu-sze zza oceanu oraz oczywiście kolekcjonerzy, mający nadzieję na tę czy inną okazję.

Licytatorowi, niewielkiemu, zadbanemu człowieczkowi o przerzedzonych włosach

i w złotych okularach, przypadło niemal niewykonalne zadanie, by w ciągu trzech dni poddać licytacji 2540 pozycji: książek, manuskryptów i rękopisów.

Malberg wykorzystał tę okazję z zamiarem zakupu nowych nabytków dla swojego antykwariatu. Jak zwykle zajął miejsce w ostatnim rzędzie - tak czynią profesjonalni nabywcy - aby mieć w polu widzenia wszystkich pozostałych licytujących i z ich zachowania wyciągać własne wnioski.

Tym sposobem siedemnastowersowy brewiarz z roku 1415 o cenie wywoławczej szesnaście tysięcy euro wylicytował za osiemnaście tysięcy euro. Cena okazyjna, jak za łaciński rękopis z barwnymi brzegami i czer-wono-złotymi inicjałami, do sprzedania bez trudu z zyskiem stuprocentowym.

Przy księdze Hieronima Boscha z roku 1577 w formacie folio traktującej o ziołach poddał się. Księgę tę, oprawioną w skórę z wytłoczeniami i zawierającą liczne drzeworyty roślinne z tamtych czasów, uważa się za jedno z najpiękniejszych szesnastowiecznych dzieł o ziołach. Pochodzi z klasztoru Weingarten. Można odtworzyć całą historię poprzednich właścicieli tej książki od chwili jej wydrukowania. Taka pozycja ma oczywiście swoją cenę. Jednak Malberg nie był gotowy do zapłacenia dwukrotności ceny szacunkowej, czyli trzydziestu tysięcy euro, i przy dwudziestu tysiącach odpadł z licytacji.

Zmagania licytujących nabierały rumieńców. Kiedy po niecałych dwóch godzinach licytator rozpoczął aukcję obiektu o numerze katalogowym 398, po sali przeszedł pomruk.

Książka z połowy dziewiętnastego wieku, co licytator zręcznie podkreślił, już od wielu dni zapełniała strony gazet felietonami i wyzwalała spekulacje na temat ceny, jaką może osiągnąć, ale także wokół treści dzieła.

Dzieło to pod łacińskim tytułem Peccatum Octavum, czyli Ósmy grzech, było naprawdę sensacją. Oficjalnie bowiem nie powinien nawet istnieć ani jeden egzemplarz, skoro dzieło zostało zakazane przez Piusa DC. Na papieskie polecenie wszystkie biblioteki musiały w owym czasie zostać przeszukane, zaś odkryte egzemplarze spalone w obecności świadków.

Autorem książki był zakonnik augustianin i badacz przyrody nazwiskiem Grzegorz Mendel, ten sam Mendel, który prawom Mendla dał swoje nazwisko, prekursor genetyki. Mendel pochodził ze Śląska austriackiego, dzisiejszych Czech, i tam właśnie w pewnym antykwariacie ów egzemplarz spoczywał niezauważony od końca wojny, pomiędzy pierwszymi wydaniem Karola Maya i niemieckim przekładem Przygód dzielnego wojaka Szwejka w dziale „Literatura obcojęzyczna”. Pewien student genetyki zakupił książkę za dwadzieścia euro, ponieważ znał nazwisko autora. Jednak książka, pomijając łaciński tytuł, była napisana w jakimś osobliwym języku nie do odczytania i student nie umiał sobie z tym poradzić. Zwrócił się o pomoc do renomowanego domu aukcyjnego i tam uzyskał informację, że chodzi o bibliofilskie cacko i że na aukcji można uzyskać sześciocyfrową kwotę.

- Rozpaczam od ceny wywoławczej pięćdziesięciu tysięcy euro! Czy ktoś da więcej? - licytator przybrał znaczący wyraz twarzy, a jego wzrok błędził po licytujących na sali. Jedna z gazet szacowała wartość tej książki, której treść była owiana taką samą tajemnicą jak jej pochodzenie, na sto tysięcy euro.

- Pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt. Osiemdziesiąt tysięcy po raz pierwszy!

Cisza.

-

Osiemdziesiąt pięć tysięcy! - licytator wskazał na pana w szarej dwurzędowce

w pierwszym rzędzie.

- Sto tysięcy euro! - odezwał się z tyłu sali przedstawiciel, który miał połączenie z telefonicznym licytantem.

- Sto tysięcy po raz pierwszy...

Wtedy rozgorzała aukcyjna walka, podczas której w ciągu czterdziestu sekund licytanci telefoniczni i na sali wywindowali cenę do dwustu trzydziestu tysięcy euro.

-

Dwieście trzydzieści tysięcy euro - powtórzył licytator z udawanym spokojem

- po raz pierwszy... po raz drugi...

Niespodziewanie, jakby się obudził ze snu, sąsiad Malberga licytujący z numerem 222, blady facet z włosami zaczesanymi do tyłu, podniósł rękę.

-

Dwieście trzydzieści pięć tysięcy euro, pan w ostatnim rzędzie. Po raz pierwszy, po raz drugi. Czy nikt nie da więcej? Po raz trzeci.

Rozległy się oklaski, jak zwykle, kiedy wylicytuje się szczególnie wysoką cenę.

Malberg kątem oka obserwował sąsiada. Temu twarz nawet nie drgnęła i patrzył uparcie przed siebie, jakby to wszystko wcale go nie obeszło. Również podczas dalszej aukcji, kiedy pod młotek szły cenne inkunabuły, nieznajomy trwał nieruchomo jak posąg.

-

Przepraszam, że zagaduję do pana tak bezpośrednio - szepnął Malberg do bladego gościa. — Czy pan jest kolekcjonerem?

Nieznajomy jak marionetka przekręcił głowę i spojrzał głęboko osadzonymi oczami. Następnie odpowiedział, nie nieuprzejmie, ale stanowczo: - Sądzę, że panu

nic do tego, mój panie! - chociaż jego niemiecki był doskonały, wyczuwało się lekki akcent włoski.

- Oczywiście, że nie - powiedział Malberg i właściwie tym samym uznał rozmowę za zamkniętą. Jednak blady człowiek zapytał: - Skąd pan wnosi, że mógłbym być kolekcjonerem?

- No cóż... - Malbergowi niełatwo było odpowiedzieć. - Tylko kolekcjonerzy wydają takie przesadne sumy na książkę o wątpliwej wartości.

- Sądzi pan, że książka jest falsyfikatem?

- W żadnym razie. W przeciwieństwie do rynku dzieł sztuki, na rynek księgarski bardzo rzadko trafiają falsyfikaty. Zapewne zna pan to powiedzenie: Camille Carot namalował w swoim życiu ponad dwa tysiące obrazów, z czego w samej Ameryce wiszą trzy tysiące. Nie, fałszowanie książek z początków sztuki drukarskiej wymaga znacznie większego wysiłku. Zresztą bardzo łatwo ustalić rzeczywisty wiek pergaminu i papieru.

-

- Z tego punktu widzenia dzieło Mendla jest książką względnie młodą!

- Otóż to. Jego wartość ogranicza się do unikatowości, jego historii oraz, oczywiście, jego treści.

Domniemany kolekcjoner zaczął nagle ujawniać zainteresowanie Malbergiem: -

Pan zna treść tej książki?

- Tak. To znaczy, nie. Wiem tylko, o czym ta książka traktuje.

- Ach - nieznajomy uśmiechnął się wyniośle, bez radości, a raczej z wyższością kogoś wtajemniczonego, po czym znów zajął się śledzeniem aukcji. - W takim razie wie pan więcej ode mnie - dodał jeszcze lekko drwiąco.

Malberg poczuł się dotknięty. Facet najwyraźniej nie brał go na serio. Malberg

nachylił się ku niemu i oświadczył: - Bardzo nieliczni bibliofile, a nawet eksperci, w ogóle wiedzą o tej książce Grzegorza Mendla. A przy tym należy ona przypuszczalnie

do najbardziej znaczących książek, jakie kiedykolwiek napisano. Ponieważ jednak

uchodziła za zaginioną, a w dodatku napisana została w jakimś zakodowanym

języku, dzieło popadło w zapomnienie. Nic dziwnego, że ta książka i jej treść

wywołała dzikie spekulacje. Ale pan z pewnością wie to wszystko od dawna. Gazety

mnóstwo piszą na ten temat.

-

Nie, nie! - blady mężczyzna był nagle pod wrażeniem. - Pan zdaje się wiedzieć

znacznie więcej niż można było wyczytać w gazetach. Zastanawiam się tylko, skąd

pan bierze tę wiedzę?

Tym razem to Malberg okazał pewną arogancję i uśmiechając się z wyższością,

odparł: - Studiowałem bibliotekoznawstwo i pisałem pracę dyplomową na temat

zaginionych dzieł literatury światowej. Do nich zalicza się także dzieło Grzegorza

Mendla Peccatum Octavum. Nie przypuszczałem, że pewnego dnia jednak pojawi się

egzemplarz.

Dochodziło południe, a cicha rozmowa dwóch ludzi w ostatnim rzędzie już

wywołała niezadowolenie w sali aukcyjnej.

-

Czy sprawiłby mi pan radość i spożył ze mną posiłek? Wyszukany język

wypowiedzi nieznanego nie uszedł uwadze Mal-

berga. - Z przyjemnością - odpowiedział, nie przeczuwając, jaką w ten sposób

rozpoczyna przygodę.

Bistro w pobliskiej galerii sztuki emanowało chłodem i surowością

postmodernistycznej architektury, a znane było z doskonałej kuchni

śródziemnomorskiej.

Pomiędzy spaghetti a doradą z grilla, którą polecił im bystry kelner, nieznajomy wrócił do tematu. - Sądzi pan, że nie będzie łatwo przetłumaczyć książkę napisaną w jakimś dziwnym języku?

- Na pewno nie. Ale o ile sobie przypominam, Friedrich Franz, zakonnik z opactwa św. Tomasza w Brnie, w jednym ze swoich dzieł pozostawił pewną wskazówkę dotyczącą tajemniczej książki Grzegorza Mendla. Dotyczącą zarówno treści, jak i zakodowanego języka. Najwidoczniej nawet konfratry z opactwa nie mieli się dowiedzieć o wynikach badań.

- Czy zna pan znaczenie tytułu książki? - Nieznajomy uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

-

Szczerze mówiąc, nie.

-

No to przynajmniej w jednym mam nad panem przewagę! Malberg nie mógł się już doczekać: - Bardzo jestem ciekaw! Nieznajomy wyprostował się jak orator przemawiający z mównicy i odpowiedział z teatralnym gestem ręki: - Teologia moralna zna siedem grzechów głównych. Są to: pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, nie-umiarkowanie, gniew i lenistwo. Zgodnie z Ewangelią św. Mateusza, rozdział 12, Jezus powiedział, że każdy grzech i bluźnierstwo będą odpuszczone ludziom. Ale potem ewangelista wymienia jeszcze jeden, ósmy grzech, grzech przeciwko Duchowi Świętemu. A ten grzech, powiada Jezus, nie będzie odpuszczony ani w tym wieku, ani w przyszłym.

Malberg długo przyglądał się rozmówcy badawczym wzrokiem. - Pan jest

teologiem - zauważył w końcu.

-

Jak pan na to wpadł?

-

Używa pan sformułowań, które są powszechne tylko wśród teologów.

Nieznajomy wzruszył ramionami, nie odnosząc się do tej kwestii. Zamiast tego kontynuował: - Przez całe wieki teologowie głowili się, o co mogło chodzić z tym grzechem przeciwko Duchowi Świętemu. Jestem pewien, że Grzegorz Mendel w swojej książce odpowiada na to właśnie pytanie.

-

O ile się orientuję - powiedział Malberg - Duch Święty w Biblii oznacza ogólnie wiedzę i poznanie. A to by znaczyło, że Mendel odkrył coś, czego lepiej nie było odkrywać. W każdym razie przemawia za tym zakazanie jego książki przez papieża. Osobliwa postać ten Grzegorz Mendel. Nie sądzi pan?

-W rzeczy samej. Jednak jego osobliwość miała przypuszczalnie j; kieś głębsze podstawy. Pan wie, że Grzegorz Mendel za życia nie został doceniony jako odkrywca fundamentalnych praw dziedziczenia. Dopiero wiele lat po jego śmierci ponownie odkryto podstawy współczesnej biologii ewolucyjnej i reguły dziedziczenia u ludzi.

To, że był niedoceniony, prawdopodobnie zdecydowało, iż Mendel swoje największe odkrycie długo trzymał dla siebie i pragnął je wyjawic w postaci książki jedynie wąskiemu kręgowi wtajemniczonych.

Nieznajomy o bladej twarzy już dawno przestał jeść. Przypatrywał się Malbergowi w trakcie tej przemowy, jakby chciał mu coś wyznać. Wreszcie odezwał się z powagą w głosie: - Czy podjąłby się pan odszyfrowania albo przetłumaczenia tej książki? Co do honorarium, z pewnością byśmy się porozumieli. Za bezbłędną pracę, z

uwzględnieniem wysiłku złamania kodu, wyobrażam sobie jakieś sto tysięcy euro.

Sto tysięcy euro! Malberg starał się utrzymać spokój. Wprawdzie od jego dyplomu upłynęło już parę lat, ale o ile dobrze sobie przypominał, brat Friedrich Franz wspominał w swoim dziele o prostym triku, który zastosował Mendel: pisząc po niemiecku, zamieniał litery łacińskie na greckie - kryptografia, która znalazła zastosowanie po raz pierwszy w czasach renesansu.

-

Jednakże - w trakcie rozważań nad systemem kodowania usłyszał głos

nieznajomego - musiałby pan tę pracę wykonać w Burg Layenfels nad Renem.

U Malberga odezwały się wszystkie dzwonki alarmowe. Czy ten blady człowiek powiedział Burg Layenfels? Burg Layenfels, gdzie monsignore Soffici pożegnał się z życiem w tajemniczy sposób?

Umysł Malberga oszalał. Burg Layenfels - zamek z zagadkowym symbolem nad bramą wjazdową? Symbolem, który pojawia się także na medalionie Marleny?

Czuł, jak krew szumi mu w uszach, i wpatrywał się w śnieżnobiały obrus. Co, u diabła, miało to znaczyć? Sytuacja, w której niczego nie podejrzewając się znalazł, nie mogła być dziełem przypadku.

- Z pewnością pan rozumie - podjął nieznajomy - że nie mogę wypuścić z rąk tak cennej księgi.

- Naturalnie - wyjąkał Malberg. Nie miał pojęcia, jak się zachować w tej nowej sytuacji. Po prostu zwać byłoby zapewne rozwiązaniem naj

-

gorszym. On znał przynajmniej pochodzenie nieznajomego gościa. Pytanie, czy nieznajomy zna również jego.

Mało prawdopodobne, pomyślał Malberg. Ostatecznie to on zagadał do bladego, a

nie odwrotnie. I z początku nieznajomy był bardzo nieprzyjemny.

-

Kiedy mógłby pan zacząć? - zapytał nieznajomy, nie czekając na zgodę

Malberga. Wydawało się, że nagle zaczął się śpieszyć.

Malberg pogładził się po brodzie, jakby robił przegląd swojego terminarza pod kątem najbliższych tygodni. W rzeczywistości był zbyt poruszony, żeby wymyślić jakąś szybką odpowiedź. Właściwie chciał odmówić, jako że w ogóle nie wiedział, co go tam czeka. Z drugiej strony była to być może okazja, żeby wyjaśnić sprawę Marleny.

Czuł na sobie świdrujący wzrok tamtego człowieka i nie miał odwagi tego spojrzenia odwzajemnić. Kiedy przyszedł kelner i zbierał naczynia, Malberg odczuł to jak wybawienie.

-

Pan mi nie ufa - przerwał nieznajomy kłopotliwe milczenie. - Nie mogę mieć panu tego za złe.

Ależ ufam, już chciał odpowiedzieć Malberg. Nie, żeby taka była prawda, ale raczej z uprzejmości i żeby jakoś wyjaśnić swoje bezradne milczenie. Jednak do tego nie doszło, ponieważ blady człowiek położył na stoliku i otworzył czarną aktówkę, którą podczas posiłku trzymał między nogami.

Malberg rozszerzonymi oczami obejrzał zawartość: dobre pół miliona euro, same pięćsetki powiązane w pakiety po dziesięć tysięcy, porządnie oklejone banderolami Deutsche Banku.

Nieznajomy wyjął z walizeczki dwadzieścia tysięcy euro i przesunął je po stoliku w kierunku Malberga: - Proszę to potraktować jako zaliczkę na poczet pracy do

wykonania.

- Ale przecież pan mnie w ogóle nie zna - wyjąkał Malberg i rozejrzał się na wszystkie strony. Zmieszany, idąc za głosem nagłej intuicji, dodał jeszcze: - A przy okazji, to nazywam się Andreas Walter.

- Anicet - przedstawił się rozmówca. - Proszę mnie nazywać Anicet. A teraz niechże pan zabierze te pieniądze ze stolika.

Anicet? Jeden z najbardziej przebiegłych demonów? Osobliwe nazwisko, przeszło Malbergowi przez myśl. Jednak nie dał po sobie poznać żadnego zaniepokojenia.

- Zatem kiedy mogę na pana liczyć? - naciskał człowiek przedstawiający się jako Anicet. - Bo przecież mogę liczyć na pana?

- Naturalnie - odparł Malberg i schował pieniądze do kieszeni marynarki. - Powiedzmy pojutrze, jeśli to panu odpowiada.

- Czy pan pokręcił głową? - Anicetowi nie umknął nieznaczny ruch głowy Malberga.

- Przed dwiema godzinami jeszcze żeśmy się nie znali - powiedział Malberg rozbawiony - a teraz kładzie mi pan dwadzieścia tysięcy euro na stoliku i liczy na to, że zjawię się u pana i wykonam rzecz, co do której nawet nie jestem pewien, czyją potrafię wykonać.

Anicet wzruszył ramionami: - Proszę mi wierzyć, moja znajomość ludzi nigdy jeszcze mnie nie zawiodła.

Malberg wzdrygnął się. Taką wypowiedź można było równie dobrze potraktować jako groźbę. Jednak zdecydował się już na tę drogę. Teraz nie było odwrotu.

Nie mógł nie pomyśleć o łańcuszku z zagadkowym medalikiem, kti nie dalej jak wczoraj wskazał nowy trop i wywołał nowe pytania. Malberg zapytał Aniceta bez ogródek: - Czym pan się zajmuje w Burg Layenfels? W gazetach można było

przeczytać...

-

Wszystko kłamstwo - przerwał Anicet. - Mam nadzieję, że wierzy pan w to, co piszą gazety. Przecież pan zna tych gazetowych pi smaków! Bractwo Fideles Fidei Flagrantes składa się z wysoko kwalifikowanych naukowców, historyków i teologów, których badania nie znalazły uznania w środowisku. Dlatego, że nie zrozumieli ich głupcy z otoczenia, albo dlatego, że zostali oczernieni przez konkurencję. W sumie chodzi o wolę zgłębienia cudu bycia człowiekiem. I naturalnie zalicza się do tego fenomen wiary. Pan rozumie.

Malberg tylko z grubsza rozumiał, o czym mówi Anicet. Bez wątpienia tajemnicza książka, którą nabył na aukcji za duże pieniądze, miała określone znaczenie dla tamtych badań. Jednak w tej chwili Malberga nie bardzo to interesowało. Znacznie bardziej zajmowało go pytanie, jakie mogło istnieć powiązanie pomiędzy bractwem i Marleną.

-

Aha, jeszcze o jedno chciałem zapytać - powiedział nagle. - Czy w waszym bractwie są także kobiety?

Anicet zmarszczył brwi i odpowiedział pytaniem na pytanie: - Pan jest żonaty?

- Nie. Tak tylko zapytałem.

- W naszym bractwie kobiety siałyby tylko niepokój. Proszę mi wierzyć — tu zrobił sztuczną przerwę i popatrzył przez szklaną ścianę lokalu na zewnątrz. — Na wypadek nagłej potrzeby seksualnej są chętne damy w Koblencji czy Kolonii. Mam nadzieję, że w ten sposób odpowiedziałem na pańskie pytanie.

- Tak, oczywiście - odparł krótko Malberg. Anicet opacznie go zrozumiał i Malberg poczuł się niezręcznie.

-
Czyli dogadaliśmy się? - Anicet przeszył go wzrokiem. Malberg powściągliwie przytaknął. - Mam nadzieję, że zdołam się panu przysłużyć swoją pracą.

-
Jest pan akurat odpowiednim człowiekiem! — Anicet próbował się roześmiać, ale nie bardzo mu wyszło. - Cóż za szczęśliwy przypadek, który kazał nam się spotkać. I jeszcze jedno: dyskrecja jest najważniejszym przykazaniem w naszym bractwie.

-
Rozumiem.

-
A gdy pan przybędzie do Burg Layenfels, proszę tylko podać hasło „Apokalipsa 20,7”. Ono otworzy przed panem wszelkie drzwi.

Malberg zauważył, że dłonie mu wilgotnieją. Gnany jakimś wewnętrznym przymusem, mruknął: „A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony”.

Słowa te zdumiały Aniceta: - Zdaje się, że byłby z pana niezły teolog. Przy tym nawet nie wszyscy teologowie potrafią zacytować Objawienie św. Jana.

Malberg wzruszył ramionami i próbował zlekceważyć swoją znajo-IOŚĆ rzeczy. Czy miał powiedzieć, że markiza, najlepsza przyjaciółka Marleny, krótko przed tym, jak została zamordowana w biały dzień na ulicy, opowiedziała to właśnie hasło? Czy miał temu tajemniczemu, blademu rozmówcy oświadczyć, że od tamtej pory łamał sobie głowę nad zgłębieniem, co markiza Falconieri chciała osiągnąć tą wskazówką?

Odpowiedział zatem tak: - Dla kogoś takiego jak ja, zajmującego się starymi

księgami, Apokalipsa należy po prostu do wykształcenia ogólnego.

Odpowiedź trafiła w sedno.

Jednak Anicet pokiwał z uznaniem głową. - Ludzie tacy jak pan ? oznajmił po krótkim namyśle - są jakby stworzeni dla naszego bractwa.

Niech pan się nad tym zastanowi - po czym kiwnął na kelnera i uregulował rachunek.

W tej samej chwili Malbergowi zadzwoniła komórka w kieszeni marynarki.

- Proszę wybaczyć - powiedział i szybko wyszedł z lokalu na ulicę. Dzwoniła Caterina.

Malberg od razu jej przerwał: - Nie mogę teraz rozmawiać. Wybacz. Oddzwonię za dziesięć minut - zakończył rozmowę. Kiedy wrócił do lokalu, miejsce Aniceta było puste. Na chwilę Malberg się zirytował. Ale tylko na chwilę.

ROZDZIAŁ 54

B

było koło godziny dwudziestej drugiej. W telewizji na Rai Uno szedł właśnie nieznośny show ze skąpo odzianymi panienkami i głupkowatym łysawym prowadzącym, kiedy ktoś gwałtownie zadzwonił do drzwi. Caterina spojrzała na zegarek. O tej porze?

-

Kto tam? - zapytała przez zamknięte drzwi.

- Signora Fellini — brzmiała odpowiedź. - Muszę z panią pilnie pomówić!

- Pani bym się najmniej spodziewała - powiedziała Caterina, zdejmując łańcuch.

Otworzyła drzwi i przeraziła się. - Na litość boską, co się stało?

Kobieta, która do niedawna nosiła drogie sukienki i torebki z Via Con-dotti, robiła opłakane wrażenie. Bez wątplenia znów piła. Makijaż miała rozmazany.

Zmierzwione włosy opadały jej na twarz. Dyszała.

-

Wczoraj na lotnisku - wybełkotała urywanymi słowami. - Pani mnie rozpoznała?

-

Tak. Co tam się działo? Ale niechże pani wejdzie do środka!

W dużym pokoju Caterina podsunęła niespodziewanemu gościowi krzesło. -

Odniosłam wrażenie, że jeden z tamtych ludzi groził pani bronią. W każdym razie nie wyglądało na to, że szła pani z tymi facetami dobrowolnie.

Wyglądająca jak sto nieszczęść i powstrzymująca łzy signora przytaknęła. -

Chciałam wyjechać. Po prostu wyjechać. Nieważne dokąd. Sądziłam, że uda mi się kupić bilet last minute, wsiąść do najbliższego samolotu i zostawić wszystko za sobą.

W gorączkowym pośpiechu nie zauważyłam,

że już w drodze na lotnisko byłam śledzona przez dwóch ludzi. Właśnie miałam przejść do hali dla pasażerów, gdy nagle dwóch facetów chwyciło mnie pod rękę.

Jeden z nich powiedział cicho: „Ale, ale, signora, czyżby się pani u nas nie podobało?

Nie może pani tak po prostu sobie uciec. Byłoby to absolutnie wbrew wszelkim uzgodnieniom. Pani to wie!"Ten drugi przycisnął mi z boku lufę pistoletu do biodra.

Nie odezwał się słowem ale odebrałam jego zachowanie jako wyraźną groźbę. Czy czuła pani kiedykolwiek na biodrze lufę pistoletu?

-

Uchowaj Boże. Chybaby mi serce stanęło.

-Też z początku tak sądziłam. Ale serce jakoś nie stanęło. Przeciwnie tłukło się jak oszalałe, aż mi w uszach buczało jak organy w kościele.

- Znała pani tych gości?

- Nie, przynajmniej nie z nazwiska. Ale że działali na zlecenie Gon-zagi, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Jeden z nich się bowiem zdradził, kiedy powiedział, że moja ucieczka byłaby wbrew wszelkim uzgodnieniom.

-

Nie rozumiem. Co to znaczy: wbrew wszelkim uzgodnieniom? Signora Fellini odgarnęła włosy z twarzy i tępo wpatrywała się w podłogę. Po dłuższej chwili powiedziała: - Boję się, strasznie się boję.

-

Tak, rozumiem - odparła Caterina. Wstała i przyniosła z lodówki butelkę amaretto. Pomyślała sobie, że signora odczuwa jak nigdy potrzebę wygadania się. Pewnie wystarczy tylko jeden mały impuls, żeby ją skłonić do mówienia.

Napełniła dwa kieliszki niemal po brzeg. Jeden podsunęła signorze Fellini. -

Salute\ — powiedziała, nie patrząc na nią.

Signora chwyciła kieliszek i wychyliła jednym haustem.

Caterina przysiadła się bliżej. - O co chodziło tym facetom, kiedy twierdzili, że to byłoby wbrew wszelkim uzgodnieniom?

- No cóż - zaczęła Fellini z wahaniem. - Chodzi o tę przekłętą umowę!

- Z kardynałem Gonzaga?

Signora skinęła głową, milcząc i nie patrząc na Caterinę.

- Umowa, w której pani zobowiązała się do zachowania milczenia. Tamta znów przytaknęła.

- Do milczenia o romansie, który ekscelencja miał z Marleną Ammer.

Caterina widziała, jak signora w milczeniu zaciska dłoń wokół pustego kieliszka.

Ręce jej drżały. Usta także.

— Więc to w tej sprawie Gonzaga zdecydował się kupić pani milczenie?

Na to signora wybuchła: - Żeby tylko to! Cały rozmiar tej historii przekracza wszelkie wyobrażenie. Trzeba pani wiedzieć, że w śmierć Marleny Ammer uwikłana jest prawie cała Kuria!

Przez chwilę Caterina miała wątpliwości, czy signora pod wpływem alkoholu nie przesadza — ostatecznie nie wiadomo, ile już wcześniej zdążyła wypić. Jednak gdy signora zaczęła mówić dalej, Caterina szybko zrozumiała, że nie było w tym przesady.

Powoli, chwilami jękając się i szukając słów, signora Fellini opowiadała: -

Wyobrażam sobie, że po wszystkim, czego pani już się dowiedziała o kardynale Gonzadze, sądzi pani, że to on zlecił zamordowanie Marleny. Jednak takie przypuszczenie jest fałszywe!

Caterina spojrzała na nią z niedowierzaniem. Powieki signory były ciężkie i tylko na wpół otwarte.

—
Nie Gonzaga? Więc kto za tym stoi?

— Gonzaga ma w Kurii śmiertelnego wroga, którym jest prefekt Świętego Officium, kardynał Kurii Bruno Moro...

—
Powiada pani Moro... ale dlaczego akurat Moro miałby...? Fellini bardzo usilnie starała się wyglądać na trzeźwą. Mimo to jej język był bełkotliwy, kiedy opowiadała dalej: - Oczywiście, grzeszny romans sekretarza stanu nie był w Watykanie tajemnicą. W pewnych kręgach przez całe

tygodnie mówiło się o tym codziennie. Wreszcie pod przewodnictwem kardynała Moro zebrało się tajne gremium, aby uradzić, jak podejść do tego problemu. Od wieków nie było takiego skandalu w murach Watykanu. A jeśli rzecz się wyda, twierdził Moro, może to zaszkodzić Kościołowi bardziej niż tamten mnich z Wittenbergi. Zatem wszystko trzeba by przeprowadzić z największą dyskrecją.

— Ale dlaczego Moro nie skierował swoich zamysłów przeciwko swojemu arcywrogowi Gonzadze? - Caterina niespokojnie wierciła się na krześle.

— Rzeczywiście, pierwsze rozważania szły w tym kierunku, aby Gonzagę w jakiś sposób wyeliminować. Jednak Giovanni Sacchi, szef Tajnego Archiwum i zaufany człowiek Moro, zwrócił uwagę, że pamięć o tajemni

—

czej śmierci Jana Pawła I jest jeszcze zbyt świeża i gdyby znów ktoś zginął, rozgorzałaby publiczna dyskusja. Nie chciano skandalu.

-

Wyobrażam sobie - zauważyła Caterina. - Ale gdyby się wydało, że to Moro zlecił zabójstwo Marleny, wtedy skandal byłby równie potężny!

- To się nie zdarzy.

- Czemu nie?

- Bo nigdy nie było zlecenia zabójstwa.

- Nie rozumiem.

-

Zaraz pani zrozumie. Czy można jeszcze łyeczka? - signora Fellini podsunęła Caterinie pusty kieliszek.

Wydawało się, że istotnie amaretto przyspieszyło potok jej słów: - To monsignore Sacchi był tym, który nagle stwierdził, że haniebne zachowanie sekretarza stanu

może mieć tylko jedno wyjaśnienie: tamta kobieta jest opętana przez demona i rzuciła urok na Gonzagę.

-

Ach, jakież to proste! Że też sama na to nie wpadłam - zawołała Caterina z ironią w głosie. - Ci pobożni starcy w Watykanie wciąż wyznają pogląd, że to kobieta sprowadziła na świat wszelkie zło.

-

Kiedy sekretarz stanu był w podróży służbowej - ciągnęła Fellini nieporuszona - egzorcysta Don Anselmo otrzymał od Moro pisemne polecenie, żeby Marlenę Ammer poddać egzorcyzmom, w razie konieczności z użyciem siły.

-

Mój Boże - powiedziała Caterina cicho.

-

Oczywiście Marlena stawiała gwałtowny opór. Na własne uszy słyszałam jej wrzaski. Ostatecznie byłam dozorczynią i nie uchodziło mojej uwadze nic z tego, co działo się w domu przy Via Gora 23. Widziałam trzech mężczyzn wchodzących na górę. Dlatego podsłuchiwałam pod drzwiami. Kiedy usłyszałam żarliwe zaklęcia egzorcysty, uświadomiłam sobie, że z signory ma zostać przegnany diabeł.

-

Pani wierzy w takie bzdury?

Fellini pokręciła głową. Jej wymowa wyraźnie się spowolniła: — Przeczuwałam coś złego, kiedy krzyki signory przycichły, jakby ktoś jej przycisnął poduszkę do twarzy. Nagle zrobiło się cicho. Po chwili jeden z tych gości gwałtownie otworzył drzwi, odepchnął mnie na bok i pognął schodami w dół, jakby sam diabeł go gonił. Z

wnętrza mieszkania usłyszałam słowa: „Don Anselmo, Don Anselmo! Niech pan zobaczy!”

-

Co to miało znaczyć?

- Też się wtedy nad tym zastanawiałam. Trwało kilka minut, zanim sobie uzmysłowiłam, co się stało. „Ona nie żyje - wołał asystent egzorcysty - zabiliśmy ją! „Bzdura - odpowiedział Don Anselmo - to demon uśmiercił jej grzeszne ciało”.

- Co się potem działo? Niechże pani mówi dalej!

Signora Fellini wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. - Młody asystent egzorcysty wpadł w histeryczny szloch. Krzyczał, lamentował i groził, że wyskoczy przez okno. Trwało przynajmniej z dziesięć minut, zanim się uspokoił. Dalszego

ciągu mogę się tylko domyślać, bo obaj mężczyźni mówili już tylko szeptem.

Słyszałam napuszczanie wody do wanny. Potem szuranie, jakby kogoś ciągnięto.

Reszta jest znana - signora przerwała.

- A potem?

- Może sobie pani wyobrazić, co ja przeżywałam. Nerwy miałam w strzępach.

Musiałam się liczyć z tym, że w każdej chwili egzorcysta i jego asystent wyjdą z mieszkania signory. Wróciłam więc do siebie.

- A potem? Co pani zrobiła?

- Nic. W każdym razie nie od razu.

-Jak to nic? Przecież musiała pani jakoś zareagować!

-

Byłam jak sparaliżowana, niezdolna do jasnego myślenia. A do tego tamten człowiek, który mnie widział! Być może nie umie sobie pani tego wyobrazić, ale kiedy się coś takiego przeżyje, rozum się wyłącza. Dopiero wieczorem odważyłam

się wejść raz jeszcze na górę i otwierałam mieszkanie kluczem zapasowym. Tam zobaczyłam martwą signore w wannie z głową pod wodą. Na ziemi leżał jej błękitny szlafrok. Odwróciłam się i poszłam stamtąd. Drzwi od mieszkania zostawiłam otwarte, żeby zbrodnię jak najszybciej wykryto. Okropnego odkrycia dokonał w końcu listonosz.

Caterinę ten opis mocno poruszył. Z twarzą w dłoniach wpatrywała się w podłogę.

Niełatwo było jej pojąć to, co usłyszała. Czyli takie było wyjaśnienie faktu, że ludzie z Kurii byli obecni na sekretnym pogrzebie Marleny! Czuli się winni jej śmierci.

Wyjaśniło się też, dlaczego wtedy nad grobem doszło do rękoczynów między Gonzaga i Moro.

-

Czy poza Gonzaga byli też inni mężczyźni, którzy zalecali się do Marleny Ammer?

Signora przetarła oczy i ziewnęła niedbale.

-

Pyta pani, czy signora Ammer zmieniała facetów jak rękawiczki? Nie, tego nie można powiedzieć. Nie znałam signory prywatnie. Jej układy rodzinne mnie nie interesowały - uśmiechnęła się krzywo. - Cóż, nie uszło mojej uwadze, że od czasu do czasu pojawiał się pewien facet, już nie najmłodszy, także nie najprzystojniejszy. Przychodził bardzo rzadko, a rozmawiali z sobą po niemiecku.

-

Czy czymś się wyróżniał?

-

Nie. Najbardziej wyróżniał się tym, że niczym się nie wyróżniał. Jako mężczyzna był po prostu przeciętny, o ile wie pani, co mam na myśli.

Po długim zastanowieniu Caterina zapytała wprost: - Skąd właściwie kardynał

Gonzaga wiedział, że pani podsłuchiwała?

Fellini walczyła z płaczącym się jej językiem, kiedy odpowiadała:

-

Też się z początku nad tym zastanawiałam. Ale potem przypomniał mi się

tamten trzeci facet, który jako pierwszy opuścił mieszkanie Marleny. Kimkolwiek

był, z pewnością powiedział o mnie Gonzadze. Tak czy inaczej, następnego dnia

Gonzaga był już pod moimi drzwiami i oświadczył, że jeszcze tego samego dnia

muszę opuścić swoje mieszkanie.

-

Sporo zażądał.

-

Można tak powiedzieć. Ale sekretarz stanu nie uznawał sprzeciwu. Miałam do

wyboru: grób na cmentarzu albo bajeczne mieszkanie w najlepszej dzielnicy, zero

czynszu i utrzymanie do końca życia. Jedyne warunki: moje milczenie.

Zegar pokazywał grubo po północy. Caterina była zmęczona jak pies. Co tu począć

z signorą w mieszkaniu? Jakoś było jej żal tej kobiety. Najwyraźniej tamta była na

skraju załamania nerwowego. Ale jak jej pomóc?

Caterina wstała, podeszła do okna i spojrzała na opustoszałą Via Pascara. Nie było

widać nic podejrzanego, żadnych mrocznych postaci czających się na ulicy.

-Jak się pani udało zgubić swoich nadzorców? - spytała odwrócona w kierunku

szyby.

-

Z wynajmowanego domu uciekłam przez podwórko, śmietniki i dach garażu na

równoległą ulicę — signora Fellini skubała poszarpane ubranie.

—

Zdaje się, że widać to po mnie.

Caterina przez kilka minut obserwowała ciemną ulicę. Wyczuwała dziwną,

niepokojącą atmosferę. Po wszystkim, co już zdążyło się wydarzyć, musiała się liczyć z tym, że signora Fellini nieumyślnie ściągnęła jej na kark ludzi Gonzagi.

Przycisnęła czoło do chłodnej szyby. Co robić?

Malberg! Trzeba pomówić z Lukaszem. Caterina potrzebowała jego rady

-1 jak pani sobie to dalej wyobraża? - zapytała Caterina w noc. Nie otrzymawszy odpowiedzi nawet po dłuższym oczekiwaniu, odwróciła się.

Drzwi mieszkania były otwarte. Signora Fellini zniknęła.

ROZDZIAŁ 55

A

chille Mesomedes za swoim biurkiem cały promieniał jak triumfator, który zdołał odnieść wielkie zwycięstwo. Młody prokurator poprosił Caterine, żeby usiadła, i bez ceregieli przeszedł do rzeczy.

-

Zaprosiłem panią - zaczął władczo i trochę protekcyjnie - ponieważ jest pani pierwszą osobą, która powinna się o sprawie dowiedzieć. Mogę chyba liczyć na pani dyskrecję?

Już wcześniej przez telefon Mesomedes był dość tajemniczy i dlatego ściągnął ją do swojego biura w prokuraturze.

- Może zechce mi pan wreszcie powiedzieć, o co chodzi?

- Burchiello nie żyje. Zawał.

- Szef prokuratury Giordano Burchiello?

-Jego sekretarka znalazła go dziś rano za biurkiem z oczami wywróconymi do góry. Na biurku wciąż paliła się lampa. Rzecz musiała się wydarzyć wczoraj późnym wieczorem.

- To bardzo przykre, dottore Mesomedes, ale ja w ogóle nie znałam szefa prokuratury Burchiella. I żeby mnie o tym poinformować, kazał mi pan przyjść do pańskiego biura?

- Nie po to. - Uśmiechnął się z wyższością Mesomedes. - Zaraz pani zrozumie. Na biurku zmarłego szefa prokuratury leżały te akta!

Caterina wzięła akta z adnotacją „ściśle tajne” i zaczęła je przeglądać, powoli i z zaciekawieniem. Potem jednak, zauważywszy sensacyjny charakter zawartości,

kartkowała coraz bardziej gorączkowo. Na chwilę podniosła wzrok i spojrzała niepewnie na Mesomedesa, jakby chciała o coś zapytać.

On jednak uprzedził jej pytanie: - W tych aktach - zaczął rzeczowo - znajdują się wszystkie odpowiedzi na pytania, które pojawiły się w związku ze śmiercią Marleny Ammer.

-

Ale to przecież niemożliwe!

-

A jednak! - Mesomedes wyjął Caterinie akta z rąk. — Najwyraźniej

Burchiello, stary wyjadacz, już wcześniej stwierdził, że tajna taktyka Gonzagi pewnego dnia się rozsypie, i dlatego prowadził dalsze śledztwo na własną rękę. Po prostu było zbyt wielu wtajemniczonych, których milczenie sekretarz stanu kupił za ciężkie pieniądze. W tych aktach... - Mesomedes szybko kartkował dokumenty - ...o tutaj, jest nawet nieformalna notatka: „Pięćdziesiąt tysięcy euro otrzymałem, Giordano Burchiello”. Prokuratorzy nie dostają tak książęcych wynagrodzeń, żeby

nie mogło ich skusić pięćdziesiąt tysięcy euro w gotówce na rękę.

-Jak się wydaje, szefa prokuratury jednak gryzło sumienie. Gryzło go tak bardzo, że serce odmówiło mu dalszej współpracy.

—Tak było. Burchiello nie ćwiczył swojego organizmu w niczym poza marszem do najbliższej trattorii. Co mści się w połączeniu z obciążeniem psychicznym.

Caterina zawahała się. - Interesowałoby mnie - zaczęła oględnie - czy z tych akt wynika również, kto strzelał do markizy?

-

Oczywiście. Wprawdzie zabójca nie jest wymieniony z nazwiska, ale działał na zlecenie Gonzagi.

-Ten kardynał to rzeczywiście wcielony diabeł w purpurze. Kościół, nawet przy wszystkich zastrzeżeniach, nie zasłużył sobie na takiego człowieka.

-

Na Boga, nie zasłużył!

-

W takim razie zapewne Gonzaga ma na sumieniu także tego po-parzeńca? Czy te akta wspominają o tym?

Mesomedes w zamyśleniu pokiwał głową. - Pewnie to panią najbardziej zaskoczy.

Nawet Gonzaga, ten diabeł, trafił na większego mistrza. Nazywa się monsignore Giancarlo Soffici.

-

Sekretarz kardynała?

—Ten sam. Taki niepozorny, bezbarwny aż po purpurową szarfę, którą nosił na brzuchu. Zapewne cierpiał z powodu obrzydliwego traktowania go przez Gonzagę i

pewnego dnia postanowił zemścić się na szefie. Znał ciemne machinacje Gonzagi i wiedział, że ekscelencja idzie po trupach. Więc odplacił mu się tym samym.

- Ten niepozorny sekretarz kardynała? - Caterina pokręciła głową.

- Najbardziej perfidnych zbrodniarzy charakteryzuje właśnie pewna niepozorność.

Przecież w swojej pracy z pewnością często spotykała się pani z tym faktem.

- Racja.

- W każdym razie to Soffici zamordował poparzeńca, żeby wejść w posiadanie kawałka płótna z całunu turyńskiego. Poparzeniec najpierw zaoferował ten obiekt Gonzadze. Z niejasnych przyczyn transakcja nie doszła do skutku. Zamiast tego próbką płótna zainteresował się nagle niejaki Malberg.

- Malberg?

-

Tak, Malberg. Gdzie on właściwie jest? Caterina wzruszyła ramionami.

-

Proszę posłuchać - Mesomedes podniósł głos na Caterinę. - Nie ma potrzeby udawać. Pani romans z tym antykwariuszem z Monachium od dawna jest w aktach. Zresztą, choć jest pani dobrą dziennikarką śledczą, to aktorką marną.

-Jest teraz w Niemczech - odparła Caterina, żeby jakoś rozładować niezręczną sytuację.

Mesomedes mówił dalej: - Soffici przypuszczalnie orientował się w wartości owej próbki płótna i chciał na własną rękę ubić interes. Z jakichś powodów potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy. I to było wyrokiem śmierci na poparzeńca. Jednak Soffici zwąchał interes jeszcze większy i zainscenizował porwanie sekretarza stanu. Dla pozoru sam dał się przy tym porwać. W rzeczywistości służbowym wozem kardynała

wyruszył w drogę do szemranego bractwa nad Renem. Z przyczyn mi nieznanych, najwidoczniej bractwo zaoferowało mu jeszcze większą cenę. Ale Soffici nie miał szczęścia. Z dokumentów wynika, że w drodze do bractwa zginął w wypadku samochodowym.

- I pan w to wierzy?

- Dotychczas nie wykazano, że było inaczej.

Caterina w zadumie pokiwała głową. - Czyli sprawa Marleny Am-mer została właściwie wyjaśniona - powiedziała wreszcie.

-

Powiedzmy tak: zgodnie z aktami znamy dokładnie okoliczności, w jakich zginęła Ignora. Bez wątplenia zmarła w trakcie egzorcyzmów.

Caterina przytaknęła. To już wiedziała.

-

Watykan chciał za wszelką cenę nie dopuścić, żeby sprawa wyszła na jaw.

Jednak wciąż pozostaje wiele pytań otwartych. Wyraziła pani przypuszczenie, że śmierć Marleny Ammer jedynie wywołała lawinę przykrywającą tajemnicę, o której nie mieliśmy pojęcia. Na przykład to!

Mesomedes wyciągnął faks od prokuratury z Antwerpii: „Belgijscy koledzy donoszą o zamordowaniu niejakiego Ernesta de Conincka. Człowiek ten owiany był sławą najlepszego fałszerza na świecie. Znalaziono go powieszzonego w swoim domu w Antwerpii. Jednak od samego początku istniały wątpliwości, czy rzeczywiście była to śmierć z własnej woli”.

- Dottore Mesomedes, nie chce pan chyba twierdzić, że tamten fałszerz mógł być jakoś powiązany z naszą sprawą!

- Doprawdy trudno to sobie wyobrazić. Ale zapewne szybko zmieni pani to przekonanie, jeśli powiem, co ustaliła prokuratura w Antwerpii. Koledzy przeczesali konta fałszerza i natrafili na dwa przelewy na łączną kwotę pół miliona dolarów.

Caterina gwizdnęła cicho przez zęby.

- A teraz niech pani zgadnie od kogo?

- Pojęcia nie mam.

- Od Banku Watykańskiego IOR, od Istituto per le Operę Religio-se! Koledzy z Antwerpii wystosowali urzędową prośbę o pomoc. Jednak zgodnie z aktami Burchiello na to pismo nie odpowiedział. Już to budzi podejrzenia.

Kiedy Mesomedes zafascynowany kartkował akta, Caterina przyglądała mu się w milczeniu. Jako dziennikarka wiedziała aż za dobrze, że naprawdę podniecające historie pisze samo życie. A ta historia była jak dotąd najbardziej fascynująca. Przy tym ona sama, Caterina Lima, znajdowała się w jej środku.

ROZDZIAŁ 56

T

o dokąd ten kurs? - zapytał taksówkarz. - Do Burg Layenfels - odparł Malberg i wtaszczył swoją torbę podróżną na tylne siedzenie. Potem zajął miejsce obok kierowcy.

Taksówkarz nieufnie przyjrzał mu się kątem oka. W końcu oświadczył w reńskim dialekcie: - Ale mogę pana zawieźć tylko do odgałęzienia. Tam muszę zawrócić. Ostatni kawałek musi pan, chcąc nie chcąc, pokonać pieszo.

- Czemuż to? - zezłościł się Malberg. Po męczącej podróży pociągiem z dwiema przesiadkami i tak już nie był w najlepszym nastroju. Na dokładkę po placu przed dworcem kolejowym w Lorch gwizdał zimny wiatr.

- Pan chyba nigdy jeszcze nie był w Burg Layenfels? - ostrożnie zasięgnął informacji taksówkarz.

-
Nie, a co?

Taksówkarz głośno prychnął. - To nie moja sprawa, ale pan tam nie wejdzie.

Bractwo kompletnie się odseparowało. Nikogo nie wpuszczają do zamku. Tym bardziej taksówek. A że ostatni kawałek drogi do bramy zamku prowadzi wąwozem, nie ma możliwości zawrócić. Rozumie pan już, dlaczego muszę pana wysadzić przy odgałęzieniu?

-
No dobra - warknął Malberg. - Niechże już pan jedzie. Tak daleko, jak się da.

-Jak pan sobie życzy - odrzekł taksówkarz w przyływie uprzejmości i zasalutował po wojskowemu, przykładając dłoń do czoła.

- Czy zna pan kogoś z tego bractwa? - spytał Malberg kierowcę, który z trudem zmuszał swojego sfatygowanego diesla do jazdy pod górę.

- Uchowaj Boże! O tych ludziach właściwie nic nie wiadomo. Ale miejscowi, którzy spotkali tego lub owego, twierdzą, że wyglądają jak zu-

I pełni normalni ludzie.

-
No, a jak powinni wyglądać pańskim zdaniem?

-
Jak geniusze, z wielkimi głowami albo... już sam nie wiem. Różnie ludzie gadają.

Aha. A co gadają?

- Na przykład, że ci tam na górze siedzą na ogromnym skarbie. Albo I że badają zakazane rzeczy. Albo że zabijają każdego, kto nieproszony wej- [dzie na ich teren.

- A pan w to wierzy?

Taksówkarz wzruszył ramionami. - Od kiedy tu są, wydarzył się cały szereg zagadkowych zgonów. Ostatnio kilka dni temu, kiedy to jakiś monsignore^ Rzymu spłonął w swoim samochodzie. Ale jak zawsze, wszelkie ślady się zatarły.

Malberg z przyjemnością jeszcze dłużej by sobie pogadał z taksówkarzem, ale ten zahamował na zwirowej drodze, opuścił szybę, wyciągnął rękę i wskazał w kierunku gęstych krzaków, które rosły po obu stronach wąskiej drogi: - Niech pan po prostu idzie tą drogą. Kończy się pod bramą zamku. Nie sposób zabłądzić. Powodzenia! Słowa taksówkarza nie brzmiały szczególnie zachęcająco.

Malberg wysiadł, wziął torbę, w której poza najpotrzebniejszymi , rzeczami miał upchniętych kilka użytecznych książek, i wręczył kierowcy banknot. Ten skinął głową, zawrócił i odjechał.

Nagle zrobiło się cicho, wręcz niesamowicie cicho. Jesienny wiatr cicho szumiał wśród drzew. Pachniało wilgotnym leśnym podszyciem. Ostatni deszcz wymył w polnej drodze głębokie koleiny. To utrudniało marsz.

Kiedy Malberg apatycznie człapał pod górę, naszły go wątpliwości, czy nie należało raczej posłuchać Cateriny i oddać Anicetowi pieniądze. Nie miał pojęcia, co tak naprawdę go czeka, jeżeli w ogóle uda mu się odszyfrować tajemniczą książkę Grzegorza Mendla. Gdyby chodziło tylko o książkę i nic innego, z pewnością by zawrócił.

Jednak coś dziwnego go gnało, jakieś niejasne przeczucie. Sam nie potrafił sobie wyjaśnić, dlaczego bardziej niż faktom ufa temu nieokreślonemu odczuciu. Wszystko

bowiem, czego Caterina dowiedziała się od

signory Fellini, pasowało jak ulał do jego własnych ustaleń. Wszystko składało się w logiczną całość.

Zajęty tymi zagmatwanymi myślami dotarł Malberg do celu szybciej niż się spodziewał. Za zakrętem obrośniętym z obu stron krzakami i sękatymi gałęziami, nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim zamek. Wysoka, gotycka brama zamkowa z opuszczaną stalową kratą nie była mu obca. Malberg znał ją z fotografii w czasopiśmie.

W rozmytym świetle wietrznego jesiennego dnia, osłaniając dłonią oczy, bezskutecznie szukał tarczy ze znakiem przypominającym run. Wzrokiem dosłownie wiercił dziury w murze nad bramą. Początkowo nie dostrzegł niczego. Dopiero po dłuższej obserwacji odniósł wrażenie, jakby symboliczny znak stopniowo wyłaniał się ze starego muru, by już w następnej chwili zniknąć jak jakaś niesamowita zjawia. Z głową odchyloną do tyłu śledził Malberg to przedziwne przedstawienie. Trwało całą wieczność zanim odkrył przyczynę osobliwego zjawiska: kiedy ciemne chmury gnały po niebie, oświetlenie stale się zmieniało. Rzucalo cienie, które zaraz się rozmywały w nicość. To właśnie cień powodował, że wykuta w skale płaskorzeźba robiła się widoczna.

Mury zamku wznosiły się na piętnaście, może dwadzieścia metrów. Opuszczana kratka z ostrymi stalowymi zębiskami sięgającymi do ziemi wyglądała jak żarłoczna paszcza Molocha, który czai się, by połknąć każdego, kto nadejdzie.

Malberg wzdrygnął się, zauważywszy w okienku wieży po lewej stronie bramy poczerwieniałą twarz strażnika. Jak się wydawało, już od dłuższego czasu obserwował przybysza.

-
Hej tam! - Malberg dał strażnikowi znak, że chce z nim rozmawiać. Czerwona twarz znikła. Po krótkiej chwili strażnik pojawił się za kratą.

-
Kim pan jest? Czego pan chce? - zapytał krótko.

-
Nazywam się... - Malberg o mało by się wygadał, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że przedstawił się Anicetowi fałszywym nazwiskiem, więc powiedział: - Nazywam się Andreas Walter. Chciałbym się widzieć z Anicetem.

- Proszę podać hasło!

- Apokalipsa 20,7.

Strażnik bez słowa zniknął w wąskich drzwiczkach wartowni. Z hałasem podobnym do grzmotu burzy, krata uniosła się w górę.

Małomówny strażnik znów się pojawił, wyciągnął rękę i pokazał w kierunku dziedzińca zamku. - Czekają na pana. - Po czym zniknął.

Malberg poczuł się jak intruz. Miał wątpliwości, czy długo wytrzyma w tym mrocznym, zatechłym, cuchnącym zamczysku. Pięć, sześć kondygnacji okalało z każdej strony dziedziniec w kształcie trapezu. A kiedy spojrział w górę, spostrzegł wyraźną podejrzliwość: kamery, reflektory, czujniki ruchu, alarmy. W większości w opłakanym stanie, co nasuwało pytanie, czy w ogóle funkcjonują.

—
Czy pan Andreas Walter, kryptolog?

Jakby wyrósł spod ziemi, nagle stanął obok niego dobrze wyglądający mężczyzna w średnim wieku i wyciągnął rękę na powitanie: - Nazywam się Ulf Gruna.

— Kryptolog chyba nie trafnie opisuje mój zawód - odparł Malberg. - Po prostu

znam się trochę na starych księgach i rękopisach.

- W takim razie jest pan akurat tym człowiekiem, którego szukamy. Jestem hematologiem i biorę udział w projekcie „Apokalipsa”. Jeśli pan pozwoli, pokażę panu pańską celę.

Celę? Zabrzmiało, jakby tu było jakieś cholerne więzienie, pomyślał Malberg, albo klasztor, w którym mnisi ora et labora wegetują o suchym chlebie.

- Powiada pan, że jest hematologiem? - zapytał Malberg niepewnie.

—

Tak. Pana to dziwi?

-

Mówiąc szczerze, tak!

Gruna uśmiechnął się pod nosem, jakby się cieszył, że niespodzianka się udała. -

Chodź pan - powiedział i wskazał Malbergowi drogę. Równocześnie zrobił gest zaproszenia. Ten ruch wystarczył, żeby na ułamek sekundy pokazała się czarna bawełniana koszulka, którą tamten nosił pod marynarką. Jednak to nie koszulka

zainteresowała Malberga, lecz łańcuszek, który Gruna miał na szyi, taki sam łańcuszek z owalnym medalikiem i zmodyfikowanym znakiem krzyża, jak tamten znaleziony w mieszkaniu Marleny.

Malbergowi zakręciło się w głowie. Brakowało mu tchu, ale nie miał siły porządnie zaciągnąć się surowym jesiennym powietrzem. Musiał uważać, żeby Gruna nie zauważył jego paniki i nie zaczął zadawać niewygodnych pytań. W końcu wziął się w garść.

Wąskimi, krętymi schodami wykutymi w skale, które kogoś niewprawnego mogły przyprawić o zawrót głowy, obaj mężczyźni weszli na drugie piętro. Zanim jeszcze

dotarli do górnego podestu, Gruna zatrzymał się i spojrział w dół na Malberga, który szedł za nim.

—Wiem, jakie pytanie pana teraz kusi - powiedział szeptem. - Chciałby pan wiedzieć, co kryje się za projektem „Apokalipsa”. Jednak muszę pana rozczarować. Tego nikt dokładnie nie wie. Ja też nie. Wszyscy jesteśmy specjalistami w swoich dziedzinach, większość to wręcz znakomitości o wysokiej reputacji, jednak w gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy tylko informatorami.

Malberg zmarszczył czoło i podejrzliwie spojrział w górę. Tego Grunę niełatwo było przejrzeć. Dlaczego mu to wszystko opowiadał? Co, u licha, ma w Burg Layenfels do roboty hematolog?

Gruna dostrzegł zadumaną minę Malberga i powiedział: — Proszę się nie dziwić, że rozmawiamy akurat tutaj, ale te kręte schody to jedyne miejsce w całej budowlu, które nie jest podsłuchiwane. A prywatne rozmowy w Layenfels są niemile widziane, a mówiąc ściśle, wręcz zakazane.

- Podsłuchiwane? Przez kogo?

- Przez Aniceta. Tak w ogóle, to jak on na pana trafił?

-

Przypadkiem - odparł Malberg. - Siedział obok mnie w czasie aukcji, na której licytowano książkę Mendla. Zaczęliśmy rozmawiać i Ani-cet przedstawił mi propozycję. A propos, gdzie on jest?

-Jak wielu członków bractwa, Anicet jest człowiekiem nocy. Za dnia nieczęsto pan go zobaczy. Dlatego prosił mnie, żebym pana przyjął i wskazał panu celę. A teraz już chodźmy!

Wszystko to wydało się Malbergowi dość dziwaczne. Atmosfera zamczyska

działała przytłaczająco. Nie tylko z powodu bezbarwności i mroku starych murów, także wskutek pustki i ciszy, która zatrzymywała każdą radośniejszą myśl.

-

Czy ten Anicet jest rzeczywiście taki tajemniczy, jak się wydaje? - spytał Malberg, człapiąc za Gruną długim korytarzem, który po jakichś pięćdziesięciu krokach odgałęził się w lewo.

Gruna odwrócił się i położył palec na ustach.

W ponurym, wąskim korytarzu był rząd drzwi, jednych za drugimi - Numerację zastępowały osobliwe wizerunki mitycznych stworów i gadów na ścianie przy drzwiach. Minęli już pewnie z trzydzieści cel, gdy Grun na zatrzymał się przy jaszczurce namalowanej wprawną ręką na ścianie, i otworzył drzwi.

Pierwsze wrażenie było mniej rozczarowujące niż Malberg się spodziewał. Cela mierzyła jakieś sześć na trzy i pół metra, a przypominała - pod względem wyposażenia - nie tyle spartańską mnisią celę, ile skromny pokój w akademiku, z drewnianą boazerią, wpuszczoną w ścianę szafą i składanym łóżkiem, dwuosobową sofą, wygodnym fotelikiem i biurkiem z chromowanych rurek. Był nawet telefon. Gruna podszedł do zlewu, na prawo od wejścia, i odkręcił wodę. Pośród szumu wody powiedział niemal szeptem: - Jest to jedyna możliwość obrony przed podsłuchem! - tu wskazał na sufit. Mikrofoniki wielkości czereśni nie pozostawiały wątpliwości co do ich zastosowania.

— Dlaczego pan to wszystko dla mnie robi? - spytał Malberg i sam złapał się na tym, że także mówi szeptem. - Chodzi mi o to, że przecież pan mnie wcale nie zna! - zmęczony po podróży postawił swoją torbę na sofie.

Hematolog rozłożył ręce. - Pragnę jedynie pana uchronić przed zrobieniem

jakiegoś głupstwa. Żeby zdołać w Burg Layenfels przetrwać, musi się pan zachowywać tak, jak tego pańskim zdaniem inni oczekują. Tylko w ten sposób może

pan tu przeżyć bez szkody na umyśle. Co się zaś tyczy moich motywów, to być może

będzie pan mógł być dla nas bardziej użyteczny niż my dla pana. Rozumie pan?

Malberg w ogóle nic nie rozumiał. - Czy nie zechciałby pan wyrażać się nieco jaśniej? - powiedział bezradnie.

— Nie ma pośpiechu — odparł Gruna z zagadkowym uśmiechem. Potem zakręcił wodę i wyszedł.

Zapadał już zmierzch, kiedy Anicet pojawił się u Malberga w pokoju. Malberg wzdragał się przed używaniem określenia „cela”, choćby tylko w myślach. Człowiek o wąskich ramionach i siwych włosach wkroczył bez pukania.

Przywitanie było chłodne i bez ceremonii, a kiedy Anicet zauważył zdziwioną minę Malberga, oznajmił: - W Burg Layenfels nie ma zamków ani kluczy, czyli nie ma też żadnych zamkniętych pomieszczeń. Z pewnością już pan to spostrzegł. Nie ma też zwyczaju pukać. Te przestarzałe nawyki są jedynie stratą czasu.

Co się tyczy rzekomej straty czasu, Malberg nie zdążył się do tego odnieść ani odpowiedzieć, ponieważ Anicet poprosił go, by poszedł za nim do archiwum położonego w przeciwległym skrzydle zamku.

-

Musi pan sobie dobrze utrwalić tę drogę - oznajmił, kiedy po raz kolejny wspięli się po schodach i dotarłszy na górę zmienili kierunek. - Poza tym niech pana nie przerazi pozorny chaos w naszym archiwum. W istocie w tych pomieszczeniach panuje nieład twórczy. Każdy z członków bractwa odkłada swoje zapiski, książki i dokumenty w określone, przypisane mu miejsce. Tylko leksykony i słowniki stoją w

oddzielnym pomieszczeniu do dyspozycji wszystkich.

Osobliwy system jak na archiwum, pomyślał Malberg. Jednak w tych murach wszystko było dość osobliwe.

Malberg już dawno zapomniał zawiłą drogę do archiwum, kiedy na szóstym piętrze przez łukowate wejście dostali się do wybielonego pomieszczenia, na planie dużej łacińskiej litery D. Wejście leżało dokładnie w środku krzywizny, zaś od pionowych drewnianych bali kolejne dwa łukowe przejścia prowadziły do całego ciągu przenikających się sal.

W powietrzu był kurz oraz trudny do opisania zapach starych ksiąg. Jeden rzut oka na pierwsze pomieszczenie wystarczył, żeby stwierdzić, iż księgi są w większości znacznie starsze od zamku w jego dzisiejszym kształcie, i tym samym niezwykle cenne.

-

Zatem to jest pańskie miejsce pracy - oświadczył Anicet i z rozłożonymi rękami okręcił się wokół własnej osi.

Całe umeblowanie sprowadzało się do długiego, wąskiego stołu, jaki można spotkać w refektarzach średniowiecznych klasztorów, oraz krzesła z rzeźbionymi podłokietnikami. Z uwagi na to, że sala była niedostatecznie oświetlona przez wąskie okienko po lewej stronie, w pomieszczeniu świeciły się neonówki - nie bardzo tu pasujące, ale funkcjonalne.

-

A gdzie jest ta książka Mendla? - niecierpliwie zasięgnął informacji Malberg.

Anicet uniósł brwi i zniknął w prawych drzwiach archiwum. Kiedy wrócił, ścisnął jak trofeum w dłoniach dość niepozorną książkę. W końcu ostrożnie położył ją na stole.

Malberg usiadł i otworzył na stronie tytułowej. Jako antykwariusz, do każdej starej książki, którą po raz pierwszy trzymał w ręku, podchodził z nabożeństwem i czymś w rodzaju radości odkrywcy. Jednak ta książka była czymś bardzo szczególnym. Na tyle, na ile pozwolił mu krótki czas, wyposażył się w stosowną literaturę i najnowsze prace z dziedziny kryptologii.

GREGORIUS MENDEL PECCATUM OCTAVUM

można było przeczytać po łacinie na stronie tytułowej. O smy grzech.

Jednakże to było jedynym zrozumiałym fragmentem tej książki. Już następna strona, przypuszczalnie zawierająca wstęp, zapisana była w jakimś nieprzeniknionym języku.

—Jeśli wolno o coś zapytać - zwrócił się Malberg do Aniceta. - Czego pan się spodziewa po odszyfrowaniu tej tajemniczej książki?

Anicet nerwowo skubał guzik surduta, zaś Malberg odczuł pewną satysfakcję, że w sposób widoczny udało mu się, choć nie był to jego zamiar, zdenerwować tego pewnego siebie, aroganckiego człowieka.

-

Niebawem sam pan się przekona - odpowiedział w końcu. I prawie niesłyszalnie dodał: - Proszę o zrozumienie. O ile uda się panu odszyfrować wyniki badań Mendla, to i tak pan się dowie w czym rzecz. Jeśli natomiast panu się nie powiedzie, sprawa nie obciąży ani pana, ani bractwa. Kiedy chce pan rozpocząć pracę?

-

Zaraz jutro z rana.

-

W takim razie powodzenia! - i zniknął, zanim jeszcze Malberg zdążył zapytać, jak ma odnaleźć swój pokój.

W pamięci zachował ostatnie trzy korytarze i dwa wejścia po schodach. Potem jednak pobłądził, bo nagle nie mógł sobie przypomnieć, jak do tego miejsca dotarł.

Kiedy po jakimś czasie ponownie znalazł się w punkcie wyjścia, postanowił spróbować w przeciwnym kierunku i na najbliższym skrzyżowaniu korytarzy zamiast w prawo skręcić w lewo.

Wielki mężczyzna, który przebiegał tą drogą, tylko szybko skinął głową, nawet nie spojrzawszy. Wydawał się być zatopiony we własnych myślach, a Malberg nie ośmielił się do niego zagadać.

Jednak jakoś udało się Malbergowi odnaleźć pokój z jaszczurką. Kiedy otworzył drzwi, przeraził się: na jego sofie wygodnie rozsiadł się Gruna.

-

Zapomniałem powiedzieć - oznajmił, jakby rzecz była całkiem oczywista — że posiłki musi pan zamawiać do pokoju, bo i tak rozmawianie przy stole jest źle widziane. Po prostu niech pan zadzwoni pod numer dziewięć, a odbierze szef kuchni i powie, co ma do zaoferowania.

-

Dziękuję, nie jestem głodny - odparł Malberg. Wprawdzie nie odpowiadało to prawdzie, ale był wykończony i chciał tylko odpocząć.

-1 jeszcze jedno - odezwał się znów Gruna. Jakby to było czymś zupełnie naturalnym, podszedł do zlewu i odkręcił wodę. -Tak?

- Burg Layenfels jest siedzibą bractwa Fideles Fidei Flagrantes...

- Wiem!

- Ale przypuszczalnie bardzo mało pan wie na temat celu bractwa. Bo wszystko, co do tej pory można było przeczytać w gazetach, to same wymysły. A że bractwo z zasady nie dementuje takich fałszywych doniesień, w obiegu są najbardziej absurdalne historie. Żadna z nich nawet się nie ociera o prawdę.

- Więc niechże mnie pan uświadomi! - powiedział Malberg zirytowany. Nie miał pojęcia, do czego ten Gruna właściwie zmierza.

Hematolog pokręcił głową: - Nie tutaj i nie dziś. Chciałem tylko pana ostrzec.

Zważywszy okoliczności, z tą książką Mendla znalazł się pan w niebezpiecznym diabelskim kręgu. W razie odszyfrowania tekstu, najlepiej pan uczyni, zachowując tajemnicę dla siebie.

Lukas Malberg już chciał pytać dlaczego. Jednak do tego nie doszło. Bowiem

Gruna wstał, zakręcił wodę i, nie mówiąc już ani słowa, opuścił celę Malberga.

ROZDZIAŁ 57

Z

anim Malberg około godziny dwudziestej pierwszej udał się na spoczynek, jeszcze zadzwonił do Cateriny. Użył swojej komórki, ponieważ był pewien, że telefon w jego pokoju jest na podsłuchu. Żeby swoje słowa uczynić nieczytelnymi dla niepożądanych uszu, Malberg odkręcił wodę.

— Wszystko w porządku? - spytała Caterina. W jej głosie była troska.

— Wszystko w porządku — odparł Lukas i dodał: — O ile tu można mówić o porządku.

— Co masz na myśli?

— Wiesz, tutaj do wszystkiego trzeba się przyzwyczajać. Burg Layen-fels jest czymś pośrednim pomiędzy hotelem dla zestresowanych dyrektorów i klasztorem dla

ascetycznych mnichów.

— To dobrze trafiłeś - zażartowała sobie z niego Caterina. - A masz już jakieś

pojęcie, co w tych starych murach właściwie się dzieje?

— Caterino - zaczął Malberg niecierpliwie - jestem tutaj dopiero od kilku godzin, a

ty wymagasz, żebym już wszystko wiedział! Pewien hematolog, który mnie tu przyjął

i który najwyraźniej mieszka tu już od lat, twierdzi, że właściwie to nikt dokładnie

nie wie, co tu się wyrabia.

-1 ty w to wierzysz?

— Prawdę mówiąc, też nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić.

— W międzyczasie tutaj sporo się wydarzyło - Caterina wpadła mu w słowo. -

Zostałam dzisiaj wezwana do prokuratora Mesomedesa.

— Znów ten Mesomedes! Facet się chyba w tobie zakochał.

—

- Czyżbym słyszała nutkę zazdrości?

- Tak, oczywiście. A cóżby innego?

- Poważnie, Lukas. Mesomedes pokazał mi tajne akta dotyczące sprawy Marleny

Ammer. Są tam wypisane wszystkie czynności śledcze, o których sądziliśmy, że

nigdy nie nastąpiły.

- A jednak. A on skąd miał te akta?

- Od swojego szefa, szefa prokuratury Burchiello.

- Burchiello?

- Mesomedes niemal wyjął mu te akta z rąk.

- Tak po prostu?

- No tak. Burchiello nie żył. Atak serca. Przy biurku. Przed nim leżały te akta,

„ściśle tajne". Lukas, koniecznie musimy się zobaczyć!

- Jak ty to sobie wyobrazasz? Jestem na tropie bardzo dużej sprawy. Sprawy, w którą Marlena była zamieszana.

- Lukas, przecież oboje wiemy, w jakich okolicznościach zginęła Marlena! Czy to nie dość? - głos Cateriny zabrzmiał irytacją.

- Nie. Sądzę, że w trakcie moich poszukiwań trafiłem na coś, co przekracza wszelkie wyobrazenie. Pamiętasz jeszcze tego poparzeńca?

- Naturalnie. Człowiek, który ci groził przed domem markizy i którego ciało pewnego ranka pływało w Fontana di Trevi.

- Właśnie. Ale zapomniałaś o czymś istotnym. To również poparzenie ściągnął mnie do Bazyliki św. Piotra i zaoferował za duże pieniądze kawałek całunu turyńskiego wielkości znaczka na list. Na tym maleńkim kawałeczku płótna było widać plamkę, która mogła być plamką krwi.

- Krwią Jezusa z Nazaretu...

- I w tym miejscu pojawia się hematolog Ulf Gruna, członek bractwa.

- Lukas, to jest szalona teoria!

- Absolutnie nie. Ten hematolog, jedyny człowiek, z którym udało mi się tu pogadać, miał pod marynarką łańcuszek...

- Niech zgadnę - przerwała Caterina. - Łańcuszek z krzyżem runicznym.

- Otóż to!

- To wszystko jest dość niesamowite.

- Wiem, sam też nie mam odwagi dalej ciągnąć tej myśli.

- A książka? Co z tamtą książką?

-

-
Leży na górze w archiwum, w moim nowym miejscu pracy. Trzymałem ją w rękach. Dziwne uczucie. Możesz mi wierzyć. Byłem dość podekscytowany.

-
Myślisz, że dasz radę?

- Czy dam radę odszyfrować tekst? Jeszcze nie jestem pewny. Właśnie zagłębiłem się powtórnie w pracę Friedricha Franza, mnicha z zakonu, w którym był Mendel. Franz daje tu pewne wskazówki dotyczące stosowanej przez Mendla techniki szyfrowania, a nawet czyni sugestie, dlaczego treść tej książki jest tak kontrowersyjna.

- Lukas, obiecaj, że będziesz na siebie uważał - w głosie Cateriny brzmiała obawa.

-
Nie przejmuj się. Będę cię informował na bieżąco. Całuję! Na tym rozmowa się zakończyła.

Malberg był zmęczony. Tak zmęczony, że w ubraniu położył się na łóżko i w ciągu kilku sekund zasnął.

Nie miał pojęcia, jak długo tak spał, ale nagle był całkowicie obudzony. Zamek, który wcześniej odznaczał się przede wszystkim ciszą w swoich murach, raptem zdawał się budzić do życia.

Do jego uszu ze wszystkich stron dochodziły dziwne, trudne do określenia dźwięki, ciche i znów się rozlegały. Przed swoim pokojem usłyszał kroki, które się zbliżały, to znów oddalały. Nie było już mowy o spaniu.

Nie będzie łatwo, pomyślał Malberg, przywyknąć do tego rytmu pracy. Po głowie tłukły mu się tysiące myśli i dręczyło go pytanie, co właściwie się dzieje w tym przedziwnym zamczysku.

Prawie przez godzinę przewracał się z boku na bok. Spojrzał na zegarek: wpół do drugiej. Wstał. Nad zlewem spryskał sobie twarz wodą. Potem wziął pod pachę przywiezione książki i wyruszył ku archiwum.

Malberg spodziewał się, że zawiła droga zajmie mu mniej więcej tyle czasu, co kilka godzin wcześniej. Dlatego spojrzał z irytacją, gdy nieoczekiwanie szybko znalazł się przy wejściu do archiwum. Po drodze było ciemno, ale pomieszczenie z jego miejscem pracy było jasno oświetlone.

Swoje książki położył Malberg na stole refektarzowym. Niepokojnie podszedł do jedyne okna w tej sali i wyjrzał na zewnątrz. Okno wychodziło na zamkowy dziedziniec, pogrążony teraz w mroku. W kilku oknach przeciwległego skrzydła błyskały światła. Tu i ówdzie widać było przemykające cienie. W końcu Malberg usiadł za szerokim stołem.

Książka Mendla leżała przed nim jak skarbiec z bezcenną zawartością.

Wystarczyło tylko odnaleźć klucz, wetknąć do zamka i ujawnić te tajemniczą zawartość.

Tak jak to opisywał konfrater Mendla Franz, Malberg wziął arkusz papieru i napisał na nim alfabet łaciński w dwóch rzędkach, jeden po drugim. Litery J oraz Q_pomiął i uzyskał w ten sposób dwadzieścia cztery litery. Tyle właśnie liter ma alfabet grecki.

Poczynając od litery alfa, a kończąc na literze omega, zapisał dwa rzędk alfabetu greckiego, czyli alfa znalazła się nad a, beta nad b, gamma nad c i tak dalej.

Faktycznie pierwsze dwie litery alfabetu łacińskiego odpowiadały brzmieniem literom alfabetu greckiego. Jednak potem rzędk się rozmięły: w zapisie łacińskim po b idzie c, a w greckim po b następuj e g. Greka nie zna litery j, dlatego Mendel

pominał ją w alfabecie łacińskim. Tak samo postąpił ZC.A ponieważ w grece nie ma też litery w, Mendel przypisał ją greckiemu/?

Tym sposobem doszedł Malberg do następującego klucza:

ot

Pierwsza strona książki Mendla rozpoczynała się od słów:

Fenn die satrend iapeyxllendes rind...

Już to pierwsze zdanie pokazało, że czeka Malberga syzyfowa praca, gdyż musiał nie każde słowo, lecz każdą poszczególną literę wprowadzać do systemu podanego przez konfratra Mendla.

Przez dłuższą chwilę zatrzymał się nad spostrzeżeniem, że każdy wers książki zawiera pięćdziesiąt liter, a każda strona trzydzieści dwa wersy. Dawało to tysiąc sześćset liter na stronie. Dzieło Mendla miało stron dwieście czterdzieści. Czyli niemal czterysta tysięcy liter. Malberg ukrył twarz w dłoniach.

Zrezygowany, jeśli nie zrozpaczony, zabrał się w końcu do dzieła. Szło z trudem, tak jak się spodziewał, ale szybciej niż się obawiał.

Nie minął nawet kwadrans, gdy pod tajemniczym zdaniem pojawiły się słowa, którymi w rzeczywistości rozpoczynała się książka Mendla:

Wenn die tausend Jahre vollendet sind...

A gdy się skończy tysiąc lat? Tekst robił znajome wrażenie. Gorączkowo, jak w transie, użył Malberg systemu do rozkodowania kolejnych liter. Chwilę później miał

już odszyfrowane całe zdanie:

A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony.

Malberg aż podskoczył. Nie mylił się. Był to cytat z Apokalipsy, rozdział 20, wers

7.

Przez chwilę Malberg stał nieruchomo jak słup soli. Rozpaczliwie próbował znaleźć w głowie jakiś związek pomiędzy pierwszym zdaniem Mendla a hasłem bractwa. Chociaż w starych murach panował lodowaty ziąb, spocił się jak mysz. Nagle usłyszał hałas, jakby gdzieś w bibliotece książka spadła z półki. Malberg był zbyt pochłonięty książką Mendla, żeby poświęcić uwagę temu wydarzeniu. Jednak niespodziewanie, jakby z nicości, wyłoniła się przed nim postać, mężczyzna o przerzedzonych siwych włosach i dumnej postawie. Pod lewą pachą trzymał stos książek i dokumentów. Przeszedł obok Malberga, nie zaszczycał go nawet spojrzeniem. Gdy był już w drzwiach, odwrócił się i odezwał do Malberga.

- Murath - powiedział oschle. - Profesor Richard Murath. Zapewne słyszał pan już o mnie. Czy pan jest tym nowym kryptologiem?

Malberg wstał i odpowiedział: - Andreas Walter. Co się tyczy kryptologa, to nie określiłbym siebie tym mianem. Po prostu w czasie studiów na bibliotekoznawstwie intensywnie zajmowałem się zaginioną książką Mendla.

- I uważa pan swoje kwalifikacje za wystarczające do rozszyfrowania języka jego książki? - zapytał Murath wyniośle.

-
To się jeszcze okaże.

Profesor zmrużonymi oczami przyjrzał się Malbergowi badawczo.

-
O ile - odezwał się wreszcie - z powodzeniem wykona pan zadanie, a Mendel nie będzie wodził nas za nos, może pan zyskać trochę nieśmiertelności. Jako informator biologa molekularnego Richarda Muratha.

-
Z największą przyjemnością - odparł Malberg z wyraźną ironią w głosie.

Murath nie zareagował na tę uwagę. - Nie muszę chyba panu mówić

-
ciągnął - że wszystkie czarne teczki i manuskrypty opatrzone czerwonym

krzyżem runicznym, są dla pana tabu. Jak pan zauważył, na zamku Layenfels nie ma

ani kluczy, ani zamków, nie ma zatem żadnego skarbcza. Szacunek wobec innych

wymaga absolutnej dyskrecji. Od pana oczekuję powściągliwości w najwyższym

stopniu. Wyraźnie zabraniam panu nawet przelotnie spojrzeć na wyniki moich badań.

Rozumiemy się?

Arogancja, z jaką Murath potraktował Malberga, zniesmaczyła go i ucieszył się,

gdy tamten sobie poszedł, nic już więcej nie mówiąc. Nachylony nad książką

Mendla, Malberg wrócił do swojej pracy. Równocześnie nie mógł się pozbyć myśli,

że tego Muratha już gdzieś widział.

ROZDZIAŁ 58

N

astępnego ranka Malberga obudził odległy grzmot. Na zachód od Renu, nad

Soonwald, zbierało się na potężną jesienną burzę. Dopiero około czwartej nad ranem

położył się do łóżka, tak bardzo był pochłonięty książką Mendla owianą tajemnicą.

Żeby z przyjemnością zjeść jakieś śniadanie, Malberg wybrał na telefonie dziewiątkę

i przedstawił swoje życzenia. Krótco potem wszedł alumn z bractwa i postawił przed

nim zamówione specjały.

Równocześnie szepnął do Malberga: - Gruna i doktor Dulazek oczekują pana koło

dziesiątej na szczycie baszty zamkowej!

Osobliwy sposób komunikowania się, pomyślał Malberg. Poza tym wiedział już, w jaki sposób członkowie bractwa porozumiewają się między sobą, unikając niebezpieczeństwa, że ktoś ich podsłuchuje.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze dziesięć minut czasu, żeby zjeść śniadanie. Bez entuzjazmu połknął dwie gliniaste bułki z miodem i marmoladą. Za to kawa smakowała wybornie. Następnie ruszył w drogę.

Baszta zamku, przysadzista i kwadratowa wieża, przewyższała sześciopiętrowy zamek o kolejne trzy kondygnacje. Na jej płaski dach otoczony blankami można było dostać się jedynie wąskimi drewnianymi schodami, które zygzakiem prowadziły w górę. Od parteru do szczytu baszty było dobre sto trzydzieści stopni i żeby się tam dostać, trzeba było niezłej kondycji. Aniceta nigdy jeszcze na tej baszcie nie widziano. Właśnie dlatego Gruna wybrał takie miejsce spotkania.

Chociaż Malberg był bardzo wysportowany, po wejściu na górę dyszał ciężko i z trudem łapał powietrze. Tam czekano już na niego. Gru na przedstawił dra Dulazka jako przyjaciela godnego zaufania, cytologa i byłego benedyktyna.

-

Z pewnością już pan zauważył, że bractwo ma w swoich szeregach nie tylko ludzi godnych zaufania - zaczął Gruna dyplomatycznie.

Malberg był zafascynowany wspaniałym krajobrazem, widokiem na dolinę Renu, który głęboko pod nimi z rozmachem toczył swoje wody.

- Dzisiejszej nocy zapoznałem się z profesorem Murathem - odparł.

- Za pozwoleniem, nieprzyjemny gość! Zabronił mi dotykać swoich dokumentów leżących w archiwum. Najwidoczniej bał się, że mógłbym mu ukraść jakąś myśl.

-

Co znów prowadzi nas do zasadniczego tematu - zauważył Gruna.

-

Pańskie przypuszczenie nie jest całkiem nietrafne.

-

Nie rozumiem, co ma pan na myśli.

Nad Burg Layenfels pędziły ciężkie ciemne chmury. Wydawały się być na wyciągnięcie ręki. Coraz głośniejsze grzmoty zapowiadały zbliżającą się burzę.

Gruna z troską spojrział na zachód. Potem powiedział: - Okłamałem pana, mówiąc, że nikt tak naprawdę nie wie, co tu się właściwie dzieje. Kilku nielicznych wie bardzo dokładnie. Zalicza się do nich dr Dulazek oraz ja.

Podczas gdy Dulazek miał oko na szczyt schodów, Ulf Gruna zaczął opowiadać: -

Trzeba panu wiedzieć, że Anicet to były kardynał Kurii Te-cina, który poczuł się pominięty przy ostatnim papieskim konklawe.

Malberg skinął głową.

-

Z powodu rozczarowania Tecina, który od tamtej pory zwie się Anicet, opuścił

Kurię i za pomocą środków wątpliwego pochodzenia założył to bractwo. Dając w dużych gazetach europejskich ogłoszenia, poszukiwał wybitnych naukowców,

znakomitości w swoich dziedzinach, którym odmówiono prowadzenia badań i

sukcesów z tym związanych. Niezły pomysł, zważywszy czasy mobbingu i walki o

karierę. Tym sposobem Anicet zgromadził w krótkim czasie około stu naukowców z różnych dziedzin.

-

Wśród nich obu panów!

-

Otóż to. Podobnie jak wszyscy pozostali, my także nie wiedzieliśmy początkowo, o co w końcu Anicetowi chodzi. Równocześnie musiało zastanawiać przerobienie nazwiska Tecina na Anicet. Anicet to najgorszy ze wszystkich demonów. Jego symbolem jest krzyż z ukośną belką, czyli krzyż przekreślony, co ma oznaczać tyle co: zbawienia nie ma.

Malberg wszedł między blanki baszty i spojrzał w dół. Zakręciło mu się w głowie. Sam nie wiedział, czy ten zawrót głowy spowodowany był wysokością baszty i wciągającą przepaścią, czy raczej tym, co opowiadał Gruna. Panicznie złapał się jednej z cegieł, które wieńczyły szpiczaste blanki. Cegła jednak się poddała i po stromym dachu zsunęła się w dół. Malberg jak odurzony patrzył za cegłą, która głośno uderzyła w kamienne podłoże i roztrzaskała się na tysiąc okruchów.

Gruna najwidoczniej zauważył, że Malberg się zatoczył. Od tyłu położył rękę na ramieniu Malberga i odciągnął go.

-
Czy pan cierpi na lęk wysokości? - spytał zatroskany.

-
Jak na razie nic mi o tym nie wiadomo — mruknął Malberg. - Ale proszę mi pozwolić na jedno pytanie - oddychał głęboko, żeby się uspokoić. - Z tego wynika, że każdy z członków bractwa ma taki symbol krzyża?

-Tak jest. Anicet zobowiązał każdego, aby stale miał przy sobie ten znak, obojętnie w jaki sposób.

Dostrzegłszy pytający wzrok Malberga, obaj zareagowali jak zgrana drużyna.

Dulazek wyciągnął krzyżyk spod koszuli, zaś Gruna wygrzebał swój z kieszeni spodni.

- Człowiek taki jak Murath - podjął wreszcie Gruna - okazał się dla Aniceta losem na loterii. Profesor biologii molekularnej był tak samo rozczarowany życiem jak

ekskardynał. Tecinie odmówiono papieskiego tronu, Murathowi Nagrody Nobla.

Szwedzki komitet nie docenił wagi jego odkrycia. Dzięki pewnej niedyskrecji

wiadomo było nawet, że panowie ci kpili sobie z Muratha. Rozczarowany Murath

odwrócił się od oficjalnej nauki. U Aniceta znalazł posłuch i miejsce w bractwie.

- A jakiegoż to przełomowego odkrycia dokonał Murath? - zapytał Malberg

zjadliwie.

- Niech to panu objaśni dr Dulazek - powiedział Gruna. - On lepiej się na tym zna.

Dulazek na pozór obojętnie słuchał przemowy swojego przyjaciela Gruny. Teraz

spojrzał Malbergowi prosto w oczy, jakby chciał sprawdzić, czy ten będzie równie

uważnie słuchał jego słów. Wreszcie powiedział powściągliwie, niemal nabożnie: -

Murath odkrył gen wiary w Boga.

-

Gen wiary w Boga? Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem.

-

Postaram się to wyjaśnić możliwie prostym językiem. Od tysięcy lat, od

początku dziejów ludzkości, człowiek wierzył w bogów, albo w jedne-

go tylko Boga. Nieważne, czy nazywali go imieniem Zeus, Jowisz, Jezus, Budda czy

Allach. Już to jest zdumiewające. Na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego

stulecia, kiedy biologia molekularna przeżywała swój pierwszy boom, naukowcy po

raz pierwszy powzięli podejrzenie, że wiara być może jest inicjowana przez jakiś

ludzki gen. Jednak szukaniem przysłowiowej igły w stogu siana były próby

wyizolowania wśród trzydziestu tysięcy ludzkich genów akurat tego, który jest

odpowiedzialny za fakt, że dorośli ludzie padają na ziemię przed drewnianym

posążkiem albo w meczecie dotykają czołem dywanika. Do tej pory nie wiadomo, jak

Murathowi udało się rzeczywiście ów gen wyłuskać. Fakt pozostaje faktem:

wszystko przemawia za tym, że Murath z kwasu dezoksyrybonukleinowego, tak zwanego DNA, wyizolował gen za to odpowiedzialny.

-

Ciekawe - orzekł Malberg. Jednak jego uwaga nie brzmiała zbyt przekonująco.

- Ten pojedynczy gen - kontynuował Dulazek - jest przekazywany z pokolenia na

pokolenie, jak wszystkie informacje genetyczne. Jest więc odpowiedzialny za to, że człowiek już rodzi się jako istota religijna. A także oczywiście za to, że w ciągu

pięciu tysięcy lat dziejów ludzkości wzniesiono najpiękniejsze piramidy, świątynie,

kościóły i meczety. Jednak to nie tylko te fakty czynią odkrycie Muratha tak

fascynującym...

Malberg pokiwał głową. Światało mu, do czego zmierza Dulazek. - Geny poddają się manipulacji. Czytałem o eksperymencie na myszach, które wskutek manipulacji genetycznej dokonanej przez pewnego neurobiologa nagle, wbrew swojej naturze, zrobiły się monogamiczne.

- Podobnie podatny na manipulację byłby również gen wiary w Boga u ludzi. A

pan wie, co to oznacza. Badania Muratha mogłyby umożliwić zduszenie wszelkiej wiary w zarodku, niedopuszczenie do jej rozwoju.

- Mój Boże - wyrwało się Malbergowi - a po jakim czasie mogłoby dojść do stanu, w którym żaden człowiek na świecie nie wierzyłby już w Boga?

Dulazek wzruszył ramionami. - Po kilku pokoleniach. Potem nasze świątynie,

kościóły i meczety byłyby tylko muzeami z czasów, kiedy jeszcze nie znano genu

wiary.

-

Nie chciałbym być w skórze Muratha - zauważył Malberg, zmarszczywszy

brwi. - Sam diabeł nie mógłby obmyślić bardziej perfidnego pia-

-

Jak pan sądzi, dlaczego zaszył się w Burg Layenfels? Niemało jest takich,

którzy chętniej widzieliby go martwym niż żywym. Wcześniej Mu-rath podróżował

po całym świecie. Należał do gatunku, który w kręgach naukowych nazywają

„panami na telefon”, czyli naukowcami, którzy na zaproszenie podróżują od

kongresu do kongresu i są tam czczeni jak gwiazdy pop. Ale to się skończyło. Murath

w Layenfels prowadzi własne życie, które wyraźnie odróżnia się od życia

pozostałych członków bractwa.

Malberg powolutku zaczął pojmować pewne powiązania. Najwidoczniej Murath

również w zamku miał wrogów.

-

A do tego dochodzi jeszcze jedna trudność - przerwał milczenie Gruna. - Do

manipulacji genem wiary profesor potrzebuje DNA, który tego genu nie zawiera. I to jest najtrudniejsza część całego zadania. Zakładając bowiem, że hipoteza jest

prawdziwa, zgodnie z prawami dziedziczenia Mendla każdy człowiek ma w sobie

gen wiary. Pozostaje więc jedynie całun turyński ze śladami krwi Jezusa z Nazaretu -

Gruna się zaśmiał. - Jak pan sądzi, dlaczego Watykan tak usilnie się starał podmienić

oryginał z bazyliki w Turynie na falsyfikat? Dzisiejszymi sposobami można bez

najmniejszej trudności ustalić grupę krwi Pana naszego Jezusa. Czy zna pan może

jakiegoś boga z grupą krwi 0 albo AB? Mamy tu prawdziwy całun. Zaś Jezus nie

mógł posiadać genu wiary w swoim DNA, bo wtedy przecież nie byłby Bogiem, lecz

najzwyklejszym człowiekiem.

Przy ostatnich słowach Gruny trzasnął piorun, potężna błyskawica rozdarła ciemne

niebo, a zaraz potem nastąpił tak potężny grzmot, że aż zadrżały fundamenty Burg Layenfels. Można było sądzić, że stare mury w każdej chwili się zawalą. Ponadto unosił się zapach dymu i siarki, jakby sam diabeł właśnie wyszedł z rozpadliny w ziemi.

To zatem stanowiło tajemnicę Burg Layenfels! Malberg odchodził od zmysłów. W tym, co Gruna i Dulazek podali w suchym opisie, było dość materiału wybuchowego, żeby ruszyć z posad bryłę świata, dość zapalnej substancji dla nowej epoki.

Malberg, który nie umiał o niczym innym myśleć, wyjąkał: - Dlaczego mi panowie opowiadają to wszystko? Jestem dla panów obcy i nawet nie jestem członkiem bractwa!

-

Właśnie dlatego! - zapewnił Gruna. - Jak pan już zauważył, na zamku

Layenfels niemal każdy każdemu jest wrogiem. Ale jeśli jest ktoś znienawidzony przez prawie wszystkich, to jest nim profesor Murath.

-

Chcemy być uczciwi - podjął dr Dulazek. - Jak dotąd udawało się nam badania

Muratha sabotować pewną prostą sztuczką. Wszystkie próbki zafałszowaliśmy krwią gołębia. Również z nowej próbki płótna Murath nie będzie miał żadnej radości. Dziś

w nocy odkryje, że także jego ostatni eksperyment będzie nieudany. Już żeśmy się o

to postarali - Dulazek uśmiechnął się. - Stary zwariuje! Jednak niewykluczone, że

Murath prędzej czy później się w tym połapie. Najpóźniej wtedy, gdy pan już odszyfruje książkę Mendla i profesor uzna swoją hipotezę za potwierdzoną. Każdemu

życzymy sukcesu, tylko nie Murathowi! Dlatego żeśmy sobie pomyśleli, że być może pan mógłby...

Dalej nic już nie powiedział. Znow żółtawa błyskawica przecięła niebo, a

bezpośrednio po niej potężnie zagrzmiało.

Trzej mężczyźni wtulili głowy w ramiona i pośpieszyli ku schodom. Świsnął podmuch wichru i wyrwał Grunie z ręki ciężkie drewniane drzwi. Te z całym impetem uderzyły Malberga w prawą skroń, tak że osunął się na ziemię.

Już pod osłoną dachu nad schodami, po kilku chwilach Malberg doszedł do siebie.

Ciężkie krople deszczu rozbryzgały się na ceglach. Malberg leżał na najwyższym podeście schodów. Skołowany patrzył na zmartwione twarze Gruny i Dulazka, którzy nachylali się nad nim.

- Czy pan mnie słyszy? — zawołał Gruna kilka razy pod rząd, jakby Malberga już opuściły wszystkie dobre duchy.

- Tak - odparł Malberg ostrożnie. Trwało dobrą chwilę, zanim sobie uświadomił, że wszystko, co sobie teraz powoli przypominał, nie było snem.

-

ROZDZIAŁ 59

W

ichura i ulewa, błyskawice i grzmoty utrzymywały się przez cały dzień. Dopiero gdy zaczęło zmierzchać, pogoda się uspokoiła. Wtedy Malberg ruszył do archiwum na szóstym piętrze.

Cały dzień spędził przyporządkowując nową wiedzę, otrzymaną od Gruny i Dulazka, do wydarzeń ostatnich tygodni. Nagle uświadomił sobie między innymi, dlaczego tamten maleńki kawałek płótna z całunu turyńskiego, którego sprzedaż zaofferował mu poparzeniec, miał być taki drogi. Teraz wiedział już też, dlaczego Anicet gotów był za zaginioną książkę Grzegorza Mendla zapłacić tak wariacką sumę. Mendel, ojciec nauki o dziedziczeniu, już długo przed Murathem zajmował się

tym samym tematem. Było doprawdy osobliwym zrządzeniem losu, że Anicet,

podobnie jak Mendel, posługiwali się tym samym cytatem z Apokalipsy świętego Jana, rozdział 20, wers 7. Jakimś tajemniczym sposobem treść tego cytatu

odpowiadała obu:

A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony.

Augustiański mnich Grzegorz Mendel przeczuwał, że jeśli wiara w Boga jest zaszczepiona w naturze człowieka, to pewnego dnia może pojawić się możliwość usunięcia tego zjawiska z ludzkiej pamięci.

Natomiast Anicet wiedział, od kiedy poznał wyniki badań Muratha, że ta teoria już jest rzeczywistością, i uczynił z niej znak rozpoznawczy i hasło swojego bractwa. Z pomocą wyników badań Muratha, rzeczywiście

— Chcemy być uczciwi - podjął dr Dulazek. - Jak dotąd udawało się nam badania Muratha sabotować pewną prostą sztuczką. Wszystkie próbki zafałszowaliśmy krwią gołębia. Również z nowej próbki płótna Mu-rath nie będzie miał żadnej radości. Dziś w nocy odkryje, że także jego ostatni eksperyment będzie nieudany. Już żeśmy się o to postarali - Dulazek uśmiechnął się. - Stary zwariuje! Jednak niewykluczone, że Murath prędzej czy później się w tym połapie. Najpóźniej wtedy, gdy pan już odszyfruje książkę Mendla i profesor uzna swoją hipotezę za potwierdzoną. Każdemu życzymy sukcesu, tylko nie Murathowi! Dlatego żeśmy sobie pomyśleli, że być może pan mógłby...

Dalej nic już nie powiedział. Znów żółtawa błyskawica przecięła niebo, a bezpośrednio po niej potężnie zagrzmiało.

Trzej mężczyźni wtulili głowy w ramiona i pośpieszyli ku schodom. Świsnął podmuch wichru i wyrwał Grunie z ręki ciężkie drewniane drzwi. Te z całym impetem uderzyły Malberga w prawą skroń, tak że osunął się na ziemię.

Już pod osłoną dachu nad schodami, po kilku chwilach Malberg doszedł do siebie.

Ciężkie krople deszczu rozbryzgały się na ceglach. Malberg leżał na najwyższym podeście schodów. Skołowany patrzył na zmartwione twarze Gruny i Dulazka, którzy nachylali się nad nim.

— Czy pan mnie słyszy? - zawołał Gruna kilka razy pod rząd, jakby Malberga już opuściły wszystkie dobre duchy.

— Tak — odparł Malberg ostrożnie. Trwało dobrą chwilę, zanim sobie uświadomił, że wszystko, co sobie teraz powoli przypominał, nie było snem.

—

ROZDZIAŁ 59

W

ichura i ulewa, błyskawice i grzmoty utrzymywały się przez cały dzień. Dopiero gdy zaczęło zmierzchać, pogoda się uspokoiła. Wtedy Malberg ruszył do archiwum na szóstym piętrze.

Cały dzień spędził przyporządkowując nową wiedzę, otrzymaną od Gruny i Dulazka, do wydarzeń ostatnich tygodni. Nagle uświadomił sobie między innymi, dlaczego tamten maleńki kawałek płótna z całunu turyńskiego, którego sprzedaż zaoferował mu poparzeniec, miał być taki drogi. Teraz wiedział już też, dlaczego Anicet gotów był za zaginioną książkę Grzegorza Mendla zapłacić tak wariacką sumę. Mendel, ojciec nauki o dziedziczeniu, już długo przed Murathem zajmował się tym samym tematem. Było doprawdy osobliwym zrzędzeniem losu, że Anicet, podobnie jak Mendel, posługiwali się tym samym cytatem z Apokalipsy świętego Jana, rozdział 20, wers 7. Jakimś tajemniczym sposobem treść tego cytatu odpowiadała obu:

A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony.

Augustiański mnich Grzegorz Mendel przeczuwał, że jeśli wiara w Boga jest zaszczerpiona w naturze człowieka, to pewnego dnia może pojawić się możliwość usunięcia tego zjawiska z ludzkiej pamięci.

Natomiast Anicet wiedział, od kiedy poznał wyniki badań Muratha, że ta teoria już jest rzeczywistością, i uczynił z niej znak rozpoznawczy i hasło swojego bractwa. Z pomocą wyników badań Muratha, rzeczywiście

szatan zostałby uwolniony. Straszna zemsta, przede wszystkim na Kościele rzymskim, z którym Anicet jeszcze się nie policzył.

Jednak w rozważaniach Malberga jedna rzecz nie znalazła wyjaśnienia, mianowicie krzyż bractwa, jaki znalazł w mieszkaniu Marleny. Owszem, jej śmierć została wyjaśniona wyczerpująco. Ale nie pytanie, jak łańcuszek z symbolem bractwa trafił do jej mieszkania. Czy ktoś ten łańcuszek u niej zgubił? Nie bardzo mógł to być jej własny łańcuszek, skoro bractwo nie przyjmowało kobiet. Czy kiedykolwiek zdoła wyjaśnić tę ostatnią zagadkę związaną z Marleną?

Marlena!

To pytanie nie opuszczało Malberga, schylonego nad książką Mendla, która odbijała neonowe światło w archiwum tak jasno, że aż oczy bolały. A może Anicet zamknął go tu w pułapce? Jeżeli tak, to jaki miałby cel na widoku? Nie, to wszystko nie składało się logicznie, więc porzucił tę myśl.

Malberg podniósł wzrok. Nagle zobaczył stojącą przed nim Marlenę, jednak ubraną w sposób niezwykle.

Miała na sobie brązowo-zielony mundur polowy z maskującym wzorem. Górne guziki kurtki były rozpięte i ujawniały fragment biustu. Długie, ciemne włosy miała związane w supeł. Była bez makijażu, co zresztą wcale nie umniejszało jej

atrakcyjności.

Potem zobaczył jej dłonie zaciśnięte na rewolwerze dużego kalibru. Stojąc w odległości niecałych sześciu metrów, podniosła powoli broń i skierowała lufę prosto w jego pierś.

Malberg aż się cicho roześmiał. Był to śmiech dość rozpaczliwy. Stres ostatnich dni z pewnością źle wpłynął na jego zdolność postrzegania. Miewał już wcześniej takie halucynacje. U ludzi pełnych fantazji i twórczych zjawiska tego rodzaju nie są rzadkością.

Żeby powrócić do rzeczywistości, Malberg przetarł oczy. Jednak widziadło nie chciało zniknąć.

-

Marlena? - zapytał Malberg półgłosem.

-

Wstań! - odpowiedziała kobieta głębokim, aksamitnym głosem. To był jej głos, bez wątpienia. Malberg wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

-

Marlena! Przecież ty...

-

Nie żyjesz? Przecież widzisz, że żyję! - zaśmiała się szyderczo i wymachując rewolwerem, krzyknęła: - No, podnieś wreszcie dupsko i wstawaj!

Malberg chciał coś powiedzieć. Jednak głos odmówił mu posłuszeństwa. Bez słowa, bład jak trup, wykonał polecenie, powoli wstał i podniósł ręce do góry.

Marlena, czy też kobieta udająca Marlenę, zaszła Malberga od tyłu i przycisnęła mu lufę rewolweru do pleców. Dziwne uczucie, pomyślał Malberg. Nie było mu ono

całkowicie nieznane. Najwyraźniej w jego nowym życiu częstszym zjawiskiem stało się przystawianie mu broni do żeber. Ironia jako samoobrona. W rzeczywistości był śmiertelnie przerażony.

- A teraz jazda! - warknęła kobieta i wzmocniła swój rozkaz, popychając Malberga bronią w kierunku drzwi.

- W prawo, prosto, znowu w prawo! - wy kierowała Malberga z pomieszczeń archiwum do długiego korytarza na basztę.

Przed schodami, które prowadziły w górę na basztę, Malberg zatrzymał się. Nie miał odwagi się odwrócić. - Czy ty naprawdę jesteś Marleną? - zapytał niepewnie.

- Nie tą głupiutką, którą znasz ze szkoły. Nie tą, która zawsze przegrywała. Tą, która w dziedzinie facetów musiała się zadowalać tym, co zostawało po innych.

- To niemożliwe! - krzyknął Malberg, gdy Marlena popychała go wzdłuż długiego korytarza. - Przecież widziałem na własne oczy, jak leżysz martwa w wannie! W wodzie! Czyja oszalałem? - tu głos mu się załamał.

- Możliwe — odparła Marlena z sarkazmem, o który by jej nigdy nie podejrzewał. — Przecież wszyscy mężczyźni to poniekąd wariaci.

Przed drzwiami prowadzącymi na basztę Malberg stanął i odwrócił głowę, jakby chciał o coś jeszcze zapytać.

-Jazda, na górę! - pogoniła go Marlena i poparła swoje słowa gwałtowniejszym naciskiem lufy na jego plecy.

Malberg wrzasnął. Nie tyle z bólu, ile w nadziei, że ktoś usłyszy. Na próżno.

Równocześnie usłyszał kliknięcie. Na tyle znał się na broni, żeby wiedzieć, iż taki dźwięk rozlega się przy odbezpieczaniu rewolweru. Bał się oddychać.

-

Na górę! - powtórzyła Marlena i wskazała głową na strome schody baszty.

Z duszą na ramieniu, Malberg chwiejnie stawiał krok za krokiem, potem się zatrzymał i rozważał, czy zdołałby się odwrócić i powalić Marlenę. Jednak w tej napiętej sytuacji nie wydawało się to rozsądne. Spojrzał jej w oczy błyskające gniewem i musiał się liczyć z tym, że gotowa jest z zimną krwią pociągnąć za spust.

- Co ja ci zrobiłem? - wyjąkał, wspinając się w górę po stromych schodach. -

Uwielbiałem cię, a nawet cię kochałem. Nie wiesz o tym?

- Zamknij się! - popchnęła go Marlena. - Kłamiesz. Gdyby tak było, inaczej byś się zachowywał. Nie różnisz się od innych facetów. Przez całe życie cierpiałam z tego powodu, że mężczyźni zawsze w pierwszej kolejności zwracali uwagę na moją siostrę Lianę. Gdy Lianę jako stewardessa bzykała się z niezliczonymi facetami, ja jako ta szara myszka poświęcałam się studiowaniu biologii. Biologii! Nie najlepsza możliwość, żeby poznawać wspaniałych mężczyzn!

- Ale ja przecież wcale nie znałem twojej siostry. W ogóle nie wiedziałem, że masz siostrę!

-

Znowu kłamiesz, nawet próbowałeś się do niej dodzwonić.

-

Tak. Ale dopiero po tym, jak przypadkowo dowiedziałem się o jej istnieniu.

Miałem nadzieję, że uzyskam od niej dokładniejsze informacje o twoim życiu.

-

Co to cię obchodziło?

-

Marleno, sądziłem, że nie żyjesz, że cię zamordowano! Wtedy uzmysłowiłem

sobie nagle, że byłem w tobie na zabój zakochany. Poruszyłem niebo i ziemię, żeby się dowiedzieć, co właściwie się wydarzyło.

- A właśnie tego nie powinieneś był robić!

- Dlaczego nie? - Malberg zatrzymał się.

-

Ponieważ w ten sposób uruchomiłeś całą lawinę. Pewnie myślałeś, że jesteś taki cwany, wślizgując się tutaj jako kryptolog. Ale kiedy Richard mi powiedział, że pisałeś pracę dyplomową na temat zaginionych dzieł literatury światowej, wtedy mnie oświeciło.

-

Richard?

-

Richard Murath. Poznałam go w Berlinie podczas studiów biologicznych.

-

Muratha, tego profesora mikrobiologii?

-

Właśnie jego. Nie rozpoznałeś go po głosie? Rozmawiał z tobą przez telefon. A teraz, jazda!

Malberg pomyślał o głębokim, lodowatym głosie, który wtedy mu groził.

W końcu dotarli na górę baszty. Ledwie parę godzin wcześniej dowiedział się od Gruny i Dulazka, jaką działalność prowadzi się w Burg Lay-enfels. Zaczynał zapadać mrok. Zadyszany Malberg uchwycił się blanki. Unikał patrzenia w groźną przepaść, która się przed nim mrocznie wyłaniała. Oblał go zimny pot.

Z lufą rewolweru wciąż w niego wycelowaną, Marlina zajęła pozycję po przeciwnej stronie krenelażu. U niej także dało się zauważyć pewne zdenerwowanie.

Malberg widział, że broń w jej dłoniach drży. To czyniło sytuację jeszcze bardziej niebezpieczną.

- Powiedz wreszcie, o co chodzi! — odezwał się Malberg. - Czego ty chcesz ode mnie? - starał się robić wrażenie pewnego siebie, ale jego głos brzmiał żałośnie.

- Z przyjemnością ci to wyjawię - odparła chłodno Marlena. - Za dużo wiesz. A teraz słuchaj - wpatrywała się w niego jak obłąkana. - Murath nie był atrakcyjnym mężczyzną. Ponadto po rozwodzie miał masę długów na karku. Był jednak inteligentny i zalecał się do mnie. Pierwszy mężczyzna, który mnie adorował. W międzyczasie, o czym pewnie wiesz, Murath dokonał znaczącego odkrycia.

-

Wiem, odkrył gen wiary w Boga.

-

Wiedziała, że informację o tym już posiadasz. Zeby spłacić swoje długi, Murath zaoferował wyniki swoich badań Kurii Rzymskiej za cenę dziesięciu milionów euro. Wprawdzie dostojnicy okazali wielkie zainteresowanie, ale tej sumy zapłacić nie chcieli, zaś Murath nie zamierzał negocjować. Zostawił w Watykanie swoją wizytówkę z informacją, że jeszcze przez tydzień będzie uchwytany w Rzymie pod moim adresem. Następnego dnia pod drzwiami pojawił się wyperfumowany łysy mężczyzna w szarej dwurzędowce, żeby raz jeszcze porozmawiać z Murathem.

Zobaczył mnie i, jak później wyjaśnił, wtedy to się z nim stało. Kardynał, a nawet więcej, sekretarz stanu, zakochał się we mnie!

Malberg ze zdumieniem pokręcił głową. Widok Marleny, która stała przed nim jak Gorgona, mityczny potwór o głowie węża, bynajmniej nie ułatwiał rozumienia tego wszystkiego.

-

A czy transakcja - spytał Malberg cicho - doszła kiedykolwiek do skutku?

-

Nie. Gonzaga, który przyszedł na własną rękę i doskonale rozumiał, jaka bomba tkwi w tych badaniach, dysponował jedynie ograniczonym budżetem.

Zakładając, że Marlena się uspokoiła, Malberg zrobił krok w jej kierunku.

Wtedy ona gwałtownie podniosła broń i krzyknęła: - Wróć. Ani kroku dalej! - W mroku już prawie nie było widać determinacji na jej twarzy. Ale nawet to, co było widać, zdradzało, że mówi serio.

Wepchnięty pomiędzy dwie blanki wysokości człowieka, Malberg poczuł zawrót głowy. Krew głośno pulsowała mu w uszach. Obiema rękami wczepił się w mur po obu swoich stronach, mając świadomość, że za nim otwiera się co najmniej trzydziestometrowa przepaść. Malberg był wstrząśnięty. Nie był już w stanie jasno myśleć. Jak uwolnić się w tej sytuacji? Bał się. Nigdy w życiu tak bardzo się nie bał.

Nie miał odwagi zadawać Marlenie dalszych pytań. Chociaż pytania wciąż się mnożyły. W każdej chwili mogła pociągnąć za spust. Ta kobieta jest chora, obłąkana!

Jednym uchem słuchał, co Marlena mówiła dalej: - Wtedy znów odwiedziła mnie moja siostra Lianę. Kiedy miała loty do Rzymu i nie miała nic lepszego do roboty, zaglądała do mnie. Nie sposób było tego uniknąć, no i poznała tę historię z kardynałem Gonzaga. Koniecznie chciała go poznać. Nie miałam nic przeciwko temu. Nie przeczuwałam jednak, że Lianę ostrzy sobie zęby na Gonzagę. Bzyknąć się z kardynałem to nie lada gratka dla tej małej lafiryndy Kiedyś wróciła z wycieczki w Góry Albańskie z zapachem na sukience, który nie był mi obcy. Wycieczki się powtarzały. Więc ją przepytalam. Lianę nawet nie próbowała zaprzeczać. Może mieć każdego faceta, oświadczyła mi obojętnie. Zapragnęłam zemsty. Słuchaj mnie!

Marlena zauważyła, że Malberg jest myślami gdzie indziej i zaczęła w sposób niekontrolowany dziko wymachiwać rewolwerem.

-

Oczywiście, że cię słucham. Tylko nie jest to przyjemne, patrzeć równocześnie w lufę odbezpieczonej broni.

Marlena zignorowała tę uwagę i ciągnęła: - Kiedy Lianę po raz kolejny pojechała w Góry Albańskie - ton Marleny zrobił się nad wyraz ironiczny - otrzymałam dziwny telefon. Niejaki Don Anselmo próbował mi w kwiecistych słowach uświadomić, że z natury jestem dobrym człowiekiem. Jednak w niesprzyjających okolicznościach zły demon mnie opętał. W rzeczywistości diabeł ten upatrzył sobie sekretarza stanu kardynała Gonzagę. Już miałam odesłać go do diabła i odłożyć słuchawkę, kiedy nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Słuchasz, co mówię?

- Tak - odpowiedział szybko Malberg.

- Naturalnie natychmiast się zorientowałam, że mam do czynienia z egzorcystą.

Na pozór zgodziłam się na jego projekt. Uzgodniłam termin, ale postarałam się, aby wtedy nie było mnie w domu, a za to żeby była obecna Lianę. Chciałam jej dać nauczkę. Nie mogłam przewidzieć, że przy tym straci życie. Jednak moja rozpacz była raczej ograniczona. Byłam zaskoczona, kiedy Murath, u którego wtedy mieszkowałam, poinformował mnie, że ja nie żyję. Przedziwne uczucie, dowiedzieć się, że się nie żyje. Okrężnymi sposobami Murath dowiedział się, że kobieta, która wbrew własnej woli została poddana egzorcyzmom, zmarła. Wszyscy sądzili, że tą kobietą byłam ja. Początkowo próbowano tę śmierć przedstawić jako wypadek. Zresztą dzięki dobrym układom w najwyższych władzach rzecz się udała.

Następnie ciało z wanny anonimowo pogrzebano.

Chociaż w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia, pod wpływem opisu

Marleny Malberg powiedział: - Ale przecież rozmawialiśmy przez telefon! To musiało być jeszcze przed śmiercią twojej siostry.

Marlena zaśmiała się drwiąco: - Z komórkowym telefonem wszystko jest

możliwe. Wtedy byłam już tutaj w Burg Layenfels. Tobie też chciałam dać nauczkę, ale przede wszystkim chciałam się ciebie pozbyć. Za kogo ty się uważasz? Sądzisz,

że nie widziałam, jak ci oczy błyszczały, kiedy spotkaliśmy się po latach? Myślisz, że nie wiem, co sobie obiecywałeś po swojej wizycie w Rzymie? Ja jednak nie

zapomniałam, jak mnie wyśmiewałeś, kiedy jeszcze siedzieliśmy w jednej ławce.

Przyznaję, że nie miałam kręconych włosów, że mój biust nie był taki, jakiego można

by się spodziewać u siedemnastolatki, że musiałam dłużej niż inni nosić aparat

korekcyjny na zębach, i że na lepsze ciuchy po prostu nie było pieniędzy. Ale czy

musiałeś mi to wszystko wywalić prosto w twarz? Od tamtej pory nienawidziłam cię,

i nie przestałam cię nienawidzić.

- Nie wiedziałem - wyjąkał Malberg. - W każdym razie niczego takiego nie

pamiętam. Wierz mi, taka jest prawda! Ale jeśli tak było, to bardzo mi przykro.

- No, teraz to ci nagle jest przykro, kiedy robisz w portki ze strachu!

-

-Tak, boję się. Czy chcesz mnie zabić?

-

Zabić cię? Nie! - krzyknęła Marlena wściekle. - Sam się zabijesz! Trzy kroki w

tył i po wszystkim.

W przyływie odwagi Malberg zawołał: - Całkiem odjęło ci rozum. Nie, nie

zmusisz mnie, żebym skoczył. No strzelaj, strzelaj!

Malberg czuł, że krew gotuje mu się w żyłach. Szeroko rozwartymi oczami obserwował, jak Marlina robi trzy, cztery kroki do tyłu. Oddalona od niego nie więcej niż dwanaście kroków stanęła między dwiema blankami. Na tyle daleko od muru, aby nie wypaść, gdy będzie strzelała.

- Ostatni raz mówię. Trzy kroki do tyłu - syknęła Marlina.

- Nie strzelisz! A ja nie rzucę się w przepaść! - Malberg w gasnącym świetle dnia zauważył, że jego oko, lufa rewolweru i oko Marliny tworzą jedną linię.

Wtedy usłyszał świst i silne uderzenie. W swoim oszołomieniu sądził, że nie dosłyszał samego strzału. Dziwne, ale nic nie poczuł. Czekał na ból.

Zamiast tego zobaczył, że Marlina odrzuciła broń i zatoczyła się. Zakręciła się wokół własnej osi i zachwiała pomiędzy blankami o krok od upadku. Skamieniały z przerażenia, nie będąc w stanie pojąć, co się właściwie stało, Malberg dostrzegł strzałę tkwiącą w jej plecach. Widział jeszcze, jak spada głową w dół. Kilka sekund później usłyszał głuchoe uderzenie.

Marlina?

Z dziedzińca zamku dobiegły nerwowe krzyki. Jak odurzony, wszedł Malberg pomiędzy blanki, gdzie zniknęła Marlina. Trwożliwie wczepił się w mur i spojrzał w przepaść.

Dziewięć pięter niżej leżało zmasakrowane ciało Marliny.

Po schodach prowadzących na basztę zbliżały się jakieś kroki. Z mroku wyłonił się Gruna. Miał przy sobie łuk. Sprzęt precyzyjny, jaki można zobaczyć na zawodach sportowych.

-

To pan? - odezwał się Malberg ze zdziwieniem.

Gruna skinął głową. - Obserwowałem was z naprzeciwka. Początkowo sądziłem, że to niewinna sprzeczka. Jednak przez lunetę łuku dostrzegłem, że ta kobieta celuje do pana z rewolweru. Wtedy wiedziałem już, że nie ma żartów.

-

Nie musiał pan tego robić - mruzczał Malberg pod nosem. - Nie, nie musiał pan tego robić.

-

Czyli wolałby pan sam leżeć teraz martwy pod murem zamku? Malberg zachwiał się. - Marlina - powiedział skołowany. - Marlina. -Jedyna kobieta pośród setki mężczyzn. Z tego i tak nie mogło nic dobrego wyniknąć. Ale Murath wymusił na Anicecie pozwolenie. Profesor uzależnił swoje pozostanie w Burg Layenfels, a tym samym swoje dalsze badania, od tego, czy Marlenie wolno będzie tu zostać. Mieszkali razem.

Podczas gdy Gruna rzecz objaśniał, Malberg coś poczuł w powietrzu.

Teraz również Gruna to zauważył: - Spalenizna! - zawołał i z przerażeniem spojrział w dół.

-

Pożar, zamek płonie! - krzyknął jak oszalały.

Malberg, potykając się, rzucił się ku blankom. W dole z licznych okien buchały płomienie. Początkowo w skrzydle leżącym po przeciwnej stronie baszty. Później także w innych częściach trapezowatej budowli.

Jak w transie obserwował Malberg okropne widowisko, wcale nie zastanawiając się nad przyczyną pożaru. Również Gruna na chwilę uległ fascynacji nocnym spektaklem.

Jednak nagle, jakby obudzony ze snu, wybełkotał: - Musimy stąd uciekać! I to szybko! - Gruna chwycił Malberga, który wciąż jak sparaliżowany gapił się w dół, i pociągnął go w stronę schodów.

Na szóstym piętrze, gdzie spotkali już gęsty czarny dym, Malberg chciał pójść długim korytarzem prowadzącym do archiwum.

- Czyś pan oszalał? - warknął na niego Gruna. Przy tym krztusił się dymem. W końcu pociągnął Malberga za rękaw z powrotem na schody.

- Ale książka Mendla! - Malberg też się krztusił. - Ta książka jest nie do odtworzenia.

-

Pańskie życie także jest nie do odtworzenia, idioto!

Ta uwaga trafiła Malbergowi do przekonania i rzeczywiście dał się odciągnąć.

Tak szybko, jak na to pozwalały strome drewniane schody, zbiegli na dół. Gromada mężczyzn, wymachujących rękami, kaszlących i krzyczących, wybiegała z wyjścia na dziedziniec. Tu też był dym, w dodatku cuchnący.

Kiedy wreszcie wydostali się na powietrze, Malberg nie skierował się, jak wszyscy pozostali, prosto ku bramie zamku. Ruszył w lewo, gdzie niecałe dziesięć metrów od wyjścia na bruku leżały zwłoki ubrane w mundur polowy.

Z głowy, czy raczej z tego, co z niej zostało, płynęła krew, tworząc na bruku ciemną kałużę. Strzała, którą Malberg widział w plecach Marleny, przy upadku przebiła się przez ciało i teraz wystawała grotem z klatki piersiowej.

Dym i ogień nad nim był coraz większy. Zaczęły pękać pierwsze szyby, i Malberg ruszył ku bramie zamkowej. Raz jeszcze odwrócił się i spojrział w stronę baszty. Tam dostrzegł żywą pochodnię, płonąca postać z kanistrem w dłoni: był to Murath.

Profesor wylewał z kanistra płyn, który zajmował się ogniem od jego płonącego ubrania. Kiedy kanister był pusty, odrzucił go i zaczął tańczyć jak diabeł wokół biednej duszyczki. Zanosił się obłądnym śmiechem i wrzeszczał: - A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony.

Nie było wątpliwości, że kiedy ostatni eksperyment się nie powiódł, profesor zwariował.

Jego straszne wrzaski już niemal ginęły w trzaskach ognia. Wtedy Malberg odwrócił się i pobiegł za pozostałymi.

Fideles Fidei Flagrantes przepychali się w panice ciasnym wąwozem. Każdy chciał innych wyprzedzić. Niebo miało barwę krwawej czerwieni. Rzucało niesamowite, blade światło na przerażone twarze.

W oddali wyły syreny, zbliżały się ze wszystkich stron, aż połączyły się w jeden koszmarny chór, dźwięczący w uszach.

Kiedy Malberg, w otoczeniu wrzeszczących, wymachujących rękami ludzi, dotarł do odgałęzienia drogi, kolumna ludzi rozdzieliła się. Najmniejsza część wybrała, podobnie jak Malberg, drogę w dolinę, do Lorch. Reszta braci, jakby ścigana przez złe duchy, całą noc błąkała się po lasach.

ROZDZIAŁ 60

P

łomienie na Burg Layenfels szalały do wieczora następnego dnia. Z powodu położenia na pustkowiu wszelkie próby ugaszenia pożaru spełzły na niczym.

Krnąbrna budowla spłonęła aż po fundamenty.

Płomienie unicestwiły całun Jezusa z Nazaretu - oryginał. Również cenna książka Grzegorza Mendla, która jedynie na krótko powróciła do świadomości ludzi, ostatecznie zatrzymała dla siebie swoją tajemnicę. Jednak przede wszystkim

zniweczono szatański plan dwóch szaleńców, którzy zapragnęli zmienić świat i odebrać mu to, co wielu ludziom daje ostoję.

Malberg resztę nocy spędził bezsennie w hotelu Krone w Assmann-hausen. Był zbyt poruszony. Zbyt zdenerwowany, żeby rozmawiać z Caterina.

Dopiero rano koło siódmej, po długim prysznicu, jakby chciał z siebie zmyć okropne przeżycia zeszłej nocy, zadzwonił do niej. Caterina odebrała zaspana.

- Martwiłam się - powiedziała. - Kilka razy próbowałam cię złapać. Co się dzieje?

- Marlena nie żyje - odpowiedział Malberg cicho.

- Wiem, Lukas, wiem.

- Nic nie wiesz - odparł, patrząc na czyste niebo poranka - i nie będzie łatwo ci to wyjaśnić.

Słuchawkę trzymał z czułością, jakby to była jej ręka.

Wydawnictwo Sonia Draga poleca książki z tej samej serii:

SPISEK SYKSTYŃSKI

Podczas renowacji fresków Michała Anioła zdobiących sklepienie Kaplicy

Sykstyńskiej konserwatorzy dokonują zadziwiającego odkrycia. Każda z

namalowanych scen zawiera wymyślnie ukrytą literę. Ułożone w całość litery tworzą

pozbawiony sensu napis. W poszukiwaniu zagadkowego znaczenia przesłania

genialnego artysty prefekt kongregacji wiary - dawnej inkwizycji - natrafia w tajnym

archiwum Watykanu na zadziwiający dokument, ujawnienie którego może wstrząsnąć

posadami całego chrześcijaństwa.

Co kryje w sobie tajemniczy napis? Czy przemyślnie ukryta inskrypcja jest

wyrafinowaną zemstą z za grobu Michała Anioła za to, co uczyniło mu państwo

kościelne? Czy Watykan zdoła zatrzymać w swych tajnych archiwach jedną z

największych tajemnic chrześcijaństwa?

Spisek sykstyński to już trzecia po Zapomnianym pergaminie i Towarzyszkach cesarskich śniadań książka tego autora ukazująca się nakładem Wydawnictwa Sonia Draga.

ZAPOMNIANY PERGAMIN

ZAPOMNIANY PERGAMIN

Anno Domini 1412 katedry Kolonii, Strassburga, Regensburga, Chartres i Amiens nagle walą się w gruzy. Ludzi ogarnia panika. Zadają sobie pytanie, czy to kara boska za grzechy świata, czy może dzieło szatana?

W czasie zamieszek córka bibliotekarza, Afra, ratuje życie znanego budowniczego katedr, Ulricha von Ensingen. Mistrz zakochuje się w pięknej wybawczyni. Gdy nagle w tajemniczych okolicznościach umiera żona Ensingena, Afra zostaje posądzona o czary. Przerazona zdradza ukochanemu tajemnicę szkatułki pozostawionej przez ojca. Szkatułka jednak, zamiast oczekiwanego złota, zawiera jedynie niezapisany pergamin.

Staremu dokumentowi przygląda się alchemik, który odkrywa, że zagadkowy pergamin wcale nie jest pusty. W wyniku skomplikowanych zabiegów ukazuje się niewidoczny napis, ujawniający, że jeden z najważniejszych dokumentów Kościoła jest w rzeczywistości fałszerstwem Watykanu.

Urodzony we Wrocławiu w 1941 roku Philipp Vandenberg swą pierwszą książkę Klątwa faraonów napisał w wieku 32 lat. Od tego czasu ukazało się 30 tytułów - powieści i książek popularnonaukowych - przetłumaczonych na 34 języki, które rozeszły się w łącznym nakładzie ponad 23 milionów egzemplarzy, czyniąc z autora jednego z najbardziej poczytnych pisarzy na świecie. Obecnie Vandenberg mieszka z młodszą o 20 lat żoną, Evelyn, w górnej Bawarii nad jeziorem Tegernsee w starej

liczącej tysiąc lat wiosce. Jest właścicielem jednego z największych zbiorów starych
książek, z których wiele wyszło z drukarni samego Gutenberga, wspaniałej kolekcji
antyków, muzeum starych rolls-royceów oraz średniowiecznego zamku
nawiedzanego regularnie przez ducha.

8

7

9

9

11

14

16

17

20

22

23

26

27

27

30

32

33

36

40

41

44

46

45

49

52

53

56

58

59

62

64

63

67

70

71

76

77

77

80

84

83

87

88

89

92
96
95
99
"1
"1
100
100
101
101
104
108
107
111
114
113
117
118
118
121
122
123
126
130

129
133
140
141
144
150
151
154
155
155
158
166
165
169
172
174
175
186
185
188
190
189
191
191

194
195
199
202
203
205
208
207
212
214
215
217
220
222
222
224
228
229
231
234
236
237
240
241

243

246

245

248

256

257

259

266

265

268

270

271

273

278

277

284

286

286

288

292

291

294

300

299

302
305
312
311
314
318
317
320
322
322
324
326
326
328
336
335
338
342
343
345
347
347
349
356

355

358

362

361

364

366

366

372

380

381